

Penny Jordan

**NA DOBRE  
I NA ZŁE**

# Na dobre i na złe

## Prolog

Fern była w sypialni na piętrze, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Widziała, jak gwałtownie hamuje, Nick szybko wysiada, zatrzaskuje drzwiczki i patrzy w górę.

Automatycznie odsunęła się od okna i w tej samej chwili przystanęła, dostrzegając swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Zmęczona twarz, puste i martwe oczy, Czy tak samo puste i martwe jak jej małżeństwo z Nickiem?

Odwróciła się od lustra i pospieszyła na dół.

To oczywiście jej wina, że Nick jest w złym humorze. Nie powinna mu była wczoraj mówić, że zbyt długo pracuje. Nie cierpiał tego „mieszania się w jego życie”, jak to nazywał. Nie znosił żadnych ograniczeń, nawet najłagodniejszej krytyki. Wczoraj koniecznie chciał wiedzieć, co jej się stało. Pytał, czy nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie ma szczęście. Czy nie wie, ile kobiet chętnie zamieniłoby się z nią na jej los?

- Jesteś moją żoną - perorował po raz któryś z rzędu.
- Nic tego nie zmienia.

Obietnica czy groźba?

Walczyła z poczuciem winy, starając się wyciszyć swoje buntownicze myśli. Trudno odmówić mu racji. Naprawdę ma szczęście, że jest jego żoną, zwłaszcza że...

Teraz spotkali się w kuchni. Gdy go ujrzała, poczuła, jak

tężeje z napięcia, i automatycznie odwróciła głowę. Nick był bardzo przystojny, a jednak ostatnio zdarzało się, że nie mogła na niego patrzeć.

- Kocham cię... Musimy być razem... Nigdy nie pozwolę ci odejść - powiedział tego dnia, kiedy poprosił ją o rękę, ona zaś, zauroczona jego słowami, oszołomiona i zarazem zamroczone szybkością, z jaką zapanował nad jej życiem, nie potrafiła mu się oprzeć. No ale wtedy czuła się mile pochlebiona, przepełniona radością z powodu jego oświadczeń.

A potem...

Teraz jednak, mimo że stała w drugim końcu kuchni, poczuła, że Nick wraca od kobiety. Instynktownie postąpiła krok do tyłu. Czy on ma znowu jakiś romans? Wczoraj, gdy o to spytała, zaprzeczył. Ale czyż nie pragnęła takiej odpowiedzi, skoro tyle zainwestowała w to małżeństwo, tyle poświęciła? Może za wiele?

Dlaczego dalej z nim mieszka, skoro ma inną kobietę? Ale czy może odejść? Małżeństwo to zaangażowanie na całe życie, a jeśli rodzą się w nim problemy, trzeba je rozwiązywać. A może lepiej je ignorować? Ze ściśniętym sercem zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem tchórzliwa.

- Co ci jest? - spytał Nick kwaśno. - Chyba już się nie dąszasz?

Fern sięgnęła po czajnik i opuściła głowę. Pasma włosów zasłoniło jej twarz.

- Mam dla ciebie wiadomość - dodał Nick.

Teraz przemówił innym tonem. Pobrzmiewała w nim chyba nuta triumfu, jakby rozkoszował się myślą o tym, co jej za chwilę obwieści. Fern zeszywniała ze strachu, lecz starała się tego nie okazać. Poczowała w sercu dojmujący ból:

więc do tego już doszło, że ukrywa przed nim swoje reakcje, chowa twarz...

- Wydaje mi się, że mój przybrany, świątobliwy braciśzek ma zamiar kupić dom Broughtonów.

Fern zacisnęła palce na ręczce czajnika. Dobrze, że stała odwrócona do Nicka tyłem.

- Ciekaw jestem, po co mu taki duży dom. Z tyloma sypialniami... Przecież to domiszcz dla całej rodziny!

- Teraz w jego głosie już wyraźnie zabrzmiała wstrętna nuta triumfu. - Szkoda, że nie ma rodziny, prawda? A może ma zamiar ją założyć... Co ci jest, Fern? Czy powiedziałem coś, co mogłoby cię zdenerwować? Och, przepraszam, zapomniałem... Tobie się ten dom zawsze podobał. Często tam kiedyś bywałaś...

- Czasami odwiedzałam panią Broughton, to wszystko - odparła spokojnie.

Dlaczego on jej to mówi? Wie równie dobrze jak ona, że nie ma w tym wszystkim sensu. Wie, jak gorzko tego żałowała.

- Spałaś z nim, Fern? - spytał kiedyś. - Powiedz.

W odpowiedzi po policzkach spłynęły jej łzy.

- On ciebie nie chce, wiesz o tym, prawda? - powiedział jej wtedy łagodnie i tak jakoś kojąco, mimo że nie miał najmniejszego powodu być wówczas dla niej dobry.

Gdyby kiedyś wcześniej okazał jej tyle ciepła, tyleż samo współczucia, czy to cokolwiek by między nimi zmieniło? Ilu mężczyzn po czymś takim chciałoby utrzymać związek? Niewielu. Niewierność mężczyzny to jedno, niewierność natomiast kobiety...

- Jesteś moją żoną - tłumaczył jej wówczas, gdy się załamała i spytała, dlaczego nie chce rozwodu. - Fern,

małżeństwo zawiera się na całe życie. Przecież rodzice zawsze ci to mówili.

Jest jego żoną. Chciał utrzymania tego małżeństwa; twierdził, że potrzebuje jej - skąd więc nagle ta pustka między nimi, ten rozdźwięk, niesmak, który podkopał jej poczucie dumy i szacunek dla siebie?

- Idę wziąć prysznic - odezwał się teraz.

Zmyć z siebie zapach kobiety? Czyż nie wie, że już na to za późno? Czajnik zagwizdał i wyłączył się. A więc Adam chce kupić dom Broughtonów i... ożenić się. Mimo że była na to przygotowana, ból był tak dojmujący, że zachłysnęła się powietrzem. Adam to tylko mój szwagier, powtórzyła w myślach po raz nie wiadomo który. To tylko mój szwagier. Nic mnie z nim nie łączy. Nic mnie nigdy z nim nie połączy...

Eleanor zobaczyła to ogłoszenie w poczekalni u denty-  
sty, kiedy przerzucała najnowszy numer „Country Life”.

Najpierw przykuło jej uwagę zdjęcie: dom, ustawiony frontem na południe, został sfotografowany w słoneczny dzień, toteż jego kamienne mury przybrały odcień starego złota, a w mansardowych szybkach pobłyskiwały bursztynowe refleksy światła. Ten dom wyglądał na zasiedziały, solidny, wieczny, bezpieczny i spokojny. W nim na pewno można znaleźć schronienie przed burzliwymi wydarzeniami życia.

Wpatrywała się w zdjęcie tak długo, że nie usłyszała pielęgniarki, zapraszającej ją do gabinetu.

Później, gdy już dotarła do domu i zorientowała się, że niechcący wsunęła magazyn do torby, stłumiła poczucie winy i położyła go na biurku, myśląc, że trzeba go wyrzu-

cić. Z jakiegoś jednak powodu nie uczyniła tego... Również z jakiegoś powodu, później tego samego dnia, kiedy zrobiła sobie przerwę na herbatę po wyjątkowo trudnym tłumaczeniu z hiszpańskiego jakichś dokumentów dla jednego ze swych klientów, więc później, popijając tę herbatę, znowu zaczęła przerzucać magazyn i znowu zainteresowała się tym samym zdjęciem. Tym razem przebiegła wzrokiem informacje zamieszczone pod fotografią, choć cała jej uwaga była skupiona na domu, z którego promieniowało dziwne ciepło, jakby z sanktuarium...

Sanktuarium? To słowo podziałało na nią niczym wyrzut sumienia i poczuła ostre ukłucie w sercu. Po co jej sanktuarium? Czuła się szczęśliwa w swoim drugim związku małżeńskim, miała znakomitą pracę, dwóch dobrze rozumiejących się synów. Była jedną z najszczęśliwszych kobiet, jakie znała. Wszyscy tak mówili...

Wszyscy...

- Udało się! Udało się! Udało! - powtarzała z radością Zoe, wrywając się z ramion Bena, by odtańczyć triumfalnego pirueta. Ben chwycił ją w pół i potrząsnął głową.

- Nie ciesz się na zapas - ostrzegł. - To tylko pierwszy etap. Teraz musimy trzymać kciuki, żeby znaleźli odpowiednie miejsce.

Jego zmarszczone czoło i malująca się na twarzy powaga bezgranicznie ją kiedyś fascynowały, czasami jednak ze smutkiem przyznawała, że nie potrafi tego zrozumieć. Dlaczego Ben zawsze sprawia wrażenie, jakby się bał, że los za chwilę wymierzy kolejny cios? Dlaczego nie potrafi dzielić z nią radości? A może jednak jest trochę niesprawiedliwa: wiedziała wszak, że na swój własny sposób Ben podziela

jej uczucia i że, choć wprawdzie by umarł, niż się do tego przyznał, ten pierwszy krok na drodze, którą sobie upatrzeli, jest dla niego niezmiernie ważny.

- Benedict Fraser, Restaurator Roku - powiedziała śpiewnie, nie pozwalając mu wytrącić się ze stanu upojenia. - Wszystko jest jasne. „Benedict Fraser, z pomocą swej niezwykle atrakcyjnej i utalentowanej współpracownicy, panny Zoe Clinton, w sielankowej restauracji poza miastem, będącej niewątpliwie największym sukcesem tego roku...”

- Przestań. Jeszcze nie mamy tej restauracji. A przynajmniej nasz sponsor musi jeszcze...

- Nasz sponsor... O Boże, to nie do wiary. I pomyśleć, że to tylko dlatego, że w ostatniej chwili zająłeś się przygotowaniem tego śniadania na wesele Hargreavesów!

-- Nigdy bym tego nie zrobił, gdybyś mnie nie zmusiła. Nie lubię śniadań weselnych, zwłaszcza gdy trzeba je zorganizować w ostatniej chwili. To twoja zasługa.

- Nie - ucięła krótko. - To nasza zasługa. Stanowimy dobraną parę, Ben. - Rzuciła mu spojrzenie spod oka i dodała: - W łóżku i poza nim...

Tak jak się spodziewała, wzmianka o ich bliskiej zażyłości wprawiła go w lekkie zakłopotanie. Jak na mężczyznę, który był tak znakomitym kochankiem, przejawiał dziwne zażenowanie, gdy ktoś mówił głośno na temat seksu. Może to sprawa wychowania? Zoe potrząsnęła głową i postanowiła o tym nie myśleć, nie chcąc psuć sobie nastroju.

- Jak myślisz? ile czasu Clive Hargreaves może szukać odpowiedniego miejsca?

- Nie wiem. Ale najwyraźniej już się do tego zabrał.

• Kiedy podpisywaliśmy umowę, jego biurko było zavalone różnymi prospektami.

Zoe uśmiechnęła się z zachwytem.

- Wreszcie! Teraz już nic nam nie przeszkodzi. Wszystko na nas czeka. Wszystko, o czym marzyliśmy. Nasza własna restauracja, którą potem rozbudujemy w mały hotelik. Ty będziesz szefem, a ja zajmę się administracją. Dokładnie tak, jak chcieliśmy.

- Tak jak ty chciałaś, Zoe. Mnie by to nigdy nie przyszło na myśl... - Ben urwał i pokręcił głową. - Nie pojmuję, jak to się stało, ale tyle to dla mnie znaczy... Zoe, ty chyba nie zdajesz sobie sprawy...

- Ależ tak - powiedziała z uśmiechem. - Wiem, co dla ciebie znaczy własna restauracja. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

- Pod warunkiem, że coś się nie stanie...

- Nic się nie stanie. Co by się mogło stać? Umowy są podpisane, jesteśmy na dobrej drodze. Przestań się martwić. Nic się nie stanie, obiecuję ci.



# Na dobre i na złe

## 1

Eleanor powstrzymała okrzyk zniecierpliwienia, gdy samochody znowu utknęły w miejscu. O tej porze Londyn jest właściwie nieprzejezdny, zwłaszcza gdy jest tak szaro i mokro, zwłaszcza gdy niebo jest zasnuwane gęstymi chmurami, a nieliczne kwiaty, jakie się ukazały na krzewach, bezlitośnie smaga okrutny, wschodni wiatr.

Strumień samochodów posunął się odrobinę i Eleanor zaczęła odliczać do dziesięciu. Spóźni się, a ma spotkanie o dziewiętej trzydzięci. Nowy klient. Zagryzła z irytacją wargi, przypominając sobie ostatnią rozmowę z księgowym. Jeszcze nie są w złej sytuacji, lecz koszty utrzymania biura rosną; w ciągu minionych osiemnastu miesięcy czynsz wzrósł dwukrotnie i zanoszą się na kolejną podwyżkę. W całym zresztą mieście takie małe firmy jak ich, działające w otoczeniu koncernów i wielonarodowych korporacji, zaczynały odczuwać skutki oszczędności czynionych przez te ostatnie.

Lawinowa fala zamówień, jakie otrzymywały wraz z Louise pod koniec lat osiemdziesiątych, zaczęła teraz szybko opadać, a dochody, których spodziewały się w związku z rozwojem integracji europejskiej, płynęły raczej cienką strużką niż rzeką.

Dawniej Eleanor wynajmowała mieszkanie w pobliżu

biura, później jednak, gdy wyszła za mąż za Marcusa i wraz z synami przeniosła się do jego eleganckiego domu w Chelsea, podróże przez miasto stały się prawdziwą gehenną.

A poza tym dlaczego ta okropna pogoda potrafi do tego stopnia spowolnić ruch? Eleanor naprawdę chciała dzisiaj być w pracy wcześniej, ale najpierw Tom zaspał i zszedł późno na śniadanie, potem Gavin posiał gdzieś cały swój rysz tunek piłkarski, toteż gdy w końcu ulokowała w samochodzie synów wraz z ich ekwipunkiem szkolnym, już była spóźniona.

Marcus dawno był po śniadaniu i zaszył się w swoim gabinecie. Gdy tam weszła, ściągnął brwi i odłożył dokument, nad którym pracował. Jeszcze dziś, po trzech latach znajomości i niespełna roku małżeństwa, jej serce biło szybciej na jego widok. To chyba trochę niezwykła reakcja jak na kobietę, która ma wkrótce skończyć trzydzieści dziewięć lat. I pomyśleć, że zanim go spotkała, szczyliła się swoim zdrowym rozsądkiem oraz świadomością, że do rozpadu jej pierwszego małżeństwa doprowadziły pewne błędy w interpretacji różnych, zdarzeń i źle ulokowane romantyczne mrzonki.

Zanim dojrzała akta w ręce Marcusa, miała ochotę go poprosić, by odwiózł chłopców do szkoły, która była bliżej jego kancelarii w Lincoln's Inn niż jej biura. Jednak mimo że łączyło ich prawdziwe uczucie, gdzieś w głębi duszy uważała, iż odpowiedzialność za Toma i Gavina spoczywa na niej, a Marcus jest odpowiedzialny za Vanessę.

Vanessa... Na myśl o córce Marcusa poczuła ukłucie w sercu. Gnębiła ją myśl, że nie potrafi nawiązać z nią dobrych stosunków. Eleanor poznała Marcusa siedem lat

po jego rozwodzie, ilekroć jednak Vanessa przyjeżdżała do nich w odwiedziny, Eleanor czuła się skrzepowana i spięta, nawet w swojej sypialni.

Być może problem ten częściowo wynikał stąd, że dom w Chelsea był za mały dla dwojga dorosłych i trojga dzieci. Marcus kupił go po rozwodzie: dla kawalera czy bezdzietnego małżeństwa był to dom idealny - mały, lecz elegancki. Na parterze był pokój dzienny połączony z kuchnią, jadalnia i gabinet Marcusa, a na piętrze salon na tyle duży, by wzięty adwokat mógł wydawać przyjęcia. Obie sypialnie były również spore i każda z nich miała swoją łazienkę. Wszystko więc byłoby w porządku, gdyby nie to, że od czasu do czasu w domu mieszkało jednocześnie troje dzieci. Kiedyś w dużej sypialni, którą zajmowali obecnie jej synowie, nocowała Vanessa. Otwarcie dała Eleanor do zrozumienia, że i teraz nie zamierza z tego przywileju zrezygnować.

Z tego też powodu Tom i Gavin musieli się w czasie wizyt Vanessy męczyć w dusznym pomieszczeniu na poddaszu, które początkowo miało być li tylko pokojem gościnnym. Eleanor bardzo kochała Marcusa i wiedziała, że on odwzajemnia jej uczucie, ale przeżył samotnie siedem lat i przyzwyczał się do uporządkowanego trybu życia, pozbawionego napięć, które teraz zdawały się burzyć ich spokój.

Najlepiej byłoby znaleźć jakiś większy dom, w którym wszyscy by się wygodnie pomieścili. Problem polegał jednak na tym, że duże domy są w Londynie obłąkańczo drogie, trudno więc było nawet myśleć o przeprowadzce.

Firma Eleanor prosperowała na razie całkiem nieźle, Marcus zaś, jako renomowany adwokat, specjalizujący się

w uzyskiwaniu odszkodowań, zarabiał dobrze, jednak życie w Londynie było kosztowne. Jej były mąż wziął ślub wkrótce po uzyskaniu rozwodu i miał już następne dziecko, toteż nie był w stanie łożyć na wykształcenie trzynastoletniego Toma i jedenastoletniego Gavina. A ich edukacja będzie jeszcze sporo kosztowała, zwłaszcza jeśli zechcą studiować.

Eleanor odetchnęła z ulgą, gdy samochody nagle ruszyły. Pomyślała, że to ta okropna pogoda wprawia ją w taki ponury nastrój. O tej porze roku wszyscy już mają dosyć chłodu i deszczu i z utęsknieniem wypatrują odrobiny słońca.

Wraz z Marcusem zamierzali wyjechać w maju na tydzień do przyjaciół w Toskanii, lecz akurat weszła na wókanę jedna z jego ważniejszych spraw i zanosіło się na to, że trzeba będzie z wyjazdu zrezygnować.

Kiedy skręcała do podziemnego garażu gmachu, w którym mieściło się jej biuro, właśnie zaczęto mżyć. Gdy zamknęła samochód i pospiesznie ruszyła do windy, było już dobrze po wpół do dziesiątej.

Pracowała w nowoczesnym biurowcu, usytuowanym w sercu miasta. Ona i Louise zastanawiały się przez dobre parę tygodni, czy wynająć w nim lokal. Czynnś nawet wtedy był bardzo wysoki, one zaś nie miały pojęcia, na ile zamówień mogą liczyć. Spotkały się zupełnie przypadkowo. Można właściwie powiedzieć, że dosłownie wpadły na siebie w pewnej dużej firmie komputerowej, gdy Eleanor odnosiła tłumaczenia. Louise przyszła tam w tym samym celu i kiedy okazało się, że ich umiejętności językowe się uzupełniają, szybko podjęły decyzję o założeniu spółki.

Była to decyzja, która się sownie opłaciła. W ciągu czterech lat zyskały znakomitą opinię i stały się na tyle znane, że ich nazwiska pojawiały się w artykułach prasowych na temat kobiet interesu, które w latach osiemdziesiątych odniosły największy sukces.

Wtedy obie były samotne. Eleanor miała za sobą nieudane małżeństwo i jeszcze bardziej nieprzyjemny rozwód, toteż z radością rzuciła się w wir pracy - nie tylko dlatego, że potrzebowała pieniędzy, lecz również przez to, że praca przynosiła jej ukojenie i pozwoliła zapomnieć o zranionej dumie. Louise, osiem lat od niej młodsza, właśnie otrząsała się z depresji po zakończeniu burzliwego związku z żonatym mężczyzną.

Fizycznie stanowiły swoje przeciwieństwo: Eleanor była wysoka i jasnowłosa, spokojna i powściągliwa w działaniu, Louise zaś - ciemnowłosa i niska, impulsywna i pełna energii. Psychicznie bardzo siebie potrzebowały - pomagały sobie nawzajem uleczyć rany, jakie zadało im życie, i za wszelką cenę starały się odnieść sukces. Starały? Eleanor zasępiła się, gdy winda stanęła na jej piętrze. Przecież w dalszym ciągu się staramy, zapewniła się w myślach. I naprawdę nie jest źle.

Ten biurowiec ogromnie im się spodobał z powodu wystroju wnętrza. Było w nim jasno i naprawdę ładnie. Biura zostały usytuowane wokół atrium, które dawało wrażenie otwartej przestrzeni. Dziś jednak Eleanor wydało się, że od marmuru i chromu bije chłód.

Pewnie znowu słabiej grzeją, pomyślała, idąc szybko do biura. Wszyscy najemcy narzekali nie tylko na następujące jedna po drugiej podwyżki czynszu, lecz także opłat eksploatacyjnych. Rzuciła przelotne spojrzenie na atrium

i stwierdziła, że niektóre rośliny trochę zanadto błyszczą i są zbyt intensywnie zielone. Kiedy jej uwagę przykuła sterylność doskonałości białej lilii, pomyślała z niesmakiem, że to wszystko wygląda sztucznie. Taka roślinność jest nienaturalna pod ołowianym niebem Londynu; wymusza się jej wspaniałą urodę dzięki szklanej kopule i ogrzewaniu.

Claire, ich sekretarka, spojrzała na Eleanor z uśmiechem pełnym ulgi, gdy ta weszła do malutkiego holu.

Eleanor i Louise zadbały o wystrój biura, konsultowały się nawet w tej sprawie z zaprzyjaźnionym z Eleanor plastykiem, jednak to, co wydawało się awangardowe i modne w latach osiemdziesiątych, dziś, w okresie kryzysu, raziło podobnie jak owa bujna roślinność w atrium, nie pasująca do spowitego mgłą Londynu.

- Monsieur Colbert już czeka - powiedziała Claire. - Zaproponowałam mu kawę, ale odmówił.

Eleanor podziękowała jej i weszła do gabinetu, szybko zdjęła płaszcz i przejrzała się w lustrze, po czym pospieszyła do pokoju, w którym obie z Louise przyjmowały klientów.

Pierre Colbert był Francuzem. Prowadził rozległe interesy, które sprowadzały go regularnie do Londynu, jak również do innych większych miast Europy. Był agentem kilku znanych domów mody i hurtowników, typem, który stał o dwa stopnie poniżej „sławnych” projektantów i dwa wyżej od popularnych firm zaopatrujących sklepy na głównych ulicach miast.

Gdyby udało się go pozyskać, stanęłyby na nogi. Eleanor wiedziała od innego z klientów, że jest niezadowolony ze swych obecnych tłumaczy, toteż przy jakiejś okazji

zapropnowała mu swoje usługi. Ostrzegano ją jednak, że ciężko się z nim pertraktuje, toteż gdy weszła do pokoju i zauważyła jego zniecierpliwione spojrzenie, odwaga nieco ją opuściła. Zawsze jednak robiła dobrą minę do złej gry, uśmiechnęła się więc uprzejmie i wyciągnęła do niego rękę.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - To przez te korki...

- Anglicy nie potrafią jeździć - przerwał szorstko.

- Korki są w Paryżu, tutaj jest bałagan...

- Może napije się pan kawy? - spytała, ignorując jego złośliwość.

- Kawy? - powtórzył z cierpkim uśmiechem. - Dziękuję, raczej nie.

Zastanawiała się, czy Colbert chce zmusić ją do reakcji na jego zjadliwość, czy po prostu nie zdaje sobie sprawy ze swego impertynenckiego zachowania. Miała już do czynienia z klientami, którzy w kontaktach z kobietami prowadzącymi firmy czuli się nieswojo i pokrywali brak pewności siebie agresją. Musiała więc znaleźć sposób, jak z nimi postępować.

Jakiś czas temu, pod koniec długiego popołudnia, które spędzili na kochaniu się, Marcus, gładząc z przyjemnością jej rozgrzaną skórę, powiedział sennym i ciepłym głosem: „Uwielbiam ten twój spokój, Nell. Jak to dobrze mieć przy sobie kobietę, która jest zawsze taka łagodna i pewna siebie. Jak łatwo cię kochać”. Wkrótce potem poprosił ją o rękę.

- No tak, nie opanowaliśmy sztuki parzenia naprawdę dobrej kawy - zgodziła się z uśmiechem. Inna kobieta mogłaby zawahać się przed zastosowaniem pojednawczej ta-

ktyki, Eleanor jednak uważała, że tak w życiu trzeba postępować, że najważniejsze są spokój, dobre stosunki, zgoda i harmonia. Może przesadnie o to dbała? - Wasza kawa, podobnie jak wasze pieczywo, jest nie do zastąpienia - dodała - choć, o ile mi wiadomo, Marks & Spencer robią co mogą. Do wypieku *croissantów* i francuskiego chleba sprowadzają teraz mąkę z Francji.

- Są pani klientami? - spytał Pierre Colbert z ukrytym zainteresowaniem, rezygnując z agresywnego tonu.

Eleanor pozwoliła sobie na luksus lekkiego westchnienia ulgi.

- Niektórzy z ich dostawców są moimi klientami - oznajmiła i otworzyła teczkę, którą z sobą przyniosła. - Widzę tu, że prowadzi pan interesy z domami mody kilku głównych miast europejskich, a one z kolei zawierają umowy z producentami na Dalekim Wschodzie. Odzież reprezentowanych przez pana domów mody będzie się najlepiej sprzedawała w naszych ekskluzywnych butikach w mniejszych miastach.

- Nie próżnowała pani.

Eleanor uśmiechnęła się do niego łagodnie, świadoma, że w interesach nie należy okazywać zbytniego zadowolenia.

- Jak mi wiadomo, w tej chwili korzysta pan z tłumaczy mieszkających we Francji, w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii. My, oczywiście, możemy wykonywać wszystkie te usługi na miejscu.

- Podobnie jak każda z firm, z którymi współpracuję - skomentował, obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem.

- Wiem - zgodziła się z uśmiechem, zdając sobie sprawę, że trudno będzie go przekonać do przerwania całości



zamówień do jej firmy, toteż spokojnie zaczęła mu wylizywać wszystkie zalety. - Ale może pan nie wie, że moja współpracownica, Louise, specjalizuje się w językach bliskowschodnich. Zna też rosyjski.

- A czy bierze pani pod uwagę - wtrącił szybko - że po rozpadzie Związku Radzieckiego każde z nowych państw będzie chciało powrócić do swojego ojczystego języka?

- Oczywiście.

Była to prawda. Wraz z Louise zajmowały się ostatnio werbowaniem doświadczonych tłumaczy, którzy potrafili by przekładać na zapomniane dotąd języki. Co prawda Eleanor jeszcze nie wiedziała, jak w swym pełnym zajęciu dnia zdoła znaleźć czas na rozmowy i testy kwalifikacyjne dla tłumaczy, ale musi jakoś to zrobić. Miała zamiar zająć się przejrzeniem podań już podczas weekendu, ale nie było to proste. Po pierwsze, jedynym miejscem w domu, gdzie mogłaby pracować, była jej wspólna sypialnia z Marcusem, ale ponieważ mieszkała teraz z nimi Vanessa, która nastawiała radio na cały regulator, Eleanor nie mogła się skoncentrować, mimo że wiedziała, jak ważne jest w tej chwili rozszerzenie oferty firmy.

Muszą dostać te zamówienia od Colberta, i to szybko, bo inaczej pogiębi je konkurencja. Eleanor miała jednak bardzo mało czasu. Zrezygnowała już z gimnastyki, na którą chodziła dwa razy w tygodniu, oraz z długiego niedzielnego lunchu, na którym raz w miesiącu spotykała się ze swą najlepszą przyjaciółką, Jade Fresham. W tym tygodniu i tak musiałaby z tego zrezygnować, ponieważ był to weekend, w którym Vanessa odwiedzała ojca.

Ta jego córka. Eleanor rozumiała, dlaczego Vanessie jest tak trudno zaakceptować drugą żonę ojca, ona jednak

nie powinna mieć aż takich problemów z zaakceptowaniem Vanessy - była wszak częścią Marcusa, no i kochała go.

Jade wytknęła jej idealizowanie rzeczywistości. Eleanor nie pozostała dłużna i zarzuciła przyjaciółce cynizm. Jade wzruszyła na to ramionami przybranymi w piękne szatki i zwęziła swoje zielone, kocie oczy.

- Każde z was ma za sobą małżeństwo i rozwód, czego więc oczekujesz? Posłuchaj mnie: nigdy, ale to nigdy nie spodziewaj się po dzieciach z poprzedniego związku mężczyzny niczego oprócz kłopotów, zwłaszcza gdy te dzieci to kilkunastoletnie pannie.

Może więc Marcus ma rację? Może powinna jednak postarać się o to, żeby Tom i Gavin wyjeżdżali do swojego ojca, kiedy Vanessa przyjeżdża do nich? Przynajmniej skończyłyby się te ciągłe kłótnie między przybranym rodzeństwem. Eleanor zastanawiała się, czy jest niesprawiedliwa podejrzewając, że to Vanessa je prowokuje. Tom co prawda był przewrażliwiony i wykazywał tendencje do przesadnych reakcji, Gavin jednak był spokojnym i dobrym dzieckiem.

Tak, może i jest jakaś odrobina sensu w tym, żeby ograniczać do minimum spotkania między dziećmi, ale przecież nie na to liczyła, kiedy brała ślub z Marcusem. Nie przypuszczała co prawda, że połączenie dwóch rodzin pójdzie gładko, ale też nie przyszło jej do głowy, że jej stosunki z Vanessą mogą być aż tak deprymujące.

A zresztą, o czym tu mówić? To przede wszystkim Vanessa nie chciała utrzymywać żadnych stosunków ani z Eleanor, ani z jej synami. Czasami Eleanor odnosiła wrażenie, że ona i pasierbica są rywalkami, prowadzącymi

cichą i śmiertelną walkę o Marcusa, chociaż sama robiła wszystko, żeby Vanessa nie uznała ślubu ojca za zagrożenie dla siebie. To Eleanor namawiała kiedyś Marcusa, żeby częściej widywał się z córką.

- Ona dobrze się czuje z matką - zbył ją wtedy.

- Ale ty jej też jesteś potrzebny - odpowiedziała.

- Ma pani męża i dzieci - usłyszała nagle głos Pierre'a Colberta i otrząsnęła się z niewesołych myśli. - Czy to nie przeszkadza pani w pracy?

- Jestem kobietą, *monsieur* - powiedziała z kamienną twarzą - a więc muszę znaleźć czas na wszystko.

Wyglądał na zdumionego i zarazem rozbawionego, pogratulowała więc sobie w myślach, że nie wpadła w pułapkę i nie rzuciła mu w twarz, że nie śmiałyby spytać mężczyzny, czy żona i dzieci przeszkadzają mu w pracy. Był Francuzem, a co się z tym łączy, szowinistą, lepiej więc podkreślać przy nim zalety swojej płci, niż udawać na siłę równego chłopca.

Gdy się uśmiechnął, spojrzała na niego w zadumie, a potem oznajmiła rzeczowo:

- Moja współpracowniczka i ja uważamy, że oferujemy fachowe i konkurencyjne usługi, a pan zapewne jest tego samego zdania. Inaczej by tu pana nie było. Nie sądzę, żeby należał pan do ludzi, którzy marnują czas.

Zanim odwrócił wzrok, dostrzegła w jego brązowych oczach szacunek.

- Pani agencja jest jedną z kilku, jakie mi polecono - odparł wymijająco. - Jak pani wiadomo, zawsze opłaca się rozważyć kilka opcji, nawet jeśli od samego początku wiadomo, które z nich są warte uwagi, a które nie.

Wstał, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Eleanor również się podniosła, na

pozór opanowana, lecz miała uczucie, że Pierre Colbert nie nawiąże z nimi współpracy. Gdyby była mężczyzną, gdyby przynajmniej była Francuzką...

Odprowadziła go do drzwi i wróciła do pokoju po teczkę z jego dokumentacją. Musi opowiedzieć Louise przebieg spotkania.

- Czy Louise jest u siebie? - spytała sekretarkę.

- Tak, właśnie przyszła - odparła Claire.

Eleanor podziękowała jej uśmiechem i skierowała się do gabinetu współpracownicy.

Claire patrzyła na nią z zazdrością. Atrakcyjna, utalentowana, mąż obdarzony niezwykłą wprost charyzmą, który samą swoją obecnością wytwarza elektryzującą atmosferę. Claire rozpływała się na jego widok. Nigdy co prawda nie obrzucił jej uważnym spojrzeniem, ale gdyby nawet...

Eleanor zaś... była tak miła, że Claire nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek mógł chcieć ją skrzywdzić. Tak, stanowili idealną parę i prowadzili styl życia, jaki Claire uważała również za idealny.

Mąż, praca zawodowa, dzieci - Eleanor to wszystko miała.

Chociaż zapukała do drzwi, Louise najwyraźniej nie usłyszała. Kiedy weszła do środka, współpracownica siedziała z głową pochyloną nad biurkiem, zaabsorbowana jakimiś papierami. Gdy Eleanor wymówiła jej imię, Louise pospiesznie zgarnęła papiery, a na jej twarzy odmalowało się poczucie zakłopotania i jakby winy.

- Nell, nie słyszałam...

- Widzę, widzę. - Eleanor uśmiechnęła się. - Planujesz wakacje?

Wśród prospektów, które Louise właśnie chowała, Eleanor dostrzegła zdjęcie pięknego wiejskiego domu w stylu francuskiego *chateau*.

- Tak - odparła Louise niepewnym głosem.

- Chciałabym ci opowiedzieć o spotkaniu z Pierre'em Colbertem. Może pójdziemy razem na lunch?

- No... Nie mogę, przepraszam. Umówiłam się już z Pauliem.

- Szczęściara - skomentowała Eleanor z nutą zazdrości w głosie. - Szkoda, że mój mąż nigdy nie ma czasu, żeby pójść ze mną na lunch. Ostatnio udaje się nam umówić tylko na kanapkę. - Nagle uświadomiła sobie, że współniczka wcale jej nie słucha. - Louise, coś się stało? - spytała cicho.

- Nie, nie - odparła.

Jakoś za szybko to powiedziała, pomyślała Eleanor, której intuicja zaczęła coś podpowiadać. Wiedziała, że Louise i Paula łączy bardzo burzliwy związek, który rozpoczął się wtedy, kiedy zostały współniczkami i Louise leczyła jeszcze rany po swym poprzednim romansie. Z przykrością domyślała się także, że Paul usiłuje nad Louise domnować. Był typem człowieka, który musi utwierdzać się w przekonaniu o wyższości swojej płci, zmuszając bliskie mu kobiety do uległości.

Eleanor z czasem uświadomiła sobie, że Louise coraz częściej poprzedza każdą wypowiedź słowami: „Paul mówi”, „Paul myśli”, ukrywała jednak starannie swą niechęć do niego, uważając, że to Louise wybrała go sobie na męża, a nie ona. A poza tym, jeśli już ma być z sobą szczerą, powinna przyznać, że jej awersja do Paula wynika częściowo z faktu, iż jego sposób bycia przypomina nieco protekcyjne zachowanie jej byłego męża.

Skoro więc Louise ma jakieś problemy, to dlaczego nie chce zwierzyć się z nich przyjaciółce? Eleanor poczuła się z lekka zawiedziona, niemniej spróbowała jeszcze raz:

- Louise...

- Słuchaj, muszę iść. Przed spotkaniem z Paulem czeka mnie jeszcze rozmowa z klientem. Nell, naprawdę nie mam czasu.

W drodze do swego gabinetu Eleanor skonstatowała pośpiesznie, że Louise jest dorosłą kobietą i jeśli nie chce jej zaufać, ona nie jest w stanie jej do tego zmusić. Problem Eleanor polegał na tym, że miała silnie rozwinięty instynkt macierzyński.

- Ty po prostu musisz otoczyć się dużym wianuszkciem dzieci - tłumaczyła jej kiedyś Jade.

Dużym wianuszkciem dzieci... Aby zrekompensować sobie samotność swojego dzieciństwa. Eleanor skrzywiła usta. Trzydzieści dziewięć lat to nie pora na zaspokajanie takich potrzeb. Oczywiście, wiele kobiet w jej wieku, lub nawet starszych, rodzi dzieci. Z drugim mężem można stworzyć drugą rodzinę. Zastanawiali się kiedyś z Marcusem nad własnym dzieckiem. Takie dziecko wzmacnia często słabe więzi rozgałęzionej rodziny.

Zgodzili się jednak, że nie muszą w ten sposób przypieczętowywać swojej miłości. A poza tym było to w tej chwili niemożliwe. I tak z trudem wszyscy mieścili się w domu, a oprócz tego mnóstwo czasu zajmowała jej agencja i obowiązki wynikające z nowego małżeństwa. Marcus musiał bywać na licznych przyjęciach i uroczystościach, a ona, jako jego żona, chciała mu towarzyszyć; chciała po prostu z nim być.

Ich dni były jednak tak wypełnione zajęciami, czas biegł

tak szybko, że ostatnio mieli mniej czasu dla siebie niż przed ślubem. Rodziło się w niej coraz silniejsze pragnienie, aby tego czasu mieć więcej, więcej przestrzeni, aby spowolnić trochę rozgorączkowane tempo życia i móc cieszyć się nim, mieć możliwość smakowania jego przyjemności.

Bezpowrotnie minęły już dni, kiedy mogli przebywać ze sobą przez całe popołudnie lub wieczór albo wylegiwać się rano dłużej w łóżku. Bardzo brakowało jej tych godzin, które spędzali w ciszy jego domu lub jej mieszkania, mając czas wyłącznie dla siebie. Ostatnio nigdy nie byli sami.

Czy teraz, kiedy zamieszkali z nimi jej synowie, Marcus kochając się z nią czuł się równie nieswojo jak ona, kiedy przyjeżdżała do nich Vanessa? Czy takie zażenowanie jest tylko udziałem kobiet? A może jedynie kobiet mających dorastające pasierbice?

Chciała więc żywić nadzieję, że związek Louise jest udany. Eleanor nie lubiła Paula, lecz Louise go kochała. Przekonywała przyjaciółkę, że Paul jest cudownym ojcem, że niemal świata nie widzi poza dwójką swych synów, że we wszystkim im pomaga. No tak, pomyślała ze smutkiem Eleanor. Paul buduje wokół siebie i synów tak specyficznym męskim światem, że nie starcza w nim miejsca dla Louise.

Marcus miał dobre stosunki z Tomem i jeszcze lepsze z Gavinem, lecz nie był typem człowieka, który oddawałby się całym sercem wyłącznie męskim przyjemnościom, no a poza tym nie był ojcem jej synów. Louise kiedyś mimochodem napomknęła, że Marcus nie zajmuje się synami Eleanor tak, jak Paul swoimi.

Niepotrzebnie i nietaktownie... Eleanor zmarszczyła czoło i zaczęła gryźć paznokcie. Ten nawyk pozostał jej

z dzieciństwa, robiła to też jako panna, a później jako młoda żona i matka. Po rozwodzie postanowiła zarzucić ten zwyczaj, i gdy wytrwała w swoim postanowieniu, uznała, że jest już w stanie poruszyć nawet góry. No i co? Dziś miała powody uważać się za szczęśliwszą i zamożniejszą niż kiedykolwiek przedtem, i oto nagle powróciło owo nieprzyjemne przyzwyczajenie z dawnych lat.

Dlaczego? Za miesiąc wypada pierwsza rocznica ich ślubu. W owym uroczystym dniu przed niespełna rokiem była taka szczęśliwa, pełna optymizmu, wiary. Nie zdawała sobie jednak wtedy sprawy, jak trudno będzie im wszystkim przystosować się do nowego życia.

Nagle zadzwonił telefon. Gdy usłyszała głos Marcusa, jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

- Kochanie, jaka miła niespodzianka.

- Eleanor, czy możesz przyjechać do domu? Dzwonili ze szkoły. Tom podobno nie czuje się dobrze. Jadę teraz po niego, ale chyba będziesz mu potrzebna.

- Tom? Co się stało? Powiedzieli coś?

- Spokojnie. Na pewno to nic poważnego, bo wtedy zadzwoniliby do szpitala, a nie do mnie. Próbowali skontaktować się z tobą, ale miałas jakieś spotkanie.

Spotkanie? Aha, dzwonili widocznie wtedy, kiedy rozmawiałam z Colbertem, pomyślała Eleanor z poczuciem winy. Czy tylko odniosła takie wrażenie, czy w głosie Marcusa rzeczywiście pobrzmiwała irytacja? Wiedziała, że nie znosi, kiedy mu się przeszkadza w pracy.

Wstała, chwyciła płaszcz i torebkę i wbiegła do sekretariatu. Claire nie było za biurkiem, zastukała więc w drzwi gabinetu Louise i weszła do środka. Wspólniczka rozmawiała właśnie przez telefon.



- Nie, jeszcze jej nie mówiłam. Nie... - Kiedy ujrzała Eleanor, zaczerwieniła się i patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu, po czym szybko rzuciła do słuchawki: - Słuchaj, muszę już iść.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziała Eleanor - ale muszę jechać do domu. Tom podobno jest chory, dzwonił ze szkoły. Na szczęście, nie mam już dziś żadnych spotkań...

Ona mnie znowu nie słucha, pomyślała Eleanor. Louise miała wypieki na twarzy i umykała wzrokiem w bok. Ona czuje się w mojej obecności nieswojo. Każdego innego dnia zastanowiłaby się nad tym głębiej, tym razem jednak niepokój o stan zdrowia syna i myśl, że rano niczego nie zauważyła, przesłonił jej wszystko.

W drodze do domu przeklinała korki, jeszcze większe o tej porze niż rano, smród spalin i duszne powietrze wdzierające się do wnętrza samochodu. Napięcie, które ostatnio nigdy jej nie opuszczało, w tej chwili dosłownie rozsadzało jej czaszkę.

Chociaż w ich domu był garaż, mieścił się w nim jedynie samochód Marcusa, przed samym domem zaś jak na złość ktoś zaparkował, toteż musiała przejechać spory kawałek, zanim znalazła wolne miejsce. Kiedy wpadła do domu, cicho zawołała Marcusa.

- Jestem tutaj - odpowiedział, wychodząc z gabinetu.

- A gdzie Tom?

- W kuchni.

- W kuchni! - Eleanor spojrzała szeroko otwartymi oczami na męża, czując, że wzbiera w niej złość. Czy przemawiałby takim samym obojętnym tonem, gdyby to jego dziecko było chore? Poczowała się zażenowana tą myślą,

wiedząc, że jest niesprawiedliwa. Rozebrała się i wpadła do kuchni. Tom siedział skulony w fotelu w części dziennej, wpatrzony w jakieś migające obrazki na ekranie telewizora.

- Tom?

Gdy nie odpowiedział, Eleanor powtórzyła jego imię głośniej. Syn niechętnie odwrócił głowę w jej stronę. Jest błydy, pomyślała. Dlaczego rano tego nie zauważyła? Co z niej za matka?

- Jak się czujesz, kochanie? - spytała i położyła mu rękę na czole. Nie było gorące.

- Źle - jęknął. - Mówiłem ci rano.

Rzeczywiście powiedział, że nie chce iść do szkoły, ale wytłumaczyła to sobie faktem, że w poniedziałek rano większość ludzi jest na ogół w złym humorze, a Tom na dodatek zasnął.

- Zrobiło mi się niedobrze - wyjaśnił. - Na lekcji z panem Pringle.

Eleanor była coraz bardziej przygnębiona.

- Czuję się jakoś dziwnie, mam. Boli mnie głowa i szyja.

Eleanor poczuła przerażenie. Prasa donosiła niedawno o kilku przypadkach zapalenia opon mózgowych.

- A oczy? - spytała zaniepokojona. - Bolać cię?

- Chyba trochę też...

Pół godziny później, gdy ułożyła syna w łóżku i wezwała telefonicznie lekarza, spytała Marcusa niespokojnie:

- Jak sądzisz, czy ten ból głowy to zapalenie opon mózgowych?

- Wątpię - odparł sucho. - Myślę, że jest to typowy poniedziałkowy ból głowy, zwłaszcza że wczoraj wieczorem twój syn zjadł po kryjomu pół kilograma lodów.

- Co takiego? - spytała zdumiona.

- Rano znalazłem puste pudełko.

Eleanor potrząsnęła głową.

- No, nie wiem. Mówi, że bołą go oczy.

- Sam to stwierdził, czy może mu zasugerowałaś?

- Jestem twoją żoną - warknęła - a nie świadkiem strony przeciwnej.

Zauważyła, że zmarszczył czoło, lecz zanim zdążyła go przeprosić, zadzwonił dzwonek u drzwi.

- To chyba lekarka - rzuciła pospiesznie. - Pójdę otworzyć.

- Ależ proszę nie mieć wyrzutów sumienia - uspokoiła ją lekarka piętnaście minut później. - Ja też jestem matką i wiem, jak to jest. A poza tym zawsze lepiej sprawdzić, co dziecku dolega, niż się potem dręczyć. Na szczęście tym razem to tylko niestrawność i potrzeba bliskości matki.

- Miałaś rację - powiedziała Marcusowi, odprowadzwszy lekarkę do drzwi. - To tylko niestrawność. - Podniósł głowę znad papierów i uśmiechnął się do niej. - Przepraszam za to, co powiedziałam.

- Nie gniewam się - odparł pojednawczo i dodał: - Powinienem był pamiętać, że nie należy kwestionować osądu matki.

Z jakichś powodów jego komentarz rozdrażnił ją. Co chciał przez to powiedzieć? Czy miał na myśli wszystkie matki, czy jedną konkretną - może matkę swego dziecka?

Kiedyś powiedział jej, że bardzo się różni od jego byłej żony. Pamiętała, że te słowa sprawiły jej wielką przyjeomość. Nie chciała być drugą Julią, kopią kobiety, która niegdyś była ważna w życiu jej obecnego męża. Była szczęśliwa, że kochał ją taką, jaka jest, i za to, że w ogóle

jest - w przeciwieństwie do Allana, który po krótkim okresie euforii życia małżeńskiego przestał w niej widzieć kobietę, lecz jedynie matkę swych dzieci. Kiedy je urodziła, nie potrafił już adorować jej jako kochanki, a oprócz tego zarzucał jej, że dzieci są dla niej ważniejsze niż on.

- A propos - odezwał się Marcus. - Na ósmą jesteśmy zaproszeni do Lassiterów. O której przyjdzie opiekunka?

Eleanor zmartwiała. O Boże! Kolacja u Lassiterów. Na śmierć o tym zapomniała. Jak to się stało? Harold Lassiter był najstarszym adwokatem w kancelarii Marcusa; krążyły pogłoski, że ma wkrótce zostać powołany na sędziego.

Marcus nie miał instynktu rekina ani takich ambicji zawodowych jak jej poprzedni mąż, niemniej był absolwentem elitarnych szkół brytyjskich, a na dodatek miał ojca-oficera, toteż z całą skrupulatnością przestrzegał zasad dobrego wychowania, które wielu ludziom wydają się dziś dziwaczne i przestarzałe. Prawdę powiedziawszy, jego maniery były jedną z pierwszych rzeczy, jakie ją w nim urzekły.

A Jade, jak to Jade, roześmiała się z niedowierzaniem, kiedy Eleanor zdradziła jej swój sekret.

- Co?! - zawołała wówczas i wzniosła oczy do nieba. - Z tobą jest chyba coś nie tak! Poznajesz faceta z charyzmą, takiego, jakich się już niemal nie spotyka, i widzisz tylko tyle, że szarmancko otworzył ci drzwi i przepuścił przodem. Przecież chyba wiesz, że w ten sposób chciał sprawdzić twoją urodę. - Kiedy Eleanor zrobiła zdziwioną minę, Jade ironicznie wyjaśniła: - Twoją urodę od tyłu, idiotko. Nie wiesz, że mężczyznom podobają się zgrabne tyłeczki?

- Zapomniałaś? - spytał Marcus ostro, widząc jej zmieszaną twarz.

- Nie wiem, jak mam cię przeproszać. Chciałam załatwić opiekunkę w sobotę, ale zadzwoniła Julia i spytała, czy może przyjechać do nas Vanessa, i...

- A niech to!

- Zaraz zadzwonię do Jade. Może ma czas.

Kiedy wykrecała numer, z góry dobiegł głos Toma:

- Mamo! Niedobrze mi!

Pospiesznie odłożyła słuchawkę i pobiegła na górę. Tom był w łazience i wymiotował. Może to przez te lody, i może spotyka go zasłużona kara, lecz wyraźnie był przestraszony. Dotąd zawsze dawał jej do zrozumienia, że jako trzynastoletni chłopak jest za stary, żeby tulić się do matki, lecz gdy objęła go i odprowadzała do łóżka, stwierdziła, że tym razem kurczowo się jej trzyma.

- Zostań ze mną- poprosił, kiedy go ułożyła, pogłaskała po głowie i wstała z zamiarem odejścia.

. - Nie mogę, kochanie. Muszę zadzwonić do cioci Jade i spytać, czy nie mogłaby was popilnować.

Usiadł gwałtownie na łóżku i przytrzymał ją mocno za rękę. Miał zaczerwienioną twarz.

- Nie chcę jej. Chcę, żebyś ty została.

Eleanor przytuliła go ze smutkiem. Nigdy tak się do niej nie garnał... Może lekarka się pomyliła? Może jest poważniej chory, niż im się wydaje?

- Kochanie, ale ja muszę wieczorem wyjść...

- Nie musisz - powiedział ze złością. - Ty już nie chcesz z nami być. Ty chcesz być z nim.

Eleanor czuła, jak ogarnia ją rozpacz.

- Tom, to nieprawda!

Uznała jednak, że nie może iść na tę kolację do Lassiterów. Nie dziś, kiedy Tom jest tak zdenerwowany i tak

dziwnie się zachowuje Marcus, oczywiście, będzie niezadowolony. Czują, jak jej serce przepełnia rozpacz pospółu z niepokojem i paniką, i odniosła wrażenie, że życie wymyka się jej spod kontroli. Dlaczego? Przecież ma wszystko, o czym marzy każda kobieta. Dosłownie wszystko.

Ale też ma problemy, jakich żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie chciałaby mieć. Najpierw księgowy informuje ją o malejących zyskach i rosnących kosztach, a potem współpracowniczka zaczyna mieć kłopoty, które utrudniają współpracę. Ma jeszcze pasierbicę, która zachowuje się wobec niej wrogo i uważa ją za rywalkę w walce o uczucia ojca; ma też syna, który właśnie zachwiał jej przekonaniem, że zdołała zwalczyć w sobie poczucie winy z powodu rozwodu, który ograniczył kontakty jej dzieci z ich ojcem.

Ma wreszcie umeblowany antykami i wyłożony dywanami dom, którego zazdrościły jej samotne przyjaciółki, lecz który nie stanowi prawdziwego domu dla jej dwóch dorastających synów.

Ma coraz silniejsze uczucie, że przestaje panować nad wieloma rzeczami.

No i w końcu ma męża, którego kocha i który ją kocha, a więc skoro o tym wie, miłość powinna zrekompensować jej wszystkie troski, czyż nie? Czyż nie?

# Na dobre i na złe

## 2

Fern z napięciem przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze, spodziewając się krytycznych uwag Nicka. Wyglądała na biodrach czarny materiał wieczorowej sukni i nie po raz pierwszy ze smutkiem stwierdziła, że bardzo schudła od czasu Bożego Narodzenia, kiedy wkładała tę suknię na świąteczne przyjęcia.

Przyczyniła się do tego również śmierć matki. Fern opiekowała się nią podczas ostatnich tygodni życia i była wtedy w stanie ciągłego stresu. Jej samopoczucie nie poprawiał fakt, że Nick był bardzo niezadowolony z jej nieobecności. Próbowwała mu wówczas tłumaczyć, że kocha matkę, a poza tym matce od córki coś się należy, Nick jednak koniecznie chciał wiedzieć, jak ma sobie radzić bez żony. Prowadził firmę, a ponieważ Fern nie pracowała, uważał, że powinna siedzieć w domu i na niego czekać.

Jego zachowanie dotknęło ją boleśnie i przeraziło, starała się jednak ukryć swe uczucia, nie mając jeszcze odwagi na otwartą konfrontację, ponieważ nie była pewna, czym by się to skończyło. A poza tym choroba matki wyczerpywała ją psychicznie.

Powiedziała mu więc tylko spokojnie, że matka umiera i jej potrzebuje, na co Nick odparł, że on też jej potrzebuje. W końcu Fern wybrała wyjście pośrednie i spędzała wię-

kszość czasu u matki, a do domu wpadała na krótko, by napełnić lodówkę i zamrażarkę jedzeniem, zadbać o czyste koszule męża i jakoś go udobruchać.

W efekcie śmierć matki przysłała niczym wyzwolenie. Do dziś Fern nie opuszczało poczucie winy z tego powodu, a zresztą także i z innego...

Spojrzała jeszcze raz w lustro i skrzywiła się. Dwadzieścia siedem lat, a taka poszarzała i wymęczona twarz! Burza falujących kasztanowych włosów o złocistym połysku sprawiała wrażenie zbyt ciężkiej przy długiej i delikatnej szyi. Fern pomyślała z niechęcią, że te włosy stanowią właściwie groteskowy kontrast z jej twarzą i sylwetką. Pora je obciąć. Matka zawsze uważała, że dziewczynki powinny mieć długie włosy, splecione w piękny warkocz. Fern chciała je obciąć już kilka lat temu, w czasie studiów, i nawet wspomniała o tym Adamowi.

- Nie rób tego - poprosił ją tym swoim łagodnym głosem i wyciągnął rękę, odsuwając do tyłu zakrywające jej twarz ciężkie pasmo.

Teraz zaczerwieniła się i odwróciła wzrok od lustra. Po co w ogóle takie sceny wspomina? Przecież w ten sposób łamie przysięgę małżeńską, takie wspomnienia to zupełnie to samo co...

Nie miała dziś ochoty iść na kolację, a zwłaszcza na kolację u Venice Dunstant. Po pierwsze, mało ją znała. Venice była klientką Nicka, wdową po bajecznie bogatym przedsiębiorcy, Billu Dunstancie, który był znacznie od niej starszy. W towarzystwie aż zawrzało od plotek, kiedy go poślubiła.

Venice. Czy naprawdę tak miała na imię, czy przywłaszczyła je sobie, podobnie jak Billa Dunstanta?



Poznali się na wakacjach. Bill, wdowiec, który właśnie przekroczył sześćdziesiątkę, wyjechał do miejscowości letniskowej na rekonwalescencję po zawale serca. Tam spotkał Venice i poślubił ją po kilku tygodniach znajomości. Po upływie ponad dwóch lat nastąpił drugi zawał, tym razem śmiertelny, i Venice została bogatą wdową. Nick poznał ją po śmierci Billa, kiedy przysłała do jego biura, szukając rady pośrednika ubezpieczeniowego.

Przed śmiercią męża nie widywano jej tu zbyt często; większość czasu spędzała w Londynie. Ostatnio jednak zaczęła wykazywać spore zainteresowanie sprawami lokalnymi. To ona namówiła Nicka, by zaczął bywać w ekskluzywnym i bardzo droгим nowym kompleksie rekreacyjnym, który niedawno został otwarty.

- Powinnaś trochę się gimnastykować - powiedział kiedyś Nick, z widoczną dezaprobatą lustrując zbyt szczupłe ciało Fern. - Venice chodzi na gimnastykę prawie codziennie, no i jeszcze gra w tenisa.

Fern powstrzymała się przed komentarzem, że w przeciwieństwie do Venice nie stać jej na zapisanie się do tak kosztownego klubu, a nawet gdyby było inaczej, to uniemożliwiały jej to choroba matki oraz nieprzejednane stanowisko samego Nicka, który twierdził, że skoro ją utrzymuje, powinna zajmować się wszystkimi sprawami domowymi. Naprawdę nie była w stanie wygospodarować dla siebie wiele czasu.

Nick często mówił o Venice. Czy nie za często? Fern poczuła, że ogarnia ją niepokój. Czy staje się nadmiernie podejrzliwa, czy wyobraża sobie coś, czego nie ma, jak na przykład ten bijący od niego zapach kobiety?

Nick był bardzo atrakcyjny, a ponadto umiał zwracać na

siebie uwagę. Miał gęste jasne włosy, czarujący chłopięcy uśmiech, niebieskie oczy - taki typ zwykle podoba się kobietom. Nie był wysoki, lecz szczupły i wysportowany, w przeciwieństwie do Adama, który był zarówno wysoki, jak i barczysty. Adam wyglądał na swoje lata, Nick zaś sprawiał wrażenie młodszego niż w istocie i nie ukrywał, że jest z tego dumny.

Mój mąż jest próżny, skostatowała Fern, i w wieku trzydziestu lat nadal demonstruje taki sam chłopięcy sposób bycia, jak w okresie, kiedy go poznała. Na dodatek potrafił być bardzo przekonujący - jeśli oczywiście chciał. Nie była w stanie zliczyć, ile to już razy ulegała jego woli, zniewolona czułymi słówkami i pochlebstwami, choć w głębi duszy wiedziała, że jeśli mu się przeciwstawi, on i tak bezwzględnie dopnie swego.

Kiedy to po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że go nie kocha? Pewnie zresztą nigdy go nie kochała, lecz po prostu pozwoliła mu sobie wmówić, że tak jest. Była oczarowana jego komplementami, wiedziała, jak bardzo jej rodzice pragną, by go poślubiła, dała się więc przekonać tak jemu, jak im, że małżeństwo jest jedyną rzeczą, której jej brakuje.

A kiedy później ze zdumieniem odkryła, że dla niego miłość i bliskość to coś zupełnie innego niż dla niej, zatrzymała to spostrzeżenie dla siebie, przypominając sobie swoją przysięgę małżeńską i stwierdzając, że widocznie wymaga zbyt wiele. Nick nie był w stanie rozbudzić jej zmysłów, i za to również winiła siebie. Starła się pokonać swój brak entuzjazmu, ponieważ wiedziała, że Nick tak samo jak ona obawia się ich milczących i ponurych zbliżeń, po których zawsze była rozdrażniona i po trosze zadowolona, że ma to już za sobą. Leżała potem nie mogąc zasnąć, i wpatrywała

się w plecy Nicka, czując jego rozczarowanie i swój narastający smutek.

Nic więc dziwnego, że w końcu odwrócił się od niej i po osiemnastu miesiącach małżeństwa kogoś sobie znalazł. Dziwne było jednak, że gdy to odkryła, przeżyła szok. Nick, jej mąż, przecież przysięgał jej wierność! Ludzie się rozwodzą, to fakt, lecz jej małżeństwo nie może się rozpaść! Boże, co pomyślą rodzice? Że zawiodła pokładane w niej nadzieje.

Mimo że od tej pory minęły ponad dwa lata, Fern doskonale pamiętała ten dzień. Nick pojechał do pracy, a wkrótce potem do drzwi zastukała ta kobieta. Fern była zdziwiona, kobieta wyraźnie zdenerwowana. Odmówiła nawet filiżanki kawy, gdy Fern jej ją zaproponowała, zapaliła tylko nerwowo papierosa. Fern była zaskoczona wyborem Nicka, przecież nie znosił palaczy... Ta dziwna, bezsensowna myśl zapisała się trwale w jej pamięci, podczas gdy inne, ważniejsze sprawy, jakoś się rozmyły.

Otóż kobieta ta oznajmiła jej, że jest kochanką Nicka, i gniewnym tonem ciągnęła, że Fern chyba musi o tym wiedzieć, dlaczego więc kurczowo trzyma się mężczyzny, który jej nie chce? Szok i dumę powstrzymały Fern przed wyznaniem prawdy: naprawdę nie miała o tym pojęcia.

W końcu kobieta wyszła. Fern w odrętwieniu patrzyła, jak tamta wsiada do samochodu i odjeżdża. Potem automatycznym krokiem ruszyła na górę, pootwierała szafy, wyciągnęła walizki i postanowiła się spakować. Nagle zadzwonił telefon. Zeszła na dół, żeby go odebrać, lecz zamiast podnieść słuchawkę, minęła dzwoniący aparat i przez tylne drzwi wyszła na dwór. Nie pamiętała, w jaki sposób dotarła do miasta, ani w jakim celu tam szła. Przy-

padkiem spotkał ją wtedy Adam, co zaoszczędziło jej publicznej kompromitacji, lecz skutki tego spotkania miały znacząco zaważyć na jej przyszłym życiu... Adam zawiózł ją wtedy do siebie. W jego domu rozpłakała się żałośnie i powiedziała mu o romansie Nicka. Przyznała się, że jest wstrząśnięta... Nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby się zwierzać właśnie Adamowi.

Jej czasy bliskości z nim skończyły się wraz z jej małżeństwem z Nickiem, mimo że przedtem uważała Adama za swego przyjaciela. Adam... To jego najpierw poznała, a Nicka, jego przybranego brata, dopiero potem. Lecz kiedy poznała Nicka, Adama zaczęła postrzegać jako wytwór swej wyobraźni, choć wcześniej wydawało jej się, że bardzo dobrze go zna.

- Chyba nie myślałaś, że Adam interesuje się tobą fizycznie - rzekł Nick z niedowierzaniem. - Och, Fern. - Roześmiał się cicho i położył jej ręce na ramionach. - Myślałaś tak? Adam ma dziewczynę, właściwie dorosłą kobietę. Trzyma ten związek w tajemnicy. To mu daje otwartą drogę, no wiesz... Ja nie mam zamiaru tego krytykować. W końcu człowiek o jego pozycji, dosyć zamożny, łożący tyle na cele dobroczynne... no, on musi dbać o swoją opinię. Wiesz, tak naprawdę to z niego niezły ogier, ale tobie z jego strony nic nie zagraża. On lubi prawdziwe kobiety, a nie panienki, dziewice...

Ileć od tej pory widywała Adama, wracało to nieznośne uczucie upokorzenia. Czy powiedział Nickowi...? Czuła się w jego obecności tak nieswojo, że z premedytacją zaczęła go unikać. On zaś ze swej strony nigdy nie zasugerował ani nie powiedział nic takiego, co by...

Zabolały ją jednak słowa Nicka. Więc Adam wiedział,

że jest w nim zadurzona, i pewnie go to bawiło, a może powiedział to nawet tej kobiecie, której atutem była dojrzałość wobec naiwności Fern.

Owego dnia jednak, kiedy dowiedziała się o romansie Nicka, nie miała siły uciekać przed Adamem. Pozwoliła mu się zawieźć do jego domu, posadzić na kanapie i wyciągnąć z siebie całą prawdę. Przez cały czas rozpaczliwie płakała - i wtedy to się stało. Wtedy właśnie zawiodła zaufanie rodziców, którzy przez całe życie wpajali jej, co ma czcić i szanować; wtedy zrobiła coś, co było daleko gorsze niż zdrada Nicka.

Do dziś nie potrafiła o tym spokojnie myśleć. Starła się nie dopuszczać najmniejszego promienia światła do kojącego mroku zalegającego jej duszę i serce, do mroku, w którym zamknęła swoje wspomnienia. Później oczywiście zrozumiała, że nie ma już odwrotu, że małżeństwo z Nickiem jest skończone, Adamowi jednak o tym nie wspomniała ani słowem. Wiedziała, że zachował się tak, jak się zachował, bo zrobiło mu się jej po prostu żal.

Chciała potem koniecznie wrócić do domu, mimo że starał się jej to wyperswadować.

- Może cię odwiozę? - spytał, lecz potrząsnęła głową, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy i cofając się przed nim w obawie, że mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Była tak zażenowana swoim własnym zachowaniem, swoją bezmyślnością, że pragnęła jedynie uciec od niego i od tego wszystkiego. Wykorzystała więc zrządzenie losu, który uruchomił dzwonek telefonu w tej samej chwili, w której Adam wyciągnął w jej stronę rękę, i wymknęła się z jego domu.

Po chwili wybiegł za nią, ale była już na ulicy. Wie-

działa, że wśród przechodniów mogą znajdować się ludzie, którzy ich znają, toteż Adam nie będzie próbował siłą wciągać jej do domu. Po co zresztą miałyby to robić? Mimo że okazał jej tyle ciepła, w głębi duszy musi być zadowolony, że już jej nie ma, co oszczędzi mu konieczności wyjaśnienia jej, że źle go zrozumiała, że nie miał zamiaru...

Kiedy wpadła do swego domu, telefon dzwonił natarczywie, ale nie podniosła słuchawki, domyślając się, że to Adam. Pobiegła do sypialni i metodycznie zaczęła wyciągać z szaf ubrania, powtarzając sobie w myślach przemowę do Nicka. Przyjechał dziesięć minut później, co oznaczało, że wiedział o wizycie swojej kochanki.

Już otwierała usta, by oznajmić, że go opuszcza, ale uprzedził ją potokiem gwałtownych słów, wyciągał do niej ręce i próbował ją objąć, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy, z jakim wstrętem próbuje mu się wywinąć.

- Fern, Fern... Przepraszam. Nie chciałem, żebyś o tym wiedziała. Tamto nic dla mnie nie znaczy - mówił zdławionym głosem.

Błagał ją, żeby została, powtarzał, jak bardzo ją kocha i jak jej potrzebuje, obiecywał złote góry, aż rozboleła ją głowa od natłoku rozbieganych myśli.

- Pomyśl o swoich rodzicach - rzucił wreszcie, patrząc na spakowaną w połowie walizkę. - Przecież wiesz, jak się zdenerwują. Fern, czy naprawdę chcesz im to zrobić, i to z powodu jednego głupiego flirtu, który i tak nie ma żadnego znaczenia? Jesteś taka naiwna, dla ciebie wszystko jest albo białe, albo czarne. Jak myślisz, ile małżeństw by przetrwało, gdyby każda kobieta, dowiedziawszy się o drobnym błędzie męża, natychmiast go opuszczała? Nie mia-

łem zamiaru tego robić, ale, szczerze powiedziawszy, jeśli chodzi o seks...

Wzruszył lekko ramionami, a po chwili milczenia posłał jej ten swój chłopięcy, zagubiony uśmiech.

- Czułem, że ona mnie pragnie. Czułem, że jestem dla niej ważny. Fern, ona mnie chciała. Och, wiem, że to nie twoja wina, że nie potrafisz szaleć w łóżku, ale ja mam zwyczajne męskie potrzeby, a ona...

Zrobiło jej się wtedy niedobrze. To, co mówił Nick, było tak wstrętne i obrzydliwe, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Stała nieruchomo jak posąg i po prostu słuchała go, świadoma, że to on ma rację, że jej rodzice będą wstrząśnięci i nigdy tego wszystkiego nie pojmą.

- Nie przestałem cię kochać, Fern - ciągnął. - Możemy to jeszcze naprawić, spróbować od nowa. Proszę cię, daj mi szansę.

W końcu poddała się. Ale czy miała wybór? On ma rację: powinna dać ich małżeństwu szansę. Myśl, że Nick chce z nią zostać, powinna napełnić ją radością, Fern tymczasem poczuła nie znany jej dotąd przypływ paniki i złości, jak ktoś, kogo wciągnięto w pułapkę i osaczono.

Tej samej nocy, gdy się kochali, a potem Fern leżała obok Nicka z szeroko otwartymi oczami, obojętna i zarazem zrozpaczona jak zawsze, pomyślała, że powinna powiedzieć mu o Adamie. Zdecydowała, że jednak lepiej poczekać do rana.

- Ale dlaczego nie możesz ze mną zostać? - spytał ze złością przy śniadaniu. - Przecież już ci powiedziałem, że tamto nie ma znaczenia. To był tylko seks.

- Nie chodzi o ciebie - szepnęła smętnie. - To chodzi o mnie. Wczoraj...

Ale już jest po wszystkim. Jesteśmy znowu razem i chcemy zacząć od nowa. Przynajmniej ja. A ty?

Wyciągał do niej gałązkę oliwną, więc czy mogła jej nie przyjąć? Ilu mężów w takiej sytuacji okazałoby podobną wspaniałomyślność? Jest mu to winna, jemu oraz własnym rodzicom...

- Tak - odparła apatycznie. - Tak, chcę.

A jednak te słowa jakoś dziwnie ją zabolowały i poczuła, że pobrzmiwa w nich ta sama rozpacz, która ogarnia jej całe jestestwo.

- Fern, co ty wyprawiasz? Jeszcze nie jesteś gotowa?

Pospieszyła do drzwi i odskoczyła do tyłu w momencie, gdy Nick z impetem je otworzył i wpadł do sypialni.

Dobrze wygląda, pomyślała, patrząc na jego znakomicie obcięte włosy i opaloną twarz, korzystnie odcinające się od eleganckiego garnituru i oślepiającej bieli wizytowej koszuli. Te koszule musiała mu ręcznie prać i krochmalic. Była to ciężka praca i Fern wiedziała, że w pralni zrobiono by to znacznie lepiej, nie śmiała jednak powiedzieć o tym mężowi. Natychmiast by ją spytał, czy jej zdaniem rozbił bank i co ona robi z czasem? Przecież nie pracuje.

To prawda, ale tylko dlatego, że on się na to nie zgadza. Ilekroć próbowała go informować, że chce znaleźć sobie jakieś zajęcie na niepełnym etacie, ze złością odpowiadał, że nie będzie się ośmieszał. Przecież jeśli ona pójdzie do pracy za nędzne parę funtów, ludzie pomyślą, że on jej skąpi pieniędzy, co nie jest jego zdaniem prawdą.

- A poza tym, co ty umiesz? - dodawał zjadliwie. - Nigdy naprawdę nie pracowałaś.



- Mogłabym się czegoś nauczyć - odparła kiedyś nieśmiało. - Niektóre z miejscowych sklepów szukają...

Wtedy Nick dostał ataku furii i oskarżył ją, że świadomie chce go skompromitować, że tak zachowuje się tylko nielojalna żona.

W tej chwili patrzył na nią z podobną irytacją i złością.

- Dlaczego, do diabła, nie włożysz na siebie czegoś przyzwoitego? - zapytał.

Mogłaby mu odpowiedzieć, że nie stać jej na luksusowe stroje, lecz wtedy ponownie zrzuciłby za to winę na jej nieżyjących już rodziców, którzy swoje skromne dochody przeznaczyci na zapewnienie sobie dożywotniej renty, zamiast zainwestować je tak, by ich córka coś po nich odziedziczyła.

No tak, przyznała teraz ze znużeniem, muszą stanowić dziwny kontrast: on w drogim wizytowym garniturze, ona w znoszonej sukni.

- Uwielbiasz odgrywać męczennicę - rzucił złośliwie. - Pospiesz się, bo się spóźnimy. Naprawdę nie wiem, co ty wyprawiasz w tej sypialni tyle czasu. - Obrzucił ją jeszcze jednym niechętnym spojrzeniem.

Porównuje mnie z Venice, zastanawiała się Fern, czy zaczynam mieć jakieś urojenia, bo... Ciekawe, jak by zareagował, gdyby mu oznajmiła, że wolałaby zostać w domu. Pewnie wpadłby w szal.

Kiedyś bardzo lubiła chodzić na prośzone kolacje, cieszyła ją perspektywa rozmów z ludźmi, ale wszystko ma swój kres. Pewnego razu, w drodze do domu po jednym z takich przyjęć, Nick wytknął jej, że zanudza ludzi swoją naiwną, przyziemną gadaniną. Później co prawda przeprosił ją za to, lecz gdy w odpowiedzi milczała, oskarżył ją

o dąsanie się. No więc próbowała mu wytłumaczyć, że to nie dąsy, lecz że tak przytłoczyła ją świadomość tego, co ludzie o niej myślą, że po prostu nie znajduje w sobie siły, żeby mu odpowiedzieć.

- Nie kłam, Fern - zarzucił jej wtedy z goryczą. - Chcesz mnie ukarać za to, że powiedziałem ci prawdę. Tak samo, jak chciałaś mnie ukarać za tamtą kobietę...

Pamiętała, że wybiegła wtedy z pokoju, bo nie mogła go dłużej słuchać. Wiedziała, że zachowuje się jak dziecko, lecz nie była w stanie nad sobą zapanować. Wkrótce potem umarł jej ojciec, a niedługo po nim matka, i w obliczu śmierci rodziców Fern nie miała ochoty na walki z Nickiem.

- No, rusz się wreszcie - poganiał ją teraz z irytacją.

Automatycznym gestem sięgnęła po torebkę leżącą na łóżku i wyszła z sypialni. Starając się wykrzesać z siebie resztki poczucia humoru, pomyślała, że jeśli chodzi o dzisiejszą kolację, może być pewna jednego - że Venice na pewno nie będzie miała na sobie czarnej, niemodnej i niegustownej sukni.

Troszeczkę się pomyliła. Venice była ubrana na czarno, lecz na tym podobieństwo między ich strojem się kończyło.

Venice miała niespełna trzydzieści pięć lat i była drobną, energiczną kobietą o okrągłej twarzy i wielkich oczach. Wiele niskich kobiet próbuje podświadomie ukrywać ten fakt, uważając go raczej za mankament niż zaletę, Venice jednak zdawała się z przyjemnością podkreślać, że ma niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, toteż Fern, która również była niska i wysłuchiwała już niejednego zjadliwego komentarza Nicka, że drobnym kobietom brakuje elegancji

i gracji kobiet wysokich, poczuła ukłucie zazdrości, kiedy uzmysłowiła sobie, że Venice promieniuje siłą i pewnością siebie.

Czarna suknia, w którą była ubrana, sprawiała wrażenie jej drugiej skóry. Jak na kobietę tak drobną, miała niezwykle duże piersi. Fern podsłuchiwała kiedyś rozmowę dwóch kobiet na temat figury Venice, podczas której jedna z nich zastanawiała się, czy biust Venice nie jest raczej dziełem człowieka niż natury, Tak czy owak, owa anomalia przyciągała uwagę Nicka.

Czy Venice specjalnie ozdobiła swą suknię czarnymi piórami, wiedząc, że poprzez kontrast nie tylko zwracają one uwagę na jej karnację, lecz również ich połysk podkreśla perłową przejrzystość jej skóry? Dekolt sukni zdobił brylant w kształcie gruszki, tak duży, że niemal w złym guście. Przy każdym ruchu wysyłał zimne refleksy światła, podobnie jak klipsy o tym samym kształcie.

Dziś jej jasne, niemal białe włosy, które zazwyczaj nosiła rozpuszczone do ramion, upięte były w modny, artystyczny kok, z którego wymykały się liczne skręcone pasemka. Wyglądało to tak, jakby właśnie wyszła z łóżka, z ramion kochanka, i upięła włosy byle jak, dając w ten sposób do zrozumienia, że więcej dla niej znaczy owo erotyczne wydarzenie niż to, co sobie ludzie o tym pomyślą. Tyle że takie wrażenie artystycznego nieładu i zmysłowości można osiągnąć li tylko przy pomocy znakomitego fryzjera.

Fern musiała przyznać, że nawet bez upiększeń, możliwych tylko dzięki bogactwu zmarłego męża, Venice i tak byłaby piękna. Nie miała również wątpliwości, że znajduje ona przyjemność w swej zmysłowości oraz prowokacyj-

nym zachowaniu wobec mężczyzn, czego wcale nie próbowała ukryć. Zdawkowo więc powitała Fern, po czym znacznie bardziej entuzjastycznie pozdrowiła Nicka. Właściwie stanęła między Fern a jej mężem, odwracając się do niej niemal całkowicie plecami, jakby chciała na tę chwilę powitania mieć Nicka wyłącznie dla siebie.

- Piękny brylant - powiedział Nick miękko.

- Prawda? - odparła Venice z uśmiechem, dotykając skóry obok brylantu, jakby chciała w ten sposób przykuć uwagę Nicka do swego ciała.

Przecież wcale nie musi tego robić, stwierdziła Fern. On nie spuścił z niej wzroku, odkąd tu weszliśmy. No tak, ale to znowu moja wina. Powiedział mi przecież, że gdybym nie była taka zimna, nie miałby tamtego romansu. Właściwie gdzieś w głębi duszy mu uwierzyła. W końcu matka przez całe życie wpajała jej, że rolą kobiety w życiu jest sprawianie przyjemności innym i kojenie ich ran, a jej potrzeby winny zejść na plan drugi.

Fern poślubiła Nicka, nie zastanawiając się nad tym, czy będą sobie odpowiadali seksualnie. Naiwnie zakładała, że jej początkowy chłód wynika z braku doświadczenia. Poza tym nie wychodziła za Nicka z powodu seksu, lecz dlatego, że ją kochał, że jej potrzebował. Szybko jednak uświadomiła sobie, że brak zmysłowości Nick mógł wybaczyć narzeczonej, ale nie żonie.

Powinnam była wtedy się z nim rozstać, pomyślała, patrząc na męża zatopionego w rozmowie z Venice. Tylko że bardziej się przejęła uczuciami rodziców niż swoimi, no i doszła jeszcze ta komplikacja z Adamem. Nie zniosłaby następnego upokorzenia, gdyby przyszło jej usłyszeć z jego ust, że to było tylko chwilowe zapomnienie się... No

a Nick tak przekonująco ją prosił, więc została i dała ich małżeństwu szansę.

Tylko po co?

Czuła teraz, jak ogarnia ją panika, bolesne, przerażające wrażenie, że spała, a kiedy się obudziła, znalazła się osaczona w świecie zupełnie jej obcym. Powtarzała sobie po raz kolejny, że to tylko cierpienie po śmierci rodziców; tylko stąd się bierze owo uczucie paniki i straty, dezorientacji, wrażenie, że jest nie tylko sobie obca, lecz że jej własne życie także nie należy do niej; że jest kimś ze wszystkiego ograbionym, kto pozostał zupełnie sam...

Venice nagle odwróciła się w jej stronę, obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem i z sennym, kocim uśmiechem powiedziała:

- Fern, zapraszam do salonu. Tu jest zimno, a pani tak źle wygląda...

Tak pospolicie, tak niegustownie, że kto miałby cię chcieć, dodała Fern w duchu, gdy Venice prowadziła ich do salonu, wręczywszy ich płaszcze wynajętej, sądząc ze stroju, pokojówce, która stała bez słowa w holu i czekała na dyspozycje pani domu. Fern zastanawiała się, czy ktokolwiek poza Venice zatrudnia dodatkową służbę na zwyczajną kolację, na którą zaprasza się nie więcej niż dziesięć osób? Nawet lord Stanton tego nie robi, ale pewnie go nie stać, a poza tym ma tego swojego niezastąpionego Phillipa, który potrafi wszystkim się zająć. Fern odniosła wrażenie, że Phillips potraktowałby pokojówkę Venice z pogardą, a zwłaszcza jej strój.

Salon Venice, podobnie jak reszta domu, został umeblowany z jedną tylko myślą: że ma stanowić idealne tło dla pani domu. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy pogłębiał

się kryzys gospodarczy i nasiliła walka o ochronę środowiska, wielu ludziom nie podobała się tego rodzaju demonstracja bogactwa i konsumpcyjnego stosunku do życia, lecz Venice była ulepiona z twardszej gliny. Fern spostrzegła, że wystrój salonu został trochę zmieniony od czasu jej ostatniej wizyty: dziś wewnątrz zdobiły subtelne odcienie brzoskwini, dobrane w sposób tak wyrafinowany, że salon zdawał się pulsować ciepłem tej barwy. W salonach nikt oprócz Venice nie wieszał zasłon z szyfonu, niewątpliwie jednak stwarzały one zmysłową atmosferę i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by ujrzeć Venice leżącą nago na grubym brzoskwiniowym dywanie, mrużącą oczy i uśmiechającą się prowokacyjnie do swego kochanka.

Czy do męża też tak się uśmiechała? - pomyślała Fern ze smutkiem.

- Musi pani zobaczyć moją łazienkę - usłyszała głos Venice. - Jest cudowna. Kazałam namalować na ścianie wenecki Wielki Kanał, a wanna jest tak ustawiona, że kiedy w niej leżę, odnoszę wrażenie, że patrzę przez okno jednego z tych starych pałaców. Takie to sprytne... ale też niebezpieczne. Czasami czuję, że gondolierzy są prawdziwi i naprawdę mnie widzą.

Roześmiała się i obrzuciła Nicka powłóczystym spojrzeniem, demonstracyjnie ignorując Fern.

Część gości przybyła przed nimi; Fern dostrzegła wśród nich miejscowego lekarza z żoną, których dosyć dobrze znała. Właściwie nie miała w tym miasteczku prawdziwych przyjaciół. Kiedy zamieszkała tu po ślubie, Nick okazał się niespodziewanie zazdrosny i zaborczy, i to do tego stopnia, że łatwiej jej przyszło ulec emocjonalnej presji, jaką na nią wywierał, niż znieść nieprzyjemne scysje.

którymi kończyły się jej wysiłki stworzenia sobie własnego życia.

I chociaż poznała tu wielu ludzi -jednych dzięki pracy Nicka, innych dzięki swojej działalności na rzecz organizacji charytatywnych (co Nick popierał, lecz nie z powodu pomocy biednym, lecz dlatego, że taka praca żony podnosi prestiż męża) - w rzeczywistości nie miała przyjaznej duszy, z którą mogłaby od serca porozmawiać.

Czy to śmierć rodziców, zawsze oznaczająca ostateczne zerwanie więzów z dzieciństwem, nasiliła jej bolesne rozterki - owo przekonanie, że jej życie stało się jałową pustynią, na której już nic nigdy się nie narodzi? Czy przeżywa kryzys dlatego, że boi się spojrzeć w twarz prawdzie, obdrzeć swoje życie z fikcji i zakłamania i przyznać, że jej małżeństwo jest klęską?

A jeśli Nick ma romans z Venice? Fern poczuła bolesny skurcz serca. Nie myśl o tym, powtarzała sobie, nie myśl. Ale właściwie dlaczego? Czyżby się bała, że w przeciwnym razie będzie musiała skończyć z małżeństwem, które jest kpina, nie mogąc uciec się tym razem do pretekstu, że swą decyzją zrani rodziców?.

- Fern, jak się czujesz?

Otrząsnęła się ze swych smętnych rozmyślań i automatycznie uśmiechnęła, ściągając twarz w grymasie uprzejmości, kiedy się zwracała w stronę żony lekarza.

- Dobrze, Roberto, a ty?

- Cieszę się, że epidemię grypy mamy za sobą - odparła Roberta Parkinson smętnie. - To był okropny rok. John stracił kilku swoich starszych pacjentów. Wiesz, powikłania, i tak dalej. Naprawdę nic ci nie jest? - spytała tonem troskliwej matki. - Jesteś jakaś blada.

- Trochę tu za gorąco - skłamała Fern, w rzeczywistości rozkoszując się panującym w salonie ciepłem. Stanowiło to taki przyjemny kontrast z jej salonem, w którym zawsze panował chłód. Nick często pracował wieczorami i nie pozwalał włączać centralnego ogrzewania, uważając to za szastanie pieniędzmi.

Roberta przeprosiła ją i poszła przywitać się z miejscowym przedsiębiorcą i jego żoną, którzy pojawili się w ich okręgu kilka lat temu, oraz z miejscową posłanką do parlamentu i jej mężem. Fern znała i lubiła całą czwórkę. Skinęła im głową w odpowiedzi na ich pozdrowienie, lecz pozostała na swoim miejscu. Mimo że nic jej z ich strony nie zagrażało, dziś była tak napięta, że potrzebowała kilku sekund na uspokojenie się. Dlaczego boi się podejść do lubianych przez siebie ludzi? Ponieważ mógłby ją zdradzić wyraz twarzy?

Znowu zawładnęła nią panika i z przerażeniem pomyślała, że traci kontrolę nie tylko nad swoim życiem, lecz również nad sobą. Wczoraj, gdy Nick zignorował jej prośbę, by usiedli i porozmawiali o ich związku, ostatek woli opanowała się, by nie zacząć histerycznie krzyczeć i w ten sposób przebić mur jego obojętności.

- Czekamy już tylko na jedną parę - powiedziała Venice. Fern obejrzała się i stwierdziła, że był z nią Nick.  
- Och, Fern - dodała Venice słodkim tonem - nie ma pani nic do picia.

- Fern prowadzi - oświadczył Nick, zanim zdołała otworzyć usta. - A poza tym ma słabą głowę.

Fern z przykrością zauważyła szacujące spojrzenie, jakim obrzuciła ich posłanka, Jennifer Bowers. Poczuła, że z upokorzenia czerwienieją jej policzki i narasta w niej



złość i ból, połączone ze świadomością, że nie wolno jej wyrazić swych uczuć. Lecz nawet gdyby była teraz z Nickiem sama, też nie potrafiłaby mu wytłumaczyć, że jego zachowanie ją rani. No ale to oczywiście znowu jej wina, a nie jego, bo jej kochający, lecz staroświeccy rodzice wyrobili w niej przekonanie, że dobrze wychowana kobieta nie zachowuje się agresywnie, nie kłóci i dla świętego spokoju schodzi wszystkim z drogi. Gdzieś z daleka dobiegł ją dźwięk dzwonka u drzwi.

- Ach, to pewnie nasi ostatni goście - zaszczebiotała Venice. - Poznali się niedawno i chyba zatrzymali się gdzieś po drodze, żeby... - Venice zrobiła porozumiewawczą minę i poszła do holu.

Fern odwróciła głowę i uśmiechnęła się, widząc, że Roberta zmierza w jej kierunku.

- Omal nie zapomniałam - powiedziała. - Organizujemy aukcję na cele dobroczynne. Pomożesz nam?

Fern miała odpowiedzieć, kiedy drzwi do salonu otworzyły się i Venice wprowadziła ostatnich gości. Fern automatycznie spojrzała w ich stronę i w tej samej sekundzie zamarła.

Adam. Poczuła gwałtowne pulsowanie krwi w skroniach oraz przenikliwy ból. Przestraszyła się, że nie zdoła tego ukryć, że wszyscy zaraz dowiedzą się, co przeżywa od lat... W tej samej chwili poczuła na ramieniu rękę Nicka i usłyszała jego pełen podziwu i niedowierzania głos:

- Skąd on ją wytrzasnął?

Fern dziękowała w myślach losowi, że znowu jej pomógł i zdołała zachować spokój, mimo że boleśnie zdała sobie sprawę z tego, że dziewczyna u boku Adama nie

tylko jest piękna, lecz i nieśmiała, a on stoi przy niej blisko i zachęcająco się uśmiecha. Zazdrość, rozdzierająca tęsknota i poczucie winy zlały się w jedno palące doznanie udręki. Żeby tak móc zapaść się pod ziemię...

- Fern!

To Adam wypowiedział jej imię, zbliżając się do niej.

- Adam.

Czy to naprawdę jej głos? Zabrzmiał w nim taki chłód, takie opanowanie, wszystko z wyjątkiem tego, co przeżywała. Widząc ich powitanie nikt by nie odgadł, że Adam jest jej szwagrem, choć był tylko przybranym bratem Nicka. Matka Nicka poślubiła ojca Adama, gdy Nick był chłopcem, a Adam właściwie młodzieńcem. Fizycznie stanowili swoje przeciwieństwo. Nick był jasnowłosy i wytworny, Adam zaś...

Jej myśli i uczucia najwyraźniej buntowały się przeciwko ryzom, jakie im narzuciła, bo widziała przed sobą nie Adama, który przed nią stał - wysokiego, dosyć eleganckiego mężczyznę w wieczorowym garniturze, o ciemnych, niesfornych włosach, dziś ostrzyżonych i wyszczotkowanych, o spokojnych, szarych oczach - lecz takiego, jakiego tylko raz widziała: Adama ze skórą wilgotną od potu i pachnącą piżmem, Adama o rozpalonych oczach, wyzwającego w niej uczucia, których istnienia w sobie nigdy nie podejrzewała.

Mimo godzin poświęconych na gimnastykę, mimo dumy i zadowolenia, jakie wywoływało w nim jego wysportowane ciało i seksualna sprawność, Nick nigdy nie... Fern otrząsnęła się i próbowała zapomnieć o swych dręczących wspomnieniach, by skoncentrować się na dziewczynie stojącej cicho obok Adama.

Była wysoka, miała gęste ciemne włosy, sarnie oczy błyszczące młodzieńczą niewinnością oraz łagodne i niepewnie uśmiechnięte usta. Fern pomyślała gorzko, że kiedy ją ostatnio widziała, dziewczyna na swych równych obecnie zębach nosiła jeszcze aparat, a na sobie szkolny mundurek. Dziś ma pewnie najwyżej dziewiętnaście lat, stwierdziła, i jakimś cudem zdołała odpowiedzieć na łagodny uśmiech towarzyszki Adama.

- Fern, czy pamiętasz Lily James? - spytał Adam, delikatnie dotykając jej ramienia.

- Tak, oczywiście. Jak się masz, Lily? Co słychać u rodziców? - paplała Fern, konstatuując smętnie, że takie pytania zadają babcie. Uprzejmość była zakodowana w jej naturze i nawet jeśli... Nawet jeśli co? pomyślała ze smutkiem i uśmiechnęła się ciepło do dziewczyny.

Nawet jeśli Adam ją kocha...

Fern odniosła wrażenie, że serce przestaje jej bić i zaczyna się dusić. Boże, co się z nią dzieje? Przecież wiedziała, że pewnego dnia Adam się w końcu zakocha i zrezygnuje z samotności, której, jak utrzymywał Nick, nie odda bez walki.

- Jeżeli naprawdę chcesz mojego przybranego brata - oznajmił jej Nick przed ślubem - możesz go zdobyć tylko poprzez ciążę. Wiesz, on jest taki szlachetny... A więc naprawdę chcesz go, Fern? - dodał zjadliwie.

- Adam jest tylko moim przyjacielem - odparła wtedy nieswoim głosem. W końcu żadna przyzwoita dziewczyna nie przyzna nawet przed sobą, że może pragnąć mężczyzny, który jej nie chce... Boże, żeby ten koszmar wreszcie się skończył!

Adam stał teraz tak blisko, że czuła jego zapach. Rozpa-

czliwie odsunęła się od niego, uśmiechnęła się blado do Lily i zaczęła ją przeproszać.

- Fern.

W głosie Adama wyczuła złość i napięcie i skurczyła się w sobie, nie miała jednak odwagi na niego spojrzeć.

- Venice chyba czeka na nas w jadalni - powiedziała drewnianym głosem i odwróciła głowę, by wzrokiem poszukać Nicka.

Kolacja była wytworna i musiała kosztować Venice tyle, ile Fern wydawała na jedzenie przez cały rok. Fern nie mogła patrzeć na te wszystkie egzotyczne potrawy; zapach bijący z jej talerza wywoływał w niej mdłości. Właśnie kończono deser, kiedy Venice zwróciła się do Johna Parkinsona z niespodziewanym pytaniem:

- Co pan sądzi o planach zrównania z ziemią domu Broughtonów i wybudowania na tej działce sklepów i biur?

- Jakich planach? - spytał mąż Roberty ze zdziwieniem.

- Och, nie słyszał pan? - ciągnęła Venice. - Jest już tajemnicą poliszynela, że ktoś stąd chce kupić ten dom, pozornie po to, żeby w nim zamieszkać, ale w rzeczywistości ma inne plany. Oczywiście, musi to być ktoś, kto ma tu dobre kontakty i wpływy, bo inaczej trudno by było uzyskać zezwolenie na taką budowę. Adamie, jak sądzisz, mam rację?

Chociaż Venice uśmiechała się słodko do Adama, nikt nie miał wątpliwości, że mówiąc o „kimś stąd”, właśnie jego miała na myśli. Adam jednak nie mógł chyba brać udziału w takim przedsięwzięciu? Oczywiście jako archi-

tekt musiał wiedzieć o wszystkich inwestycjach w okręgu, no i nie było tajemnicą, że jest udziałowcem dochodowej lokalnej spółki, która zaprojektowała, zbudowała i obecnie zarządzała kilkoma małymi pasażami handlowymi i osiedlami mieszkaniowymi, lecz wszystkie te przedsięwzięcia były legalne, Venice zaś jasno dawała do zrozumienia, że w przypadku domu Broughtonów chodzi o istotne nadużycie władzy.

- Może powinniśmy zorganizować komitet protestacyjny - mówiła dalej Venice, nie dając Adamowi czasu na odpowiedź. - Słyszałam, że tym razem nie chodzi o żaden mały pasaż handlowy, ale wielki dom towarowy. Oczywiście, trzeba podziwiać tego, kto to wszystko wymyślił. Jeżeli uda mu się ten pomysł zrealizować, będzie bardzo, ale to bardzo bogaty, a poza tym niektórzy powiedzą, że w naszej okolicy przydałby się supermarket. No, Adamie, co ty na to?

- Działka Broughtonów to wyjątkowo piękne miejsce - odparł Adam spokojnie. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek dostał zgodę na taką inwestycję.

- Och, na pewno nie, jeśli nie będzie miał odpowiednich znajomości - nie poddawała się Venice.

Zapanowała chwila niezręcznego milczenia, którą przerwał łagodny głos Nicka:

- Nie wyglądasz na bardzo zdziwionego, więc pewnie wiesz na ten temat więcej niż my. Jesteś przecież także członkiem rady miejskiej...

- Słyszałem te plotki - przerwał mu Adam - ale to chyba tylko plotki.

- Niemniej dom jest wystawiony na sprzedaż i nie nadaje się w obecnym stanie do zamieszkania - ciągnęła

uparcie Venice. - Adamie, przecież jako architekt i radny musisz coś wiedzieć...

- Pani Broughton mieszkała w nim...

Fern zamarła, słysząc swój nieśmiały, łamiący się głos. Jej słowa przerwały wyreżyserowaną tyradę Venice i odwróciły uwagę zebranych od Adama. Venice z irytacją zmarszczyła czoło, Nick obrzucił żonę pełnym złości spojrzeniem.

- Fern zawsze była tak jakoś śmiesznie i sentymentalnie przywiązana do tego miejsca - powiedział chłodno.

- No cóż, ja byłabym bardzo zdziwiona, gdybym się dowiedziała, że ktoś może być na tyle naiwny, żeby się starać o zezwolenie na taką inwestycję - oświadczyła energicznie Jennifer Bowers. - A jeśli to prawda, na pewno będę przeciw. Nie po to przez tyle lat broniliśmy charakteru i historii naszego miasta, żeby w najpiękniejszych miejscach budować domy towarowe.

- Adam jest ekspertem, jeśli chodzi o historię i ochronę zabytków miasta - podjęła Venice - ale mam dziwne uczucie, że w tym przypadku coś przed nami ukrywa.

Venice najwyraźniej sugerowała, że Adam jest w tę sprawę wmieszany, on zaś nie zrobił nic, żeby zaprzeczyć. Dlaczego? Fern przyjrzała się twarzom zebranych i doszła do wniosku, że nie tylko ona pragnie, żeby Adam w bardziej zdecydowany sposób odparł zarzuty Venice.

- Słyszałaś coś o tym? - spytała ją później Roberta, gdy czekały, aż pokojówka zniesie z góry ich płaszcze.

Fern potrząsnęła głową, zastanawiając się, ile w słowach Venice jest prawdy. Czy Adam rzeczywiście ma zamiar obejść przepisy? I dlaczego Nick mówił, że Adam

chce kupić ten dom i założyć rodzinę? O co w tym wszystkim chodzi?

Pokojówka zeszła na dół bez płaszcza Fern, którego nie mogła znaleźć, toteż Fern powędrowała na górę sama. Płaszcze leżały na łóżku w jednym z pokoi gościnnych. Przekładała z miejsca na miejsce jeden po drugim, gdy w pewnej chwili poczuła znajomy zapach. Ten ciężki wełniany płaszcz musi należeć do Adama. Zacisnęła dłonie na materiale. Poczowała pieczenie łez w gardle oraz chęć, by ukryć w czarnej materii twarz i wdychać zapach Adama, który był tak silny, że czuła go, trzymając płaszcz pół metra od swego nosa.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, co robi, i przerażona rzuciła płaszcz na łóżko. W końcu znalazła swój i kiedy wkładała go na siebie, zauważyła, że z wewnętrznej kieszeni okrycia Adama wypadł na podłogę złożony na pół prospekt. Podniosła go i znieruchomiła. Na pierwszej stronie prospektu widniała fotografia domu Broughtonów.

Mimo że Fern miała tylko dwadzieścia siedem lat, nagle z jakimś dzikim okrucieństwem zapragnęła być znacznie starsza, żeby jej życie zbliżało się już do końca i żeby śmierć położyła kres tej całej udręce, którą z każdym dniem coraz ciężiej było jej znosić. Ale przecież jestem żoną Nicka, przypomniawszy sobie, i nie mam prawa... Jakiego to prawa? Kochać innego?

- Zostań ze mną - błagał ją Nick, a kiedy powiedziała mu o Adamie, powtórzył to samo.

To znaczy, że chyba naprawdę chce, by nad tym, co zrobiła, przeszła do porządku dziennego. Wobec tego powinna spełnić jego prośbę. A pomijając już wszystko - czy

jej odejście miałoby jakikolwiek sens? No i dokąd miałyby pójść, skoro przebyła już całą drogę do piekła i z powrotem? A do nieba? Czy w niebie już także była?

Drżąc na całym ciele, odwróciła się i niemal biegiem ruszyła w stronę schodów.



# Na dobre i na złe

## 3

- Mmm, jak dobrze... - mruzczała Zoe, tuląc się sennie do Bena.

Oboje mieli tyle zajęć, że z trudem znajdowali czas wyłącznie dla siebie. Poniedziałek był jedynym dniem tygodnia, kiedy nie musieli się zrywać wczesnym rankiem. Restauracja, w której Ben obecnie pracował, była w poniedziałki zamknięta, Zoe zaś prośbami, czułymi słówkami i drobnymi przekupstwami załatwiła sobie wolne w swoim hotelu na lotnisku.

Uwielbiam takie poranki, myślała teraz rozleniwiona, chłonąc całym ciałem ciepło Bena i ocierając się twarzą o jego skórę. Kiedyś, w początkach znajomości, Ben powiedział jej, że zachowuje się jak mały kotek o sprężystym ciele, a jej trójkątna twarzyczka jest przepiękna i też taka jakaś kocia. Na tym kocim wdzięku jednak całe podobieństwo się kończyło, ponieważ Zoe z natury była impulsywna i żywiołowa. Wprost tryskała energią, a kiedy się do czegoś zabierała, jej szare oczy ciskały iskry i powietrze napełniało się trzaskiem wyładowań.

Ben zatopił palce w jej kręconych ciemnych włosach i pomyślał z żalem, że tylko w takich chwilach jak ta Zoe bywa wyciszona, po kobiecemu bezbronna i zmysłowa.

- Oj nie, przestań - powiedział czując, jak jej ręka rozpoczyna wędrówkę w dół jego brzucha.

Zoe roześmiała się cicho i wtuliła twarz w jego szyję, obsypując ją krótkimi pocałunkami. Potem zaśmiała się znowu, gdy stwierdziła, że zachowanie Bena przeczy słowom. Ale Ben był zawsze powolny i chciał jak najdłużej cieszyć się czekaniem, podczas gdy ona była niecierpliwa. Kiedy tylko się poznali, Zoe natychmiast stwierdziła, że go nie puści.

Ben objął ją wreszcie i zaczął całować, Zoe wdychała zapach jego skóry, który zawsze działał na nią podniecająco. Czasami zastanawiała się, czy Ben podobnie reaguje na jej zapach, ale nie sposób się było tego dowiedzieć. W robotniczym mieście na północy Anglii, w którym spędził młodość, chłopców wychowywano w przekonaniu, że o seksie się nie mówi. Zoe wywodziła się z klasy średniej i wychowano ją w zupełnie innym duchu.

Jednak Ben jako kochanek był nieprawdopodobnie czuły i troskliwy, zupełnie jak gdyby swoją niemożność rozmawiania o tym aspekcie ich życia chciał powetować jej nadmiernym i przedłużonym w czasie okazywaniem uczuć. Znali się na tyle dobrze, byli z sobą na tyle długo, by bez słów rozumieć swoje potrzeby, a jednak, ilekroć się kochali, za każdym razem było inaczej, tak jakoś, jakby to było święto. Zoe była tym zachwycona. Skoro ją tak bardzo urzekał, dawała mu zawsze tyle czasu, ile potrzebował, by doprowadzić swój miłosny rytuał do końca.

Pół godziny później, kiedy ostry dzwonek telefonu przerwał ich pełne szczęścia rozleniwienie, Zoe powiedziała sennie:

- Twoja kolej, Ben.

- Dlaczego nie mamy telefonu przy łóżku? - jęknął wstając i wciągając na siebie szorty.

- Bo powiedziałaś, że nas na to nie stać - przypomniała mu, patrząc na niego z niekłamany zachwytem.

Miał wspaniałe ciało, szczupłe i wysportowane, lecz bez nadmiaru mięśni. Zastanawiała się, czy Ben na nią patrzy również z przyjemnością i porównuje ich ciała. Zoe na przykład z rozbawieniem myślała, że natura była dla niej łaskawa, bo choć nie poskapiła jej kręconych, gęstych włosów na głowie, które jej zazdrosne koleżanki uważały za kosztowną trwałą, to jednak nie była szczodra na tyle, by pokryć nimi jej piersi i brzuch - tak jak u Bena. Dzięki rodzicom nie miała żadnych zahamowań dotyczących spraw ciała i rozkoszy, jaką może ono dać - w przeciwieństwie do Bena.

Pamiętała swoje zdumienie, gdy podczas ich pierwszej wspólnej nocy Ben koniecznie chciał się rozebrać po ciemku, a slipy zdjął dopiero wtedy, gdy byli już w łóżku. Minęło wiele tygodni, zanim pozwolił jej spojrzeć na siebie nagiego w świetle dnia, i jeszcze kilka, zanim znalazła w sobie odwagę, by delikatnie zażartować z jego nieśmiałości. Jego odpowiedź wzruszyła ją do łez i wywołała tak głęboki żal, że po raz pierwszy w życiu nie mogła znaleźć właściwych słów, by go pocieszyć.

Ben był najstarszy z pięciorga dzieci obojga płci, które dzieliły wspólny pokój i spały w dwóch łóżkach. Taka skromność była w jego sytuacji konieczna, zwłaszcza że był zawsze nad wiek rozwinięty i podświadomie czuł, że powinien chronić młodsze rodzeństwo przed przedwczesnym odkrywaniem fizjologii dojrzewającego ciała. Ponieważ musiał bronić ich niewinności, nabawił się oczywiście poważnych zahamowań.

Po tej rozmowie Zoe nigdy więcej nie pozwoliła sobie na żarty na temat jego wstydlivości, tak samo jak nigdy nie narzekała na niski standard wynajmowanego przez nich mieszkania. Tu i ówdzie ściany zdobiły wilgotne plamy, które wzbudzały w niej obrzydzenie, łazienka zaś, mimo że bez przerwy ją szorowała, nigdy nie wyglądała na czystą. Zoe pamiętała jednak dobrze ponure słowa Bena, że dla niego i jego rodziny takie mieszkanie jest prawdziwym luksusem.

Ponieważ mieszkali tylko we dwoje, a Ben przeszedł szkolenie u jednego z najlepszych szefów kuchni na świecie, które obejmowało znacznie więcej niż sztukę kupowania, przygotowywania i podawania dobrych potraw, Zoe nie odczuwała żadnych różnic społecznych między nimi. Na takie rzeczy i tak nigdy nie zwracała uwagi, Ben jednak zdradzał pewne przewrażliwienie na punkcie swojego pochodzenia.

Usłyszała, jak podnosi słuchawkę i podaje ich numer, a ponieważ jej nie zawołał, wsunęła się z powrotem pod koc. Mają przed sobą cały dzień i może uda się jej ściągnąć go znowu do łóżka. Zoe położyła się na brzuchu i uśmiechnęła z zadowoleniem, czując delikatne, pulsujące echo orgazmu. Ben wrócił po pięciu minutach. Kiedy ujrzała jego twarz, jej marzenia o przedłużeniu tego poranka w łóżku prysły. Usiadła gwałtownie, koc zsunął się z jej ramion.

- Coś się stało?
- Nie wiem. Mama chce, żebym przyjechał.
- Do Manchesteru?
- Pociąg jest co godzina.

Urwał i spojrzał na nią. Zoe natychmiast potrząsnęła głową i powiedziała szybko:

- Tak, oczywiście, jedź. Ja też powinnam odwiedzić rodziców. - Twarz jej sposepniała. - Nie widziałam ich od Bożego Narodzenia, nie przekazałam im jeszcze naszej dobrej nowiny. Ciekawa jestem, kiedy dowiemy się czegoś konkretnego o tym hotelu. - Ujęła go za rękę i dodała łagodnie: - Nie martw się, to na pewno nic poważnego. Inaczej mama powiedziałyby ci przez telefon.

Zoe naprawdę nie miała mu za złe, że chce jechać. Wiedziała, że Ben bardzo poważnie traktuje swą pozycję nastarszego dziecka w rodzinie - od czasu rozwodu rodziców zastępował rodzeństwu ojca. Zauważyła, że zarówno dzieci, jak i matka bardzo na niego liczą i chociaż bolało ją Serce, gdy stwierdzała, jak wielce Ben martwi się sytuacją całej rodziny, to jednak nie mogła nikogo z nich winić za to, że szukają w nim oparcia.

Tylko raz była z nim w Manchesterze. Właściwie nie chciał, żeby jechała, i usiłował jej to z irytacją wyperswadować, Zoe jednak uparła się, wiedząc, że gdyby mu uległa, jego rodzina, wobec której żywił wyraźnie ambiwalentne uczucia, oraz życie, jakie za sobą zostawił, stworzyłyby między nimi barierę. Przygotował ją co prawda do tego, że po przyjeździe dostrzeże wielką przepaść między nim - jego energią, ambicją, determinacją i zdolnością kierowania swoim życiem - a ich biedą i bezradnością, ale nie przygotował jej do jednego, a mianowicie do tego, że szokiem będzie dla niej stwierdzenie, iż jego matkę można by śmiało uznać za jego starszą siostrę. A może wcale o tym nie pomyślał?

Wtedy miał dwadzieścia lat i wyglądał na starszego, jego matka zaś, która urodziła go w wieku szesnastu lat, była nadal szczupła i delikatna, mimo że wydała później na

świat jeszcze czwórkę dzieci. Zoe ze wzruszeniem zauważyła, że pani Fraser oczekuje od swego syna nie tylko wsparcia, lecz również uznania.

Ben bardzo niechętnie zdradził Zoe kilka faktów z okresu swego dzieciństwa. Rodzice rozwiedli się, gdy miał niewiele ponad dziesięć lat, ojciec zaś zniknął na dobre, pozostawiając rodzinę bez środków do życia. Zoe domyśliła się, że Ben przejął obowiązki porzucone przez ojca i wtedy, nie znając jeszcze pani Fraser, poczuła do niej niechęć, uważając, że w swoim samolubstwie pozwoliła małemu chłopcu wziąć na swe barki tak ogromny ciężar.

Dziś nie czuła już niechęci do matki Bena, powzięła jednak postanowienie, że nigdy nie będzie go traktować tak, jak jego rodzina, a mianowicie nie będzie nieustannie szukała w nim emocjonalnego i finansowego wsparcia - nie będzie ciągle brała, zamiast dawać. Z tą myślą uśmiechnęła się więc do niego serdecznie i ukryła żal, że ten cudowny dzień przeznaczony tylko dla nich właśnie się skończył.

- Ty idź do łazienki - powiedziała - a ja zrobię kawę.

Ich wspólne śniadanie w takie dni zwykle trwało długo. Zoe przygotowywała kawę, a Ben wychodził do pobliskiej piekarni, by kupić jeszcze ciepłe rogaliki. Zoe nigdy nie przybierała na wadze, bez względu na to, co jadła, ale przecież należało wziąć pod uwagę, że jej praca była fizycznie wyczerpująca. Często pracowała w godzinach nadliczbowych i niektórych posiłków po prostu nie miała czasu zjeść. W hotelu nikomu nie wspomniała jeszcze o swoich planach, zwłaszcza że pracę w ogóle trudno było dostać. Duże sieci hotelowe ograniczały wydatki i stan zatrudnienia. Swoją obecną posadę zawdzięczała wyłącznie temu, że

zdała egzaminy z wynikiem bardzo dobrym. Najpierw przez kilka lat pracowała jako stażystka, niedawno zaś zaproponowano jej stanowisko młodszego zastępcy kierownika hotelu na Heathrow.

Czasochłonna praca, nędzna pensyjka i potworny koszt dojazdu do pracy samochodem z miejsca, gdzie z Benem wynajmowali mieszkanie. Może to i nierozsądne, zwłaszcza że mogła mieszkać z rodzicami, ale te cudowne chwile, kiedy wreszcie się spotykali, warte były zachodu.

Po wyjściu Bena zadzwoniła do domu. W głosie matki zabrzmiała radość, gdy Zoe obwieściła jej swoje plany.

- Kochanie, tak się cieszę. Czy Ben z tobą przyjedzie?
- Tym razem nie.
- Oo, szkoda. Ale trudno.

Zoe uśmiechnęła się pod nosem, słysząc nutę ulgi w udawanym rozczarowaniu matki. Rodzice byli produktem lat sześćdziesiątych i utożsamiali się z kulturą tej epoki. Postanowili wychować swoją córkę bez narzucania jej ograniczeń i uprzedzeń, od których tak entuzjastycznie odcięło się ich pokolenie i Zoe wiedziała, jak zdumiewało ich i przerażało zarazem to, że gdy zamieszkała z Benem, zmienili front i zaczęli się odwoływać do norm obyczajowych klasy średniej, którym hołdowali ich rodzice, i którym, jak im się zdawało, skutecznie się do tej pory przeciwstawiali.

Dzielnie walczyli o to, by ukryć przed córką ten straszliwie nielojalny nawrót do moralności jej dziadków, lecz Zoe w takim samym stopniu przesiąknęła kulturą swych czasów, jak oni mentalnością epoki, w której się wychowywali. Już we wczesnej młodości to z rozbawieniem, to z niedowierzaniem dostrzegała ich naiwność; nie docierało do

nich, że pokolenie ich córki jest zupełnie inne, toteż Zoe doskonale rozumiała rodziców i nie cierpiała z powodu ich dwuznacznego stosunku do Bena.

Zwierzyła się kiedyś z tego Annie, jednej ze swych najlepszych przyjaciółek, pochodzącej z takiej samej, pozornie liberalnej rodziny:

- Kiedy mama poznała Bena, powiedziała mi: „Biedny chłopak... Ma tak niekorzystną pozycję finansową i społeczną”. Biedna mama! Nie potrafi nawet wykrztusić z siebie, że Ben jest robotnikiem. Dalej żyje w świecie, w którym różnice klasowe nie powinny istnieć. Pewnie uważa, że mój związek z Benem to jakieś fizyczne zauroczenie silnym chłopem, które z czasem minie. Myśli, że nie widzę między nami różnic klasowych, co jest nieprawdą. Ben też zdaje sobie z tego sprawę. Moja mama naprawdę nie pojmuję, że wszystko się zmieniło. Ben i ja nie żyjemy w bajkowym świecie, w którym miłość pokonuje wszystko. My wiemy, że będzie nam ciężko, a oni przebalowali młodość, zamroczeni marihuaną i seksem.

- To prawda - przyznała Anna. - Moja matka zdaje się myśli, że skoro ja i Mathew mieszkamy razem, to na pewno cały czas spędzamy w łóżku. Wyobraź sobie, że zadzwoniła kiedyś do mnie o ósmej wieczorem i przepraszała, że mi przeszkadza. Naprawdę miałam ochotę jej powiedzieć, że dopiero wróciłam do domu, że przyniosłam z sobą robotę z biura, że Mathew pojechał zrobić zakupy i że będziemy mieli szczęście, jeśli uda się nam położyć przed północą, no i wtedy już nie starczy nam sił na żadne karesy.

- Tu Anna zmarszczyła nos i dodała: - No ale dlaczego miałybyśmy pozbawiać złudzeń nasze kochane matki?

Matka i ojciec Zoe mieli dom w modnej części Hamp-



stead, kupiony tuż przed pierwszym wielkim popytem na nieruchomości za pieniądze podarowane im w prezencie ślubnym przez ich rodziców, którzy byli zachwyceni, że dzieci wreszcie legalizują swój związek.

Rodzice Zoe poznali się na uniwersytecie, odbyli wzorem hippisów podróż do Indii, wrócili z długimi włosami i w indyjskich szatach, w których wzięli ślub. Zdjęcia z tego ślubu zniknęły później z grupy fotografii oprawnych w proste srebrne ramki, zdobiących piękne antyczne stoliki w saloniku matki.

Ojciec Zoe był bankierem i zajmował się inwestycjami, toteż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wiodło mu się znakomicie. Zoe chodziła do elitarnej szkoły i dobrze się uczyła. Rodzice spodziewali się, że ich córka pójdzie na uniwersytet, byli więc zszokowani, gdy obwieściła im swą decyzję.

- Hotelarstwo? Ale kochanie, dlaczego? - pytała zdumiona matka.

- Bo lubię pracę z ludźmi - odparła Zoe spokojnie. - Lubię organizować, kierować, zarządzać. - Uśmiechnęła się szeroko i dodała: - Oczywiście, nie mam zamiaru pracować całe życie u kogoś. Kiedyś będę miała swój hotel, może gdzieś za granicą... W Hiszpanii, w Benidorm...

Nie byli jej pomysłem uszczęśliwieni, ale nie próbowali jej namawiać do zmiany planów. Nie mieli pojęcia o dyscyplinie ani żadnych innych środkach przymusu, toteż nie potrafili sobie radzić z uporem jedyne dziecko. O dziwo, Ben ich lubił, chociaż uważał, że zupełnie do niej nie pasują.

Wiedziała, że gdyby tylko powiedziała słówko, ojciec dawałby jej pieniądze, kupił lepszy samochód niż jej dzie-

sięcioletni mini morris, łożyłby nawet na przyzwoite mieszkanie. Zoe jednak, odkąd zamieszkała z Benem, postanowiła, że pensja musi jej wystarczyć. Ben nigdy nie wyrażał się pogardliwie o zamożności jej rodziców; uważał, że przyniosłoby to większą ujmę jemu niż im.

Matka czekała na nią na stacji. Miała czterdzieści sześć lat, lecz jej twarz zdradzała ślady wielkiej niegdyś urody, dziś subtelniejszej i podkreślonej eleganckim strojem. Ucałowała córkę serdecznie, a ta powiedziała:

- Wyglądasz wspaniale! Podoba mi się twoja nowa fryzura.

Heather Clinton uśmiechnęła się.

- Tak samo chesałam się w latach sześćdziesiątych.

- Tylko wtedy nie byłaś blondynką - dodała Zoe uszczypliwie.

Wtedy matka była brunetką, nie nosiła stanika i ubierała się w skąpe, powiewne sukienki, które więcej odkrywały niż ukrywały. Ale też miała co pokazywać: jej skóra tryskała zdrowiem i świeżością, była pięknie opalona, gładka i jędrna. Dziś, mimo aerobiku i kosztownych balsamów do ciała, zaczęła tracić świeżość i matka wiedziała, że nie odzyska już owego złocistego, jedwabistego połysku, którym jej mąż, David, tak się niegdyś zachwycił. Spojrzała na córkę, na poły z ciekawością, na poły z zazdrością. Zoe miała wszystko, co kiedyś było w matce najpiękniejsze. Była do niej podobna, a jednak zupełnie inna.

- Ojciec musiał wyjechać do Jersey - powiedziała - obawiam się więc, że będziemy same.

- Nie szkodzi - odparła Zoe. - Pogadamy sobie. Może pójdziemy gdzieś na lunch? Do tej włoskiej restauracji? Umieram z głodu.

Uśmiechnęła się w duchu, gdy zauważyła ukradkowe spojrzenie, jakim matka obrzuciła jej strój: czarne leginsy, tej samej barwy wysokie, sznurowane buty, jedwabna bluzka z golfem, na którą rzuciła się z radością w sklepie z używanymi rzeczami, a na wierzchu obszerny, gruby bawełniany sweter, który należał do Bena.

Matka natomiast miała na sobie sportowy, lecz niewątpliwie drogi lniany kostium i prostą jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej. Jej paznokcie były zadbane, lecz nie pomalowane, na włosach nie było śladu lakieru, twarz zdobił delikatny makijaż. Nie miała też na sobie żadnych kosztowności z wyjątkiem zaręczynowego pierścienia i ślubnej obrączki oraz trzech złotych bransoletek od Cartiera, które mąż kupił jej z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu.

Podczas lunchu Zoe zręcznie prowadziła rozmowę i potem, wymyślając sobie karę za to, że nie wspomniała ani słowem o tym, że mają zamiar z Benem otworzyć restaurację z hotelem, pozwoliła, żeby matka zaprowadziła ją do swego ulubionego sklepu z odzieżą i kupiła jej coś nowego. Kiedy matka zrobiła trochę zrezygnowaną minę, gdy Zoe wybrała sportowe szorty z lycry o jaskrawym wzorze i górę, która straszliwie się z nimi kłóciła, Zoe uśmiechnęła się pobłaźliwie i powstrzymała od komentarza, że jej pokolenie ma swój własny gust. W podzięcie złożyła na policzku matki serdeczny pocałunek. Kiedy w chwilę później matka nieśmiało oznajmiła, że dziś wieczorem ma lekcję brydża, Zoe heroicznie ukryła rozbawienie i z powagą uspokoiła matkę, że musi wracać, bo Ben pewnie już na nią czeka.

Tyle że kiedy wróciła do siebie, Bena jeszcze nie było, samo zaś mieszkanie, w porównaniu z ciepłym domem ro-

dziców - umeblowanym bezpretensjonalnie, lecz w sposób, który kosztował fortunę - wydało jej się wyjątkowo nieprzytulne. Sfatygowanych, podstawowych mebli nie zdobiły fotografie w srebrnych ramkach, nie było tu porcelany, starannie dobranych dzieł sztuki, obrazów. Nie, tego może i nie ma, ale jest miłość, pomyślała Zoe, nieruchomiejąc ze zmarszczonym czołem przy czarnym, pokrytym już na wieczność patyną czasu jesionowym stole, który Ben jakoś złożył do kupy i który wyglądał, jakby się miał za chwilę rozpaść.

Ale w domu rodziców także była miłość, uświadomiła sobie Zoe. Przez całe swoje dzieciństwo i młodość ani razu w to nie zwątpiła. Jej rodzice do dziś pozostali razem, co w ich pokoleniu było dosyć niezwykle.

Zoe przejrzała korespondencję, którą po drodze wyjęła ze skrzynki. Dwa rachunki, wyciąg z banku i gruba biała koperta z adresem napisanym drukowanymi literami. Zoe zadrżała z podniecenia. To na pewno od Clive'a Hargreavesa! Co pisze? Czy znalazł już odpowiednie miejsce? Korciło ją, żeby otworzyć list, lecz adresowany był do nich obojga. Pospiesz się, Ben, szeptała. Pospiesz! Mogłaby oczywiście sama otworzyć kopertę, bo widniało na niej również jej nazwisko, lecz niczym mała dziewczynka chciała dzielić tę radosną chwilę z nim. Bo przecież wiadomość nie może być zła!

Nie, na pewno nie. To Ben zawsze jest pesymistą, ale nie ona.

Dochodziła północ, gdy wrócił. Zoe spojrzała na jego twarz i odgadła, że nie wraca z dobrymi wieściami.

- Ben! - zawołała zaniepokojona. - Co się stało? Ktoś zachorował? Czy... ?

Miał podkrążone oczy, poszarzałą i zmęczoną twarz, a jego spojrzenie, zawsze ciepłe i czułe, było pozbawione blasku.

Usiadł ciężko na starej kanapie, należącej do wyposażenia mieszkania. Matka chciała kiedyś zapłacić za zmianę jej obicia, lecz Zoe sprzeciwiła się i kupiła na bazarze kolorowy dywanik, którym przykryła plamy. Teraz usiadła przy Benie i w milczeniu czekała na odpowiedź.

- Sharon jest w ciąży - odezwał się wreszcie, po czym odwrócił głowę i spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem. Na jego kamiennej twarzy malowała się rozpacz.

Zoe milczała. Instykt podpowiadał jej, że lepiej się nie odzywać, lepiej go nie dotykać, najlepiej nie robić nic. Nagle jego oczy błysnęły, do twarzy napłynęła krew i wybuchnął:

- Jezu, przecież ona ma tylko szesnaście lat! Mama myślała, że bierze pigułkę, ale pewnie czasem zapominała. Oczywiście, nie przyznała się do tej ciąży, aż wreszcie matka zauważyła, że tyje.

- Boże... - szepnęła Zoe. - Czy ona się niczego nie nauczyła? Nie widzi, jak matce jest ciężko? Nie zdaje sobie sprawy...? - Urwała wiedząc, że nigdy nie zrozumie do końca bólu Bena, bo w jej rodzinie tego rodzaju problemy nie istniały. Mimo to jednak dotknęła lekko jego ramienia i spytała nieśmiało: - A ojciec... ten chłopak?

- Chłopak? Chłopaki! - Twarz nagle mu pobieleła z gniewu i obrzucił ją spojrzeniem, od którego ścierpła jej skóra. - Ona mi powiedziała, że nie wie, kto jest ojcem! No i oczywiście, przez jej głupotę, jest już za późno na usunięcie ciąży. Wiesz, co mi powiedziała? Że mama może zająć się dzieckiem, albo rada miejska da jej mieszkanie.

- Ale może wszystko dobrze się ułoży - zaczęła Zoe nieśmiało i nie skończyła, ponieważ Ben gwałtownie zrzucił jej rękę ze swojego ramienia. Jego oczy błyszczały wściekłością i, co gorsza, nienawiścią.

- A cóż ty, do diabła, możesz o tym wiedzieć?! - krzyknął. - „Wszystko dobrze się ułoży” - przedrzeźniał ją pogardliwie, naśladując brzmienie jej głosu i wymowę. - Jakim cudem? Tak jak się ułożyło matce, która w wieku dwudziestu lat miała trójkę kilkuletnich dzieci, niewiernego męża, była bez pieniędzy i bez mieszkania! Czy ty sobie wyobrażasz jej koszarne życie? Wokół gromadka zasmarkanych dzieciaków w łachmanach, a jedyna przyjemność to szybki seks z jakimś facetem poznanym w pubie, który i tak zaraz ją rzuci. Mogła się tylko modlić, żeby nie zostawił jej z następnym bękartem. To masz na myśli mówiąc, że wszystko się dobrze ułoży?

- Ale można... oddać dziecko do adopcji - powiedziała Zoe drżącym głosem, starając się nie okazać, jak bardzo jego słowa ją zraniły.

- Można, ale takie dziewczyny jak „nasza Sharon” tego nie robią - odparł ironicznie. - One kompletnie nie mają oleju w głowie. Te bidulki kochają swoje maleństwa, albo przynajmniej tak im się wydaje, i nie rozumieją, że taka miłość niszczy ich dzieci, bo skazują je na puste, pełne udręki życie. Gdyby naprawdę kochały te dzieci, usuwałyby ciążę.

Zoe z przerażenia zachłysnęła się powietrzem.

- A gdyby kochały siebie - ciągnął Ben - przede wszystkim starałyby się nie zachodzić w ciążę. I czyja to wina, jak myślisz, Zoe? Tych głupich podfruwajek, dla których seks jest jedyną przyjemnością, na jaką mogą liczyć w ży-

ciu, czy też liberalnie myślących ludzi z klas średnich, takich jak twoi rodzice, którzy tym swoim liberalizmem odebrali im jedyną rzecz, jaka je chroniła? Zanim twoi rodzice zabrali się do niszczenia „zasad”, takie dziewczyny jak Sharon brały ślub, kiedy były w ciąży. A przynajmniej większość.

- I lepiej na tym wychodziły? - spytała cicho. - W wieku szesnastu lat brały ślub z człowiekiem, którego pewnie nie kochały, i tak już zostawało do końca życia. Czy były wtedy szczęśliwsze?

- Szczęśliwsze? - Spojrzał na nią z pogardą. - Tacy ludzie jak my, jak ja, Sharon, moja matka, cała moja rodzina... my nie marzymy o szczęściu. Zoe, dla nas to nie jest sprawa wyboru. Nie, Sharon nie byłaby szczęśliwsza, ale byłaby w odrobinę lepszej sytuacji. Miałaby męża, który by ją utrzymywał, a jej dziecko miałoby ojca. Nie mieszkałaby sama w jakimś koszmarnym bloku komunalnym, gdzie ludzie są sobie obcy i gdzie z rozpaczyny zaczyna się pić, brać narkotyki, puszczać z byle kim, a w końcu maltretować dzieci.

- Ale to nie musi tak być!

- Nie musi - zgodził się Ben i sarkastycznie dodał: - Może pewnego dnia pojawi się tam książę z bajki i zawiezie ją do swojej miodem płynącej krainy. To miałaś na myśli?

Zoe milczała.

- Wiesz, że pięć lat temu Sharon była najlepszą uczennicą w klasie? Nauczyciele mówili, że jest mądra, że daleko zajdzie. A potem przyszedł okres dojrzewania i nagle straciła rozum. Mądre dziewczyny nie niszczą życia sobie i innym nie chcianym dzieckiem. Coś takiego robią tylko głupie dziewczyny.

- I chłopcy - wtrąciła Zoe ponuro. - Nie zapominaj, że do tego trzeba pary.

Ben uśmiechnął się gorzko.

- Ale ona miała pamiętać o pigułce... - Gwałtownie wstał i odwrócił się do Zoe plecami. - Jestem zmęczony. Idę spać.

Kiedy zniknął w łazience, Zoe przypomniała sobie o liście. Wzięła go do ręki, chwilę pomedytowała, a potem powoli położyła kopertę na stole. Może jutro, kiedy Ben się uspokoi... Jutro, kiedy i ona zapomni o tym, jak w jednej chwili stał jej się przerażająco obcy, jak patrzył na nią z nienawiścią i wzdargą. Była jednak przekonana, że Ben ją kocha, a jego dzisiejsze zachowanie to jedynie efekt zdenerwowania i szoku. Spojrzała jeszcze raz na kopertę i cicho westchnęła, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy.



# Na dobre i na złe

## 4

Eleanor zaniepokoiła się, gdy odniosła wrażenie, że z pokoju synów dobiega jakiś dźwięk. Odłożyła tekst, nad którym pracowała, wstała z łóżka i włożyła szlafrok. Z taśmy płynęły łagodne tony muzyki Vivaldiego, które na pewno nie mogły zbudzić chłopców. Eleanor pospieszyła do ich pokoju.

Obaj spali głębokim snem. Położyła rękę na czole Toma i z ulgą stwierdziła, że jest chłodne. Wyprostowała się i przez chwilę patrzyła na synów. -Obu bardzo kochała. Allan, jej pierwszy mąż, nie podzielał jej radości, gdy zostali poczęci, a już na pewno nie chciał drugiego dziecka. Chłopcy pochłaniali Eleanor mnóstwo czasu i Allan był o to podświadomie zazdrosny.

Dziś było inaczej. Z drugą żoną miał córkę i poświęcał jej znacznie więcej czasu niż niegdyś synom. No ale kiedy Allan brał ślub z Eleanor, był bardzo młody i bardzo ambitny. Znacznie później uświadomiła sobie, że oboje padli ofiarą swoich wyobrażeń o małżeństwie i być może było trochę prawdy w oskarżeniach Allana, że synowie są dla niej ważniejsi niż on, że ich kocha bardziej niż jego.

Widował się z nimi, Eleanor zaś dbała, by odbywało się to jak najczęściej. Jego obecna żona, Karen, była kobietą wspaniałomyślną i dała jasno do zrozumienia, że jej serce

pomieści jeszcze wiele miłości, toteż jej stosunki z Eleanor ułożyły się zdumiewająco dobrze. To właśnie Karen zasugerowała, by podczas ferii szkolnych Eleanor nie szukała dla chłopców opiekunki, tylko przywoziła ich do niej na cały dzień, bo ona i tak siedzi w domu ze swoim dzieckiem.

Eleanor natomiast zaczęła odczuwać coś w rodzaju dumy z tego, że jej synowie odnaleźli tak szybko swoje miejsce w jej nowym związku z Marcusem.

Dziś jednak, tym jednym oskarżeniem, Tom zachwiał jej spokojem ducha. „Nie chcesz już być z nami; chcesz być z nim”. I nawet biorąc pod uwagę, że było w tym sporo dziecięcej przesady, że nadmiernie się nad sobą roztkliwił i być może podświadomie pragnął zrzucić na kogoś innego poczucie winy za swą chorobę, to jednak w jego głosie brzmiała prawdziwa rozpacz i Eleanor czuła się winna.

Marcus był bardzo niezadowolony, kiedy oznajmiła mu, że nie pójdzie na kolację do Lassiterów, przyjął jednak jej decyzję bez słowa protestu. Była to jedna z jego cech, która przełamała jej opory dotyczące sensowności zawierania drugiego związku. Pamiętała, że Allan, kiedy nie mógł osiągnąć celu, zmuszał ją do wybierania między nim a dziećmi i w ten sposób stawiał ją pod tak silną presją, że kiedy w końcu przyznał się do swojego romansu i zaproponował rozwód, przyjęła to z ulgą.

Marcus jednak szanował jej prawa jako człowieka, mimo że widział w niej przede wszystkim kobietę. W przeciwieństwie do większości mężczyzn, intuicyjnie wyczuwał, kiedy potrzebowała męskiej zaborczości, skupienia uwagi li tylko na ich związku, a kiedy ich osobiste sprawy musiały ustąpić miejsca jej obowiązkom matki i zawodo-

wym. Dziś jednak, pod płaszczykiem jego nieskazitelnych manier, wyczuła irytację.

- Tomowi nic nie jest - powiedział chłodno i dodał, że ulegając jego prośbie, sama kręci na siebie bicz.

Oczywiście, Marcus. myśli logicznie i ma rację, przyznała Eleanor w duchu, jednak kłujący żal z powodu jego braku zrozumienia skłonił ją do zadania sobie pytania, czy zastosowałby taką samą logikę, gdyby chodziło o jego dziecko. Teraz, uspokojona widokiem zdrowo śpiącego syna, uznała, że jej żal do Marcusa ma jeszcze jedną przyczynę: otóż nie domyślał się, że została z Tomem nie tylko z powodu jego niedomagania.

Ale mężczyźni to mężczyźni, pomyślała, idąc do łóżka. Nie rozumieją i nie wyczuwają potrzeb, które nie są bezpośrednio wyrażone słowem. Marcus jest pragmatykiem i byłoby niesprawiedliwością domagać się od niego, by czytał jej w myślach, by odgadywał, co czuje. Ona przecież też nie jest w stanie odgadnąć wszystkich myśli Toma.

Położyła się i wzięła do ręki tekst. Przyjemniej jej było czytać w ciepłym łóżku, gdzie otulała ją miękka pościel. Niegdyś z przyjemnością myślała, że takim samym ciepłym kokonem otula ją miłość Marcusa. Czy jednak tego rodzaju pragnienia nie charakteryzują ludzi niedojrzałych, takich, którzy nie potrafią żyć w związku opartym na zasadzie partnerstwa, którzy oczekują, że druga strona zaspokoi ich wszystkie emocjonalne potrzeby?

Eleanor zmarszczyła czoło. Ostatnio częściej zdawała sobie sprawę z tego, że jej reakcje i odczucia coraz bardziej odbiegają od przyjętego przez nią wzorca. Traciła pewność siebie, co ją martwiło i pogłębiało rozterkę. Oczywiście, w jej życiu były już takie chwile, lecz do niedawna uważa-

ła, że należą one do odległej przeszłości. Dlaczego więc niespodziewane oskarżenie Toma wywołało w niej taką panikę? Dlaczego, ilekroć stykała się z otwartą niechęcią Vanessy, czuła, że i jej wrogość, i swoje doznania powinna przed Marcusem ukryć?

Przebrzmiały ostatnie tony Vivaldiego i ustał szum taśmy. Eleanor uznała, że nie jest w stanie dalej czytać, bo natrętne myśli nie pozwalają jej się skupić. Po wyjściu Marcusa próbowała rozmawiać z Tomem, pragnąc go przekonać, że ojczym nie stanowi dla niego zagrożenia, lecz kiedy spytała syna, dlaczego uważa, że matka go nie kocha, ten zamknął się w sobie i milczał.

Antyczny zegar stojący w holu wybił północ. Eleanor pomyślała, że Marcus powinien niedługo wrócić, i jednocześnie przypomniała sobie o zegarze, który mieli dziadkowie. Mieszkali na wsi i każdego lata spędzała u nich dwa tygodnie, a potem wsiadała w samolot i leciała do rodziców, którzy przebywali w coraz to innej części świata, ponieważ ojciec był dyplomata. Eleanor była jedynaczką, lecz nigdy nie czuła się szczególnie związana z rodzicami. Z powodu pracy ojca większość dzieciństwa spędziła w internacie i mimo że kochała rodziców, a oni ją, nigdy nie było między nimi takiej bliskości, jaką Eleanor udało się osiągnąć w stosunkach z synami. Dziś wieczorem jednak Tom kilkoma słowami zakwestionował to przekonanie. Czy rzeczywiście są sobie bliscy, skoro nawet nie wiedziała, co Tom naprawdę czuje i myśli, i skoro to Marcus, a nie ona, właściwie zdiagnozował przyczynę jego choroby?

W dzieciństwie przez cały rok z utęsknieniem wyczekiwała wakacji spędzanych u dziadków, ponieważ ich piękny dom, położony w sielskiej okolicy, dawał jej poczucie bez-

pieczeństwa. Być może to właśnie z powodu wspomnień z dzieciństwa chciała utrzymać kontakty swych synów z rodzicami swojego pierwszego męża. Byli to jedyni dziadkowie, jakich znali, bo jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej jeszcze zanim wzięła ślub z Allanem. Z ostatniej wizyty u dziadków Tom wrócił jednak niezadowolony, okazało się bowiem, że pokój, w którym dotychczas sypiał i uważał za swój, oddano do dyspozycji córki Allana z drugiego małżeństwa.

Wówczas Eleanor uznała jego narzekania za dziecięcą zaborczość i zazdrość, teraz jednak, świadoma, jak przykre było dla niej samej usuwanie synów z ich pokoju podczas wizyt Vanessy, pomyślała ze strachem, że dziecinne żale Toma mają głębszą przyczynę. Dzieci potrzebują poczucia bezpieczeństwa... Muszą wiedzieć, że w życiu dorosłych mają swoje własne miejsce, zwłaszcza te dzieci, które przeżyły dramat rozvodu rodziców.

Dopiero dziś uprzytomniła sobie, że ostatnio Tom bywał coraz częściej agresywny i niekomunikatywny, szczególnie podczas wizyt Vanessy. Nie można oczekiwać, by z własnej woli chętnie ustąpił swój pokój córce Marcusa, podobnie jak ona nie była na pewno uszczęśliwiona odkryciem, że pokój, który dotychczas uważała za swój, należał teraz do kogoś innego.

Och, żeby tak można było kupić większy dom...

Eleanor spojrzała na zegarek. Marcus powinien wrócić lada chwila. Ich duże łóżko wydawało się bez niego takie puste. Uśmiechnęła się lekko, uzmysławiając sobie, w jakim kierunku biegną jej myśli. Jej życie seksualne z Allanem nie było szczególnie udane, i to również stanowiło przyczynę napięć. Eleanor oczywiście winiła siebie za swą

niezdolność spełniania jego oczekiwań, a po urodzeniu dzieci Allan wykazywał coraz mniej ochoty na kochanie się z nią.

Po rozwodzie unikała bliższych związków. Seks był czymś, co zepchnęła w podświadomość. Całą swoją miłość przelała na synów, a czas wypełniała jej do reszty praca w rozwijającej się agencji. A potem poznała Marcusa, który jakoś zdołał przełamać jej zahamowania i nauczył cieszyć się seksem. Ciekawe, skąd nabrał tyle doświadczenia?

Wykrzywiła usta, kiedy poczuła nagły przypływ niepokoju. Boże, czym ona się znowu martwi? Marcus był zawsze wobec niej szczerzy i nie ukrywał, że miał romanse. Nie stanowił typu Casanovy, lecz naiwnością byłoby sądzić, że te kilka lat samotności po rozwodzie przeżył w celibacie. Z niechęcią przypomniała sobie, że podczas swych ostatnich odwiedzin Vanessa spytała ją niespodziewanie, czy nie boi się, że Marcus zostawi ją, bo znajdzie sobie młodszą.

- Mężczyźni w wieku taty żenią się na ogół ze znacznie młodszymi kobietami - tłumaczyła. - Kobiety w średnim wieku nie są takie atrakcyjne.

- Mylisz się - odpowiedziała wówczas pasierbicy, starając się nie myśleć o tym, że te słowa sprawiły jej przykrość, ponieważ rozumiała, że Vanessa już w wieku kilkunastu lat wpadła w pułapkę jak większość kobiet, uważających, że ich wartość może być mierzona jedynie zainteresowaniem mężczyzn. Vanessa wzruszyła wtedy ramionami i wychodząc z pokoju, rzuciła nieuprzejmie:

- Mówisz tak dlatego, bo jesteś stara.

Stara? W wieku trzydziestu dziewięciu lat?

Marcus wrócił do domu kilka minut po pierwszej, kiedy już spała. Obudziła się jednak, gdy wszedł do sypialni, uśmiechnęła się lekko i zaspianym głosem spytała:

- Dobrze było?

- Owszem, ale jeszcze lepiej byłoby z tobą. - Podszedł do łóżka i pocałował ją w czoło.

- Czy przeprosiłeś w moim imieniu Lassiterów?

- Oczywiście, ale tak się jakoś złożyło, że mieli niespodziewanego gościa. Prawniczkę z Ameryki, która jest tutaj na rocznym urlopie. Przyszła z Paulem Farrarem i jego żoną. Ich rodzice są zaprzyjaźnieni.

- Chyba ładna, co? - spytała Eleanor i uświadomiła sobie, że w jej głosie zabrzmiał ostry, wrogi ton. Nic dziwnego, że Marcus obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

- Może nie tyle ładna - odparł rzeczowo - co bardzo świeża i pełna entuzjazmu, jak wszyscy Amerykanie. Zdaje się, że uważa nasz system prawny za przestarzały. Po powrocie do Ameryki zamierza robić specjalizację z prawa międzynarodowego.

- Jak ty?

Marcus przesłał jej następne uważne spojrzenie.

- Tak - skomentował lakonicznie. - Jak się czuje Tom?

- Dobrze.

Zaprzagnęła nagle podzielić się z nim swoim niepokojem dotyczącym syna, powiedzieć mu o poczuciu winy, jakie wzbudziło w niej oskarżenie Toma, lecz gdy tylko zaczęła mówić, Marcus odwrócił się od niej. No tak, pomyślała, moi synowie to mój problem. Już jej dzisiaj raz zarzucił, że się zanadto wszystkim przejmuje i jest nadopiekuńcza.

- Poczekaj - powiedział, przystając w progu. - Tylko wezmę prysznic.

Po kilku sekundach zapragnęła być bliżej niego, wstała więc i pobiegła do łazienki.

- Marcus! - zawołała, przekrzykując szum wody. - Jak się nazywa ta Amerykanka?

- Co? - Wychylił się z kabiny, odgarniając z twarzy mokre włosy.

- Jak się nazywa ta Amerykanka?-

Zrobił zdziwioną minę.

- Aa, ona? Nie pamiętam... Sondra... Tak, Sondra Cabot.

- Typowo anglosaskie nazwisko.

Otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się do niej. Eleanor wpatrywała się w niego zaintrygowana, myśląc, czy kiedykolwiek przestanie ją zdumiewać pożądanie, jakie jego widok często w niej wzbudzał. Allan, taki, jakim go pamiętała z początków małżeństwa, poruszał się trochę niezdarnie, ale w owych czasach ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy ze znaczenia ćwiczeń fizycznych. Szał na punkcie wysportowanej sylwetki nadszedł dopiero później i Eleanor uważała za rzecz zupełnie naturalną, że widok nagiego ciała mężczyzny nie budzi w kobiecie żadnych szczególnych uczuć, że działa na nią dopiero jego dotyk.

Oczywiście, jeszcze zanim spotkała Marcusa, zorientowała się, że nie zawsze tak bywa, ale dopiero po poznaniu go odkryła, że czasami wystarczy sama obecność mężczyzny, by... Upłynęły niemal dwa miesiące, gdy wreszcie Marcus jej wyznał, jak bardzo podnieca go pożądanie widoczne w jej oczach, oraz świadomość, jak starannie to ukrywa. Jego sylwetka też w niczym nie przypominała Allana. Kiedy wyznała mu w sennym rozmarzeniu, że w jej oczach jego ciało ma zmysłowość i męskość uwielbianą



przez greckich rzeźbiarzy, on ze śmiechem odparł, że żaden śmiertelnik nie może rywalizować z taką doskonałością, zwłaszcza gdy ma czterdzieści dwa lata.

Miał czterdzieści dwa lata, lecz nadal potrafił wzbudzać w niej dziwne i przyjemne doznania. Kiedy przyszedł do łóżka i mocno ją do siebie przytulił, pomyślała, że rozmowa o Tomie może poczekać.

- Mmm - mruczał cicho, nakrywając dłońmi jej piersi i obsypując pocałunkami szyję. - Czy mówiłem ci ostatnio, jaka jesteś kochana?

- Nie, ale możesz to nadrobić - szepnęła w odpowiedzi. - Pokaż mi, jaka jestem kochana.

Po chwili wydała ciche westchnienie rozkoszy i dała się porwać cudownej fali doznań, wywołanej przez pieszczoty Marcusa. Całował w tej chwili jej intymne miejsce w sposób, jaki wprost uwielbiała. Poczowała, że zbliża się orgazm, i szepnęła:

- Marcus...

Zadrżała i otworzyła oczy, po czym zamarła widząc, jak otwierają się drzwi i do sypialni wchodzi Tom. Wysunęła się z objęć męża i automatycznie przykryła ich ciała kołdrą. Z ust Marcusa wyrwał się przytłumiony jęk zawodu. Jej ciało również buntowało się przeciwko ingerencji Toma, sercem jednak była już przy dziecku.

- Tom, co się stało? Znów źle się czujesz? - pytała, wkładając pospiesznie szlafrok i prowadząc syna do jego pokoju.

Kiedy go wreszcie uspokoiła i wróciła do sypialni, Marcus już spał. Leżał po swojej stronie łóżka, odwrócony do niej plecami. Eleanor cicho położyła się i znużona zamknęła oczy.

- Nell, masz pół godziny? Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

- Ależ oczywiście, Louise. - Eleanor uśmiechnęła się ciepło do współpracownicy. - Jeśli chcesz się dowiedzieć, czy przeczytałam już wszystkie podania i zrobiłam listę tłumaczy, to wiedz, że nie. Tom źle się czuł i wypadło jeszcze parę rzeczy...

- Nie, nie o to mi chodzi - przerwała Louise szorstko. - To znaczy, to też jest ważne, ale...

Eleanor spostrzegła, że przyjaciółka jest przygnębiona i czuje się jakoś nieswojo, toteż poczuła niepokój.

- Louise, coś się stało? Chyba z Paulem wszystko w porządku?

- Oczywiście - odparła niemal zaczepnym tonem.

Obraziłam ją tym pytaniem, pomyślała Eleanor, widząc czerwone ze złości policzki Louise. Otwierała usta, by ją przeprosić, gdy tymczasem Louise wybuchnęła:

- A dlaczego miałyby nie być w porządku? Bo ty go nie lubisz? Ale wiesz, Eleanor, on jest moim mężem i ma rację, kiedy mówi, że twój antagonizm wobec niego ma wpływ na nasze stosunki w pracy. O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać.

Eleanor wpatrywała się w nią osłupiała. To prawda, nie przepadała za Paulem, nigdy jednak nie powiedziała ani słowa przeciwko niemu, nawet wtedy, gdy próbował mieszać się w sprawy jej firmy.

- Przykro mi, że tak myślisz - zaczęła spokojnie. - Sądzę, że już dawno powinnyśmy były na ten temat porozmawiać...

- Nie, nie - przerwała Louise. - To już nieważne. Teraz chcę porozmawiać o firmie.

Eleanor, tknięta złym przeczuciem, czekała w milczeniu na słowa przyjaciółki.

- Ja i Paul wyjeżdżamy do Francji.

Nie patrzy mi w oczy, myślała Eleanor, starając się ochłoniąć z wrażenia, jakie wywołało w niej oświadczenie Louise.

- Od dawna o tym myślimy - ciągnęła tamta. - Paul ma we Francji znajomych po fachu. Wyjechało tam niedawno kilku naszych przyjaciół i Paul uważa, że zważywszy na efekty otwarcia granic Wspólnego Rynku w 1992 roku, powinniśmy to zrobić, jeśli chcemy sobie i dzieciom zapewnić bezpieczeństwo finansowe.

We Francji mogą pracować tak samo jak w Londynie - a może nawet będzie mi łatwiej. Paul mówi, że będzie nam znacznie bliżej do Brukseli, a Anglia stanie się całkowitą prowincją...

Louise mówiła teraz coraz szybciej, twarz jej poczerwieniała, a oczy błyszczały, kiedy wreszcie odważyła się spojrzeć na współniczkę. To dlatego jest ostatnio taka drażliwa, pomyślała Eleanor, czując, jak jej mózg pracuje coraz wolniej, ponieważ jednocześnie musiała uporać się z szokiem psychicznym i praktycznymi konsekwencjami wiadomości, którą Louise właśnie jej zakomunikowała.

- Louise, przecież jesteśmy współniczkami... - zaprotestowała niepewnie. - Mamy swoje plany, a ty nigdy o niczym takim nie mówiłaś...

- Ale wtedy nie mia miałam zamiaru jechać do Francji - rzuciła Louise agresywnie. - A poza tym Paul myśli, że mój rosyjski będzie miał większą wartość handlową niż... No, w większości krajów europejskich angielski jest znany.

Eleanor zmarszczyła czoło. Co ona chce mi powie-

dzieć? Że jej umiejętności językowe są cenniejsze niż moje? Już miała zacytować wspólnicze słowa Colberta, który był zdania, że po rozpadzie Związku Radzieckiego jeszcze nie wiadomo, jakimi językami urzędowymi zaczną się posługiwać poszczególne państwa, ale czy do Louise cokolwiek dotrze? Szkoda, że wcześniej się nie zdradziła ze swymi planami wyjazdu. Eleanor uważała ją za przyjaciółkę, znakomitą wspólniczkę, lojalną i uczciwą, a ona tymczasem stawiała ją przed faktem dokonanym.

- Chyba mnie rozumiesz, Nell? - Eleanor skrzywiła się z niechęcią, słysząc zdrobnienie swego imienia w ustach Louise, zdrobnienie zarezerwowane wyłącznie dla przyjaciół. - Chłopcy bardzo na tym skorzystają. Londyn nie jest dobrym miejscem dla dorastających dzieci. Ja i Paul znaleźliśmy przepiękny dom, niezwykle tani.

Eleanor zauważyła ze znużeniem, że Louise nerwowo papple trzy po trzy. Zapewne z ulgi, że wykonała zadanie powierzone jej przez Paula.

- Musicie wszyscy do nas przyjechać, kiedy już się tam zdomowimy. Znakomicie mi się z tobą pracowało, ale chyba rozumiesz, jak to jest... No i teraz ta podwyżka czynszu... - Louise wzdrygnęła ramionami. - Paul mówi, że tylko głupcy przepuszczają tego rodzaju okazję.

- Ta-ak... Mam nadzieję, że dobrze ci się ułoży.

Kiedy Louise wstała i podeszła do niej bliżej, Eleanor cofnęła się, pragnąc pozostać jak najdalej. Nie dlatego, że Louise miała zamiar wystąpić z ich spółki, lecz dlatego, że okazała się wobec swej dawnej przyjaciółki nieuczciwa. Eleanor pamiętała, że kiedy Louise wzięła ślub z Paulem, zapewniała ją serdecznie:

- Nell, moje małżeństwo nie będzie miało żadnego

wpływu na nasze interesy. Paul wie, jakie znaczenie ma dla mnie nasza przyjaźń i nasza agencja.

Eleanor wiedziała, że Paul przede wszystkim chce grać pierwsze skrzypce wszędzie tam, gdzie tylko się znajdzie.

- Wiesz, dziwi mnie trochę, że ty z Marcusem nie pomyśleliście o wyjeździe do Francji - ciągnęła Louise.  
- Już same korzyści finansowe są nie do pogardzenia, a kiedy pomyślę, jaką swobodę będą mieli chłopcy... Chodzi nie tylko o to, że francuski system oświatowy jest daleko lepszy niż nasz... Wiesz, chłopcy chodzą na dodatkowe lekcje francuskiego, a Paul już swobodnie posługuje się tym językiem. Teraz przy kolacji mówimy już tylko po francusku...

- Przepraszam, Louise, ale muszę wyjść - skłamała Eleanor.

Rozbolała ją głowa, mrowiło zdrętwiałe ciało. Od kiedy Louise wie o tym wyjeździe? I dlaczego dotąd, starannie wszystko ukrywała? Och, wiesz przecież, podpowiedział jej cyniczny głos. Paul musi najpierw mieć pewność, że wszystko zostało załatwione.

Później telefon do księgowości potwierdził to, co podejrzewała: że bez wspólnika nie będzie w stanie zarobić nawet na pokrycie kosztów utrzymania firmy. A to oznacza... Niby co to oznacza? - spytała siebie z irytacją. Eleanor miała swój własny, niewielki kapitał. Przez lata odkładała pieniądze na wszelki wypadek, gdyby wraz z dziećmi znalazła się w kłopotcie, lecz kwota, jaką uzbierała, była za mała, by umożliwić funkcjonowanie agencji przez dłuższy czas.

Jeszcze przed ślubem oświadczyła Marcusowi, że chce być finansowo niezależna. Wiedziała, że pierwsza żona

Marcusa była rozrzutna i wszystkie pieniądze, jakie zarabiała jako aktorka, wydawała na stroje i gabinety kosmetyczne, czyli na to, co jej zdaniem było w tym zawodzie najważniejsze.

Marcus zarabiał dużo, ale miał spore wydatki. Vanessa uczęszczała do ekskluzywnej szkoły prywatnej i po rozwodzie ojciec wszystko sam finansował. Utrzymanie domu w Chelsea również pochłaniało spore sumy, Eleanor więc nie chciała, by łożył również na potrzeby jej i jej synów, choć chętnie by to zrobił, gdyby się zgodziła.

Ciekawe, jak teraz ma zachować tę swoją niezależność? Koszty utrzymywania agencji wzrastają, zamówień napływa coraz mniej, niektórzy z dawnych klientów już dawno się wykruszyli. Kryzys. Wszyscy walczą o przetrwanie.

Nawet gdyby udało jej się znaleźć posadę, myśl o pracy dla kogoś innego wcale jej nie pociągała, bo przyzwyczaiała się być panią dla siebie. A może poszukać nowego współnika? Skrzywiła się. Zdrada Louise była zbyt świeża, by rozważać ryzyko nowej spółki. Poza tym ich agencja prosperowała nieźle, ponieważ umiejętności Eleanor i Louise się uzupełniały. Jak znaleźć współnika, który mógłby zastąpić Louise?

Po rozmowie Louise wyszła z biura. Niewątpliwie żeby poinformować Paula, że zła wiadomość została już przekazana. Dlaczego, zastanawiała się Eleanor, dlaczego niczego się nie domyślałam? Dlaczego nic mi nie odpowiedziało to jej dziwne zachowanie? Nawet mi na myśl nie przyszło, że Louise mogłaby zechcieć wystąpić ze spółki, że mogłaby uważać swoją znajomość języków za większy atut i czuć się wykorzystywana. Niewątpliwie Paul ją buntował, lecz całej winy za perfidię Louise nie można przecież

zrzucić na niego; Louise jest wszak dorosła i odpowiedzialna.

Eleanor znowu zdała sobie boleśnie sprawę, że nie dostrzega, co się wokół niej naprawdę dzieje. Najpierw nie domyśliła się, że po ślubie z Marcusem Vanessa obróci się przeciwko niej; potem nie zauważyła problemów Toma, który obawiał się utraty miłości matki; a dziś okazało się, że nie miała pojęcia, co knuje jej zaufana współpracowniczka.

No tak, ale ostatnio ma tak mało czasu i tak wiele obowiązków! Już nie pamięta, kiedy spotkała się z Louise na kolacji albo choćby na lunchu, aby porozmawiać o agencji... Kiedyś umawiały się bardzo często. A kiedy to ostatnio spędziła z synami choćby kilka godzin, poświęcając czas wyłącznie im? Weekendy mijały jak błyskawica na gorączkowym organizowaniu zajęć następnego tygodnia, a kontakty z synami ograniczały się do zamówień z ich strony na części ekwipunku sportowego i jej dociekań, gdzie podziały się skarpetki z par, które nieodmiennie trafiały do pralki pojedynczo. Tak wyglądały te dobre tygodnie.

A jak będzie dziś? O szóstej wyjdzie z pracy i przez całe miasto pojedzie po synów do szkoły, by przywieźć ich do domu na kolację. Mają w ogóle szczęście, że ta szkoła organizuje popołudniowe zajęcia sportowe, lecz czy jest to wyjście idealne? Louise z takim uniesieniem opowiadała, jakie to przyjemności będą miały jej dzieci... Świeże powietrze, sporty pod gołym niebem, wokół sami znajomi.

W zeszłym tygodniu nie zgodziła się, by Gavin zaprosił kilku kolegów na sobotę, bo przyjeżdżała córka Marcusa i nie będzie gdzie się bawić. Eleanor oczami wyobraźni widziała, jak Vanessa wkracza do domu i stwierdza, że

„jej” pokój jest pełen jedenastoletnich smarkaczy. Boże, czym by się to skończyło?

Nagle niemal fizycznie zatęskniła za Marcusem, lecz potem przypomniała sobie swą prywatną przysięgę małżeńską, że ich związek będzie oparty na partnerstwie i nigdy nie będzie szukać u męża pociechy. Odgarnęła włosy do tyłu i spojrzała na zegarek. Za godzinę musi jechać po chłopców, a jeszcze trzeba skończyć to tłumaczenie.

- Marcus? Coś się stało?

Eleanor właśnie zgasiła światło w sypialni synów i zeszła na dół. Marcus stał przy oknie i wpatrywał się w ciemność. Przez cały wieczór zachowywał milczenie, a podczas kolacji odezwał się jedynie do Gavina, gdy ten rozpoczął z Tomem jakąś kłótnię.

- Gniewasz się na mnie za wczoraj?

- Wczoraj? - Odwrócił się do niej ze zmarszczonym czołem.

- No, najpierw to przyjęcie, a później Tom.

Marcus pokręcił głową.

- Och, nie, skąd. Dziś po południu miałem telefon od Julii. Zaproponowano jej rolę w jakimś filmie i będzie musiała spędzić miesiąc w Hollywood. Latem. Chce, żebym na ten okres wziął Vanesę.

- No nie! Marcus, przecież mamy za mało miejsca!

- To prawda - zgodził się - ale też nie mam dokąd jej wysłać. No i w końcu jest moją córką.

Eleanor ze smutkiem usłyszała w jego głosie irytację. Czyżby po cichu myślał, że gdyby nie Tom i Gavin, dla Vanessy wystarczyłoby miejsca?

- Czy tłumaczyłeś Julii, jak nam będzie ciasno?



- Owszem - odparł sucho - ale Julia ma dar słyszenia tego, co chce słyszeć. I zdaje się już obwieściła Vanessie, że do nas przyjeżdża.

Eleanor bezradnie zamknęła oczy. Nie żywiła złych uczuć wobec byłej żony Marcusa, była jednak gorzko świadoma tego, że Julia od czasu do czasu utwierdza córkę w jej niechęci do drugiej żony ojca, przedstawiając tę ostatnią w świetle tradycyjnej złej macochy, więc jeśli teraz odmówią przyjęcia Vanessy, niewątpliwie potwierdzi to podejrzenia Julii.

- Och, Marcus... - westchnęła cicho, a potem zrobiła coś, czego nie robiła od lat: wybuchnęła płaczem.

- No, uspokój się - powiedział i objął ją. - Przecież nie jest tak źle.

- Jest gorzej, niż myślisz - oznajmiła i wytarła łzy. - Louise dziś powiedziała, że wycofuje się ze spółki. Wyjeżdża z Paulem do Francji. Kupili sobie dom...

Pół godziny później, gdy uspokoiła się już na tyle, że mogła opowiedzieć mężowi całą historię, upiła łyk wina z kieliszka, który jej podał, i spytała:

- Marcus, co ja mam zrobić? Nie stać mnie na utrzymanie biura, i nie mogę pracować tutaj. Po prostu nie mam gdzie.

- Tak - zgodził się. - Chyba nie mamy wyboru, co? Musimy znaleźć coś większego, i to szybko. Lepiej bierzmy się do szukania agenta od nieruchomości, który by wycenił dom.

- Marcus, tak mi przykro. Wiem, jak go lubisz.

- Ciebie lubię bardziej - powiedział spokojnie, podszedł do niej, wyjął z jej dłoni kieliszek z winem i objął ją.

- Jak myślisz, czy dzisiaj nikt nam nie przerwie? Wiesz, ostatnio czuję się trochę jak złodziej. Zdażę czy nie, zanim któryś z twoich synów do nas wejdzie? W nowym domu już się postaram o to, żeby nasza sypialnia miała system wczesnego ostrzegania, no i dobry zamek.

Później, kiedy już leżeli w łóżku, Eleanor powiedziała ze smutkiem:

- Wiesz, nie tyle mnie martwi to, że Louise odchodzi, ile to, że powiedziała mi o tym w ostatniej chwili. Czuję się tak jakoś dziwnie, bo niczego nie podejrzewałam...

- Ona cię oszukała - odparł spokojnie Marcus. - Zawsze jest nieprzyjemne, kiedy odkrywasz, że oszukał cię ktoś, komu ufałaś. To rani nasze uczucia i naszą dumę...

- Dumę? - spytała ze zdziwieniem.

- Mhm... Ponieważ w ten sposób ktoś nam udowadnia, że popełniliśmy błąd, że zaufaliśmy niewłaściwej osobie.

- No tak - powiedziała Eleanor i dodała: - Najpierw winiłam za to Paula, ale potem pomyślałam, że Louise musiała sama chcieć wycofać się ze spółki. Tylko że nie powiedziała mi o tym ani słowa... Co się ze mną dzieje, Marcus? Czuję, że życie rozlatuje mi się w kawałki. Najpierw Tom, a teraz to...

- Tom?

- Nawet nie miałam pojęcia, że zjadł tyle lodów - rzekła posępnie. - Ty o tym wiedziałeś, a ja nie. Co ze mnie za matka? Co ze mnie za żona, skoro zapominam znaleźć opiekunkę do dzieci, żeby pójść z tobą na kolację? Co ze mnie za współniczka, jeśli nie wiem, co się dzieje pod moim nosem?

- No, dosyć. Nie możesz brać za wszystko odpowiedzialności, Nell. Jesteś tylko człowiekiem i robisz błędy.

Doskonałość to często jałowe i puste pojęcie. To dzięki naszym błędom jesteśmy ludzcy, kochani... - Pocałował ją i spytał cicho: - Czy wiesz, jak bardzo chcę się z tobą kochać?

- Znowu? - spytała z uśmiechem.
- Znowu - powiedział i objął ją. - Bez końca.

Trzy dni później, gdy Eleanor szukała czegoś w swojej teczce i niespodziewanie wpadło jej w ręce ogłoszenie, które wyrwała z magazynu, pomyślała, że to chyba zrzączenie losu. Wykręcając podany pod zdjęciem domu numer agenta, powtarzała sobie, że traci czas, bo dom na pewno jest już sprzedany. Kiedy więc dowiedziała się, że nadal można składać oferty, poczuła niemal dziecięce podniecenie.

Ponownie przyjrzała się fotografii: był to dom, za jakim tęskniła w dzieciństwie - solidny, trwały, bezpieczny. Idealny dla nich. Był na tyle blisko Londynu, że Marcus mógł dojeżdżać do pracy, i na tyle odległy od miasta, że Gavin i Tom mogliby przebywać dużo na świeżym powietrzu. No i dosyć w nim było miejsca dla wszystkich, łącznie z Vanessą.

Ona zaś, jeśli dołoży starań, będzie mogła w nim pracować. Oczywiście, musiałyby regularnie jeździć do Londynu, by odwozić i odbierać tłumaczenia, niemniej dobrych stron przeprowadzki na prowincję było więcej niż złych. Po pierwsze, więcej czasu będzie spędzała z dziećmi. No i z Marcusem.

To będzie wspólny dom, nowy początek dla całej rodziny, coś, w czym wszyscy będą mogli wziąć udział. Vanessa sama wybierze sobie pokój i meble, Tom zyska pewność,

że jego pokój należy wyłącznie do niego. Mając tyle miejsca, będą dla siebie serdeczniejsi. Życie stanie się łatwiejsze bez owych drobnych, lecz potencjalnie groźnych starć, które teraz zdawały się nie mieć końca.

Nie mogła się doczekać powrotu Marcusa. Miała w rękach idealne rozwiązanie ich problemów i dziwiła się tylko, że nie wpadła na ten pomysł wcześniej. Z uśmiechem pomyślała, że może Louise w pewien sposób zrobiła jej przysługę, wycofując się ze spółki? Zaczęła nucić jakąś piosenkę, jej twarz promieniała szczęściem.

# Na dobre i na złe

## 5

- Fern?

Głos męża wzbudzał w niej coraz głębszy niepokój. Nick właśnie wszedł do kuchni i na widok żony zmarszczył czoło. Była gotowa do wyjścia.

- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Obiecałam Robertcie pomóc sortować rzeczy na wyprzedaż.

- O której wrócisz? Po południu jadę do Londynu. Musisz mi spakować walizkę. Będzie mi potrzebny garnitur wizytowy. Czy nie zapomniałaś oddać go do pralni?

- Nie - odpowiedziała cicho, nie wspominając, że na kołnierzyku koszuli widniał ślad damskiej szminki, takiej samej, jaką widziała na ustach Venice podczas owej prozowanej kolacji. Ale w dzisiejszych czasach ludzie się Całują, nawet jeśli są tylko znajomymi. Fern zastanawiała się, dlaczego po prostu nie spyta Nicka, czy jest związany z Venice. Czego się boi? Przecież chyba nie końca ich małżeństwa!

W takim razie czego? Dowodu, że jej wysiłek ostatnich dwóch lat, kiedy starała się utrzymać to małżeństwo, poszedł na marne? Przyznania, że w ogóle nie powinna była wychodzić za człowieka, który z jednej strony twierdzi, że ją kocha, a z drugiej traktuje gorzej niż służącą? Czy bała

się konfrontacji z faktami z jej małżeństwa, czy też z sobą samą? Ale z drugiej strony, jak długo można mieszkać z człowiekiem, który powoli niszczy w niej szacunek dla siebie i napełnia odrazą do kobiety, w jaką ją zmienił?

- A ty kiedy wrócisz? - spytała, zmiierzając w stronę tylnych drzwi.

- Nie wiem! - rzucił ze złością. - Czy moje szare ubranie jest uprasowane? Idę z klientem na lunch.

- Z Venice?

- Tak, z Venice.

- Ostatnio często się z nią widzujesz.

- Co ty, do diabła, próbujesz mi wmawiać? Ona jest klientką, to wszystko. Na dodatek bogatą, a ponieważ teraz interesy idą trochę gorzej... Moje szare ubranie, Fern.

- Uprasowałam.

Nie można tak dalej, powiedziała do siebie, gdy wyszła z domu. Powinni usiąść i uczciwie porozmawiać. Na jej ustach pojawił się gorzki uśmiech. Usiąść i porozmawiać... Ostatni raz rozmawiali z sobą dwa lata temu, kiedy wyszedł na jaw romans Nicka. Wydawało jej się, że był z nią wtedy szczery, i dała się namówić na kontynuowanie ich związku. Wkrótce jednak Nick zaczął się zachowywać po dawnemu, a nawet jeszcze gorzej, ponieważ teraz, ilekroć wybuchał gniewem, rzucał jej zawsze jakąś okrutną i złośliwą uwagę na temat Adama.

Och, zawsze potem przeproszał, tłumaczył, że mężczyźni jest bardzo trudno pogodzić się ze zdradą żony, że naprawdę się stara o tym zapomnieć. Przypominał, jak zszokowani byliby jej rodzice, a potem znowu błagał, by mu wybaczyła i z nim została, że nigdy już czegoś takiego nie powie. A ponieważ rzeczywiście posunęła się do zdra-

dy, w głębi duszy uważała, że musi cierpieć, że musi zostać ukarana.

No tak, jedna chwila głębokiej depresji, impulsywne zachowanie, drobny błąd w ocenie sytuacji. Kto by pomyślał, że ona... że Adam... Och, nie, nie wolno jej o tym myśleć. Tyle że owe wspomnienia to część pokuty, to część kary, jaką ściągnęła na siebie swoim uczynkiem.

Powietrze tego poranka było czyste i rześkie, łagodny wietrzyk zapowiadał ciepły dzień. Wiatr zwichrzył trochę jej włosy, przypominając tym samym, że miała je związać. Adamowi podobały się jej włosy. Kiedyś nawet... Przystanęła, starając się otrząsnąć ze swoich myśli, zepchnąć je w podświadomość i nie przyznawać, że potrafią nią zawładnąć bez reszty.

się spotkać z Robertą w przychodni o jedenastej. Fern mieszkała z Nickiem na przedmieściu, przy ładnej ślepej uliczce pełnej wiktoriańskich domów, które zbudowano w okresie, kiedy do osady dotarła kolej.

Ich dom był częścią dużego bliźniaka i można by z niego zrobić bardzo wygodny i atrakcyjny dom rodzinny, gdyby tylko Nick chciał. Otoczony był dużym ogrodem i miał dodatkowe pięterko. Jego poprzedni właściciele przebudowali już kuchenkę, spiżarnię i pomieszczenie do zmywania naczyń, znajdujące się na jego tyłach, w jedną dużą kuchnię. Kiedy jednak wkrótce po ślubie Fern nieśmiało wspomniała, że można by dobudować oranżerię, Nick odparł, że nie stać ich na takie luksusy.

Starła się więc zmienić wystrój wnętrza i była nawet dumna z pokrytych nową, oryginalną tapetą ścian, zasłon na oknach i narzut, które uszyła z materiałów kupowanych

na wyprzedających. Pewnego dnia spytała Nicka, czy nie mogliby zaprosić na kolację paru osób, by pokazać im dom.

- Kochanie, to wykluczone - odparł. - Czy nie rozumiesz, że każda z tych osób, które zaprosimy, jest moim potencjalnym klientem? Kiedy tylko zobaczą twoje amatorskie osiągnięcia, będą gotowi pomyśleć, że ja też jestem amatorem.

Jego krytyka zgasiła w niej zapał urządzania domu i kiedy trzy tygodnie później niespodziewanie oznajmił, że wynajął firmę i cały dom zostanie odnowiony, z niesmakiem patrzyła, jak wszystkie ściany pokrywają się praktycznymi, lecz bardzo przeciętnymi tapetami. Niewątpliwie to Nick je wybrał i niewątpliwie miał rację, mówiąc, że wszystko wygląda teraz lepiej niż przedtem.

Od tej pory Fern przestała uważać dom za swój; swoje królestwo miała w kuchni, której starała się nadać jak najwięcej wesołych akcentów i ciepła, mimo że Nick dawał jej do zrozumienia, że nie podobają mu się ogrodowe kwiaty, pomalowane na jasnożółty kolor ściany oraz śliczne firanki i pokrowce na krzesła, które pierwotnie miały zdobić pokój. Z zewnątrz ich dom wyglądał na dobrze utrzymany, podobnie jak inne posesje przy tej uliczce, w środku jednak był pusty i zimny.

Fern doszła do zakrętu i zwolniła kroku: przed nią rozciągał się wspaniały widok. W tym miejscu zawsze przeżywała chwilę zachwytu. Miasto stanowiło kiedyś ważne skrzyżowanie szlaków handlowych i chociaż dzisiejsze autostrady omijały je bokiem, w architekturze zachowały się ślady jego bogatej przeszłości.

Po jednej stronie miejskiego placu dominowała gospoda



siegająca piętnastego wieku, chociaż obecna fasada zbudowana była w stylu późnych Tudorów: oryginalne mury z plecionki pokrytej gliną zastąpiły belki i cegły ułożone w jodełkę. Obok zachowała się podobna zabudowa; niegdyś były to prywatne domy, dziś mieściły się w nich sklepy i biura.

Prostopadle do nich stał kamienny kościół, którego wieża strzelała wysoko w niebo. Po okolicy krążyła legenda, że w okresie wojny domowej dzwony kościelne zostały przetopione na broń i zbroję, lecz o ile było Fern wiadomo, informacja ta nie znajdowała potwierdzenia w żadnych źródłach.

Podobnie jak słoje w drzewie zdradzają jego wiek, tak różne etapy rozwoju miasta zostały uwidocznione w jego architekturze. I tak trzeci bok placu zdobiły ładne domy w stylu georgiańskim, niegdyś należące do bogatych kupców, których ściągnęło tu dogodnie pod względem handlowym położenie miasta. W jednym z tych budynków mieściło się biuro Adama. Podczas remontu zostały pieczołowicie odrestaurowane wszystkie elementy z epoki; Adam zwracał szczególną uwagę na detale i nawet farba do ścian została przygotowana według dawnej receptury. Tę recepturę znalazł lord Stanton w swojej bibliotece.

Kierując się w stronę kościoła i przychodni, Fern obrała okrężną drogę, żeby nie przechodzić pod biurem Adama. Słońce odbijało się od grubych szybek staromodnych okien gospody i podkreślało urodę rzeźbionego gzymsu na piętrze sąsiedniego budynku. Na środku rynku stała otwarta po obu stronach hala, zabytek jeszcze z czasów, kiedy poganicze bywała prowadzili swoje stada z jednej części kraju do drugiej.

W ładną pogodę z wieży kościelnej można było dostrzec Kanał Brystolski na zachodzie oraz iglicę katedry w Salisbury na południowym wschodzie.

Adam, z poparciem lorda Stanton, wymusił na lokalnych władzach zgodę na zerwanie asfaltu z placu i ulic, by odsłonić i odnowić piękną, brukowaną nawierzchnię. Przodkowie Adama zamieszkali w tym mieście pod koniec szesnastego wieku i zbili fortunę na organizowaniu przewozów dyliżansem.

Fern nie знаła matki Nicka ani ojca Adama; oboje zginęli w wypadku samochodowym, zanim poznała braci. Adam zawsze z ciepłem mówił o matce Nicka i swych rodzicach, Nick jednak prawie wcale o rodzicach nie wspominał. Fern wiedziała od Adama, że ojciec Nicka opuścił żonę, gdy chłopiec miał zaledwie trzy lata, gdy jednak kiedyś wyraziła z tego powodu żal, Nick zareagował gniewem.

Fern wiedziała również od ludzi, że ojciec Adama, podobnie jak on sam, cieszył się bardzo dobrą opinią i przekazywał duże darowizny na cele dobroczynne. Nicka również traktował bardzo dobrze - może nawet lepiej niż własnego syna. Fern pamiętała swoje zdumienie, kiedy poznała Nicka i odkryła, że kosztowny samochód, którym jeździ - znacznie droższy od samochodu Adama - został mu podarowany przez ojczyca. Pieniądze, dzięki którym założył firmę, były również spadkiem pozostawionym mu przez ojczyca, lecz Nick narzekał, że Adam odziedziczył znacznie więcej.

Być może uważał to za niesprawiedliwość, z drugiej jednak strony czasami przyznawał z rozbijającą szczerością, jak nieswojo się czuje pamiętając, że oj-

czym miał znacznie lepsze stosunki z nim niż z własnym synem.

- To pewnie dlatego, że Adamowi czasem brakuje poczucia humoru.

Fern była zaskoczona tym komentarzem, ponieważ uważała, że Adam ma wyjątkowe poczucie humoru, bardzo zresztą subtelne, a poza tym jest niezwykle spostrzegawczy i wrażliwy, chętny do niesienia pomocy innym. A może zabolęło Nicka to, że mimo iż uważał się za bliższego ojczymowi niż Adam, odziedziczył mniejszą część fortuny? Nie pocieszył go wcale fakt, że był jedynym spadkobiercą majątku matki, co prawda znacznie skromniejszego.

Fern trzymała się jak najdalej od biura Adama. Czy serce musi jej tak szybko bić na samą myśl o tym, że może go zobaczyć? Celowo patrzyła w innym kierunku i walczyła z pokusą, żeby odwrócić głowę i przekonać się, że ten niewyraźny cień w oknie to właśnie on. Adam, szepnęła w myślach i przeraziła się, że mogła jego imię wypowiedzieć na głos. Wreszcie z ulgą ujrzała przed sobą drzwi przychodni.

- Aa, jesteś - powitała ją Roberta. - Wszystko już jest w kościele. Bałam się, że nie przyjdiesz.

, - Nie mogłam wcześniej - tłumaczyła się Fern, gdy szły na drugą stronę brukowanej uliczki, oddzielającej przychodnię od kościoła.

- Popatrz no tylko - jęknęła Roberta, wskazując olbrzymi stos paczek i pakunków w salce przykościelnej. - Boże, czy ty widzisz na tym ślady noszenia? - spytała, wyjmując z którejś paczki kilka sukien. - To od Amandy Bryant. Jedna taka sukienka kosztuje pewnie więcej, niż ja wydaję na swoje ubranie przez cały rok. - Fern pochyliła

się, chcąc odczytać naszywki firmowe. - W tej chyba Amanda była w zeszłym roku na przyjęciu ogrodowym u pastora.

- Rzeczywiście, masz rację - zgodziła się Fern.

Amanda Bryant i jej mąż Edward byli na prozanej kolacji u Venice. Stanowili bogatą parę, która zarobiła mnóstwo pieniędzy na udanych inwestycjach. Wśród miejscowej elity było kilka osób, które wyrażały się o nich z przekąsem, Fern jednak ich lubiła. Amanda miała rubaszne poczucie humoru i Fern często śmiała się przy niej do łez, a przy tym potrafiła autentycznie się cieszyć ze swoich świeżo zarobionych pieniędzy. Bryantowie nie byli pretensjonalni i ich letnie ogrodowe przyjęcie było jednym z największych wydarzeń w miasteczku - więcej gości przybywało chyba tylko na bal sylwestrowy lorda Stanton'a oraz na regaty na rzece, organizowane przez Adama w celach dobroczynnych.

- A to od Venice. Popatrz, same najlepsze firmy, i też prawie nie noszone. Szkoda, że na mnie za małe. - Roberta smętnym wzrokiem obrzuciła swą pulchną figurę. - Ale jest tu coś dla ciebie. Wspaniały kolor.

Fern poczuła obrzydzenie. Miałaby nosić coś, w co być może była ubrana Venice, kiedy spotkała się z Nickiem? W myślach widziała, jak Nick ją rozbiera, dotyka jej skóry, całuje... Fern była tym wszystkim już tak udręczona, że nie czuła zazdrości, a jedynie rozpacz. Wiedziała, że cokolwiek zrobi, niczego nie zmieni. Nie patrząc więc na strój pokazywany jej przez Robertę, powiedziała spokojnie:

- Obawiam się, że nie nadaję się do noszenia olśniewających kreacji. To nie w moim stylu.

Roberta zdusiła westchnienie zawodu. Fern może i bra-

kuje żywiołowej, ekstrawertycznej osobowości Venice, ma jednak znakomitą figurę, której nie są w stanie ukryć jej szare i nudne rzeczy. Cechuje ją także spokój i wrażliwość, które przyciągają ludzi, ma piękną twarz, a te włosy! Nawet mąż Roberty, ten pragmatyczny, prozaiczny Szkot, przyznał, że na włosy Fern nigdy nie może patrzeć spokojnie:

- One są takie, że miało by się ochotę wyciągnąć rękę

.. - Urwał zawstydzony, Roberta więc podniosła brwi i sucho spytała:

- I co?

Oczywiście nie odpowiedział, bo wszystko i tak było jasne. Roberta nie była zazdrosna, znała bowiem męża i Fern bardzo dobrze. No, gdyby coś takiego powiedział o Venice, nie puściłaby mu tego płazem. Venice należała do kobiet, które z przyjemnością sięgały po cudzych mężów, ale Fern...

- Są tu dwa komplety dla dzieci - odezwała się Fern.

- Odłóżmy je na bok - zarządziła Roberta - choć nie sądzę, żeby było ich dużo więcej. Dzisiaj matki na ogół wymieniają się ubrankami dla dzieci.

- Tak chyba jest najlepiej - skonstatowała Fern - bo są bardzo drogie, a dzieci szybko rosną i nie są w stanie ich zniszczyć.

- Mhm... - mruknęła Roberta. - Kiedy ja miałam małe dzieci, nosiły zwykłe ubranka i to im wystarczało. A dziś, ledwie nauczą się mówić, natychmiast domagają się markowych dzinsów i bluz.

Sortowanie ubrań zajęło im kilka godzin, mimo że zrobiły sobie tylko krótką przerwę na kawę i kanapki. Fern bolały kolana i było jej zimno, chociaż na dworze świeciło

słońce. Nick ma wyjechać o piątej, co oznacza, że przyjedzie do Londynu akurat na kolację. Nie powiedział jednak, w którym hotelu się zatrzyma. Fern przypomniała sobie z przygnębieniem, że był dziś rano bardzo zirytowany.

Pożegnała Robertę i ruszyła w drogę powrotną do domu. Nie opuszczało jej pytanie, dlaczego Nick z tak szczególną kurtuazją traktuje Venice. Czy dlatego, że jest mężczyzną, a Venice piękną kobietą? Adam jednak nie patrzył na nią ze skrywanym pożądaniem, które dostrzegła w oczach Nicka. No, dosyć już tego, powiedziała sobie i przeszła przez plac, znowu daleko od biura Adama.

Kiedy opuściła rynek i spojrzała na zegarek, stwierdziła, że ma jeszcze trochę czasu i może sobie pozwolić na chwilę przyjemności. Jeżeli Nick ma rację, wkrótce i to się skończy.

Posiadłość Broughtonów leżała tuż pod miastem, niedaleko jej domu, więc szybko wróci do siebie połą drogą. Kolej, która spowodowała powstanie takich małych uliczek willowych jak jej i Nicka, oznaczała również kres rozwoju miasta jako punktu tranzytowego. Niemal wszystko pozostało potem w takim stanie, w jakim było w połowie dziewiętnastego wieku: zwarte i spójne architektonicznie. Było to jedno z nielicznych miast, którego nie zeszpeciła chaotyczna rozbudowa późniejszych czasów.

Dom Broughtonów stał zaledwie kilometr od rynku, lecz nadal z trzech stron otaczały go pola i lasy. Architekt zaprojektował go tak, że ściana zwrócona ku miastu miała najmniejszą liczbę okien. Początkowo był on własnością bogatego kupca, „nababa”, który powrócił z Indii i krzywił się z niesmakiem na widok wszystkich istniejących w tej okolicy posiadłości. Nakazał on w końcu wybudowanie

domostwa w miejscu swoich narodzin. Ogród i park, zajmujące obszar ponad półtora hektara, zarosły w ciągu ostatniego półtora roku życia pani Broughton, lecz Fern podobała się dzika, nie strzyżona trawa, mech porastający ścieżki i ta szczególna atmosfera, którą ktoś mógłby nazwać atmosferą zaniedbania, lecz którą Fern odbierała jako głęboki sen, jakby posiadłość czekała na właściciela, co magicznym dotykiem przywróci jej dawną świetność.

Kiedy szła przez ogród różany, smutny o tej porze roku, jej wzrok przykuła czapla, stojąca na skraju pokrytego mchem stawu dla karpi. Gdzieś w jego głębi na pewno żyło sporo tych leniwych, tłustych ryb, lecz były za mądre na to, by wypływać na powierzchnię w taki chłód, toteż biedne ptaszysko, mimo swej wytrwałości, będzie się musiało obejść smakiem.

Poprzez zdziczałe rododendrony prześwitywały drzwi i okna domu, lecz Fern nie tego dziś szukała. Odwróciła się i ruszyła ścieżką między starannie niegdyś strzyżonymi krzewami. Po obu jej stronach kwitły resztki kwiatów wiosennych, zasadzonych niegdyś szeroką rabatą, a dziś przygłuszonych trawą. Niemal przez dziesięć minut brnęła przez gęste zarośla, by dotrzeć w końcu do dużej kamiennej misy, usytuowanej w samym środku tej gęstwiny. Przylegającą do misy ławeczkę ożywiały porosty. Podobizny lwów, zdobiące piedestał i oparcia, naruszył już czas.

O tej porze roku w misie widniały jedynie pąki lilii, które po zakwitnięciu wypełniały ją masą kwiatów w barwach od jasnokremowej po głębokie złoto i od jasnoniebieskiej po niemal purpurę. Pani Broughton przyprowadziła ją kiedyś w to miejsce i opowiedziała jego historię. Misę zamówiła i zasadziła w niej lilie babka jej męża, która

zobaczyła coś takiego w Ameryce. Wtedy, gdy Fern stała nad misą z panią Broughton, lilie właśnie kwitły i Fern nie mogła się na nie napatrzeć, wzruszona i przytłoczona ich pięknem.

Jeżeli Nick ma rację i Adam jest udziałowcem firmy zamierzającej kupić dom i zagospodarować jego teren, w tym roku po raz ostatni zapewne dane jej będzie obserwować cud kwitnących lilii. Ze łzami w oczach usiadła na kamiennej ławeczce. Mrugając powiekami, zastanawiała się cynicznie, czy płacze z żalu nad oazą piękną, która ma wkrótce zniknąć, czy z żalu nad sobą?

- Fern!

Znieruchomiała. Nie musiała odwracać głowy, żeby wiedzieć, do kogo należy ten spokojny głos. Dlaczego udajesz zaskoczenie? - spytała siebie. Przecież wiesz, że on tu bywa. Właściwie tylko z tego powodu przyszedł, prawda? Bo przecież nie po to, żeby rozpaczać nad powolnym umieraniem ogrodu... Wstała i odwróciła głowę.

- Adam!

Jej głos nie zdradzał żadnych uczuć. Wyczerpująca wojna, jaką toczyła z sobą bez przerwy, stała się już na tyle częścią jej życia, że rany, jakie odnosiła, uznawała za stan naturalny i pogodziła się z tym, że ból jest ceną, jaką musi zapłacić za swoje winy. Automatycznie cofnęła się w cień zarośli, żeby być jak najdalej od Adama, ukryć przed nim twarz, oczy, tak na wszelki wypadek.

- Widzę, że Venice miała rację - rzuciła lekko. - Chcesz kupić to miejsce. Co tu zbudujesz? Supermarket?

Słyszała w swoim głosie napięcie, czuła, jak drży na całym ciele, oczekując jego odpowiedzi.

Minęły już prawie dwa lata, a jednak wszystkimi zmy-



słami pamiętała to uczucie, kiedy ją obejmował, kiedy sama go dotykała, nieśmiało i niewinnie, jak ktoś, kto kocha kogoś ten pierwszy i szczególny raz. Jakie to było cudowne, ile w tym było radości, zachwytu i niedowierzania. Adam był taki czuły... Ale czy to z troski o nią, czy tylko tak sobie wyobrażała? A może kierowało nim tylko współczucie? Tak czy owak, w tej chwili pewnie nią pogardza, musi więc traktować go chłodno i z dystansem, jeśli chce mu dać do zrozumienia, że ma się nie obawiać, bo ona już nigdy nie zachowa się w sposób upokarzający dla nich obojga.

- A więc naprawdę jej uwierzyłaś, Fern?

Szorstkość jego głosu sprawiła jej niemal fizyczny ból. Skuliła się w sobie, chciała głośno zaprotestować, ale jakoś nad sobą zapanowała.

Adam nie miał chłopięcego wdzięku Nicka, lecz teraz było w nim coś, co przemawiało do niej silniej niż w młodości. Z wiekiem nabrał zmysłowości, ukrytej co prawda i subtelnej, lecz sprawiającej, że Fern odnajdowała w sobie kobietę i teraz, stojąc w bezpiecznej na pozór odległości od niego, poczuła z przerażeniem przypływ bolesnej tęsknoty. Adam miał w sobie siłę, której żadna kobieta nie byłaby w stanie się oprzeć. Fern to czuła i do bólu zazdrościła dziewczynie, którą obdarzył swoimi względami. Kiedyś uważała, że ona jest tą dziewczyną, lecz Nick ją wyśmiał i powiedział, że gdyby Adam naprawdę jej pragnął, już dawno by się z nią kochał. Wzdrygnęła się.

- Jesteś przedsiębiorcą - powiedziała po chwili zmęczonym głosem.

- Jestem architektem - poprawił ją oschle.

- Ale przyszedłeś tutaj - podkreśliła Fern, słysząc

w swoim głosie złość i czując, że się czerwieni. -I to nie bez powodu.

- Ty też tu jesteś - odparł chłodno. - Ciekaw jestem, dlaczego.

Zawsze tak było, ilekroć się spotykali. W ich głosach pobrzmiwała złość, Fern stawiała się napięta i usiłowała ukryć swoje prawdziwe uczucia, a udawać obojętność. Jednocześnie wiedziała, że gdy tylko Adam odejdzie, ona rozpłacze się i godzinami będzie sobie nakazywać, by nie wracać do przeszłości, nie tęsknić...

- Jesteś tu - powtórzył. Czyżby podejrzewał, że śledziła go i przyszła tu tylko dlatego, żeby się z nim spotkać?

- Chciałam zobaczyć ogród, zanim go zniszczysz...

Odwróciła się twarzą do niego, usta jej drżały, promienie słońca rozświetliły jej włosy i przez chwilę zdawała się być częścią otaczającej ją przyrody. Adam wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, w wyobraźni ubierał ją w zielone i żółte szaty, podkreślające wspaniałą urodę jej ciała i subtelność rysów twarzy, przygaszonych szarością stroju, jaki miała na sobie. Nie była w stanie zniszczyć jedynie piękna swoich włosów... Adam odwrócił wzrok. Fern jest żoną Nicka i kocha Nicka, chociaż...

Fern obserwowała go i zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że widziała ten prospekt, który miał w płaszczu. Znowu ogarnęła ją fala bólu. Los jest okrutny i niesprawiedliwy, pomyślała. Dlaczego to właśnie Adam zagraża podobno istnieniu miejsca, w którym odnajdywała spokój i schronienie?

- Muszę iść - powiedziała z trudem. - Nick na mnie... czeka. Jedzie do Londynu i...

Nie skończywszy zdania, odwróciła się i obeszła Adama

szerokim łukiem, kierując się w stronę ścieżki. Domyślała się, że Adam na nią patrzy, lecz wiedziała, że nie znajdzie w sobie dość siły, by spojrzeć mu w oczy. Na ścieżce przyspieszyła kroku. Biegając i potykając się czuła, jak powoli ogarnia ją rozpacz.

# Na dobre i na złe

## 6

Zoe budziła się powoli i niechętnie, niejasno zdając sobie sprawę, że czeka ją coś nieprzyjemnego. Podobnie jak w dzieciństwie, miała ochotę zacisnąć powieki i udawać, że dalej śpi.

Odwróciła się na drugi bok, instynktownie szukając Bena. Jego miejsce było jednak puste. Było już po dziesiątej, a Ben wstawał przed czwartą rano, żeby zrobić dla hotelu zaopatrzenie. Jego praca polegała nie tylko na opracowywaniu menu i nadzorowaniu gotowania potraw, lecz także na kupowaniu produktów najwyższej jakości.

Zoe zaczynała dziś pracę o drugiej po południu, a ponieważ poprzedniego dnia poszli późno spać, byłaby wdzięczna Benowi, że jej nie budził, gdyby nie wczorajsza kłótnia. Czy też raczej to, że to ona próbowała ją wywołać. Wiedziała, że Ben jeszcze nie śpi, kiedy wieczorem wśliznęła się do łóżka, leżał jednak odwrócony do niej plecami i nie odezwał się ani słowem.

I to właśnie zaboląło ją najbardziej: że oddzielił się od niej grubym murem i z góry założył, że ona nie będzie w stanie zrozumieć jego uczuć wywołanych dramatem rodzinnym. Użył przeciwko niej argumentu „klasowości”, mimo że obiecali sobie nigdy tego tematu nie tykać. Wyda-

wało się wręcz, że swoimi słowami chciał celowo wzbudzić w niej odrazę do siebie.

Zoe znakomicie go rozumiała, teraz jednak zadała sobie pytanie, dlaczego to ona, tylko dlatego że jest kobietą, ma iść na ustępstwa, zrozumieć i wybaczyć, podczas gdy on, tylko dlatego że jest mężczyzną, *może* pozbyć się bólu, wyładowując się na niej? Jego ostatnie słowa wczorajszego wieczoru brzmiały:

- Ty nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Pozornie jest ci przykro i bardzo nam współczujesz, ale w środku wszystko się w tobie skręca. Reagujesz jak zdrowy człowiek na widok trędowatego. W ciągu dwóch tysięcy lat cywilizacji nic się nie zmieniło, prawda, Zoe? Ty żyjesz w swoim czystym i uprzywilejowanym świecie i nie masz pojęcia, jak wygląda życie ludzi takich jak moja siostra.

Zoe była bliska łez. Próbując się bronić, popełniła największy tego wieczoru błąd.

- Sharon może przyjechać do nas - zaproponowała w dobrej wierze. - Znajdę jej pracę. - Znajdę jej pracę. W hotelu zawsze szukają...

- Na litość boską! - wybuchnął Ben. - Przecież ona jest już w siódmym miesiącu ciąży i potrafi jedynie cały dzień gapić się w telewizor. Ona nie chce żadnej pracy! Ona już tylko czeka na urodzenie dziecka i myśli, że to w cudowny sposób odmieni jej życie. Odmieni, tylko nie tak, jak ta idiotka sobie wyobraża. Czy wy, kobiety, jesteście wszystkie ślepe i nie widzicie, co to naprawdę znaczy mieć dziecko?

- A co to znaczy, Ben? - spytała nieśmiało. - Wytlumacz mi.

Obrzucił ją gorzkim, cynicznym spojrzeniem.

- To oznacza dodatkową gębę do wykarmienia i mniej pieniędzy; to oznacza bezsenne noce i wszechobecny smród skwaśniałego mleka i nie tylko; to oznacza całkowite zniszczenie uczucia, jakie łączyło matkę z ojcem - oczywiście jeśli do urodzenia dziecka są jeszcze razem. Ale po co ja ci to wszystko mówię? Przecież dla ciebie problem urodzenia dziecka sprowadza się do znalezienia dobrej kliniki, potem dobrej niani, a w końcu jeszcze lepszej szkoły. To wszystko, co na ten temat wiesz.

Chciała mu powiedzieć, że się myli, zamiast tego jednak spytała cicho:

- Ben, co dla ciebie znaczy być ojcem?
- Nic, bo nie mam zamiaru nim zostać.

Z tymi słowami położył się do łóżka, zgasił światło i ostentacyjnie odwrócił się do niej plecami.

Na próżno w nocy czekała, aż Ben się opamięta, przeprosi ją i przytuli. I dlatego dziś rano obudziła się smutna i przygnębiona. Niechętnie wstała z łóżka i powoli ruszyła do łazienki.

Pchnęła drzwi i stanęła w progu jak wryta: łazienka była pełna powycinanych z gazet kolorowych obrazków, przy-mocowanych do różnych powierzchni taśmą klejącą lub pinezkami. Zoe pobiegła do saloniku: tam ujrzała mnóstwo dużych serc wyciętych z czasopism, a na nich napisane flamastrem słowa „Kocham cię”. Małe serduszka wycięte ze srebrnej folii były połączone w łańcuch i kołysały się w drzwiach. Obok nich tańczyły w przeciagu duże, tłuste świnki o malutkich oczkach i zakręconych ogonkach, zrobionych ze wstążki do pakowania prezentów. Zoe zaczęła się śmiać, w jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia.

To znaczy, że Ben wcale nie spał tej nocy, bo przecież

zrobienie tego wszystkiego zajęło mu wiele godzin. Na największej ze świnek, opartej o kran w kuchni, widniało słowo „Przepraszam”. Och, Ben!

Zoe zbierała po kolei wszystkie serduszka i świnki, wygładzała ich powierzchnię i składała na pół, wypatrując wśród szpargałów dużej koperty, do której mogłaby te pamiątki schować. Wiedziała, ile rodzina znaczy dla Bena i rozumiała, jak bardzo cierpi z tego powodu, że jego zdolna siostra jednym nie przemyślanym krokiem zmarnowała sobie życie. Zoe i Ben nigdy nie rozmawiali na temat pomocy finansowej, jakiej on udzielał matce. Nie powiedział tego wprost, ale to oczywiste, że teraz będzie musiał ją zwiększyć.

Gdy skończyła zbieranie wycinków, spostrzegła list, nadal leżący na stole. Zapomniała wczoraj powiedzieć o nim Benowi, a on sam najwyraźniej go nie zauważył. Wzięła kopertę do ręki i spojrzała na nią niepewnie. Dziś list nie budził w niej takiego podniecenia jak wczoraj. Po raz pierwszy w życiu poczuła lekką irytację na myśl o rodzinie Bena. Uświadomiwszy to sobie, nerwowo poruszyła głową i ponownie utkwiała wzrok w kopercie.

Oto trzyma w ręku przyszłość swoją i Bena. Wspaniała, cudowną przyszłość, na którą oboje tak ciężko pracowali. Ben zasłużył na to, a teraz, z powodu jego rodziny i wczorajszej kłótni, na tej przyszłości położył się cień. Zoe ujrzała ostry kontrast między ich radosną perspektywą a życiem siostry Bena i jej dziecka.

Zastanawiała się z pośepną miną, czy jest samolubna, czując niechęć do Sharon? Powinna współczuć tej biednej dziewczynie, a tymczasem ma do niej pretensje, że zepsuła tę szczególną chwilę w ich życiu, zrzucając swoje proble-

my na barki brata. A może Ben ma rację, myślała dalej Zoe, i ja naprawdę nie jestem w stanie zrozumieć ich życia? A jak bym się czuła w sytuacji Sharon? Och, mnie się takie rzeczy nie przydarzają.

Gdy chodziła do szkoły, co jakiś czas któraś z dziewcząt zniknęła na krótko i krążyły wtedy pogłoski, że rodzice wywieźli ją do prywatnej kliniki, żeby usunąć nie chcianą ciążę, zanim stanie się ona widoczna. Plotki te były jednak wszystkim, co do Zoe docierało. Oczywiście, w jej świecie zdarzały się też nieślubne dzieci, lecz los tych dzieci nie był wcale tak dramatyczny jak w świecie Bena.

Te dzieci były zawsze „upragnione” lub też mówiło się: „Och, moja droga, to był przypadek, ale teraz oboje jesteśmy tym zachwyceni i mama wprost nie może się doczekać”. Te dzieci rodziły się również w poważnych, trwałych związkach, a ich rodzice krzywili się z niesmakiem na myśl, że ich związek miałby zostać scementowany czymś tak przyziemnym i proletariackim jak ślub.

No tak, w jej świecie nie było dziewczyn takich jak Sharon, a jeśli nawet któraś zbłądziła, nigdy się o tym nie mówiło. Ben był jej przyjacielem i kochankiem, a na temat jego czy swojego pochodzenia nigdy nie rozmyślała. Była dumna z Bena i jego osiągnięć i nie czuła się od niego ani lepsza, ani gorsza. Z rzadka do jej świadomości docierał fakt, że w życiu Bena jest coś, od czego chętnie by ją odsunął.

Uznała w końcu, że jest małostkową egoistką, skoro złości się, że problemy Sharon rzuciły cień na ich szczęście. A może jest raczej zła na Bena, że do tego dopuścił? Ale co mógłby zrobić? Wrócić z Manchesteru i udawać, że nic się nie stało? Miałby ukryć przed nią prawdę po to, by nie psuć jej przyjemności i by nie dzieliła jego zmartwień?



Oczywiście, nie. Kochała go i chciała dzielić z nim zarówno przyjemności, jak i ból, toteż przed wyjściem do pracy oparła list o czajnik, a obok niego położyła karteczkę z napisem „Ja też cię kocham”, pod którym narysowała serce.

Biedna Sharon, myślała, wychodząc z domu. Leży całą noc z otwartymi oczami, trzymając rękę na brzuchu i marzy o człowieku, który pokocha ją i dziecko. No tak, to rzeczywiście straszne. Ben wcale nie ukrywał, że jego zdaniem Sharon powinna była usunąć ciążę, i Zoe się z tym zgodziła. Sharon jednak nie brała takiej możliwości pod uwagę i teraz było na to za późno. „Jeszcze jedna gęba do wykarwienia”, powiedział Ben i Zoe usłyszała w jego głosie złość, że to znowu on będzie musiał wziąć na swoje barki następny nieprzewidziany ciężar.

Ben nie chciał mieć dzieci, ale Zoe też w tej chwili o tym nie marzyła. Może później, znacznie później, kiedy osiągnie wszystko, co zamierza.

Zoe zaczynała pracę o drugiej i powinna ją skończyć o dziesiątej, w rzeczywistości jednak dopiero przed północą mogła wsiąść do swego wysłużonego, lecz niezawodnego samochodu. Gdy dotarła do domu, była już prawie pierwsza. Szukając klucza pomyślała, że Ben już pewnie śpi, kiedy niespodziewanie otworzył jej drzwi.

- Ben! - zawołała uszczęśliwiona.

- Przepraszam... za wczoraj - powiedział, wyciągnął do niej rękę i nogą zamknął drzwi.

- Już dobrze - szepnęła. - Byłeś zdenerwowany. Widziałeś list?

- Jaki list? - spytał leniwym głosem, całując jej szyję, lecz jego zdawkowy ton nie zmylił Zoe.

- Dobrze wiesz, jaki. Czytałeś go?

- Nie. - Ben puścił ją i uśmiechnął się ciepło. - Chyba nie myślisz, że mógłbym go przeczytać bez ciebie? Chodź...

- Nie - odparła Zoe. - Przeczytamy go w łóżku, żebyśmy mogli od razu uczcić dobrą wieść.

- A jeśli to nie jest dobra wieść? - spytał Ben.

- To będziemy we właściwym miejscu, żeby się pocieszyć - uśmiechnęła się Zoe. - Ale to nie będzie zła wieść.

Chwilę później Zoe zmusiła Bena do otwarcia koperty, sama zaś zamknęła oczy i w napięciu czekała na jego słowa. Kiedy jednak Ben milczał, nie wytrzymała, otworzyła oczy i spytała:

- No co?

Ben podał jej list i prospekt, który był do niego dołączony. Zoe szybko przebiegła wzrokiem jego treść, po czym spojrzała na lśniące zdjęcie domu.

- Och, Ben! Ten dom jest... idealny!

- Ale nie przeczytałaś dokładnie listu - przerwał jej Ben, widziała jednak, że się uśmiecha i że jest niemal tak samo podniecony jak ona.

- Nie obiecuj sobie za wiele - ostrzegł ją później, gdy list został już przeczytany z dziesięć razy. - Clive pisze, że wiele spraw trzeba jeszcze załatwić. Najpierw musimy uzyskać zezwolenie na przebudowę stajni, potem...

- Cudowne jest to miejsce - przerwała mu podniecona. - Popatrz tylko na otoczenie.

- Masz rację, jest piękne. Ogrody jednak mają to do siebie, że trzeba o nie dbać.

- Oczywiście, ale spójrz tylko na ten warzywnik...

Sam mówiłeś, że ludzie coraz więcej wagi przykładają do sposobu uprawiania żywności, do jej przygotowania...

- Do uprawiania naszych własnych warzyw jeszcze daleka droga, Zoe. Bardzo daleka.

- Ale mając ten dom, będziemy mogli o tym myśleć, prawda?

- Jeszcze nie wiemy, czy Clive zdoła to kupić - powtórzył Ben. - Na razie pisze tylko, że ten dom nadaje się na restaurację i że z powodu swojego stanu nie będzie zbyt drogi.

- No tak, ale Clive pisze też, że w tej okolicy mieszkają zamożni ludzie i że wytworna restauracja będzie miała powodzenie. A poza tym śluby i inne okazje... Popatrz, a tu będzie można otworzyć reastaurację na otwartym powietrzu, o, a tata dalej jest duży staw...

- Który pewnie będziemy musieli zasypać, jeżeli nie chcemy marnować czasu na wyławianie pijanych gości weselnych - dokończył Ben.

- Nie oszukasz mnie - powiedziała. - Wiem, że się cieszysz. Kiedy tam pojedziemy? Clive prosi o podanie daty... Ben, co ty robisz? - spytała, gdy ją objął i zaczął całować.

- Mówiłaś coś o uczczeniu - mruknął między pocałunkami.

- Ale już druga, a ty musisz o czwartej wstać.

- Nie ma potrzeby czekać do czwartej. Już wstałem. Sprawdź.

Zoe roześmiała się z niedowierzaniem. To było do niego niepodobne - takie żarty i zachowanie. Nagle poczuła się w siódmym niebie i z radością odpowiedziała na jego pieśszoty.

- Czy w niedzielę będziesz grał w rugby? - spytała później, tuląc się do niego przed snem.

Ben grywał w rugby z kolegami z pracy, ilekroć nadarzała się okazja. Zoe chodziła z nim często, by mu kibicować. Tę niedzielę miała jednak zajęta pracą.

- Ile masz jeszcze urlopu? - spytał Ben.

- Chyba parę dni - odpowiedziała sennie. - Dlaczego pytasz?

- Tak sobie myślę, że może kiedy pojedziemy obejrzeć ten dom, zostaniemy tam na kilka dni, żeby się rozejrzeć i zorientować, czy może nam zagrażać konkurencja.

- Och, Ben, cudownie. - Zoe usiadła z wrażenia. - Myślisz, że możemy sobie pozwolić na krótkie wakacje?

Wiedziała, że Ben bardzo rozważnie wydaje pieniądze, co jednak wcale nie oznaczało skąpstwa. Zarabiała więcej niż Ben, on nie lubił jednak, gdy płaciła za wspólne „eskapady”. A teraz miał jeszcze na głowie problem Sharon.

- Ależ oczywiście. Zawsze możemy to uznać za wyjazd służbowy - dodał sucho. - Przecież tak się robi. A poza tym, dlaczego ja mam za wszystko płacić? Wiesz, jeśli ten interes ma być opłacalny, będziemy musieli ściągnąć do siebie wszystkich tych biznesmenów z dużym funduszem reprezentacyjnym. Prowadzenie hotelu to nie to samo, co prowadzenie restauracji.

Zoe usłyszała w jego głosie napięcie i zmarszczyła czoło. Była już w pełni rozbudzona, podobnie jak Ben. O tym samym rozmawiał podczas swej pierwszej rozmowy z Clive'em.

Ben zawsze chciał mieć własną restaurację. W gruncie rzeczy to on prowadził lokal, w którym obecnie pracował, choć jego właściciel, Włoch imieniem Aldo, nigdy by tego

nie przyznał. Był zgorzkniałym, niesympatycznym człowiekiem, u którego kucharze długo nie zagrzewali miejsca, mimo że restauracja należała do popularnych.

Aldo miał ponad pięćdziesiąt lat i był ożeniony z Angielką. Ben uważał, że przyczyną jego złego humoru i niechętnego nastawienia do pracowników jest właśnie to małżeństwo. Aldo nie ukrywał faktu, że gdyby nie był kiedyś taki głupi i nie zakochał się w Angielce, prowadziłby teraz prestiżową rodzinną restaurację w Rzymie. Rodzina Alda nigdy nie zaaprobowwała tego związku i jego dzieci były traktowane z dystansem. Zoe współczuła jego żonie, Ben jednak nie bardzo ją lubił.

- Przecież ona może go opuścić - powiedział kiedyś. - Właściwie nawet powinna, ale tego nie robi, bo wsadzanie mu szpilek sprawia jej przyjemność, a on odgrywa się na nas.

- Możesz przecież zmienić pracę - zasugerowała Zoe.

- W tej chwili to nie takie łatwe. Może ty tego nie widzisz, bo pracujesz w hotelu na lotnisku, ale my mamy coraz mniej rezerwacji na środek tygodnia.

Ben martwił się tym, że kryzys gospodarczy może opóźnić lub wręcz obrócić wniwecz jego plany założenia hotelu. Zoe starała się wyperswadować mu to i powtarzała, że jest chyba jedynym człowiekiem, któremu brakuje wiary w siebie, może więc powinien pójść w ślady jej lub Clive'a. To właśnie Clive przekonał ich o tym, że oprócz restauracji powinni pomyśleć także o ekskluzywnym hotelu poza miastem.

Ben początkowo nie był pewien, czy zdoła unieść taki ciężar, Zoe jednak twierdziła, że posiadanie jednego i drugiego pozwoli im wykorzystać swoje umiejętności. Gdyby poprzestali na restauracji, Zoe nie miałyby co w niej robić

- najwyżej mogłaby na pół etatu prowadzić księgowość. W takiej sytuacji nie mogłaby zwolnić się z pracy, a zważywszy na godziny nadliczbowe i popołudniowe dyżury, pozostałoby jej niewiele czasu na widywanie się z Benem.

W końcu przyjął jej argumenty, choć zachował swą zwykłą rezerwę. Może to i dobrze, pomyślała Zoe, bo ona sama często wykazywała nadmierny optymizm i traciła z oczu zagrożenie.

- To kiedy tam pojedziemy, Ben? - spytała niecierpliwie. - Nie mogę się doczekać.

- Spokojnie, Zoe. Przed nami jeszcze długa droga.

- Ostrożny, rozważny Ben... Zawsze musi się martwić...

- No cóż, jedno z nas powinno, a ponieważ to na pewno nie będziesz ty...

Zoe przestała się uśmiechać. Czy jej optymizm go męczy? Czy ona go czasem męczy? Czy poczucie odpowiedzialności za nią jest dla niego ciężarem? Podobnie jak za rodzinę?

- Ben - zaczęła niespokojnie.

- Zostaw to mnie - powiedział sennym głosem. - Zadzwoń do Clive'a.

Zoe po chwili stwierdziła, że Ben śpi kamiennym snem i byłoby egoizmem budzić go, by o to wszystko spytać. Sama jednak długo jeszcze leżała w ciemnościach, *bijąc się* z myślami.

# Na dobre i na złe

## 7

- Marcus, chyba znalazłam dom.

Eleanor zebrała informacje dotyczące domu w hrabstwie Wiltshire już trzy dni temu, czekała jednak na odpowiednią chwilę, by porozmawiać z mężem. Wiedziała, że jest zirytowany, i to nie tylko z powodu wyjazdu byłej żony do Ameryki i konieczności wzięcia do siebie na ten okres Vanessy, lecz również z powodu zawiłości sprawy, jaką ostatnio prowadził.

Jeszcze przed ślubem zorientowała się, że Marcus jest typem człowieka, dla którego praca jest nie tylko źródłem zarobkowania, lecz także przyjemności; każda sprawa tak go absorbowała, że rodzina musiała wykazać dużo cierpliwości i wyrozumiałości,

Julia tego nie pojmowała i dlatego ich małżeństwo nie wytrzymało próby czasu. Eleanor zaś była szczęśliwa, że zakochała się z wzajemnością i nie miała zamiaru wytykać Marcusowi godzin poświęconych pracy. W końcu miała już niemal czterdzieści lat i cieszyła ją zarówno finansowa niezależność, jak i myśl, że dokonała tego sama. Ileż to razy bywało, że pracowała do późna w nocy, zapominając o wszystkim.

Ideałem byłoby, gdyby potrafili tak poukładać swoje sprawy zawodowe, by znaleźć parę chwil wyłącznie dla

siebie, ale okazywało się to dosyć trudne. Teraz usłyszała, jak Marcus mruczy coś w odpowiedzi na jej oświadczenie.

- Marcus - powtórzyła z naciskiem. - Słyszałeś, co powiedziałam? Chyba znalazłam odpowiedni dom.

- Co? Ach, tak, przepraszam. - Uśmiechnął się i odłożył gazetę.

- W sobotę mamy go obejrzyć. -

- W sobotę?

- Vanessa przyjeżdża w następny weekend - przypomniała mu Eleanor. - A ty mówiłeś, że może będziesz musiał pojechać do Hagi.

- Do Hagi... Nie, nie, musieliśmy to przełożyć. Trzeba najpierw coś wyjaśnić. Ta sprawa okazuje się znacznie bardziej skomplikowana, niż myśleliśmy. Na którą się umówiłeś?

- Na pierwszą. Będziemy mieli dość czasu, żeby tam dojechać.

- Dojechać? Gdzie dojechać?

- Do Wiltshire.

- Wiltshire? Sądziłem, że szukamy domu w Londynie!

- Tak - zgodziła się pośpiesznie - ale ja to wszystko przemyślałam, Marcus. Życie na prowincji ma tyle zalet, że dziwię się, że nie przyszło nam to do głowy wcześniej. Przede wszystkim będę mogła pracować w domu, a to znaczy, że będę miała dużo czasu dla dzieci. Chłopcy pójdą do miejscowej szkoły, będą mieli blisko siebie kolegów, no i skończy się to wożenie ich przez pół miasta.

Będziemy mieli tyle miejsca... Nie tylko dla Vanessy, ale i dla przyjaciół. A poza tym, to hrabstwo wcale nie jest tak daleko. Agent powiedział mi, że z Salisbury znakomicie dojeżdża się na dworzec Waterloo. Poza tym, pomyśl:



za te same pieniądze będziemy mieli wielki dom. Mam tu wszystkie szczegóły, jeśli...

- Eleanor, ja...

W tej chwili zabrzmiał dzwonek telefonu. Marcus wstał, podniósł słuchawkę i zawołał do żony:

- To Jade do ciebie. Słuchaj, teraz muszę wyjść, ale...

- Tylko mi nie mów, że w sobotę nie dasz rady pojechać - powiedziała Eleanor, całując go w policzek. - Tak się cieszę, Marcus. Wiem, że to głupie, ale odkąd zobaczyłam zdjęcie tego domu, coś mnie do niego ciągnie. To będzie prawdziwy dom dla nas wszystkich.

Położyła mu rękę na ramieniu i poczuła, jak naprężają mu się mięśnie. Oprócz zapachu wody kolońskiej wyczuła zapach Marcusa i na jej ustach pojawił się lekki uśmiech zadowolenia. Ile kobiet w jej wieku mogłoby się przyznać do tego, że w zwykły, powszedni dzień o siódmej rano podnieca je dotyk męża? Tyle że nie można było nic z tym zrobić, bo w tej samej chwili usłyszała zbliżające się kroki syna i Marcus nieco się od niej odsunął.

- Nell, ja...

- Musisz już iść, wiem - powiedziała, dodając w myślach, że jeszcze musi dowiedzieć się, w jakiej sprawie dzwoni Jade, odwiedzić chłopców do szkoły, omówić z księgowym szczegóły związane z opuszczeniem biura, postarać się, żeby te ostatnie kilka tygodni z Louise przebiegło jak najspokojniej... Marcus siedział już w samochodzie, kiedy podniosła słuchawkę.

- Jade, przepraszam. Marcus właśnie wychodził.

- Czy możesz się ze mną umówić na lunch? - spytała przyjaciółka. - Pod koniec tygodnia wylatuję do Nowego Jorku, a nie widziałyśmy się już od wieków.

- Chyba tak - odparła Eleanor, szybko przypominając sobie harmonogram dnia. - O której i gdzie?

Uśmiechnęła się do siebie, gdy Jade, jak było do przewidzenia, wymieniła drogą i modną restaurację.

Prospekt ze zdjęciem domu wzięła z sobą, chowając go w teczce niczym cenny talizman. Ach, ileż jej ten dom przyniesie radości! Jakie cudowne są te zakurzone stryszki nad garażami, które w wyobraźni już przekształciła w pracownię dla siebie oraz olbrzymi pokój dla chłopców, idealny na wilgotne, zimowe dni, gdzie przy kominku będą mogli się uczyć przy dużych biurkach, ustawionych na ciemnej, wyfroterowanej podłodze.

Dom miał siedem sypialni i wszystkie były na tyle duże, by dobudować do nich łazienki. Oczywiście, Vanessa urządzi sobie swoją sypialnię jak zechce. Eleanor pamiętała, jak w młodości zaczytywała się w książkach historycznych i marzyła o łóżku z baldachimem, którego oczywiście nigdy nie miała.

A na dole... Na dole będzie salon, pokój dzienny, jadalnia, gabinet Marcusa, no i oczywiście kuchnia. Taka kuchnia, jaka stanowi serce domu: duże, prostokątne pomieszczenie, umeblowane solidnymi drewnianymi szafkami, a na środku duży drewniany stół, przy którym zasiądą dzieci, gdy ona będzie gotować.

Nagle usłyszała klakson stojącego za nią samochodu. No tak, rozmarzyła się i nie zauważyła zmiany świateł. Poza miastem nie ma tylu skrzyżowań, pomyślała z uśmiechem i wrzuciła bieg. Gdy zaparkowała samochód i skierowała się do biura, zauważyła, że idzie coraz wolniej. Odkąd Louise oznajmiła jej o swoich planach, atmosfera w pracy

stała się nieco napięta. Eleanor czuła się zdradzona, a Louise coraz częściej zachowywała się nieuprzejmie.

Eleanor nie potrzebowała psychologa, by wiedzieć, że agresja Louise wynika z poczucia winy, tyle że Louise tak silnie uległa wpływom Paula, że do winy w ogóle się nie przyznawała, natomiast otwarcie demonstrowała złość i niechęć wobec współpracownicy. Kiedy nie chełpiła się swą troską o dzieci, którym pragnęła zapewnić lepsze warunki, dawała Eleanor do zrozumienia, że jej umiejętności językowe przyczyniły się do sukcesu firmy znacznie bardziej niż talenty Eleanor. Eleanor była tym początkowo nieco skonsternowana, teraz jednak coraz częściej miała ochotę odpłacić dawnej przyjaciółce pięknym za nadobne.

Powtarzała sobie, że obecna Louise nie jest tą samą kobietą, którą poznała, której powierzyła swoje sekrety i z którą spędziła tyle trudnych chwil, walcząc o utrzymanie się na rynku. Łączyło je wiele zmartwień, ale często również razem się śmiały. Dziś najbardziej bodaj brakowało jej tego śmiechu. Śmiech między kobietami-przyjaciółkami to rzecz bardzo szczególna, inna niż radość dzielona z mężczyzną.

Eleanor zawsze ceniła swoje przyjaciółki i uważała Louise za jedną z bliższych, może nie tak bliską jak Jade, ale z Jade znały się w końcu od czasu studiów... Spotkały się w gruncie rzeczy w pociągu. Jade nie nazywała się wtedy Jade, lecz Janet Anne. Eleanor pamiętała, że pociąg szarpnął i kiedy opadła na siedzenie, Jade patrzyła ponuro na leżący na jej kolanach notatnik, na którym wielkimi literami było napisane: Janet Anne Hewitt. Eleanor prosiła, i wtedy Jade spojrzała na nią równie ponurym wzrokiem. Przed wyruszeniem na uniwersytet Eleanor od-

wiedziała dziadków i miała wtedy na sobie zielononiebieski sweter w kolorze jadeitu, który babka podarowała jej w prezencie.

- Już wiem - oświadczyła Janet Ann. - Jade... Fensham. Tak się będę teraz nazywać. A przy okazji... okropnie ci w tym kolorze. Czy nikt ci tego nie powiedział?

Eleanor zawsze uśmiechała się na myśl o ich pierwszym spotkaniu. Były tak do siebie podobne jak ogień i woda, lecz być może dlatego ich przyjaźń przetrwała wszystko.

Jade pisywała teraz artykuły na temat mody i była szczupłą, elegancką kobietą, która mimo wysiłków nie potrafiła zapanować nad gęstwą czarnych kręconych włosów. Wyznała kiedyś Eleanor, że jej oliwkowa cera i owe czarne włosy to dziedzictwo tajemnego związku między jej babką a czarnym amerykańskim śpiewakiem bluesa. Eleanor nie dociekała, czy to prawda, ponieważ wiedziała, że Jade lubi otaczać się nimbem tajemniczości. Cieszyła się, że ma ją dzisiaj zobaczyć.

Ona i Louise miały o wpół do jedenastej spotkać się z księgowym, by rozwiązać spółkę i poczynić finansowe ustalenia. Księgowy się spóźnił, a Louise wzdychała głośno i z irytacją mruknęła, że trzeba było skorzystać z rady Paula i zatrudnić jego księgowego.

- Ale Charles pracuje z nami od początku - powiedziała Eleanor spokojnie.

- I oczywiście jest twoim przyjacielem - odparowała Louise.

Eleanor nie chciała jej przypominać, że tę decyzję podjęły wspólnie i że to właśnie Charles, a nie księgowy Paula, załatwił pożyczkę hipoteczną, której Louise z Paulem potrzebowali na kupno domu. Kiedy Charles wreszcie przy-

szedł, natychmiast przeprosił je i wyjaśnił, że spóźnił się z powodu wypadku na drodze.

Spotkanie miało bardzo niemiły przebieg. Mimo że to Louise chciała rozwiązać spółkę, z wyraźną przyjemnością stawała w każdej sprawie okoniem, dając do zrozumienia, że poprzednia umowa została zawarta z korzyścią dla Eleanor i teraz ona, Louise, musi to sobie powetować.

Eleanor kilkakrotnie musiała ugryźć się w język i powtórzyć sobie, że w tej chwili tak naprawdę słucha przecież Paula, a nie Louise, lecz gdy ta oświadczyła, że to ona powinna zatrzymać nazwę spółki do swego wyłącznego użytku, w końcu się zbuntowała. Nazwę wymyśliła Eleanor i gdy stanowczo przypomniła to współpracownicy, ta wybuchnęła tak nieprawdopodobnymi oskarżeniami, że *Eleanor stwierdziła, iż nie znała tej kobiety zupełnie.*

Pół godziny później została w swoim gabinecie z Charlesem i z niedowierzaniem słuchała, - kiedy jej mówił, że Louise zawsze jej zazdrościła.

- Nie - zaprotestowała. - Przecież byliśmy przyjaciółkami.

- Tak, ale ty zawsze grałaś pierwsze skrzypce, ty miałaś pomysły, a Louise ciebie słuchała. Nie ma w tym niczego złego; światu potrzebni są przywódcy i ci, którzy ich słuchają. Louise podziwiała cię i początkowo była z wszystkiego zadowolona. Problemy zaczęły się chyba wtedy, kiedy poznała Paula. Jak wiesz, Paul jest typem przywódcy i nie chciał, żeby Louise musiała słuchać i jego, i ciebie.

- I dlatego zniszczył naszą spółkę? Dlatego zbuntował Louise przeciwko mnie? To śmieszne!

- Czyżby? - spytał Charles. - Takie rzeczy zdarzają się bardzo często. Podejrzewam jednak, że Louise czeka pra-

wdziwy szok, i Paula też. On nie słucha dobrych rad. Ostrzegałem go przed tym *chateau*, ale on ma swoich własnych doradców finansowych i oni inaczej na to patrzą. A propos, jak się miewa Marcus?

- Dobrze, choć jest bardzo zapracowany. - Eleanor zagryzła wargi. - O jeszcze jednym chciałabym z tobą porozmawiać, Charles. Marcus i ja myślimy o przeprowadzce.

- Co? - Charles był autentycznie zdziwiony. - Marcus mówił mi niedawno, że wasz dom jest idealny.

- Był - odparła sucho. - Teraz jest już trochę za mały, a poza tym jest po złej stronie Londynu, jeśli chodzi o szkołę chłopców. No a jeśli teraz będę musiała zrezygnować z tego biura... - Wzruszyła ramionami. - Doszliśmy oboje do wniosku, że nie jestem w stanie zarobić na wynajmowanie lokalu w Londynie, a ponieważ w domu nie mam miejsca do pracy, musimy znaleźć coś większego. Właściwie już znaleźliśmy. Trzymaj za nas kciuki. W sobotę jedziemy ten dom obejrzeć.

- Hm... W jakiej dzielnicy?

Eleanor pokręciła głową.

- To nie jest w Londynie, ale w Wiltshire. Właściwie na granicy hrabstw Wiltshire i Dorset, tuż pod Avondale.

- Wiltshire? - Charles patrzył na nią nieco zakłopotany. - Czy to trochę nie za daleko? Dla Marcusa?

- Nie. Stamtąd są znakomite połączenia kolejowe. Ludzie przecież dojeżdżają do pracy, Charles - dodała, widząc jego zatroskaną minę. - I to z jeszcze dalszych miejsc niż Wiltshire.

- Hm... Słuchaj, muszę już iść, i nie przejmuj się zbytnio Louise. Byłaś dla niej nadmiernie hojna, a jeśli chodzi o nazwę spółki...

- Czy niesłusznie uparłam się, że ją zatrzymam? - spytała z wahaniem.

- Nie. Louise nie może mieć wszystkiego. Paul też.

Jak było do przewidzenia, Eleanor zjawiała się w restauracji przed Jade. Kelner obrzucił ją znudzonym spojrzeniem, lecz gdy podała nazwisko przyjaciółki, nabrał nagle szacunku.

Jade spóźniła się dwadzieścia minut, co dało Eleanor dość czasu na przyjrzenie się gościom, to znaczy głównie modnie ubranym kobietom. Z urywków dochodzących do niej rozmów domyśliła się, że należą one do świata Jade. Kiedy ta wreszcie pojawiła się w sali, w jej kierunku pobiegło mnóstwo spojrzeń.

Była bardzo wysoka i zwracała na siebie uwagę w każdym towarzystwie, jednak nie tylko jej wzrost przyciągał uwagę ludzi. Wytwarzała wokół siebie jakąś aurę, która działała jak magnes. W przeciwieństwie do kobiet obecnych w restauracji, Jade nie była ubrana w sposób przesadnie modny; miała na sobie prosty jasnobezowy kostium z lejącego się materiału, który zdawał się ukrywać urodę jej ciała.

Włosy natomiast, będące jej cechą charakterystyczną, jak zwykle otaczały nieposkromioną gęstwą jej twarz, stanowiąc ostry zgrzyt z wymogami i ograniczeniami jej zawodu. Wiele osób uważało tę fryzurę za pretensjonalną, Eleanor jednak wiedziała, że włosy przyjaciółki mają twardość drutu i nie poddają się żadnym zabiegom.

- Nell - powiedziała swym niskim, przytłumionym głosem, gdy dotarła do stolika przyjaciółki. - Jesteś.

- Przecież umówiłaś się ze mną na pierwszą - oświadczyła Eleanor z uśmiechem i dodała: - Piękny kostium.

- To Armani. Kupiłam go po ostatnim pokazie mody w Mediolanie. Obawiam się, że nie mogę ci się odwzajemnić podobnym komplementem. - Jade przeciągała sylaby, lustrując Eleanor spojrzeniem. - Gdzie, na litość boską, znalazłaś coś tak okropnego?

- Ależ to jest klasyczny strój - broniła się Eleanor dzielnie, patrząc na swą wąską, elegancką spódnicę i dobraną do niej bluzkę, co w sumie wyglądało atrakcyjnie i znakomicie nadawało się do pracy. - Może nie jest zbyt modny...

- Może? - Jade wzniosła oczy do nieba. - Moja droga, nie ma tu żadnego "może". Czy już coś zamówiłaś?

- Jakżebym śmiała! Na pewno zamówiłabym coś niewłaściwego.

Jade puściła mimo uszu jej drobną złośliwość i oświadczyła chłodno:

- Wykluczone. Tu nie podają niewłaściwych rzeczy.

W tej samej chwili wybuchnęła śmiechem i Eleanor się do niej przyłączyła. Jade objęła ją serdecznie.

- Och, Nell, czasem mi ciebie naprawdę brakuje. Jak się czujesz? A Marcus? No i co u moich chrześniaków?

- Nie, opowiedz mi najpierw o sobie - poprosiła Eleanor. - Już ja cię znam. Na pewno masz jakiś problem.

- Hm... Sprytna jesteś, wiesz? - Jade spoważniała. - Oczywiście, masz rację. Zaproponowano mi pracę, i to niezłą. Wydawanie amerykańskiej wersji „Fashion”, co oznacza olbrzymią pensję i wszelkie inne przywileje, takie jak przepiękne mieszkanie na Manhattanie, domek w Aspen wynajęty na wakacje zimowe, i letni dom na Fire Island. Zawsze o czymś takim marzyłam, i to nie tylko z powodów finansowych. Amerykańscy projektanci zwr-



cają więcej uwagi na artykuły w takich czasopismach jak „Fashion” niż ich europejscy koledzy. Przydaje się im to w pracy nad gotowymi kolekcjami. Byłabym głupia, gdybym z tego nie skorzystała...

- Co cię więc powstrzymuje? - spytała Eleanor.

Jade uniosła do góry brwi, w jej inteligentnych oczach pojawił się wyraz pogardy dla samej siebie.

- Czy musisz pytać?

- Jakiś mężczyzna?

- Nie jakiś, tylko konkretny. Mam z nim kłopot.

- Żonaty?

- Ee, to nie byłby żaden kłopot. Problem polega na tym, że on nie wie, jak bardzo mi na nim zależy, a poza tym nie jestem pewna, czy chciałby to wiedzieć. Jest młodszy ode mnie o dziesięć lat.

- No to co? Przecież umawiałaś się już z młodszymi od siebie.

- Owszem, ale tego chciałabym zatrzymać, Nell, a nie jestem pewna, czy on też tego chce. Jestem już w wieku, kiedy człowiek zaczyna cenić własną godność. Oczywiście, mogłabym wszystkie skrupuły odrzucić na bok, wyznać mu, co czuję i poprosić, żeby pojechał ze mną do Nowego Jorku. Jest fotografem, i taka przeprowadzka wcale by mu nie zaszkodziła.

Jade zrobiła smutną minę i chwilę milczała.

- Ktoś mi go polecił, no i zaprosiłam go na sesję. Właściwie jako rezerwę. No i tak się zaczęło. W tej chwili jestem zazdrosna o każdą sesję, jaką ma z modelkami. Wiesz, jaka potrafię być zaborcza. Nie jestem pewna, czy wytrzymam psychicznie, jeśli związę się z nim jeszcze bardziej. Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że jeśli przyjmę

tę pracę, będę musiała poświęcić jej cały czas, ale kiedy pomyślę, że mam wyjechać i go zostawić...

W oczach Jade pojawiły się łzy. Eleanor delikatnie dotknęła jej dłoni.

- Dlaczego mówisz to wszystko mnie, a nie jemu? - spytała cicho. - Niech on podejmie decyzję.

- A jeśli mi powie: nie? Chyba bym tego nie zniosła. Och, Nell, powiedz, dlaczego takie jesteśmy? Marnujemy sobie życie przez chłopów, seks, te nasze przeklęte hormony, i to niemal od urodzenia! Przeczytałam niedawno w jakiejś książce, że kobiety niemal od chwili poczęcia są skazane na klęskę, a sukces odnoszą jedynie te, których organizm zawiera niezwykle wysoką dawkę testosteronu.

- Ee? Czy to przypadkiem nie zależy od tego, jakimi kryteriami mierzy się sukces? - zaprotestowała Eleanor. - Jeśli w przypadku kobiety zastosować kryteria męskie, to masz rację, ale właściwie dlaczego nie miałybyśmy osądzać mężczyzn według naszych kryteriów?

- I odebrać im władzę? Hm... Chyba im się to nie spodoba. Pomyśl, jak skończyły Margaret Thatcher i Boadicea.

- Boadicea?

Eleanor musiała przerwać, bo do stolika podszedł kelner z zamówionymi daniami i zanim zdążyła wrócić do przerwanej rozmowy, Jade zmieniła temat, powracając do swego pierwszego pytania.

- No cóż, wszystko w porządku - powiedziała Eleanor. - Właściwie prawie. Louise i ja rozwiązujemy spółkę. Ona i Paul wyjeżdżają do Paryża i...

- Oo? To chyba trochę niespodziewane?

- To decyzja Paula. Uważa, że Francja to lepsze środo-

wisko dla chłopców, że lepiej zintegrują się ze Wspólnotą Europejską, i tak dalej. Jego zdaniem, Wielka Brytania stanie się gospodarczym zaściankiem. Muszę przyznać, że trochę mnie to wszystko zaszokowało, nie wiem jednak, czy się z tego nie cieszyć. Teraz będę musiała pracować w domu i spędzę więcej czasu z chłopcami. Oczywiście, musimy się przeprowadzić, ale zawsze chciałam mieszkać na wsi.

- Na wsi? - Jade znowu uniosła brwi, lecz po chwili jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. - Och, na pewno masz na myśli Hampstead.

- Nie, Jade. Mam na myśli prawdziwą wieś, taką z zielonymi polami...

- Ach, tak, wiem, prawdziwa wieś. - Jade wzruszyła ramionami. - Znam to z dzieciństwa. Deszcz, błoto, nuda, znowu deszcz, jeszcze więcej błota, i tak dalej. Chyba żartujesz.

- Nie. Mamy za mało miejsca, za mało powietrza. Dom w Chelsea jest naprawdę śliczny, ale nie mogę tam pracować. Jest po prostu za ciasny. Chłopcy i córka Marcusa nie mogą się z sobą dogadać. Właściwie Vanessa...

- Aha, Vanessa. Pasierbice to piekło, nie? Zwłaszcza te kilkunastoletnie. Wiem, sama kiedyś taka byłam. Rozumiem, że brakuje wam miejsca, ale żeby zaraz przenosić się na wieś? Nie mów mi, że padłaś ofiarą mody „powrotu do natury?” Przez różowe okulary miejskiego domu wieś wygląda pięknie, ale życie na wsi... A co na to Marcus? Jakoś go nie widzę w gumiakach.

- Nie widziałas tego domu - broniła się Eleanor. - Zawsze o takim marzyłam. Solidny, wieczny, prawdziwy dom...

- Prawdziwy dom dla prawdziwej rodziny, której patroluje prawdziwa matka. Naprawdę tego chcesz, Nell? Przecież to tylko mit lansowany przez środki przekazu.

- Czuję, że jestem coś winna chłopcom. Nie chcę, żeby wspominali swoje dzieciństwo z takim smutkiem jak ja.

- To nie miejsca, lecz ludzie sprawiają, że jesteśmy szczęśliwi - powiedziała Jade cicho.

- Ale my musimy coś zrobić - jęknęła Eleanor. - Jeszcze tego nie powiedziałam Marcusowi, bo jest okropnie zajęty nową sprawą, ale Tom bardzo cierpi, kiedy musi ciągle oddawać swój pokój Vanessie. A teraz Julia wyjeżdża do Ameryki i latem Vanessa będzie z nami.

- Niech Marcus się tym martwi. To przecież jego córka.

- Ale moja pasierbica. Nie mogę jej nie przyjąć, i nie mogę biegać do niego ze skargą, że znowu wybuchła jakaś kłótnia.

- Wiesz, Nell, na czym polega twój problem? Za bardzo się starasz. Chcesz wszystkich uszczęśliwić swoim kosztem. Dam ci dobrą radę: przestań. I nie zabiegaj o względy Vanessy. Nie będzie cię za to szanować. A kiedy poczuje, że jest górą, wykorzysta to przeciwko tobie.

- Ale ona jest teraz w takim trudnym wieku. Musi wiedzieć, że Marcus ją kocha, że w naszym domu jest dla niej miejsce.

- Musi także wiedzieć, że ty jesteś żoną Marcusa - powiedziała Jade dobitnie. - Przestań być idealistką, Nell. To się nie opłaca. Vanessa powinna znać dokładnie swoje miejsce, i rozumieć, że nie wolno jej robić zamachu na twoje. Jestem pewna, że mogłaby pojechać do Ameryki z matką, gdyby tylko zechciała. A teraz zastanów się, dlaczego nie chce...

- Ale od czasu rozwodu nigdy nie mieszkała dłużej z Marcusem. Nie chcę stawać między nimi.

Jade smętnie pokręciła głową.

- Och, biedactwo, jak ty nic nie rozumiesz. Vanessa to same kłopoty.

- Przecież widziałaś ją tylko kilka razy.

- Tak, i natychmiast się na niej poznałam. Też byłam kiedyś taką Vanessą. Zanim moja macocha i ojciec rozwiedli się, doprowadziłam ją niemal do załamania nerwowego. Wierz mi, niektóre dziewczęta mają takie problemy. Vanessa z tego wyrośnie, ale ty już nie uratujesz swojego małżeństwa.

- Jade, nie masz racji! Vanessa pewnie mnie nie lubi, ale przecież nie ma zamiaru na mnie się mścić.

- Nie? Nell, przecież...

Jade nagle urwała, jej ciało zeszywniało, twarz odrobi-nę poczerwieniała. Eleanor odwróciła głowę. Do restauracji wszedł właśnie mężczyzna i zmierzał w kierunku ich stolika. Miał niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, idealnie zbudowaną sylwetkę i ruchy tancerza. Eleanor widywała już przystojnych Murzynów, ale żaden nie był tak przystojny jak ten. Miał tak posagowe rysy, że trudno się było powstrzymać przed wyciągnięciem ręki, by dotknąć jego twarzy i przekonać się, że nie jest z marmuru. Jego ubranie było równie kosztowne jak kostium, który miała na sobie Jade.

Jade przedstawiła Sama przyjaciółce. Nic dziwnego, że jej na nim zależy, pomyślała Eleanor, widząc inteligencję w jego oczach. Zachowanie Jade zdradzało, że byli kochankami, on jednak wyraźnie panował nad swoimi uczuciami. No tak, ten jest zupełnie inny niż jej poprzedni

kochankowie, stwierdziła Eleanor, wymieniła z nim! uprzejmości, podziękowała Jade za lunch i wstała.

- Zadzwoń - rzuciła Jade na pożegnanie.

Dopiero w biurze Eleanor uzmysłowiła sobie, że nie pokazała przyjaciółce zdjęcia domu. Na pewno by zmieniła zdanie. Niczym dziecko szukające pocieszenia w swej ulubionej bajce, Eleanor otworzyła teczkę, wyjęła z niej prospekt i położyła go przed sobą na biurku.

# Na dobre i na złe

## 8

- Ale dokąd właściwie jedziemy? - dopytywał się Gavin.

- Powiedziałałam ci, że to niespodzianka - odparła Eleanor. - I zapnij wreszcie pasy.

- Tak, bo inaczej Marcus pójdzie do więzienia - dorzucił Tom z taką mieszaniną powagi i przejęcia, że Eleanor wybuchnęła śmiechem.

- Dzięki - mruknął Marcus sucho. - Z przyjemnością stwierdzam, że perspektywa mojej ewentualnej gościny w więzieniu Jej Królewskiej Mości napełnia twoje potomstwo przerażeniem.

- Och, nie martw się, jakoś temu zaradzimy - zapewniła go Eleanor ciepło. - Znam cudownego adwokata.

- Aha... A stać nas na niego?

Eleanor roześmiała się i przelotnie dotknęła jego uda.

- No, chyba znajdę jakiś sposób, żeby go wynagrodzić - szepnęła prowokacyjnym tonem.

Uświadomiła sobie, że już od dawna tak się nie przekomarzali, niemal jak dzieci. Na Marcusa takie żarty musiały działać, bo gdy dotknęła jego uda, zupełnie niepotrzebnie zmienił bieg. Poprzedniego wieczoru kochali się z żarem, jakiego od kilku miesięcy w ich życiu erotycznym brakowało. Eleanor podejrzewała, że to podniecenie spowodowane pomysłem kupna domu wyzwoliło ją z wszelkich

zahamowań. Marcus zauważył, oczywiście, różnicę w jej zachowaniu, i szepnął jej czule w ucho:

- Kochanie, powinniśmy robić to częściej.

Najwyraźniej miał zamiar dotrzymać słowa, bo zaskoczył ją także dziś rano, i to nie w łóżku, lecz pod prysznicem. Naprawdę od dawna tak się już nie kochali: szybko, gwałtownie, stęsknieni siebie do granic bólu, zaspokojeni i od nowa spragnieni. Bywało tak w początkach ich małżeństwa, ale później, nawet w czasie wakacji w Grecji, już nie.

Willa, którą wynajęli, była przepięknie usytuowana, czysta i przestronna, lecz dzięki jakiejś sztuczce greckiej architektury miała akustykę sali teatralnej, a nie prywatnego domu. Już drugiego dnia przy śniadaniu Eleanor wiedziała, że ma wakacje zepsute. Zaczęło się od tego, że Vanessa monotonicznie uderzała stopą w podstawę stołu, przy którym jedli śniadanie. Marcus poprosił ją, żeby przestała, bo ten hałas go męczy, na co dziewczynka, spoglądając triumfalnie na Eleanor, odpowiedziała:

- No to już wiecie, jak ja się wczoraj czułam, kiedy musiałam was słuchać.

Od tej pory Eleanor nie opuszczało napięcie, nawet kiedy Vanessy nie było w domu. Jednak wczoraj i dzisiaj było wreszcie inaczej, co uznała za dobry omen i dowód, że ma rację z tym nowym domem.

Siedzący z tyłu chłopcy spirali się przyjaznym tonem, jakiej taśmy chcą słuchać. Prognozy zapowiadały na dziś deszcz, lecz nawet to nie było w stanie zniszczyć radości, która przepełniała jej serce. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Marcusa.

- Jestem taka podniecona - szepnęła.



- Wiem - mruknął z zafrasowaną miną. - Eleanor, nie...

- Mamo, teraz moja kolej. Poprzednio Tom wybrał taśmę.

- Nie, to ty wybierałeś.

- Przestańcie się kłócić - powiedziała Eleanor. - Wybiorę sama.

Zaczęło padać i Marcus skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Eleanor spojrzała na zegarek i stwierdziła, że podróż trwa już nieco dłużej, niż mówił agent. Miała nadzieję, że się nie spóźnią, bo agent wspominał, że kupnem domu Broughtonów zainteresowanych jest kilka osób.

- Jesteśmy umówieni na pierwszą - przypomniała Marcusowi, próbując obliczyć, ile jeszcze czasu zajmie im podróż.

- Postaram się zdążyć - odparł - ale strasznie dużo tu samochodów.

- Pociągiem będzie szybciej - zapewniła go.

Oczywiście, Marcus nie musi jeździć do Londynu codziennie. Podobnie jak ona, będzie mógł pracować w domu, co zresztą czasami robił już w Chelsea. Eleanor zamknęła oczy, wyobrażając sobie scenę z przyszłości: ciepłe, słoneczne popołudnie, Marcus pracuje w gabinecie, którego otwarte okna wychodzą na ogród, a ona robi sobie przerwę i zagląda do niego, po czym oboje wychodzą na krótki spacer po swojej posesji, zanim nadejdzie pora odebrania chłopców ze szkoły.

Pokoje na dole pachną różami z ogrodu i lawendą, której bukiety schną na staromodnej werandzie na tyłach domu. Kuchnia pachnie świeżo upieczonym ciastem, a za oknem powiewają nieskazitelnie białe prześcieradła. Po

kolacji Eleanor sama je wyprasuje, wdychając przy tym świeży, wiejski zapach, a później, w łóżku, ten zapach zmiesza się z zapachem Marcusa...

- Daleko jeszcze? - dobiegło ją pytanie Toma.

- Już blisko - powiedziała, widząc drogowskaz kierujący ich do Avondale. Zapoznała się wcześniej z historią miasta i chciała je obejrzeć.

- Obawiam się, że dziś to nierealne - oznajmił Marcus.

- Przed nami objazd.

Kiedy wjechali wreszcie na drogę wiodącą do domu Broughtonów, było piętnaście po pierwszej.

Podjazd wysypany żwirem był zarośnięty chwastami, rododendronów wyraźnie od dawna nie przycinano, padał rześisty deszcz - wszystko to zupełnie nie pasowało do romantycznych marzeń Eleanor. Sam dom też wyglądał jakoś inaczej; na zdjęciu opromieniało go słońce, no i pewnie został sfotografowany pod innym kątem.

Gdy Marcus zatrzymał samochód, Tom obwieścił zadowolony:

- Przecież to zwykły dom.

Na podjeździe stał już inny samochód. Eleanor kazała włożyć synom kurtki i ukradkiem spoglądała na męża. Oglądał dom z zaszępioną miną, lecz gdy zauważył jej spojrzenie, twarz mu się rozjaśniła.

- Ile ma ta działka?

- Prawie dwa hektary - odparła radośnie. - Jest oddzielny ogród na tyłach, będziemy mogli tam hodować własne warzywa. No i jest ogród reprezentacyjny, a oprócz tego zagajnik...

- To chyba trochę musi kosztować - mruknął i wysiadł z samochodu, a w drodze do wejścia dodał: - Poprzedni

właściciel musiał być tego samego zdania, sądząc po stanie tego wszystkiego.

- Pani Broughton była bardzo stara, a od pół roku dom stoi pusty - broniła się Eleanor. - Ale zobaczysz, jak tu latem jest ładnie. O tej porze roku ogrody nigdy nie wyglądają dobrze.

- Hm... Podejrzewam, że temu ogrodowi nie wystarczy zmiana pory roku - odparł sceptycznie.

- No, rzeczywiście, wygląda na trochę zaniedbany - przyznała, wkładając rękę pod jego ramię. - I deszcz też nie pomaga. Mam nadzieję, że przestanie padać, żebyśmy mogli dobrze wszystko obejrzeć.

- Wątpię, żebyśmy mieli na to czas - podsumował Marcus, po czym otworzyły się drzwi i w progu stanął agent.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedziała Eleanor, gdy się przedstawił.

- Nic nie szkodzi - odparł. - Następni klienci przyjadą dopiero o wpół do trzeciej.

- Och, to mamy niewiele czasu na obejrzenie posesji - stwierdziła Eleanor z żalem.

- Bardzo dobrze wszystko widać z okien na strychu - pocieszył ją agent.

Gdy otworzył szeroko drzwi i weszli do środka, Eleanor wstrzymała oddech. Hol był rozległy, prostokątny, z drewnianą, lśniącą podłogą, a na górę wiodły drewniane schody z rzeźbioną poręczą, uwieńczone na piętrze balustradą.

- Robi wrażenie, prawda? - Agent uśmiechnął się, gdy Eleanor wyraziła swój podziw. Marcus także patrzył na schody, minę jednak miał zasepioną.

- No? - spytała Eleanor niespokojnie.

- Może się mylę, ale czuję tu wilgoć - szepnął.

Wilgoć! Eleanor spozrzała na niego z przestraczem, agent zaś, który najwyraźniej usłyszał jego słowa, pospiesznie wyjaśnił:

- W starych domach często pachnie wilgocią, zwłaszcza gdy nikt w nich nie mieszka, ale konstrukcyjnie ten budynek jest wyjątkowo zdrowy. Dawniej ludzie wiedzieli, jak budować. Gdziekolwiek może i są wilgotne plamy, ale to nic poważnego.

- Jest to poważne na tyle, żeby spowodować gnicie fundamentów - odparł Marcus rzeczowo, ale spojrział na Eleanor z uśmiechem i zgodził się z nią, kiedy agent otworzył następne drzwi i Eleanor zachwycała się dużymi oknami i jasnością pokoju dziennego.

- Och, popatrz, Marcus, te malowidła na suficie są oryginalne, i te ramy do obrazów, i drzwi, takie ciężkie. Oczywiście, wszystko trzeba będzie odnowić. - Oczami duszy widziała już nowe wnętrza. - Marcus, czy to nie jest cudowne?

- To dopiero pierwszy pokój - odparł niewzruszony. - Ile, mówiłaś, jest tu sypialni? - Kiedy usłyszał odpowiedź, otworzył szeroko oczy i rzekł: - To rzeczywiście duży dom.

- Prawda? Dla nas idealny. - Eleanor nie posiadała się ze szczęścia. - Oczywiście, czeka nas tu sporo pracy - dodała, gdy weszli za agentem do dużego salonu, potem jadalni, a potem do saloniku, który podobno był ulubionym pokojem pani Broughton, ponieważ jego okna wychodziły na część ogrodu zaprojektowaną przez Gertrudę Jekyll. - Ale jeśli nie będę codziennie jeździć do biura, będę miała na wszystko mnóstwo czasu.

Marcus milczał.

- Co ci się w tym wszystkim nie podoba? - spytała zaniepokojona.

- Właśnie się zastanawiam, czy będzie ci tak łatwo jak myślisz nadzorować pracę, jakiej ten dom wymaga. Pamiętasz, ile czasu tu jechaliśmy? Gdyby trzeba było pokonywać taką odległość kilka razy w tygodniu... Uważasz, że dzięki pracy w domu będziesz miała więcej czasu dla dzieci, ale skoro chłopcy będą w szkole...

- Tak jakoś to zorganizujemy, że większość prac będzie można zrobić podczas weekendów i ferii - powiedziała radośnie. - Przyjadą ze mną.

- Gdzie przyjedziemy? - spytał Gavin.

- Tutaj - odparła, dotykając delikatnie włosów syna i myśląc, jak cudownie będzie tu mieszkać... nie tylko z nimi, lecz również z Vanessą.

- Obawiam się, że kuchnia jest nieco staromodna - oznajmił agent, prowadząc ich na tyły domu.

Kiedy otworzył drzwi i weszli do środka, Eleanor stwierdziła, że jej marzenia o wielkiej kuchni pozostaną na razie w sferze marzeń, bo w rzeczywistości pomieszczenie to było podzielone na kilka ciemnych klitek, projektowanych zapewne z myślą o służbie.

- Można to wszystko przebudować w dużą kuchnię z aneksem wypoczynkowym - oświadczył agent.

- Można - zgodził się Marcus i podszedł do jednego z licznych okien. - Czy to jest ogród gospodarczy?

Eleanor stanęła przy nim i wpatrywała się w teren otoczony murem. Ogród był zachwaszczony, a rosące przy murze, zadbane niegdyś drzewa owocowe wypuściły już, nowe pędy, które aż prosiły się o przycięcie.

- Niemal do końca życia pani Broughton zatrudniała tu

ogrodnika - odezwał się agent. - Umarł sześć miesięcy przed nią.

Eleanor próbowała sobie wyobrazić, jak musiał niegdyś wyglądać ten ogród, pełen zadbanych, wylewionych grządek, na których bez stosowania nawozów rosły wspinające warzywa. Przypomniała sobie szafkę w spiżarni babki, wypełnioną słoikami zup na zimę, przygotowywanych latem ze świeżych warzyw.

Wszystkie sypialnie na piętrze miały proporcjonalne kształty, choć w łazienkach trzeba było wymienić armaturę. Ze strychu, choć był zabałaganiony i zakurzony, rzeczywiście roztaczał się wspaniały widok na okolicę.

Z powodu deszczu jednak wszystko było spowite lekką mgłą i nawet chłopcy nie wykazali ochoty pobiegania po ogrodzie. Ponieważ do obejrzenia zostały jeszcze garaże, wszyscy i tak musieli wyjść na dwór. Garaże mieściły się w dawnych stajniach, długich budynkach z okienkami mansardowymi na pięterku.

- Tutaj zrobimy sobie gabinety do pracy - powiedziała Eleanor, patrząc, jak Marcus pochyła głowę, przechodząc przez drzwi na piętrze.

- Zrobimy?

- No, wiesz, tak sobie myślałam... Już teraz wykonujesz część pracy w domu, więc gdybyśmy kupili ten dom, mógłbyś pracować tutaj dwa albo trzy razy w tygodniu. Nie musiałbyś wtedy tracić dużo czasu na podróże do miasta, miałbyś go więcej dla nas. - Przytuliła się do niego, wykorzystując fakt, że chłopcy z agentem zostali na dole. Wczoraj wieczorem i dziś rano tak nam było dobrze.. Pomyśl, gdybyśmy kupili ten dom, mielibyśmy więcej czasu dla siebie, stworzylibyśmy prawdziwą rodzinę. I każdy

miałby tu swoje miejsce. Vanessie pozwolimy nawet wybrać pokój, ona jest w takim trudnym wieku...

- Nie spodziewaj się po niej wiele, Nell - ostrzegł Marcus. - Jej nie można przekupić.

- Co? - Eleanor spojrzała na męża z lekkim oburzeniem. - Uważasz, że próbuję ją przekupić? Chcę ją tylko przekonać, że przy nas jest dla niej miejsce. Pamiętam, jak się czułam w jej wieku, jaka byłam nieszczęśliwa, bo nie miałam stałego domu, niczego, co rzeczywiście byłoby moje. W każde wakacje rodzice byli gdzie indziej. Nie cierpiałam tego.

- Vanessa to nie ty, Nell - powiedział Marcus. - Wiem, jaka bywa nieznośna, ale w końcu to tylko dziecko, podczas gdy ty...

- Co, ja? Marcus, dokończ - poprosiła cicho, czując, że jej radość gdzieś ulatuje, pozostawiając po sobie chłód.

Wiedziała, że Marcus nie znosi kłótni i scen, do których często dochodziło, gdy trójka ich dzieci zebrała się razem. Nigdy nie ingerował, nigdy nie stawał w obronie córki, Eleanor jednak wiedziała, że to wszystko działa mu na nerwy. Vanessa również zdawała sobie z tego sprawę i na ogół to ona prowokowała chłopców, Eleanor jednak nigdy nie powiedziała o tym spostrzeżeniu Marcusowi, postanowiła bowiem, że nie będzie macocha, która odnajduje w pasierbicy coraz to nowe wady.

Zanim doczekała się odpowiedzi męża, na poddasze wbiegli chłopcy. Tom zapytał z przejęciem:

- Jeśli tu zamieszkamy, to czy wreszcie będziemy mogli mieć psa?

- Ależ oczywiście - odparła Eleanor bez namysłu.

- Vanessa ma alergię na psy - powiedział ze znużeniem Marcus.

Eleanor natychmiast poczuła się winna. Oczywiście, alergią. Jak mogła o tym zapomnieć? Szybko więc wyjaśniła Tomowi, co to takiego ta alergią, on jednak, ku jej rozpaczy, zamiast zrozumieć, tupnął nogą i z pretensją w głosie spytał:

- Dlaczego ona zawsze dostaje to, czego chce, a my nigdy? To niesprawiedliwe.

- Tom, nie masz racji - zaprotestowała Eleanor.

- Mam. Gdyby było inaczej, nie musielibyśmy wynosić się z sypialni, kiedy ona przyjeżdża.

- Tom, wiesz przecież, że ten pokój należał przedtem do niej, i stąd to całe zamieszanie. Ale to już niedługo. Kiedy się tu przeprowadzimy, będziesz miał swój pokój.

- Nie chcę pokoju. Chcę psa.

- Chyba już pora wracać - zwróciła się do Marcusa, lecz on, zamiast odwzajemnić jej uśmiech, odwrócił głowę i patrzył ponuro w okno. Gdy w końcu ruszył za nimi na dół, przytrzymał ją na schodach i spytał:

- Czy nie uważasz, że za wcześnie jest mówić chłopcom o przeprowadzce? Wiem, że bardzo ci się tu podoba, ale czy przypadkiem nie bierzemy sobie zbyt dużo na głowę? Tyle tu trzeba zrobić, a ja...

- Ale czy nie rozumiesz, że to może być plusem? Wszystkie przeróbki dostosujemy do naszych gustów. Ten dom jest wystawiony na przetarg i chcę jak najszybciej złożyć ofertę. Chyba musimy poprosić specjalistę o dokonanie wyceny.

Marcus zmarszczył czoło.

- Nell, przecież sama widzisz, że ten dom wymaga kompletnej przebudowy, bez względu na wycenę. Naprawdę uważam, że...



- Ależ on jest cudowny! Wydaje mi się, jakby tu stał i na nas czekał. Czuję się, jakby mi zdjął z ramion wielki ciężar. Ten dom to rozwiązanie naszych wszystkich problemów. Dlaczego milczysz? - spytała z uśmiechem. - To pewnie ta jazda w deszczu tak cię zmęczyła. Szkoda, że trafiliśmy tu w taką pogodę...

Pół godziny później, kiedy pasażerowie samochodu zasnęli, Marcus spojrzął na Eleanor i zasepił się. Nigdy jeszcze nie widział jej tak zachwyconej - zawsze była taka spokojna i opanowana. Pamiętał ten błysk, jaki pojawił się w jej oczach, kiedy w ciągu dziesięciu minut, jakie jej dał na obejrzenie terenu, zobaczyła staw. Ta jej fantazja, że wszyscy zamieszkają w sielskiej ciszy, jako jednak szczęśliwa rodzina... Czy ona nie widzi, jakie to nieprawdopodobne, jakie niepraktyczne?

Wiedział, że ostatnio Eleanor żyje w stanie ciągłego napięcia, ale on przecież też. Niemniej ta potrzeba, żeby stać się kimś w rodzaju matki ziemi, przewodzić idealnej rodzinie... Czy ona naprawdę wierzy, że dzięki li tylko przeprowadzce na wieś można osiągnąć pełną harmonię? Jakież to nierealistyczne.

Wydawało mu się, że jest zadowolona, jak on, z ich życia w Londynie, z przykrością więc stwierdził, że wcale dobrze jej nie zna. Ciekawe, czego jeszcze o niej nie wie.

Rozumiał jej troskę o synów. Była dobrą matką, mądrą, sprawiedliwą i kochającą, i starała się za wszelką cenę zapewnić im poczucie bezpieczeństwa. Nie tak jak Julia, która albo ignorowała Vanessę zupełnie, bo akurat zajmowały ją inne rzeczy, albo rozpieszczała ponad miarę, obdarzając fałszywymi, według niego, uczuciami.

mi macierzyńskimi, no i oczywiście dlatego właśnie Vanessa...

Westchnął cicho. Kochał córkę, lecz wiedział, że wychowanie niszcząco wpłynęło na jej psychikę. Przyznawał, że stosunki Eleanor z jego córką nie były łatwe, ale nie pojmował, dlaczego Eleanor nie dostrzega, że nie jest w stanie zmienić nastawienia Vanessy. Ta mała jest zbyt dorosła, by narzucać jej dyscyplinę, i zbyt młoda, by pojąć zalety samodyscypliny, toteż upaja się swą władzą i rani wszystkich jak może; jest też zbyt niedojrzała, by opanować swe uczucia lub choćby wziąć pod uwagę czyjeś.

Ile w tym było jego winy? Rozwiódł się z Julią, nie mogąc znieść ciągłych zmian jej nastrojów, ogłupiających sporów i teatralnych, równie wyczerpujących wyrzutów sumienia. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, że wybuchowość Julii mogła mieć tak samo niszczący wpływ na osobowość córki, jak na niego. A może po prostu wołał o tym nie myśleć?

Oczywiście, zdawał sobie sprawę z wrogości Vanessy wobec Eleanor i jej synów, ale skąd wzięło się w Eleanor to idealistyczne, sentymentalne przekonanie, że kiedy już zamieszkają w nowym domu, jakimś cudem wszystko się zmieni? Marcus nie lubił sentymentów, a sprawiła to Julia. Ona uwielbiała sentymenty, pławiła się w nich, manipulowała nimi, aż Marcus zaczął się dusić. Sentymenty nie mają żadnego odniesienia do rzeczywistości - Julia stosowała je jako narzędzie do osiągnięcia swych celów.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Eleanor, pomyślał, że ta kobieta jest jak powiew świeżego powietrza, orzeźwiająca w swej uczciwości i naiwności, i że łączy w sobie jakąś szczególną siłę z rozbijającą aurą kobiecości. Zaprzagnął

jej od pierwszej chwili, lecz wiedział, że ona tego nie zauważyła, zupełnie inaczej niż Julia.

Polecono mu ją jako znakomitą nauczycielkę języków. Chciał udoskonalić swą znajomość francuskiego i niemieckiego, ponieważ ze względów zawodowych wyjeżdżał czasem na kontynent, zwłaszcza do Hagi i Brukseli.

Pamiętał ten pierwszy raz, kiedy się z nią kochał: była nieśmiała, lecz wkrótce odkrył, że to tylko z powodu braku pewności siebie. Wszystko, co mu dawała, dawała ze szczerego serca i nigdy nie próbowała wykorzystywać jego uczuć po to, by go do czegoś zmuszać. Pokochał ją, bo była uczciwa; małżeństwo jednak wymagało czegoś więcej niż • miłość. Wymagało... No, czego?

Rezygnacji z wygodnego domu w Londynie i przeniesienia się na wieś?

Ten dom jest nieodpowiedni z wielu powodów, a jednym z nich, dosyć istotnym, jest fakt, że Eleanor spodziewa się po nim cudów. Marcus nie przepadał za wsią, a już najmniej podobały mu się dojazdy do pracy, lecz kiedy spojrzał na śpiącą twarz żony, wiedział, że nie znajdzie w sobie odwagi, by pozbawić ją złudzeń.

Eleanor była tak zachwycona domem, że nie zauważyła jego braku entuzjazmu. To całkiem naturalne. Nie miała daru czytania w cudzych myślach i nie będzie wiedziała, co on czuje, dopóki sam jej tego nie powie. A więc, czy ma jej powiedzieć jej prawdę?

Będzie jej smutno, ale, jak to ona, postara się zrozumieć. Na pewno nie pójdzie w ślady Julii, by szantażem, łzami i scenami wymusić swoją wolę. Rozumiał jej potrzebę cichszy i spokoju, bo sam o tym marzył, lecz dlaczego ona tak wszystko idealizuje? Wiedział, że muszą się przeprawa-

dzić, bo dom w Chelsea jest naprawdę za mały, ale rozwiązanie zaproponowane przez Eleanor nie wydawało się dobre. Będą musieli porozmawiać, tylko jak ma znaleźć czas na tę rozmowę?

Dziś pojechał do Wiltshire, choć powinien siedzieć nad sprawą Alexandra. Poza tym musiał przestudiować akta kilku spraw, z których żadna nie była prosta. No, ale prawo międzynarodowe zawsze było trochę zawiłe, i to między innymi go w nim pociągało. Doprawdy, kłopoty w agencji Eleanor i wyjazd Julii do Ameryki nie mogły nastąpić w gorszej chwili.

Marcus lubił swoją pracę, uwielbiał rozwiązywanie zawiłych problemów, i prawdę powiedziawszy, jego organizm potrzebował napięcia związanego z tą pracą jak narkotyku. To samo powiedziała wczoraj Sondra Cabot, gdy wpadła do kancelarii po jakieś dokumenty. Od czasu kolacji u Lassiterów spotkał ją już kilka razy.

Widział w niej podobieństwo do Eleanor, tej Eleanor sprzed kilku lat, choć może nie była taka miękka i kobieca, za to trochę bardziej zepsuta. Umiała postawić na swoim, lecz przez to nie stawała się ani trochę mniej atrakcyjna. Marcus uśmiechnął się. Sondra siedziała u niego chwilę, rozmawiając z nim na wzbudzający emocje temat „gwałtu podczas randki”. Jej impulsywność go rozbawiła... a może trochę podnieciła?

Znowu zasepił się i spojrział na żonę. Poruszyła się przez sen i zwróciła twarz w jego stronę.

# Na dobre i na złe

## 9

- Możemy jechać? - spytała Zoe niespokojnie, gdy i Ben wrócił do domu.

Skinał głową, wykrzywiając przy tym usta.

- Aldo nie był zachwycony, ale jest mi winien kilka dni za zeszły rok, więc...

- On cię wykorzystuje, Ben - oznajmiła Zoe. - Bez ciebie ta reastauracja...

- Jestem szefem kuchni, to wszystko. A przynajmniej on tak uważa. Dziś takich na pęczki.

- Ale ty jesteś inny. Czy on wie, że...

- Nie. Gdyby wiedział, natychmiast by mnie wyrzucił.

Ujrzał, jak z twarzy Zoe znika radość i zrozumiał, że zachowuje się trochę szorstko. Zoe uważała, że on widzi tę restaurację w czarnych barwach, tymczasem był niemal tak samo podniecony jak ona. A może bardziej? W końcu taka perspektywa była jednym z jego najskrytszych marzeń - od czasu tej jadłodajni w Manchesterze, kiedy to Henri Fontanel wszedł do obskurnej, źle wyposażonej kuchni i przedstawił mu propozycję otwierającą drzwi do świata, który w jego przekonaniu miał być dla niego zawsze zamknięty.

W przeciwieństwie do Zoe, Ben nie ufał losowi, choć ten niezmiennie okazywał się dla niego łaskawy.

Kiedy był dzieckiem, interesował się jedzeniem o tyle, o ile mógł nim napełnić żołądek; jedzenie było raczej koniecznością niż przyjemnością. Jego matka nie była smakoszem. Odżywiali się daniami z barów szybkiej obsługi, ciastkami i cukierkami, aż do owego pamiętnego dnia, kiedy odprowadził do domu Davida Bernsteina.

W Manchesterze mieszkało kilka większych społeczności żydowskich, lecz nie w dzielnicy Bena. David Bernstein był chudym, astmatycznym chłopcem, który wyglądał na prawdziwą ofiarę losu i tak też był przez wielu chłopaków w klasie traktowany. Ben ani go lubił, ani nie lubił, bo miał ważniejsze sprawy na głowie. Musiał na przykład w drodze ze szkoły odbierać najmłodszego brata od opiekunki i zapisywać skrupulatnie godziny, by ta nie oszukała matki. Poza tym opiekował się resztą rodzeństwa.

Nawyk opiekowania się młodszymi i słabszymi został w nim wyrobiony od najmłodszych lat, toteż gdy pewnego dnia znalazł Davida pod bramą szkoły, zakrwawionego i w podartym ubraniu, zatrzymał się przy nim, podniósł go z ziemi, kazał mu przestać się mazać i oświadczył, że już wszystko w porządku.

David Bernstein był jednak innego zdania. Wyznał Benowi smętnie, że boi się wracać do domu, bo znowu na niego napadną, toteż Ben, powodowany bardziej zniecierpliwieniem niż współczuciem, powiedział, że będzie mu towarzyszyć.

David Bernstein mieszkał w domku z tarasem przy jednej z niewielu ulic, do której nie dobrali się jeszcze inwestorzy. Jego ojciec pracował w delikatesach w odległej części miasta, dom zaś, jak Ben ustalił później, zostawił matce chłopca krewny. Kiedy Ben doprowadził Davida do drzwi,

nawet nie pomyślał, że ta kobieta potraktuje go jak wybaczonego wiciela.

Ben był silnym i twardym chłopcem; potrafił zachować stoicki spokój do tego stopnia, że czasami zbijał dorosłych z tropu. Sarah Bernstein dojrzała w nim najpierw zbira, który doprowadził jej jedyne, ukochanego syna do tak okropnego stanu, David jednak, który ku lekkiemu zdumieniu Bena znacznie lepiej radził sobie z matką niż z rówieśnikami, wyprowadził ją natychmiast z błędu i tak oto przerażony Ben znalazł się w żelaznym uścisku pani Bernstein, która siłą wciągnęła go do domu, nie bacząc na jego protesty i wysiłki zachowania resztek godności.

Kiedy go wreszcie uwolniła, pierwszą rzeczą, jaką poczuł, były zapachy dochodzące z kuchni. Jego żołądek zareagował na to tak silnym burczeniem, że Sarah Bernstein nagle zaniemówiła. Od chwili urodzenia syna toczyła z góry przegraną walkę o nakłonienie chłopca do jedzenia, podczas gdy on jedynie rozgrzebywał potrawy, jakie z oddaniem mu przygotowywała.

Dla Sarah jedzenie było miłością. Podając je, dawała miłość, a David, odtrącając, odtrącał jej miłość, aż tu nagle pojawia się ten chłopak, goj, oczywiście, ale przecież głodny, któremu, gdy poczuł zapach jej zupy, zabłyśły wręcz oczy. Po chwili Ben siedział w kuchni nad miską rosołu z kury i jadł w milczeniu, coraz bardziej zdumiony odkryciem, że to, co mu podano, co właśnie rozgrzewa mu żołądek, ma zupełnie inny smak niż to wszystko, co do tej pory jadał.

Odkrycie to było początkiem jego zainteresowania żywnością, które rozwinął dzięki przyjaźni z Sarah. Od niej dowiedział się, że z surowych składników, które widywał

w sklepach, a które jego matka zawsze ignorowała, można przyrządzić znakomite potrawy. To ona nauczyła go, po czym poznawać na targu świeże warzywa i jak wybierać mięso i ryby.

Gdy po raz pierwszy uraczył domowników swoją wersją rosołu Sarah, jego matka najpierw zaniemówiła, a potem zaczęła się śmiać. Ben nie dał się jednak wyprowadzić z równowagi i od tej pory nie tylko przygotowywał posiłki, lecz również robił zakupy. Właściwie nie było takiego momentu, kiedy zdecydował, że jedzenie stanie się jego zawodową przyszłością; chłopcy tacy jak on nie myśleli o zawodzie, oni po prostu szukali pracy.

Jedna z nauczycielek powiedziała mu kiedyś, że może wypożyczyć z biblioteki książki, by rozszerzyć wiedzę na temat przyrządzania potraw. Było to tego dnia, kiedy usłyszała, jak na podwórku szkolnym Ben gani swego brata, Keyina, za sprzedanie koledze połowy przygotowanego w domu lunchu. Brat był oburzony.

- Nic nie rozumiesz. To niesprawiedliwe - oskarżył Bena. - Mogłem to wszystko sprzedać aż za pięćdziesiąt pensów. Nie ma takiego, co by nie chciał spróbować kanapek naszego Bena, proszę pani - dodał, widząc zdziwioną minę nauczycielki.

Na długo przed ukończeniem szesnastu lat Ben pracował w weekendy i po południu, żeby poprawić sytuację rodziny. Wykonywał najróżniejsze, źle opłacane prace, które poprzez swoje znajomości wynajdowała mu Sarah, lecz był jej wdzięczny nawet za te grosze. A gdy skończył szkołę, Sarah namówiła jednego ze swych krewnych, by go przyjął do swojej restauracji.

Ta restauracja była w istocie małą jadłodajnią w wago-



nie stojącym przy drodze, w której podawano gorące posiłki zarówno ludziom pracującym na pobliskim targu, jak i kierowcom, którzy dowozili towar. Knajpa była zawsze pełna. Ben zarabiał w niej tyle co na lekarstwo, ale przynajmniej miał pracę, a ilekroć widział właściciela odwróconego do niego plecami, zmieniał skład przygotowywanych potraw.

Czytał książki kucharskie, czasopisma, a nawet przepisy w codziennych gazetach, i ilekroć był w kuchni sam, potajemnie eksperymentował. To był naprawdę przypadek i wypadek, że los zetknął go z Henrim Fontanelem. Ów francuski restaurator był właśnie w drodze do Szkocji, by osobiście dopilnować pierwszego w tym sezonie transportu dziczyzny, gdy jego wynajęty samochód po prostu się zepsuł.

Kiedy dzwonił po pomoc drogową, dostrzegł po przeciwnej stronie knajpę i zamiast siedzieć w samochodzie, postanowił tam poczekać na wezwaną ekipę, spodziewając się dostać najwyżej wstrętą kawę. Kiedy ujrzał jednak posiłek, jaki jedli mężczyźni przy sąsiednim stoliku, postanowił zaryzykować.

Zaintrygował go sos, choć był zbyt gęsty i za mało wyrafinowany; warzywa nie były typowo po angielsku rozgotowane na pulpę, lecz jędrne i aromatyczne; mięso zaś, choć nie należało do najdroższych gatunków, zdradzało, że kucharz potrafi odróżnić dobrą jakość od złej. Zainteresowało go to na tyle, że spytał właściciela, czy mógłby porozmawiać z kucharzem. Właściciel był zbyt zdumiony, żeby odmówić.

Kiedy do Bena dotarło, że Henri proponuje mu praktykę w jednej z najbardziej znanych restauracji we Francji, uznał to początkowo za okrutny żart. Później jednak, kiedy

mineęła już euforia, pomyślał smętnie, że nie może przyjąć tej propozycji. Jak rodzina poradzi sobie bez niego? Henri nie obiecywał wysokich zarobków, Ben wiedział jednak, że wielu chętnie zapłaciłoby za możliwość nauki u takiego mistrza.

A poza tym, jak on może mieszkać w Paryżu? Nawet nie zna francuskiego. O dziwo, to matka namówiła go do wyjazdu, tłumacząc mu, że to jego jedyna szansa, matka zaś jest tylko matką, a nie ciężarem i syn nie musi czuć się za nią odpowiedzialny. Bena dręczyły jednak wątpliwości: co będzie, jeśli nie sprostą wymaganiom mistrza i wróci do domu upokorzony?

- No wiesz! - powiedziała Sarah Bernstein, gdy zwierzył się jej ze swych rozterek. - Jakich problemów może ci przysporzyć taka francuska kuchnia, skoro nauczyłeś się gotować mój rosół z kurczaka?

Ben uśmiechnął się lekko, wspominając te słowa. Po śmierci męża Sarah zamieszkała w Nowym Jorku, u syna. David został lekarzem i Ben utrzymywał z nimi sporadyczne kontakty.

Henri zaś sprzedał swoją restaurację po spektakularnej - i bardzo kosztownej - kłótni z kuzynem i współnikiem Fabianem, a później otworzył nową restaurację w Prowansji. W tym interesie duże pieniądze zarabiali nie szefowie kuchni, lecz właściciele restauracji. Ben przekonał się o tym w Paryżu, a jeszcze dotkliwiej odczuł ten fakt w Londynie.

O własnej restauracji marzył od czasu wyjazdu z Paryża, nigdy jednak nie przypuszczał, by to marzenie miało się kiedykolwiek ziścić, a dziś, kiedy był już tak blisko celu, jego radość podszyta była strachem, że los w ostatniej chwili spłata mu jakiegoś figla.

Zoe podśmiewała się z jego charakteru, jednak ona nigdy niczego nie musiała sobie odmawiać. Ben nie czuł do niej z tego powodu niechęci. W gruncie rzeczy fascynowała go jej wiara w siebie i w życie, lecz nie mógł zapomnieć o okrucieństwie i niesprawiedliwości, jakich doświadczała jego rodzina.

- Powiedziałam Clive'owi, że pojedziemy tam sami, że chcemy się trochę rozejrzeć po okolicy i sprawdzić, jaka jest konkurencja. Aha, zarezerwowałam już hotel. - Zoe zmarszczyła nos. - Jest bliżej Salisbury niż Bath i reklamuje się tak: „Ekskluzywny wiejski pensjonat zapewniający nawet najbardziej wybrednym gościom wszelkie wygody i luksusy”. Jest tam podobno kryty basen, sala gimnastyczna, no i niewątpliwie dobra restauracja.

- To niedobrze - odparł Ben szczerze.

Zoe wzruszyła ramionami.

- No ale jest na tyle daleko, żeby nie stanowić dla nas konkurencji. A jeśli Clive postara się o dokupienie kawałka ziemi i zrobimy tam pole golfowe...

- Zoe, ty byś chciała wszystko od razu! Załóżmy najpierw tę restaurację.

- I hotel - dodała.

- Na razie możemy urządzić trzy albo cztery pokoje gościnne, a i z tym będzie mnóstwo roboty. Żeby mieć hotel, trzeba go dobudować, a nie wiadomo, czy dostaniemy na to zgodę.

- Clive kontaktował się już z architektem i tamten nie protestował.

- Zgoda, ale też niczego nie obiecywał, prawda? Uspokój się, Zoe. Przed nami jeszcze długa droga.

- Dlaczego zawsze musisz być takim pesymistą? - spytała pośpiesznie.

- Ponieważ w ten sposób jest bezpieczniej. Czy mówiłaś już o tym rodzicom?

- Nie. - Zoe potrząsnęła głową. - Chciałam mamie powiedzieć wtedy, kiedy byłeś w Manchesterze, ale jakoś zeszło... Dziś rano dzwoniła, ale wydała mi się przygnębiona i...

- Pewnie jeszcze w tym tygodniu nie była u fryzjera - przerwał Ben.

- Jak możesz! - rzuciła z oburzeniem. - Chciałam właśnie poprosić, żebyśmy po drodze do niej wpadli. Ojciec znowu wyjechał, ale skoro jesteś w takim nastroju, pojedę sama.

Ku jej zdumieniu, Ben pokręcił głową.

- Nie, pojedę z tobą, chyba że wolisz inaczej. Nie chcemy przecież wprawiać mamy w zakłopotanie moim niecywilizowanym zachowaniem, prawda?

Kiedy spojrzał na jej twarz, skrzywił się lekko i powiedział:

- Dobra, dobra, przepraszam. Wiesz, jaki jestem. Życie twoich rodziców, ich małżeństwo, nawet ten cholerny dom - wszystko jest takie doskonałe, takie... politycznie właściwe. Czasami zastanawiam się, jakim cudem wyprodukowali ciebie.

- Och, zapewne tak jak wszyscy; po prostu uczciwie się wychędożyli - odparła z szerokim uśmiechem.

Chociaż wiedziała, że Ben nie cierpi takiego sposobu mówienia, bo wychowano go w przekonaniu, że „porządne dziewczyny” nie używają podobnego języka, to jednak jego komentarz tak ją zirytował, że postanowiła mu się zrewanżować. Lecz potrafiła szybko zapanować nad sobą, toteż teraz podeszła do Bena, objęła go i szepnęła:

- Przepraszam... Mam nadzieję, że zostałam poczęta z taką miłością i radością, jaka łączy nas, kiedy się kochamy. Czy tak lepiej?

- Mhm... ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić twojej matki... Zawsze wygląda tak nieskazitelnie, niemal antyseptycznie, że nie wiem, jak... - Pokręcił głową. —No, dobra. Skoro mamy jechać do Hampstead, to lepiej teraz, bo za chwilę zaczną się korki.

- Pomyśl tylko! Już za dwa dni tam będziemy!

- Gdzie? - drażnił się z nią, udając, że nie rozumie, po czym zawył przerażony, gdy Zoe zdjęła rękę z kierownicy i zamierzyła się na niego pięścią, cudem unikając zderzenia z wyjeżdżającym z bocznej ulicy samochodem.

- Idiota - mruknęła. Ben spojrział na nią uważnie i stwierdził, że ten komentarz odnosi się do niewinnego kierowcy.

Nawet jeśli matka Zoe była zdziwiona ich przyjazdem, nie okazała tego.

- Nie musisz pukać, kochanie - odezwała się do córki i ucałowała ją na powitanie. - Masz przecież klucz.

- Tak, ale wolę z niego nie korzystać - oznajmiła Zoe, weszła do holu i dodała z uśmiechem: - Nie wykluczam, że możesz być na górze, i to w objęciach kochanka!

- Zoe! - zaprotestowała matka.

- Dobra, dobra, mamo. - Zoe roześmiała się. - Wiem, że jesteście sobie z ojcem wierni aż do znudzenia.

Ponieważ Ben nadal stał przed matką Zoe i ponieważ światło wpadające ze dworu w pełni oświetliło jej twarz, to on, a nie Zoe, zauważył nagłą zmianę w jej twarzy, na kilka sekund pozbawiającą panią domu jej chłodnej ogłady, któ-

ra tak zawsze go denerwowała. Automatycznie wszedł do holu, matka Zoe opanowała się i zamknęła drzwi.

- Mamo - odezwała się Zoe - musimy ci coś powiedzieć...

Zanim matka zdążyła wyrzec słowo, Zoe zaczęła gadać jak nakręcona, zdając chaotyczną relację z tego, co się ostatnio w ich życiu zdarzyło. Nagle Heather przerwała córce, pytając:

- Wiltshire?

Matka Zoe uśmiechała się, lecz Ben wyczuł w jej głosie tłumioną nutę rozpacz.

- To wcale nie jest tak daleko - powiedział spokojnie.  
- Tylko dwie godziny jazdy samochodem.

Czekał, aż brązowe oczy zwrócą się w jego kierunku, zdradzając sprzeczne z sobą uczucia dumy i wdzięczności, i zastanawiał się, dlaczego czuje się zmuszony uspokoić Heather. Nigdy nie był nastawiony antagonistycznie wobec rodziców Zoe, lecz gdyby miał być z sobą szczery, musiałby przyznać, że w głębi duszy instynktownie ich odrzuca, z powodów bardziej kulturowych niż logicznych, i próbuje to uczucie ignorować, jedynie od czasu do czasu dopuszczając je do głosu w postaci jakiegoś sarkastycznego komentarza dotyczącego ich uładowanego stylu życia.

Irytowała go zwłaszcza matka Zoe. Bardzo się różniła od jego matki, a nawet od kobiet bywających w restauracji, w której pracował - kobiet pracujących na wysokich stanowiskach, zadbanych, pewnych siebie, pozbawionych owej dziwnej delikatności Heather, która nieodmiennie wprawiała go w zmieszanie i budziła niechciane uczucie, że powinien ją w jakiś sposób chronić. I to właśnie go irytowało.

Zoe paplała w najlepsze, najwyraźniej nie dostrzegając, że matka próbuje ukryć niepokój. Ben nie miał co do tego żadnych wątpliwości, rozżłościł się więc nad obie: na matkę, bo go obarcza odpowiedzialnością, i na córkę, bo niczego nie widzi.

A jednak, gdy rozejrzał się po nieskazitelnie czystym salonie, pełnym świeżych kwiatów i pastelowych barw, pięknych i ciepłych, które dziwnym trafem zdawały się podkreślać samotność owej drobnej, eleganckiej kobiety, która ten salon stworzyła, zadał sobie nie po raz pierwszy pytanie, jak taka kobieta mogła urodzić dziecko tak energiczne jak Zoe, i nie po raz pierwszy przyznał, że w Heather musi być coś, czego on nie zauważa. Teraz, gdy dostrzegł jej ukrywany smutek, zastanawiał się, czy wreszcie czegoś nie zaczyna widzieć.

- To cudownie, kochanie - zwróciła się Heather do córki. - Szkoda, że nie ma teraz taty. Ale ja też mam wam coś do powiedzenia.

Ben usłyszał napięcie w jej głosie, Zoe jednak nadal niczego nie dostrzegła.

- A cóż to takiego, mamó? - spytała zaczepnie. - Chcesz zmienić fryzurę?

- Zaproponowano mi pracę w pomocy społecznej. Niedługo zacznie się szkolenie, i jest dla mnie miejsce... - Heather milczała przez chwilę. - Nie wiem, co robić. Jeśli zajmę to miejsce, a potem okaże się, że nie nadaję się do tej pracy, uniemożliwię naukę komuś innemu.

- A co na to tata? - spytała Zoe.

Ben zauważył, jak niewielka zmarszczka między zadbanymi brwiami Heather pogłębiła się.

- Oczywiście, mówiłam mu o tym, ale wiesz, jak jest

zajęty. Teraz siedzi w Zurychu, na jakiejś konferencji zorganizowanej przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Oczywiście, taka praca jest bardzo zobowiązująca, ale robiłabym coś pożytecznego, coś dla innych...

- Nastolatka z lat sześćdziesiątych ma wyrzuty sumienia w latach dziewięćdziesiątych - zażartowała Zoe, a Ben, który myślał podobnie, dojrzał wyraz bólu w oczach starszej z kobiet i przez chwilę milczał. Potem, ku zdumieniu swemu i jej, podszedł do niej, objął i powiedział nieco szorstkim tonem:

- Zrób to, Heather, Masz dużo do zaoferowania.

Ujrzał w jej oczach zdziwienie, lśnienie łez, wdzięczność zmieszana ze smutkiem. Poczuł również leciutkie drżenie jej ciała, automatyczną reakcję kobiety na dotyk męczyzny, co powiedziało mu, że Heather nie jest przyzwyczajona do takiego sposobu okazywania uczuć.

Zoe jednak czasem wspominała, że w dzieciństwie często przeszkadzała rodzicom w pocałunkach i że to właśnie świadomość, iż rodzice się kochają, zrodziła w niej przekonanie, że dotyk jest naturalnym wyrażaniem emocji.

Gdy Heather odstąpiła krok do tyłu, Ben spojrział na Zoe. Nadal nie dostrzegała napięcia matki i z uporem godnym lepszej sprawy opowiadała jej o planach budowy hotelu.

- Naprawdę, bardzo się cieszę - powiedziała matka, gdy córce wreszcie zabrakło tchu.

- A zawdzięczamy to tobie - dodał Ben. - To ty poleciłaś mnie Clive'owi i gdybym nie musiał przygotowywać jedzenia na wesele jego córki...

- Clive jest biznesmenem, a nie filantropem - przerwa-



ła mu Heather. - Gdyby w ciebie nie wierzył, nie pomagałby ci. Kiedy więc jedziecie zobaczyć ten dom?

- W tym tygodniu - odparła Zoe z podnieceniem. - Spotkamy się tam z Clive'em. Ja i Ben wzięliśmy trochę wolnego, żeby pojeździć po okolicy i zobaczyć, czy grozi nam konkurencja. Zatrzymamy się w tym hotelu pod Salisbury. Zdaje się, że to nasz jedyny rywal, ale oczywiście szef kuchni nawet się nie umywa do Bena.

- Nie bądź taka pewna - mruknął Ben. - Ta restauracja jest kilkugwiazdkowa.

- No tak. Ty zawsze jesteś pesymistą - skomentowała Zoe z uśmiechem.

Było już dobrze po północy, kiedy opuścili dom Heather. Uparła się otworzyć butelkę szampana dla uczczenia ich sukcesu. Kiedy go pili, zadzwonił telefon i Heather z ożywioną i zarumienioną twarzą -pobiegła go odebrać. Gdy jednak podniosła słuchawkę, na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- Myślałam, że to może tata - zwróciła się chwilę później do córki. - Powiedział, że postara się dzisiaj zadzwonić, ale najwyraźniej coś mu przeszkodziło.

Już w drodze do domu Zoe radośnie oświadczyła:

- Mama jest chyba zadowolona z naszych planów, nie sądzisz? Tak jak się spodziewałam. Dziwi mnie jednak to, że chce sobie wziąć na głowę pracę.

- Może chce sobie czymś wypełnić czas, skoro twój ojciec tak często wyjeżdża - odparł Ben ostrożnie.

Zoe nie zdawała sobie sprawy, że w domu rodziców coś się dzieje, a Ben nie zamierzał jej zdradzać swoich podejrzeń. Po co? Może się myli? Może Heather Clinton napra-

wdę chce pracą wypełnić wolny czas, a on, Ben, jest cyniczny, podejrzewając, że związek rodziców Zoe wcale nie jest taką idyllą? Czy ojciec Zoe...

- Ben, oprzytomnij! - zawołała Zoe. - Jesteś gdzieś daleko. O kim myślisz? O Sharon?

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą i uśmiechnął się do niej.

- No to... martwiłeś się o coś albo o kogoś - dociekała.

Ben milczał. On się martwi o rodziców Zoe, o jej matkę? Z jakiego niby powodu? Ma dość swoich zmartwień.

Później, gdy leżeli już przytuleni do siebie w łóżku i Zoe powoli zapadała w sen, Ben przypomniał sobie, jak dziwnie napięta i krucha wydała mu się Heather, kiedy ją objął, i jak bardzo zaskoczyła go świadomość, że ta kobieta jest ogromnie samotna i nieszczęśliwa.

Oni nie są moim problemem, powiedział w myślach i zamknął oczy. Ona nie jest moim problemem.

# Na dobre i na złe

## 10

- No, co o tym myślisz? - pytała gorączkowo Zoe.

Clive właśnie odjechał na spotkanie z architektem i zostali na terenie posiadłości Broughtonów sami. Z miejsca, w którym stali, widać było dom przesłaniający przez mały zagajnik zarośnięty splątanymi krzakami. Z tej odległości budowla sprawiała wrażenie wiecznej i trwałej.

- Hm, trochę to mniejsze, niż przypuszczałem - odparł Ben. - I aż się boję pomyśleć, ile roboty będzie z kuchnią.

- Tego nikt przed nami nie ukrywał - rzuciła Zoe niecierpliwie. - A poza tym zawsze mówiłeś, że chciałbyś mieć coś do powiedzenia przy projektowaniu kuchni.

- Tak, ale tu nie wystarczy sama zmiana projektu.

- Ależ Ben, nie możesz przecież zaprzeczyć, że w tym wszystkim jest wielki potencjał. Ten teren... ten ogród... [To miasteczko jest piękniejsze, niż sobie wyobrażałam. Można z tego zrobić prawdziwą atrakcję dla amerykańskich i australijskich turystów.

- Amerykańskich i australijskich? Przecież już od dawna do nas nie przyjeżdżają!

- Ale zaczną przyjeżdżać - oświadczyła Zoe tonem nie znoszącym sprzeciwu i zatoczyła ręką szeroki łuk. - To wszystko jest przepiękne.

- Bo ja wiem... - mruknął Ben cicho, Zoe jednak zorientowała się, że w głębi serca podziela jej zapał.

- Już teraz rozumiem, co Clive miał na myśli, kiedy mówił o przebudowie stajni. Można tam zrobić wspaniałe pokoje.

- Jeśli otrzymamy zezwolenie - przypomniał Ben.

Zoe nie zmieniała jednak łatwo zdania. Roześmiała się, objęła Bena za szyję, przytuliła się do niego z całej siły i przytłumionym głosem zaczęła mówić mu do ucha:

- Och, Ben, ależ ty lubisz się martwić. Powiedz, że tu jest ślicznie... A kiedy ludzie spróbują twojego jedzenia...

- No dobrze - odparł z uśmiechem. - To miejsce jest śliczne. Zadowolona?

- Tak, tak, tak! - zawołała.

- Ale zanim zaczniemy podawać to jedzenie, upłynie strasznie dużo czasu, nie mówiąc już o kosztach...

- Clive wie, co robi - przerwała Zoe. - Jest milionerem. A tych milionów nie zdobył ot, tak sobie, przypadkiem.

- Chodźmy - zaproponował Ben. - Jestem głodny...

- Jeszcze tylko popatrzymy na staw - powiedziała Zoe błagalnym tonem.

Ben potrząsnął głową, ruszył jednak w ślad za nią i przystanął nad wodą, wpatrując się jak ona w stadko kaczątek płynących tuż za matką.

- Boże, czy to nie jest cudowny widok?

- Cudowny - zgodził się Ben dziwnie szybko. - Henri miał taki przepis na młode kaczki. Bierze się... - Krzyknął teatralnie, gdy Zoe wymierzyła mu kuksańca w bok, po czym szepnął jej do ucha: - A może to nie są kaczki? Może to łabędzie?

Zoe wydeła w jego stronę usta i ruszyła do samochodu. W drodze do hotelu jeszcze raz omówili całą sprawę. No tak, dom jest gdzieś tam mocno zawilgocony; Zoe musiała też przyznać, że dopóki nie otrzymają zezwolenia na przebudowę i rozbudowę stajni, nie ma mowy o otwarciu hotelu. Niemniej Ben zgodził się, że jest to propozycja godna zastanowienia.

Zoe westchnęła z zachwytem. Oczami wyobraźni widziała już odnowiony dom, stajnie przebudowane z zachowaniem dawnego stylu, dobudowaną słoneczną werandę, którą można by wykorzystywać jako dodatkową jadalnię, nieskazitelnie utrzymany trawnik, biegnący wprost do zagajnika i pięknej, ukrytej w nim sadzawki, ścieżki obsadzone po bokach kolorowymi letnimi kwiatami... Jakież to piękne miejsce na ślub; na takim trawniku można ustawić olbrzymią markizę. Zoe puściła wodze wyobraźni: śluby przeistaczają się w bale dobroczynne i inne prestiżowe przyjęcia, recepcjonistka zaś z uprzejmym uśmiechem zaczyna mówić pojawiającym się w holu gościom, że wolnych miejsc nie ma... A potem „Tatler” i „Harper” piszą o nich w swoich działach poświęconych najlepszym restauracjom i dosłownie zalewa ich fala rezerwacji...

Ben staje się w końcu tak popularny, że rozważa możliwość założenia szkoły kucharskiej w nowo wybudowanym, stojącym na ustroniu budynku. Przed oczami Zoe przemykały jedno za drugim wszystkie spełnione marzenia. Może później otworzą z Benem drugą restaurację, a potem kupią *chateau* we Francji... Ale to miejsce, ten ich pierwszy hotel, na zawsze pozostanie miejscem szczególnym. I któregoś dnia, gdy będą już myśleć o przejściu na

emeryturę, przypomni Benowi, jakim to kiedyś był pesymistą, jak niepotrzebnie się wszystkim martwił.

- Mmm... - zamruczał jej Ben do ucha. - Chyba wiem, o czym myślisz.

- Chyba nie wiesz - odpowiedziała z uśmiechem.

- To tu?

Ben lekko wykrzywił usta, zatrzymując samochód przed wejściem do hotelu.

Po obu stronach podjazdu, gdzie niegdyś musiał być wspaniały park, rozciągało się olbrzymie pole golfowe; zamiast pięknych, majestatycznych okazów drzew, widać było ogołoczone połacie ziemi i grupki pochylonych nad nimi graczy.

- To pole wytyczono zapewne w czasach, kiedy nie było przepisów o zachowaniu naturalnego drzewostanu - stwierdziła Zoe.

- Wygląda okropnie, prawda? - spytał Ben.

- Tak, chyba że jesteś zapalonym golfiarzem. Ale dlaczego, na litość boską, nie zrobili tego pola gdzieś dalej?

- Czy jesteś całkiem pewna, że jest to jedyne miejsce, które może stanowić dla nas konkurencję? - spytał Ben w zadumie.

- O niczym innym nie wiem.

- Nie zapominajmy, że podobno podają tu dobre jedzenie - dodał Ben.

Zaparkowali samochód i weszli do hotelu. Recepcja została wydzielona z części większego pomieszczenia i sprawiała klaustrofobiczne wrażenie. Zoe pomyślała, że w ich hotelu nie popełnią tego błędu; recepcja powinna zachęcać gości. Za kontuarem nie pojawił się nikt. Ponieważ z po-

mieszczenia na tyłach dobiegał gwar głosów, było jasne, że ich wejście powinien być ktoś usłyszeć. Zoe kilkakrotnie musiała użyć dzwonka, by wreszcie na ich powitanie wyszła młoda i zaczerwieniona dziewczyna. Dwukrotnie szukała ich nazwiska w księdze rezerwacji, a kiedy jej wysiłki zostały uwieńczone sukcesem, ze zdziwieniem stwierdziła:

- Och, mają państwo zarezerwowany nasz apartament specjalny.

- To prawda? - spytał Ben szeptem, gdy recepcjonistka odwróciła się do nich plecami.

- To pomysł Clive'a - szepnęła Zoe. - Trzeba zarezerwować najdroższy apartament, żeby wiedzieć, z czym się naprawdę ma do czynienia.

- Wiesz, nie obchodzi mnie, jak ktoś się reklamuje - oznajmił Ben. - To miejsce nie jest żadnym pensjonatem. Wygląda raczej na hotel, w którym organizuje się spotkania i konferencje.

- Ale jest tu duży kompleks rekreacyjny - lojalnie przyznała Zoe. - A my o tym nie pomyśleliśmy.

- I nie będziemy o tym myśleć - oświadczył Ben stanowczo,

Dziewczyna z recepcji znalazła w końcu klucz, a teraz dla odmiany zaczęła szukać kogoś, kto by im pomógł zanieść do pokoju bagaże.

- Przepraszam - powiedziała - ale mamy konferencję i trochę brakuje nam pracowników.

- Chyba zawsze brakuje im pracowników - szepnęła Zoe, gdy dziewczyna w końcu przysłała im młodego chłopaka.

To nie jej wina, pomyślała Zoe. Jest bardzo młoda i zapewne pracuje na pół etatu. Hotel leży z dziesięć kilome-

trów od najbliższego miasteczka i pewnie trzeba dowozić personel do pracy. A ponieważ hotelarstwo słynie z niskich pensji, więc chyba dorabia tu głównie młodzież szkolna. Ten hotel nie jest częścią jakiejś dużej sieci i nie wysyła swych pracowników na szkolenia, co rzuca się w oczy.

Gdy doszli na miejsce, Zoe uśmiechnęła się do chłopca, który przyniósł bagaże, i poczekała, aż Ben wręczy mu napiwek, zanim skomentowała, co myśli o takich usługach.

- No tak, bardzo amatorskie - przyznał Ben i zapytał: - A co pani sądzi o tym apartamencie?

Zoe lekko wyduła usta. Meble w saloniku były obite perkalem w duże kwiaty; całość utrzymana była w banalnym połączeniu różu i zieleni.

- Ładne, ale chyba trochę przedobrzone.

- Hm... Obrzydliwe - rzucił Ben. - Chodźmy do sypialni.

W sypialni panowała taka sama kolorystyka jak w saloniku, przez okno zaś rozciągał się widok na pole golfowe i leżący trochę dalej lasek.

- Właściwie to chcę obejrzeć łazienkę - oznajmiła Zoe z tajemniczą miną.

- Dlaczego? - spytał Ben. - Cóż może być takiego w łazience... Oo! - zawołał, zaglądając Zoe przez ramię.

- *Jacuzzi* - powiedziała bez potrzeby.

- Widzę - rzucił cierpko. - To dlatego ta dziewczyna tak dziwnie na nas spojrzała. Ten apartament wynajmują pewnie podstarzali biznesmeni, którzy przyjeżdżają tu z sekretarkami.

- Clive kazał mi zarezerwować najdroższy pokój - powtórzyła Zoe.

- No ale chyba nie myślisz, że w naszym hotelu...



- Aha! Więc jednak będzie hotel, a nie tylko restauracja ucieszyła się Zoe.

- Może, ale w sypialniach nie będzie czegoś takiego.

- W sypialniach nie - zgodziła się.

Spojrzał na nią uważnie.

- No, dokończ.

Odwrociła się twarzą do niego i powoli zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Bo ja wiem? - mruknęła. - Moglibyśmy mieć coś takiego w naszej sypialni.

- Co? Ale po co?

To było wszystko, co zdołał powiedzieć, bo w tej samej chwili Zoe obsypała go pocałunkami.

Godzinę później, gdy zaczął narzekać, że wygląda i czuje się jak pomarszczona śliwka, Zoe uśmiechnęła się do niego leniwie i w zamyśleniu spytała:

- Jak sądzisz, czy te bicze wodne...

Urwała ze śmiechem, bo Ben wstał, siłą wyciągnął ją z wody i zaprowadził do łóżka.

- Teraz obchodzi mnie tylko kolacja - powiedział stanowczo i westchnął, czując dłonie Zoe na plecach i jej usta na uchu. - Na którą zamówiłaś tę kolację? - spytał stłumionym głosem, słysząc jej przymilne mruczenie i ulegając jej instynktownie.

- Na wpół do dziewiątej - szepnęła Zoe.

Od początku kochanie się z Zoe było dla Bena czymś bardzo szczególnym. Przez długi czas uważał, że Zoe jest nieco rozwiązła, by wreszcie odkryć, że mniej miała doświadczenia, niż przypuszczał, mniej nawet niż on sam, i że jej zachowanie stanowi wyłącznie odbicie jej uczuć.

Zoe odsłoniła przed nim aspekt seksu, którego istnienia nawet nie podejrzewał, a mianowicie jego szczególne piękno i czystość, coś, co rodzi się tylko z głębokiego zaufania i uczciwości.

Dzięki niej pozbył się zahamowań i odrzucił destruktywne podejście do spraw seksu, jakie demonstrował w młodości: dziewczyny, które „to” robiły, były łatwe, a te inne musiały ciężko pracować. Te pierwsze były do zabawy, z tymi drugimi chłopcy się żenili.

Zoe nauczyła go patrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy; przyjął do wiadomości fakt, że kobieta ma prawo cieszyć się swą zmysłowością, kiedy jej przyjdzie na to ochota. Zoe zaś tak bez reszty upajała się kochaniem, że sprawiało to Benowi jakąś szczególną przyjemność. Teraz znowu ucałowała go sennie i swoim zwyczajem tuliła się do niego jak kotka.

- O, nie - zaprotestował i potrząsnął ją lekko za ramiona. - Nie przyjechaliśmy tu dla zabawy. Już ósma, a kolacja jest za pół godziny, tak?

Spojrzała mu w twarz i powiodła palcem po jego udzie.

- O, nie - powtórzył i odsunął jej rękę. - Kolacja...

- Jak możesz nawet myśleć o jedzeniu, kiedy zamiast tego mógłbyś... ?

Celowo urwała i patrzyła na niego przez przymknięte powieki. Ben roześmiał się, szybko wstał z łóżka, wziął czyste ubranie i pobiegł do łazienki. Gdy ujrzał, że Zoe rusza w jego ślady, zawołał stanowczo:

- O, nie. Tym razem poczekaś tutaj. Niech diabli porwą to *jacuzzi*...

- Tchórz! - zawołała Zoe i położyła się wygodnie na plecach. Była odprężona i wypoczęta. Nadal czuła w sobie

pulsujące ciepło orgazmu i jakby coś jeszcze... Nowe życie? Uśmiechnęła się błogo i pomyślała, że to naprawdę cudowny dzień. I ten dom jest cudowny, a może raczej będzie... Przewróciła się na brzuch i upajała się swoim szczęściem.

- Masz piętnaście minut - usłyszała nagle głos Bena.

Posłusznie wstała i poszła do łazienki. Chętnie by się dalej przekomarzała z Benem, lecz wiedziała równie dobrze jak on, po co tu naprawdę przyjechali.

Z kulinarnego punktu widzenia kolacja była katastrofą, natomiast z punktu widzenia potencjalnego konkurenta było to cudowne potwierdzenie wszystkiego, co Zoe wbijała Benowi do głowy od czasu propozycji Clive'a. Czy może im się nie udać, skoro ten hotel to jedyna konkurencja?

Musieli czekać aż do dziewiątej, zanim zdenerwowana kelnerka zaprowadziła ich do stolika. Restauracja była tylko w połowie zapełniona gośćmi i puste stoliki sprawiały przygnębiające wrażenie. Kiedy wreszcie kelnerka przyjęła zamówienie i przyniosła zupę, Zoe z zapiętym tchem wpatrywała się w twarz Bena. W karcie dań potrawa ta zachwalana była jako pożywna zupa domowej roboty, przyrządzona z własnych warzyw i wzbogacona rosołem z kurczaka, specjałem szefa kuchni, z dodatkiem grzanek z domowego chleba...

- Warzywa są z puszki, a nie świeże - Ben wykrzywił usta już po pierwszej łyżce - a ten rosół... Nie wiem, z czego, ale na pewno nie jest z kurczaka.

- Ben, czy to na pewno takie niedobre?

- Jeszcze gorsze.

Zoe zamówiła na przystawkę melona. Oprócz owej nie-

szczęsnej zupy i pasztetu, na który nie miała ochoty, była to jedyna potrawa, którą można było dostać na pierwsze danie. Otrzymała cienki plaster melona, polany gęstym czerwonym sosem, do którego wrzucono jakby przypadkiem kawałki innych owoców. Na drugie danie zamówiła *coquille St-Jacques*.

- Zamów kaczkę - radził Ben. - Wiesz przecież, jaki masz wrażliwy żołądek. Pamiętasz, jak cierpiełaś kilka tygodni temu?

- Nie mogę jeść kaczki... Nie dzisiaj - odparła ze smutnym uśmiechem.

Ben zamówił danie wegetariańskie, chcąc się przekonać, co się pod tą nazwą kryje. Kiedy więc otrzymał zupełnie zwyczajnie wyglądający omlet, skrzywił się z niesmakiem. Kelnerka musiała to zauważyć, ponieważ zarumieniła się lekko i powiedziała:

- To przez tę konferencję... Brakuje nam personelu.

- Dosyć mam słuchania o tej konferencji - mruknął Ben, gdy kelnerka odeszła, po czym wziął do ręki talerz Zoe i powąchał małże. - Nie jedz tego - rozkazał. - Wygląda podejrzanie.

- Ben, czy ty nie przesadzasz z tym gnębieniem konkurencji?

- Hm, może masz rację, ale o ile moją zupę ktoś niewybredny mógłby zjeść, to twoje danie moim zdaniem więcej czasu spędziło w lodówce niż w morzu.

Omlet Bena miał strukturę podeszwy, dodany zaś do niego bukiet jarzyn wyglądał jak ścięty mrozem. Kiedy później okazało się, że na deser można otrzymać tylko ciastko czekoladowe, owoce i lody, Ben z niedowierzaniem pokręcił głową i powiedział:

- To nie do wiary.

- Do wiary, do wiary - zapewniła Zoe. - Właśnie widziałam ich wózek z deserami.

Gdy skończyli kolację, Ben wezwał kelnerkę i poinformował ją uprzejmie, że nie są zachwyceni posiłkiem.

- Wasza restauracja jest reklamowana jako wyśmienita - dodał łagodnym głosem.

Dziewczyna zaczerwieniła się i obejrzała rozpaczliwie przez ramię, nikt jednak nie przyszedł jej z pomocą.

- Tak, ale... Szef kuchni zwolnił się w zeszłym tygodniu i obawiam się, że jeszcze nikogo nie znaleziono, a poza tym mamy tę...

- Wiem, konferencję - przerwał jej Ben. - Już pani o tym mówiła.

Pół godziny później, gdy przenieśli się do baru i nadal omawiali posiłek, w głosie Bena brzmiała jednak radość.

- Ale mogą znaleźć do kuchni kogoś lepszego niż poprzedni kucharz - ostrzegła Zoe, po raz pierwszy grając rolę adwokata diabła.

- Możliwe - odparł Ben - ale skoro szef kuchni odszedł, coś musiało mu się nie podobać.

- Hm... A może spróbujemy się dowiedzieć, co? - rzuciła Zoe, zerkając na opustoszały bar i kilkunastoletniego chłopca za kontuarem.

Po niespełna pół godzinie znała już całą historię. Otóż między właścicielem hotelu a szefem kuchni doszło do konfliktu. Ten drugi uważał, że jest w pełni odpowiedzialny za kuchnię, a tym samym za jej budżet. Właściciel hotelu był innego zdania i przeprowadzał nieustanne cięcia finansowe, także w kuchni, zmuszając w ten sposób szefa do kupowania produktów niższej jakości, przez co nie był

w stanie przyrządzać dań, dzięki którym zyskał dobrą opinię, a restauracja gwiazdki.

Właścicielowi hotelu nie podobały się także sosy szefa kuchni i upierał się, że menu ma się składać z dań *nouvelle cuisine*.

- No, wiedzą państwo, mniejsze porcje - ciągnął chłopak - i przez to tańsze. Ale szef kuchni, Armand, nie chciał się na to zgodzić. Powiedział, że *nouvelle cuisine* nie jest już *nouvelle*, a poza tym nie jest to żadna *cuisine*. - Chłopak mówił z wyraźną przyjemnością, co wskazywało na to, że podsłuchiwał niejedną kłótnię. - Armand powiedział, że wybredni ludzie mają dość tej *nouvelle cuisine* i chcą porządnego, zdrowego jedzenia. Był dumny z tego, że w jego sosach nie ma żadnych dodatków ani tłuszczu. Mówił, że jak ludzie chcą sobie zatkać arterie cholesterolom, wystarczają im jajka na bekonie na śniadanie.

Chłopak wzruszył ramionami, zamyślił się i po chwili dodał:

- Pan Patrick, właściciel, powiedział, że i tak chciał go wyrzucić, ale nikogo dotąd na jego miejsce nie znalazł. Drugi kucharz zajęty jest gotowaniem dla konferencji, więc właściwie nie ma kto gotować dla gości. W restauracji podaje się produkty mrożone. Coś mi się wydaje, że niektóre są tu od czasu, kiedy pan Patrick kupował ten hotel... Ella, moja dziewczyna, pracuje w kuchni i mówi, że niektóre paczki pokrywa taka gruba warstwa lodu, że trzeba je najpierw zlać gorącą wodą, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Kiedy Zoe zrobiła przerażoną minę, Ben szepnął:

- Mówiłem ci przecież, żebyś tego nie jadła.

Cztery godziny później, kiedy już po raz trzeci w ciągu sześćdziesięciu minut Zoe wstała z łóżka i pobiegła do łazienki, Ben ruszył za nią, żeby jej pomóc. Nie mógł się jednak powstrzymać i powiedział triumfalnie:

- Wiedziałem, że z tym twoim jedzeniem coś nie tak.

- Dzięki - odparła Zoe słabym głosem, ale odmownie potrząsnęła głową, gdy Ben spytał, czy ma przez służbę hotelową wezwać lekarza. - Już mi lepiej.

- Lepiej? Chyba wspaniale? - poprawił ją Ben. - Mój Boże, mamy niesamowite szczęście. Zatrucie pokarmowe... Miejmy nadzieję, że nie tylko ty zachorowałaś. Wtedy zamkną ten hotel, a jeśli jest to nasza jedyna konkurencja...

- Jedyna - zapewniła go Zoe i dodała weselej: - Przecież mówiłam ci, żebyś przestał się martwić. Mówiłam ci, że wszystko dobrze pójdzie, że nic...

Urwała, czując następny przypływ mdłości, a kiedy się wszystko uspokoiło, Ben uśmiechnął się i odpowiedział:

- No dobrze, miałaś rację. Nic nam nie stanie na drodze, nic nas nie powstrzyma. Osiągniemy sukces, o jakim nam się nie śniło. Wierzę ci. Jesteś zadowolona?

- Tak - potwierdziła słabym głosem. - I przestań mnie rozśmieszać. To boli.

Fizycznie czuła się fatalnie, w głębi duszy była jednak tak podniecona, że niemal wirowało jej w głowie. Po raz pierwszy widziała Bena w tak dobrym nastroju i po raz pierwszy to on ją pocieszał, a nie ona jego.

Wszystko się dobrze skończy, powtarzała w myślach, gdy Ben pomagał jej wrócić do łóżka. Dobrze, cudownie. I Ben ma rację. Już nic ich nie powstrzyma. Nic.

## Na dobre i na złe

### 11

- Och, Fern! Moja droga, proszę, wejdź.

Twarz lorda Stanton'a rozjaśniła się radością, gdy jego kamerdyner Phillips wprowadzał Fern do biblioteki.

Lord Stanton i Phillips. Fern pomyślała, że nie sposób wyobrazić sobie jednego bez drugiego. Phillips liczył już siedemdziesiąt lat i był od lorda Stanton'a młodszy, lecz pod wieloma względami był jego opiekunem, jeśli nie mentorem. Łączyło ich coś głębszego niż zwykła więź między pracodawcą a pracownikiem, choć Fern nigdy nie dostrzegła, by któryś z nich kiedykolwiek uczynił jakiegoś odstępstwo od dziwnie staroświeckiego sposobu, w jaki się do siebie odnosili. Cokolwiek się działo, obaj starannie przestrzegali etykiety. Fern przypuszczała, że bez Phillipsa lord Stanton by nie przeżył, a gdyby lorda Stanton'a zabrakło, życie Phillipsa straciłoby sens.

- To cudownie, że mnie odwiedziłaś - mówił lord Stanton, kierując Fern w stronę fotela.

Biblioteka była wielka i staroświecka, umeblowana w typowo męski sposób. Stało w niej olbrzymie biurko, przy kominku dwa ogromne fotele z podnóżkami, pokryte zielonym aksamitem, nieco wytartym na poręczach, podobnie jak turecki dywan, który zdradzał ślady wędrowek lorda Stanton'a od biurka do okna i do kominka.



- Przecież prosił mnie pan o uzupełnienie listy na dziecięcy bal - przypomniała Fern uprzejmie i potrząsnęła głową, gdy zaproponował jej kieliszek sherry. Mimo że srebrna taca z karafką i kieliszkami stała w zasięgu ręki na stoliku przy jej fotelu, Fern wiedziała, że lord Stanton i tak zadzwoni po Phillipsa, by dokonał aktu napełnienia jej kieliszka, a potem pośle go do kuchni po talerz makaroników, które były przysmakiem lady Stanton i bez których, zdaniem lorda, żadna kobieta nie jest w stanie delektować się sherry.

- Ach, tak, rzeczywiście. Obawiam się, że to starość, moja droga - rzekł lord smętnie. - Znacznie łatwiej przypominam sobie, co było dawno, niż co było wczoraj. Zaraz, zaraz, gdzie ja położyłem tę listę... ?

- Mam jej kopię - powiedziała Fern dyplomatycznie, widząc, jak lord Stanton zaczyna grzebać bezradnie wśród stosów papierów na biurku.

- Masz? Moja droga, jesteś najcudowniejszą młodą kobietą, jaką znam. Jesteś właściwie ideałem. To ile jeszcze dzieci musimy dopisać?

- Troje - odparła Fern - ale pięcioro skreślamy. Dwoje wyprowadza się z rodzicami, troje zaś kończy w tym roku trzynaste lat.

- Trzynaste, no tak. Eugenie zawsze mówiła, że granicę wieku należy podnieść do piętnastu, ale z drugiej strony starsze dzieci nie znoszą towarzystwa młodszych. Zawsze musiałem jej przypominać, jak stroniła od towarzystwa dzieci, kiedy byliśmy młodzi. Jak wiesz, Fern, była ode mnie młodsza. Dziesięć lat młodsza, a tyle w niej było radości życia. Nigdy nie przyszło mi na myśl...

W tym tygodniu mija pięć lat od jej śmierci. Wiesz,

Fern, czasami nawet zapominam, że jej już nie ma. Wzięliśmy ślub, kiedy miała siedemnaście lat. Nie doczekała złotego wesela... Rozmawialiśmy o tym tej nocy, kiedy umarła. Chciała zrobić wielkie przyjęcie, zaprosić tych wszystkich, którzy byli na naszym weselu, no, tych, którzy jeszcze żyją...

Fern uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Wiedziała, jak bardzo kochał żonę. Nick irytował się, gdy lord Stanton zaczynał o niej mówić, i twierdził, że nudzi go wysłuchiwanie bez końca tych samych historii. Fern próbowała mu tłumaczyć, że ten stary człowiek znał swą żonę od dzieciństwa, spędzali z sobą wakacje, a potem nie rozstawali się przez całe życie, toteż tylko mówiąc o niej może uporać się ze swym smutkiem. Nick niewiele jednak z tego rozumiał.

- Bardzo jej panu brakuje - powiedziała teraz cicho.

- Tak, to prawda... - Spojrzał na nią uważnie, w jego oczach zabłysła inteligencja. - Ty jesteś bardzo delikatna, Fern, bardzo ciepła, sama twoja obecność leczy rany. Ale chyba jesteś zmęczona moim gadaniem o Eugenie.

- Nie - odparła szczerze. - Wiem, jaka była panu droga. - Przymknęła powieki, gdy przez głowę przebiegła jej myśl, jak bardzo jej małżeństwo różni się od związku lorda Stantona.

- Mieliśmy trudne chwile, jak wszyscy, ale Eugenie była nie tylko moją żoną. Ona była moją najbliższą przyjaciółką, moją powierniczką. Może nie tak od razu, ale później, kiedy dojrzeliliśmy jako małżeństwo. Przyjaźń nie jest doceniana w małżeństwie - dodał z namysłem. - Dziś zwraca się uwagę na tyle innych rzeczy, ale gdy człowiek się zestarzeje, zaczyna cenić przyjaźń, i właśnie tego mi dzisiaj brakuje. Eugenie jako kobieta, jako żona, nie po-

chwałała wszystkiego, co robiłem, ale jako przyjaciółka akceptowała moje słabości i wady.

Podniósł głowę i uśmiechnął się do Fern, po czym, gdy zobaczył w jej oczach łzy, potrząsnął głową.

- No tak, więc jednak cię zasmuciłem. - Pogłaskał jej dłoń. - Ale wierz mi, wcale nie chciałem.

- Nie, to nie to - zaprzeczyła Fern i wytarła nos.

Jej rodzice byli z sobą szczęśliwi, ale przekroczyli już czterdziestkę, kiedy Fern się urodziła. Nie spodziewali się dziecka, ale byli z córki zadowoleni. A jednak, z powodu różnicy wieku, Fern nie potrafiła rozmawiać z nimi bez zahamowań. Gdy miała kilkanaście lat, odnosiła wrażenie, że jej rodzice żyją w zupełnie innym świecie i przeżywała niepokój na myśl o tym, że jej sposób życia może zburzyć *spokojną harmonię ich egzystencji*.

Teraz rozumiała, że ich życie niegdyś wyglądało inaczej, że ten ich spokój i harmonia nadeszły wraz z wiekiem. Zawsze trudno jej było wyobrazić sobie, by rodzice kiedykolwiek się kłócili, by ich związek plamiło coś nieczystego, co zdawało się cechować jej małżeństwo, i na pewno żadne z nich nigdy nie czuło takiej winy i takiego wstydu, jakie ją nieustannie dręczyły.

Lecz przecież przysłała tu pomoc lordowi, a nie rozmyślać nad swoim życiem. Wyjęła więc kopię listy zaproszonych na bal bożonarodzeniowy i zaczęła ją odczytywać.

- Szkoda, że w tym roku zabraknie Sally Broughton - powiedział lord Stanton ze smutkiem. - Zwłaszcza podczas letniego festynu.

- Tak - potwierdziła Fern i mimowolnie dodała: - Mam nadzieję, że nie zburzą jej domu.

- Zburzą? Na pewno nie - zaprotestował.
- Nick mówił mi, że istnieje taka możliwość, a Adam...
- Urwała i zagryzła wargi.

- Adam co?

- No, widziałam go niedawno na terenie posiadłości i... miał przy sobie jakieś plany. Nick mówi, że Adam należy do spółki, która chce kupić ten dom, a potem go zburzyć, żeby zbudować tam jakiś supermarket, sklepy, czy coś takiego.

- To śmieszne - oświadczył lord Stanton. - Wiem, moja droga, że Nick jest twoim mężem, lecz podejrzewam, że tym razem się myli. A co do Adama to możesz być pewna, że nigdy nie zgodzi się na burzenie. Trochę mnie dziwi, że masz jakieś wątpliwości. Adam jest człowiekiem niezwykle uczciwym. Nikt nie zrobił więcej dla tego miasta i jego mieszkańców niż on. A jeśli naprawdę obawiasz się o przyszłość tego domu i sądzisz, że Adam jest zamieszany w coś, co mogłoby temu domowi zaszkodzić, to nie rozumiem, dlaczego go o to nie spytasz.

Fern poczuła, że się rumieni. Gwałtownie pochyliła głowę, usiłując za swymi ciężkimi włosami ukryć wstyd i winę, jakie, obawiała się, są wymalowane na jej twarzy.

- Adam jest bardzo zajęty - wybąkała niepewnie. - Nie... nie chcę mu przeszkadzać, a poza tym... No, jeśli ma jakiś związek z tym intratnym zakupem, to na pewno wszystko jest na razie utajnione?

- Mylisz się - skomentował lord Stanton. - Jeśli Adam... Nie, nie bój się o przyszłość tego domu, jeśli Adam ma w tej sprawie coś do powiedzenia. A tak przy okazji to z przyjemnością dowiedziałem się, że pokazuje się ostatnio z tą ładną córką George'a Jamesa. Najwyższy

czas, żeby znalazł sobie żonę. Nie pojmuję, dlaczego jeszcze tego nie zrobił.

- Tak, Lily jest bardzo atrakcyjna - zgodziła się Fern cicho.

- Czy dobrze się czujesz, moja droga? - spytał nagle zaniepokojony. - Tak jakoś zbladłaś. Chyba jednak zadzwonię po Phillipsa, żeby ci nalał kieliszek sherry. Trochę tu zimno...

Fern opuściła rezydencję lorda Stanton dopiero po dwóch godzinach. Uległa namowom gospodarza i zgodziła się wypić sherry, po czym odrętwiała czekała, aż Phillips naleje jej kieliszek i przyniesie nieodzowne ciasteczka.

- Jesteś bardzo miłą młodą kobietą - powiedział lord, gdy Fern wreszcie mogła wstać z fotela. - A ten twój mąż ma mnóstwo szczęścia.

Czyżby? - myślała w drodze do domu. Nick z pewnością jest innego zdania, bo w przeciwnym razie by nie oszukiwał i nie mówił, że ją kocha, a następnego dnia nie wyznawałby innej kobiecie, że tylko tamtej pragnie. Nick był człowiekiem, który w jednej chwili potrafił oskarżyć żonę o to, że sama rzuca go w ramiona innej kobiety, bo go nie kocha, a w następnej - że wierzy w jej miłość, że sam ją kocha i że ich małżeństwo jest dla niego bardzo ważne.

Jak ważne? Z pewnością nie na tyle, by nie zaryzykować romansu z Venice. Jeśli to, oczywiście, prawda. Lecz prawdą jest również to, że ona sama dopuściła się zdrady małżeńskiej, łamiąc przysięgę złożoną na całe życie. Boże, jak uporać się z tym dręczącym poczuciem winy?

Zapadał już zmierzch. Fern przystanąła na chwilę, patrząc na jaskółki uwijające się pod dachem jednego z domów po drugiej stronie drogi. Na pewno budują gniazdo.

Poczuła lekkie ukłucie w sercu, żal ścisnął ją za gardło i odwróciła się z pochyloną głową, żeby tylko nie ulec pokusie spojrzenia na tę sielską scenkę po raz drugi.

- Adam? Mój drogi, co za niespodzianka!

Adam uściskał rękę, którą wyciągnął do niego stary człowiek, stwierdzając przy tym niezwykłą kruchość jego dłoni.

- Przejeżdżałem właśnie obok pana domu i przypomniałem sobie, że już odnalazł pan oryginalne rachunki za koła zamawiane do tej starej kariolki...

- Ach, tak... Zaraz, gdzie ja je położyłem?

Adam czekał cierpliwie, podczas gdy lord Stanton przeglądał sterty papierów na biurku.

Podśledzał kiedyś, jak Fern mówiła komuś, że lord czuje się bardzo samotny po śmierci żony... Oczywiście jemu, Adamowi, Fern rzadko mówiła cokolwiek. Dlaczego? Uśmiechnął się do siebie gorzko. Czy boi się, że on ją czymś obrazi? Wtedy jednak postanowił odwiedzać starego człowieka tak często, jak tylko będzie mógł.

Niezmiennie dbał o to, by lord Stanton myślał, że przyjeżdża tu w interesie, czekał więc spokojnie, aż gospodarz dogrzebie się do dokumentu, świadectwa dawnej transakcji między ich wspólnymi przodkami, gdy nagle usłyszał jego głos:

- Fern tu była przed chwilą. Minęliście się.

- Wiem - odparł Adam.

- Aha, spotkaliście się na drodze?

- Nie, czu... - Adam urwał i zaklął pod nosem. Jak może popełniać taki błąd? - Nick mi mówił, że ona tu będzie - skłamał i zastanowił się, co stary człowiek by

pomyślał, gdyby usłyszał, że jego gość wie o wizycie Fern, ponieważ wyczuł w powietrzu zapach jej perfum.

Lord Stanton na pewno nic by nie powiedział - był na to zbyt dobrze wychowany. Lecz mimo to zostałyby zasiane jakieś ziarno podejrzeń, ktoś mógłby dojść do pochopnych wniosków, Fern mogłaby poczuć się dotknięta... Rysy twarzy Adama stężały, toteż gdy lord Stanton odwrócił się i spojrzał na niego, spytał zaniepokojony:

- Mój drogi, co się stało?
- - Nic, nic - odparł pośpiesznie Adam.
- Właściwie to szkoda, że nie przyjechałeś przed wyjściem Fern. Mógłbyś ją uspokoić.

Lord zamilkł i Adam usiłował panować nad sobą, czekając na dalsze słowa. Jeśli Nick coś jej zrobił... Jednak gdy lord Stanton podjął przerwany wątek, Adam zdumiał się, że to nie jego przybrany brat, lecz on sam jest źródłem niepokoju Fern.

- Ona chyba myśli, że dom Broughtonów ma być zburzony i na jego miejscu ma powstać... jakiś supermarket.

Wiele lat temu Adam uważał, że nauczył się godzić bez cierpień z rzeczywistością, teraz jednak, gdy słuchał lorda Stantona i powoli docierało do niego, co Fern mu zarzuca, i to bez wysłuchania jego wyjaśnień, poczuł w sercu tak silny ból, że z trudem się opanował.

- Powiedziałem jej, oczywiście, że na pewno się myli
- ciągnął lord Stanton.
- W moim biurze leży pismo od klienta w tej sprawie -oznajmił Adam.

- Aha, więc dla mnie wszystko jest jasne - zapewnił go lord Stanton. - O, znalazłem: „Cztery koła do wyścigowej kariolki lorda Stantona, szprychy pomalowane na żółto,

obręcze na czarno". Podobno mój przodek, który był niepoprawnym hazardzistą, założył się o dziesięć tysięcy gwinei, że pokona swojego przeciwnika na trasie Londyn-Brighton kariolką na tych kołach.

- No i? - spytał Adam.

- Wygrał. W przeciwnym razie wątpię, żebym w ogóle przyszedł na świat i mógł opowiedzieć tę historię. Dzięki wygranej mógł oświadczyć się córce bogatego młynarza, której posag uratował tę posiadłość. Często zastanawiam się, co będzie z tym majątkiem po mojej śmierci. Jest za mały, żeby się nim zainteresowało państwo, a ja nie mam spadkobiercy... Właściwie to od jakiegoś czasu chcę o tym z tobą porozmawiać. Beavers, mój prawnik, mówi, że mógłbym go oddać pod zarząd miasta. Eugenie byłaby chyba z tego zadowolona - dodał pośpiesznie.

- To byłby niezmiernie hojny gest - powiedział Adam spokojnie.

- Nonsens. Wiem, że ciężar tej cholernej papierkowej roboty i całej reszty spadnie na twoje barki, Adamie. Powiedziałem Beaversowi, że masz już dosyć na głowie. Nie chciałbym tego robić - chyba że byłbyś jednym z powierników. Wiem, że na tobie można polegać. Eugenie kochała ten dom. Często mówiła, że wzięła ślub z domem, a nie ze mną... Strasznie mi jej brakuje i nie będzie mi żal, kiedy przyjdzie pora opuścić ten padół. Jednak muszę się jeszcze przez jakiś czas trzymać, z powodu Phillipsa. - Urwał i spojrzał na Adama uważnym wzrokiem. - Podobno spotykasz się często z Lily.

- Przyjaźnię się z jej ojcem - powiedział Adam sucho i dodał znacząco: - To miłe dziecko. Ma dopiero dziewięćnaście lat.



- Moja Eugenie miała siedemnaście, kiedy braliśmy ślub.

- No cóż, gdyby Lily była moją córką, radziłbym jej poczekać jeszcze dziesięć lat, zanim zdecyduje się na tak poważny krok - rzucił Adam beztrąsko.

Czy lord Stanton naprawdę myśli, że on mógłby zastanawiać się nad poślubieniem kilkunastoletniej dziewczyny? Przecież ma już niemal trzydzieści pięć lat, a poza tym w jego życiu była tylko jedna kobieta, w której chętnie by widział swą żonę, którą kochał na tyle, by chcieć spędzić z nią całe życie.

Kochał?

Wśród zastarzałego, suchego zapachu kurzu i wypełniających bibliotekę książek w skórzanych okładkach, Adam nadal wyraźnie rozpoznawał aromat perfum Fern. Oraz jej zapach. Fern... Nawet jej imię przywodziło na myśl kruchość i delikatność, przypominającą młode, rozwijające się liście rośliny, od której wzięła swe imię.

Całymi latami patrzył... był zmuszony patrzeć, jak jego przybrany brat okrutnie i z premedytacją niszczy tę delikatność swą szorstkością, publicznym krytykowaniem jej, swoją bezmyślnością i lekceważeniem. Lecz mimo wszystko Fern go kochała, nie widziała w nim żadnych wad i dawała mu to, czego najwyraźniej nigdy nie była w stanie dać jemu - Adamowi. Z wyjątkiem tego jednego razu...

Lecz wkrótce potem odepchnęła go i uciekła, tak przerażona i wystraszona, że nie chciała go nawet wysłuchać. Czasami żałował, że w ogóle do tego doszło, bo tak pogmatwało to stosunki między nimi. Teraz nie mógł się z nią

\* Fern - ang. paproć

nawet przyjaźnić, nie mógł odwiedzać jej jako członek rodziny; mógł tylko cierpieć.

Fern... Gdy pożegnawszy się z lordem Stantonem wsiadał do samochodu, zastanawiał się pochmurnie, jakim cudem przychodzi ludziom do głowy, że mogłby chcieć znaleźć szczęście z takim ślicznym dzieckiem jak Lily. Przecież próbował kochać wiele pięknych, inteligentnych i dojrzałych kobiet, okazywało się jednak, że miłości nie można wymusić. Miłość albo jest, albo jej nie ma, a ponieważ jego miłość do Fern była tak intensywna, wypalił się i nie potrafił wykrzesać w sobie podobnych uczuć do nikogo innego.

Fern jednak kochała Nicka i ilekroć ujrzała jego, Adama, traktowała go jak zadżumionego. Nie, znacznie gorzej... Fern nie była kobietą, która odwróciłaby się od człowieka cierpiącego, Fern nie przeszłaby obojętnie obok chorego - chyba że tym kimś byłby on.

Przypomniał sobie, że jeszcze dziś ma spotkanie rady i jeśli się nie pośpieszy, może się spóźnić. Mieszkał w małym, eleganckim domku przy cichej ulicy, w niewielkiej odległości od głównego placu. Dom miał na tyłach długi ogród, który ciągnął się aż do rzeki, i stanowił dla Adama idealną bazę. Bazę, ale nie dom... Nie taki dom, jaki Fern stworzyła dla Nicka, mimo że Nick wcale tego nie doceniał i nie spędzał w nim z Fern wiele czasu. Ale jeśli Fern go kocha... Nie ma żadnego „jeśli”, pomyślał niewesoło i nacisnął mocniej na gaz.

- Adamie, ludzie mówią, że masz zamiar zgodzić się na zburzenie domu Broughtonów.

- Przykro mi, Anthony, ale nie mogę z tobą omawiać

spraw moich klientów - odparł Adam chłodno swemu koledze z rady.

Anthony Quentin i Adam nie zawsze zgadzali się w sprawach omawianych podczas posiedzeń rady, toteż Adam podejrzewał, że zainteresowanie kolegi domem wynika z pobudek raczej prywatnych, a nie społecznych, chociaż zawsze można się mylić. Anthony był właścicielem największego supermarketu w mieście i na pewno interesowały go wszelkie informacje dotyczące ewentualnej konkurencji.

Zebranie zmierzało już ku końcowi i radni zaczęli się rozpraszać. Nagle Adam zeszywniał, słysząc imię Nicka. Grupka mężczyzn stojących tuż przed nim rozprawiała na temat Venice, która ostatnio nader chętnie uczestniczyła w różnych wydarzeniach w życiu miasta.

- Jest teraz w Londynie - oznajmił któryś z mężczyzn i Anthony Quentin, który siedł razem z Adamem i również słyszał tę rozmowę, tracił Adama łokciem, puścił do niego oko i powiedział:

- Nie tylko ona... Spotkałem dziś Nicka. Mówił, że jedzie do Londynu. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

- Nie sądzę - zaprzeczył Adam chłodno. - Chyba nie-trudno wyobrazić sobie, żeby tego samego dnia iluś tam dowolnych mieszkańców tego miasteczka mogło pojechać do Londynu.

- Oj, nie złość się. Przecież ja niczego nie sugeruję. Lubię Nicka i nie miałbym mu za złe, gdyby...

- Gdyby co? - spytał Adam przez zęby.

Anthony zamilkł, widząc jego spojrzenie, i wzruszył ramionami.

- Co za kretyn - mruknął do siebie pięć minut później,

gdy pożegnał się z Adamem i ruszył do samochodu. Zawsze bardziej lubił Nicka niż jego brata. Dobrze, że Nick dał mu cynk o tych planach Adama, dotyczących domu Sally Broughton. Wiadomo przecież, jaki jest los miejscowych handlarzy, kiedy te wielkie sieci otwierają pod miastem swoje supermarkety. Sprytny ten Adam, żeby wejść w taką spółkę! Anthony nie zdziwiłby się, gdyby Adam podpisał także umowę na projekt architektoniczny. A jeszcze dodać do tego udziały ze sprzedaży działki... Niezły interes, myślał ponuro Anthony.

Dobrze, że Nick go ostrzegł, co w trawie piszczy, i że właściwie należałoby zorganizować jakąś grupę protestu. Adam Wheelwright nie jest jedynym człowiekiem, który ma w tym mieście wpływy. Między Bogiem a prawdą, dużo mu do tego brakuje. I niewiele widzi. Przecież połowa tego cholernego miasta domyśla się, co knuje Nick. Anthony jednak go nie potępiał. Fern to ładna kobieta, a byłaby jeszcze ładniejsza, gdyby trochę się umalowała i lepiej ubrała. Na pewno jest dobrą żoną, choć trochę przypomina mu własną małżonkę. Dobra, lecz nudna. W łóżku też niezbyt podniecająca, ale nie zawsze coś takiego można mieć żonie za złe.

Ładna, rozsądna, lojalna żona, która zna swoje miejsce w życiu i pozostawia mężowi trochę swobody na rozrywki - oczywiście dyskretne - z kimś, kto mu dostarczy trochę większych podniet. Tak, Nick jest do niego podobny, i ma łobuz szczęście, jeśli coś kręci z Venice. Anthony też nie miałby nic przeciwko temu, choć jak na jego gust Venice jest zbyt niezależna i robi wokół siebie zbyt wiele szumu. Na takiej kobiecie nie zawsze można polegać.

A jednak - sprytna, bo czy inaczej zdołałaby usidlić

starego Dunstanta i skłonić go do pozostawienia sobie wszystkich pieniędzy?

A więc, myślał Adam posepnie, Anthony Quentin uważa, że Nick ma romans z Venice. Czy to Anthony, czy Nick próbuje rozsiewać plotki? A jeśli to prawda, to nie jest to pierwsza niewierność Nicka. Czy Fern coś o tym wie? Jeśli tak, to on jest ostatnią osobą, której mogłaby się zwierzyć. Domyślał się, jak bardzo czuje się zraniona i jak usilnie się stara ukryć swoje cierpienia.

Na litość boską, jak Nick może zawracać sobie głowę innymi kobietami, skoro... Z drugiej jednak strony, zawsze taki był. Adam pamiętał, jak już w dzieciństwie brat potrafił pragnąć czegoś do granic obsesji, obojętne czy dotyczyło to piłki, czy nowego przyjaciela, a gdy osiągnął swój cel, natychmiast tracił nim zainteresowanie.

Nigdy nie byli z sobą blisko, właściwie stosunki między nimi nie układały się nawet poprawnie. Adam był już prawie dorosły, gdy ich rodzice się pobrali. Lubił i cenił matkę Nicka, która przyjaźniła się z jego ojcem już wiele lat wcześniej. A ponieważ matka Nicka uwielbiała swego syna, Adam starał się żyć z nim w dobrej komitywie. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że Nick nie pragnie jego przyjaźni i znajduje wręcz obsesyjną przyjemność w obracaniu jego wysiłków wniwecz.

Co gorsza, Nick robił wszystko, żeby zrodzić i zaostrzyć antagonizm między nimi. Adam szybko odkrył, że Nick często biega do rodziców ze skargami na wyimaginowane krzywdy, jakie wyrządza mu brat, co w oczach rodziców stawiało starszego syna w roli agresora. Pomyślał więc, że jeśli chce się uporać z wrogością Nicka, powinien

go ignorować. Przez wzgląd na matkę i ojca starał się utrzymywać pozory dobrych stosunków z bratem, i bardzo szybko nauczył się postępować tak, by żadnych jego słów czy czynów Nick nie mógł tak łatwo wykorzystać przeciwko niemu.

Trochę dłużej trwało, zanim stwierdził, że Nick ma wypaczoną osobowość, która znajduje przyjemność w przeciwstawianiu się innym i świadomym sprawianiu im bólu. A ponieważ poza tym potrafił być niezmiernie czarujący. Adam nie był zdziwiony, że tej cechy nikt oprócz niego nie dostrzega. Matka uwielbiała go ślepo, a później ofiarą jego czaru padła także Fern.

Miał nadzieję, że łuski nigdy nie opadną jej z oczu, wiedział bowiem, że jeśli Fern odkryje prawdziwą naturę Nicka, przeżyje wstrząs, który na zawsze złamie jej serce. A to było coś, o czym wolał nie myśleć.

Żałował teraz, że nie zachował się uprzejmiej wobec Ouentina. Kto wie, jakie plotki ten facet próbuje rozgłaszać? Taktowniej byłoby go wysłuchać, a potem spróbować jakoś to wyciszyć, niż... Venice! Jak to możliwe, by jego przybrany brat pragnął takiej kobiety jak Venice, mając taką żonę jak Fern?

## Na dobre i na złe

### 12

Nick był w dobrym nastroju. Wszedł do domu, śpiewając pod nosem jakąś melodię. Kiedy zobaczył żonę w holu, przestał nucić i jęknął. Fern poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

Poprzedniego dnia spotkała w supermarkecie Laure Welch, która od niechcienia rzuciła, jak dobrze ma Venice, która, ilekroć jej przyjdzie na to ochota, może rzucić wszystko i jechać na zakupy do Londynu. Od tej pory Fern była już pewna, że jej podejrzenia nie są fikcją, jak sugerował to Nick. Przypadkowo wybrał się z Venice do Londynu tego samego dnia? Nie wiedział, gdzie się zatrzyma? No i ta jego irytacja przed wyjazdem... Wszystko to wskazywało na jedno.

Nie miała zamiaru rozmawiać z nim na ten temat, mimo że patrzył na nią ze złością, nie mogła jednak po prostu przymknąć na wszystko oczu i udawać, że nic się nie stało. Przypomniała sobie, jakim tonem lord Stanton mówił o swojej żonie, z jaką miłością i szacunkiem, i uzmysłowiła sobie teraz jasno, że jej małżeństwo jest puste i jałowe. „Była moją najlepszą przyjaciółką”, zadźwięczały jej w uszach słowa starego człowieka i poczuła, że ogarnia ją bezbrzeżny smutek i żal.

Ona i Nick nigdy nie byli i nie będą przyjaciółmi. Cza-

sami próbowała wyobrazić sobie, jakie uczucie mogłoby ich połączyć, gdyby nie byli małżeństwem, i z rozpaczą stwierdzała, że na pewno nie przyjaźń. Nie łączyło ich kompletnie nic, nie mieli żadnych wspólnych zainteresowań, żadnych cudownych wspomnień z przeszłości. Choćby Nick powtarzał tysiące razy, że jej potrzebuje, nie może być z nią szczęśliwy, nie może jej kochać.

Postąpiła krok w jego stronę i stanęła, powstrzymana jego ostrymi słowami:

- Na litość boską, Fern, zrób coś z sobą! - Wykrzywił pogardliwie usta. - Wyglądasz na czterdzieści lat. Może byś zmieniła uczesanie, trochę się umalowała?

- Jak Venice? - spytała automatycznie, czując się upokorzona jego zarzutami i nie myśląc, że pytanie to go rozwścieczy.

- Jak Venice! - warknął zjadliwie. - Tak jak ona nie wyglądałabyś nawet po tysiącu lat starań.

- I dzięki Bogu - odparowała Fern. - Widziałeś się z nią w Londynie? - spytała szybko, bojąc się, że za chwilę znowu opuści ją odwaga.

- Z kim? - mruknął i odwrócił się do niej plecami.

- Jak to: z kim? - natarła ze złością. - Z Venice. Była w Londynie w tym samym czasie co ty.

Nick odwrócił się ku niej z cynicznie wykrzywioną twarzą i zrobił krok w kierunku schodów. Jego oczy błyszczały wściekłością, mimo że nie patrzył na nią.

- Moja droga - odezwał się ironicznie - być może nie zauważyłaś, ale Londyn to bardzo duże miasto. Nie, nie widziałem się z Venice. A właściwie to skąd wiesz, że była w Londynie? Od Adama?

- Nie, od Laury Welch.



- Biedna plotkara. No ale być panną w jej wieku...  
Wcale nie dziwię się, że sobie różne rzeczy wyobraża.

Fern szybko poszła do kuchni. Nie znosiła, kiedy Nick się tak zachowywał. Brak ogłady wywoływał w niej wstręt. W pierwszych miesiącach małżeństwa Nick wyśmiewał jej reakcję, nazywał ją pruderyjną cnotką i tłumaczył, że prawdziwi mężczyźni tak mówią, no ale skoro jej doświadczenia z mężczyznami ograniczały się do ojca i do Adama, : najprawdopodobniej nie zdawała sobie z tego sprawy.

Czuła się wtedy zbyt upokorzona, by wytknąć mu, że w jej pojęciu „prawdziwy” mężczyzna wcale nie musi wspierać swej męskości prostackim sposobem mówienia. Do dziś nie miała odwagi mu tego powiedzieć, tym razem jednak zdradził ją wyraz twarzy.

- O co chodzi tym razem, Fern? - zawołał pogardliwie.

- Nie odpowiada ci prawda?

- Jestem twoją żoną, Nick - odparła - i nie byłaby to twoja pierwsza zdrada.

- A czyja to, do cholery, wina? - wybuchnął, zbiegając ze schodów i wpadając do kuchni. - Gdybyś się nie pieprzyła z moim bratem...

Pobladła twarz Fern nagle poczerwieniała, a ciało napięło się, gdy Nick chwycił ją mocno za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Ty jesteś taką małą, kulturalną suką, Fern. Na Boga, nawet nie masz pojęcia, co to znaczy być prawdziwą kobietą... A Adam i tak by nie wiedział, co z taką robić.

Prawdziwa kobieta... Z powrotem znaleźli się w punkcie wyjścia, pomyślała Fern. Znowu wrócili do Venice, którą Nick uważał za ideał „prawdziwej” kobiecości.

- Nie jestem Venice, jeśli to chciałeś mi zakomuniko-

wać - oznajmiła bezbarwnym głosem i pomyślała, że bez potrzeby dała się w to wciągnąć. Trzeba było siedzieć cicho, nie prowokować jego agresji i złości, nie dawać mu do ręki broni...

- A co robiłaś z Adamem? - spytał podnieconym głosem, ignorując jej ostatnie słowa. - Byłaś tak zimna i nudna jak ze mną? Czy leżałaś jak kłoda, czy krzyczałaś z ekstazy, kiedy cię dotknął? Czy błagałaś, żeby cię lizał, ssał, gryzł? Odpowiedz mi, Fern!

Ogarnęło ją tak przenikliwie zimno, że zaczęła szczełkąc zębami. Jej ciało ogarnął palący ból i nie mogła wykrztusić ani słowa. Jak on śmie! Ale z drugiej strony, czy to nie jej wina, że ją w tak wstrętny sposób oskarża? Czy to nie jej wina, że on celowo niszczy coś, co...

- A niech cię... - usłyszała jego głos, po czym puścił ją i wybiegł z kuchni.

Słyszała, jak wchodzi do ich sypialni. Stała nieruchomo, z oczu płynęły jej łzy. Za podporę mogło jej służyć tylko oparcie krzesła. Była tak roztrzęsiona, że żałowała każdego wypowiedzianego słowa. Może jednak nie pojechał z Venice? Tymczasem, gdzieś głęboko w podświadomości, usłyszała cyniczny, stanowczy głos: „Dobrze, tylko tak dalej. Oczywiście, że z nią był. Przecież pachniał jej perfumami”.

Po chwili usłyszała, jak Nick zbiega ze schodów i wychodzi. Wiedziała, że tak będzie. Ilekroć się pokłócili, ciąg dalszy wyglądał zawsze tak samo: gdy wróci, będzie skruszony. Przypomni jej, że go zdradziła, że tak wiele mu zawdzięcza, że trudno mu jest żyć z myślą o tym, że jego żona, kobieta, którą idealizował, zdradziła go... i to z jego bratem.

A potem spyta, czy to coś dziwnego, że czasami czuje

potrzebę utwierdzenia się w swojej męskości poprzez jakiś niewinny flirt z piękną kobietą? Tylko flirt, bo przecież ma żonę, której nigdy nie opuści. I przecież ona o tym wie.

Niestety, wiem, przyznała Fern ponuro i nie po raz pierwszy pomyślała, że nie powinna była wychodzić za Nicka. Nie kochają się. Kiedyś może i była naiwna, ale teraz jest tchórzliwa. Przecież to potworne małżeństwo niszczy jej życie. Czy nie powinna się spakować i odejść? Co prawda, raz już spróbowała, lecz w sposób nie przemyślany, i dlatego tak się to skończyło. Chociaż, gdyby wtedy nie spotkała Adama...

Adam myślał, że to właśnie odkrycie niewierności Nicka tak nią wstrząsnęło. Nie wiedział, że była wtedy gotowa opuścić męża i dopiero po zbliżeniu z Adamem postanowiła zostać, bo podejrzewała, że on będzie się czuł za nią odpowiedzialny, a tego nie chciała.

Mężczyźni są inni; mężczyźni, nawet ci najporządniejsi i najlepiej wychowani, zupełnie inaczej traktują seks niż kobiety. Przecież nie jest winą Adama, że uległ pożądaniu, jakie najwyraźniej w nim wzbudziła. Przecież to ona wszystko zaczęła, chciała, żeby trwało, podczas gdy on był gotów przerwać w każdej chwili, gdyby go tylko poprosiła. To ona pchnęła ich w przepaść - przepaść winy i wstydu, z której się nigdy nie wydostanie. Adam nie jest za nic odpowiedzialny.

Zalała ją fala gorąca, gdy przypomniała sobie, jak się wtedy z Adamem kochali. Nie sposób sobie wyobrazić, by coś takiego mogła robić z Nickiem. Nick ma rację: jest zimną kobietą, która modli się, żeby zabawa w łóżku szybko się skończyła. Przecież Nick tak się starał ją rozbudzić... Kilkakrotnie próbowała z nim o tym rozmawiać, bo

naprawdę chciała reagować na jego pieśszoty, lecz wzbu-  
dziła tylko jego irytację. Ja mam po prostu pecha, oznajmił  
jej wtedy, że poślubiłem zimną kobietę, i dodał, żeby była  
spokojna, że mimo wszystko się z nią nie rozwiedzie.  
A więc ma mu być wdzięczna, bo w ten sposób oszczędza  
jej upokorzenia i wzgardy całego świata?

Początkowo nie zauważyła, że wyrozumiałość Nicka  
zaczęła się szybko przemieniać w pogardę i zjadliwą kryty-  
kę. Z czasem zupełnie zaprzestał pieśszot, a jeśli decydo-  
wał się na zbliżenie, robił to niczym automat, po czym  
szybko się od niej odsuwał, zarówno fizycznie, jak i psy-  
chicznie.

Mimo wszystko nadal chciała z nim porozmawiać,  
dociec, dlaczego tak jest. Gdy mu to proponowała, stwier-  
dzał, że nie ma sensu, bo jej nie rozbudzi nikt ani nic. Jemu  
jako mężczyźnie wcale się to nie podoba, ale ma swoje  
potrzeby, i ona, jako jego żona, jest zobowiązana je zaspoko-  
ić. Płakała wówczas przez kilka nocy z rzędu, a już  
w niecały miesiąc później zaczęła podejrzewać, że Nick  
ma kochankę.

Jak długo ja to jeszcze wytrzymam? To pytanie często  
powracało ostatnimi dniami. Może kiedyś Nick jej potrze-  
bował, ale teraz na pewno nie. Mieszkanie z nim pod jed-  
nym dachem podważało jej szacunek do siebie. Unikała  
nawet patrzenia na siebie w lustro, nie mogąc znieść wyra-  
zu udreki na swojej twarzy.

Do odległej przeszłości już należały dni, gdy kobieta  
w jej sytuacji była skazana do końca życia na nieudany  
związek - po prostu dlatego, że nie było innego wyjścia.  
Ona tymczasem jest zdrową, inteligentną kobietą, która  
liczy sobie zaledwie dwadzieścia siedem lat, i z pewnością

może zarobić na swoje utrzymanie. Może już trochę za późno na zrobienie wielkiej kariery, ale nie zginie.

Nigdy nie odpowiadała jej finansowa zależność od Nicka. Jakby na poparcie tezy, że jest silna i może pracować, podwinęła rękawy i zabrała się do mycia okien w kuchni. Nick nie chciał, żeby pracowała, i obiecywał, że nie będzie skąpił pieniędzy. Właściwie nigdy jej pieniędzy nie brakowało, ale nie mogła sobie pozwolić na większe wydatki.

Przerwała pracę i wyjrzała przez okno, patrząc nie tyle na ogród, ile usiłując dostrzec w wielkim skrócie minione lata ich małżeństwa. W pewnym momencie zaczęła się bać wydawać pieniądze Nicka do tego stopnia, że przestała myśleć nawet o drobnych luksusach. Nie dla siebie... Miała na myśli takie luksusy jak produkty spożywcze lepszej jakości, owoce poza sezonem, drobne smakołyki i przysmaki, które Nick zjadał co prawda z apetytem, ale jakoś nigdy nie mógł się powstrzymać od komentarza na temat ich ceny. Początkowo były to tylko takie żarty: „Oj, Fern, widzę, że lubisz dobre rzeczy, rodzice cię chyba rozpuścili...” Niby nic, a jednak coś się za tymi słowami kryło.

A gdyby zaczęła kupować sobie takie luksusowe rzeczy jak Venice? Drogie ubrania, kosmetyki, jedwabne pończochy... Gdyby zaczęła chodzić do drogich fryzjerów, do prestiżowego klubu, na korty tenisowe... Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Przecież nigdy nie będzie mogła sobie na to pozwolić!

Tuż po ślubie Nick zdobył się na wielki gest i zaproponował jej kieszonkowe. Rodzice byli tym zachwyceni, nie wiedzieli jedynie, że to kieszonkowe już wtedy wystarczało jej tylko na bieliznę. Jakiś czas później wspomniała mu, że wszystko drożeje, no i usłyszała w odpowiedzi, że jest

zepsuta i że żyje w jakimś bajkowym świecie, oczekując, że on będzie ją tak obsypywał pieniędzmi jak rodzice. Poczowała się wtedy zachłanna i pożałowała swojego pytania.

Fern miała odziedziczyć pewną sumę po majątku matki, lecz jeszcze nie wszystkie formalności zostały dopełnione. Nie miało to być wiele, ponieważ rodzice za większość kapitału kupili rentę dożywotnią, która przestała być wypłacana wraz z ich śmiercią. Fern jednak wiedziała, że pozostaje w związku z Nickiem nie z powodu braku pieniędzy. Jeśli będzie trzeba, najmie się nawet do pracy fizycznej. Na szczęście, nie ma na utrzymaniu dzieci.

Od Nicka też nie będzie żądała finansowej pomocy. Dlaczego więc dalej tu tkwi? Dlaczego nie pójdzie teraz na górę, dlaczego nie spakuje swoich rzeczy i nie opuści tego domu przed powrotem męża? Dlatego, że nie może... Nie może ot, tak po prostu odejść, nie zrozumiałwszy przedtem, dlaczego ich małżeństwo się rozpadło, nie wyjaśniwszy przedtem Nickowi, jak bardzo jego niewierność ją rani.

Ale przecież wiesz, co ci odpowie, zadrwił cichutko wewnętrzny głos. Odpowie ci, że to twoja wina, bo zdradziłaś go z Adamem. Adam... Już sama myśl o nim sprawiała jej ból. Owszem, był wtedy dla niej miły, zatroszczył się o nią, ale przecież taki był dla wszystkich. W mieście znalazłoby się wielu ludzi, którzy daliby świadectwo jego dobroci. Takim go poznała. Właściwie gdyby nie przyjaźń z Adamem, nie spotkałaby Nicka.

Wzruszyła lekko ramionami i postanowiła zapomnieć o tym, jak niewinne były tamte dawne lata. Przyjechała tutaj, do Avondale, zachęcona uwagą jednego ze studentów z uniwersytetu, na którym studiowała. Historia zawsze ją fascynowała; ojciec był zapalonym archeologiem-amato-

rem i w dzieciństwie spędziła mnóstwo cudownych godzin, zwiedzając z nim najróżniejsze wykopaliska.

To miasto, charakteryzujące się niezmiernie zróżnicowaną architekturą, i to na tak niewielkim obszarze, prawie nie zniszczone, urzekło ją natychmiast. Przyjeżdżała tu często swoim małym samochodem, który rodzice kupili jej na osiemnaste urodziny. Można by powiedzieć, że zakochała się w Arondale od pierwszego wejrzenia.

A w Adamie? Jeśli i w nim zakochała się od pierwszego wejrzenia, to zupełnie nieświadomie. Pamiętała jedynie, że wzbudził w niej podziw i onieśmienie. Stała wtedy na środku placu i patrzyła na kościół. W pewnym momencie postąpiła kilka kroków do tyłu i wpadła na mężczyznę, który właśnie przemierzał plac. Spłonęła ze wstydu i przeprosiła, boleśnie świadoma kontrastu między nimi. Miała na sobie biedny, studencki strój, złożony z czarnych pończoch, ciemnej spódnicy i powyciąganego swetra, który kupiła w sklepie z używaną odzieżą.

W tym stroju czuła się trochę nieswojo, bo różnił się diametralnie od garderoby przygotowanej jej na studia przez matkę: plisowanych spódnic z dobrej wełny i krochmalonych bluzek, na które jej koledzy i koleżanki patrzyli z rozbawieniem. Przyjęła więc ich styl i nauczyła się znajdować anonimowość i bezpieczeństwo w ciemnych, obszernych ubraniach, uwielbianych przez równieśników.

Tymczasem ten mężczyzna, z którym zderzyła się na placu, miał na sobie nieskazitelnie skrojony wełniany garnitur, a pod rozpiętą marynarką widniała biała koszula z tak sztywnym gorsem, że niemal czuć było zapach krochmalu. Mężczyzna nosił także krawat w paski. Automatycznie pomyślała, że to pewnie jakiś bogaty lokalny przedsię-

biorca, choć gdy położył rękę na jej ramieniu, chcąc ją uspokoić, wyczuła w nim ciepło, dziwnie kontrastujące ze sztywnością jego stroju.

Jego włosy też nie pasowały do eleganckiego garnituru. Były gęste, trochę kręcone, a poza tym sprawiały wrażenie zwichrzonych wiatrem, co znakomicie współgrało z jego szczupłą twarzą o nieregularnych rysach i siateczką zmarszczek wokół szarych oczu. Włosy i twarz świadczyły o tym, że dużo czasu spędzał na dworze, ubranie jednak kojarzyło się jej z człowiekiem siedzącym za solidnym biurkiem, sprawującym nadzór nad życiem mniej ważnych niż on śmiertelników. No więc wybąkała jakieś słowa przeprosin, zwłaszcza że kiedy spuściła głowę, zauważyła, że na jego lśniącym bucie jej stopa zostawiła brudny ślad, gdy tymczasem on niespodziewanie spytał:

- Podoba się pani ten kościół?

Podniosła głowę i stwierdziła, że mężczyzna uśmiecha się do niej przyjaźnie. Zapomniawszy o onieśmieleniu, wyjaśniła mu swoje zainteresowanie miastem, a on się potem przedstawił i zaproponował, że będzie jej przewodnikiem. Zgodziła się i już po chwili rozmawiała z nim tak swobodnie, jakby się znali od lat.

Gdy popołudnie dobiegło końca i nadeszła pora powrotu do Bristolu, Fern czuła się dziwnie smutna, chociaż ni skojarzyła tego stanu z uczuciami, jakie przeżywa kobiet podczas rozstania z ukochanym mężczyzną. I kiedy dzień później Adam do niej zadzwonił, przeżyła niemal szok. Wybierał się do Bristolu i pytał, czy nie umówiłaby się z nim na lunch. Zgodziła się, co należało do rzadkości. Fern zazwyczaj z niepokojem reagowała na zaproszenia mężczyzn i na ogół odmawiała, albowiem kilka razy oka-



zało się, że po kolacji mężczyźni oczekiwali od niej czegoś więcej. Adama jednak jakoś dziwnie się nie obawiała.

Fern wiedziała, że jest uważana za osobę nieco pruderyjną, lecz jej dobroć i uprzejmość sprawiały, że lubili ją zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, które przyjęły do wiadomości jej nieśmiałość i starały się chronić ją przed niewybrednymi zaczepkami starszych kolegów. Nie dalej jak w poprzedni weekend Fern udała się z grupą przyjaciół do baru, gdzie doszło do przykrego incydentu. Jeden ze studentów podszedł do niej i z ironicznym uśmiechem powiedział:

- Nasza dziewica. Lubię dziewice... Pożeram dziewice... Uwielbiam ich smak. Chciałabyś, żebym cię zjadł, mała?

Jego przemowie towarzyszyły wybuchy śmiechu kolegów, a na koniec brawa, Fern jednak dumnie podniosła głowę i zignorowała ich. Czuła, że ten chłopak wcale nie miał zamiaru jej skrzywdzić, a jedynie popisać się przed kolegami, niemniej boleśnie zdała sobie sprawę z tego, jaka przepaść jest między światem, w którym wychowali ją rodzice, a tym realnym.

Chodziła do wiejskiej szkoły podstawowej, a potem do prywatnej żeńskiej szkoły średniej, co nie wyrobiło w niej odporności na zaczepki chłopaków, miała jednak na tyle silną osobowość, że jakoś sobie ze wszystkim radziła.

Najlepiej czuła się w towarzystwie tych kolegów, którzy traktowali ją bardziej jak siostrę niż partnerkę do łóżka i przynosili jej nie tylko ubrania do czyszczenia, lecz także swoje problemy. Chętnie spędzała w ich towarzystwie wieczór, prasując im rzeczy albo gotując kolację i słuchając ich narzekań na niesprawiedliwość wykładowcy lub okru-

cieństwo dziewczyny. Cieszyło ją, że do takiej pomocy jest im potrzebna, choć się nie domyślała, że w ten sposób podświadomie odgrywa rolę, do jakiej przygotowali ją rodzice.

Adam zabrał ją na lunch do włoskiej restauracji, ponieważ zapamiętała, jak wspomniała, że bardzo lubi włoską kuchnię. Rodzinna atmosfera tego miejsca i serdeczność kelnerów sprawiły, że natychmiast poczuła się jak w domu. Z Adamem zaś czuła się tak wspaniale, że pokonała swoją powściągliwość i odpowiadała szczerze na jego pytania. Zanim lunch dobiegł końca, wiedział już wszystko o jej rodzinie, zainteresowaniach i fascynacjach. Przez cały czas nie powiedział ani nie zrobił nic, co by sugerowało; że się nią szczególnie interesuje, i zdawała się być z tego zadowolona.

A potem? W którym momencie poczuła żal, wręcz upokorzenie, że Adam nie zainteresował się nią jako kobietą? Czy wtedy, kiedy poznała Nicka? Nick flirtował z nią otwarcie, prawił jej komplementy, stawał lub siadał niezwykle blisko niej, czego Adam nie robił nigdy, i w ogóle, całe jego zachowanie świadczyło o erotycznym zainteresowaniu, podczas gdy Adam cały czas jakby trzymał się od niej na dystans.

Zabolało ją to i zaczęła się instynktownie od niego odsuwać, zbyt nieśmiała i niedojrzała, by wprost zadać mu kilka pytań. Pamiętała swoje zdumienie, gdy któregoś dnia przedstawił jej Nicka. Ponieważ Adam prowadził w Bristolu interesy, bywał w tym mieście dosyć regularnie i za każdym razem się z nią umawiał. Tego dnia jednak po raz pierwszy się spóźnił.

Przyszedł z Nickiem, który natychmiast wyjaśnił, że to

jego wina, ponieważ ma zepsuty samochód i wykorzystał podróż Adama do odwiedzenia kilku swych przyjaciół w Bristolu.

- Adam wyświadczył mi dziś braterską przysługę, chociaż nie powiedziałbym, że to frajda polegać na cudzym samochodzie.

Uczynił pełen ekspresji ruch dłońmi i kątem oka Fern spostrzegła, że Adam zmarszczył czoło. W tej samej chwili odniosła wrażenie, że musiała zrobić coś niewłaściwego, i później utwierdziła się w tym przekonaniu; gdy zostali sami, Adam po raz pierwszy był jakoś dziwnie zamyślony.

Czy zaczyna go nudzić, czy żałuje, że się z nią umówił? Nerwowo próbowała wypełnić ciszę i zadawała pytania dotyczące Nicka - nie dlatego że ją interesował, lecz ponieważ nie mogła wymyślić niczego innego. Odpowiadał na jej pytania szorstko, co było do niego niepodobne.

- Nick jest moim przybranym bratem - rzucił w którymś momencie niechętnie.

Przez resztę popołudnia był napięty i zniechęcony. Fern miała ochotę płakać. Pamiętała, jak w pewnej chwili spojrzała na niego, świadoma swoich własnych uczuć i jego obojętności. Nagle jej oczy zawisły na jego ustach i zapragnęła boleśnie, by je poczuć na swoich. Pamiętała, jak jej ciało oblało gorące poczucie winy. Adam zmarszczył czoło i zbliżył się do niej, ona zaś intuicyjnie się cofnęła, przerażona swoimi myślami, i niemal uciekła od niego, z trudem wymamrotawszy przedtem do widzenia.

Od tej pory coś się zmieniło. Adam zachowywał coraz większy dystans. Podczas jednej z wizyt wręczył jej wiadomość od Nicka. Nic z tego nie rozumiała. Ta wiadomość miała jakiś związek z randką, na którą Fern umówiła się

z Nickiem, co było nieprawdą, lecz niepewność spowodowała, że niczego Adamowi nie wyjaśniła.

Do najgorszych zaś wspomnień należał dzień, kiedy Nick jej powiedział, że Adam nie jest nią zainteresowany bo ma w tej chwili kochankę, dojrzałą kobietę, z którą się często spotyka... Dziś wiedziała, że Nick ją okłamał, wtedy jednak poczuła rozpacz i ból, poczuła się niemal zdradzona. A przecież Adam nigdy jej nie dał żadnego powodu do takich uczuć. Nigdy jej nie dał do zrozumienia, że żywi do niej coś więcej niż przyjaźń. Zawsze był wobec niej bardzo uprzejmy, zawsze, gdy przebywała w jego towarzystwie, czuła się wyjątkowa, bezpieczna, ceniona, nigdy jednak nie zbliżał się do niej fizycznie - czasem tylko przelotnie dotknął jej ramienia lub odgarnął jej włosy z oczu.

- Mam nadzieję, że się w nim nie zakochałaś - powiedział Nick lekko. - Bo jeśli tak, to powinienem cię ostrzec że tylko tracisz czas.

Tracisz czas...

Właśnie, straciła czas, wychodząc za Nicka. Zmarnowała tyle lat swoich i jego. Na litość boską, dlaczego nie miała wtedy odwagi spojrzeć w oczy prawdzie, dlaczego nie zrozumiała, że kocha Adama, dlaczego bezmyślnie dała się zwieść słowom Nicka, że skoro on jej pragnie, ona powinna odpłacić mu miłością?

- Pragnę cię, Fern - wyznał jej wtedy. - Chcę, żebyś mnie kochała. Pokochasz mnie, prawda?

Powtarzał te pytania bez końca, a ona bezwiednie kiwała głową i wierzyła każdemu jego słowu, tak samo jak za prawdę przyjęła kłamstwo, że nie kocha Adama.

To wszystko moja wina, myślała teraz. Nick ma rację, kiedy mówi, że to ja sprawiłam, że zaczął mnie zdradzać, choć w pierwszych miesiącach małżeństwa uporczywie i rozpaczliwie wierzyłam, że go kocham.

# Na dobre i na złe

## 13

- Ale dlaczego musimy spać na poddaszu? Nie znoszę tego. Tam jest strasznie gorąco i Gavin ciągle mnie budzi.

Eleanor dosłyszała w jego głosie jęklivy ton, mający wyrażać irytację. Ostatnio często tak mówił. Czy to maniera, którą przejął po kimś w szkole, jak wtedy, kiedy wraz z innymi dziećmi z jego klasy zaczął podświadomie naśladować sepleniącego kolegę, czy też, co byłoby znacznie bardziej niebezpieczne, świadczy to o jakimś głębszym załamaniu?

- Tom, proszę, nie sprawiaj trudności. Wiesz, dlaczego; Vanessa przyjeżdża na weekend.

Tom nerwowo stukał butem o podłogę. Eleanor za pół godziny miała spotkanie z agentką, od której wynajmowały z Louise biuro, a tymczasem dzisiaj dzieci miały wolne i nie mogła ich zostawić samych. Musiała więc poprosić agentkę, by przyjechała do niej do domu. Ta zgodziła się, lecz chłodnym i wzgardliwym tonem dała Eleanor do zrozumienia, że ona nie ma dzieci ani takich męczących problemów.

- Znajdź sobie jakąś pomoc albo nianię - poradziła jej Jade, kiedy Eleanor żaliła się, jak trudno jest pogodzić obowiązki domowe z pracą. Nie zawsze mogła liczyć na to, że Karen weźmie do siebie obu jej synów. - A może

boisz się, że taka pannica odkryje, że bardziej jej się opłaci doglądać Marcusa niż twoich chłopaków? - spytała żartobliwie przyjaciółka.

- No wiesz! - oburzyła się Eleanor. - Przecież nie mamy miejsca dla dodatkowej osoby.

Kiedy się przeprowadzą do nowego domu, nie będzie żyła pod taką ciągłą presją. To nie wina Toma, że zapomniała o jego wolnym dniu, a tak między Bogiem a prawdą to Louise powinna pójść na to spotkanie z agentką. Louise tymczasem wyjechała do Francji, zostawiając Eleanor pospiesznie napisaną wiadomość, że nie będzie jej przez dwa tygodnie, no i z roztargnienia zapomniała zostawić adres lub choćby numer telefonu, by można się z nią skontaktować.

- Powiedz tej agentce, że nie możesz się z nią spotkać, dopóki Louise nie wróci - doradził jej Marcus, gdy powiedziała mu, nie ukrywając złości na współpracowniczkę, że musi ten interes zwijać sama. - Louise jest tak samo odpowiedzialna za firmę jak ty.

- Ale inni agenci nalegają, żeby teraz wszystko finalizować. Księgowy też chce już dokonać ostatnich obliczeń, no i muszę się przygotować do opuszczenia biura...

Marcus nie współczuł jej tak bardzo, jak oczekiwała. Był zirytowany jej problemami czy nią samą? Łatwo mu mówić: „Poczekaj, aż Louise wróci”; on w końcu nie był poddawany mniej lub bardziej subtelnym presjom. Chciała jak najszybciej rozpocząć nowe życie, nie była jednak tak egocentryczna jak Louise, by pozostawić komuś innemu dokończenie poprzedniego rozdziału.

Miała nadzieję, że starczy jej dziś czasu na rozmowę z doradcą od nieruchomości. Obiecał, że postara się w mia-

rę szybko obejrzeć dom, choć ostrzegł, że raport na piśmie może być gotowy dopiero za kilka dni. Na temat sfinansowania tego zakupu musiała także porozmawiać z Marcusem, on jednak tak był zavalony pracą, że z trudem znajdował na cokolwiek czas. Ona również ledwo sobie ze wszystkim radziła, dlatego była sfrustrowana i wiecznie poirytowana. Z uczuciem winy spojrzała teraz na Toma.

- Wiem, jak wam ciężko, kiedy przyjeżdża Vanessa - odezwała się do syna - ale to już nie potrwa długo, Niedługo przeprowadzimy się do nowego domu.

- Nie chcę nowego domu - odparł ze złością. - Chcę, żeby było jak przedtem, kiedy byliśmy sami!

- Ależ, Tom... - Eleanor przytuliła syna i pogładziła go po głowie. - Myślałam, że lubisz Marcusa...

- On jest w porządku, ale nie lubię Vanessy. Nie znoszę jej i ona nas nie znosi. Ona nienawidzi wszystkich. Po co tu przyjeżdża?

Jak to się dzieje, że dzieci wybiorą instynktownie najgorszą porę, żeby poużalać się nad swoim losem? Eleanor z rozpaczą pomyślała, że za chwilę będzie tu agentka, a ona nie zdąży się umalować i przebrać w coś bardziej odpowiedniego niż dżinsy oraz bluza, które włożyła do przenoszenia rzeczy chłopców na poddasze. Mimo wszystko zaczęła jeszcze raz tłumaczyć Tomowi, dlaczego chwilowo musi tak być, i że te przenosiny wcale nie oznaczają braku miłości ani tego, że Vanessa jest ważniejsza od nich.

- Vanessa jest dziewczyną - ciągnęła Eleanor - i dlatego musi mieć oddzielny pokój.

- Przecież na poddaszu może spać zupełnie sama.

- Oj, Tom. Wasz pokój należał przedtem do Vanessy. Zawsze tam spała, kiedy przyjeżdżała do ojca.



- My zawsze spaliśmy w naszym pokoju, kiedy odwiedzaliśmy tatę, ale teraz to jest pokój Hannah, a ja i Gavin musimy spać na piętrowym łóżku.

Eleanor zasepiła się. Nie po raz pierwszy jej syn wspomina te zmiany z sypialną w domu ojca, po raz pierwszy jednak wyczuła, że ma o to głęboki żal.

- Ojciec wstawił to łóżko specjalnie dla was - powiedziała. - Przecież kupowaliście je we trójkę.

- On nas już nie chce, bo ma Hannah. Bardziej ją kocha niż nas. Ty i Marcus też bardziej kochacie Vanesę, My już przestaliśmy się liczyć. Nawet babcia i dziadek mówią tylko o niemowlętach.

Eleanor uważnie przyjrzała się synowi. Kiedy w jego umyśle zrodziła się myśl, że nie jest kochany, i jak długo potrwa, zanim dojdzie do przekonania, a Gavin razem z nim, że dziewczynki są ważniejsze niż chłopcy, że rodzice bardziej kochają córki niż synów? Ile czasu potrwa, zanim jawny teraz żal i gniew zostaną ukryte, Wypaczą jego osobowość i może zniszczą późniejsze życie? poczuła przypływ paniki.

Zegar w holu wybił godzinę i Eleanor przeraziła się. Agentka będzie tu za piętnaście minut, tymczasem to, co Tom jej teraz powiedział, wymagało wyjaśnienia natychmiast. Takich spraw nie wolno odkładać na później,

- To nie jest tak, że kocham Vanesę bardziej niż ciebie - zaprzeczyła gwałtownie i dodała stłumionym głosem: - Tom, jak możesz tak myśleć? Przecież ty i Gavin jesteście moimi dziećmi. Nikt nie może mieć wpływu na moje uczucia do was, a już najmniej Vanessa.

- A gdybyś miała dziecko? - spytał Tom.

Dziecko? Skąd mu to przyszło do głowy? Ona i Marcus

zgodnie doszli do wniosku, że nie muszą swojego związku cementować dzieckiem. Marcus twierdził, że nie chce mieć drugiej rodziny, bo ma dosyć kłopotów z Vanessą, Eleanor zaś kocha na tyle, żeby być z nią dla niej samej.

- Dziecko? - powtórzyła głośno. - Nie mamy zamiaru mieć dziecka. Skąd ci to przyszło do głowy?

Tom kilka sekund milczał, potem zaś, kiedy już myślała, że nic nie powie, odwrócił twarz w jej stronę i wybuchnął:

- Vanessa mi powiedziała. Mówiła, że już nie będziesz nas chciała, że będziemy musieli wyjechać i mieszkać w takim miejscu, gdzie wysyła się dzieci, których nikt nie chce. Powiedziała, że tam będziemy musieli robić to, co nam każą inne dzieci, bo inaczej nas zbiją i nie dadzą nam nic do jedzenia.

Eleanor na chwilę zaniemówiła. Jak Vanessa śmie opowiadać takie rzeczy jej synom? Przecież chyba wie, co robi, bo jest inteligentna, i to ponad wiek. Bywało, że jej przenikliwe i szacujące spojrzenie zbijają Eleanor z tropu. Teraz doszła do wniosku, że Vanessa traktuje tak jej synów dlatego, że od początku była dla niej za łagodna i pozwoliła jej zyskać przewagę.

- Vanessa mówi głupstwa - oznajmiła synowi z oburzeniem.

Gdyby Vanessa tu była, tym razem nie uszłoby jej na sucho. Być może macocha nie ma takich praw jak matka, lecz w tym przypadku córka Marcusa przykroczyła granice, i to świadomie. Eleanor czuła, jak narasta w niej złość, gdy nagle usłyszała dzwonek u drzwi.

- Mam spotkanie w interesach - powiedziała Tomowi i wstała. - Nie przejmuj się tym, co Vanessa ci mówi. Następnym razem po prostu ją zignoruj... i nie martw się

o pokój. Już niedługo obaj z Gavinem będziecie mieli własne pokoje i nikt ich wam nie odbierze.

Gdy Tom uśmiechnął się do niej, Eleanor po raz drugi tego ranka przekłęta w myślach Louise. Gdyby miała trochę bardziej odpowiedzialną współpracowniczkę, mogłaby dziś poświęcić więcej czasu synom. Swoją drogą jednak - dlaczego nie zorientowała się, że dzieci aż tak bardzo się nie lubią? Wiedziała, że stosunki między nimi nie są najlepsze, ale, jak wspomniał kiedyś Marcus, byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Czternastoletnia Vanessa nie może mieć nic wspólnego z chłopcami w wieku Toma i Gavina. A poza tym była córką Julii, która kiedyś wyznała Eleanor:

- Szkoda, że Vanessa ma nos Marcusa. Taki mocny nos wygląda dobrze u mężczyzny, ale nie u kobiety. Powiedziałam jej, żeby się nie martwiła. Znam świetnego chirurga plastycznego...

Eleanor była tym oświadczeniem tak zdumiona, że nie odpowiedziała, lecz później zastanawiała się, czy zachowanie Vanessy nie jest przypadkiem spowodowane bezmyślną krytyką matki. Nie miała jednak zamiaru krytykować Julii, bo wyobraziła sobie, jak by się czuła, gdyby ta zaczęła jej radzić, jak wychowywać synów.

Spotkanie z agentką trwało dłużej, niż się spodziewała, toteż dopiero wczesnym popołudniem mogła zadzwonić do specjalisty od wycen nieruchomości.

- Nazwałbym to raczej kosztownym luksusem niż okazją - oznajmił. - To piękny dom, okolica sielankowa, ale doprowadzenie go do stanu używalności wymaga mnóstwa pieniędzy, nie mówiąc już o kosztach utrzymania...

- Jak pan myśli, jaką kwotę możemy zaproponować?

- spytała szybko, nie chcąc wysłuchiwać dalszego ciągu zastrzeżeń.

Wymienił kwotę nieco wyższą, niż się spodziewała i dodał, że w tej chwili nie da się uzyskać zezwolenia na budowę, ale nie można przewidzieć, co będzie za kilka lat, a poza tym możliwość rozbudowy na tej posiadłości na pewno podniesie cenę.

- A jakie prace, pana zdaniem, należałoby przeprowadzić koniecznie? - spytała Eleanor.

- No cóż, trzeba usunąć grzyb, zmienić wszystkie instalacje. Gdyby się udało, radziłbym doprowadzić do domu gaz, zrobić łazienki, no i dokonać wielkiej przeróbki kuchni, żeby wyszło z tego coś przyzwoitego. Niemniej, przy odrobinie szczęścia, można by się tam wprowadzić za rok. Ale ponieważ na rynku nieruchomości jest zastój, nie będzie pani musiała długo czekać na wykonawcę.

- Za rok! - zawołała Eleanor czując, jak jej cudowne marzenia o słonecznych dniach spędzanych w cudownym ogrodzie ulatują w dal, a ich miejsce zajmuje okropny obraz rozgrzebanego, remontowanego domu i ciągłe pytania, dlaczego to wszystko tak się wlecze. Zniechęcona, podziękowała rzeczoznawcy i odłożyła słuchawkę.

Dziesięć minut później, gdy zadzwonił agent z pytaniem, czy nadal są zainteresowani kupnem domu, ponieważ zgłosiło się kilku innych chętnych, Eleanor zlekceważyła pesymistyczne prognozy rzeczoznawcy i potwierdziła. Agenci zawsze lubią tworzyć wokół obiektu sprzedaży atmosferę napięcia, toteż Eleanor dowiedziała się, że niedługo zostanie ustalony termin składania ofert.

Byłoby szaleństwem składać ofertę, nie wiedząc, za ile się sprzeda dom w Chelsea, ile będzie kosztować remont

i ile mogą zaciągnąć pożyczki. Marcus wrócił do domu wczesnym wieczorem. Eleanor była tak rozgorączkowana, że przywitała go w kuchni przemową na temat domu.

- Za kilka miesięcy? - przerwał jej, gdy szybko zrelekcjonowała mu rozmowę z agentem od nieruchomości. - A już przez chwilę myślałem, że ostateczny termin upływa dziś o północy.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy rzeczywiście słyszała sarkazm w jego głosie, czy było to tylko złudzenie. Wyraz jego twarzy upewnił ją, że się nie pomyliła. A przecież to ona załatwia wszystkie sprawy związane z domem, żeby tylko oszczędzić mu czasu. Poczowała się zawiedziona i dotknięta. Gdzie się podziało to partnerstwo, o którym tyle mówili wkrótce po ślubie? Dlaczego ona ma na głowie tyle spraw, a Marcus jedynie pracę?

Gdy zbliżała się pora snu, stwierdziła, że celowo zwleka z pójściem na górę, podsycając w sobie złość i urazę. Kiedy Marcus oznajmił, że idzie spać, oświadczyła chłodno, że ma jeszcze coś do zrobienia.

Biorąc prysznic i myjąc potem zęby Marcus zastanawiał się, czy Eleanor w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jaką wywiera na niego presję. Jest tak zaabsorbowana tym przeklętym domem, że zapomina o wszystkim, a zwłaszcza o nim.

Przyjrzał się uważniej swemu odbiciu w lustrze.

Zgoda, Eleanor ma wiele problemów. Rozwiązanie spółki, wyjazd Louise, przyjazd Vanessy, która ostatnio jest wyjątkowo okropna... No tak, między innymi dlatego pewnie ten dom tyle dla niej znaczy.

Może za dużo? Nadal nie był przekonany, że podjęła

słuszną decyzję, ilekroć jednak usiłował jej to wytłumaczyć, roztaczała przed nim swe entuzjastyczne plany.

Marcus wychowywał się w rodzinie, w której jego matka i mieszkająca z nimi dostojna babka całkowicie zdominowały cichego ojca, zręcznie zmieniając każdą decyzję, jaką usiłował podjąć. Ukochanym schronieniem ojca była szopa w ogrodzie, w której zaszywał się na całe godziny, gdy miał już po uszy swych kobiet. Marcus szybko odkrył, że zapewni sobie spokój, nie spierając się z matką i babką. Wysłuchiwał ich opinii w milczeniu, a potem starał się robić swoje.

W dniu, w którym uświadomił sobie, że jego pierwsza żona jest bardzo podobna do matki, zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście jest człowiekiem inteligentnym. Jedną z pierwszych rzeczy, jaka przyciągnęła go do Eleanor, oczywiście oprócz pożądanego, była jej spokojna natura. Eleanor była zawsze gotowa wysłuchać drugiej strony i godziła się z tym, że ktoś może mieć inne poglądy niż ona. Teraz jednak z dnia na dzień przestały do niej docierać jakiegokolwiek argumenty. Po prostu przestała go słuchać.

Ona żyje w strasznym napięciu, przypomniał sobie. Lecz on także. Jak wyjaśnił dziś po popołudniu Sondrze Cobot, która wpadła do jego kancelarii po jakieś papiery, sprawa, którą się obecnie zajmuje, okazuje się znacznie bardziej zawiła niż zakładano, a poza tym pod koniec miesiąca musi się stawić w sądzie w Hadze na rozprawie ciągnącej się już od dawna.

Uśmiechnął się, przypominając sobie, z jakim zainteresowaniem Sondra wypytywała go o tę sprawę. Fascynowały ją zarówno złożoności prawa brytyjskiego, jak i europej-

skiego, a sądząc po wymownym uśmiechu, jakim go obdarzyła, on stawał się częścią tej fascynacji.

Takie rzeczy zdarzały się w jego życiu często, niemniej po raz pierwszy od czasu poznania Eleanor pochlebiło mu to. Oczywiście, Sondra była dla niego o wiele za młoda, a poza tym nie w jego typie. Kochał Eleanor, lecz odnosił wrażenie, że traci tę Eleanor, którą poślubił, a coraz częściej ma do czynienia z kobietą, która ma więcej uczuć i czasu dla jakiegoś domu niż dla niego. Dziś mówiła o tym domu z takimi błyszczącymi oczami, jakimi niegdyś patrzyła na niego.

Usłyszał na schodach jej kroki i szybko skończył myć zęby, nie chcąc, żeby go zastała w łazience. Kiedy Eleanor weszła do sypialni i zobaczyła nieruchome ciało Marcusa w łóżku, poczuła zarazem ulgę i żal. Przez cały wieczór zastanawiała się, co się naprawdę stało. Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że nie potrafi już rozmawiać z mężem, że on już nie chce dzielić jej radości. Znacznie lepszy kontakt mieli przed ślubem, gdy mieszkali oddzielnie, niż teraz.

Kiedy położyła się przy nim, miała przez chwilę ochotę wyciągnąć ręce i dotknąć go; przekonać się, że mimo szorstkości, jaką demonstrował przez cały wieczór, jednak ją kocha. Natychmiast jednak przypomniała sobie, że takie pojednawcze gesty mogą prowadzić do samozniszczenia, jak było w przypadku jej pierwszego małżeństwa. A poza tym uświadomiła sobie, jak trudny miała dzień, z jaką niechęcią Marcus patrzy na jej wysiłki prowadzenia spółki, domu i rodziny. Dziś chciała tylko zwierzyć się mu ze swych trosk, on zaś przerwał jej zniecierpliwiony, najwyraźniej nie mając ochoty jej słuchać.

Kiedy odwracała się do niego plecami, przemknęło jej przez głowę pytanie, czy taka pryncypialność warta jest rezygnacji z ciepłych ramion Marcusa, z radości przytulenia się do niego. Poczuła w oczach łzy i zamrugała z irytacją powiekami. Przecież jest kobietą, a nie dzieckiem, i to kobietą na tyle dojrzałą, by wiedzieć, że nawet w najlepszych małżeństwach dochodzi czasami do konfliktów. Hm, może nie powinna była już od progu zmuszać go do wysłuchania całej litanii problemów, ale przecież nie będzie go teraz przeproszać, podbudowując w ten sposób jego męskie ego.

Na pociechę pomyślała sobie, że z samego rana jeszcze raz zadzwoni do rzeczoznawcy i poprosi o pełną listę najpilniejszych robót, a potem o polecenie jej solidnych wykonawców. No i może niepotrzebnie poczuła się tak mocno urażona, gdy Marcus dwie godziny temu spytał:

- Na litość boską, Nell, czy nie możemy porozmawiać normalnie? Czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym, tylko o tym przeklętym domu?

Przed zaśnięciem uświadomiła sobie jeszcze to, że będzie musiała poprosić panią Garvey o pozostanie trochę dłużej. Nie zdążyła przenieść wszystkich rzeczy chłopców na poddasze, a Vanessa ma przyjechać już po południu.

Eleanor była właśnie w trakcie trudnych negocjacji z panią Garvey, gdy zadzwonił telefon. Spodziewała się usłyszeć głos rzeczoznawcy, któremu wcześniej zostawiła wiadomość, kiedy niespodziewanie odezwał się Marcus:

- Nell, czy możesz mi zrobić przysługę i odebrać ze stacji Vanesę? Nie będę w stanie się stąd wyrwać przez całe popołudnie.



Eleanor obiecała już synom, że po szkole zabierze ich do McDonalda, lecz gdy powiedziała to Marcusowi, zareagował ze zniecierpliwieniem:

- No to nie możesz pojechać najpierw na stację, a potem zabrać całą trójkę do McDonalda?

Jak miała mu wyjaśnić, zwłaszcza w obecności pani Garvey, że wizyta u McDonalda ma chociaż w części wynagrodzić chłopcom zamieszanie związane z przyjazdem jego córki? Zresztą, czy Marcus cokolwiek by z tego zrozumiał? Było oczywiste, że praca jest dla niego stokrotnie ważniejsza niż jakaś tam wyprawa z dziećmi, toteż zgodziła się i pół godziny później, kiedy pani Garvey oświadczyła, że nie może zostać ani minuty dłużej, pomyślała, że sprzysięgły się przeciw niej wszystkie złe siły.

Zrezygnowana, ruszyła do pokoju chłopców i zabrała się do sprzątanía. Dlaczego wszyscy przedstawiciele płci męskiej, bez względu na wiek, nie- dobierają skarpetek parami? A poza tym jak to się dzieje, że każda z sześciu par szarych skarpetek, kupionych tego samego dnia i pranych w jednakowy sposób, ma nieco inny odcień i z trudem można dobrać dwie podobne? Ze złością spojrzała na trzy skarpetki znalezione pod łóżkiem Toma, których barwa zdecydowanie nie była już szara.

Całe szczęście, że Gavin jest porządniejszy. Jego rzeczy nie były porzucane po całym pokoju, lecz leżały schludnie ułożone w jego „połowie”. Dzieci, podobnie jak dorośli, potrafią być niezmiernie zaborczymi terytorialnie zwierzętami. Jak wobec tego się czują, kiedy wiedzą, że ich terytorium jest zagrożone? Gavin jest bardziej niezależnym i mniej wrażliwym dzieckiem niż Tom, zajmuje się żywo sportem i szybko sobie radzi z problemami.

Cały ranek próbowała sobie wmawiać, że rzeczoznawca jest nadto pesymistyczny, przepowiadając, że remont potrwa rok. Rok... Ile to weekendów i świąt, ile wyczerpujących godzin wrogości i napięć! A przecież cały sens przeprowadzki ma polegać na tym, że wszelkie problemy zostaną rozwiązane natychmiast.

Poza tym praca w domu męczyła ją bardziej, niż się spodziewała. Podobnie jak synowie, była rozżalona faktem, że nie ma w tym domu swojego miejsca. Stół kuchenny nie jest w stanie zastąpić biurka, a nie miała ochoty pracować w gabinecie Marcusa, mimo że jej to proponował. Marcus był pedantem i wszystko miało u niego swoje miejsce, ona zaś robiła na swoim biurku bałagan. Zbierając rzeczy Toma pomyślała złośliwie, że wie, po kim syn odziedziczył przynajmniej tę cechę.

Wyprawa do McDonalda okazała się prawdziwą katastrofą. Tom był ponury, jadł niechętnie, kopał Gavina pod stołem i nie patrzył na matkę. Gavin nie pozostawał mu dłużny, jeśli zaś chodzi o Vanessę, to już na początku wygłosiła pogardliwy komentarz na temat wartości odżywczych podawanego tu jedzenia oraz inteligencji tych, którzy tu przychodzą. Eleanor zacisnęła zęby i powiedziała coś żartobliwego.

Dobrze pamiętała przecież, że kiedy poznała Marcusa, jego córka jadała jedynie hamburgery i frytki. Marcus wyjaśnił jej, że Julia nigdy nie zajmowała się rzeczami tak trywialnymi jak prawidłowe odżywianie dziecka. Właściwie poczęcie Vanessy było przypadkowe i Eleanor domyślała się, że Marcus nigdy nie był tak blisko związany z córką, jak ona z synami.

O dziwo, to Jade przyczyniła się do zmiany diety Vanesy, krytykując otwarcie jej kulinarne obyczaje. Kiedy Eleanor później ją błagała, by już więcej nie mówiła czegoś, co by mogło zantagonizować Vanesę, Jade odparła bez ogródek:

- Nell, ona robi z tobą, co chce. Nigdy byś Tomowi czy Gavinowi nie pozwoliła na to, na co pozwalasz jej, i ona o tym dobrze wie. Wie także, że ich kochasz - dodała znacząco, Eleanor jednak po dziś dzień nie mogła się zdobyć na skrytykowanie zachowania Vanesy.

- Jeszcze nie skończyłeś? - pytała teraz Vanessa, obrzucając Toma piorunującym spojrzeniem i dodając pogardliwie: - Boże, ależ tu dzieciaków. - Powiodła wzrokiem po sali, po czym zatrzymała spojrzenie na macosze. - *Dlaczego* tata po mnie nie przyjechał?

- Ma jakieś spotkanie - odparła Eleanor spokojnie.

Vanessa zachichotała i popatrzyła na nią wymownie.

- To chyba znaczy, że ma kochankę. Mężczyźni zawsze mówią żonom, że mają spotkanie, kiedy mają romans.

Eleanor oniemiała. Czy Vanessa zdaje sobie sprawę z tego, co mówi, czy po prostu naiwnie powtarza komentarze zasłyszane u innych dziewcząt, udając w ten sposób osobę doświadczoną, którą w istocie nie jest? Spojrzała na pasierbicę spokojnie i odpowiedziała:

- Nie sędzę, Vanesso. Gdyby tak było, kraj przestałby funkcjonować, a ponieważ tak się nie stało, musimy przyjąć, że są mężczyźni, którzy jeśli mówią, że mają w pracy spotkanie, to mówią prawdę. Twój ojciec do takich mężczyzn należy.

Vanessa milczała, lecz nie przestawała się ironicznie uśmiechać. Zirytowana Eleanor spojrzała na synów i wark-

nęła niesprawiedliwie na Gavina, który ze stoickim spokojem jadł swego hamburgera:

- Na litość boską, Gavin, pospiesz się.

Gdy wrócili do domu, Vanessa poszła prosto do swojego pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi. Gavin oglądał telewizję, a Tom odrabiał lekcje na kuchennym stole. W sypialni na poddaszu było małe biurko, Tom jednak twierdził, że nie może się na nim pomieścić. Po jakimś czasie Gavin przypomniał sobie, że rano ma grać w futbol, a strój zostawił w szkole. Skrywając irytację Eleanor powiedziała, że wobec tego włoży strój zapasowy.

- Ale koszulka jest za ciasna - jęknął chłopiec.

- Trudno. Na drugi raz nie zostawiaj stroju w szkole. Przecież masz w pokoju kalendarz, do którego kazałam ci wpisać wszystkie zajęcia dodatkowe.

- Przecież wpisałem - powiedział z oburzeniem.

Eleanor westchnęła. Supermarket jest jeszcze otwarty, może mu kupić nową koszulkę. Pewnie nie będzie odpowiadała wymaganiom szkoły, ale nie będzie za mała. No i buty, bo chyba stare są już też trochę za ciasne... Nagle z góry dobiegł ją hałas, po czym Tom krzyknął:

- Oddaj, to moje!

- Wobec tego co to robi w moim pokoju? - spytała Vanessa.

Eleanor pobiegła na górę. Tom stał w przedpokoju, a Vanessa w drzwiach sypialni. W ręku trzymała rozłożony plakat.

- Przestańcie - rozkazała Eleanor. - Tom, nie krzycz. Vanesso, oddaj mu plakat.

- To jest plakat? - spytała Vanessa przeciągając sylaby, uśmiechnęła się do macochy, po czym z taką determinacją,

że Eleanor ledwo mogła uwierzyć własnym oczom, rozdarła plakat na cztery części i rzuciła kawałki na podłogę.  
- Och, przepraszam cię, Tom - odezwała się błagalnym tonem. - Podarł mi się.

Zanim Eleanor zdążyła cokolwiek powiedzieć, pasierbica odwróciła się i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Nienawidzę cię! - zawołał Tom piskliwie. - Kiedy się przeprowadzimy do nowego domu, nigdy cię nie wpuszczę do mojego pokoju!

- Przeprowadzimy? - zawołała Vanessa, z impetem otworzyła drzwi i z wściekłością spojrzała na macochę.  
- Kto się przeprowadza?

- My - odparła Eleanor spokojnie i zanim zdołała cokolwiek dodać, Vanessa wpadła do sypialni, po czym wypadła z niej, trzymając w dłoni zwinięte w rulon plakaty piłkarskie, które normalnie wisały na ścianie, a przed przyjazdem Vanessy zostały schowane do szafy.

- Masz - syknęła, podając rulon Tomowi. - Skoro będziesz miał swój pokój, nie będziesz więcej tym świństwem zaśmiecał mojego, prawda?

Kiedy Tom wyciągnął rękę, Vanessa przytrzymała rulon, po czym kilkakrotnie go skręciła. Tom jęknął z rozpacz, a na twarzy Vanessy pojawił się tak złośliwy uśmiech zadowolenia, że Eleanor po raz pierwszy miała ochotę zachować się wobec pasierbicy równie okrutnie, jak ta zachowała się wobec jej syna. Wiedziała, że w gruncie rzeczy Vanessa rzuca wyzwanie nie Tomowi, lecz jej. Pod wpływem impulsu chwyciła pasierbicę za nadgarstek. Ta ze zdumienia na chwilę znieruchomiała, po czym usiłowała wyrwać rękę.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Eleanor. - Oddaj Tomowi plakaty.

Słyszała w swoim głosie złość, czuła, że ze zdenerwowania cała się trzęsie.

- Nie możesz mnie do niczego zmusić - syknęła Vanessa. - Nie możesz mi rozkazywać. To nawet nie jest twój dom. To dom taty...

W jej głosie było tyle jadu, że Eleanor puściła ją i postąpiła krok do tyłu.

- Nienawidzę cię - dodała Vanessa. - Nienawidzę was wszystkich i wolałabym, żeby tata się z tobą nie ożenił.

Ignorując ból, jaki sprawiły jej słowa pasierbicy, Eleanor powiedziała spokojnie:

- Oddaj Tomowi plakaty.

Vanessa odwróciła głowę w stronę chłopca.

- Chcesz je? - spytała zaczepnie. - Naprawdę je chcesz? No to masz!

Gwałtownym ruchem przedarła rulon na pół i zaniósła się śmiechem, gdy usłyszała jęk Toma. Potem rzuciła mu plakaty pod nogi i wyniośle odezwała się do Eleanor:

- Jesteś zadowolona? Chyba tego właśnie chciałaś, prawda?

Nie może jej to ujść na sucho, pomyślała Eleanor, bo jeśli tak się stanie, nikt już nad tą smarkatą nie zapanuje. Zaczepnęła powietrza i postąpiła krok w stronę pasierbicy. Tom głośno płakał, z holu dobiegł ją jakiś dźwięk, lecz nie zwracała na nic uwagi, koncentrując się na tym, co ma powiedzieć Vanessie. Twarz dziewczynki nagle się zmieniła i wyraz triumfu zajął strach.

- Nie! - zawołała. - Nie bij mnie. Ja nie chciałam tego zrobić. Proszę, nie bij mnie.

Nie bij mnie? Eleanor przystanęła zdumiona. Czyżby Vanessa pomyślała...

- Eleanor, co tu się dzieje? Słysząc was aż na ulicy.

Marcus... Dzięki Bogu. Eleanor odwróciła się w stronę męża, lecz zanim zdążyła powiedzieć choćby słowo, Vanessa rzuciła się ojcu na szyję z histerycznym krzykiem:

- Tato, nie pozwól jej mnie bić!

Ona niewątpliwie odziedziczyła talent aktorski po matce, skonstatowała Eleanor i spojrzała Marcusowi w oczy. Później mu to wszystko wytłumaczy, nie będzie się bronić przy Vanessie. Przecież to jeszcze dziecko... Tora dalej głośno rozpaczął, Marcus uwolnił się z objęć córki i patrzył na Eleanor z marsem na czole. Tymczasem po twarzy Toma płynęły łzy, a Vanessa znowu triumfowała. Dziecko?

Nie. Vanessa nie działała pod wpływem impulsu; jej zachowanie było celowo złośliwe, zaplanowane z premedytacją. Eleanor ogarnęła gorzka rozpacz, gdy stwierdziła, że nie jest w stanie wytłumaczyć Tomowi, dlaczego odnosi wrażenie, że Vanessa jest lepiej traktowana, a więc bardziej „kochana”, podobnie jak nie była w stanie wyjaśnić Marcusowi, dlaczego jego córka doprowadziła ją do stanu psychicznego wyczerpania. Bała się, że użyje jakiegoś niewłaściwego słowa, co nie pozostanie bez wpływu na ich związek.

A skąd się wzięła ta myśl? Przecież Vanessa nie ma aż tak silnego wpływu na ojca, skąd więc ten strach? Czyżby z uśpienia wyłoniły się zjawy dawnych dni, kiedy to Eleanor nieustannie czuła się gorsza i myślała, że musi zasłużyć sobie na miłość? Przecież pozbyła się tych lęków dawno temu, dlaczego więc teraz wracają?

Spojrzała na Marcusa, szukając w jego twarzy jakiegoś znaku, że rozumie jej rozterkę, że zdaje sobie sprawę z karygodnego zachowania córki, tymczasem dojrzała jedynie wyraz niechęci i zniecierpliwienia.



Schodząc na dół, Fern usłyszała odgłos wrzucanych przez otwór w drzwiach przesyłek. Pozbierała listy i zabrała je z sobą do kuchni. Większość adresowana była do Nicka, zaś z trzech listów do niej dwa pochodziły od organizacji charytatywnych, które prosiły o pieniądze. Trzecia koperta była jednak gruba, a gdy Fern zahaczyła na niej pismo przyjaciółki, szybko zrobiła sobie kawę i usiadła przy stole.

Fern i Cressy znały się od lat szkolnych, lecz ich przyjaźń przetrwała do dziś. Oczywiście, od czasu ślubu Fern kontaktowały się z sobą głównie listownie i telefonicznie, lecz Fern i te kontakty witała z radością. Cressy była zagorzałą obrończynią środowiska i dzięki swej pracy jeździła do najodleglejszych zakątków świata. Ten list jednak miał pieczętkę hrabstwa Lincolnshire. Zazwyczaj Cressy, kiedy była w Anglii, mieszkała w Cambridge, gdzie kończyła studia podyplomowe i miała licznych przyjaciół.

Nick nie pałał do niej sympatią, uważając, że jak na kobietę jest zbyt wygadana. Nietrudno zresztą się domyślić, że kwestionowała jego poglądy w sprawach, w których uważał się za autorytet. Fern próbowała przekonać Nicka, że jego uprzedzenia są niesłuszne, ponieważ Cressy



naprawdę jest znakomicie zorientowana w takich na przykład kwestiach, jak wpływ nowoczesnego przemysłu w krajach rozwiniętych na środowisko, Nick jednak zamknął jej usta stwierdzeniem, że nie wie, co mówi. W stosunkach między Cressy i Fern próbował się nawet dopatrzyć elementów uczuć lesbijskich.

Był to jeden z niewielu przypadków, kiedy Fern była naprawdę zła. Podejrzewała, że gdyby nie znała Cressy tak dobrze, insynuacje Nicka zniszczyłyby ich przyjaźń. Cóż jednak, kiedy Nick nie dał się przekonać.

Teraz otworzyła kopertę i wyjęła zapisaną kartkę. List był napisany tak żywym stylem, typowym dla Cressy, że Fern odniosła wrażenie, iż przyjaciółka jest teraz z nią w kuchni i mówi:

„Wyobraź sobie, że wychodzę za mąż! Poznałam Grahama w zeszłym roku - oboje byliśmy w grupie, która pojechała do Rosji w celu przebadania wpływu Czernobyla na środowisko. Graham jest Szkotem, ma prezbiteriańskich przodków, jest wysoce konwencjonalny i moralny. No i powiedział, że albo ślub, albo nic. Ponieważ trudno jest żyć z nic, uległam mu, choć trudno powiedzieć, że zrobiłam to z wdziękiem. Później jednak kupiliśmy tutaj, w Fens, probostwo, które ma tyle ziemi, że można zacząć jakieś eksperymentalne uprawy. Ślub będzie dopiero w październiku (prawda, że Graham jest strasznie konwencjonalny?), a ponieważ teraz go nie ma, bo pojechał badać wpływ zanieczyszczenia mórz na plankton, mam trochę czasu i chciałabym, żebyś przyjechała do mnie na kilka dni. Nie widziałyśmy się już tak długo, że chyba najwyższa pora, żebyśmy sobie to i owo poopowiadały. Przykro mi, że nie

zdołałam przyjechać na pogrzeb Twojej mamy. Wiem, jak oddani sobie byli Twoi rodzice i jaki to musiał być dla ciebie szok - stracić matkę tak szybko po śmierci ojca. "

Fern w zadumie złożyła list. Oczywiście, nie może pojechać do Cressy. Nick się nie zgodzi. Pamiętała, jakie robił jej wymówki, kiedy wyjeżdżała do matki, która była śmiertelnie chora na zapalenie płuc i nie mogła podnieść się z łóżka. Westchnęła i zamknęła oczy. List Cressy ożywił ból, jaki czuła po śmierci matki. Tak bardzo potrzebowała wtedy wsparcia ze strony Nicka, a on tymczasem zachowywał się jak zepsute, zaborcze dziecko. Adam by nigdy...

Gwałtownie wstała i podeszła do okna, patrząc na ogród nie widzącym wzrokiem. Ciężko pracowała w tym ogrodzie, który był długi i wąski i nie dawał się ładnie zagospodarować. Podzieliła go więc na małe sektory - niemal oddzielne, tajemnicze ogródki, takie niewielkie sanktuaria... Nie, Nick nie pozwoli jej jechać.

Odwróciła się i spojrzała na list. Na górze był adres i numer telefonu. No cóż, zadzwoni i będzie musiała okłamać Cressy, że teraz nie ma czasu. Serce podchodziło jej do gardła, kiedy czekała, aż z drugiej strony ktoś podniesie słuchawkę. Wreszcie usłyszała głos przyjaciółki i powiedziała:

- Cressy, to ja, Fern...
- Fern! Wspaniale, że dzwonisz. Kiedy możesz przyjechać? Bo przecież przyjedziesz, prawda?

Cressy miała charakterystyczny, niemal wibrujący głos, a kiedy mówiła, jej oczy lśniły radością. Fern powtórnie odniosła wrażenie, że przyjaciółka siedzi z nią w kuchni.

- Nie mogę, Cressy - tłumaczyła Fern. - Widzisz...
- Nie, Fern, nic nie widzę. Musisz przyjechać. Pamię-

taj, że ja po raz pierwszy biorę ślub i jestem trochę oszołomiona. No dobrze, powiem ci prawdę. Jestem przerażona i potrzebuję kogoś, kto by mnie potrzyzymał za rękę. Ty to robisz najlepiej. Fern, proszę...

Fern niemal widziała, jak przyjaciółka się uśmiecha i niepewnym gestem przesuwając ręką po włosach. Mimo wszystko, Fern roześmiała się. Cressy niewątpliwie była jedną z ostatnich osób, które by wymagały trzymania za rękę. Przyjaciółka jakby odczytała jej myśli, bo przybrała nagle poważny ton:

- Fern, naprawdę cię potrzebuję. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Znasz mnie lepiej niż wszyscy. Z tobą mogę być szczerą. Kocham Grahama bardziej, niż wydawało mi się to możliwe, a jednak przeraża mnie myśl o małżeństwie. Trochę głupie, prawda?

Nie, nie takie głupie, pomyślała Fern, która znała przeszłość Cressy.

Matka Cressy opuściła jej ojca, kiedy Cressy miała osiem lat i była na tyle inteligentna, by zrozumieć plotki, które obiegiły wieś. Matka Cressy miała arystokratycznych przodków, co prawda w odległym pokoleniu, niemniej dużo się o tym mówiło po jej wyjeździe. Społeczność lokalna wspominała zwłaszcza jej dawno zmarłą krewną, która zasłynęła z romansów oraz gromadki dzieci, jakie urodziła, podczas gdy mąż przymykał na wszystko oczy. Mówiono więc: to ta sama krew, i Fern pamiętała, jak Cressy przysięgała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, żeby nie zrobić tego samego co matka.

- Chciałabym przyjechać - powiedziała Fern z żalem - ale nie mogę. Nick właśnie wrócił z podróży służbowej z Londynu i straszny jest teraz bałagan...

- Na pewno chodzi o to, że on się nie zgodzi na twój wyjazd - przerwała Cressy ostrym tonem. - No dobrze, Fern, wiem, że Nick mnie nie lubi. Pewnie się boi, że będę miała na ciebie zły wpływ i któregoś dnia uciekniesz z tego więzienia, jakie ci stworzył. Szkoda, że nie potrafię cię do tego skłonić.

- Cressy... - zaprotestowała Fern, zbита z tropu.

- Przepraszam, Fern, ale... - Urwała, po czym spokojnym już głosem dodała: - Postaraj się jednak. Naprawdę jestem przerażona. I chcę cię zobaczyć.

- Spróbuję - obiecała Fern, lecz gdy odkładała słuchawkę, pomyślała, że Cressy pewnie wie równie dobrze jak ona, że nie przyjedzie.

Pół godziny później zabierała się do prasowania, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi i ze zdumieniem dostrzegła za progiem Venice.

Był ładny, słoneczny dzień i Fern było trochę za ciepło w swetrze i spódnicy. Venice natomiast miała na sobie legginsy i obcisłą trykotową bluzkę z golfem i krótkimi rękawami, której ciemne tło zdobiły złociste kółka. Była opalona, nieskazitelnie uczesana i umalowana, jej ręce zaś i paznokcie wyglądały tak, jakby się nigdy nie parała domową pracą. Fern poczuła się nie tylko zaniedbana, lecz również stara i zmęczona.

- Przepraszam, może przyszedłam nie w porę? - zaszczębiotała Venice, po której ustach błąkał się ironiczny uśmiešek. - Mój Boże, ależ tu jest czysto! Niemal antyseptycznie. Musi mi pani dać nazwisko swojej sprzątaczkii. Moja jest dosyć dobra, ale... - Venice zmarszczyła nos i powiodła uważnym wzrokiem dokoła.

- Nie mam sprzątaczkii - odparła Fern sztywno, czując,

jak pod wpływem spojrzenia Venice czerwienieją jej policzki. Venice dobrze wiedziała, że Fern sama wszystko robi, i że dotarł do niej obraźliwy sens słowa „antyseptycznie”.

- Nie będę pani przeszkadzać. Chciałam tylko to oddać.  
- Venice otworzyła torbę i wręczyła Fern niedbale złożony i pognieciony krawat. - Nick go zostawił. Wpadł do mnie, żeby omówić sprawy moich inwestycji, a ponieważ zepsuło mi się ogrzewanie i nie mogłam go wyłączyć, było strasznie gorąco i Nick spytał, czy może zdjąć krawat. Sprząta-czka znalazła go dziś rano, więc pomyślałam sobie, że przy okazji go podrzucę...

Fern zastanawiała się, czy ta kobieta zdaje sobie sprawę z tego, co mówi. Po co wymyśla takie rzeczy? Ten krawat, który przywiozła, Nick zabrał z sobą do Londynu. Był z czystego jedwabiu i kosztował więcej, niż wynosiła miesięczna „pensja” Fern. Gdy Venice wyszła, Fern przyłożyła lodowate dłonie do płonących z upokorzenia policzków. Teraz jednak nie miała już żadnych wątpliwości. Nick ma romans z Venice.

Kiedy sięgała po słuchawkę, dygotała z gniewu. Wystukała szybko cyfry i kiedy czekała na sygnał po drugiej stronie, poczuła, jak w głębi jej serca powstaje oaza spokoju, rodzi się poczucie nieuchronności, jakby od początku wiedziała, że jej związek z Nickiem musi dobiec kresu. Usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki i zaskoczona uzmysłowiła sobie, że wystukała numer Cressy, a nie Nicka. Czy była to podświadoma pomyłka, czy zrządzenie losu? Fern nabrała powietrza w płuca i zdobyła się na odwagę:

- Cressy, zmieniałam zdanie. Kiedy mogę przyjechać?
- Jak najszybciej.

Pakowanie nie trwało długo. Kiedy przed oczami stanął jej niespodziewanie obraz Venice w strojnych szatkach, z obrzydzeniem pomyślała o swojej nędznej garderobie. Potem napisała Nickowi kartkę z informacją, dokąd wyjeżdża, a w postscriptum dopisała, że Venice oddała jego krawat. Niech sobie o tym wszystkim myśli, co chce. Ona już się nim nie będzie przejmowała!

Zauważyła, że wzmianka o krawacie jest napisana większymi literami. Czy Nick to zauważy? Fern uśmiechnęła się smutno.

Nie, nigdzie nie uciekam, mruzczała pod nosem, wrzucając do samochodu małą walizkę. Po prostu muszę mieć czas, żeby wszystko przemyśleć i podjąć decyzje dotyczące przyszłości. Przyszłości bez Nicka? Westchnęła, zapaliła silnik i zwolniła hamulec.

Zatrzymała się na lunch w małym miasteczku. Był to dzień targowy i na ulicach roił się tłum. W pewnym momencie Fern zwróciła uwagę na mijającą ją matkę z dzieckiem. Kobieta była mniej więcej w wieku Fern, lecz w przeciwieństwie do niej miała na sobie kolorowy strój, podobny do tego, w którym odwiedziła ją Venice.

Szkoda, że nie mogę sobie czegoś takiego kupić, pomyślała Fern. Nick dostałby ataku szału... Nagle przystanęła, po czym odwróciła się i ruszyła w kierunku jednego ze sklepów niezbyt drogiej sieci, który przed chwilą minęła. Kiedy z niego piętnaście minut później wyszła, nie miała już na sobie spódnicy i swetra, lecz kolorowe legginsy i odpowiednio dobraną, obcisłą górę, a na nogach nowe, płócienne pantofle.

Zapłaciła za to pieniędzmi, które dostała wczoraj od

Nicka na miesięczne utrzymanie domu. Może odpowiedzialna i dojrzała kobieta, która na dodatek myśli o zostawieniu męża i nie ma moralnego prawa wydawać jego pieniędzy, zwłaszcza na tak frywolne stroje, nie powinna się tak zachowywać.

Strój był jednak bardzo wygodny. Fern czuła się w nim lekko i swobodnie. Zatrzymała się przed witryną sklepową i z podziwem spojrzała na swoje odbicie. Sprzedawczyni z tamtego sklepu nie ukrywała, że zazdrości jej figury. Fern nagle uświadomiła sobie, że uśmiecha się nieco idiotycznie. Nic dziwnego, że przygląda się jej jakiś mężczyzna. Szybko ruszyła do samochodu, nadal nieco przerażona własną ekstrawagancją.

To już niedaleko. Po obu stronach szosy rozciągały się płaskie tereny Fenlands. Fern nie uważała monotonii tego krajobrazu za nużącą; brak zaskakujących form działał na nią kojąco. Ciekawe, jak to wszystko wyglądało, zanim przeprowadzono drenaż tych gruntów? Oczami duszy dojrzała spowitą mgłami, tajemniczą krainę, po której bezpiecznie się poruszali tylko jej mieszkańcy, nierozważnym zaś przybyszom groziła na moczarach śmierć.

Cressy wspomniała, że Instytut, dla którego z Grahamem pracowała, załatwia właśnie zakup jednego z najlepiej zachowanych i najmniej uczęszczanych terenów tego rejonu. Cressy i Graham mieli czuwać nad przywróceniem tam przyrodzie jej pierwotnego stanu.

- Kiedy zobaczysz nasz dom - mówiła Cressy - zaczniesz się zastanawiać, dlaczego w ogóle go kupiliśmy. Wygląda jak stodoła, został zbudowany na początku dziewiętnastego wieku i cały czas był własnością Kościoła,

choć od kilku lat nikt w nim nie mieszka. Dla nas jest, oczywiście, za duży, ale jeśli chodzi o pracę, lokalizacja jest wspaniała. Graham mówi, że będzie gdzie pomieścić studentów. A poza tym cudownie będzie odtworzyć naturalny habitat w miejscu, gdzie wydawał się on zagrożony. Wiesz, Graham także żartuje, że puste pokoje możemy zapełnić dziećmi, ale zabroniłam mu o tym myśleć. Zgodzę się na jedno lub najwyżej dwoje.

Kiedy Fern mijała ostatnią wioskę na swej trasie, spojrzała na zegarek. Może właśnie teraz Nick wraca do domu i czyta jej kartkę? Już za późno, by zmienić zdanie i zawrócić, pomyślała, skręcając w prostą drogę, która zniknęła gdzieś w dali za horyzontem. Nagle zrozumiała, że jest zadowolona, że niemal delektuje się tym dziwnym uczuciem, które wbrew wszelkiej logice podnosi ją na duchu. Dopiero po kilku sekundach pojęła, co to za uczucie, i wtedy głośno powiedziała:

- Wolność...

Po chwili wyrósł przed nią ten dom - ponura, niemal gotycka budowla, absurdalnie stercząca na tle bladego nieba, właściwie brzydka, a jednak, może właśnie z powodu siły i uporu, z jakim utrzymywała się na tym na poły podmokłym gruncie, wzbudzająca raczej podziw niż litość. Fern wjechała przez otwartą bramę i znalazła się w typowym dla starych probostw ogrodzie, charakteryzującym się zaniedbanymi trawnikami i kortami tenisowymi. Daleko mu było do ogrodu w posiadłości Broughtonów, to fakt.

Jednak mimo teatralnego wrażenia posepności, mimo zaskakującego kontrastu między jego ciężką, kamienną bryłą a niemal eteryczną, mglistą lekkością krajobrazu, w którym więcej było nieba i wody niż ziemi, od domu



tego było jakieś dziwne ciepło. Fern wysiadła z samochodu, gdy nagle otworzyły się drzwi i po schodkach zbiegła Cressy, krzycząc radośnie i rzucając się jej na szyję.

- Więc przyjechałaś! A już się bałam, że zmienisz zdanie. A to co? - Odsunęła się od przyjaciółki i zlustrowała ją od stóp do głów. - Jednak coś się zmieniło. Jestem pewna, że Nick nie pobłogosławił tego stroju - dodała z lekkim przekąsem.

Fern czuła, że się rumieni.

- Może trochę zbyt młodzieżowy jak na mnie? Może nie powinnam...

- Młodzieżowy? Chyba zwariowałaś. Wyglądasz świetnie. Znacznie lepiej niż w tych zgrzebnych, średniowiecznych łąszkach, w jakich zawsze chodzisz. Przepraszam, ale znasz mnie, Fern. Zawsze mówię to, co myślę. Wiem, że mama wychowała cię w przekonaniu, że porządne panienki noszą tweedowe spódnice, bliźniacze sweterki i perły, ale teraz jesteś kobietą i powinnaś się ubierać inaczej...

Kiedy ujrzała zdumioną minę Fern, błysnęła zębami w uśmiechu.

- No dobrze, wiem, co myślisz. Przyganiał kocioł...

Spojrzała na swoje drelichowe spodnie i szaroburą koszulę i oznajmiła: - Ale to jest mój wybór, Fern. Gdyby tak Graham zaczął mi mówić, co mam nosić, to mimo że go kocham... - Cressy potrząsnęła głową. - No nie! Dopiero przyjechałaś, a ja już cię pouczam. Chodź do środka.

Cressy się nie zmieniła, stwierdziła Fern, wchodząc za przyjaciółką do wysokiego, kamiennego holu, mrocznego i chłodnego, który przechodził w większe pomieszczenie. W promieniach słońca wpadających przez okna tańczyły pyłki kurzu, na zniszczonej skórzanej kanapie przed wiel-

kim kominkiem leżały dwa kolorowe dywaniki. Ścianę nad kominkiem zdobiły głowy stadka jeleni, które szklanym wzrokiem patrzyły w przestrzeń.

- Makabryczne, nie? - skomentowała Cressy, idąc w ślad za spojrzeniem Fern. - Nie muszę ci chyba mówić, że to nie moja sprawka. One po prostu tu były. Graham mówi, że przypominają mu o szczególnie okropnych wakacjach, jakie spędził z dziadkami w górach Szkocji. Mam zamiar zdjąć te biedactwa i urządzić im należny pochówek. Pomyśl tylko, co to za społeczeństwo, gdzie bezsensowne zabijanie jest nie tylko sankcjonowane, lecz również wysoce cenione? Popatrz na te głowy: to świadectwo zręczności człowieka w obchodzeniu się bronią i dowód ułomności jego serca i duszy.

Nie, ona się nie zmieniła, powtarzała w myślach Fern, słysząc w głosie przyjaciółki dawną pasję. Potargana grzywa rudawych włosów nad czołem, opalona twarz o wysoko osadzonych kościach policzkowych, inteligentne brązowe oczy, szczupłe, wysportowane ciało i bystry umysł-wszystko bez zmian. I nadal bije od niej ciepło oraz wspaniałość.

- Fern, jak się cieszę. Właściwie nie mogę uwierzyć, że wychodzę za męża. Wiesz, co zawsze o tym myślałam, jak bardzo się bałam powtórzenia błędu mojej matki. Złamanie przysięgi i rozpad małżeństwa.

- Ale przecież kochasz Grahama...

- Och, tak.

Powiedziała to zwyczajnie i spokojnie, lecz w jej twarzy pojawiło się takie ciepło, że Fern poczuła bolesny skurcz serca. Nie zazdrościła przyjaciółce szczęścia, lecz słowa Cressy uświadomiły jej dotkliwie pustkę jej życia. Otoczka

pretekstów, jaką starała się przykryć ubóstwo swojego małżeństwa, nie wytrzymała siły niemal brutalnej szczerości Cressy.

Ciekawe, co Nick teraz robi? - zastanawiała się później, gdy już Cressy oprowadziła ją po domu i zrelacjonowała wszystkie plany dotyczące przyszłości jej i Grahama. Czy krąży po domu i wścieka się, czy wykorzystuje jej nieobecność i siedzi u Venice?

- Fern, coś nie tak?

Dopiero gdy usłyszała pytanie przyjaciółki, uświadomiła sobie, że ta cały czas bacznie ją obserwowała.

- Nic... Myślałam o Nicku.

- Sądząc z twojej miny, nie były to dobre myśli. Chciałabyś o tym porozmawiać?

Fern potrząsnęła głową. Przyjechała tu, by wysłuchać Cressy, a nie odwrotnie, ku swemu przerażeniu jednak poczuła, jak oczy napełniają jej się łzami i przyjaciółka to widzi.

- A może jednak? - spytała Cressy. - Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Fern pozwoliła przyjaciółce wziąć się pod ramię i razem powędrowały do wielkiej, zagraconej lecz wygodnej kuchni, w której czuło się już jednak rękę Cressy. Nick nie znosi takich pomieszczeń, pomyślała Fern, gdy Cressy bezceremonialnie zepchnęła ze stołu stos książek i posadziła Fern na wielkim krześle.

- No - powiedziała, wyciągając krzesło dla siebie - masz mi wszystko opowiedzieć.

- Co tu jest do opowiadania... - zaczęła Fern, po czym, niespodziewanie dla siebie samej, dodała: - Nick ma romans.

Kiedy po chwili ciszy Fern spojrzała na przyjaciółkę, stwierdziła, że tamtej wyznanie to wcale nie zdziwiło.

- Wiem, co myślisz - powiedziała nerwowo. - Że to nie jest takie ważne, że takie rzeczy się zdarzają, że mężczyźni zawsze mają romanse, i że jeśli nie będę robiła awantur, wszystko na pewno dobrze się skończy. A poza tym to pewnie i tak moja wina, bo....

- Twoja wina? - wybuchnęła Cressy. - Na litość boską, Fern, na co ty mu pozwalasz? Zawsze twierdziłam, że to przewrotny drań, a jeśli ma romans, to za podjęcie takiej decyzji odpowiedzialna jest tylko jedna osoba, i na pewno nie jesteś nią ty! Ze wszystkich znanych mi osób ty traktujesz małżeństwo najpoważniej, dajesz z siebie więcej niż...

Fern ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, lecz Cressy na nią nie patrzyła. Przemierzała kuchnię tam i z powrotem i ze zmarszczonym czołem perorowała:

- Wiem, że nie powinnam ci tego mówić, obiecałam sobie, że nie będę się wtrącać, ale chyba dość tego milczenia. Otóż uważam, że ten twój mąż jest najbardziej samolubnym i wyrachowanym facetem, jakiego znam. Od samego początku robił wszystko, żeby sfałszować ci obraz rzeczywistości, wykorzystał cię i manipulował tobą, wykorzystując twoje słabe punkty. Fern, on cię po prostu niszczy. Widziałam na własne oczy, jak ten łobuz przejmuje kontrolę nad twoim życiem, nad twoją psychiką, i chciałam cię ostrzec, ale byłaś w nim ślepo zakochana.

Fern jęknęła z rozpaczą.

- Dalej go kochasz? - spytała Cressy bezceremonialnie.

Fern potrząsnęła głową, nie będąc w stanie wykrztusić słowa, ponieważ w głowie nadal brzmiały jej nauki rodziców i dręczyło poczucie winy.

- No, to dzięki Bogu - oświadczyła Cressy i podeszła do lodówki, skąd wyjęła butelkę wina.

- Nie jest to wprawdzie szampan, ale... - Napełniła dwa kieliszki, jeden podała Fern, drugi wzniosła do góry gestem toastu i raczej oznajmiła, niż spytała: - Zostawisz go, mam nadzieję.

Zostawić go? Fern była wstrząśnięta.

- Ale jesteśmy małżeństwem, Cressy. Złożyłam przysięgę, ślubowałam...

Cressy odstawiła szklanekę.

- Fern, ile jeszcze z siebie możesz mu poświęcić? A co on ci dał? Mówisz, że ma romans; jestem pewna, że nie pierwszy. Tacy jak on potrzebują ciągłego głaskania, ciągle szukają nowej ofiary... I wcale nie chodzi o seks. Wiesz, od początku zastanawiałam się, co ty w nim widzisz, bo mnie zawsze uderzała jego aseksualność i uczuciowy chłód. Niemniej godny podziwu jest sposób, w jaki przegonił Adama z twojego życia. Co ty w nim zobaczyłaś, Fern, skoro kochałaś Adama, który miał wszystko, czego nie miał Nick? Muszę przyznać, że często w marzeniach widziałam się z twoim Adamem w łóżku.

- On nigdy nie był „moim” Adamem - zaprotestowała Fern - i nie masz racji, że Nick przegonił go z mojego życia. Adam był tylko moim przyjacielem.

- Przyjacielem? Widziałam, jak na ciebie patrzył. Adam cię pragnął, Fern. Aż dziw, że o tym nie wiedziałaś.

- Mylisz się - trwała przy swoim Fern. - Adam miał dziewczynę, znacznie ode mnie starszą i bardziej doświadczoną. Nick...

- Nick chciał cię w taki sposób, w jaki chciał wszystkich innych rzeczy - rzuciła bezwzględnie Cressy i po-

nownie napełniła kieliszki. Fern wiedziała, że to nie wino rozwiązuje jej język, lecz potrzeba wyrzucenia z siebie wszystkiego, co tłumiała przez wiele lat. - Nick chciał cię dlatego, żeby nie dostał cię Adam.

Fern poczuła, jak z jej twarzy odpływa krew, a przed oczami otwiera się przepaść.

- To nieprawda - szepnęła. - On mnie pragnął, potrzebował...

Urwała, bo doznała olśnienia. Runęły wszelkie bariery złudy, jaką otaczała siebie i swoje małżeństwo, i po raz pierwszy ujrzała swój związek z Nickiem we właściwym świetle.

- Przepraszam, Fern - powiedziała Cressy. - Nie chciałam... Ale chyba powinnaś się wreszcie dowiedzieć, że Nick nigdy nie lubił Adama i był o niego zawsze bardzo zazdrosny.

Nick zazdrosny o Adama? Fern poczuła zawroty głowy, zamrugowała powiekami i próbowała skupić wzrok na wielkim dzbanie stojącym na kredensie. Czy namalowane na nim prymitywne postaci to myśliwi, czy te podniesione dzidy są wymierzone w ofiarę, czy... Fern zadrżała i odwróciła twarz w stronę Cressy.

- Nie wiedziałam tego... Zawsze myślałam, że jestem mu potrzebna. Więc sądzisz, że ożenił się ze mną tylko dlatego, żeby odsunąć mnie od Adama? Czy właśnie to usiłujesz mi powiedzieć?

- W gruncie rzeczy tak - przyznała Cressy z wahaniem. - Ale to nie wszystko. Tacy jak Nick... są jak bluszcz albo jak powój. Potrzebują silniejszej rośliny, żeby się do niej przyczepić, żeby czerpać z niej energię i soki, aż wreszcie niszczą ją. A im silniejsza jest ta roślina, tym większe wyzwanie.

- Ale ja nie jestem silna - zaprotestowała Fern.

- Nic o sobie nie wiesz, Fern. - Cressy przyklękła obok przyjaciółki i mocno ją przytuliła. - Jesteś bardzo silna, odważna i wysoce moralna. Gdyby było inaczej, to myślisz, że bym ciebie teraz potrzebowała?

- Ty potrzebujesz mojej siły? - Fern poczuła, jak ogarnia ją fala spazmatycznego śmiechu. - Ależ ja jestem niczym. Niczego w swoim życiu nie dokonałam, niczego nie widziałam, nigdzie nie byłam.

- Ale potrafisz współczuć i kochać. Ludzie instynktownie zwracają się do ciebie o pomoc. Sama siebie nie znasz, Fern. Czy myślisz, że ktoś słaby wytrzymałby przy takim człowieku jak Nick? Jestem pewna, że mimo tego romansu nie pozwoli ci odejść, ale postara się, żebyś cierpiała, żebyś myślała, że jego zdrady to twoja wina, bo nie spełniasz jego wszystkich oczekiwań. On cię nie puści, Fern, bo bez ciebie nie mógłby być tym, kim jest.

- Ale to przecież on... - zaczęła Fern i urwała, analizując słowa przyjaciółki.

- Kochasz go? - powtórzyła Cressy.

- Nie.

- Dzięki Bogu, że wreszcie to z siebie wydusiłaś. Zostaw go. Jesteś to sobie winna.

Rozmawiały niemal do świtu, zjadły chili, które Cressy wcześniej przygotowała, wypily butelkę wina, a potem zaczęły następną. O dziwo, Fern wcale nie czuła się pijana. W istocie umysł miała jaśniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Oprócz sprawy Nicka, omawiały także związek Cressy z Grahamem, mówiły o jej rodzicach. Cressy obawiała się, że będzie się źle czuła w nowej roli, że nie sprosta wymaganiom przyszłego męża.

- Nie mogę żyć bez niego - wyznała - i boję się, że jeśli za niego wyjdę, nie będę mogła żyć z nim.

- Będziesz, będziesz - zapewniła ją Fern i nabrała przekonania, że mówi prawdę i że przyjaciółka jej wierzy.

- Widujesz Adama? - spytała Cressy od niechcenia, gdy wypili ostatni kieliszek wina.

Fern mimowolnie zeszywniała, lecz natychmiast uświadomiła sobie, że rozmawia z Cressy, a nie Nickiem, i że nie ma się czego bać.

- Rzadko. Od czasu sprawy domu Broughtonów stosunki między nim a Nickiem się pogorszyły.

- Co to za sprawa? - spytała Cressy. Kiedy Fern jej wszystko odpowiedziała, oznajmiła: - Jestem pewna, że Adam niczego takiego nie robi. Zawsze miał fioła ma punkcie ochrony środowiska.

- Tak, wiem, ale on prowadzi kilka innych inwestycji i podejrzewam, że jako biznesmen, architekt, no... Nikt dzisiaj nie ma lekko, a on musi myśleć także o swoich pracownikach.

- Mimo wszystko... Rozmawiałaś z nim o tym, Fern?

Fern opuściła głowę, unikając wzroku Cressy. Nadal nie powiedziała jej o kilku rzeczach - sekretach, których nie mogła powierzyć nawet najbliższej przyjaciółce.

- Nie, ale opowiedz mi teraz o Grahamie - odparła szybko, zmieniając temat. - Jak go poznałaś? Podobno robiliście takie same badania...

- Owszem. No cóż, zlecono nam...

Fern słuchała relacji na temat pierwszego spotkania Cressy i jej przyszłego męża, gratulując sobie w duchu, że zdołała przerwać rozmowę o Adamie.

Daleko na moczarach, tam gdzie woda stykała się z nie-



bem, promienie świtu zabarwiły na różowo horyzont, kiedy wreszcie przyjaciółki zdecydowały się pójść spać. Zostały w kuchni bałagan - jak za dawnych czasów. Cressy nie pozwoliła Fern posprzątać, oświadczając, że będą miały na to mnóstwo czasu, gdy wstaną.

- Myślę, że kiedy zostanę już żoną, zacznę się upodobać do ciebie i nie pójdę spać, dopóki kuchnia nie będzie lśniła czystością - oznajmiła Cressy. - Ale nie jestem jeszcze żoną, a Graham, jak sądzę, nie należy do tych, którzy nagradzają żony za sprzątanie.

- Czyżby? - Fern zrobiła naiwnie zdziwioną minę. - Zdumiewasz mnie.

Roześmiały się i poszły na górę.

Pół godziny później Fern leżała w łóżku z otwartymi oczami, rozmyślając o radach Cressy. Zostawić Nicka... Gdzieś w głębi duszy ogarnęła ją panika i jednocześnie głębokie pragnienie, by odzyskać wolność. Dlaczego nigdy sama za nią nie zatęskniła? Dlaczego ktoś inny musiał otworzyć jej oczy? Dlaczego nie zrozumiała, że zachowanie Nicka nie jest jej winą?

Zaraz, zaraz. Cressy nie zna jednak całej prawdy. Cressy nie wie, że nie tylko Nick złamał przysięgę małżeńską. Ale rzeczywiście mnie niszczył, pomyślała Fern, i dlatego nie mogę z nim być. Nasze małżeństwo jest skończone. Czy jednak znajdę w sobie dość siły, żeby powiedzieć o tym Nickowi?

# Na dobre i na złe

15

- Żle się czujesz? Gmerasz tym widelcem w makaronie, jakbyś nie znosiła włoskiej kuchni.

Zoe uśmiechnęła się słabo, słysząc żartobliwy ton przyjaciółki.

- Wiesz - odparła Zoe - ostatnio jestem jakoś nie w sosie. Właściwie od wszystkiego, co jem, robi mi się niedobrze, a czasem...

- Chyba mi nie chcesz powiedzieć, że jesteś w ciąży? - spytała Anna z uśmiechem.

W ciąży? Zoe spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie, ależ skąd! To po prostu skutki tego zatrucia, jakie miałam w zeszłym tygodniu. A poza tym naprawdę podle się czuję. Szef ciągle się Bena o coś czepia. Ostatnio prawie go nie widuję, tyle ma pracy.

- Tak bywa w tej branży - powiedziała Anna ze współczuciem. - Gdybyście mieli własną restaurację...

Zoe nie odpowiedziała. Zazwyczaj tego rodzaju komentarz ze strony jej najlepszej przyjaciółki skłoniłby ją do natychmiastowego zwierzenia się z ich planów, lecz od czasu powrotu z Wiltshire była taka zmęczona, że nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu dla niczego. Nawet nie chciała się z Benem kochać, co wspomniał jej delikatnie poprzedniego wieczoru, gdy z irytacją

wyśliznęła się z jego ramion. Potem jednak ogarnął ją taki smutek i żal, że zapragnęła, by ją znowu objął i chronił.

Chronił przed czym? Przed niespodziewanymi przyplływami złych nastrojów?

W ciąży! Rozstawszy się z przyjaciółką, Zoe skrzywiła się lekko i poszła do domu. Anna ostatnio, to znaczy od sześciu miesięcy, kiedy urodziła dziecko, nie potrafiła o niczym innym myśleć. Zazwyczaj Zoe, która była matką chrzestną syna Anny, Williama, chętnie wysłuchiwała opowieści o jego dokonaniach, mimo że w samotności często zastanawiała się nad zmianą, jaka zaszła w wolnej, szalejącej dotychczas przyjaciółce. Była nawet wdzięczna losowi za to, że nie jest w sytuacji matki trzęsącej się nad niemowlęciem, dziś jednak słowa Anny wywołały w niej niepokój.

Może jest taka zirytowana przez te kłopoty z domem i fakt, że nie mogą ruszyć ani kroku dalej, dopóki nie otrzymają zezwolenia na rozbudowę. Zoe zawsze, niecierpliwiła się z powodu opóźnień.

W ciąży... Dobry żart, dzięki Bogu. Nigdy nie zapomniała o pigułce. Nagle poczuła zawroty głowy i gwałtowne mdłości. Na litość boską, tylko nie tu, na ulicy! Oparła się o najbliższą lampę, z irytacją zdając sobie sprawę ze zdziwionych spojrzeń przechodniów. Ich twarze stawały się na przemian to ostre, to rozmazane, to przyjazne, to wrogie.

- Co pani jest?

Zoe usiłowała skupić wzrok na twarzy starej kobiety, która trzymała zniszczoną torbę z zakupami i ubrana była skromnie, lecz czysto.

- Nic - skłamała Zoe. - Przez chwilę było mi trochę niedobrze.

Kobieta pokiwała ze współczuciem głową.

- Tak było z moim pierwszym. Ciągłe niedobrze, rano i w nocy. No, ale wtedy były inne czasy...

Resztkami sił Zoe nie dopuszczała do siebie jej słów, zbyt zajęta pokonywaniem narastającego poczucia strachu, które stawało się silniejsze niż mdłości. W ciąży! To niemożliwe. Wykluczone.

Dwie godziny później z niedowierzaniem patrzyła na wyniki domowego testu ciążowego, które potwierdziły jej obawy. Taka drobna, niewinna rzecz, a jednak zmieniła całe jej życie. Zniszczyła jej życie. A może źle zrobiła ten test? Tak, na pewno. Trzeba koniecznie kupić następny zestaw. Była już przy drzwiach, gdy usłyszała w zamku zgrzyt klucza.

To Ben. Właściwie dobrze, że wrócił. Bardzo potrzebowała jego miłości i wsparcia.

- Ben...

- Zoe, muszę jechać do Manchesteru. - Nie patrząc na nią, szedł do sypialni. - Mama dzwoniła do mnie do pracy. Sharon jest w szpitalu. Jakieś komplikacje z ciążą.

- Ale Ben, ja...

W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że Ben jest zły i wcale jej nie słucha.

- Tego mi tylko brakowało - ciągnął zirytowany. - Al- do się mnie nieustannie czepia. Podobno klienci narzekają na monotonność dań. A czyja to wina? Już od kilku miesięcy go proszę, żeby pozwolił mi coś zmienić, ale gdzie tam! A teraz ja jestem winien. Są wiadomości od Clive'a? - zmienił nagle temat i spojrzał na nią.

Teraz musi zauważyć, jaka jestem zdenerwowana, pomyślała Zoe. Musi zauważyć, że coś się stało i że potrzebu-

ję jego pomocy. Tymczasem zmarszczka na czole Bena pogłębiła się.

- Zoe, pytałem o Clive'a - powtórzył zniecierpliwiony.

Poczuła, jak tężeją jej mięśnie, a do oczu napływają łzy.

- Zoe, na litość boską, co ci jest? - spytał rozdrażniony.

- Nic - odpowiedziała i odwróciła się do niego plecami. Powinien był zadać jej to pytanie wcześniej, powinien był coś zauważyć.

- Słuchaj, muszę iść - usłyszała jego głos. - Zadzwonię, gdy tylko się czegoś dowiem. Może będę musiał na jakiś czas zostać... Boże, że to się musiało stać właśnie teraz!

Był nadal zdenerwowany, lecz Zoe już go nie słuchała. Bo czy rzeczywiście coś poważnego się stało? - pytała siebie, patrząc obojętnym wzrokiem, jak Ben wrzuca do torby podróżnej garderobę. Z nich dwojga to ona jest silna, to ona kieruje ich związkim, to ona wspiera Bena. Cóż więc dziwnego, że skoro po raz pierwszy ona potrzebuje pomocy, on niczego nie zauważa? Pytał tylko o Clive'a.

Swoją drogą, mogłoby go coś tknąć. Przecież ona jest w ciąży, i to dziecko jest jego! Ono przekreśli ich wszystkie plany. To dziecko nie powinno być w ogóle poczęte. Potrzebowała Bena, żeby dzielić z nim strach. Była tak przerażona i zaszokowana, że musiała komuś się zwierzyć, Ben tymczasem nie chciał o niczym wiedzieć.

Spakował już torbę, przez rękę przerzucił płaszcz i podszedł do niej, by się pożegnać. Odwróciła głowę, żeby nie pocałował jej w usta.

- Tego nam tylko brakuje - mruknął, cmoknąwszy ją w policzek. - Sharon i tego jej dziecka...

Zoe poczuła nieprzyjemny ucisk w sercu. Nagle uświa-

domiła sobie, że Ben nie odgadł, co się z nią dzieje, ponieważ podświadomie nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że mogą mieć jakiś problem. Po jego wyjściu długo stała na środku malutkiego saloniku i patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem. W końcu otrząsnęła się i wzruszyła ramionami. O co jej właściwie chodzi? Wiedziała, że Ben nie chce dziecka; ona go także nie chciała. Rozmawiali o tym wielokrotnie i wiedzieli, co zamierzają osiągnąć w życiu. Łączyła ich radość wspólnego planowania przyszłości.

Zoe przypomniała sobie, jak bardzo współczuła Annie, gdy ta wyznała jej, że spodziewa się dziecka i jak to obie twierdziły zgodnie, że kobieta ma prawo zdecydować, czy chce utrzymać przypadkową ciążę. Zoe nie miała nigdy wątpliwości, że jeśli znajdzie się w takiej sytuacji, podejmie jedyną logiczną i właściwą decyzję. Czy więc jest sens rozmawiać o tym z Benem? Znała jego poglądy i wie, co by jej radził.

Zawsze była dumna ze swojej siły woli, podejmowania samodzielnie decyzji i obstawania przy nich. Była nowoczesną, niezależną kobietą, która nie musi polegać na mężczyźnie. Oczywiście, zawsze uważała się za silniejszą od Bena, teraz jednak poczuła chłód i dotkliwą samotność.

A więc jednak. W klinice jej diagnoza została potwierdzona. Zoe była już opanowana i spokojnie analizowała sytuację. Wszystko właściwie było jasne: jest w ciąży i tego dziecka nie chce ani ona, ani Ben. Jakoś nie odnajdywała w sobie instynktu macierzyńskiego. Na widok niemowląt w wózkach uśmiechała się jedynie z wyrozumiałością, zadowolona, że to nie jej kłopot.

Może to i dobrze, że Ben był zajęty i niczego nie zauważył. Ona na szczęście w końcu się pozbierała i zaczęła

działać rozsądnie. Czy gdyby się wypłakała na ramieniu Bena, cokolwiek by to dało? Czy on może zrobić coś takiego, czego ona nie jest w stanie? To jej decyzja, jej ciało. Jej dziecko?

Wstała, zacisnęła mocno dłonie i odepchnęła od siebie tę myśl. Im szybciej będzie po wszystkim, tym lepiej. Nie ma potrzeby wciągać w to Bena, on ma dosyć zmartwień. Pamiętała jego zmęczoną twarz i zdumienie wywołane jej zachowaniem. Z poczuciem winy pomyślała, że nie spytała, co właściwie stało się z Sharon. Czy zachorowała, czy może coś nie tak z dzieckiem...

Zadzwoił telefon i Zoe szybko sięgnęła po słuchawkę. Ucieszyła się, gdy usłyszała głos Bena.

- Co z Sharon? - spytała natychmiast, chcąc nadrobić swój poprzedni brak zainteresowania i upewnić go, że świetnie sobie bez niego radzi.

- W tej chwili dobrze. Zatrzymano ją na obserwacji. - Ben mówił zmęczonym głosem. - Mama trochę źle się czuje. Chyba się pokłóciły i mama czuje się winna, choć lekarz twierdzi, że problem Sharon nie ma żadnego związku z kłótnią. Zostanę na noc, Zoe. Czy mogłabyś zadzwonić do restauracji?

- Oczywiście - zapewniła go. - Nie było jeszcze wiadomości od Clive'a, ale wkrótce coś na pewno przyjdzie.

- Mam nadzieję. - Podchwyciła w jego głosie nutę pesymizmu. - Coś mi się wydaje, że mogę stracić pracę. Odnoszę wrażenie, że Aldo coś podejrzewa.

- Nie wyrzuci cię - oświadczyła Zoe. - A gdyby nawet, to przez kilka tygodni możemy żyć z moich pieniędzy.

Ben prychnął z oburzeniem i na chwilę odsunęła słuchawkę od ucha. Niektóre rzeczy są tak głęboko zako-

dowane w psychice człowieka, że nie sposób ich zmienić; Ben po prostu nie wyobrażał sobie, by utrzymywać go mogła kobieta.

Dziesięć minut później znowu poczuła mdłości. Kiedy wyszła z łazienki, oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Oczywiście, jej decyzja jest właściwa. Oczywiście, tak naprawdę to nie ma wyboru, zwłaszcza że Benowi grozi utrata pracy i będą musieli żyć z jej dochodów. Nie myślała z czułością o dziecku, o dziecku właściwie w ogóle nie myślała, niemniej zdumiona była, że z oczu płyną jej łzy i że gdzieś w głębi duszy narasta ból.

Gdyby był tutaj Ben, nie czułaby się tak źle, ale przy nim nie rozczulałaby się nad sobą. Skoncentrowałaby swoje wysiłki na tym, by nie odgadł, co się stało. Ale Bena nie ma. Ben jest w Manchesterze. Ben pomaga swej ciężarnej, bezradnej siostrze.

Pomyślała, że w tej chwili potrzebuje towarzystwa. Rano zadzwoni do kliniki i umówi się na wizytę, a teraz... Teraz pojedzie do matki i zajmie myśli innymi sprawami.

Widok samochodu ojca pod domem rodziców natychmiast poprawił jej humor. Zamiast jak zwykle zapukać, postanowiła, do czego często zachęcała ją matka, skorzystać z klucza i zrobić im niespodziankę. Uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili, kiedy dowiedziała się o swojej ciąży. Kiedy jednak otworzyła drzwi, uśmiech zamarł jej na ustach. Rodzice nie usłyszeli jej wejścia, bo się kłócili. Zoe stała w holu jak wryta. Przecież jej rodzice nigdy się nie kłócili!

Poprzez uchylone drzwi kuchni dobiegł ją gorzki głos matki:



- Czy ty nie rozumiesz? Ja chcę pracować, a nie siedzieć tutaj i czekać na ciebie. Ostatnio zresztą rzadko tu bywasz.

Zoe usłyszała zgrzyt krzesła przesuwanego po kafelkowanej podłodze i dziwnie ostry głos ojca:

- Ty i praca? Nie rozśmieszaj mnie. Przecież nie masz żadnych kwalifikacji.

- A czyja to wina? Kto zawsze twierdził, że jestem tu potrzebna? Teraz narzekasz, że jestem zbyt od ciebie zależna, że nie masz czasu prowadzić interesów i zabawiać mnie, ale to przecież ty niemal siłą trzymałeś mnie kiedyś w domu. W domu... - Matka roześmiała się cierpko. - To miejsce przestało być domem, odkąd Zoe się wyprowadziła. Oboje wiemy, że tylko ona nas łączyła. Oczywiście robiłam, co mogłam, żebyśmy się wszystkim wydawali szczęśliwi.

- Przecież byliśmy szczęśliwi. Jesteśmy...

- Może ty, ale ja nie. Potrzebuję w życiu czegoś więcej niż męża, który ciągle narzeka, że jest zbyt zmęczony i zapracowany, żeby spędzać czas ze mną. Który jest zbyt zmęczony, żeby się ze mną kochać, który nie mówi mi prawdy, dokąd wyjeżdża i z kim...

Zoe zeszywniała słysząc, jak ojciec uderza dłonią o stół i protestuje:

- Przecież ci mówiłem, że to była pomyłka. Byłem tam, tyle że zmieniły się recepcjonistki...

- Żona zawsze dowiaduje się o wszystkim ostatnia, prawda? Klasyczna sytuacja, romans...

- Nie mam romansu!

- To nie ma znaczenia, przynajmniej jeśli chodzi o moje plany. Idę na ten kurs. Chcę mieć uczucie, że jestem dla kogoś coś warta, nawet jeśli tym kimś nie jesteś już ty.

Zoe odwróciła się, na palcach podeszła do drzwi i ci-chutko wyszła z domu. Jej rodzice się kłóca! Nie miała pojęcia, że w ich małżeństwie są mroczne sekrety. Przeciwnie: zawsze żartobliwie im wytykała, że są tacy sobie oddani, że jedno by za drugie poszło w ogień... Drżała, kiedy wsiadła do samochodu i zapalała silnik.

W drodze do domu napięcie rozsadzało jej czaszkę, strach zaś powoli zmieniał się w furię. Rodzice... Ben... Ilekroć jej potrzebowali, ona zawsze była gotowa pomóc, ale kiedy ona potrzebuje pomocy, oni mają na głowie inne sprawy.

Zoe nie mogła zrozumieć, dlaczego tak bardzo się boi i dlaczego jest taka zła; dlaczego jest rozdarta między spokojną i logiczną świadomością, że nie ma sensu dzielić się z nikim swymi problemami, a przerażającym i nielogicznym poczuciem krzywdy i gniewu, że najbliżsi jej ludzie nie zauważają jej problemu.

Ale czy Ben lub jej rodzice mają dar czytania w jej myślach, intuicyjnego odgadywania, co się stało? Nonsens. No więc dlaczego jest taka zła? Dlatego, że rodzice się pokłócili, czy dlatego, że Ben wyjechał do rodziny, podczas gdy powinien zostać z nią? Ale Ben przecież nie wiedział, że go potrzebowała. A właściwie, do czego? Nie wydarzyło się w końcu nic dramatycznego. Należy po prostu naprawić błąd, który po pierwsze nie powinien być nigdy zostać popełniony. Przecież ta ciąża nie ma dla niej żadnego znaczenia...

A jednak...

A jednak co? Miota nią złość i dręczy ją żal, ponieważ nikt nie wie o jej poświęceniu, o tym, że ma zamiar coś zniszczyć... dla dobra Bena, w imię spełnienia ich planów.

Zaraz, zaraz, czy to ona się poświęca, czy poświęcane jest może dziecko? Nie, nie, co za myśl. Dosyć tego. Jutro rano zadzwoni do kliniki i być może jeszcze przed powrotem Bena wszystko wróci do normy.

Potem trzeba będzie wykrzesać z siebie wszystkie siły, żeby tchnąć w Bena optymizm, którego mu znowu brakuje. Właściwie była zadowolona z tego, że Ben jest w pewien sposób od niej zależny. Nie mogłaby poświęcić mu tyle czasu, jemu ani interesom, gdyby urodziła dziecko.

To jest jednak niesprawiedliwe, pomyślała, wchodząc do mieszkania. Dlaczego to właśnie jej przydarzają się takie komplikacje? Dlaczego życie zrobiło jej taką niespodziankę, dlaczego poddaje ją takiemu testowi? Dlaczego wybór padł właśnie na nią?

## Na dobre i na złe

16

- Wychodzę, Nell.

Eleanor przystanąła na schodach i patrzyła na Marcusa znikającego za drzwiami. Czy nie mógł poczekać, aż zjedzie na dół, i pożegnać się z nią serdeczniej? Weszła do kuchni i zaczęła sprzątać po śniadaniu. Nadal między nią a mężem panowało napięcie, jakie pojawiło się po owej pamiętnej awanturze z Vanessą.

Pasierbica zarzuciła jej, że chce się przeprowadzić, bo to nie jest jej dom. Może jest w tym trochę prawdy? Może nie czuje się w pełni panią tego domu? Eleanor zmarszczyła czoło. Nie podobały się jej takie myśli, wywoływały nieprzyjemne uczucia. Jakim cudem Vanessa potrafiła wpakować ją w pułapkę niepewności i obaw, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała? Czasami odnosiła nawet wrażenie, że Vanessa próbuje poróżnić ją z Marcusem. Eleanor zachodziła w głowę, dlaczego. Przecież poznała Marcusa już po rozwodzie i jego córka nie mogła jej winić za rozpad małżeństwa ojca.

Właściwie dlaczego tyle o niej myśleć? - zastanowiła się w duchu. Powinna raczej skoncentrować się na swoim związku z Marcusem. W ciągu ostatniego tygodnia traktowali się z ostrożną, niemal wrogą neutralnością, z czego jeszcze miesiąc temu oboje by się śmiali.

Lecz to nie kłótnia między dziećmi była źródłem napięć, przynajmniej jeśli chodzi o nią. Ją bolało wyraźne przekonanie Marcusa, że to ona jest winna tej niezdrowej sytuacji i nie potrafi jej uleczyć. A dlaczego niby ma ponosić odpowiedzialność za rozwiązanie problemu? Czy on nie rozumie, że jego nastawienie wszystko pogarsza? Przecież spróbowała coś zrobić i to naprawdę nie jej wina, że Vanessa tak ostro zaprotestowała przeciwko przeprowadzce.

- Ostrzegąłem cię przed tym - rzucił jej szorstko Marcus, gdy Eleanor powiedziała mu, że Vanessa usiłuje zbuntować chłopców przeciwko zmianie domu.

- Ale my to przecież robimy dla nich - zaprotestowała wtedy. - To dla ich dobra, i oczywiście naszego. Vanessa ciągle narzeka, że chłopcy korzystają z jej pokoju, a w nowym domu...

- Nie jestem w stanie zmienić jej nastawienia, podobnie jak ty - oznajmił Marcus zniecierpliwionym tonem.

Dlaczego teraz każde z nich ciągnęło w swoją stronę, podczas gdy powinni stać mocno przy sobie? Przecież nie tylko przez Vanesę? Kiedyś szybko się z sobą godzili, ostatnio jednak bardzo trudna osiągali kompromis. A może ma cichy żal do Marcusa o to, że zamiast pomóc jej w zlikwidowaniu antagonizmu między dziećmi, umywa po prostu ręce? Kiedy wyznała mu swoje zaniepokojenie obawami Toma, Marcus doradził jej rozmowę na ten temat z Allannem i Karen,

- Przecież to bez sensu winić Vanesę za to, że Tom nie czuje się bezpieczny - zakończył logicznie.

Logika to jedno, ale gdzie się podziały troska i miłość, które powinny złagodzić jego osąd? Słuchając go odniosła nagle wrażenie, że to nie tylko jej synowie, lecz także ona

zaczyna mu sprawiać kłopoty i zakłócać spokój. Po raz pierwszy przez myśl przemknęło jej porażające pytanie, czy Marcus naprawdę ją kocha. Wydawało się, że kłótnia między dziećmi wydobyła na jaw słabe punkty ich małżeństwa.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy skończyła układanie naczyń w zmywarce. Podniosła słuchawkę i ze zdumieniem usłyszała głos byłej teściowej, z którą pozostała w dobrych stosunkach.

- Dzwonię w sprawie chłopców - powiedziała Mary.  
- Pragnę się upewnić, czy przyjadą do nas na ferie. A poza tym chciałam z tobą trochę pogadać... Wiesz, tak jakoś mi się wydaje, że ostatnim razem Tom był milczący i zamknięty w sobie. Jak myślisz, co się mogło stać?

- Zadzwoń do Mary i Jima, żeby porozmawiać o uczuciach Toma - doradził jej wcześniej Marcus, ale ponieważ czuła się urażona, zlekceważyła jego słowa.

Teraz wyjaśniła szybko Mary, że z powodu dziecka z drugiego małżeństwa ich ojca Tom i Gavin uważają, że nie są już dla dziadków ważni.

- Biedny Tom - szepnęła Mary. - Myśleliśmy, że on i Gavin ucieszą się z większego pokoju. Powinnam była jednak pomyśleć. Przykro mi, że okazałam taki brak wrażliwości. Dobrze, że przynajmniej ty odkryłaś przyczynę jego zachowania. A gdybyśmy tak z Jimem przyjechali po nich do Londynu? Jak myślisz, może by się trochę lepiej poczuli?

Kiedy omówiła z Mary szczegóły wyjazdu chłopców, zadzwoniła do Karen. Nigdy nie były rywalkami i nie żywiły do siebie urazy. Zanim Karen urodziła córkę, miała znakomite stosunki z synami męża i nadal o nich dbała.

Zachęcona propozycją Mary, Eleanor wyjaśniła Karen powód swego telefonu.

- Rzeczywiście, Tom był ostatnio bardzo milczący - potwierdziła Karen. - Nawet się zastanawiałam, czy to nie z powodu mojej córeczki. Mam młodszego brata przyrodniego, więc wiem, jak to jest, ale Tom był taki czuły dla małej, że pomyślałam, że pewnie się mylę.

- On nie ma pretensji o przyrodnią siostrę - powiedziała Eleanor. - Raczej boi się tego, że przestanie być kochany. Próbowałam mu wyjaśnić, że kiedy w rodzinie pojawia się nowe dziecko, przez pewien czas uwaga wszystkich skoncentrowana jest na nim. Problem moim zdaniem polega na tym, że Tom nie ma swojego miejsca. Jego pokój tutaj jest właściwie pokojem Vanessy...

- A my umieściliśmy małą w pokoju, który kiedyś należał do niego. O Boże! Dobrze, że mi o tym mówisz. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to skłócenie dzieci z ojcem. To byłoby straszne.

Eleanor odłożyła słuchawkę i znowu zadała sobie pytanie, co się z nią dzieje. Uważała się za dojrzałą, odpowiedzialną kobietę, a jednak nie stosowała się do rozsądnych, jak się okazało, rad Marcusa, zupełnie jak dziecko, które chce ukarać dorosłego za jakieś urojone przewiny.

Zirytowana robiła porządki w kuchni, starając się jakoś pogodzić z odkryciem owej dziecinnej cechy swej osobowości; złościły ją własne reakcje, a jednocześnie trochę się ich bała.

- Nell, dlaczego tu siedzisz?

Stężała, gdy Marcus wszedł do sypialni.

- Powiedziałeś, że masz sporo pracy i że byłbyś bardzo wdzięczny, gdyby ci nie przeszkadzano.

Siedziała na łóżku i rozczesywała włosy, teraz jednak opuściła rękę i uważnie przyjrzała się mężowi. Czy nie widzi, jaka jest zła i spięta? Chyba jednak coś do niego dotarło.

- Chciałem tylko, żeby chłopcy ściszyli trochę telewizor. Zgodzisz się chyba, że nastawiają go zbyt głośno.

- Nie na tyle jednak, żeby nie można było przy tym rozmawiać, czego się nie da powiedzieć o radiu Vanessy - odparowała złośliwie i zauważyła, jak na twarzy Marcusa pojawia się grymas irytacji.

- Posłuchaj, Nell. Wiem, że nie jest ci łatwo, kiedy Vanessa tu przyjeżdża, ale co ja mam zrobić? Ona przeżywa teraz trudny okres.

- I z tego powodu wszyscy musimy cierpieć? Nasze uczucia i potrzeby się nie liczą, Marcus? Moje i chłopców? Wykazałam wobec niej wiele cierpliwości i dobrej woli. Czy myślisz, że ja pozwoliłabym Tomowi czy Gavinowi odzywać się do ciebie tak, jak ona odezwała się do mnie w weekend? Czy sądzisz, że pozwoliłabym im tobą manipulować, grać na twoich uczuciach, ingerować w nasz związek?

- Ale czy mimo wszystko tego nie robisz? - spytał Marcus spokojnie. - Pomyśl, jak się teraz zachowujesz, i to tylko dlatego, że poprosiłem ich o ściszenie telewizora. Nell, przecież powiedziałem ci jeszcze przed ślubem, że nie jestem typem dobrego tatusia.

- To co ja mam zrobić? Przestać zajmować się swoimi dziećmi? Zostawić je własnemu losowi? Nie widzisz, jaki wpływ Vanessa wywiera na Toma?

- Vanessa czy ty?

- Co???



- Pomyśl tylko, Nell. Tom jest wrażliwym dzieckiem, może aż nadto. Czy nie uważasz, że wykorzystuje twoje ambiwalentne uczucia wobec Vanessy? Dodaj do tego fakt, że widzi we mnie rywala, który odbiera matce część czasu i uczuć przeznaczonych dla niego, a zrozumiesz, dlaczego tak bardzo cierpi.

- Tom nie cierpi - zaprzeczyła. - On i Gavin byli szczęśliwi, kiedy powiedziałam im, że bierzemy ślub.

- Wtedy, kiedy im to mówiłaś, zapewne byli szczęśliwi. Posłuchaj, nie chcę powiedzieć, że mnie nie lubią, ale niewątpliwie są wobec mnie pełni rezerwy, co jest typowe dla dzieci. Ty zaś czasami patrzysz na sprawy rodziny przez różowe okulary. Rozumiem cię, ale należałoby też pogodzić się z tym, że wszyscy czasami żywimy negatywne uczucia wobec ludzi czy sytuacji. Jeśli więc nie dajesz Tomowi i Gavinowi szansy, żeby zrozumieli, że od czasu do czasu mają prawo mnie nie lubić i chcieć cię mieć wyłącznie dla siebie, uczysz ich tłumienia uczuć, do których powinni się otwarcie przyznawać.

- Czyli mają zachowywać się jak Vanessa, która otwarcie przyznaje, że mnie nie lubi. Więc twoim zdaniem powinnam zachęcać chłopców, żeby brali przykład z twojej córki? - Eleanor trzęsła się ze złości i przestała panować nad sobą. - A skąd nagle zrobił się z ciebie taki ekspert w sprawach dzieci?

Wstała z łóżka, zaczęła gwałtownie szciotkować włosy, a gdy przy którymś szarpnięciu się splątały, w jej oczach pojawiły się łzy bólu i wściekłości.

- Vanessa ma rację, to nie jest mój dom. Ten dom jest twój i nic dziwnego, że chłopcy czują, że ich tu nie chcesz...

- To nieprawda.

Zesztywniała, gdy Marcus chwycił ją za ramię.

- Nell, wiem, jak ci teraz ciężko, ale czy nie potrafisz zrozumieć, że ja także żyję w napięciu? W tej chwili brakuje mi tylko...

- Mi? - przerwała mu ze złością. - A może i mnie czegoś brakuje? Tomowi i Gavinowi też. Oni nie są szczęśliwi, Marcus. Myślą, że ich nie kochamy, że ja ich nie Kocham. - Wyszarpnęła z jego ręki ramię, cisnęła szczotkę na łóżko i zawołała histerycznie: - Nie mogę dalej tak żyć! Nie...

Marcus chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Serce biło jej dwa razy szybciej niż zwykle, czuła, jak podnosi się poziom adrenaliny. Nagle wyostrzyły się wszystkie zmysły. Parzył ją gorący oddech Marcusa, ujrzała kropelki potu w wycięciu koszuli, pałające gniewem oczy, i poczuła się dziwnie zadowolona, że doprowadziła go do takiego stanu, w jakim sama się od pewnego czasu znajdowała.

- Puść mnie! - syknęła, szarpiąc się z nim, lecz nagle poczuła, jak opuszcza ją gniew i twarz zalewają łzy.

- Nell - szepnął Marcus z niepokojem w głosie. - Nell, co ci naprawdę jest?

Delikatnie starł z jej twarzy łzy i czule pocałował ją w policzek. Bezwiednie zarzuciła mu ręce na szyję i poszukała ustami jego warg. Ogarnęło ich podniecenie, którego nagłość zaskoczyła oboje. Gdzieś w głębi duszy Eleanor skonstatowała, że nigdy jeszcze ich pożądanie nie zrodziło się w gniewie, lecz nagromadziło się w niej tyle emocji szukających ujścia, że postanowiła nie słuchać ostrzegawczych głosów. Obejmowała i całowała Marcusa zaborczo, po raz pierwszy domagając się egoistycznie spełnienia własnych pragnień.

Szybko zrzucili z siebie ubrania, upadli na łóżko i spleli się w gwałtownym uścisku. Marcus, zazwyczaj delikatny, dziś całował ją ze zwierzęcą niemal brutalnością. Rano będzie posiniaczona i zapewne zawstydzona nieco ich zachowaniem, teraz jednak pragnęła tylko seksu, bez żadnych wstępnych miłosnych gier. Żadne nie odezwało się słowem. Eleanor poczuła na ustach krew, lecz nie wiedziała, czy to jej, czy Marcusa. Trawiło ją jedynie atawistyczne pragnienie, by wziął ją niemal siłą, w ten sposób przynosząc obojgu ukojenie.

To nie było w jej stylu - tak gwałtownie i fizycznie kogoś pragnąć, teraz jednak, pod wpływem paroksyzmu gniewu, jej ciało ogarnęły tak silne konwulsje, że połączenie z Marcusem dawało w równym stopniu rozkosz jak ból. W chwilę później czuła jego drżenie, gdy przytuleni czekali na uspokojenie oddechu.

Czy ten szalony akt cokolwiek jednak rozwiązał? W świadomości Eleanor zrodziła się myśl, że skłaniając Marcusa do kochania jej w taki sposób, stara się być może udowodnić sobie, że jest ważniejsza dla niego niż wszyscy... Wszyscy, czy tylko Vanessa? Zrobiło jej się zimno i zadygotała.

- Powiedz, no powiedz, co jest nie tak - poprosił cicho.

Odwróciła się twarzą do niego, chcąc mu wyjaśnić, jak się czuje, odkryła jednak, że gdzieś w głębi duszy jest nadal na niego zła, zła dlatego, że czuje potrzebę usprawiedliwienia swych uczuć i zachowań.

- Zapomnij na chwilę o naszym potomstwie...

Poczuła się jeszcze bardziej zirytowana, ponieważ odgadł jej myśli.

- To nie takie proste, Marcus. Vanessa robi, co może, żeby nas rozdzielić, żeby...

- Vanessa? Ale jak... ?

- To twoje dziecko - powiedziała z naciskiem. - Ja nie mogę tu nic...

- Moje dziecko, moje stworzenie, moja wina, czy to chcesz mi powiedzieć? - spytał spokojnie. - Vanessa, jak każdy człowiek, jest indywidualnością, Nell. Fakt - po części jej osobowość, czy jej przewinienia, jak wolisz, są uwarunkowane genetycznie, odziedziczone, co jest darem niebios lub przekleństwem, zależy od punktu widzenia. Niemniej jest człowiekiem, a nie maszyną, którą mógłbym zaprogramować i kontrolować. Nie podoba mi się jej zachowanie, ale nie potrafię wymusić na niej uległości. Możemy jedynie mieć nadzieję, że z dojrzałością przyjdzie tolerancja. Tymczasem - westchnął z rezygnacją - można jedynie starać się jej nie prowokować. Czy nie mogłaś dopilnować, żeby plakaty Toma zostały przeniesione do innego pokoju?

- Tak, może i mogłabym - warknęła, czując znowu przypływ gniewu - gdybyś to ty pojechał po nią na dworzec. Gdybyś nie zmienił planów, miałabym czas na przygotowanie pokojów, miałabym więcej czasu dla agentki, miałabym czas na skończenie tłumaczenia, nad którym siedzę już od tygodnia...

Marcus uniósł lekko brwi, spojrzenie jego szarych oczu nieco stwardniało.

- I to wszystko w ciągu niecałej godziny! Nell, jesteś niezwykła. Musisz mi powiedzieć, jak to się robi.

Później jakoś się pogodzili, przynajmniej pozornie, bo w głębi serca Eleanor nadal czuła żal. Dziś wieczorem może z nim porozmawiam, pomyślała. Może uda się skło-

nić chłopców do wczesnego zjedzenia kolacji i oglądania telewizji w swoim pokoju - ona wtedy mogłaby zjeść kolację sam na sam z Marcusem. Przygotowałaby jego ulubioną potrawę, otworzyła butelkę wina, umyła włosy, włożyła na siebie coś wyjątkowego... na przykład tę czerwoną dżersejową suknię, którą kupił jej u Jeana Muira...

Poczuła się radośniej i zaczęła nucić pod nosem. Jeśli ma się zabrać do gotowania, to lepiej sprawdzić zawartość lodówki, no i może czymś przekupić chłopców. Hamburgery od czasu do czasu to przecież nie koniec świata.

- Co to? - spytał Tom podejrzliwie, wachając sos w garnku.

- To nie dla ciebie - uspokoiła go. - A przy okazji, dzwoniła dziś babcia. Dziadkowie mają po was przyjechać w sobotę rano i zabrać was na ferie, więc przygotujcie się. Będziecie u nich chyba sami. Ojciec pewnie na chwilę wpadnie, ale Karen i dziecko... - Urwała speszona, widząc spojrzenie, jakie chłopcy wymienili, po czym spytała: - O co wam chodzi?

- O nic - powiedział Tom.

- No, nam już nie przeszkadza dziecko - dodał Gavin poważnie. - Marcus nam wytłumaczył, że tatuś nie przestanie nas kochać dlatego, że nas tam cały czas nie ma, a dziecko jest, no i że ludzie zawsze robią wiele hałasu o małe dzieci, ale to wcale nie znaczy, że je bardziej kochają.

Eleanor odłożyła drewnianą łyżkę, którą mieszała sos.

- Kiedy Marcus ci to powiedział, Gavin? - spytała złowieszczym tonem. Jej słowem nie wspomniał, że rozmawiał z chłopcami. W gruncie rzeczy, kiedy straciła cierpliwość i oskarżyła go o to, że rozwiązanie wspólnych pro-

blemów zostawia jej, odniosła wrażenie, że jego zdaniem robi wiele hałasu o nic i że jej zdenerwowanie jedynie zaostrza sytuację.

- W niedzielę. Najpierw wytłumaczył nam, dlaczego Vanessa była zła i porwała plakaty Toma, i powiedział, że wie, że nam jest ciężko, kiedy ona tu przyjeżdża. Marcus mówi, że kiedy był mały, nie miał brata ani siostry i matka nigdy nie pozwalała innym dzieciom go odwiedzać, bo narobią bałaganu. Był taki zły, że któregoś dnia specjalnie zniszczył jedną z ozdób babci.

- A z tobą też rozmawiał, Tom?

- I z Vanessą - odparł Tom. - A potem rozmawiał z nami wszystkimi. Powiedział, że teraz jesteśmy rodziną i że w rodzinie wolno czasem kogoś nie lubić, można się na kogoś wściec, ale to wcale nie znaczy, że zawsze będziemy się nie lubić i zawsze będziemy wściekli. Choć mi się nie wydaje, że będę kiedyś lubić Vanessę...

- No - przerwał mu Gavin podekscytowany. - I wtedy Tom powiedział, że za te plakaty znenawidził Vanessę na zawsze i Marcus powiedział, że ma do tego prawo, ale że powinien uważać, bo nienawiść może zmienić się w nawyk i zanim Tom się zorientuje, będzie już nienawidził wszystkich, nawet siebie. Marcus powiedział, że jeśli ktoś nienawidzi innych, to jest tak, jakby niósł ciężką paczkę, a im dłużej się ją niesie, tym staje się cięższa, aż w końcu nie można jej udźwignąć.

- A Vanessa powiedziała, że ma już dosyć ludzi, którzy mówią jej, co ma robić, i że nas też ma dosyć - relacjonował Tom.

- No, a potem ona zaczęła ryczeć - dodał z zachwytem Gavin - i powiedziała, że nikt jej tu nie chce, no i dobrze,

bo ona nie chce być z nami, i że żałuje, że się w ogóle urodziła, a potem poleciała na górę, zamknęła się w pokoju i nie chciała wyjść. Ale Marcus powiedział, że dziewczyny robią czasami takie rzeczy...

Dlaczego Marcus nie wspomniał jej ani słowem o tej rozmowie? Dlaczego utwierdzał ją w przekonaniu, że pozostaje obojętny wobec tego, co się dzieje, demonstrując jedynie zniecierpliwienie? A może to ona nie dała mu okazji, by zareagował inaczej? Marcus nie należy do ludzi, którzy uwielbiają kłótnie lub łzawe sceny.

Gdy się poznali, nie opowiadał jej o swoim dzieciństwie ani rodzicach - dopiero po jakimś czasie, i to niechętnie, powiedział parę słów o swoim rozdarciu między lojalnością wobec ojca z jednej strony, a z drugiej matki z babką, które nieustannie ojca poniżały.

- Nie pojmowałem, dlaczego się na to zgadzał. Dopiero później zrozumiałem, że odkrył, podobnie jak ja, że moja babka nade wszystko w życiu uwielbiała wszczynać kłótnie, że potyczki słowne sprawiały jej, zdaje się, perwersyjną rozkosz. Gdyby jej argumenty były logiczne, nawet ja bym ją zrozumiał, ale ponieważ zawsze były bezsensowne, musiała wygrać. Nic więc dziwnego, że ojciec się po prostu poddał i wybrał święty spokój.

- To musiało być dla ciebie bardzo przykre - stwierdziła wówczas Eleanor, wyczuwając, że nie powinna okazywać mu więcej współczucia, bo jego duma nie znosi takich uczuć.

- Na pewno było bardzo pouczające. Odkryłem wiele rzeczy dotyczących psychiki człowieka. Mężczyźni w takim samym stopniu jak kobiety są zdolni do stosowania emocjonalnego i słownego terroru. Pozostało mi po tym jedno: wstręt do awantur.

Teraz Eleanor posępnie zagryzła usta. Rozumiała niechęć Marcusa do scen, ale dlaczego on nie może pojąć, czemu ona jest tak zdenerwowana? Vanessa nie jest jej dzieckiem i z tego powodu nie może stosować wobec niej takich sankcji jak wobec synów. Może jednak, jako osoba dorosła, nie powinna sobie pozwalać na żadne wybuchy? Ale przecież ma tyle spraw na głowie, no i ten dom.

Dom... Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze w płuca. W tej chwili nic w jej życiu nie wydawało się proste. Ale kiedy się wreszcie przeprowadzą... Dziś wieczorem musi spytać Marcusa, dlaczego nie powiedział jej o rozmowie z dziećmi. Musi mu wyjaśnić, jaka się czuje słaba i przemęczona. Zacisnęła usta, gdy przypomniawszy sobie, że mąż podziwiał w niej właśnie spokój i dar radzenia sobie z przeciwnościami losu. On sam cenił skuteczność, spokój i porządek.

Jak wobec tego będzie się czuł, gdy usłyszy, że jego żona wpada ostatecznie w panikę, że życie wymyka się jej spod kontroli, że pochłania ją coraz większa fala obowiązków, na które brakuje jej czasu? Czasami odnosiła wrażenie, że ta fala pozbawia ją oddechu, zaciska na jej szyi pętlę i przyprawia o tak silną udrękę, że cisza i spokój emanujące z domu Broughtonów stają się jej potrzebne zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

O ósmej chłopcy byli już po kolacji i oglądali u siebie telewizję. Stół w jadalni był zastawiony srebrem i kryształami. Eleanor ułożyła włosy, umalowała twarz, a gdy weszła do garderoby po czerwoną suknię, uderzyła ją prowokująca mieszanka zapachów balsamów do ciała i perfum, bijąca od jej skóry. Uprzytomniła sobie, że jeszcze nie tak dawno temu dbała o siebie w ten sposób co wieczór, szykując się na spotkanie z Marcusem. Dziś jednak dawne pod-



niecenie i zachwyty wydawały się z lekka nierzeczywiste. Uśmiechnęła się do siebie ze smutkiem, wspominając tę dawną Eleanor i tego dawnego Marcusa.

Wpół do dziewiątej nie było go jeszcze w domu, zadzwoniła więc do kancelarii. Telefon dzwonił dosyć długo, zanim usłyszała szorstki głos męża. Czy to wspomnienie przeszłości sprawiło, że odczuła to samo co dawniej, na poły zapomniane, uczucie przyjemności i strachu zarazem?

- Spóźniasz się - powiedziała. - Myślałam, że o tej porze będziesz już w domu.

Zapadła chwila ciszy.

- Mamy spotkanie - powiedział w końcu. - Nell, przecież mówiłem ci o tym. Wrócę późno. Musimy omówić jeszcze jedną lub dwie rzeczy...

Eleanor wyczuła jego rozdrażnienie. Istotnie, wspominał coś o tym spotkaniu, ale pewnie była zajęta innymi rzeczami i natychmiast o tym zapomniała. Sądząc z tonu jego głosu, teraz najwyraźniej przeszkodziła mu w ważnym momencie. Otworzyła usta, by go przeprosić, gdy usłyszała wypowiedziane ponurym tonem słowa:

- Może gdybyś nie była tak zaprzątnięta innymi sprawami, słuchałabyś, co do ciebie mówię.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odłożył słuchawkę. Powoli zrobiła to samo. Nie, nie będzie płakać. To tylko nieporozumienie. Są dorośli, kochają się. Są dojrzały i rozumieją, że czasami coś się niepotrzebnego powie lub zrobi... Nie, nie będę płakać, powtórzyła i dłonią otarła z twarzy łzy.

# Na dobre i na złe

17

- Eleanor, to ty?

Zdrętwiała, słysząc dzwięczne, dziecięce tony głosu byłej żony Marcusa.

- Próbuję połączyć się z Marcusem od świtu, ale ciągle go nie ma. Podobno ma jakąś rozmowę z klientem. A wydawałoby się, że córka powinna być dla niego ważniejsza niż ktoś, kogo prawie nie zna...

Zręcząca dziewczynka.

- Logika jest pojęciem, którego Julia po prostu nie akceptuje - oświadczył jej kiedyś Marcus i nagle Eleanor zrozumiała, co miał na myśli.

- Czy coś się stało z Vanessą? - spytała niecierpliwie.  
- Zachorowała?

- Nie, nie. Chodzi po prostu o to, że muszę wyjechać do Los Angeles wcześniej, niż myślałam, to znaczy w tym tygodniu, no i w związku z tym Vanessa będzie musiała już teraz przenieść się do was. Chciałam prosić Marcusa, żeby przyjechał po nią w piątek wieczorem, bo ja wylatuję rano w sobotę. Nie mam czasu jej przywieźć, a nie może jechać pociągiem, bo skoro ma zostać u was kilka miesięcy, będzie musiała zabrać...

- Kilka miesięcy? - Eleanor zabrakło tchu.

- Marcus zgodził się wziąć ją na lato, a ponieważ wyjeżdżam parę tygodni wcześniej...

- A szkoła? - spytała Eleanor szorstko.

- Och, wyjaśniłam wszystko dyrektorce. Nauczyciele przygotowują jej zadania do wykonania w domu. Straci tylko kilka tygodni, a w tym są ferie i jeszcze wolne dni, kiedy starsze klasy przygotowują się do egzaminów. Aha, pojedzie z nią przyjaciółka, tylko na ten tydzień ferii. Przepraszam, Eleanor, ale muszę już kończyć. Przed wyjazdem mam do załatwienia tysiące spraw. Nie zapomnisz powiedzieć Marcusowi, żeby przyjechał po Vanesę, prawda?

- Nie wolno jej tego robić - mówiła później Eleanor, siedząc naprzeciwko Marcusa. - Nie możesz jej na to pozwolić. Wiem, że zgodziłeś się wziąć ją na wakacje, ale to już przesada...

- No, ale przynajmniej nie będzie chłopców.

- Tak, ale wiesz, co mogą pomyśleć? Że wypycha się ich z domu, żeby zrobili miejsce dla Vanessy i jej koleżanki. Tego już za wiele, Marcus. Mam straszne zaległości w pracy, a do tego jeszcze ten dom... W tym tygodniu musiałam tam jechać już dwa razy. Architekt martwi się, że mogą być problemy z przebudową kuchni, bo to niebezpieczne usuwać zbyt wiele wewnętrznych ścian, a poza tym chyba szambo przecieka. Mamy już początek lata i dalej stoimy w miejscu. - Zmęczonym gestem włożyła rękę we włosy i oparła głowę na łokciu. - Myślałam, że ten weekend będziemy mieli dla siebie.

- Serio? - Jego głos zabrzmiał sucho. - Nie widzę, żebyś znalazła dla nas czas. Czy miałaś jakieś wiadomości od Louise? Kiedy skończycie wasze sprawy?

- Dostałam potwierdzenie, że otrzymała mój list zawierający ustalenia z agentką. Powinna jeszcze podpisać kilka czeków. Ale przynajmniej dała mi już adres i telefon we Francji. Będę musiała do niej zadzwonić... - Eleanor skrzywiła się.

- Mam lepszy pomysł - powiedział. - Dlaczego nie skłónisz agentki i wszystkich innych do tego, żeby kontaktowali się bezpośrednio z Louise? Po co ci ten kłopot? Nie jesteś w stanie zrobić wszystkiego, Nell. Jeśli mnie posłuchasz, może będziemy mieć więcej czasu na inne rzeczy.

Inne rzeczy? Na przykład zajmowanie się jego córką?

- Masz rację - odparła, nie ujawniając swych myśli.  
- Gdybym potrafiła robić wszystko, chłopcy mieliby przynajmniej skarpetki do pary.

Dlaczego odniosła wrażenie, że jego komentarz jest krytyką, a nie przejawem troski?

- Co mi przypomina, że muszę ich spakować. Już widzę ten piątkowy wieczór, kiedy będzie ich czworo.

- Jeśli przyjazd Vanessy jest ci nie na rękę, powinnaś była uprzedzić o tym Julię - rzucił chłodno.

Na twarzy Eleanor pojawił się wyraz zdumienia.

- Marcus! Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Zwyczajnie. Trzeba było powiedzieć Julii, że Vanessa nie może przyjechać do nas w piątek i że Julia musi przełożyć swój wyjazd. Ale skoro się zgodziłaś, to teraz już nic nie można zrobić.

- Znalazłam się w niezręcznej sytuacji - broniła się.  
- Może gdyby mogła rozmawiać z tobą...

Eleanor gwałtownie urwała. Co oni robią? Ciągłe są napięci i zdenerwowani. I to wcale nie tylko z powodu niespodziewanej wizyty Vanessy. Eleanor czuła, że dystans

między nimi narasta, że Marcus coraz bardziej oddala się od dziesiątków irytujących problemów, które wyłaniają się w związku z planowaną przeprowadzką.

Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zostaną sami i spokojnie omówią wszystkie szczegóły. Może nawet zdoła przekonać Marcusa, by wziął wolny dzień i pojechał z nią do Wiltshire? A poza tym dlaczego uważa, że przyjazd Vanessy w piątek to jej wina? Co miała zrobić w obliczu nalegań Julii?

W efekcie musiała zadzwonić do teściów i poprosić, by zabrali chłopców dzień przed ustalonym terminem. Na szczęście nie mieli innych planów i zgodzili się. W czwartek - jedyny dzień, kiedy Marcus wracał do domu wcześniej - siedziała do późna w nocy nad tłumaczeniem, które obiecała klientowi na piątek, no a w piątek mogła już poświęcić czas na pakowanie walizek chłopców i przygotowywanie pokoju dla Vanessy.

Kiedy w piątek po południu zadzwonił architekt z prośbą o przyjazd do Wiltshire w przyszłym tygodniu, Eleanor przebiegła w myślach swe plany i zdecydowała, że może jechać, ale jedynie z Vanessą i jej koleżanką. A może to wcale nie jest taki zły pomysł? - pomyślała, odkładając słuchawkę. Jeśli Vanessa zobaczy dom, na pewno zmieni zdanie. Vanessa, synowie, no i w pewnym stopniu Marcus... dlaczego żadne z nich nie docenia tego, co ona próbuje osiągnąć?

Tego wieczoru, gdy pożegnała synów, powiedziała sobie, że to śmieszne czuć zazdrość na widok chłopców entuzjastycznie witających dziadków. Kiedy wcześniej wspomniała im o przyjeździe Vanessy, Tom wzruszył ramionami i oznajmił, że nic go to nie obchodzi.

- Dziadek chce zbudować nową altankę w ogrodzie i będziemy mu pomagali - oświadczył radośnie. - Fajnie, nie?

Marcus z dziewczętami przyjechał później, niż się spodziewała. Kiedy weszli we trójkę do holu i Eleanor ujrzała koleżankę pasierbicy, zdrętwiała. Dziewczyna była co najmniej dwa lata starsza od Vanessy, wyglądała na dojrzałą i wszystkowiedzącą. Jej rzęsy kapały od tuszu, policzki pokrywała gruba warstwa pudru, usta lśniły szkarłatem. Spojrzenie miała zanadto cyniczne jak na osobę w jej wieku, zaś krótka spódniczka i kusa, obcisła góra sprawiały wrażenie jakby specjalnie dobranych w celu szokowania otoczenia.

Dziewczyna zdawała się o tym wiedzieć. Obrzuciła Eleanor wyzywającym i wrogim spojrzeniem, co przeraziło ją jeszcze bardziej. Czy Julia naprawdę uważa, że ta pannica stanowi odpowiednie towarzystwo dla kogoś tak wrażliwego jak Vanessa?

Marcus, który wszedł do holu za dziewczętami, wyglądał na spiętego i rozdrażnionego. Gdy postawił na podłodze ich walizki, przyjaciółka Vanessy odwróciła się, podeszła do niego i z szerokim uśmiechem podziękowała.

- Chodź, Sasha, mój pokój jest tam - oznajmiła Vanessa, bez słowa mijając Eleanor. Jej koleżanka obrzuciła Marcusa następnym powłóczyстым spojrzeniem i posłusznie powędrowała na górę.

- Ani słowa - mruknął Marcus, gdy zamknęły się drzwi sypialni dziewcząt. - Pamiętaj, że to był twój pomysł, a nie mój.

Była zbyt wyczerpana, by się spierać i udowadniać mu, że jedyny błąd, jaki popełniła, to odebranie telefonu od Julii.

Weekend był koszmary. Skończył się tym, że gdy nie pozwolono jej pójść na dyskotekę z koleżanką, Vanessa zamknęła się w swoim pokoju i tak głośno nastawiła muzykę, że dom trząsł się w posadach. W końcu przyjaciółka zmieniła zdanie i postanowiła również zostać w domu. Zdawała się być całą sytuacją niezmiernie rozbawiona. Z jej komentarzy można było wnosić, że dopiero od niedawna chodzi do szkoły Vanessy i mieszka z przybranymi rodzicami.

- To przez tego nowego gościa mamy. Spodobałam mu się, no i oddała mnie do izby dziecka. Powiedziała, że nie można sobie ze mną poradzić. - Sasha wzruszyła obojętnie ramionami, a Eleanor zastanawiała się, co Julia wie o nowej koleżance swej córki.

W poniedziałek rano Eleanor zastanawiała się, jak wytrzyma do końca tygodnia. Połączenie ponurej buntowniczości Vanessy z agresywną seksualnością Sashy zaczynały mocno działać jej na nerwy. Gdy oświadczyła, że ma spotkanie z architektem w domu, który chce kupić, i musi zabrać je z sobą, Vanessa natychmiast się sprzeciwiła.

- Nie jesteśmy dziećmi - powiedziała wyniosłe. - Nie musisz tu siedzieć cały dzień i pilnować nas jak pies.

Sasha pochyliła się nad stołem i szepnęła coś do Vanessy, na co ta spłonęła rumieńcem i roześmiała się. Eleanor odniosła wrażenie, że zaczyna palić ją skóra. Marcus był na tyle przytomny, by wyjść z domu, zanim jeszcze dziewczęta wstaną.

- Nie jesteś moją matką - wyżywała się Vanessa. - Nie muszę robić tego, co mi każesz.

Przez moment Eleanor miała ochotę wrzasnąć, że nie musi też wysłuchiwać jej bezczelnych uwag, nie musi na-

wet znosić jej obecności, lecz znowu się powstrzymała i powiedziała spokojnie:

- Chciałabym, żebyś ze mną pojechała, Vanesso. Myślę, że z przyjemnością obejrzysz dom, a po drodze możemy w jakimś ładnym miejscu zjeść lunch.

- No, nie wiem. A ty co o tym myślisz, Sasha?

Eleanor znowu pohamowała złość, gdy dziewczyna pozwoli przesunęła gumę do żucia z jednej strony ust na drugą i wzruszywszy ramionami powiedziała:

- Mnie tam obojętne. A gdzie ten dom?

- W Wiltshire - oznajmiła Eleanor uprzejmie. - Na wsi, tuż za ślicznym miasteczkiem.

- Wieś... - Kościste ramiona znowu powędrowały w górę i opadły. - Za nic bym się nie przeprowadziła z takiego miejsca jak to na wieś. Tu jest cudownie, samo centrum Londynu. Wieś jest taka ordynarna.

- To tu? - spytała Vanessa z pogardą w głosie, rozglądając się po rynku.

- To jest Avondale, tak. - Eleanor starała się mówić spokojnie. - Możemy zjeść lunch w tutejszym pubie. Pochodzi z piętnastego wieku i...

- Podobnie jak ci ludzie - przerwała jej Sasha z chichotem, wskazując palcem dwie dziewczyny stojące po przeciwnej stronie placu. - Ale prościuchy, nie? Popatrz na ich ubranie.

- A dlaczego nie możemy zjeść w barze? - narzekała Vanessa, gdy Eleanor prowadziła je do sali restauracyjnej. - Tu jest tak duszno.

W barze tłoczyło się kilka grup mężczyzn i chłopców, lecz nawet gdyby było w nim puściej, Eleanor nie miałyby



ochoty jeść w takim hałaśliwym miejscu i wybrałyby ci-  
chę, pustą salę. Jadła już kiedyś lunch w tym pubie i kelner  
widocznie ją zapamiętał, bo uśmiechnął się nieśmiało. Był  
młody i trochę nerwowy, niemniej demonstrował bardzo  
dobre maniere - w przeciwieństwie do Vanessy i Sashy,  
które nieustannie coś do siebie szeptały i chichotały.

Gdyby Vanessa była jej córką, Eleanor nie pozwoliłaby  
jej na takie zachowanie, lecz wtedy Vanessa nie musiałaby  
jej ciągle przypominać, że dobra i mądra macocha nie pró-  
buje przejmować roli matki.

Przez cały posiłek Vanessa i Sasha nadal zachowywały  
się irytująco. Najwyraźniej bawiło je coś w głównej części  
baru, lecz Eleanor siedziała tyłem do bufetu i nic nie wi-  
działa. Gdy lunch się skończył, odetchnęła z ulgą. Dziew-  
częta poszły do szatni, a ona została zapłacić rachunek.  
Zanim kelner zdołał ustalić ostateczną kwotę - dziewczęta  
zmieniały zamówienie kilka razy - upłynęło dobre piętna-  
ście minut. Vanessa i Sasha nie wracały.

Eleanor skierowała się do szatni i stanęła jak wryta,  
widząc swą pasierbicę zatopioną w rozmowie z ubranym  
w skórę chłopakiem. Jej koleżanka stała obok i rozmawiała  
z dwoma innymi. Eleanor podeszła do nich, zmusiła się do  
uśmiechu i zwróciła do Vanessy:

- Jesteś gotowa? Musimy już jechać, architekt nie bę-  
dzie długo czekał.

Zauważyła szklanke w ręce Vanessy, ale ponieważ nie  
chciała prowokować kłótni, nie spytała o zawartość. Va-  
nessa była niepełnoletnia, podobnie jak przemądrzała Sa-  
sha. Kiedy dziewczęta ruszyły za nią bez słowa, odetchnęła  
z ulgą i postanowiła nic nie mówić na temat ich zachowa-  
nia, choć podejrzewała, że Marcus nie byłby taki powścią-

gliwy. W drodze do domu usiłowała uciszyć wyrzuty sumienia, które podpowiadały jej, że dla dobra Vanessy powinna ostrzec ją przed niebezpieczeństwami zawierania przypadkowych znajomości.

Architekt już czekał. Gdy weszły do środka, Vanessa natychmiast zaczęła wybrzydzać.

- Czy musimy być tu z wami? Nie możemy wyjść na dwór?

Wyczuwając zniecierpliwienie architekta, Eleanor skinęła głową.

Gdy dziewczęta wyszły, słuchała ekspertyzy specjalisty ze ściśniętym sercem.

- Więc pana zdaniem nie można przerobić tego pomieszczenia w nowoczesną kuchnię?

- Obawiam się, że nie. Za dużo jest tu nośnych ścian. Wiem, że pani bardzo zależy na tym domu, i rzeczywiście przyroda jest tu piękna, ale szczerze mówiąc... - Architekt zawiesił głos i spojrzał na nią w zadumie. - Nie jestem skrajnym pesymistą, ale na pani miejscu poszukałbym czegoś innego.

Eleanor podziękowała ze smutnym uśmiechem i odprowadziła go do samochodu. Jej marzenia o kupnie domu, o idealnym rodzinnym życiu, zaczynały powoli tracić sens. Kiedy zamknęła oczy, nie widziała już tak kojących obrazów jak dawniej. Zamknęła drzwi - klucze otrzymała wcześniej od agenta - i rozejrzała się, szukając Yanessy i jej koleżanki. Na pewno nie mogły odejść daleko. Podobnie jak ona, nie były odpowiednio ubrane na wędrowki po tak zapuszczonym ogrodzie.

Zawołała je, lecz odpowiedziało jej milczenie. Pomyślała trochę zaskoczona, że skoro ktoś z taką pogardą jak te

pannice wyraża się o wsi, powinien raczej oglądać dom, a nie wybierać się na wycieczkę po ogrodzie. Przywiozła tu Vanesę w nadziei, że kiedy zobaczy dom, przestanie się buntować przeciwko przeprowadzce. W wyobraźni prowadziła z nią rozmowy na temat wyboru pokoju, umeblowania, koloru kafelków w łazience, i spodziewała się, że Vanessa wreszcie wykaże trochę entuzjazmu. W obecności Sashy jednak było to chyba niemożliwe.

Jeszcze raz zawołała dziewczęta i westchnęła. Gdzież one się podziały? Z ponurą miną ruszyła alejką prowadzącą do muru otaczającego posiadłość, wzdłuż którego biegła alejka wokół ogrodu, łącząca dolinę irysową z sadzawką osłoniętą kepmi drzew.

Znała już tę alejkę z poprzedniej wizyty, kiedy to podziwiała jej niezwykle drobiazgowe rozplanowanie. Mimo zaniedbania można było zorientować się, jak to wszystko dawniej wyglądało: dywany kwiatów pod drzewami, miejsca do siedzenia, malutka altanka, a wszystko po to, by zatrzymać się i w zadumie odkrywać tajemnice ogrodu. Wtedy jednak była odpowiednio do takiego spaceru ubrana, lecz dziś tyle czasu strawiła na popędzaniu Vanessy i jej koleżanki, że zapomniała wrzucić do bagażnika sportowe buty.

Brnęła więc zarośniętą alejką w eleganckich pantoflach na wysokich obcasach, czując, jak gałązki jeżyn rozrywają jej cieniutkie pończochy. Pochyliła się, żeby zetrzeć z nogi krew. Kiedy się prostowała, otarła się policzkiem o jagody czarnego bzu, który pozostawił ciemną plamę na rękawie jej jasnej jedwabnej bluzki. Lubiła ją nosić, bo podobała się w niej Marcusowi... Nagle dobiegły ją głosy dziewcząt.

Zobaczyła ich, zanim oni spostrzegli ją. Eleanor ogarnę-

ła wściekłość. Co oni tu robią, przy jej ukochanej dolince irysowej? Na pewno musieli umówić się na spotkanie, bo przecież obecność chłopaków w skórzanych kurtkach wcale nie jest przypadkowa. Vanessa spojrzała na nią wrogo i wyzywająco, Sasha z pogardą i rozbawieniem, chłopcy zaś niepewnie. Poczuła, że robi jej się niedobrze. Córka Marcusa, za którą ona jest przecież odpowiedzialna!

- Vanesso - powiedziała ochryłym głosem - nie słyszałaś, jak cię wołałam? Co tu się dzieje?

Po twarzy Sashy przemknął ironiczny uśmiezek i Eleanor zawstydziła się banalności swoich słów. Jak jednak miała wytłumaczyć Vanessie, że się o nią boi i jest przestraszona nie tylko jej zachowaniem, lecz również tym, że sama niczego nie podejrzewała? A gdyby ich nie znalazła, gdyby ci chłopcy wykorzystali okazję? Co wtedy powiedziałaby Marcusowi?

Kątem oka dostrzegła dym z papierosa. Vanessa trzymała swego niezdarnie, w przeciwieństwie do Sashy, która zaciągnęła się właśnie z teatralną przyjemnością, wyraźnie czekając na komentarz Eleanor. Chłopcy, wcale nie tak agresywni i niebezpieczni, jak się obawiała, szepnęli coś do siebie i odeszli. Vanessa patrzyła na ich oddalające się sylwetki z przestraszeniem, lecz gdy odwróciła twarz w stronę macochy, na jej twarzy malowała się złość.

- Vanesso - zaczęła Eleanor spokojnie, lecz pasierbica gwałtownie przerwała:

- Nie będziesz mi rozkazywać. A poza tym nie zrobiłam nic złego.

- Ojciec będzie innego zdania, nie sądzisz? - Eleanor wymownie spojrzała na papierosa w jej dłoni.

- Och, na pewno nie możesz się doczekać, aż powiesz

o tym ojcu. Nienawidzę cię i żałuję, że się z tobą ożenił, ale ty mi nie możesz niczego zakazać. Powiedz ojcu, mnie to obojętne. A w ogóle, po co nas tu przywiozłaś? Nudne, wstretne miejsce.

Ciekawe, jak długo ona już pali, zastanawiała się Eleanor. Pewnie od niedawna. Czy wie, czym to grozi? Pewnie tak, przecież nie jest głupia. A jeśli chodzi o to drugie zagrożenie, tych chłopaków, którzy mogliby, gdyby nie ona...

- Czy zdajesz sobie sprawę, co mogło się stać? - spytała, nie potrafiąc ukryć swych obaw. - Ci chłopcy...

- Tylko rozmawialiśmy - ucięła Vanessa.

- Nie miałaś prawa umawiać się z nimi bez mojej zgody - powiedziała Eleanor twardo. - Nie jestem twoją matką, ale skoro znalazłaś się pod moją opieką, jestem za ciebie odpowiedzialna. Czy ty sobie wyobrażasz, jak bym się czuła, gdybym musiała powiedzieć ojcu...

- Jasne, dla ciebie tylko jedno jest ważne: co sobie tata pomyśli. Ja cię nic a nic nie obchodzę. Na pewno byłabyś zachwycona, gdybym zniknęła, gdyby mnie ktoś zamordował...

- Vanesso, jak możesz!

- Nie kłam - powiedziała Vanessa łagodnie i wyrzuciła papierosa. - A ojcu możesz mówić, co chcesz. Mnie to nic nie obchodzi.

Eleanor przymknęła powieki i nakazała sobie nie ciągnąć tej kłótni dalej, zwłaszcza w obecności Sashy. Swoją drogą ciekawe, co by zrobiła lub powiedziała, gdyby Vanessa była jej córką? A może w duchu uważała, że jej córka zachowywałaby się zupełnie inaczej? Przepuściła dziewczęta przodem i szła za nimi pogrążona w myślach.

W pewnej chwili potknęła się o wystający korzeń i usłyszała chichot Sashy, gdy na jej ubraniu pojawiło się następne rozdarcie.

Droga powrotna upłynęła w milczeniu, które Vanessa przerwała tylko raz:

- Pewnie od razu polecisz do ojca. Pamiętaj, że nie zrobiłam niczego złego, że tylko rozmawialiśmy... Ale to chyba prawda, że kobiety w średnim wieku z byle powodu wpadają w histerię.

- Słuchaj no, moja droga - zaczęła Eleanor zniecierpliwionym tonem, po czym machnęła ręką.

Innym razem pewnie by się roześmiała, dziś jednak czuła się zbyt wyczerpana i przestraszona tym, co mogło być się zdarzyć. Oczywiście, będzie jednak musiała powiedzieć o tym Marcusowi - nie po to, żeby Vanessę karać, lecz dla jej dobra. W tej chwili nie ma sensu jej wyjaśniać, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, nie mówiąc o tym, że dopuściła się oszustwa, umawiając się z chłopakami w tajemnicy.

Nastolatki uwielbiają sekrety, chichoty, szeptem prowadzone rozmowy, długie, poważne konwersacje o chłopcach i „tych rzeczach”. Przyzwolenie na ich sekrety, szanowanie ich prywatności i przymykanie oka na wiele rzeczy w okresie ich dojrzewania to jedno, lecz tolerowanie jawnego oszukiwania - to zupełnie inna sprawa.

Eleanor otworzyła drzwi i podniosła przesyłki, które listonosz wrzucił w czasie ich nieobecności. Dziewczęta natychmiast pognały na górę i nastawiły muzykę na cały regulator. Eleanor czuła, że bołą ją zęby i głowa. Zastanawiała się, kiedy sąsiedzi zaczną narzekać na hałas. Może właś-

nie to powinna była powiedzieć Vanessie: że jeśli się mieszka z dala od ludzi, nikt nie będzie narzekał na głośną muzykę!

Przejrzała pocztę. Na jednej z kopert widniał francuski znaczek. Podejrzewając, że w środku są podpisane przez Louise dokumenty, Eleanor rozerwała kopertę. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że list został wysłany przez Pierre'a Colberta, który informował ją, że ponieważ jej wspólniczka nie podała mu do dziś prywatnego numeru telefonu i faksu Eleanor, jest zmuszony napisać ten list.

Otóż Pierre Colbert chciał wiedzieć, czy Eleanor jest nadal zainteresowana wykonywaniem dla niego tłumaczeń. Skontaktował się z jej wspólniczką - która poinformowała go listownie o rozwiązaniu ich spółki - w nadziei uzyskania od niej prywatnego numeru telefonu Eleanor, ponieważ numer w biurze nie odpowiadał. Czytając list, Eleanor zmarszczyła czoło, ponieważ jednym z niewielu Obowiązków Louise było dopilnowanie, by wszystkie telefony i fakсы były przekazywane na domowy numer wspólniczki. Z tego wniosek, że wszystkie telefony i fakсы są przekazywane na prywatny numer Louise.

Pierre Colbert pisał, że teraz sprawa staje się pilna, ponieważ pod koniec miesiąca wyrusza na Daleki Wschód i chciałby się przedtem z nią spotkać. Pytał, czy Eleanor - jeśli jest zainteresowana współpracą - mogłaby przyjechać na jego koszt do jego biura w Prowansji, by omówić szczegóły. Jeśli tak, prosił o telefon, dodając, że będzie się mógł z nią spotkać jedynie w ciągu najbliższych dziesięciu dni.

Eleanor drżącą dłonią odłożyła list. Pogodziła się z tym, że utraciła przyjaciółkę, lecz nie spodziewała aż takiej

nielojalności. Louise nie znała języków wymaganych przez Colberta i nie mogła żywić nadziei na podpisanie z nim umowy, toteż fakt, że nie przekazała mu prywatnego numeru telefonu Eleanor, wskazywał jedynie na złośliwość. Louise podała mu jedynie prywatny adres dawnej współpracownicy - licząc zapewne na to, że list przyjdzie za późno albo wcale.

To wszystko zabolało ją tym bardziej, że Louise wiedziała, jak bardzo jej przyjaciółka martwi się stratami wynikającymi z rozwiązania spółki. Tak, Louise dobrze wiedziała, ile dla niej znaczy podpisanie umowy z Colbertem. Gdyby wcześniej się z nim skontaktowała, na pewno znalazłaby czas na wyjazd do Prowansji. A teraz ma na głowie Vanessę i jej koleżankę, a poza tym Colbert chce coś ustalić przed wyjazdem, więc pewnie ma innego kandydata.

Wieczorem zrelacjonowała treść listu Marcusowi i zakończyła:

- Oczywiście, nie mogę jechać. Ten dom i Vanessa... Zadzwoń i mu to powiem.

Marcus zasepił się, słuchając słów żony. Gdzie się podziała tamta Eleanor, w której się zakochał i którą poślubił? Gdzie się podziała tamta czarująca kobieta, która zarażała go swoim śmiechem i miała pozytywne nastawienie do życia? Tamta Eleanor, która zawsze miała czas go wysłuchać i interesowała się jego życiem? Tamta Eleanor, która dała mu odczuć, jak wiele dla niej znaczy? Bo ta Eleanor bardziej chyba interesowała się domem niż nim. Domem oraz dziećmi. Nawet wieczorem, kiedy leżeli już w łóżku, nie potrafiła o niczym innym mówić.

A co dzieje się z nim? - pomyślał rozdrażniony. Jest już



dorośli i powinien od dawna wiedzieć, że jego ciągła irytacja oraz niemal zazdrość, jaką w tej chwili czuł, nie jest wywołana planami Eleanor dotyczącymi zakupu domu, lecz świadomością, że matka go nie kochała, że już sam fakt przynależności do tego samego gatunku, do którego należał jego biedny, pogardzany ojciec, sprawiał, że nie była w stanie go kochać.

Uczucie odrzucenia pogłębiła jego babka, a potem małżeństwo z Julią. Długo trwało, zanim odkrył, że celowo, aczkolwiek podświadomie, wybrał na pierwszą żonę kobietę, co do której instynktownie był pewien, że zachowa się wobec niego w taki sam egoistyczny sposób, jak matka i babka.

Z Eleanor było inaczej. Pociągała go nie tylko fizycznie, lecz również swą odmiennością psychiczną. Była łagodna, delikatna, ciepła, i potrafiła prawdziwie przejąć się problemami innych. Fakt, że początkowo była niepewna i wahała się jak on, pomógł mu uświadomić sobie, że jej pragnie. Jej miłość do synów nigdy nie wywoływała w nim uczucia zagrożenia czy zazdrości. Teraz jednak był nie tylko bez przerwy rozdrażniony, lecz również czuł się zagrożony.

Z powodu domu? Z powodu Vanessy, która tak się do niej odzywała? Dlaczego są to sprawy na tyle ważne, że zdominowały ich związek? Czy to, co ich łączyło, już nie wystarcza? A może Eleanor, wbrew temu co mówiła, nie kocha go aż tak bardzo? Czy opętanie tym domem to sposób ukrycia przed samą sobą, że ich miłość już jej nie wystarcza? Studia prawnicze nauczyły go analizowania i logiki, dzieciństwo zaś wykształciło w nim umiejętność ukrywania uczuć i nieprzyznawania się do bólu, który sprawiały.

Teraz, kiedy słuchał Eleanor wyliczającej jedna po drugiej rzeczy, jakie musi zrobić, kiedy wysłuchiwał listy drobnych problemów, które zdominowały ich życie, usiłował walczyć z ogarniającą go falą bólu i strachu logicznym rozumowaniem: powtarzał sobie, że to śmieszne czuć aż taki ból, aż taki strach. Ale czy to naprawdę on jest śmieszny? Wystarczy posłuchać, jak ona pozbawia się okazji podpisania znakomitego kontraktu, i to tylko dlatego, że musi zajmować się domem...

Marcus zaczerpnął powietrza, starając się uspokoić, po czym wbrew sobie powiedział szorstko:

- Na litość boską, Nell, przestań mówić o domu! Przecież mieliśmy go kupić dlatego, żeby mieć mniej problemów, a nie więcej.

Drgnął, kiedy zobaczył, że Eleanor się od niego odsunęła, w jej oczach pojawiło się zaskoczenie, po czym te oczy powędrowały gdzieś w bok, jakby już dłużej nie mogła znieść jego widoku. „Idź, po prostu sobie już idź... Nie mogę na ciebie patrzeć”, mawiała do niego matka, ilekroć złamał którąś z zasad, mających kierować jego dzieciństwem.

Matka? Co ma do tego teraz matka? Sam jest już ojcem i mężem. A może zachowuje się tak, bo jest przepracowany? Wziął kilka dodatkowych spraw, żeby pokryć wydatki związane z przeprowadzką. Przypomniawszy sobie jednak, że nie po raz pierwszy tak ciężko pracuje, a po raz pierwszy jest tak wyczerpany.

Spojrzał na Eleanor, na jej nieruchomą i bladą twarz. Jest na niego zła, i nic dziwnego. Zareagował przesadnie. Zaraz, zaraz... Co to obiecali sobie w dniu ślubu? Że zawsze znajdą czas, żeby porozmawiać, wyjaśnić, wysłu-

chać? No cóż, ostatnimi dniami Eleanor na żadną z tych rzeczy nie ma czasu, pomyślał, tłumiąc poczucie winy atawistyczną, męską niechęcią przyznania się do popełnienia błędu.

- Nie przejmuj się domem - powtórzył równie szorstkim tonem. - A jeśli chodzi o Vanesę i tę drugą, ja się nimi zajmę. Vanessa jest w końcu moją córką, o czym mi nieustannie, moja droga Nell, przypominasz.

Jego zgryźliwość zaboląła ją i jednocześnie rozwścieczyła.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć? Że wolałbyś, żeby mnie tu nie było?

- Na litość boską, Nell, co w ciebie wstąpiło? Narzekasz, że nie możesz pojechać do Prowansji z powodu Vanessy, więc ja próbuję...

- Ty na pewno myślisz, że stchórzyłam, że się wymiguję od podpisania kontraktu. Otóż nie. - Potrzebuję tych pieniędzy. My ich potrzebujemy. Nikt mnie nie będzie oskarżał, a już zwłaszcza Vanessa, że ja i moi synowie jesteśmy finansowo zależni od ciebie i że...

- Przestań, Nell. Czy ja kiedykolwiek dałem ci coś takiego do zrozumienia? Myślałem, że prowadzisz firmę, bo jest ci to potrzebne nie tyle finansowo, co psychicznie, Masz swoją pracę i w ten sposób uniezależniasz się nie tylko ode mnie, ale i od synów. Podziwiałem cię za to i nigdy nie przypuszczałem, że wykorzystasz ten argument do wzbudzenia we mnie poczucia winy.

- Nie próbuję wzbudzić w tobie poczucia winy. Ale ty we mnie tak.

- Ja?

- Tak - odparła gwałtownie. - Łatwo ci krytykować

mnie, winić za to, że nie potrafię sobie poradzić z Vanessą, ale co ja mam zrobić? Ona nie chce, żebym tu mieszkała, Marcus. Ona obraca wniwecz moje wszystkie wysiłki doprowadzenia do pojednania, i ty jej na to pozwalasz. To twoja wina, że ona mnie nie znosi, że jej zdaniem ja stanowię dla niej zagrożenie, że czuje się taka niepewna.

- Moja?

- Tak - potwierdziła ze smutkiem. - Ona cię kocha i boi się ciebie stracić. I dlatego czuje się zagrożona.

- Przecież jest niemal dorosła - zaprotestował ostro.

- Ponosi cię wyobraźnia, Nell. Dzieci potrzebują miłości rodziców, ale nastolatkwie, dorośli... nie.

- Może i nie, jeśli mają poczucie bezpieczeństwa - zgodziła się. - A Vanessa go nie ma.

- Przestań, Nell. Nie szukaj winnego, bo nie potraficie się dogadać. A może za bardzo się starasz? Może próbujesz jej coś narzucać? Musisz pogodzić się z tym, że Vanessa na przykład nie podziela twojego zachwyty nowym domem, że nie...

Spojrzał na nią i urwał. Na jej twarzy malowała się rozpacz, w oczach lśniły łzy. Zduszonym głosem powiedziała:

- Mów dalej.

Potrząsnął głową,

- Nie. To nie ma sensu. To nas do niczego nie doprowadzi, Nell. Może kilka dni rozstania wyjdzie nam na dobre. Da nam czas, żeby...

- A więc myślisz, że to moja wina - szepnęła drżącym głosem.

- Nell, litości! Ja mam tyle pracy, że o niczym innym nie jestem w stanie myśleć. Ta ostatnia sprawa... - Mach-

nał niecierpliwie ręką. - Słuchaj, ja tego dłużej nie zniosę. Co się z nami dzieje? Co dzieje się z tobą?

- Ze mną? - spytała i pomyślała, że w ten sposób Marcus ostatecznie dał jej do zrozumienia, że napięta atmosfera, jaka zawisła nad ich domem, jest jej winą.

Czuła się bezradna i przestraszona. Gdzieś w głębi jej świadomości załęgła się myśl, że ta kłótnia w pewien sposób niszczy ich związek i miała pretensje do Marcusa, że do tego dopuścił. Tego rodzaju gwałtowność była dla niej czymś nowym; z Allanem nigdy się nie kłócili, emocje nigdy nie dochodziły do głosu, ich małżeństwo po prostu się wypaliło. A może Marcus jest nią rozczarowany, bo zaczyna brakować jej siły i stanowczości, które niegdyś podziwiał? No i czego ona właściwie od niego chce? Czy ma ją błagać, żeby nigdzie nie jechała, bo w domu jest niezastapiona?

- No więc jak? - ciągnął Marcus - Chcesz pojechać do Prowansji, ale mówisz, że nie możesz z powodu Vanessy, a kiedy ja ci proponuję, że się nią zajmę, oskarżasz mnie, że chcę się ciebie pozbyć.

Eleanor odwróciła głowę. Jak ma mu powiedzieć, że się boi wyjechać i zostawić go samego z Vanessą, bo... Bo co? Bo Vanessa całkowicie zbuntuje go przeciwko niej? A czy przypadkiem sama nie jest w tym wystarczająco dobra? I dlaczego nagle poczuła, że on ją kocha mniej niż ona jego?

- Nie rozumiem, Nell. Robię, co mogę.

- Przepraszam - powiedziała przez łzy. - Masz rację. To chyba będzie dobre dla Vanessy, jeśli przez kilka dni pobędzie tylko z tobą.

- O Boże, Nell, przecież ja tego nie robię dla Vanessy. Ja to robię dla ciebie.

Uśmiechnęła się blado i zapytała siebie, dlaczego czuje, że zapewnienie to przyszło za późno i z tego powodu nie jest w stanie uśmierzyć bólu, jaki na dobre zawładnął jej sercem.

- Dlaczego wszystko dzieje się zawsze nie w porę? Bardzo jest mi ta praca potrzebna, ale muszę także być tutaj. Ten dom...

Ugryzła się w język, gdy Marcus aż jęknął z wyczerpania. Ciekawe, pomyślała, czy ukrywa przede mną pretensje, tak jak ja przed nim? Kochali się tej nocy -jeśli można tak powiedzieć - z poczucia obowiązku i w milczeniu, a potem, gdy Marcus zasnął, Eleanor długo jeszcze leżała i rozmyślała. Po jej twarzy spływały łzy, wsiąkały w poduszkę, a ona porównywała ten milczący, zdawkowy akt z ekstatyczną radością, jaka ich kiedyś łączyła.

## Na dobre i na złe

18

Fern obudziła się niespodziewanie, zdezorientowana obcością miejsca oraz wyrazistością snu, który właśnie się urwał.

Od dawna już nie myślała o swoim ślubie, a tym bardziej o nim nie śniła, toteż teraz przerażona usiadła na staromodnym łożu i szczelnie otuliła się kocem. W pełni *rozbudzam, poczuła chłodny, ostry; nieco wilgotny zapach* starego domu. O dziwo, nie był przykry, w przeciwieństwie do snu.

Otoczyła ramionami kolana i wpatrzyła się w nie zasłonięte okno. Cressy zbyt krótko tu mieszka, by zdążyć umeblować i wyposażyć cały dom.

- Wiesz - wyjaśniła wcześniej - ani ja, ani Graham nie przepadamy za lekkimi mebelkami w kwiatki.

- Wiem - odparła Fern. - Wam potrzebne są zwoje starych, ciężkich brokatów, obszywanych złoceniami aksamitów, i tak dalej.

Zmysł artystyczny Fern już działał, wypełniając puste pokoje odpowiednimi meblami i materiałami.

Krajobraz za oknem nadal spowijał półmrok, podobnie jak kościół z jej snu. Postaci wokół były niewyraźne, wszystkie z wyjątkiem jednej, za którą boleśnie zatęskniło jej serce, gdy pastor ogłosił Nicka i ją mężem i żoną.

Adam! W głębi serca czuła kłujący chłód rozpacz i paniki. Adam, Adam... Wołała głośno jego imię, odwracała się twarzą do niego, a plecami do Nicka, któremu przed chwilą złożyła wiążące na całe życie ślubowanie. Poślubiła Nicka wiedząc, że kocha Adama. Po policzkach płynęły jej palące łzy, duszę wypełniał bezbrzeżny smutek.

Trzeba było Cressy, by uświadomić jej prawdę, którą z całą determinacją zagrzebała pod pokładami obowiązków i odpowiedzialności. I strachu? Może przede wszystkim strachu. Strachu nie przed przyznaniem się do swych uczuć wobec Adama, lecz przed tym, do czego to przyznanie by doprowadziło.

Wieczorem Cressy przekonała ją, że nie może być nadal żoną Nicka. To dziwne, że sama dotąd nie odkryła, jaki Nick jest naprawdę; to dziwne, że dopiero przyjaciółka uświadomiła jej, jak nią manipulował, jak nad nią panował i jak ją wykorzystywał.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Bo on już taki jest - odparła Cressy obojętnie. - Nie znajdziesz w tym żadnego logicznego powodu, Fern. Całymi latami obserwowałam, jak Nick przytłacza cię coraz cięższym brzemieniem winy i strachu, zmuszając do znoszenia upokorzeń, na które nie zasłużyłaś. Robił to dla samej przyjemności poniżania cię. Z jakiegoś powodu wmówiłaś sobie, że jesteś mu winna tego rodzaju poświęcenie, niemal ofiarę, ale to bzdury. To on powinien czuć się winny, a nie ty.

Fern oparła głowę na kolanach i zamknęła oczy. Cressy nie wie wszystkiego. W jej wyobraźni pojawił się Adam i otrząsnęła się, jakby chcąc zrzucić z siebie wspomnienia. Ale czy taka walka ma sens? Być może jakaś udręczona



częstka jej jestestwa pragnie kurczowo trzymać się wspomnień, żywić się nimi i strzec ich przed złościwością Nicka oraz poczuciem własnej winy?

Czy oprócz swojego płaczu i prośb skierowanych do Adama, by ją przytulił, nie pamiętała także tego, że był bardzo delikatny, że okazał jej wiele czułości i dał mnóstwo radości, a w końcu rozpalił jej zmysły w stopniu, jakiego nie znała? Zachowywał się tak, jakby ją kochał...

Próbowała później zmusić swe ciało, by reagowało na dotyk Nicka tak samo jak wówczas na dotyk Adama, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Do czasu owego pamiętnego spotkania z Adamem nie wyobrażała sobie, by mogła się zatracić w miłości do tego stopnia, że zapomniała o wszelkich zahamowaniach i wręcz błagała mężczyznę, by on...

Jęknęła cicho, pragnąc o tym wszystkim zapomnieć, lecz coś ją pchało w przeszłość, do wygodnie umeblowanego, przyjaznego salonu Adama, gdzie czuła się bezpieczna, jak zresztą zawsze w jego obecności. Jak mogła mu wtedy powiedzieć, co się naprawdę stało? Jak miała się przyznać, że poniosła klęskę jako żona, jako kobieta, i dlatego Nick ma romans? Przed ślubem Nick powiedział jej z całym okrucieństwem, że Adama ucieszy wiadomość o ich zaręczynach.

- Chyba się trochę niepokoi tym, że za bardzo go lubisz, że źle tłumaczysz pewne rzeczy, że coś sobie wyobrazasz...

Pamiętała, że bardzo się wtedy zawstydziała i miała nawet do Adama lekki żal, że wyjawia swe niepokoje przybranemu bratu, a nie jej. Później zrobiła wszystko, żeby przekonać Adama o niesłuszności jego obaw i wyrobić w nim przekonanie, że zależy jej jedynie na Nicku.

Niemniej gdy wtedy, u niego w salonie, przytulił ją i prosił, by wyjaśniła mu przyczynę swego stanu, poczuła się, jakby wróciła do domu, jakby znalazła bezpieczny port, jakby darowano jej sanktuarium i wpuszczono z powrotem do raju. Powiedziała mu wtedy wszystko: jak Nick ją okłamywał, jak ją zdradził, jak nie sprawdziła się jako żona i jako kobieta.

- Ale to moja wina - zakończyła bezradnie, podniosła głowę z jego ramienia i spojrzała mu w oczy.

- Nie, to nieprawda - odpowiedział.

Zamilkła, słysząc jego szorstki ton, i przesunęła wzrok z jego oczu na usta. Zawładnęła nią wtedy taka tęsknota, że zapomniała o całym świecie. Usłyszała, jak Adam wymawia jej imię, jak drży mu głos, jak pobrzmiwa w nim ostrzeżenie, którego nie chciała słuchać. Kiedy przed jej ślubem czasem się całowali, była w tym czystość przyjaźni, bo Fern nie wiedziała, w jaki sposób ma go poinformować o swoich uczuciach.

Teraz jednak nie była już dziewczyną, lecz kobietą, i zapragnęła do bólu poznać smak jego ust, dowiedzieć się, jak zmienia go uniesienie, toteż objęła go mocniej, szepnęła jego imię i przybliżyła wargi do jego twarzy. Trudno go winić za to, co się potem stało.

Poruszył ustami i jeszcze raz wymówił jej imię, wyraźnie protestując, Fern jednak przyłgnęła do niego jak oszalała i jego dłonie, które chciały ją odepchnąć, nagle zaczęły ją tulić. Ona ponownie szepnęła jego imię, lecz nie pamiętała, czy miało to oznaczać protest, czy zaproszenie, niemniej jej szept poruszył w nim coś, nad czym on sam najwidoczniej nie był w stanie zapanować. Tulili się i całowali tak zapamiętale, jakby od tego zależało, czy dotrwają jutra.

Adam w końcu otrzeźwiał, odgarnął z jej twarzy wilgotne włosy i z ustami przy jej ustach zaczął szeptać słowa pocieszenia. Fern mogła wtedy się opamiętać, tymczasem jednak bezwstydnie objęła go z całej siły i przytuliła się do niego z taką pasją, jakiej istnienia nigdy w sobie nie podejrzewała. Obsypała pocałunkami jego twarz i szyję, błagając go, by jej nie odpychał, by pomógł pozbyć się tej pustki, jaką Nick w niej wytworzył.

Adam się wahał, próbował z nią rozmawiać, próbował ją powstrzymać, lecz w końcu jednym intymnym gestem zdołała zawładnąć nim bez reszty i musiał jej ulec. Okazało się, że niepotrzebna jest żadna technika, jak usiłował wmawiać jej Nick, że niepotrzebna jest wystudiowana sekwencja pieszczot, by osiągnąć cel. Ruchy Adama nie były zaplanowane, a jednak wystarczyła sama jego bliskość, by Fern poczuła nadpływającą falę orgazmu. Porwało ją to, przeraziło, oszołomiło i zachwyciło; bezwiednie otoczyła udami biodra Adama i jej ciało, a nie ona sama, szukało rozkoszy tak zachłannie i wprawnie, jak gdyby byli kochankami od tysiąca lat.

Pamiętała jak przez mgłę, że w ostatniej chwili Adam oparł ręce na jej biodrach, by ją powstrzymać, i powiedział, że nie powinni, że właściwie nie wolno im... Ale ona nie słuchała głosu rozsądku, nie dopuszczała nawet do siebie myśli, że mógłby ją odepchnąć, toteż gdy łagodnie próbował ją wyciszyć, zrobiła coś, o co nigdy by siebie nie podejrzewała.

Zsunęła się niżej, wyciągnęła rękę, ujęła jego przyrodzenie i delikatnie je pocałowała. Nigdy nie śmiałyby czegoś takiego zrobić z Nickiem, właściwie nawet nie miała na to ochoty, lecz skóra i zapach Adama były jakieś inne, zapra-

szające. Kiedy uświadomiła to sobie, w jej oczach pojawiły się łzy i odsunęła się. On ma rację. Nie powinni. On nie kocha jej tak, jak ona jego. Zdradza w ten sposób nie tylko Nicka, lecz także Adama. Widziała, jak się zмага ze swoim podnieceniem i świadomością, że musi zachować się honorowo, lecz gdy na końcu języka już miała słowa, że go rozumie, coś w niej pękło i wyzwoliło pragnienie tak nieokiełznane, że ze łzami w oczach zaczęła go błagać, by nie odmawiał, by ukoił ból, nad którym nie jest już w stanie zapanować.

Nie pamiętała, które z nich wtedy zrobiło pierwszy ruch i jak doszło do spełnienia jej pragnień. Zdumiało ją tylko, że fizyczne zaspokojenie, choć było cudowne, nie wzruszyło nią tak głęboko, jak poczucie bliskiej więzi psychicznej, świadomość, że jest chciana i kochana. Dopiero kilka chwil później, gdy leżała szczęśliwa w jego objęciach, uprzytomniła sobie nagle, że łamiąc skrupuły Adama, zrzuciła na jego barki wielki i nie zasłużony ciężar.

Adam jej nie kocha, on to wszystko zrobił z żalu. Jest dobrym człowiekiem, który do końca życia będzie się czuł winny, jeśli odkryje prawdę, że ona go kocha. Nie, nie może dopuścić do tego, by czuł się ciągle zażenowany, by starał się jej nie ranić i jednocześnie nie kłamać i udawać coś, czego nie czuje.

- Fern, co się stało? - spytał niespokojnie, jakby wyczuwając jej ponure myśli.

Teraz, póki jeszcze ma siłę... Odepchnęła go od siebie i odwróciła głowę, by nie widział jej twarzy, gdy mówiła:

- Miałeś rację, nie powinniśmy. Ja nie powinnam. Jestem żoną Nicka i...

- ... i kochasz go, Fern - dokończył cicho. - Wiem o tym.

Czy naprawdę tak myślał, czy po prostu chciał się zachować taktownie, by jej nie zranić i nie poniżyć, dając jej do zrozumienia, że wie, jakie są jej uczucia wobec Nicka? Poczwała, jak jego ręka odgarnia z jej ramienia włosy, które tak bardzo mu się podobały.

- Fern, nie czuj się winna. Oboje wiemy, że to nic nie znaczy... Po prostu w ten sposób wyraziłaś swój ból... bo Nick cię zranił.

Nie, nie, nie masz racji, powtarzała w myślach. To nie miało nic wspólnego z Nickiem.

- Nie przejmuj się. Nie czuj się winna - powtórzył Adam.

- To nie takie proste - zaprotestowała. Ogarniała ją coraz większa rozpacz, która zajęła miejsce niedawnej euforii.

- Ale nie ma powodu, żebyś się czuła winna - powtórzył i dodał spokojnym, lecz stanowczym głosem: - Nic się nie stało, Fern, naprawdę nic...

Spojrzała na niego pełnym bólu wzrokiem. Co on jej próbuje powiedzieć? Żałuje, że to się stało, czy woli udawać, iż nic się nie stało? Oczywiście nie ma potrzeby przypominać, że to ona była stroną prowokującą, on zaś usiłował ją powstrzymać.

- Jesteś żoną Nicka. Kochasz go.

- Tak - przytaknęła drętwą i sięgnęła po ubranie.

Czuła się jak Ewa wygnana z raju, która nagle uświadomiła sobie swą nagość i zawstydzila się jej. Adam delikatnie ujął jej drżące dłonie i spokojnie zaczął ją ubierać. Znowu poczuła pieczenie w oczach.

- Nie płacz, Fern - powiedział, ścierając z jej policzków łzy. - Wracaj do Nicka i zapomnij, co się tu stało.

Zapomnieć? Jak mogłaby zapomnieć? I wtedy zadzwonił telefon, a ona, łkając, szybko wybiegła z domu Adama.

Za oknami domu Cressy niebo rozjaśniał powoli świt. Fern ze znużeniem uniosła głowę. Ciało miała odrętwiałe, mięśnie napięte i bolące. Nagle poczuła się bardzo stara i znużona. Westchnęła i wbiła wzrok w szare niebo.

Na co ma jeszcze czekać? Czy w jej życiu pozostał jeszcze jakiś sens? Próbowała uratować małżeństwo, spełnić oczekiwania rodziców. Próbowała pokochać Nicka i jeszcze do wczoraj wierzyła, że jego zapewnienia, iż jej potrzebuje, są szczerze.

Przymknęła na chwilę oczy i znowu znalazła się w ramionach Adama; czuła, jak cała ożywa, jak zaczynają w niej pulsować zmysły, ponosi ją fala uniesienia. Gdyby mocniej zacisnęła powieki i skoncentrowała się jeszcze bardziej, poczułaby jego usta, dłonie dotykające jej twarzy, zapach skóry... Przerażona otworzyła oczy, wyciągnęła przed siebie dłonie i rozprostowała palce, a potem przyłożyła je do skroni, starając się uśmierzyć nieznośny ból.

Tamto było rzeczywistością, życiem, miłością... Jakiś będzie musiała bez tego żyć. Jednego była pewna: już dłużej nie może udawać, nie może chować się za parawanem małżeństwa, poświęcać całej energii na podtrzymywanie jego sztucznej fasady. Wszystko, co powiedziała Cressy, jest prawdą. Opuści Nicka - nie dlatego, że kocha Adama, lecz dlatego, że musi odzyskać szacunek dla siebie, zorganizować życie od początku i zapanować

nad nim. Musi odkryć siebie na nowo i nauczyć się z tą osobą żyć.

- No więc co zrobisz? Nie możesz przecież teraz do niego wrócić.

Fern łagodnie uśmiechnęła się do przyjaciółki. Spacerowały pokrytą mokrym piaskiem plażą, należącą do posiadłości Cressy, którą od lądu oddzielał pas bagiennej roślinności i grobla z biegnącą po niej ścieżką.

Gdyby nie nasyp, ten teren już dawno zalałaby woda; poniekąd zaporą ta stanowiła świadectwo uporu człowieka w dążeniu do celu, którym jest zdobycie czegoś i zapanowanie nad tym. Budując wały ochronne, człowiek uczynił postęp w wydzieraniu ziemi od jej dawnego właściciela, morza, i *zazdrośnie strzegł siłą zdobytego skarbu*. Horyzont nad morzem wyglądał jednocześnie złowieszczo i melancholijnie, ostre krzyki mew mieszały się z miękkimi podmuchami wiatru.

- Nie, nie mogę do niego wrócić - potwierdziła cicho Fern. - Nasze małżeństwo jest skończone.

- No więc co zrobisz? Wiesz, że możesz u nas zostać, jak długo chcesz.

Fern roześmiała się szczerze. Cressy pomyślała, że przyjaciółka nigdy jeszcze nie wyglądała tak atrakcyjnie, tak dojrzałe, tak kobieco.

- To bardzo ładnie z twojej strony, ale nie mogę. Po pierwsze, muszę porozmawiać z Nickiem, a po drugie...  
- Odwróciła się i spojrzała w stronę morza.

- Potrzebujesz czegoś nowego, gdzie byś...

- Nie. - Fern potrząsnęła głową. - Mam tam kilku przyjaciół, jakieś życie. Za długo byłam tchórzem, Cressy,

i gdybym teraz uciekła... Nickowi się to, oczywiście, nie spodoba.

- A czy poradzisz sobie finansowo?

- Będzie mi ciężko - przyznała Fern. - Muszę znaleźć jakieś zajęcie, a nie mam zawodu ani doświadczenia. Ale chcę się czegoś nauczyć. - Sposepniała. - Bo chyba coś potrafię? Znalezienie mieszkania też nie będzie łatwe, ale...

- Chyba Adam będzie mógł ci w tym pomóc? Ma kontakty, zna tylu ludzi.

Fern zdrętwiała i odwróciła głowę, żeby Cressy nie widziała jej twarzy.

- Adam jest przybranym bratem Nicka. Nie chcę go w to mieszać.

- Może nie będziesz musiała, bo sam się zaofiaruje. On już taki jest.

- Adam to przybrany brat Nicka - powtórzyła Fern.

- Nie chcę ani nie potrzebuję jego pomocy.

Gdy odwróciła się, ujrzała na twarzy przyjaciółki zdumienie, co dało jej do zrozumienia, że zareagowała zbyt gwałtownie, nie potrafiła jednak wyeliminować histerycznych tonów ze swego głosu.

- Ale Nick nie cierpi Adama i mu zazdrości - zaprotestowała Cressy. - Zawsze taki był. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego Adam okazuje mu tyle pobłażania. Przypomnij sobie, w jaki sposób Nick usunął go z twojego życia. Co ci jest? Zmarzłaś? - spytała zaniepokojona, gdy przyjaciółka nagle zadrżała.

- Tak, chyba trochę-wyjąkała Fern, otulając się ciasno ramionami.

Nie chciała rozmawiać o Adamie w ten sposób, nie



chciała roztkliwiać się nad sobą jeszcze bardziej. Choć nie miała zamiaru wyznać tego Cressy, to właśnie miłość do Adama mogłaby ją skłonić do wyjazdu z miasteczka, a nie rozstanie z Nickiem.

- Czy na pewno nie możesz zostać trochę dłużej? - spytała Cressy trzy dni później, gdy Fern oświadczyła, że musi wracać.

- Nie - odparła ta ponuro. - Wiesz, muszę w końcu spotkać się z Nickiem.

- Tylko nie pozwól mu zmienić swojej decyzji - ostrzegła Cressy. - Nie słuchaj, kiedy będzie mówił, że jesteś mu coś winna. To nonsens.

- Dzięki tobie ujrzałam go w zupełnie innym świetle - oznajmiła Fern. - Dzięki tobie nie winię już siebie za to, że nasze małżeństwo nie jest udane.

- On tobą manipulował, wykorzystywał cię - podkreśliła Cressy. - To ty zostałaś zraniona, a nie on. To on był niewierny. Jeśli weźmiesz dobrego prawnika...

- Nie. - Fern potrząsnęła głową. - Nie chcę mieć żadnych korzyści z tego małżeństwa. Mam wrażenie, że to byłoby skażone, że ja byłabym skażona.

- Ale masz prawo...

- Nie - powtórzyła Fern. - Nie wniosłam żadnego finansowego wkładu do tego związku. - Uśmiechnęła się łagodnie, gdy Cressy gniewnie prychnęła. - To prawda. A poza tym nie mamy dzieci. Nie wezmę od Nicka ani grosza.

- Nie masz racji. Przecież pracowałaś, Fern. Harowałaś dla niego ciężiej niż wiele kobiet. Znacznie ciężiej niż on dla ciebie. Nie bądź głupia. Wiem, jak się czujesz, ale tak

szybko nie znajdziesz pracy, nawet jeśli będziesz miała szczęście.

- Nieważne. Chcę coś zrobić bez niczyjej pomocy. Poradzę sobie, Cress. Znajdę pracę. Mogę sprzątać, pilnować dzieci, obojętne. Ale muszę to wszystko zrobić sama. Jest mi to psychicznie potrzebne.

- Hm - mruknęła Cressy w zadumie - jak chcesz. W każdym razie pamiętaj, że zawsze możesz do mnie przyjechać, a poza tym chciałabym, żebyś była świadkiem na moim ślubie. No tak, ale nie znasz jeszcze Grahama. Czy naprawdę nie możesz zostać?

- Naprawdę - odparła Fern i objęła serdecznie przyjaciółkę. - Dziękuję za wszystko, Cress.

- Za co? Za prawdę o Nicku? Powiedziałam ci ją z prawdziwą przyjemnością. - Fern roześmiała się. -I nie próbuj mi zmieniać zdania!

- Dobrze - obiecała Fern i wsiadła do samochodu. - Nie zmienię.

## Na dobre i na złe

19

Wszystkie lotniska, podobnie jak szpitale, pachną dokładnie tak samo, pomyślała ze znużeniem Eleanor, gdy wychodziła z hali przylotów w Marsylii. Nagle przystanąła, oszołomiona nie tyle silnym słońcem Prowansji, ile niespodziewaną intensywnością światła, jasnego i ostrego, którego odurzający efekt był zwielokrotniony przez zapach gorącego powietrza, suchy, z dziwną domieszką woni świeżej ziemi.

- Wyślę kogoś po panią - powiedział Pierre Colbert, gdy zadzwoniła z informacją, że przyjedzie.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się do oślepiającego światła, rozejrzała się wokół, szukając osoby z tabliczką z jej nazwiskiem. Nie dojrzała nikogo. W pewnej chwili jej uwagę przykuł mężczyzna wysiadający z drogiego samochodu z odkrytym dachem. Był wysoki i ciemnowłosy, wyglądał na typowego Francuza, miał na sobie kosztowny, sportowy strój. Był mniej więcej w jej wieku, może trochę młodszy, i bardzo przystojny.

Zarumieniła się, gdy zauważył jej spojrzenie. Zanim zdążyła odwrócić wzrok, uśmiechnął się i ruszył w jej stronę. Przeklinając się w myślach, Eleanor miała już odejść, gdy mężczyzna stanął przy niej, wyciągnął rękę, wypowiedział jej nazwisko i przedstawił się:

- Jestem Andre. Wuj prosił mnie, żebym odebrał panią z lotniska. Dobrze panią opisał - dodał z uśmiechem znawcy. - Powiedział, że jest pani piękna i niezwykle bystra, a ja, jak się obawiam, jestem niezmiernie wrażliwy na piękne, bystre kobiety.

Mówił to wszystko z uśmiechem, z wyrazem urokliwego smutku na twarzy, jakby zapraszając ją do wspólnej zabawy i radosnego flirtu. Ku swemu zdziwieniu, Eleanor usłyszała swój śmiech. Zastanowiła się przez moment, kiedy po raz ostatni tak się śmiała? Kiedy czuła się tak beztrosko? To pytanie miało ją nawiedzać przez następne dwa dni, ilekroć zostawała sama, co nie zdarzało się często.

Kiedy nie była zajęta pertraktacjami z wujem, Andre zabierał ją na wycieczki samochodowe, pokazując jej okolice Arles. Był egotystą, zachowywał się zalotnie i niebezpiecznie. Właściwie odbiegał od jej typu, niemniej sprawiała jej przyjemność jego wręcz niesłychane komplementy, co uzmysłowiło jej, jak bardzo pogłębiła się przepaść między nią a Marcusem. Oczywiście, nie miała zamiaru brać go na serio i kiedy próbował umówić się z nią na wieczór, odmówiła w sposób zupełnie naturalny.

To po prostu jest takie miłe, kiedy mężczyzna tak nadskakuje, kiedy kobieta czuje się pożądana i ceniona. Niemal fizycznie czuła, jak opada z niej napięcie ostatnich dni, jak odzyskuje wiarę w siebie, pławiąc się w odurzającej mieszance zmysłowych komplementów Andre i zapewnień Pierre'a Colberta, że chce przekazać jej dużą część swoich zleceń na tłumaczenia.

Podbudowana zarówno zawodowo, jak i psychicznie, rozgrzana słońcem, wolna od dręczących problemów, nie tylko czuła się inną osobą, lecz również wyglądała inaczej.

Właśnie stała przed lustrem, przygotowując się do kolacji z Pierre'em Colbertem, podczas której mieli uzgodnić ostatnie szczegóły umowy. Następnego dnia rano wracała do domu. Na myśl o tym poczuła niechęć. Podczas swego pobytu we Francji dwukrotnie rozmawiała z Marcusem, i za każdym razem jego głos brzmiał szorstko i obco. Oczywiście, chce wrócić do niego, do swoich synów. I do Vanessy?

Uważnie przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Zdumiewające, w jakim stopniu myśl o domu może ją zmienić. Na twarzy pojawił się wyraz napięcia, pogłębiły się zmarszczki, kąciki warg opadły w dół, sylwetka się przygarbiła. Przecież na nic nie powinna tak czekać jak na spotkanie z Marcusem, a tymczasem... A tymczasem co? Niemal się go bała? Z poczuciem winy odwróciła się tyłem do lustra i pospieszyła na spotkanie z Pierre'em Colbertem.

Marcus patrzył na rozłożone na biurku akta. Powietrze w gabinecie zgęstniało. Gdy wstał, żeby otworzyć okno, usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe i ciepły, roześmiany głos woła:

- Cześć, Marcus, już jesteśmy.

I niemal w tej samej chwili wszystkie trzy pojawiły się w jego gabinecie: Vanessa, Sasha i Sondra. Długie, zazwyczaj porządnie ułożone włosy, zakrywały jej dziś ramiona, niemal zapraszając, by je dotknąć. Skóra Sondry pachniała, wargi uśmiechały się uwodzicielsko, ciepłe oczy jaśniały bardziej niż przyjaźnie...

Marcus odwrócił się, skupiając wzrok na stojącej na biurku fotografii Eleanor. Eleanor... Miała rację, że nie poradzi sobie z Vanessą i Sashą. Gdyby Sondra nie wpadła

z tymi dokumentami, których potrzebował... Skrzywił się, przypominając sobie, w jakim momencie Sondra przyszła: Vanessa właśnie upierała się, że w jej wieku można samodzielnie podejmować decyzje.

- Twoim zdaniem może i tak - odezwał się sucho - ale nie w świetle prawa. Powiedziałem już, Vanesso. Jesteś za młoda, żeby iść sama do tego rodzaju nocnego klubu.

- Ależ nie będę sama - przerwała gwałtownie. - Sasha ze mną pójdzie.

- Nie! - Marcus uciął dyskusję i ostre brzmienie tego słowa nadal wibrowało w powietrzu, gdy weszła Sondra.

- Przepraszam za tę scenę - powiedział, wprowadzwszy ją do gabinetu.

- Nic nie szkodzi - odparła z promiennym uśmiechem i dodała: - Znam to. Strasznie kłóciłam się z ojcem, zanim dorosłam i zrozumiałam, że wcale nie próbował zepsuć mi przyjemności, tylko nie chciał, żeby mi ktoś zrobił krzywdę. W dzieciństwie mnie rozpieszczał, bo prawo ustanawiali matka i ojczym, toteż kiedy nagle i on zaczął ustanawiać prawa, wypytywać mnie o to, z kim się spotykam, przeżyłam szok. Przez jakiś czas odnosiłam wrażenie, że wypytuje mnie o moje plany tylko dlatego, żeby powiedzieć: nie. Padło wtedy między nami wiele przykrych słów, ale dziś to jego opinie cenię najbardziej. Przypadlibyście sobie do gustu, Marcus. Jesteście bardzo podobni. Może lepiej uważaj, co? Mówią, że jeśli dziewczyna ma dobre stosunki z ojcem, to kiedy spotka podobnego do niego faceta, polubi go.

Mówiła to wszystko z uśmiechem, lecz Marcus był świadomy ukrytego znaczenia jej słów oraz sztuczności swojej odpowiedzi:

- Ja na szczęście już jestem żonaty... no i za stary.

Roześmiał się, lecz podejrzewał, że nie dała się zwięść i zauważyła stan erotycznego podniecenia, w jaki go wprawiła. Przyniosła dokumenty i jednocześnie przyszła po następne, ale ponieważ nie były jeszcze gotowe, zaproponowała, że pójdzie do kuchni i zrobi im obojgu kawy. Nie miał pojęcia, w jaki sposób owa kawa przekształciła się w popołudnie z herbatką w towarzystwie Vanessy i Sashy, które zeszły pomóc Sondrze.

Nie miał też pojęcia, jak to się stało, że zostawił pracę i zabrał je do prawdziwej herbaciarni, ani jak Sondra wymusiła na nim zgodę na zabranie dziewcząt do ekskluzywnego klubu sportowego, którego była członkiem. Gdyby miał żywić jakieś obawy, dodała, to może z nimi iść i pilnować wszystkiego ojcowskim okiem. Nie poszedł, oczywiście, do klubu ani nie podchwycił propozycji, że za zajęcie się dziewczętami może się jej odwdziaczyć zaproszeniem na kolację.

Gdy Sondra oświadczyła, że bierze kilka wolnych dni, by zwiedzić miasto, Vanessa ubłagała ojca, by pozwolił jej iść z nią. Marcus oznajmił córce, że Sondra może nie chcieć jej towarzystwa, energiczna Amerykanka jednak stwierdziła, że jest tym pomysłem zachwycona. Toteż przybyła dziś rano i zabrała z sobą dziewczęta, pozwalając mu w ten sposób pracować w spokoju, którego nie miał nadziei już zaznać.

Tyle że zamiast skoncentrować się na pracy, patrzył na zdjęcie Eleanor. Miała wrócić jutro, on tymczasem nie spodziewanie zapragnął być z nią już zaraz, usunąć się z pola widzenia tej czarującej i niebezpiecznej Amerykanki, która nie ukrywała swych zamiarów. Miał ochotę uciec

- ponieważ nie chciał, by go kusiła, czy dlatego, że tego pragnął?

Kiedy wyjaśnił jej swój plan i spytał, czy mogłaby zostać z dziewczętami na noc, była zdumiona i zarazem zawiedziona; nie takiej propozycji oczekiwała. Mimo to zgodziła się, lecz nie bez tego, żeby dotknąć lekko jego ramienia, przysunąć się bardzo blisko, obrzucić go spojrzeniem, które było niemal erotyczne, i dopiero potem zaproponować, żeby przełożył swój wyjazd na następny dzień.

- Twoja żona jest pewnie na służbowej kolacji i nie będzie mogła spędzić z tobą wieczoru. Może więc zjesz z nami kolację i polecisz rano?

- Już sprawdziłem rozkład lotów - skłamał. - Mogę dostać bilet tylko na dziś wieczór. Czekałem na wasz powrót, żeby potwierdzić rezerwację.

Choć się do niego uśmiechała, w jej oczach wyczytał zadumę, która zdradziła, o czym naprawdę myśli. Zazwyczaj takie zachowanie kobiet go bawiło, tym razem jednak Sondra trafiła na zły moment. Nie mogła wszak wiedzieć, że oprócz obaw, iż może ulec jej wdziękowi, kierowało nim znacznie silniejsze uczucie gniewu i żalu do Eleanor. Z jakiego powodu? Że zanadto pochłaniają ją własne problemy, by zauważyć, co dzieje się z nim? Dawno jednak przestał być chłopcem, a Eleanor nie jest jego matką i nie jest odpowiedzialna za jego uczucia oraz sposób, w jaki na nie reaguje. Odpowiedzialny za to wszystko jest on sam.

Kiedy przed wyjściem z domu spojrział uważnie na Vannesse, zdał sobie sprawę, jak bardzo jej figura się zmienia, jak z dziewczynki jego córka przeistacza się w kobietę. On i Julia nie planowali dzieci - ona z powodu kariery, on z powodu ambiwalentnych uczuć, jakie żywił wobec swe-



go dzieciństwa i wynikających z tego problemów, których do dziś nie udało mu się rozwiązać. Gdy jednak Vanessa się urodziła, postanowił być dobrym ojcem.

Mimo wszystko nigdy nie czuł się z nią swobodnie i zazdrościł innym ojcom bliskości, jaką zdołali osiągnąć w stosunkach z dziećmi. Ostatnio zaś, gdy był świadkiem jej zachowania wobec Eleanor, zastanawiał się, do jakiego stopnia jest za to odpowiedzialny. Marcus doskonale wiedział, że Vanessa jest agresywna celowo i że wszelkimi sposobami usiłuje poniżyć i zdenerwować jego drugą żonę.

Niewiele dzieci z radością wita rozwód rodziców; z nastolatkami mają kłopoty nawet rodzice nie rozwiedzeni, zaś o macochach wychowujących pasierbice krążą straszliwe opowieści, co jednak nie pomniejszało jego poczucia winy, ponieważ widział, jaką walkę toczy Eleanor o polepszenie stosunków z Vanessą. Nie pomagała mu wcale świadomość, że znacznie łatwiej porozumiewał się z synami Eleanor niż z własną córką. Kochał Vanesę, lecz czasem naprawdę miał jej dosyć z powodu napięć, do jakich doprowadzała między nim a jego nową żoną. A może ma pretensje do Eleanor, że Vanessie na to wszystko pozwala?

No cóż, zdaje się, że polubiła Sondrę, Amerykankę zaś jest na tyle silna, że w razie czego poradzi sobie z tą małą. W odróżnieniu od Eleanor nie będzie cierpiała, gdy Vanessa okaże jej niechęć. Tak, Sondra jest bardzo silna.

Na kolację z Pierre'em Colbertem Eleanor ubrała się bardzo starannie. Włożyła elegancką sukienkę z dżerseju i jedwabiu od Donny Karan, którą miała już od kilku lat, lecz nadal bardzo lubiła. Nasycona barwa sukni wydobywała koloryt jej skóry, krój podkreślał smukłą sylwetkę;

w tej sukni Eleanor czuła się pewna siebie. Uważała też, że taka sukienka dyskretnie łechce dumę mężczyzny towarzyszącego ubranej w nią kobiecie, ponieważ swoją wytwornością daje do zrozumienia, że u boku tego mężczyzny kobieta pragnie wyglądać dobrze.

Nie chodziło jej o to, by dzięki sukni podkreślić swą zmysłowość, lecz by się do Pierre'a Colberta dopasować. Szybko odkryła, że przywiązuje on dużą wagę do zdania innych. Opinię tę potwierdzała jego willa, niewielka i niemal surowa w swej elegancji, stojąca w jednej z najdroższych dzielnic Arles.

Podobnie jego żona: drobna, ciemnowłosa, niezmiernie szykowna eks-paryżanka, ubierała się w stroje pochodzące niewątpliwie od najdroższych projektantów mody. Jade na pewno powiedziałyby jej, co było kupione od kogo. Willa została zaprojektowana przez jednego z najbardziej znanych architektów francuskich, wyposażeniem wnętrza zajmował się plastyk rodem z Włoch, i chociaż całość spodobała się Eleanor, to jednak pomyślała w duchu, że znacznie bardziej przemawiają do niej starsze i mniej eleganckie domy, w których uwielbiała spłowieć od słońca stiukowe ściany, otwarte drzwi zapraszające na ciche, odizolowane od świata patia pełne donic z geranium, i ukryte za okiennicami okna, obiecujące we wnętrzu przyjemny chłód.

Samo Arles i jego okolice oczarowały ją, pomyślała jednak, że Prowansja jest cudownym miejscem dla kochanków, a nie dla samotnych kobiet, załatwiających tu na dodatek interesy. Wolałyby też zamieszkać w jednym z małych, lokalnych hotelików, a nie w tym luksusowym, lecz pozbawionym charakteru hotelu, w którym Pierre Colbert zarezerwował jej miejsce.

Ganiąc się w duchu za niewdzięczność, szybko sprawdziła makijaż i włosy. Andre nie omieszkał przy jakiejś okazji podkreślić, że zamieszkała w najdroższym hotelu w okolicy.

- Mój wuj chyba naprawdę bardzo panią ceni - oznajmił z figlarnym spojrzeniem. -I zaczynam pojmować, dlaczego. W pięknej, inteligentnej kobiecie jest coś bardzo prowokującego.

Coś niesłychanie prowokującego jest również w światowym, przystojnym i uwodzicielskim mężczyźnie, pomyślała Eleanor z ironiczną miną, i gdyby Andre był jedynie przystojnym dyletantem... Z wielkim zaskoczeniem odkryła, że ma on jeszcze więcej sprytu niż wuj, ponieważ, jak podejrzewała, to jemu należy przypisać zasługę rozszerzenia granic działalności początkowo niewielkiej firmy Pierre'a Colberta.

Pamiętała też swe zdumienie, gdy wspomniał jakby od niechcenia, że skończył wydział zarządzania na Harvardzie.

- Mój ojciec pochodzi z miasteczka na granicy francusko-włoskiej - oznajmił z uśmiechem. - Ma rodzinę w Ameryce. Wuj uważa siebie za Francuza do szpiku kości, a ja myślę o sobie jako o obywatelu świata.

Tego dnia po południu szła z Andre ulicą i ktoś na nią wpadł. Zachwiała się lekko, Andre ją przytrzymał, spojrzał dziwnie na jej twarz i zatrzymał wzrok na ustach... Dobrze, że Pierre Colbert zaprosił ją na kolację, by omówić szczegóły kontraktu, i dobrze, że Andre na niej nie będzie.

Monsieur Colbert obiecał przysłać po nią samochód z szoferem, albowiem ich ostatnie spotkanie miało odbyć się daleko poza miastem, w ulubionej restauracji ludzi bo-

gatyh i sławnych. Niewątpliwie uważał, że robi jej zaszczyt, ale Marcus by wiedział, że wolałaby zjeść kolację w miejscu nie tak snobistycznym, gdzie zarówno dania, jak i wystrój wnętrza są mniej wyszukane i stanowią odbicie miejscowego stylu życia.

Gdy zeszła do holu, pierwszą osobą, jaką zobaczyła, był Andre. Podeszedł do niej z lekkim uśmiechem i powiedział:

- Niespodzianka, prawda? Mam nadzieję, że przyjemna. Jakoś przekonałem wuja, żeby i mnie zaprosił, teraz więc jestem tu w roli pani szofera.

Nie spuszczał z niej wzroku. Eleanor pożałowała nagle, że nie ma na sobie innej sukni. Włożyła ją na zawodowe spotkanie z mężczyzną, który przykładał wielkie znaczenie do odpowiedniego stroju, a tymczasem pokazuje się w niej w towarzystwie człowieka, który w delikatny sposób dał jej do zrozumienia, że mu się podoba.

Andre był zbyt światowy i subtelny, żeby ten fakt skomentować, sądząc jednak ze sposobu, w jaki na nią patrzył w drodze do samochodu, ze sposobu, w jaki dotknął jej ramienia, gdy do niego wsiadała, było jasne, że doskonale zdaje sobie sprawę z dyskretnej zmysłowości jej wyglądu i że nie pozostaje na to obojętny.

Restauracja mile zaskoczyła Eleanor, ponieważ, o dziwo, podawano tam potrawy lokalne. Szef kuchni był co prawda na szkoleniu w Paryżu, ale wywodził się z tych stron, i wiedzę zdobytą w Paryżu łączył z najlepszymi tradycjami miejscowej kuchni. Dania, wino i rozmowa, subtelnie kierowana przez Andre, uderzyły jej lekko do głowy.

Uświadomiła to sobie w chwili, gdy stała zbyt blisko

niego, kiedy po kolacji przeszli do holu. Nieznacznie się odsunęła, podziękowała Pierre'owi Colbertowi za wieczór i obiecała, że podpisze i przyśle mu kontrakt natychmiast, gdy tylko jej prawnik go zaakceptuje.

- Nie musi mnie pan odwozić - zwróciła się do Andre.  
- Wezmę taksówkę.

- Chcę panią odwiedzić - zapewnił ją z uśmiechem, który jej umysł odebrał jako ostrzeżenie, ciało zaś zareagowało przyjemnym podnieceniem.

Byli już w samochodzie, gdy odwrócił w jej stronę głowę i powiedział cicho:

- Niedaleko jest mała wioska, w której jest fontanna zbudowana przez Rzymian. Działa do dziś. Chciałaby pani ją zobaczyć? Jest jeszcze wcześniej.

- Ale jest ciemno - zaprotestowała, śmiejąc się wbrew sobie. Kiedy to po raz ostatni tak się świetnie bawiła i zachowywała - może trochę jak podlotek? Andre jednak był wspaniałym towarzyszem, obsypywał ją komplementami i czuła się przy nim znakomicie, mimo że należał do tego typu mężczyzn, z którymi nie potrafiłaby się związać na całe życie.

Czy to właśnie tego brakowało w jej związku z Marcusem? Stali się zbyt poważni, nie potrafili już się razem bawić. Marcus był ostatnio daleki i nieprzystępny, podczas gdy przy Andre czuła się młodo i cudownie. Przy Marcusie przytłaczał ją ciężar obowiązków, przy Andre potrafiła się śmiać... Pograżona w rozmyślaniach, dopiero po chwili stwierdziła, że Andre zjechał z szosy. Gdy spojrzała na niego, powiedział łagodnie:

- Jest prawie pełnia; wystarczy, żeby dostrzec fontannę. - A potem uśmiechnął się szeroko i dodał prozaicznie:

- A oprócz tego plac jest wieczorem oświetlony, żeby turyści dobrze widzieli fontannę i kościół.

Eleanor roześmiała się, niemniej potrząsnęła głową.

- Nie mogę - odparła z żalem. - Samolot odlatuje wcześniej rano, a jeszcze się nie spakowałam. Proszę, zawróćmy...

- Jeśli pani tego sobie życzy....

Spojrzała na niego przeciągle. Ma rację z tym księżycem: jest na tyle jasno, że wyraźnie widać profil. Andre ma niesłychanie zmysłowe usta, przyznała w duchu, jeszcze lepsze niż ostatni kochanek Jade. Na sekundę postanowiła zapomnieć o bożym świecie i zastanowić się, jaki mają smak... Lecz tylko na sekundę, bo gdy umysł odgadł, jakim wahaniom podlegają jej uczucia, wyprostowała się i rzuciła stanowczo:

- Tak, tego sobie życzę.

Nie próbował namówić jej do zmiany decyzji; zauważyła jedynie, że kiedy mijali zacienioną zatoczkę przy drodze, samochód leciutko zwolnił, lecz gdy milczała, natychmiast przyspieszył. Jeśli Andre był zawiedziony jej odmową, nie dał tego po sobie poznać; przez resztę drogi do hotelu rozmawiał z nią swobodnie o interesach wuja i roli, jaką w nich odgrywa. W Arles odprowadził ją do wejścia do hotelu, tam jednak odwróciła się i powiedziała z uśmiechem:

- Dalej pójde sama.

- Jeśli jest pani pewna...

- Jestem pewna.

Był taki moment w samochodzie, kiedy gotowa była dać się skusić, nie tyle Andre, ile temu, co sobą reprezentował, teraz jednak ten moment bezpowrotnie minął, pozostawiając ją z myślami o tym, co się wydarzyło.

stawiając po sobie tym silniejsze przekonanie, jak wiele znaczy dla niej Marcus. A ona - ile dla niego znaczy? Poczwała, że musi jak najprędzej znaleźć się w pokoju i zadzwonić do domu, do męża.

Była w połowie holu, gdy go zobaczyła. Na jej twarzy odmalowały się zdziwienie, radość i niedowierzanie.

- Marcus, co tu robisz?

- Chciałem być z tobą - powiedział zgodnie z prawdą.

Nieważne, z jakiego powodu wyjechał z Londynu. Teraz był tutaj, z nią, i widział na jej twarzy radość i miłość. W jej oczach pojawiły się łzy, usta zdrząły, i zapragnął jej tak gwałtownie, że z trudem nad sobą zapanował.

- Och, Marcus... Marcus... - szeptała, gdy ją przytulił.

Później, przytulona do niego w wielkim łóżku w apartamencie, który zarezerwował, Eleanor spytała sennie:

- Powiedz mi jeszcze raz, kto się zajmuje Vanessą.

Odpowiedział krótko, całując lekko delikatną skórę jej szyi.

- Sondra Cabot? Czy to nie ta Amerykanka, która przyjechała tutaj w ramach wymiany?

- Mmm.

Dotarł już ustami do jej piersi, lecz nagle poczuła lekką zmianę jego oddechu, jakby wahanie, niemal napięcie.

- Marcus, dlaczego...

- Daj spokój z Vanessą - odparł szorstko.

Z tego wnioszek, że jego córka nadal stanowi niebezpieczny temat, postanowiła jednak o nią nie wypytywać, nie chcąc psuć nastroju. Marcus znów wprawiał ją w podniecenie i nie zdążyła mu powiedzieć, że nie o Vanessę jej chodziło, lecz o Amerykankę. Później go zapyta, jak do tego doszło, że Sondra opiekuje się Vanessą, bo teraz...

Wydała ciche westchnienie rozkoszy i zatopiła palce w jego włosach.

Minęły dwa cudowne dni, po czym Marcus oświadczył, że pora wracać. Dopiero w samolocie Eleanor uświadomiła sobie, że ich wspólnie spędzony czas dowiódł jedynie tego, że Marcus nadal ją kocha, nie rozwiązał jednak żadnego z jej problemów i obaw. Chciała z mężem o tym porozmawiać, trochę się jednak bała. Kiedy poprzedniego wieczoru wspomniała, jak bardzo chciałyby kupić dom, natychmiast skrzywił się i spytał z irytacją:

- Nell, czy musimy teraz o tym mówić? Czy to naprawdę aż takie ważne?

Niemal w tej samej chwili ją przeprosił, lecz te słowa odczuła jak zimny powiew.

Dom był pusty, kiedy wrócili. Eleanor z dziwnym uczuciem wkraczała do cichego i czystego holu. Powinna być zadowolona, że oszczędzona jej została potencjalna konfrontacja z Vanessą, tymczasem jednak, gdy weszła do nieskazitelnie czystej kuchni, poczuła na ciele gęsią skórę.

Ten dom jakoś inaczej pachnie, pomyślała, i dopiero pół godziny później, kiedy Sondra wróciła z Vanessą i Sashą, domyśliła się, dlaczego. Ten obcy zapach to perfumy tej Amerykanki. Eleanor poczuła, że jej nie lubi, i natychmiast zganiła się w myślach. Może jestem raczej zazdrosna? - spytała sama siebie, przysłuchując się przekomarzaniom dziewcząt.

Marcus stał teraz w ich towarzystwie po jednej stronie stołu, podczas gdy Eleanor stała samotnie po drugiej i czuła się jak intruz.



- Dobrze wyglądasz - odezwała się Sondra do Marcusa. - Nawet się opaliłeś. Upiekłyśmy dziś rano ciasteczka - dodała z uśmiechem. - Spróbujesz?

Wyszła dopiero po trzech godzinach. Były to najdłuższe trzy godziny w życiu Eleanor, bo liczyła każdą minutę. Ostatnie sześćdziesiąt minut przesiedziała sama w sypialni, nie mogąc patrzeć ani chwili dłużej na scenę rozgrywającą się w jej kuchni, w jej domu, z jej mężem, nie zdradzając przy tym swych uczuć. Zesztywniała, kiedy w końcu Marcus wszedł do sypialni.

- Eleanor, coś ci dolega?

- Nic mi nie dolega - odpowiedziała ze złością - ale nie lubię, kiedy ktoś sprawia, że we własnym domu czuję się obco.

Marcus musiał w duchu przyznać jej rację. Amerykanka nie ukrywała swojego zainteresowania panem domu. Eleanor nie należała do zazdrosnych ani zaborczych kobiet, nie zamierzała jednak siedzieć w kuchni i patrzeć, jak inna kobieta nie tylko flirtuje z jej mężem, lecz otwarcie niemal go prowokuje. Co gorsza, Marcus nie zrobił nic, by ją powstrzymać. Nawet Vanessa i Sasha odgadły, co się dzieje. Eleanor poczuła ból w sercu, gdy przypomniała sobie triumfalne spojrzenie, jakim Vanessa ją obrzuciła. Nic dziwnego, że tak przyłgnęła do tej Amerykanki. Pomyślała z goryczą, że Vanessa będzie po stronie każdej kobiety, która zechce wyeliminować ją z życia Marcusa. Stała do niego plecami i spojrzała przez okno.

- Nell?

Odwróciła szybko głowę.

- Dlaczego pozwoliłeś jej tu zostać, Marcus?

Zmarszczył czoło, jak gdyby nie rozumiał jej pytania,

a potem zirytowanym gestem przejechał palcami po włosach i powiedział:

- Przecież wiesz. Żeby zajęła się Vanessą.

- A przedtem pewnie zajęła się tobą.

Wyrzuciła z siebie te słowa, zanim zdążyła się zastanowić, co mówi. Na twarzy Marcusa pojawił się grymas niesmaku. Eleanor poczuła się równie nieswojo i przez głowę przemknęła jej myśl, że lepiej milczeć, lecz wstąpiła w nią jakaś niszcząca siła i usłyszała swe gorzkie słowa:

- Powiedz mi jeszcze raz, po co przyjechałeś do Prowansji. Powiedziałeś, że chciałeś być ze mną. Dla mnie samej... czy dlatego, że chciałeś mnie porównać z nią? I co? Chyba nie ma żadnego podobieństwa? Spytaj Vanesę.

Marcus wpatrywał się w nią zdumiony, walcząc ze złością i poczuciem winy. Nie zrobił nic, by zasłużyć na oskarżenia, jakimi Eleanor go obrzucała. Wręcz przeciwnie: uczynił wszystko, co mógł, żeby nie ulec pokusie. A jednak Eleanor go oskarża... A jeśli nawet został wystawiony na pokusę, to czy to jego wina? Czy Nell nie widzi, jaką krzywdę robi jemu i ich związkowi swoją obsesją na punkcie tego cholernego domu? Czy nie wie, jak na niego działa świadomość, że zajmuje jedno z ostatnich miejsc na liście jej priorytetów? Nawet w Prowansji tak naprawdę chciała rozmawiać tylko o domu. Czy ona niczego już nie rozumie? Nie pojmuje, że on nie chce się przeprowadzać? Ale przecież nie może jej tego wyznaczyć...

- Nie mam z nią romansu, jeśli to chciałaś powiedzieć. Nawet o tym nie pomyślałem.

- Ale ona tak! - rzuciła z furją. - I jeśli chcesz mi wmówić, że tego nie zauważyłeś, to lepiej nie mów nic, bo wszyscy to widzą. Po co ona tu w ogóle przyszła!

Nie była już zła, lecz bliska płaczu. Może i Marcus nie spał z tą Amerykanką, ale też nie próbował jej do siebie zniechęcić. Bo gdyby dał tej kobiecie do zrozumienia, że go nie interesuje, to nie siedziałyby dzisiaj w ich kuchni, nie flirtowałyby z nim, nie zachowywałyby się tak, jak gdyby jego żona po prostu nie istniała. Gdy Marcus wziął prysznic i kładł się do łóżka, udała, że śpi.

# Na dobre i na złe

20

- Nell? Jak się masz?

Eleanor westchnęła, poznając głos swego księgowego.

- Dobrze, Charles. A ty?

- Świetnie. Słuchaj, mam pewne problemy z uzyskaniem pożyczki na ten dom i muszę to z wami omówić. W weekend jadę na konferencję, ale wracam na początku tygodnia i...

- Wtedy Marcus będzie w Hadze - przerwała mu. - Ma tam sprawę i nie wie, jak długo to potrwa.

- Hmm. No cóż, musimy podjąć jakąś decyzję. Naciskam na kredytodawców, jak mogę. Może wobec tego spotkam się tylko z tobą? Odpowiada ci wtorek rano?

- Tak - odpowiedziała zmęczonym głosem.

Odkładając słuchawkę, poczuła narastający ból głowy i ogłuszyły ją dźwięki muzyki, napływające z pokoju Vанны. Tygodnie mijały straszliwie powoli, ale już za kilka dni ma wrócić Julia. Sasha na szczęście wyjechała wkrótce po ich powrocie z Francji. Na pytania Eleanor dotyczące tego, jak ma zamiar dojechać do szkoły i czy trzeba skontaktować się z jej przybranymi rodzicami, odpowiadała wzruszeniem ramion.

- Sasha sama o sobie decyduje. Nie pozwala nikomu decydować, co ma robić - oświadczyła pogardliwie Vannes-

sa, gdy przy kolacji Eleanor wyraziła zaniepokojenie zachowaniem dziewczyny.

Od czasu ich powrotu z Francji w domu panowała duszna atmosfera. Nad kłótnią z powodu Sondry zdołali przejść do porządku dziennego. Marcus przyznał, że był świadomy zainteresowania Amerykanki, ale powtarzał z uporem, że Eleanor myli się sądząc, że on to zainteresowanie odwzajemniał. Eleanor ze swej strony przyznała, że chyba trochę przesadziła.

Dziś, gdy odwiozła chłopców do szkoły, miała pojechać z Vanessą na zakupy. Była to przyjemność, którą obie by sobie chętnie darowały.

Pierre Colbert zadzwonił poprzedniego wieczoru z pytaniem, czy można przyspieszyć podpisanie umowy, bo ma już pilne tłumaczenia. Później, bardziej zmartwiona tym telefonem niż ucieszona, Eleanor próbowała wyjaśnić Marcusowi, że nie poradzi sobie z taką ilością pracy, jeśli nie będzie miała miejsca, w którym mogłaby się od wszystkiego odizolować. Pracując w tym domu, gdzie, aczkolwiek z niechęcią, właściwie zaanektowała już gabinet Marcusa i gdzie ciągle coś ją od pracy odrywa, nie jest w stanie spełnić warunków umowy. Tłumaczenia od Pierre'a Colberta są trudne i wymagają pełnej koncentracji, a jak tu się koncentrować, gdy ma się tyle na głowie?

Żywiła nadzieję, że zdoła przedłużyć podpisanie umowy do czasu załatwienia przeprowadzki, teraz jednak musiała przyznać, że o pracy w nowym domu będzie mogła zacząć myśleć dopiero za kilka miesięcy, a poza tym nadzorowanie remontu zajmie jej mnóstwo czasu. Z drugiej strony stawało się coraz bardziej jasne, że pieniądze, jakie mogłaby zarobić po podpisaniu kontraktu, niezmiernie się przydadzą.

Vanessa nadal z pogardą wypowiadała się o kupnie domu; powtarzała, że ostatnią rzeczą, o jakiej marzy, jest pobyt w walącej się, wiejskiej ruderze. Nie interesowało jej zupełnie to, że będzie tam miała własny pokój i może go sama urządzić, z przyjemnością jednak opowiadała wciąż o Sondrze i o tym, jak to Amerykanka nie znosiła swojej macochy.

- Jej ojciec w końcu się z nią rozwiódł i było oczywiste, dlaczego. Teraz ma znacznie młodszą żonę i Sondra znakomicie się z nią dogaduje.

Eleanor starała się nie tracić poczucia humoru, gdzieś w głębi jej duszy krył się jednak niepokój, że Marcus, wbrew swoim zapewnieniom, nie jest zupełnie obojętny na wdzięki Sondry.

- Pamiętasz, że w ten -weekend jadę do Hagi? - spytał teraz, wchodząc do kuchni.

- Tak, pamiętam.

Stała odwrócona do niego plecami i mówiła napiętym głosem. Mimo że dawno już wyjaśnili sprawę Sondry, ciągle czuła się dotknięta.

- Posłuchaj, Nell... — Marcus położył ręce na jej ramionach i odwrócił twarzą do siebie. - A może byś pojechała ze mną? Wiem, że nie będę mógł poświęcić ci zbyt wiele czasu, ale tam są wspaniałe galerie i muzea, no i będziemy mieli dla siebie wieczory. Dostałem zaproszenie na przyjęcie u ambasadora, na pewno spodoba ci się i...

- Nie mogę - zaprotestowała z żalem. Marcus zdjął ręce z jej ramion, rysy mu stężały. - Nie mogę zostawić chłopców, no i ten dom. Charles właśnie dzwonił i...

- Przestań z tym domem! - zawołał ze złością. - Nell, czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym? Ciągłe ten

dom i dom, a przecież to tylko kupa cegieł związanych zaprawą! Na dodatek wcale nie jest taki atrakcyjny. Wiem, ile to miejsce dla ciebie znaczy, ale sposób, w jaki się tym zajmujesz... Odnoszę wrażenie, że jest to najważniejsza rzecz w twoim życiu.

Eleanor patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami, zaskoczona jego wybuchem.

- Jesteś niesprawiedliwy, Marcus - powiedziała w końcu. - Chcę kupić ten dom, bo wiem, że to bardzo ułatwi nam życie. Wiem, że...

- Czyżby? - spytał ironicznie. - A może tylko tobie ułatwi życie? Znam mnóstwo przypadków, Nell, w których sprawa domu przyczyniła się do rozpadu małżeństwa, i ani jednego, w którym by małżeństwo to zostało scalone. Co właściwie masz zamiar osiągnąć? Poprawić stosunki z Vannessą? Ona nie chce się przeprowadzać, ale ty jej nie słuchasz. Więcej swobody i miejsca dla chłopców? Może, ale pozbawisz ich wtedy szkoły, w której się już zadomowili i gdzie mają kolegów. Oni dopiero zaczynają przyzwyczajając się do naszego związku, a poczucie bezpieczeństwa nie rodzi się z marzeń o romantycznej idylli dzieciństwa na wsi, lecz z kontaktów z ludźmi, z którymi się mieszka, ze świadomości, że jest się przez nich kochanym. A obserwując cię odnoszę wrażenie, że bardziej ci zależy na tym domu niż na nich. Zastanów się, Nell: czy chcesz tego domu dla nich, czy dla siebie?

Eleanor patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu, po czym odezwała się drżącym głosem:

- Nie chcesz się tam przeprowadzić, prawda? Od początku nie chciałeś.

- Tak - odparł spokojnie. - Nie chcę. Po pierwsze, jest

za daleko; dojazdy zajmą mi więcej czasu, niż bym chciał. Po drugie uważam, że nie stać nas na to. Przyjdzie kiedyś taki moment, że oboje zaczniemy żałować czasu i pieniędzy, jakie ten dom pochłonał. Nie jestem nawet pewien, czy będziesz czerpać jakieś korzyści płynące z jego położenia. Chyba oczekujesz zbyt wiele, Nell. To tylko dom, a nie magiczne zaklęcie, które uszczęśliwi całą rodzinę.

Zauważył jej dziwne spojrzenie i urwał.

- Cały czas - odezwała się drewnianym głosem - cały czas tego nie chciałeś, ale siedziałeś cicho. Co miałeś zamiar zrobić, Marcus? Czekać do chwili, gdy umowa będzie gotowa do podpisu, czy też pozwolić mi ją podpisać i przy pierwszej okazji, kiedy pojawią się kłopoty, powiedzieć: A nie mówiłem?

Była blada, a w jej głosie brzmiało tyle rozżalenia, że Marcus przeklął się w duchu za to, że źle wybrał porę.

- Posłuchaj, ja...

Urwał, bo do kuchni wpadli Tom i Gavin, kłócąc się, do którego z nich należą jakieś kredki.

- Nie będziemy teraz o tym rozmawiać - dokończył Marcus spokojnie. - Muszę już iść. Do wieczora.

Eleanor odwróciła się do niego plecami i próbowała pogodzić synów.

Marcus wyszedł do przedpokoju. Wkładając marynarkę myślał, że zranił i rozgniewał żonę. Nie miał takiego zamiaru, ale gdyby nie była tak bez reszty pochłonięta tym domem, na pewno dostrzegłaby, że on nie podziela jej entuzjazmu. Przecież dawał jej to i owo do zrozumienia,

W drodze do samochodu z niezadowoleniem uświadomił sobie, że gdzieś w zakamarkach umysłu pojawiła się myśl, że gdyby Eleanor tak bardzo nie przejmowała się



potrzebami innych, dawno dostrzegłaby jego nastawienie wobec domu. Zachnął się i postanowił nie rozmyślać więcej na ten temat.

- A to? - spytała Eleanor znużonym głosem, biorąc do ręki piękny zielony komplet z bawełny, składający się z krótkich spodni i bluzki.

- Rany, ale ohyda! - jęknęła Vanessa. - Nic tu nie ma - dodała z pogardą. - Czy nie możemy pojechać gdzie indziej?

Eleanor posłusznie odłożyła komplet i ruszyła za pasierbicą do drzwi. Objechały już niemal wszystkie sklepy, a Vanessa nie znalazła ani jednej rzeczy, która by się jej spodobała. Pozostały jeszcze tylko dwa miejsca.

W pierwszym z nich, pełnym stojaków zawieszonych zakurzonymi, używanymi ubraniami, Eleanor starała się nie marszczyć nosa ani nie krzywić. Na szczęście Vanessie i tutaj nic się nie spodobało, choć Eleanor pomyślała, czy nie pogratulowała sobie zbyt szybko, gdy w następnym sklepie, do którego pasierbica postanowiła wejść, sprzedawano młodzieżowe wersje strojów bardzo drogiego domu handlowego.

- To tylko odpady z Diffusion - poinformowała Vanessa ze wzruszeniem ramion, gdy Eleanor wyraziła swe wątpliwości. - Znacznie tańsze niż wiodąca kolekcja. Sondra powiedziała, że w Nowym Jorku wszyscy teraz noszą jego rzeczy.

Dziesięć minut później, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia, zarówno na widok strojów, jak i ich cen, Eleanor skonstatowała ponuro, że skoro w Nowym Jorku „wszyscy” się tak ubierają, to wszyscy muszą mieć wyjątkowo pobłażliwych i zamożnych rodziców.

Gdy Vanessa zniknęła w przymierzalni ze stosem niebotycznie drogich ubrań z lycry, Eleanor stanęła przy wystawie i patrzyła przed siebie. Patrzyła nie na elegancko przyodżiane manekiny, lecz myślała o swej wcześniejszej rozmowie z Marcusem.

Dlaczego dopiero teraz powiedział jej, że nie chce się przeprowadzać? Czy miał rację mówiąc, że ona chce tego domu dla siebie, by spełnić marzenia z dzieciństwa, a nie by scalić swoją obecną rodzinę? W tych kilku krótkich słowach nakreślił obraz kobiety, którego nie chciała widzieć: kobiety z uporem dążącej do celu, nadmiernie kierującej się swoimi pragnieniami i nie dostrzegającej potrzeb innych.

Czy naprawdę jest taka? Czy Marcus taką ją widzi?

- Chcę zobaczyć, jak to wygląda na dworze.

Vanessa wyłoniła się z przymierzalni w sukience, która była zbyt obcisła i za krótka jak na dziewczynę w jej wieku, Eleanor postanowiła jednak tego nie mówić, ujrawszy zbuntowany wyraz jej twarzy. Otrzymawszy zgodę ekspedientki, wyszły na ulicę. Gdy przechodziły przez drzwi, rozległ się przenikliwy sygnał; sukienka miała na sobie plakietkę alarmową.

- Nie, nie podoba mi się - oświadczyła Vanessa, ku zdumieniu i uldze Eleanor. - Potrzyj mi to, dobrze? - powiedziała rozkazującym tonem, wręczając macosze wielką torbę na ramię, z którą się nie rozstawała, po czym dodała: -I zostań tutaj, ja zaraz wracam.

Vanessa wróciła do przymierzalni, z której wyszła w swoim ubraniu, sukienkę zaś wręczyła ekspedientce. Mimo że nie znalazła nic odpowiedniego, sprawiała wrażenie lekko podnieconej. W drodze do samochodu uśmiechnęła

się nawet, co Eleanor uznała za dobry omen. Może w końcu uda się im dojść do porozumienia?

- Możemy pójść gdzieś na lunch, jeśli chcesz - zaproponowała, lecz Vanessa natychmiast pokręciła głową.

- Muszę zadzwonić do Sashy - oznajmiła - a potem się spakować. Czy mama mówiła, kiedy po mnie przyjedzie?

- Nie, bo nie znała dokładnej pory swego przylotu - odparła, usiłując zignorować jęk zawodu, jaki wydała Vanessa.

Pół godziny później weszła na górę, by spytać pasierbicę, co zje na lunch. Drzwi sypialni były otwarte, Vanessa leżała na łóżku twarzą do ściany i swobodnie rozmawiała przez telefon.

- Tak, to była pestka, miałaś rację. Nic się nie skapowała. Mam ją... - Odwróciła głowę i ujrzała Eleanor. - Słuchaj, Sasha, muszę iść - rzuciła do mikrofonu, szybko odłożyła słuchawkę i zwróciła się do macochy: - Nie musisz mnie szpiegować, nie jestem więźniem - zaczęła wojowniczym tonem, Eleanor zachowała jednak kamienny spokój.

- Skąd masz tę sukienkę, Vanesso?

Obie znały odpowiedź. Taką samą sukienkę Vanessa przymierzała w sklepie firmowym Diffusion. Nadal widniała na niej metka, a plakietka alarmowa musiała być gdzieś w środku.

Vanessa wydeła wargi i wzruszyła ramionami.

- No dobra, wzięłam ją - przyznała zirytowana. -I co z tego? Wszyscy tak robią. A sklep wlicza to nawet w ceny, bo wiadomo, że tak się dzieje. Wielkie mi rzeczy.

Eleanor patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Ukradłaś sukienkę i uważasz, że to nic?

- Nie ukradłam. Po prostu włożyłam do torby. - Va-

nessa złośliwie się uśmiechnęła. - A potem dałam tę torbę tobie.

Eleanor ze złością wzięła suknię do ręki.

- Co robisz? - zawołała Vanessa. - To moje.

- Nie. Ta sukienka jest własnością sklepu i za chwilę tam wróci. Jak mogłaś coś takiego zrobić? Twój ojciec...

- Oo! Ty znowu musisz go we wszystko mieszać. Nie możesz się wprost doczekać, aż mu opowiesz całą historię. A przecież to nic takiego. Wszyscy tak robią.

- To kradzież! Czy nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji? Jak możesz mówić, że po prostu to sobie wzięłaś?

- Tak, kiedy ja coś biorę, to źle - krzyknęła Vanessa - ale kiedy biorą tacy jak ty, to dobrze, prawda?!

- Co to znaczy? Ja nigdy niczego nie ukradłam...

- Ukradłaś mojego ojca - rzuciła Vanessa z goryczą.

Eleanor usiadła na łóżku, starając się dostrzec w tym wszystkim jakiś sens.

- Wy! Dorośli, dojrzały... - szydziła Vanessa. - Robicie, co chcecie, bierzecie, co chcecie, a potem mówicie nam, że to jest złe!

- Co? - zawołała Eleanor. - Myślisz, że ja ci zabrałam ojca? Przecież był rozwiedziony, kiedy go poznałam!

- Tak, ale teraz wszystko jest inaczej. Ty chcesz wszystko zmienić. Na pewno chcesz, żeby umarła albo trafiła do więzienia, no nie? Znam to na pamięć. Kilka moich koleżanek ma macochy. Najpierw im dają, co tylko zapragną, wiele obiecują, ale tylko przed ślubem, bo potem wszystko się zmienia. Zaczynają rodzić dzieci i narzekać, że pasierbice hałasują, że bałaganą, i zaczyna im brakować miejsca...

Eleanor przypomniała sobie, jak Tom kiedyś wspo-

mniał, że ona i Marcus będą mieli dziecko; wtedy po prostu uznała, że Vanessa jest złośliwa.

- A mama jest taka sama. Wprost nie mogła się doczekać, żeby wysłać mnie do was i pojechać do Ameryki.

Eleanor spojrzała na nią bezradnie. Gdyby Vanessa była jej dzieckiem, przytuliłaby ją do siebie i powiedziała, jak bardzo ją kocha, jak bardzo jest dla niej ważna i że zawsze będzie częścią jej życia. Ale ta mała była córką Marcusa i jego pocieszenia potrzebowała. Poza tym Vanessa całą swą postawą wskazywała, że ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, to współczucie ze strony macochy. Lecz bez względu na to, czy Vanessa naprawdę była wzburzona, czy tylko grała, Eleanor nie mogła przymknąć oczu na sprawę sukienki.

- Jadę ją oddać - oświadczyła - a potem...

- Potem co? - przerwała Vanessa agresywnie, - Doniesiesz na mnie ojcu? On też mnie nie chce. Nigdy mnie nie chciał. Oni nie chcieli mieć dzieci, mama mi to powiedziała. Od niego się tego nie dowiesz...

Eleanor poczuła się nieswojo, słysząc w jej głosie gniew i gorycz.

- Kobiety często rodzą nie planowane dzieci - powiedziała - ale to nie znaczy, że ich nie chcą i nie kochają. Ja właściwie też nie planowałam Gavina...

- Oj, przestań! Doskonała Eleanor, i taka wpadka? Może i jesteś doskonała we wszystkim, ale na pewno nie będziesz doskonałą macochą. Wolałabym, żeby żona taty była podobna do Sondry.

Doskonała! Czy ona naprawdę tak ją postrzega? Gdyby tylko znała prawdę!

- Nie jestem głupia - ciągnęła Vanessa. - Mama udaje,

że gdyby mogła, chętnie by mnie wzięła do Los Angeles, ale ja wiem... I wy też mnie tu nie chcecie.

- To nieprawda - zaoponowała Eleanor.

- Prawda. Nie możesz się doczekać, aż twoi synowie znowu zamieszkają w moim pokoju.

- Mylisz się. Mamy tutaj trochę za mało miejsca i tylko dlatego chcemy się przeprowadzić, ale... - Urwała. To jest temat do rozmowy z Marcusem, a nie z Vanessą. To Marcus musi przekonać swą córkę, że jest kochana.

Eleanor wzdrygnęła się, gdy w drzwiach sklepu zawył alarm. Czekając na kierownika, w myślach powtarzała przemowę, którą sobie przygotowała. Kiedy podeszła do niej młoda kobieta, powtórzyła, że sukienka musiała wpaść do jej torby przypadkowo. Kobieta najwyraźniej nie uwierzyła.

- To często się zdarza - powiedziała, biorąc od Eleanor sukienkę. - Robimy wszystko, żeby z tym skończyć, ale nie można ich wszystkich złapać. Widzi pani, to dla nich taka zabawa, wyzwanie, bo na ogół stać ich na te rzeczy, mimo że są takie drogie. Policja to pani potwierdzi.

Vanessa siedziała w sypialni i pakowała swoje rzeczy. Nie odezwała się do macochy od chwili jej powrotu ze sklepu. Eleanor powinna była się zająć pracą, ale nie mogła się skoncentrować. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, wstała z westchnieniem znużenia.

- Jade! - zawołała z radością, gdy ujrzała stojącą u progu przyjaciółkę.

- We własnej osobie. Mam trochę czasu, więc pomyślałam sobie, że wpadnę. Pod koniec tygodnia wyjeżdżam do Stanów.

- Z Samem?

- To zależy od niego. - Jade wzruszyła ramionami. - Już jestem za stara, żeby bawić się w jakieś gry. Że też zawsze muszę się zakochać wtedy, kiedy... Nell, co ci jest?

Eleanor skrzywiła się. Czyżby jej uczucia były aż tak widoczne?

- Łatwiej byłoby powiedzieć, co mi nie jest...

- No już, muszę o wszystkim wiedzieć.

Przeszły do saloniku i usiadły na kanapie.

- A więc Marcus nie chce tego domu - przerwała jej Jade kilka minut później. - No to znajdź inny.

- Nic nie rozumiesz. On mi o tym nie mówił, Jade. Pozwolił mi robić plany i wierzyć, że to jest nasze wspólne przedsięwzięcie, a tymczasem... Wydaje mi się, że zupełnie go nie znam. Poczułam się *taka egoistyczna, niczego nieświadoma*. Powiedział, że chce spełnić swoje marzenia z dzieciństwa, że uważam ten dom za magiczne zaklęcie...

- A nie? - spytała Jade łagodnie. - Nie chcę cię krytykować, Nell. Wiem, jak bardzo kochasz Marcusa, i doskonale rozumiem, dlaczego chcesz kupić ten dom, ale Marcus ma rację. Nie stanie się cud i dom nie zrobi z was idealnej rodziny. Prawdę mówiąc nie sądzę, by taka rodzina w ogóle istniała, oczywiście poza wyobraźnią specjalistów od reklamy.

- Ależ Jade, ja tylko chciałam, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi, a teraz czuję się tak, jakbym specjalnie ignorowała uczucia i potrzeby innych i koncentrowała się wyłącznie na sobie. Kiedy mówił o tym domu, słyszałam w jego głosie niechęć i zaczęłam się zastanawiać, czy ma dosyć tego domu, czy mnie.

- Nell! Marcus cię kocha.

- A najgorsze jest to - ciągnęła spokojnie Eleanor - że jak się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, to widać, że ten dom się dla nas nie nadaje, a jednak ja tego nie widziałam i brnęłam ślepo dalej, nie przejmując się reakcjami Marcusa. Co ze mnie za kobieta, Jade? Nie wiem, kiedy moi synowie są nieszczęśliwi; nie wiem, co mój mąż naprawdę myśli i czuje; nie wyczuwam, że moja współpracowniczka chce zerwać spółkę; nie dostrzegam, że zdaniem mojej pasierbicy ukradłam jej ojca. Kobieta powinna wiedzieć takie rzeczy, rozumieć i starać się wszystkiemu zaradzić, a ja...

- A ty jesteś tylko człowiekiem, Nell, a nie Panem Bogiem. Nie możesz przewidzieć reakcji wszystkich ani czytać w cudzych myślach.

- Zgoda, ale może mogłabym ich uważniej słuchać. Chciałam, żeby nam było dobrze, Jade, a tylko wszystko pogorszyłam.

-- Sama nie możesz nic zdziałać. Żeby coś zmienić, każdy musi tego chcieć. Przestań się martwić tak bardzo szczęściem innych i pomyśl trochę o swoim.

- Według Marcusa, właśnie to robię - oświadczyła Eleanor gorzko. - Ale nie to jest najgorsze - dodała i opowiedziała Jade historię z sukienką.

- Niech Marcus się tym zajmie - poradziła Jade. - Vanessa pewnie z tego powodu to zrobiła.

- Żeby zwrócić na siebie jego uwagę? - spytała Eleanor ze zdumieniem. - Ależ Jade, on ją kocha. On...

- Czyżby? - wtrąciła Jade. - Ile czasu z nią spędzał, zanim cię poznał, Nell? A teraz pomyśl, jak byś się czuła w sytuacji Vanessy, podejrzewając, że ojciec toleruje cię tylko dlatego, że macocha uważa za swój obowiązek dopil-



nować, żeby cię widywał. Słuchaj, muszę już iść. Za pół godziny mam spotkanie z masażystą. - Wzruszyła lekko ramionami. - Jest brutalny, ale skuteczny. Te moje uda...

Eleanor roześmiała się.

- Twoje uda są doskonałe. Podobnie jak całe ciało.

- Porozmawiaj z Marcusem - powtórzyła Jade, gdy Eleanor odprowadzała ją do drzwi. - A jeśli chcesz, żeby Vanessa przekonała się, jak naprawdę mogą wyglądać represje ze strony dorosłych, przyślij ją na kilka dni do mnie, do Nowego Jorku.

Zanim Eleanor zdążyła powiedzieć słowo, już jej nie było. Eleanor wróciła do saloniku i usiadła na kanapie, długo rozważając słowa przyjaciółki. Potem wstała i wyjęła z biurka teczkę z dokumentami posiadłości Broughtonów. Oczami pełnymi łez patrzyła na zdjęcie domu. Ten, kto powiedział, że prawda nie boli, nie miał pojęcia o słałości psychiki ludzkiej, a zwłaszcza psychiki kobiety.

- Marcus...

Zmarszczył czoło. Wrócił do domu późnym popołudniem i był zmęczony. Miał za sobą ciężki dzień, tym gorzszy, że przez cały czas czuł się nieswojo z powodu porannej sprzeczki. Wiedział, że muszą porozmawiać, ale w tej chwili...

- Marcus...

Odwrócił się gwałtownie.

- Nie teraz, Eleanor. Proszę. Muszę zdążyć na ten samolot. Słuchaj - dodał posepnie - jeżeli ten dom tak wiele dla ciebie znaczy, to go kup. Ja próbowałem ci wyjaśnić, co o tym myślę, ale ty najwyraźniej nie uważasz moich myśli za ważne, więc kup ten dom. Rób sobie, co chcesz, ale ja...

- Urwał, gdy zobaczył jej zmienioną twarz. Nagle dotarło do niego, co mówi i robi. - Nell..,

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Eleanor bez słowa ruszyła do holu, po czym wróciła i powiedziała chłodno:

- To twoja taksówka.

Marcus zaklął pod nosem. Że też musiał się z tym wyrwać teraz, kiedy nie ma czasu na wyjaśnienia.

- Nell, muszę iść, ale kiedy wrócę...

Eleanor minęła go bez słowa i zniknęła w kuchni.

W niespełna piętnaście minut po jego wyjściu zatłamał się jej kamienny spokój i wrócił ból. Dlaczego nie powiedziała mu, że nie o domu chce porozmawiać? Dlaczego pozwoliła mu wyjść bez pożegnania? Spojrzała na zegar i chwyciła kluczyki do samochodu; powinna zdażyć.

Miała szczęście i drogę do Heathrow przebyła w okamgnieniu. Hala odlotów była tak zatłoczona, że dopiero po kilku minutach odnalazła odpowiednie wejście. Przechajac się między podróżnymi i walizami, dojrzała Marcusa stojącego plecami do niej. Już była gotowa zawołać jego imię, kiedy tuż przy nim stanęła Sondra. Eleanor nieruchomo patrzyła, jak Amerykanka poufałym gestem bierze go pod ramię, jak się do niego przysuwa i opiera na jego ramieniu twarz.

Najpierw poczuła ból, a potem przypływ mdłości, podobnych do tych poprzedzających zemdlenie. Niepewnie zrobiła krok do tyłu, pragnąc znaleźć się od tego miejsca jak najdalej. Mimo że mu to wcześniej zarzucała, nigdy tak naprawdę nie wierzyła, by Marcus mógł ją zdradzać.

- Jedź ze mną - prosił ją wczoraj, a ona odmówiła.

Kiedy więc postanowił wziąć z sobą tę Amerykankę? Czy ich romans już trwa, czy dopiero podczas tej podróży się zacznie?

Z oczami pełnymi łez kierowała się do wyjścia, torując sobie drogę wśród obojętnego tłumu.

# Na dobre i na złe

## 21

Zadzwonił telefon. Zoe sennym ruchem wyciągnęła rękę w jego stronę, przesuwając się w łóżku w poszukiwaniu ciepłego ciała Bena, by się w nie wtulić. Gdy podniosła słuchawkę, uprzytomniła sobie, że Bena nie ma.

- Zoe, kochanie, przepraszam, że zadzwonię tak wcześnie, ale chciałam cię złapać przed wyjściem do pracy. Czy możemy dzisiaj zjeść lunch?

Zoe rozpoznała głos matki. Gdy usiadła na łóżku, poczuła znane już mdłości. Szybko umówiła się na lunch i pobiegła do łazienki. Gdy torsje ustały, stała tam dobrą chwilę nieruchomo, płacząc z rozpacz.

To nie powinno się było jej przydarzyć. Nie może przecież zmagać się z tym niespodziewanym i nie chcianym koszmarem sama. Ben powinien z nią być, Ben, który był ostatnio tak zaabsorbowany innymi sprawami, że nie zauważył, co się z nią dzieje. Wzdrygnęła się, czując przenikliwy chłód i niemal strach.

Czy naprawdę tak niedawno radośnie się śmiała, bezpieczna w przekonaniu, że jest bardzo ważna w życiu tych, których kochała: rodziców i Bena? Kochała ich, oczywiście, lecz oni jej potrzebowali, podczas gdy ona zawsze była wolna od tego rodzaju uzależnienia. A teraz strach i panika, uczucia dotąd zupełnie jej obce, zdawały się wła-

dać jej życiem. Odkąd odkryła, że jest w ciąży, poczuła się osaczona w nieznanym i groźnym świecie, w którym nikt nie dostrzegał jej przerażenia.

Nie mogła sobie pozwolić teraz na dziecko. Najchętniej cofnęłaby wskazówki zegara do chwili poprzedzającej owo fatalne poczęcie, wymazałaby moment, w którym powstało to nowe życie - zagrażające jej życiu. Ogarnęła ją taka panika, że gwałtownie zapragnęła obecności kogoś, kto mógłby ją uratować i chronić. Czy może mieć obok siebie kogoś takiego?

Na pewno nie Bena, którego stosunek do ciąży siostry jedynie potwierdził, że nie chce być ojcem. I na pewno nie rodziców, mających teraz problemy, których istnienia nawet nie podejrzewała. Czy to prawda, że matka, sprawiająca zawsze wrażenie zadowolonej z życia, w tajemnicy tęskniła za czymś innym i z taką samą niechęcią myślała o swojej córce, z jaką teraz ta córka myśli o swoim dziecku? Jakie to wszystko jest straszne, pomyślała Zoe, przypominając sobie, że w głębi duszy pogardzała matką za brak ambicji, mimo że ją bardzo kochała.

W hotelu od kilku osób usłyszała, że wygląda blado. Jej praca wymagała wysiłku zarówno fizycznego, jak i umysłowego, lecz lawina zajęć, która normalnie stanowiła dla niej wyzwanie, dziś ją wyczerpała.

W porze lunchu udała się na spotkanie z matką. Nawet jeśli matka była zdenerwowana kłótnią, którą Zoe podsłuchiwała poprzedniego wieczoru, nie dała tego po sobie poznać. Wręcz przeciwnie: wyglądała na młodszą i szczęśliwszą, tryskała energią. Zoe pomyślała, że chyba nigdy jej takiej nie widziała.

Matka była również inaczej ubrana. Eleganckie jedwabie zastąpiły dziś miękkie, dopasowane džinsy, podkreślające jej smukłą figurę. Rozpuszczone włosy opadały w nieładzie na niedbale zarzucony, rozpinany sweter, pod którym widać było białą bawełnianą koszulkę. To matka, a nie córka, przyciągała pełne podziwu spojrzenia nie tylko kelnerów, lecz również obecnych w restauracji mężczyzn.

- Zoe, taka jestem zadowolona! - oznajmiła, gdy zamówiły lunch. - Dowiedziałam się wczoraj, że zostałam przyjęta na ten kurs. Dzwoniłam do ciebie, ale nikt nie odbierał.

Tak, zapewne byłam w drodze do domu, pomyślała Zoe, lecz nie powiedziała nic. Próbowwała się uśmiechać i dzielić radość matki, cały czas zadając sobie pytanie, dlaczego matka nie zauważa, że córka jest blada i przygnębiona.

- Obawiam się, że twój ojciec nie jest tym zachwycony. - Po twarzy matki przemknął lekki grymas. - Ale powiedziałam mu, że muszę zrobić coś dla siebie, że muszę coś sama osiągnąć. Myślę, że zrozumiał. W końcu ja całe życie godziłam się z tym, jak bardzo ważna jest dla niego praca. Wiem, że i ty mnie zrozumiesz. Przez tyle lat ci zazdrościłam, Zoe. To dzięki tobie zdałam sobie sprawę, jak niewiele dotychczas osiągnęłam.

Niewiele? A więc matka nie uważa, że ona jest jej osiągnięciem? Czy córka nic dla niej nie znaczy? Czy nie jest ważna?

- Wychowałam ciebie, oczywiście - odezwała się matka, jak gdyby czytała w jej myślach - ale ty jesteś teraz niezależna. Już mnie nie potrzebujesz.

Ależ potrzebuję, i to bardziej niż dotąd! Zoe chciała zaprotestować, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Odniosła wrażenie, że wsysa ją zdradliwe bagno, a ona nie jest w sta-

nie nic zrobić, by się wyzwolić. Siedziała więc w milczeniu i słuchała radosnej paplaniny matki, dostrzegała niemal dziewczęce ruchy jej ciała i zainteresowanie, jakie wzbudzała, i nagle poczuła złość, że matka skazuje ją na rolę biernego obserwatora jej życia, gdy bierność była jej zawsze obca.

Dlaczego zawsze odnosiła wrażenie, że matka, że oboje rodzice, są ludźmi, których trzeba chronić i którym trzeba pobyłażać? Siedząca naprzeciwko niej kobieta na pewno nie jest kimś, kogo trzeba chronić przed informacją, że jej córka jest w ciąży i potrzebuje wsparcia. Kiedy Zoe doszła do tego wniosku, poczuła z ulgą, jak z jej serca spada wielki ciężar i ożywa nadzieja. Pochyliła się nad stolikiem i powiedziała:

- Mamo, chciałabym ci coś...

- Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy - ciągnęła matka, nie słysząc jej. - Zapomniałam już, jaką cudowną rzeczą jest niezależność, możliwość samodzielnego podejmowania decyzji. Teraz nie będę już tylko czyjaś żoną i matką. Oczywiście, będę mnóstwo czasu spędzała na różnych kursach, co ojcu się chyba nie spodoba, ale myślę, że dzięki temu wniosem w nasze małżeństwo coś, co zniknęło. Twój ojciec mówi, że mnie kocha, ale trochę mnie lekceważy; czasami traktuje mnie jak dziecko.

Ty stworzyłaś sobie własne życie, i dobrze. Jesteś od nas niezależna i choć długo trudno mi było z tym się pogodzić, teraz jestem zadowolona. Gdybyś nadal miała problemy, martwiłabym się o ciebie i nie mogła poświęcić całego czasu sobie. Kocham cię, Zoe, i choć nigdy nie pomyślałam, że do tego dojdzie, kocham cię bardziej jako niezależną kobietę niż wtedy, kiedy byłaś bezradnym dzieckiem...

Matka z uśmiechem wstała, wyraźnie świadoma swojej urody. Wyglądała na pewną siebie, szczęśliwą kobietę, która z ufnością patrzy w przyszłość i gotowa jest sprostać każdemu wyzwaniu.

Zoe podniosła się również. Czy teraz może jeszcze coś matce powiedzieć? Jak może żądać jej zainteresowania i wsparcia po tym, co usłyszała? Drętwą ucałowała ją na pożegnanie i życzyła powodzenia.

Po południu w pracy znowu poczuła mdłości, wzbudzając tym zainteresowanie jednej z koleżanek, która weszła do łazienki w chwili, kiedy Zoe oglądała w lustrze swą pobladłą i zmęczoną twarz. Jeśli to dłużej tak potrwa, pomyślała, ktoś się wreszcie domyśli. Wróciła do swojego pokoju, otworzyła książkę telefoniczną i po chwili wykreśliła numer.

- A więc jest pani zdecydowana przerwać ciążę?
- Tak - odparła Zoe zmęczonym głosem.

Umówiła się na piątą, lecz dopiero przed szóstą ktoś się nią zajął. Kobieta siedząca naprzeciwko demonstrowała profesjonalną obojętność i spokój. Wyjaśniła już Zoe, jakie ma możliwości wyboru, lecz ta jej nie słuchała. Obie wiedziały, z jakiego powodu się tu znalazła.

- A co o tym myśli ojciec dziecka?

Zoe spojrzała na kobietę z zaskoczeniem.

- Ben? On o tym nie wie - odparła zbита z tropu. - Nie mówiłam mu.

- A może należałoby? To w końcu także jego dziecko - podkreśliła kobieta stanowczym, uprzejmym głosem.

Jego dziecko... Zoe uśmiechnęła się z goryczą, jej spojrzenie stwardniało.



- On nie chce mieć dzieci - odezwała się bezbarwnym tonem. - Nigdy.

- Tak mówi wielu mężczyzn, a potem zmieniają zdanie. W dzisiejszych czasach nadal wychowuje się mężczyzn... chłopców w przekonaniu, że muszą utrzymać kobietę i dzieci, i dlatego często nie chcą mieć potomstwa. Ze strachu. Ale czy można ich za to winić? Dziecko to przerażający ciężar emocjonalny i materialny. Czy dlatego chce pani przerwać ciążę? Bo sądzi pani, że Ben właśnie tego by pragnął?

- Nie sądzę, lecz wiem - powiedziała Zoe szorstko. I nie robię tego tylko przez wzgląd na Bena, ale i na mnie. Oboje nie możemy mieć teraz dzieci, i to nie tyle z powodów finansowych, co zawodowych.

- Przez wzgląd na Bena i siebie... A na dziecko?

Zoe spojrzała na kobietę z niechęcią i niedowierzaniem.

- Przyszłam tutaj usunąć ciążę, - a nie na wykład na temat świętości życia - rzuciła ze złością.

Na kobiecie jest słowa nie wywarły wrażenia.

- Prowadzimy doradztwo dla kobiet w ciąży, przedstawiamy im różne możliwości, dajemy szansę podjęcie samodzielnej decyzji. Moim zadaniem nie jest namówienie pani ani do kontynuowania ciąży, ani do jej przerywania; moim zadaniem jest poinformować panią, jakie są ewentualne konsekwencje pani wyboru, teraz i w przyszłości. Możemy pani zagwarantować fizyczne zakończenie ciąży, lecz nie możemy pani obiecać, że ten zabieg nie pozostawi śladu w pani psychice.

Zauważywszy gorycz na twarzy Zoe, kobieta cicho westchnęła.

- Proszę mi wierzyć, że gdybym mogła pani obiecać, że

ten zabieg rozwiąże wszystkie problemy, że nie pozostawi w pani poczucia winy i że będzie pani mogła żyć dalej tak jak przed poczęciem, zrobiłabym to. Ale nie mamy sposobu na wymazywanie pewnych rzeczy z pamięci.

Wiem, że pani zdaniem chcę panią namówić na kontynuowanie ciąży. Otóż nie. Próbuję jedynie uświadomić pani, że będzie pani cierpiała. Wbrew obiegowym opiniom, jest to prawda. Proszę pomyśleć o tym, co powiedziałam. Proszę poinformować o ciąży swojego partnera. Niech on też podejmie decyzję.

- Nie mogę tego zrobić - zaprotestowała Zoe. - Nie mogę go obarczać takim ciężarem.

- A więc woli pani go chronić swoim kosztem. To bardzo niebezpieczne postępowanie, które może doprowadzić do powstania głębokiego i niszczącego uczucia żalu, nie tylko w pani, ale i w nim, jeśli pozna kiedyś prawdę.

- To nie ma znaczenia, co pani mówi - broniła się Zoe rozpaczliwie. - Zdecydowałam się i chcę to zrobić.

- Dobrze. Umówię panią na spotkanie z naszą lekarką. Za dwa albo trzy tygodnie.

- Co? - Zoe patrzyła na nią z niedowierzaniem. - Ale ja chciałam, ja myślałam...

- Przykro mi - powiedziała łagodnie kobieta - ale zawsze dajemy kobietom czas do namysłu. Mamy tutaj pani numer telefonu, prawda? Umówię panią z lekarką jak najszybciej i zadzwonię. Ona z kolei omówi z panią całą procedurę z medycznego punktu widzenia...

Ben zadzwonił dziesięć minut po jej powrocie do domu.

- Gdzie byłaś? - spytał szorstkim, zmęczonym głosem.  
- Dzwoniłem już trzy razy.

- Byłam... no, siedziałam do późna w pracy - skłamała. - Co z Sharon? Kiedy wracasz?

Kiedy odpowiedział po kilku sekundach, jego głos brzmiał jeszcze bardziej obco.

- Dlatego właśnie dzwoniłem. Wrócę późno.

- A Sharon?

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać - powiedział po chwili milczenia. - Powiem ci wszystko w domu.

Zoe posępnie wpatrywała się w talerz z jedzeniem, na które nie miała ochoty. Ben powiedział, że zje kolację w pociągu, bo nie wie, kiedy wróci.

Czuła się wyczerpana i przygnębiona. Kiedy umawiała się na tę wizytę w klinice, myślała... miała nadzieję... Przecież wiedziała wtedy, co chce i musi zrobić! Nie potrzebowała już czasu na zastanawianie. Od tych wszystkich myśli rozbolała ją głowa!

Co ta kobieta właściwie chce osiągnąć? Wprawić ją w jeszcze większe przygnębienie? Dobrze, niech ją gnębi poczucie winy, może nawet żalu... Szybko odepchnęła od siebie te myśli. Dlaczego wszyscy nagle stają się tacy sentymentalni, kiedy mowa o ciąży? Bo kiedy dziecko już przyjdzie na świat, to czy ktoś się przejmuje jego losem? Nie trzeba długo szukać głodnych i maltretowanych dzieci; są one nie tylko w krajach Trzeciego Świata.

Znacznie lepiej byłoby skończyć to teraz, kiedy jedyną osobą, którą to dotknie, będzie ona. Bo kiedy dziecko się urodzi, to czy jej podziękuję? A Ben? A rodzice? Jak dotąd, wszyscy najbliżsi na swój własny sposób okazali jej swoje prawdziwe uczucia.

Wstała i zaczęła krążyć niespokojnie po mieszkaniu.

Och, żeby tak mieć już to wszystko za sobą! Czekanie, narastająca świadomość, że z każdym dniem dziecko jest coraz silniejsze, to ciężar nie na jej barki.

Ben wrócił wcześniej, niż myślała. Był napięty i bardzo zmęczony.

- A więc jesteś - mruknął obojętnie, zupełnie jakby się nie spodziewał, że ją zastanie.

- Oczywiście, że jestem - powiedziała czując, jak cierpnie jej skóra. - A gdzie miałabym być?

- Może w pracy? - zasugerował.

- A to dlaczego? - spytała oburzona.

- Nie pracowałeś po godzinach. Dzwoniłem do hotelu.

Poczuła przyspieszone, wręcz paniczne bicie serca.

- Pracowałam - skłamała, nie patrząc mu w oczy. - Może byłam w toalecie albo gdzie indziej, kiedy dzwoniłeś. Co z Sharon?

- Wszystko w porządku - odparł spokojnie, a potem spojrzał w bok i dodał: - Ale straciła dziecko.

Zupełnie nie była przygotowana na galopadę uczuć, które się w niej odezwały; rozpacz zmieszała się z bólem i jednocześnie gniewem.

- No to dlaczego wyglądasz tak smętnie? - spytała okrutnie, pragnąc, żeby cierpiał jak ona. - Przecież cały czas tego chciałeś, no nie? Powinieneś być zadowolony, a nie...

- Na litość boską, Zoe, to nie jest...

Usłyszała w jego głosie ból, lecz była zbyt udręczona, by go pocieszyć.

- To nie jest co? Nie tego chciałeś? - pytała bezlitośnie, patrząc na jego poszarzałą twarz. - Nie kłam, Ben, bo ja znam prawdę. Nie chciałeś, żeby Sharon miała to dziecko.

- Nie! - zaprzeczył gwałtownie. - Nie chciałem, żeby była w ciąży w tak młodym wieku, bo to zmarnuje jej życie, zanim będzie miała czas się zastanowić, czego od niego chce. Ale takie bezsensowne... zniszczenie... tego nie chciałem ani przez chwilę, Zoe.

Głos mu się załamał, gdy w błagalnym geście wyciągnął do niej rękę, i Zoe się zawahała. Oto Ben, którego kocha, potrzebuje jej, chce, żeby dostrzegła jego ból i dzieliła go z nim... mimo że on jej bólu nie dostrzegł. Nigdy nie będzie cierpiał tak, jak teraz ona; natura ich związku wykluczała obarczanie go jej problemami.

- Jestem zmęczona - odezwała się chłodno. - Idę spać.

Pół godziny później, kiedy Ben wśliznął się do łóżka, pomyślała ze smutkiem, że nadal go kocha. Wszystko byłoby prostsze, gdyby nie to. *Jej* miłość jednak była zaprawiona goryczą i złością, a w podświadomości czaiła się myśl, że jest niesprawiedliwa, bo nie może oczekiwać, by Ben nagle zaczął czytać w jej myślach i pojął, że zmieniała się główna zasada ich związku i Zoe już nie jest tą, która pomaga innym, lecz tym razem sama potrzebuje pomocy.

- Zoe.

Usłyszawszy jego szept, odsunęła się na brzeg łóżka, odwróciła do niego plecami i nie odpowiedziała. Wiedziała, że Ben nie będzie niczego na niej wymuszał; to ona zawsze grała pierwsze skrzypce...

Ben nie mógł zasnąć. Usłyszawszy równy oddech Zoe, odrzucił ostrożnie kołdrę i wstał.

Gdzie była, kiedy dzwonił? Wiedział, że kłamała. Czy znalazła kogoś, kto da jej to wszystko, czego on nie może? Sądził, że po tym, co dziś widział, stanie się odporny na ból, tymczasem ten ogarnął go z podwójną siłą. Kochał

Zoe tak nieprzytomnie, że czasami bał się do tego przyznać nawet przed sobą. Przez całe życie walczył ze swą słabą stroną: nie chciał kochać zbyt mocno. Dostrzegł to w sobie po raz pierwszy w dzieciństwie, kiedy uratował Davida Bernsteina przed napastnikami, i nie był z tego odkrycia zadowolony.

Tego rodzaju emocjonalna wrażliwość to luksus, na który takich jak on nie stać. On miał inne obowiązki i nie mógł sobie pozwolić na to, żeby się zakochać. Wydawało mu się, że nad sobą panował... aż do dnia, kiedy poznał Zoe.

Zoe... Spojrzał przez szerokość pokoju na łóżko. Teoretycznie była produktem, dzieckiem tego wszystkiego, czego nie cierpiał. Jej pewność siebie, niezłomność i okazywana przez innych chęć, by sprawić jej przyjemność, nie wywodziły się z rzeczywistości, lecz z wychowania pod kloszem, który chronił ją przed brakiem uczuć i niedostatkiem. A jednak, zamiast ją znieubić, zakochał się w niej i pozwolił, by nim sterowała, by przejęła kontrolę nad ich życiem, czuwając jednocześnie nad nią tak, jak nad wszystkimi swoimi bliskimi, jej jednak nie pozwalając tego dojrzeć.

Często zastanawiał się, co by zrobił, gdyby go opuściła, i próbował się do tego psychicznie przygotować, bo wiedział, że jeśli Zoe zechce go rzucić, nic jej nie zatrzyma. Jak na ironię w ciągu ostatnich miesięcy zaczął dochodzić do wniosku, że Zoe chyba nie chce go opuścić, że z nim zostanie. Nie przygotował się jednak na to, że zacznie kłamać. Tego po prostu się nie spodziewał. Wszystko byłoby w porządku, gdyby mu oświadczyła, nawet okrutnie, że kogoś poznała, ale kłamstwa, oszustwa - to było nie do przyjęcia.

Ponownie spojrzął na pogrążoną we śnie sylwetkę. Dziś tak bardzo chciał się do niej przytulić, tak bardzo chciał się z nią kochać...

Nie mógł jej powiedzieć o tym, co się stało i co przeżył. Zawsze miał trudności z ujawnianiem uczuć, a poza tym jak by miał opowiedzieć jej o tych długich godzinach czekania, nadziei, wreszcie momencie poznania prawdy? Trzymał przerażoną Sharon za rękę, a ona błagała go, żeby coś zrobił, bo nie wytrzyma już tego bólu, kiedy to jej ciało oczyszczało się z tego biednego, nieszczęsnego, martwego stworzenia.

Zoe zarzuciła mu, że tego pragnął, ale mówiła te słowa nie mając pojęcia o udreće, jaką przeżywał, bo wiedział, że mimo wielkiej miłości do siostry nie jest w stanie ulżyć jej w cierpieniu ani uratować życia dziecka.

Znowu spojrzął w kierunku łóżka. Jego zmęczone ciało domagało się snu - poprzedniej nocy czuwał przy Sharon - lecz natłok myśli nie pozwalał mu zasnąć.

- Zoe? - zdziwiono się w hotelu. - Już dawno wyszła. Chyba była z kimś umówiona.

Wyrzucał sobie w duchu, że dziś, gdy powinien myśleć wyłącznie o siostrze, poświęca wiele uwagi swym sprawom osobistym. Tego się zawsze obawiał: że jeśli się zakocha, zapomni o obowiązkach wobec innych i egoistycznie skoncentruje się na swych potrzebach i pragnieniach.

Zoe krzyknęła przez sen, ostro i przeraźliwie, niczym torturowane, przerażone zwierzątko. Ben podszedł do łóżka i odgarnął wilgotne włosy z jej twarzy.

- Wszystko w porządku, Zoe - skłamał łagodnie. Wszystko jest dobrze.

Potem wyprostował się, uśmiechnął blado, podszedł do okna i zapatrzył się w przestrzeń.

# Na dobre i na złe

22

- Clive chce się z nami spotkać.
- Po co? - spytała Zoe apatycznie.

Ostatnio Ben był wobec niej coraz mniej serdeczny, a poza tym narzekał, że Aldo ma do niego pretensje. Zoe dostrzegała jego niepokój, który zresztą usiłował skrywać, a jednak nie zrobiła nic, aby go pocieszyć. Czuła się całkiem pozbawiona sił.

Obraz rzeczywistości stał się rozmazany; patrzyła na świat jakby przez szybę, co dawało jej niebezpiecznie złudne poczucie odizolowania od wszystkich i wszystkiego wokół.

- Nie jestem pewien - odparł Ben nieco pośępnie. - Dzwonił, kiedy cię nie było. Umówiłem się z nim na jutro rano. - Urwał i spojrzał na nią pytająco. - Dziś nie będziesz pracowała do późna?

Zoe popatrzyła mu w oczy. W jego głosie po raz pierwszy usłyszała sarkazm.

- Chyba nie.

- No, właściwie powinienem już być w pracy. - Wstał i zatrzymał się przy jej krześle. - Aha, był do ciebie telefon.

Zoe poczuła ucisk w gardle. Minał już prawie tydzień od dnia jej wizyty w klinice i nikt dotąd nie dzwonił. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy ta kobieta nie zwleka



specjalnie, żeby... Żeby co? Żeby zmieniła zdanie? Sprawa jest przesądzona. Od czasu powrotu z Manchesteru Ben prawie nie wspomina o ich hotelu, wczoraj jednak, gdy był w pracy, Zoe szukała koperty i wpadły jej w ręce jego notatki, krótka analiza celów i nadziei.

Może i nie mówi dużo o tym hotelu, ona jednak wiedziała, jak bardzo mu na nim zależy. Uprzytomniła sobie, że teraz Ben czeka na jej odpowiedź. „Był do ciebie telefon”, powiedział zdawkowym tonem, zupełnie nie zdając sobie sprawy, co to może znaczyć.

- Kto dzwonił? - spytała niepewnym głosem.

Ben widział, że jest smutna, walczył jednak z sobą, by nie okazać jej cieplejszych uczuć.

- Jakaś kobieta. Powiedziała, że zadzwoni później.

Bo jeśli ona przestała być z nim nawet szczerą, to dlaczego on miałby jej pomagać, ułatwić jej wyznanie, że spotkała kogoś innego? Ciekawe, czy to coś trwałego, czy przelotnego. Zoe - i przelotne uczucia? Ona wszyskiemu, co robi, oddaje się bez reszty, więc jeśli kocha, to również bez reszty... Przez moment miał ochotę chwycić ją za ramiona i poprosić, by wyznała mu prawdę, tymczasem odezwał się spokojnie:

- Dalej poważnie myślisz o naszym hotelu, Zoe? Nie zaczynasz mieć wątpliwości?

Zoe ponownie spojrzała na niego uważnie. Jest jakiś inny, trochę bardziej ponury i jakby postarzały. Czy tak będzie wyglądał za ileś lat, kiedy życie odcisnie na nim swe piętno? Właściwie do twarzy mu z tą ponurością, pomyślała; dodaje mu powagi, autorytetu. Ben wreszcie sprawia wrażenie kogoś, na kim można polegać. Kogoś, kto... byłby dobrym ojcem?

- Nie, nie mam żadnych wątpliwości. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Zawsze o tym marzyłeś.

On zawsze marzył? Dla niego to jest ważne? A dla niej? Dlaczego ona nie powie nic o sobie? - myślał Ben rozpaczliwie.

- Nie zawiodę cię.

- Nie zawiedziesz mnie! Zoe, co...

- Myślałam, że spieszysz się do pracy - przerwała mu szybko. Wiedziała, że się czerwieni, zdradzając w ten sposób zdenerwowanie. Po co w ogóle to mówiła? Jej słowa najwyraźniej go zaniepokoiły. Jeśli nie będzie uważać, Ben może stać się dociekliwy, a co dobrego z tego wyniknie? Czy to cokolwiek zmieni? I tak będzie czuł i myślał tak samo.

Coś się między nimi zmieniło. Pojawiło się napięcie i dystans, które niegdyś uważałyby za niemożliwe. Kiedyś była przekonana, że mogą z sobą rozmawiać na każdy temat, że między nimi nie ma żadnych tabu. No cóż, myliła się. Odsuwali się od siebie nawet fizycznie. Trudno jej było uwierzyć w bliskość, jaka ich kiedyś łączyła, bo teraz nie potrafiła dzielić z nim ciała, skoro nie mogła mu się zwierzyć ze swych myśli i lęków.

Strach mieszał się w niej ze złością i czasami wręcz nienawidziła tej małej istoty, która żyła w jej łonie. Tyle przez nią powstało zamieszania! Czasami nienawidziła siebie, czasami Bena, lecz jednocześnie wszelkimi siłami starała się go chronić. Nie wiedziała, czy on tego od niej oczekuje, czy ona czuje, że jest mu to winna. A właściwie kogo w ten sposób chroni, Bena czy siebie? I czego się tak naprawdę boi? Że w gruncie rzeczy nie jest mu do niczego potrzebna?

Dziś rano wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle, był dojrzały i twardy i pewnie dlatego odniosła wrażenie, że może nie jest mu już potrzebna. A może się myli? Kiedy pytał, czy ma jakieś wątpliwości w sprawie hotelu, w jego głosie brzmiał niepokój. Hotel... Nawet to zostało jej odebrane. Odkąd odkryła ciążę, trwa w szoku i nie może energicznie zająć się przyszłością swoją i Bena.

To dziecko, ta rzecz, której nie planowała i której nie chciała, było jak pasożyt. Wysysało z niej wszystkie soki, pozbawiało energii i mąciło myśli, odebrało jej szczęście i radosną wizję przyszłości. Czy odebrało jej także miłość Bena?

- Nie chcę cię i nie kocham cię - odezwała się gorzko do dziecka. - Jakie masz prawo, żeby mi to robić? Czego chcesz od mojego ciała i życia? Nie ma tam dla ciebie miejsca, nie przy mnie i na pewno nie przy Benie. Nie chcemy cię...

Powiedziała to na głos i niemal fizycznie poczuła, jak jej emocje wibrują w powietrzu. Do oczu napłynęły jej łzy, które usiłowała powstrzymać. Po co płakać? Co to zmieni? Ta kobieta kazała jej wszystko przemyśleć, ale w tym przypadku nie było nad czym myśleć. Stanowczym gestem ujęła słuchawkę.

- Tak, dzwoniłam - powiedziała kobieta.

Na szczęście umówiła ją z lekarką w takiej porze, że nie musiała zwalniać się z pracy, a Ben na szczęście miał dyżur w swoim hotelu.

- A kiedy już porozmawiam z lekarką, to kiedy... ?

- O tym zdecyduje pani doktor-powiedziała kobieta.

Czy rzeczywiście jej głos zabrzmiał chłodniej? Twierdziła, że jest bezstronna, Zoe jednak nie miała wątpliwości,

jaką decyzję by pochwaliła. Co teraz o niej myśli? Że jest morderczynią, że pozbawia życia własne dziecko? Ale co ta kobieta wie! Nie ma takich zobowiązań jak Zoe. Pewnie jest zadowolona z życia mężatką, ma dwójkę udanych, za-  
dbanych dzieci, które na pewno wstąpiły już w związki małżeńskie i mają swoje dzieci, a ich związki są na pewno tak samo bezpieczne jak małżeństwo ich rodziców, gdzie rodzicielstwo jest stawiane na piedestale.

Zoe z gniewem otarła łzy i spojrzała na siebie. Na pozór nic się nie zmieniło; właściwie trochę nawet schudła. Z powodu mdłości, które teraz nawiedzały ją rzadziej, była bledsza i trochę słabsza, lecz poza tym nikt by się nie domyślił, że jest w ciąży. Dotknęła ręką płaskiego brzucha, przymknęła oczy i przemówiła do obrazu, jaki się wyłonił z ciemności:

- Nic nie mogę na to poradzić, rozumiesz? Nie mam wyboru. I przestań mi to robić. To nie moja wina, że cię nie chcę.

Poczuła zawroty głowy i otworzyła oczy. Po chwili zdała sobie sprawę, że obiema dłońmi zakrywa brzuch, jakby chciała ochronić dziecko przed usłyszeniem tych słów. Dziecko... To nie jest dziecko. Nie będzie żadnego dziecka. To wykluczone.

- Zoe, co ci jest?

- Nic - odpowiedziała szorstko.

Poczuła, jak Ben niespokojnie się poruszył i usłyszała jego ciche westchnienie.

- Jestem tylko trochę zmęczona - dodała. - Dlaczego ma mi coś być tylko dlatego, że nie mam ochoty się kochać?

Ben zamrugał ze zdumienia oczami. Kochać się? Czy tylko seks ich łączył? Leżała odwrócona do niego plecami, lecz wyczuwał jej napięcie. Miał ochotę przytulić się do niej i wyjaśnić, że nie martwi go jej brak ochoty na seks, lecz to, że kłamie. Wczoraj była zmęczona, przedwczoraj była zmęczona, lecz skoro tak, to dlaczego nie mogła zasnąć?

Zoe zaś leżała i cierpiała. Wiedziała, że nadal kocha Bena. Dziś wieczorem, gdy patrzyła, jak siedzi pochylony nad listą tygodniowych wypłat - co było jednym z licznych dodatkowych zajęć, za które Aldo mu nie płacił - poczuła tak silne wzruszenie, że z trudem powstrzymała łzy. Na pewno kocha Bena, tyle że zrodziła się w niej jakaś wewnętrzna blokada, uniemożliwiająca zbliżenie z nim. Nie rozumiała tego i chciała, żeby Ben wbrew wszystkiemu wyciągnął rękę i przytulił się do niej, a nawet żeby z własnej inicjatywy ją przytulił, pozwalając jej choć na chwilę zapomnieć o troskach.

Zdumiewało ją czasami, że ani Ben, ani nikt inny niczego się nie domyśla. Bywały dni, kiedy była pewna, że ta straszliwa prawda jest wypisana na jej twarzy. I przecież Ben, jeśli naprawdę ją kocha, musi coś wyczuć, musi przynajmniej podejrzewać, że ona z jakiegoś powodu cierpi. Chyba że jest skupiony wyłącznie na sobie.

Nikt o mnie nie dba, pomyślała posepnie. Ben leży odwrócony plecami i zapewne ma do niej żal, że mu odmówiła seksu, matka zaś jest tak zaabsorbowana swoimi sprawami, że czasami zamienia z nią parę słów przez telefon, ale na wysłuchanie córki nie ma czasu.

- Ben, Zoe... Cieszę się, że was widzę.

Clive wyglądał na bardzo zajętego, kiedy ich wprowadził.

dzono do jego gabinetu. Zoe zorientowała się, że Ben jest zdenerwowany, i spojrzała na niego z irytacją. Po co znowu te nerwy? Przecież jest bliski osiągnięcia celu i powinien się cieszyć, zamiast ciągle widzieć problemy. Jeśli się nie zamartwia hotelem, to zamartwia się pracą. Nie dalej jak wczoraj wspomniał, że Aldo staje się nie do zniesienia.

- No dobrze, ale to już chyba długo nie potrwa, co?  
- skomentowała szorstko.

- Nie - zgodził się potulnie. - Chyba nie.

I tego wieczoru nie powiedział ani słowa więcej.

- Chciałem się z wami spotkać, żeby was poinformować o przebiegu sprawy - zaczął Clive.

- Chyba nie ma problemów, prawda? - spytał Ben szybko,

Zoe patrzyła, jak Clive metodycznym ruchem porządkuje papiery na biurku.

- Chyba nie - ciągnął Clive - tyle że to wszystko może potrwać trochę dłużej, niż przypuszczaliśmy. W przyszłym tygodniu mam się spotkać z architektem i...

- Czy on uważa, że ten dom się nie nadaje? - dociekał Ben, a Zoe patrzyła na niego z coraz większą niechęcią. Czy on nie słyszy, co Clive mówi? Mówi, że nie ma problemów. Jednak gdy ponownie spojrzała na Clive'a, który wpatrywał się w Bena, zauważyła w jego oczach wahanie i szacunek.

- Nie, nie chodzi o to, że dom się nie nadaje - ciągnął Clive powoli. - Chodzi o to, że Adam Wheelwright, architekt, uważa, że trudno będzie uzyskać zezwolenie na przebudowę, że potrwa to dłużej, niż myśleliśmy. Mam tutaj jego projekty. Wspaniale to zrobił: oto dwie wersje. Pierwsza to przekształcenie domu w restaurację, druga ukazuje

kolejne etapy powiększania domu o hotel wraz z aneksem konferencyjnym i sportowym. Projekty są pomyślane w ten sposób, żeby w niczym nie burzyć głównej koncepcji architektonicznej posiadłości. Adam Wheelwright uważa, że to będzie plusem, kiedy złożycie podanie o zezwolenie na budowę.

Ben słuchał Clive'a ze zmarszczonym czołem i posepną miną, nie racząc nawet spojrzeć na projekt.

- Co cię, do licha, napadło? - spytała Zoe, gdy pożegnali się z Clive'em. - Dom jest idealny, sam to mówiłeś. Masz wreszcie to, czego zawsze chciałeś.

- Jeszcze niczego nie mamy, Zoe - oświadczył posepnie. - Clive mówił przecież, że możemy nie dostać zgody na budowę.

- Ależ wcale tego nie mówił - jęknęła zniecierpliwiona: - Nie słuchałeś go i...

- Nie - zaprzeczył Ben - to ty nie słuchałaś. Przepraszam cię, spieszę się do pracy.

- Do pracy? - spytała Zoe z osłupieniem. - Przecież miałaś mieć wolny dzień!

- Aldo zmienił zdanie.

Jeszcze tylko jeden dzień, pomyślała Zoe i nagle skurczyła się w sobie, czując krótki, przenikliwy dreszcz.

Ta kobieta pytała, czy rozmawiała już z ojcem dziecka, ale Zoe, nawet gdyby chciała, nie mogłaby rozmawiać z Benem. Ostatnio potrafili się tylko kłócić. Zagryzła wargi, gdy uświadomiła sobie, że sporo w tym jej winy, bo czasami celowo się go czepiała.

Wiedziała, że martwi się ich hotelem, ale i podejrzewa-

ła, że gnębi go również coś innego. Ostatnio czuła się rozdarta między pragnieniem chronienia Bena a niechęcią, że musi to robić, bo ona zawsze musi być tą silniejszą. Powtarzała mu do znudzenia, że niepotrzebnie martwi się hotelem, bo wszystko dobrze się skończy. Ciekawe, co on by zrobił, gdyby naprawdę miał się czym martwić, na przykład nią?

Znowu poczuła dreszcz. Nie, nie będzie teraz o tym myśleć. Niedługo ten koszmar i tak się skończy... Wszystko już jest zorganizowane. Skończy pracę w porze lunchu, wpadnie na chwilę do domu, a potem pojedzie do kliniki. A potem... jak długo będzie musiała czekać? Narastały w niej jakiegoś dziwne i nowe uczucia, z którymi usiłowała walczyć.

Zastanawiała się z rozpaczą, dlaczego tak źle się czuje, skoro wszystko jest takie proste i takie logiczne. Nie może mieć dziecka, nie chce mieć dziecka, więc dlaczego na myśl o tym, co ją czeka, mięśnie jej brzucha napinają się nie do wytrzymania, jakby coś chciały ochronić? Dlaczego jest taka wściekła na Bena? Dlaczego tak straszliwie ją to osłabia, i to w chwili, kiedy musi być silna - nie tylko dla własnego dobra, ale i Bena?

Ben jej potrzebuje.

- Kocham go - szepnęła w ciszy zalegającej w mieszkaniu. - Kocham go i w moim życiu nie ma miejsca dla dwojga. Czy tego nie rozumiesz?

Ben obserwował Zoe przed wyjściem do pracy. Przy zapinaniu spódnicy ręce jej się trzęsły. Wyglądała na straszliwie bladą i zmęczoną, schudła. O kim myślała, kiedy wodziła wokół nieobecny wzrokiem? Czy o tym mężczyźnie, z powodu którego ją tracił?



Kiedy mu o tym powie? Kim on jest? Czy to ktoś z pracy? Może ktoś żonaty? Czy właśnie dlatego nic nie mówi? Bo ten facet nie może z nią być? Poczł przyplłw złości na mysl, że ktoś mógłby ją zranić. Zoe jest bardzo wrażliwa, choć o tym nie wie.

Hotel i ich przyszłość, które tak wiele dla niej znaczyły, nagle przestały się liczyć. Nawet nie dotarło do niej, że Clive ma pewne wątpliwości, czy dostaną zezwolenie na budowę. Kiedy próbował jej to wyjaśnić, wzruszyła ramionami i nazwała go pesymistą. Patrzył na nią i czuł, że kocha ją aż do bólu, że niczego bardziej nie pragnie, jak ją przytulić, lecz ilekroć ostatnio się do niej zbliżał, zawsze go odpychała.

- Kiedy wrócisz? - spytał, kiedy wkładała płaszcz.

- Hmm, nie wiem. Może będę musiała dłużej zostać w pracy.

Poczłła, że się czerwieni i pochyliła głowę, żeby włosami zakryć policzki. Ben jednak był spostrzegawczy.

- Znowu? - spytał ironicznie.

- Mamy trochę za mało pracowników...

Później, gdy już wracała do domu, pomyślała smętnie, że nie znosi okłamywać Bena, lecz czy częściowo nie jest to jego wina? Boże, dlaczego ona musi tak cierpieć! Niechże się już to wszystko skończy!

W domu wzięła prysznic i ubrała się odpowiednio. Lekarka na pewno zechce ją zbadać. Na samą myśl o tym zdrętwiała. Potem szcztokowała włosy, starając się o niczym nie myśleć, gdy nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku i do środka wszedł Ben. Zoe spojrzła na niego z przerażeniem.

- Ben? Co ty tu robisz?

- O to samo mógłbym spytać ciebie - oświadczył głuchym głosem.

- Co? Aa, ja wpadłam tylko na chwilę. Nie jestem potrzebna w pracy, więc umówiłam się z mamą.

- Do tej pory przed spotkaniem z matką nie brałaś prysznicza.

Zoe spojrzała na niego ze zdumieniem. Drzwi do łazienki były otwarte, w powietrzu unosiły się resztki pary, na podłodze leżał wilgotny ręcznik.

- Tak, ale dziś... byłam jakaś spocona. A dlaczego ty wróciłeś tak wcześnie? - Zmieniła temat, wyczerpana kłamstwami.

- Głównie dlatego, że zostałem wyrzucony.

Ben zaklął w duchu, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. Nie chciał jej tego w ten sposób mówić, ale tak wyszło. Wrócił do domu, ona niespodziewanie w nim była i uraczyła go tak oczywistymi kłamstwami, że zapragnął ją nagle zaszkokować, bo może wtedy zda sobie sprawę z tego, co robi.

- Nie, to niemożliwe! - zawołała. - Przecież powiedziałeś, że zwolnisz się, kiedy sprawa hotelu zostanie sfinalizowana.

- Nie miałem wyboru. Wydaje mi się, że Aldo ma kuzyna, który gotuje dziesięć razy lepiej niż ja i któremu może płacić pięć razy mniej. Ale nie martw się. Skontaktowałem się z jedną z agencji i mają dla mnie pracę, nawet lepiej płatną niż u Alda. Nie jest to, oczywiście, stały etat, ale lepsze to niż nic.

- Ale Ben...

- Czy nie powinnaś już wyjść? - spytał z kwaśnym uśmiechem. - Chyba nie chcesz, żeby matka na ciebie czekała?

Lekarka była miła, lecz lakoniczna.

- Optymalnym okresem na zabieg jest dwunasty tydzień, kiedy to natura najczęściej decyduje o utrzymaniu bądź usunięciu płodu. W pani przypadku to będzie... chwileczkę... mniej więcej w przyszłym tygodniu, prawda?

- Tak - potwierdziła Zoe.

Gdy opuściła klinikę, czuła niesmak i pustkę. Ta pustka to z ulgi, powtarzała sobie, próbując wyrównać oddech. Nie pojechała od razu do domu. Na pewno zastanie tam Bena i nie zdoła ukryć przed nim swoich uczuć. Zaczęła więc chodzić po sklepach. Kiedy jej uwagę przykuła jedna z wystaw, stanęła i wpatrywała się w nią bezmyślnie i dopiero widok przystającej przy niej ciężarnej kobiety uświadomił jej, co robi.

Powoli odwróciła się i odeszła. Co ona wyprawia? Ogląda wystawy z ubrankami dla niemowląt? Przecież podjęła decyzję, i to słuszną. Jedyną.

Ben przebierał się do pracy, gdy wróciła. Patrzył na nią w milczeniu przez kilka minut, a potem spytał:

- Dobrze się bawiłaś?

Bawiłaś! Gdyby on tylko wiedział!

- Owszem - skłamała, posyłając mu fałszywy, promienny uśmiech.

- A jak się miewa matka?

- Znakomicie.

Ben odwrócił się, ręce mu drżały. Matka zadzwoniła dziesięć minut po wyjściu Zoe i nie powiedziała ani słowa o tym, że się umówiły. A więc pozostało tylko jedno wyjaśnienie. Czuł, jak narasta w nim rozpacz, rodzi się świadomość zdrady i straty. A tak ją kocha! Tyle że dłużej nie można tak żyć i może Zoe tego właśnie chce - żeby zdjął

z niej ciężar rozpoczynania rozmowy na ten temat i sam zażądał wyjaśnień.

- Zoe, czy masz kogoś?

Co? Zoe patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i już była gotowa zaprzeczyć, kiedy nagle uświadomiła sobie z oślepiającą jasnością, że to prawda. Tak, ma kogoś... Kogoś, kto z każdym dniem oddziela ich od siebie coraz bardziej, zadrećza ją sprzecznymi uczuciami, wprawia w straszliwą rozterkę... Ten ktoś jest silny, wykorzystuje całą siłę psychiczną, by walczyć o swe kruche życie, lecz ona wcześniej złożyła komuś innemu obietnicę i nie może jej złamać.

Nie mogę, wyszeptała w myślach. Przykro mi, ale nie mogę.

- Zoe... - powtórzył Ben.

Spojrzała na niego nie widzącym wzrokiem i powiedziała głucho:

- Nie, Ben. Nie mam nikogo. Nie mam, nie miałam i nie będę miała!

# Na dobre i na złe

23

- A więc wróciłaś!

Fern zignorowała agresywny ton Nicka, spokojnie postawiła walizkę na podłodze w kuchni i rozejrzała się wokół. Zlew był pełen brudnych naczyń, podłoga zakurzona i poplamiona, stół zavalony resztkami kilku posiłków.

Powietrze śmierdziało stęchlizną, od Nicka też biła nieprzyjemna woń. Może to i dziwne, lecz czasami męski, specyficzny zapach bywa podniecający, innym zaś razem ta sama mieszanina ciepła, potu i piżma powoduje mdłości.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? Co ty, do cholery, wyrabiasz? Co chciałaś udowodnić tym swoim zniknięciem?

- Musimy porozmawiać, Nick, ale najpierw chcę się rozpakować i sprzątnąć ten bałagan. - Zmarszczyła nos z obrzydzeniem. - Nie mogłeś chociaż pozmywać?

Nick był tak zaskoczony, że na chwilę zaniemówił, Fern jednak знаła go na tyle, że była pewna wybuchu. A kiedy już zacznie tę swoją tyradę... Wykorzystała więc chwilę ciszy i spokojnie dodała:

- A poza tym mam nadzieję, że podziękowałeś Venice za oddanie krawatu. To było bardzo miłe z jej strony.

Spojrzała mu prosto w twarz. Jego oczy zapłonęły gniewem, lecz tym razem nie odwróciła wzroku.

- Jaki krawat? O czym ty, do cholery, mówisz? Co miała znaczyć ta twoja kartka? - spytał z poczerwieniałą nagle twarzą.

Fern nie odpowiedziała, odwróciła się, wzięła walizkę i poszła na górę. To było bardzo dziwne, odurzające uczucie: świadomość panowania nad sytuacją, świadomość przewagi, kierowania rozwojem wydarzeń. Musi uważać, żeby jej nie poniosło, pomyślała, idąc przez hol. Gdy była w połowie schodów, Nick wypadł z kuchni i głośno zawołał jej imię. Przystanęła, odwróciła się i utkwiała w jego twarzy pobłażliwe i obojętne spojrzenie.

- Co ty sobie wyobrażasz! - krzyknął z furją. - Znikasz prawie na tydzień z powodu jakiegoś kaprysu tej zwariowanej dziwki, którą nazywasz przyjaciółką! Czy wiesz, że musiałem wczoraj kupić sobie koszulę, bo wszystkie były brudne? Jesteś moją żoną, Fern, i twoim obowiązkiem jest...

- Co, Nick? Pozwalać ci na poniżanie mnie i manipulowanie mną? Mam się zmuszać i udawać, że jestem szczęśliwa? Udawać, że to coś, co nazywamy małżeństwem, nie jest farsą? Mam stać spokojnie u twojego boku, kiedy ty sobie romansujesz? - Potrząsnęła głową. - Twierdzisz, że to są moje obowiązki, ale ja jestem innego zdania. Moim głównym obowiązkiem jest zadbać o siebie, zachować do siebie szacunek, a dopóki będę twoją żoną, jest to niemożliwe.

Odwróciła się i ruszyła dalej, ignorując oskarżenia, jakie zaczął wykrzykiwać. Podjęła decyzję i nie miała zamiaru jej zmieniać, bez względu na to, jaką Nick będzie wywierał na niej presję.

- Dlaczego chce być moim mężem, jeśli mnie nie kocha? - pytała wczoraj Cressy.

- Bo jest jednym z tych, którzy nie mogą znieść myśli, że ktoś od nich odejdzie - wyjaśniła ponuro przyjaciółka.  
- No i dlatego jeszcze, Fern, że podoba mu się władza, jaką ma nad tobą.

Słowa Cressy zaszokowały ją najpierw, ale później zaczęła dostrzegać w nich sens.

Teraz powoli rozpakowywała walizkę i powtarzała sobie, że nie stchórzy i nie zostanie tutaj, lecz zejdzie na dół i stanie do ostatniej walki z Nickiem. Kiedy jednak zamknęła szafę, ręce jej dygotały.

Nick czekał na nią w kuchni. Gdy weszła, wykrzywił ironicznie usta i zaatakował:

- Wiem, o co ci chodzi, ale myślę, że nie ma sensu pędzić do Adama. On cię nie chce, tak samo jak wtedy. Nigdy nie potrafiłaś wyczuć odpowiedniej chwili, prawda? I teraz też nie wiesz, że wyjechał - z Jamesami i ich córką? Do Toskanii, gdzie mają willę. Nasz kochany Adam na pewno padnie przed starym Jamesem na kolana. Będzie potrzebował bogatego teścia, jeśli nie powiodą się jego plany dotyczące domu Broughtonów, a już Quentin dopilnuje, żeby tak się stało, bo po co tu nowy supermarket? Co ci, Fern? Czyżbyś chciała zmienić zdanie, skoro już wiesz, że trudno ci będzie teraz wepchnąć się do łóżka Adama?

- To nie ma nic wspólnego z Adamem - zaprotestowała gwałtownie.

- Nie kłam! - krzyknął ze złością. - To ma związek tylko z nim! Zawsze go wołałaś, ale on cię nie chciał, Fern, i dalej nie chce. Śmialiśmy się kiedyś razem z tego, jak za nim latałaś, opacznie rozumiałaś każde słowo. Ostrzegał mnie, żebym się z tobą nie żenił...

Fern powtarzała sobie w myślach, że nie wolno jej ni-

czego mówić, nie wolno jej zdradzić swych prawdziwych uczuć, nie może mu pokazać, jak bardzo ranią ją jego słowa. Dzięki Bogu, że Cressy otworzyła jej oczy.

- Wychodzę - oświadczył Nick. - A kiedy zostaniesz sama, chcę, żebyś przemyślała kilka rzeczy. Na przykład: z czego beze mnie będziesz żyła? Teraz nie możesz już wyjechać do rodziców, prawda? Nie masz pieniędzy, nie masz domu, nie masz Adama. No więc co zrobisz? Jedno jest pewne: nie zarobisz na życie, leżąc na plecach...

Dodał jeszcze coś tak ordynarnego, że Fern zdrętwiała z szoku i wstydu. Sądziła, że jest już uodporniona na każde słowo Nicka, tymczasem teraz przechodził samego siebie. Wiedziała, że niczego jej nie ułatwi, jednak aż do dziś nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo całe życie nią gardził.

Gdy wyszedł, zabrała się powoli do sprzątania kuchni. Ręce jej drżały, słała się na nogach, wirowało jej w głowie, czuła ból w całym ciele. To była cena, jaką zapłaciła za ostatnią rozmowę z Nickiem. Cressy jej doradzała, żeby nie rozmawiała z nim w cztery oczy, lecz została u niej i zadzwoniła do niego lub napisała.

- On będzie cię terroryzował, żebyś trwała w tym związku, i to tylko dla przyjemności ukarania cię za to, że chciałaś odejść - ostrzegała ją przyjaciółka.

Fern roześmiała się wtedy i powiedziała, że Nick nie jest aż tak złośliwy i wredny, jak Cressy go przedstawia, teraz jednak przyznała przyjaciółce rację. Nick całkowicie zignorował jej wzmianki o związku z Venice. I czy Adam rzeczywiście rozmawiał o niej z Nickiem? Pewnie tak, nawet jeśli Nick wyolbrzymał nieco jego komentarze.

Łzy płynęły jej po policzkach, kiedy myła naczynia.



Postanowiła, że dokończy sprzątanania, lecz zrobi to wyłącznie dla siebie, a nie dla Nicka. Potem pójdzie do miasta, by odwiedzić lokalnych agentów od nieruchomości. Na pewno znajdzie się jakiś pokój, na który będzie ją stać. Dobrze by także było odwiedzić agencje pośrednictwa pracy, tylko co ona potrafi robić...

Telefon zadzwonił w chwili, gdy wychodziła z domu. Szybko podniosła słuchawkę.

- Fern? - Rozpoznała głos Venice i z ponurym rozważeniem pomyślała, że pobrzmiwa w nim zdziwienie. Pewnie nie wie o jej powrocie. - Muszę porozmawiać z Nickiem. To bardzo ważne... chodzi o interesy...

- Obawiam się, że Nicka tu nie ma - odezwała się Fern spokojnie i złośliwie dodała: - Jestem pewna, że pani znacznie lepiej wie niż ja, gdzie go znaleźć. No, dobrze - dodała, słysząc w słuchawce milczenie - wiem o waszym romansie. Chyba w tym celu przyniosła pani ten krawat, prawda?

Fern myślała, że Venice po prostu odłoży słuchawkę, ona tymczasem zaczerpnęła powietrza i wybuchnęła:

- On cię nie kocha, Fern. On chce mnie, a nie ciebie. Nawet cię nie szukał, kiedy wyjechałaś, prawda? A wiesz, co w tym czasie robił? - Jej głos stał się teraz głęboki i zmysłowy, zaprawiony okrutną słodyczą. - Był ze mną, Fern, w moim łóżku, kochał się ze mną. Prawdę powiedziawszy, nawet mu nie zależało na twoim powrocie. Po co wróciłaś? Ratować wasze małżeństwo? Już nie ma małżeństwa! Chcę Nicka i będę go miała. Jeśli masz trochę rozumu, jedź do tej swojej przyjaciółki, ale już lepiej nie wracaj! Aha, nie musisz mówić Nickowi, że dzwoniłam, bo będzie tutaj dzisiaj wieczorem i...

Zanim Fern zdążyła wtrącić choć słowo, Venice trzasnęła słuchawką. Fern rozdygotana pomyślała, że najwyraźniej nie tylko ona pragnie rozwiązania tego małżeństwa. Ale jeśli Nick podjął taką decyzję, to dlaczego ją ukrywa? Bo chce całą winę zrzucić na ciebie, podpowiedział jej wewnętrzny głos. Bo lubi cię poniżyć i ranić. Bo...

Zdrętwiała, kiedy spojrzwszy przez okno zobaczyła podjeżdżający samochód Nicka. Po ruchach męża zorientowała się, że jest wściekły.

- Oprzytomniałaś już? - spytał ostro, kiedy wszedł do domu. - Boże, jaka ty jesteś głupia! Urodziłaś się taka i taką zostaniesz. Masz cholerne szczęście, że jestem gotów pozwolić ci tu zostać. Jak myślisz, ilu mężczyzn zgodziłoby się zostać z kobietą, która spała z innym, a na dodatek z jego...

- Ty spałaś z innymi kobietami - przerwała mu chłodno. - I dalej to robisz.

- A czyja to, do cholery, wina? - spytał okrutnie. - Nie jestem mnichem. Jak myślisz, ilu nie poszukałoby sobie czegoś na boku, mając za żonę taką zimną sukę? Adam miał rację, kiedy mnie przed tobą ostrzegał. Nie lituj się tak nad nią, mówił. Nawet Adam cię nie chciał, a on jest przecież taki chłodny. Prawda?

- W przeciwieństwie do Venice, która wprost nie może się ciebie doczekać!

Gdy zobaczyła grymas, który wykrzywił jego twarz, poczuła się jednocześnie zdumiona i przerażona swoim brakiem rozwagi.

- A propos, ona chce z tobą porozmawiać - dodała, nie przejmując się, że jego oczy ciskają gromy. - Mógłbyś mi sam powiedzieć, że chcesz do niej odejść. Zaoszczędziłoby to nam tej bezsensownej kłótni.

- O czym ty gadasz? - spytał ze złością. - Nie mówiłem, że chcę od ciebie odejść.

- Nie, nie mówiłeś. Venice to za ciebie zrobiła. Wychoďte - oznajmiła i ruszyła w stronę drzwi. W progu przystała i dodała z uśmiechem: - Venice mi też powiedziała, że nie przyjdiesz dziś do domu na kolację.

Dygotała, zamykając za sobą drzwi, postanowiła jednak nie okazać Nickowi, jaka czuje się teraz słaba i bezbronna.

Od pół godziny Venice stała przy oknie sypialni i wypatrywała Nicka, kiedy go jednak ujrzała, nie zbiegła na dół, żeby mu otworzyć drzwi, pomaszerowała natomiast do przylegającej do sypialni dużej garderoby. Venice nigdy nie przystałaby na to, by jej sypialnię w stylu empirowym oszpeciły rzędy szaf ściennych i luster od podłogi po sufit oraz ostre, naturalne światło, które było niezbędne przy robieniu profesjonalnego makijażu. -

Dla Venice wygląd zewnętrzny był rzeczą niezmiernie ważną; obmyślała swe wystąpienia publiczne ze wszystkimi szczegółami i koncentracją superstratega. Tak samo zaplanowała dzisiejsze spotkanie z Nickiem.

Uśmiechnęła się w duchu do siebie. Nick się nigdy nie dowie, ile pracy i energii włożyła w budowanie ich związku... Wszystkie etapy były starannie obmyślane, aby w subtelny sposób kierować nim, aby manipulować jego nastrojami i potrzebami. Venice po raz ostatni sprawdziła swój wygląd w lustrze i na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

Makijaż nadawał jej skórze łagodny połysk, który w specjalnie zaaranżowanym świetle wyglądał na „naturalny”. Włosy miała dziś rozpuszczone, a na sobie wzorzystą,

granatową suknię z szyfonu, z luźnymi wstawkami, które przy każdym ruchu miękko powiewały wokół ciała. Zmieniła nawet swoje ulubione perfumy na nieco subtelniejsze, łagodniejsze...

Pora zejść na dół, wpuścić Nicka i zakończyć dawno rozpoczętą kampanię. Zakończyć z powodzeniem, oczywiście, bo czy możliwy jest inny finał? Przystanęła na chwilę, myśląc ze współczuciem o żonie Nicka. Ona na pewno nie będzie rywalką. Niektóre kobiety nie mają po prostu pojęcia, jak zatrzymać przy sobie mężczyzn. Venice wzruszyła lekko ramionami. Fern jakoś to przeżyje. Będzie musiała.

Otworzyła drzwi w chwili, gdy Nick był już tak zirytowany, że zabierał się do odejścia.

Kiedy Nick poznał Venice, był nią zafascynowany, lecz zarazem ostrożny. Wiedział o jej małżeństwie ze znacznie starszym i bardzo zamożnym człowiekiem, zdawał sobie sprawę, jak ostentacyjnie Venice obnosi się ze swoim bogactwem i jaka jest uwodzicielska. Nie miał wątpliwości, że związek z nią będzie dla niego niebezpieczny, ostatecznie nie potrafił jednak zapanować nad sobą i uległ oszałamiającej mieszance podniecenia, zagrożenia i zazdrości, jaką w nim budziła.

To było dla Nicka coś nowego - związek z kobietą, nad którą nie panował. Nie był w jej domu panem i nie mógł nią manipulować. Ale, choć instynkt samozachowawczy kazał mu się z tego wycofać, zakochał się na zabój; seks z Venice działał na niego jak narkotyk i nie umiał zerwać z tym nałogiem.

Venice była wystarczająco sprytna, by wiedzieć, kiedy pozwolić mu na okazanie przewagi i ulec jego „męskiej

sile", łechcąc w ten sposób jego dumę i wyciszając ewentualne obawy.

Niespodziewany bunt Fern nie mógł nastąpić w gorszym dla Nicka momencie. Księgowy ostrzegł go, że jeśli nie będzie ostrożny, poniesie duże straty. Venice nie spieszyła się z przyjęciem propozycji, jakie jej składał, mając nadzieję zarobić na tym duże prowizje. W łóżku była cudowna: po kochaniu się przytakiwała słysząc, co według niego powinna zrobić ze swymi odziedziczonymi milionami, później jednak, gdy próbował skłonić ją do jakiejś decyzji, stosowała drażniące wybiegi.

Kiedy więc wreszcie otworzyła te drzwi, jęknął z ulgą i zamierzał zasypać ją gradem pytań.

Co w nią wstąpiło? Co to za głupi pomysł z tym oddawaniem krawatu? Nagle dopisek na dole kartki od Fern zaczynał nabierać sensu. Przecież Venice na pewno wie, że nawet ktoś tak tępy jak jego żona potrafi dodać dwa do dwóch, a poza tym po co dzwoni i mówi jej, że chce się z nim widzieć...

Czuł, jak narasta w nim głucha furia. Nie może antagonizować Venice teraz, kiedy tak bardzo potrzebuje jej pieniędzy, nie jest także gotów do rezygnacji z miejsca w jej łóżku. Była wspaniałą kochanką, może czasami zbyt wiele wymagała, na przykład otwarcie żądała, by jej rozkosz była pełna... Nie był szczęśliwy, gdy słyszał, że to, co jej dał, to za mało, i gdy kiedyś zasugerował, że być może to jej wina, Venice nie zgodziła się z nim potulnie jak Fern, lecz wybuchnęła śmiechem i z szokującą otwartością wyjawiała mu, czego w jego kochaniu było jej brak i co ma zrobić, by następny raz był w pełni udany.

I w istocie była w nim jakaś cząstka, obca i dotychczas

nie znana, która czerpała niezdrową rozkosz z tego poniżenia. Gdy Venice narzekała na jego osiągnięcia, niezmiennie czuł, jak ogarnia go przemożna potrzeba, obsesja udowodnienia jej, że się myli, że to on jest tu panem, że on nią rządzi...

A później, gdy szął miłości mijał i leżał w jej łóżku wyczerpany i spocony, a mięśnie nadal drgały mu z wysiłku, czasami przychodziło mu do głowy, że daleko mu do panowania nad nią, do bycia jej panem, bo w rzeczywistości to ona jest górą, to ona nim manipuluje i go wykorzystuje. Te myśli nie trwały jednak długo. Venice jest kobietą i, jak każda kobieta, jest słaba i uległa.

Przekraczając teraz próg jej domu pomyślał, że jest mu potrzebna, więc musi jej trochę ustępować... Ona jednak winna sobie zdać sprawę z tego, że jeśli chodzi o jego małżeństwo...

Ze zmarszczonym czołem szedł za nią do salonu. Nie może jej, oczywiście, powiedzieć, dlaczego jego małżeństwo jest dla niego takie ważne i dlaczego Fern nie może go opuścić. Dlaczego? Bo wtedy poszłaby do Adama, tego samego Adama, którego nie cierpiał od dnia ślubu ich rodziców, kiedy to matka powoli zaczęła odwracać się od niego, poświęcając Adamowi i jego ojcu czas należący uprzednio tylko do niego, i dawać mu Adama za przykład.

- Kochanie, co cię tak długo zatrzymało? - Venice zachowywała się jak zagubiona dziewczynka, która pyta o drogę słodziutkim i wzruszającym głosem.

Przez moment Nick dał się jej zwieść, po czym przypomniał sobie swą irytację.

- Czy wiesz, co zrobiłaś? - spytał, odwrócił się do niej

plecami i stanął przy oknie. - Fern poznała ten krawat i teraz zaczyna się czepiać, że cię widuję.

Nie ma potrzeby jej mówić, co Fern naprawdę powiedziała; powinien jej też zagrozić, że z tego powodu będzie musiał skrócić wizytę, dzięki czemu zdoła zarówno subtelnie ukarać ją za złamanie jednej z nie pisanych reguł ich romansu - nawet jeśli ich z nią nie uzgadniał - i doświadczyć skrytej przyjemności przypomnienia jej, kto kieruje ich związkiem... i nią.

Odwrocił się w jej stronę z obojętnym wyrazem twarzy, przygotowany na protesty, przeprosiny i łzy. Niech trochę pocierpi, dopiero potem będzie można wielkodusznie jej wybaczyć.

- Kochanie, przykro mi, ale musiałam to zrobić.

W głosie Venice usłyszał wyrzuty sumienia i odetchnął. Dobrze. Oczywiście, jest zazdrosna. Kobiety takie są: zazdrosne, zaborcze, słabe... Za chwilę Venice mu powie, że zrobiła to z miłości do niego, a on będzie musiał jej wytknąć, że Fern jest przecież jego żoną, że...

- Musiała się o tym dowiedzieć. Wydawało mi się, że będzie taktowniej zrobić to w ten sposób, niż czekać aż...

Zmarszczył czoło. Coś jest nie tak. Nie to Venice powinna mówić. Gdzie wyrzuty sumienia i prośby? W jej głosie słyszał teraz jedynie spokojną determinację i niebezpieczny chłód. Co prawda uśmiechała się do niego, lecz nie był to uśmiech ani przepraszający, ani proszący. Ogarnął go niepokój, gdy zorientował się, że Venice uśmiecha się po kociemu, z wyższością. Coś jest nie tak...

- Kochanie, mam dla ciebie cudowną wiadomość. Jestem w ciąży.

Nick otworzył szeroko oczy.

Widząc jego szok, Venice nie przestawała się uśmiechać. Ten błogosławiony i zarazem nieobecny uśmiech studiowała przed lustrem już od kilku tygodni. Zaczęła jeszcze przed zajściem w ciążę. Był to uśmiech, jaki widziała na pozbawionej wyrazu, niewinnej i dziewiczej twarzy kamiennej madonny, którą oglądała podczas ostatnich wakacji spędzonych z mężem. Udali się do Włoch na coś w rodzaju pielgrzymki. Bill stacjonował tam w czasie drugiej wojny światowej, i jeśli wrócił w poszukiwaniu cudu, to go nie znalazł, ponieważ zmarł wkrótce po powrocie.

Ona spędzała czas robiąc zakupy i snując plany. Poznała testament Billa, skłaniając jego młodego wspólnika z firmy prawniczej do pokazania jej kopii. Młodzieniec ten, może niezupełnie prawniczy, był na tyle niedoświadczony, że uległ jej wdziękowi, co dostarczyło jej dodatkowego dreszczu emocji.

Z ulgą stwierdziła, że Bill jest nią nadal oczarowany na tyle, że zostawia jej wszystko, niemniej była świadoma faktu, że jego rodzina niechętnie popatruje na ich związek. Z pomocą dobrego prawnika będzie w stanie jeśli nie obalić testamentu, to przynajmniej ograniczyć jej władzę nad majątkiem Billa. Chyba że w jakiś sposób uda się temu zapobiec... Chyba że jej pozycja stanie się tak silna, jej opinia tak czysta, że nie będzie można jej tknąć. Zbyt ciężko walczyła o majątek Billa, by go teraz oddać.

Nad tym właśnie problemem rozmyślała, gdy spotkała Nicka. Był dla niej jeszcze jednym atrakcyjnym i próżnym mężczyzną, który ją zainteresował i spełniał jej łóżkowe zachcianki, później jednak stwierdziła, że mógłby on odegrać w jej życiu inną rolę. Venice uznała bowiem, że jako



matka będzie znacznie bezpieczniejsza i w razie ewentualnej rozprawy sądowej spotka się z większą sympatią niż młoda wdowa bez żadnych zobowiązań. Matka zaś musi utrzymywać dziecko, dzieci, a jeśli oprócz tego będzie przypominała jeszcze madonnę...

Uśmiechnęła się w duchu, widząc na twarzy Nicka przeżalenie, wściekłość i bezradność.

- W ciąży? - spytał z niedowierzaniem.

Czy ona oszalała? Czy ona nie wie, co to znaczy? To go zrujnuje... A ona tu stoi z tym głupim wyrazem twarzy i patrzy na niego tak, jak gdyby miał skakać z radości.

Dzieci. Nigdy szczególnie nie lubił dzieci i nie chciał ich mieć. Ale mieć dziecko pozamałżeńskie, i to z kobietą, która prowadzi taki wystawny styl życia... Przymknął oczy i usiłował się opanować.

- Czy to nie cudowne? - dobiegł go głos Venice. - Kochanie, jestem taka przejęta!

Przejęta? Kiedy zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos, nie ukrywał szoku.

- Oszalałaś? - wydusił. - Na litość boską, Venice, ja mam żonę. Będziesz musiała się tego pozbyć.

Serce biło mu jak oszalałe, koszula przylepiła się do ciała. Teraz był już nie tylko zirytowany, lecz także zrozpaczony. Jak Venice mogła mu to zrobić? Trzeba ją jakoś przekonać, że ta ciąża nie ma sensu. Ona musi zrozumieć, ile ryzykują. Przede wszystkim - ich związek. Venice zrobiła smutną minę, jej oczy napełniły się łzami, których spodziewał się wcześniej. Czy mu się przywidziało, czy mimo łez jej spojrzenie było zimne i twarde?

Chyba jednak zadziałała wyobraźnia, bo Venice właśnie zbliżała się do niego z szeroko otwartymi oczami, a jej

ciało drżało w sposób, który tak podniecał go w łóżku, podkreślając jego władzę nad nią.

- Ale Nick... Myślałam, że się ucieszysz.

- Ucieszę? Na litość boską, Venice, ja jestem żonaty!

- Ależ kochanie, czy ty nic nie rozumiesz? - pytała łagodnie Venice. - To dziecko wszystko ułatwia. Przecież ludzie, nawet jeśli obdarzą współczuciem Fern, będą zmuszeni przyznać, że rozwodząc się z nią, aby wziąć ślub ze mną dla dobra dziecka, i oczywiście jego dziedzictwa, robisz jedyną słuszną rzecz.

Urwała i patrzyła na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami, zanim podjęła:

- Nick, tak się boję. Rodzina Billa dotąd nie pogodziła się z faktem, że wszystko zostawił mnie. Obawiam się, że kiedy dowiedzą się, że zostałam matką, będą próbować zyskać jakąś kontrolę nad majątkiem Billa poprzez moje dziecko...

Czekała, pewna efektu, jakie te słowa wywrą na Nicku. Znała go bardzo dobrze, a poza tym wiedziała, że jego interesy poważnie ucierpiały z powodu kryzysu. Z rozbraniem słuchała jego starannie przygotowanych przemów na temat tego, że powinna chronić siebie i fortunę, którą odziedziczyła. Oczywiście, że należy ją chronić... zwłaszcza przed takimi jak on. Ona jest za dobrą partią dla Nicków tego świata.

- Czy nie rozumiesz, kochanie? - ciągnęła przymilnym tonem. - Potrzebujemy ciebie, dziecko i ja. I chodzi nie tylko o to, że... - Odwróciła się od niego studiowanym od tygodni ruchem, podkreślającym jej błaganie i pragnienie. - Nick, mam dla nas wielkie plany.

Plany? O czym ona mówi? Nick usiłował przyswoić

sobie informację, którą przed chwilą usłyszał. Jego dziecko, miliony Billa... Jego dziecko podatne na wpływy i kontrolę innych. Jego dziecko, miliony Billa. Znowu się spocił, lecz z innego powodu. Miliony Billa. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? No tak, z powodu Fern, z którą musiałyby się rozwieść, żeby poślubić Venice. Fern, która zyska wolność, i Adam...

- Kochanie, mam taki cudowny pomysł - mówiła dalej Venice.

Nie ukrywał już irytacji. Za chwilę pewnie mu powie, jak chce urządzić pokój dla dziecka!

- Czy wiesz, że Jennifer Bowers postanowiła wycofać się z polityki? Chyba jej ojciec nie czuje się dobrze, a poza tym chciałaby trochę więcej czasu poświęcić rodzinie. Tak między nami to pewnie bardziej niepokoi ją to, że Maurice może się zbuntować, ale... No, w każdym razie to znaczy, że partia będzie szukać kandydata, który by zajął jej miejsce jako deputowany z tego okręgu. Pomyśl o tym, kochanie. Pomyśl, jakie będziesz miał wpływy, władzę...

Nick był oszołomiony. Cóż to za wspaniałe wizje! On posłem... Jaki Adam byłby wtedy mały i nieważny, z tym jego stanowiskiem w radzie miejskiej. Adam musiałyby uznać jego polityczną wyższość, jego bogactwo, status... Poseł. To o nim będą wszyscy mówić, a nie o Adamie, to jego będą podawać za wzór.

- I wcale się na tym nie musi skończyć - ciągnęła Venice.  
- Jesteś młody, Nick, i nie ma granic, których nie mógłbyś przekroczyć. Ministerstwo, rząd, tytuł szlachecki...

Venice zorientowała się, że już go ma. To otumanienie, zaślepienie, to oczarowanie w jego oczach... Uśmiechnęła się do siebie triumfalnie. Zawsze wiedziała, że jej się uda,

podobnie jak niemal natychmiast, gdy został jej kochankiem, odgadła, że można go urobić tak, by stał się biletem do życia, o jakim marzyła.

Oczywiście, sama może zdobyć to wszystko; jest wystarczająco inteligentna i sprytna. Tylko co wtedy zrobić z intensywnie zmysłową i seksualną stroną jej natury, potrzebą dominacji i tajemniczości - to byłoby trudno dostosować do jakiegokolwiek roli publicznej, szczególnie polityka. Już dziennikarze by wszystko wywąchali.

Lepiej więc będzie, jeśli uwaga zostanie skupiona na Nicku. Venice obrzuciła go kolejnym spojrzeniem. Był jak dziecko, oszołomione jaskrawymi barwami stosu zabawek, nie zdające sobie sprawy, jak łatwo mogą się połamać i stać bezużyteczne. W przeciwieństwie do niej nie pojmował, z jakimi restrykcjami wiązałyby się jego nowa rola.

Nie miała powodu się obawiać, że Nick zejdzie z drogi cnoty. Oczywiście, pokus będzie miał wiele, lecz na tym się skończy - już ona tego dopilnuje. Nie będzie miał żadnych pięknych, ambitnych asystentek, żadnych sekretarek o sarnich oczach, żadnych spotkań ciągnących się do późna w nocy, podczas gdy w domu czeka żona... To cudowne, ile można osiągnąć dzięki pieniądзом. W Londynie kupią dom i ona będzie w nim mieszkała cały czas podczas sesji parlamentu.

Dziecko zostanie posłane do szkoły z internatem, ona zaś dopilnuje, by każdy, kto będzie miał do czynienia z Nickiem, dokładnie zrozumiał, kto w tym stadle pociąga za sznurki. Biedny Nick. Myślał, że to on nad wszystkim panuje... Teraz stał i z niedowierzaniem potrząsał głową, podniecenie zaś wyraźnie zastępowało szok. Venice ma rację. Mogą to wszystko mieć. On może to mieć.

- Wiem, że nie chcesz skrzywdzić Fern - ciągnęła Venice po chwili przerwy - ale wszystko musi być załatwione szybko, żeby nikt nie wystąpił z jakąś oszczerczą kampanią, kiedy twoja kandydatura zostanie oficjalnie zgłoszona. Nie byłabym bardzo zdziwiona, gdyby Adam zdecydował się kandydować. Ale, oczywiście, nie stać go na to.

Nick spojrzał na nią uważnie. Nie pozwolił Adamowi na odebranie sobie takiej gratki. Nie pozwolił mu na odebranie sobie sławy, władzy i prestiżu, które Venice mu przed chwilą obiecała.

- Mmm. - Venice właśnie przytuliła się do niego i zaczęła umiejętnie dozować pieszczoty. - Mmm. Na samą myśl o tym, że staniesz się takim ważnym politykiem, natchmiast czuję się ogromnie podniecona. Chodźmy do łóżka. - Jej ręka powędrowała w dół jego brzucha. - A to następna rzecz, którą masz ty, a której nie ma Adam - szepnęła, całując go w usta. - Biedak. To musi być okropne, mieć tak mało seksapilu. Ale za to ty... - Pocałowała go ponownie w usta, potem powoli rozpięła guziki koszuli i przeciągnęła językiem po odkrytej skórze.

Pachniał i smakował potem, przypominając jej pierwszego kochanka. Nie było to przyjemne skojarzenie. Wbrew wrażeniu, jakie sprawiała, Venice nie lubiła, by mężczyźni tak właśnie demonstrowali swoją męskość. Wolała, by byli aseptycznie czysti, pozbawieni wszelkich męskich zapachów. Teraz nie może jednak dopuścić do tego, by Nick się wycofał. Osiągnęła już prawie wszystko.

- Zanieś mnie do łóżka - szepnęła, oddechem ogrzewając mu skórę. Była teraz jak prosząca, mała dziewczynka, dobra i miła. Wiedziała, jak Nickowi sprawić przyjemność, jak doprowadzić do tego, by pomyślał, że jest panem sytu-

acji. On, panem sytuacji! Albowiem mimo aroganckiego przekonania o swej męskości, Nick niewiele wiedział na temat tego, jak sprawić przyjemność kobiecie. W przeciwieństwie do swego przybranego brata.

Venice cicho westchnęła. Szkoda, że Adam jest taki nieczuły na jej wdzięki. Ale może nie szkoda? Może tak jest lepiej? Dzięki temu ona będzie wszystkim rządzić... Gdy przez jej ciało przebiegł wyreżyserowany dreszcz, który Nick uważał za świadectwo swej siły, a jej słabości, uśmiechnęła się do siebie zwycięsko.

# Na dobre i na złe

24

- Muszę iść.

- Nie... - zaprotestowała Venice i przytuliła się do niego teatralnym gestem. Ciało - to jedno ma dobre, pomyślała. Twarde, bez zbyt wielu muskułów, gładkie, lekko opalone - w solarium. Niewiarygodnie próżny, ale lubiła tę cechę u mężczyzn. Próżność czyniła ich słabszymi. - Nie, zostań dziś ze mną - szepnęła, czując jego opór. - O tylu jeszcze rzeczach musimy porozmawiać... Chcę sprzedać ten dom, Nick. Oczywiście, pozostaniemy w tym okręgu wyborczym, ale kupimy coś dużego, żeby można było zapraszać gości, nawet z Londynu.

- A Fern? - spytał, lecz jego opór wyraźnie słabł pod wpływem wizji roztaczanej przez Venice.

- Fern zostaw mnie - powiedziała spokojnie. - To rozsądna kobieta. Nie będzie mogła zaprzeczyć, że wasze małżeństwo się nie układało, zanim poznałeś mnie. Sam mi mówiłeś, jaki byłeś nieszczęśliwy.

Venice powiodła palcem po jego twarzy i pocałowała go w szyję, zastanawiając się, czy będzie musiała go jeszcze raz pobudzić, by został. A jeśli tak, to zrobi mu wyjątkową przyjemność. Uwielbiał to, wpatrywał się wtedy w jej usta z zachwytem. Dlaczego mężczyźni są tak idiotycznie dumni z tych swoich kilkunastu centymetrów? Nie wiedzą, że

to ich słaby punkt? Bawił ją agresywny sposób, w jaki próbował nad nią dominować podczas tej pieszczoty. Gdy raz przesadził, powstrzymała go zębami, a potem ze łzami w oczach przepraszała, tłumacząc, że to przypadek. Uwierzył jej, oczywiście, no i zapamiętał, że jeśli ona decyduje się na ten pocałunek, robi mu wyjątkową łaskę i należy za to być wdzięcznym.

- Nick, Nick... - szeptała. - Gdzie jest mój duży, niegrzeczny chłopczyk? Chcę mu dać dużego buziaka i...

Jak łatwo jest przewidzieć zachowanie niektórych mężczyzn, jęknęła w duchu. Jacy są nudni i infantylni. Nick nie był pierwszym z jej kochanków, któremu podobał się taki sposób mówienia. Pomyśleć, że na taką paplaninę pogardliwie zareagowałby inteligentny trzylatek.

- Nie martw się o Fern - powtórzyła cicho. - Kiedy się dowie o dziecku, nie będzie miała wyboru i da ci rozwód. Na osłodę podarujemy jej dom i...

- Dom? Nie.

Venice spojrzała na niego uważnie i uniosła do góry jedną brew, co miało wyrażać zdziwienie i rozbawienie.

- Kochanie, nie możesz zatrzymać tego okropnego domu. A poza tym pomyśl, jak dziwnie by to wyglądało, gdybyś go jej nie zostawił. Nie zapominaj, że odtąd musisz cały czas myśleć o swoim publicznym wizerunku. - Uśmiechnęła się uwodzicielsko, zmarszczyła nos i dorzuciła: - Nie możemy dopuścić do tego, żeby ludzie mówili, że potraktowałeś ją źle. Szkoda, że taka z niej bidulka. Oczywiście fakt, że noszę twoje dziecko, zyska nam w pewnym stopniu przychylną opinię publiczną, a zawsze można temu pomóc, rzucając tu i ówdzie dyskretnie, że Fern nie była tak idealną żoną, jak wszyscy sądzili.



- Co masz na myśli? - spytał zdenerwowany. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było ujawnienie zdrady Fern z Adamem, mimo że sam wielokrotnie jej tym groził.

Venice wzruszyła ramionami.

- Och, nic takiego. Po prostu da się do zrozumienia, że Fern, choć wspaniale prowadziła dom, nie była taka cudowna w innych dziedzinach. To zyska ci przychyłność mężczyzn, a także wielu kobiet. A poza tym, to chyba prawda, nie? Sam mi mówiłeś, że w łóżku Fern jest do niczego. Ale, jak już wspomniałam, nie będziemy mieli wielkich kłopotów z uzyskaniem poparcia ludzi, jeśli potraktujesz Fern hojnie. A w końcu, w dzisiejszych czasach, rozwód to nic takiego, zwłaszcza kiedy się go przeprowadza cicho i dyskretnie.

- Ale dom jest mój!

- Nick, kochanie, myśl! Masz zamiar zostać politykiem, będziesz miał władzę i prestiż, jakie więc znaczenie ma tu jeden dom? Mogłabym... Moglibyśmy kupić tuzin takich, zupełnie nie przejmując się ceną.

Wreszcie zaczął rozumieć. Chciwość to dobry bodziec, o czym miała okazję się sama przekonać.

- I przestań się martwić o Fern - zakończyła, uśmiechając się w duchu do swych kłamstw. - Wiem, że nie chcesz jej skrzywdzić, ale na pierwszym miejscu powinno być dla nas nasze dziecko. Wszystko po prostu zostaw mnie.

Uległ jej w końcu, czego się zresztą spodziewała, bo zanim kilka miesięcy temu przystąpiła do realizacji swych planów, dokonała drobiazgowej analizy jego charakteru. Teraz przyglądała mu się, gdy spał.

Naprawdę idealny. Wystarczająco próżny i egotyczny,

by oślepiła go pozycja; wystarczająco charyzmatyczny, przynajmniej z pozoru, by zyskać wyborców; wystarczająco chciwy, by pójść na lep materialnych korzyści, jakie oferowała, i rozwieść się. Nie miała zamiaru wychodzić za mąż za kogoś, kogo kreowała na wielkiego polityka, by jakiś czas potem zostać zmuszoną do abdykacji ze swego upatrzonego tronu przez jakąś sprytną, małą lisicę, która zapragnie zająć jej miejsce.

Nie, to jest małżeństwo na całe życie. Uzyskanie zgody Nicka było łatwe. Nie będzie też trudno zdobyć poparcie lokalnych wyborców, a kiedy to się stanie... Nick jest młody, środki przekazu będą go sobie wyrywały, uważając go za polityczny ekwiwalent księcia Walii.

Młody, przystojny i, co najważniejsze z jej punktu widzenia, tak skoncentrowany na sobie i zadufany, że nawet nie zaświta mu myśl, że ona nim kieruje i manipuluje. Dzięki Nickowi będzie miała to, o czym zawsze marzyła: władzę!

Nie jest specjalnie dobry w łóżku, lecz ona i tak zawsze była zdania, że najbardziej podniecającym przeżyciem jest seks poza małżeństwem.

Niczego w swym planie nie pominęła. Gdy wiadomość o rozpadzie jego małżeństwa wyjdzie na jaw, oboje będą demonstrować poczucie winy i oświadczać na wszelkie możliwe sposoby, jak bardzo im przykro, że skrzywdzili Fern, lecz ich miłość jest tak wielka, że zmuszeni są wybrać wyjście najlepsze dla wszystkich, zwłaszcza dla ich dziecka.

Nick potem wystąpi z owym wspaniałym, wypróbowanym przemówieniem, które nieodmiennie zmiękcza serca wyborców; będzie w nim utrzymywał, że reprezentuje do-

bre, staroświeckie wartości rodzinne i nade wszystko przedkłada potrzeby młodych i słabych. Jednocześnie trzeba będzie dopilnować, żeby ktoś od czasu do czasu rzucił słówko, że Fern nie jest bez winy i że, choć trudno mieć o to do niej pretensje, jej chłód uczuciowy miał niszczący wpływ na ten związek i, niestety, skłonił Nicka do zaspokojenia potrzeb seksualnych i emocjonalnych poza małżeństwem.

Oczywiście, ona odegra w tym wszystkim swoją rolę. Niczym kameleon dostosuje się do sytuacji i wtopi w otoczenie.

Jako żona nowego pościa będzie osobą bez skazy, kobietą mającą swoje odrębne miejsce. Inne kobiety będą jej zazdrościć i nawet żywić do niej niechęć, ale ponieważ nawet przed sobą nie będą miały odwagi przyznać się do przyczyn owej niechęci, zrobią wszystko, żeby ją ukryć.

Tak. Udało się z Nickiem, teraz trzeba z równym powołaniem rozmówić się z Fern. Venice nie miała jednak zamiaru popełnić błędu Nicka i nie uważała, by Fern należało lekceważyć jako przeciwniczkę.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Fern kocha męża, ale będzie musiała się zgodzić na rozwód, kiedy się dowie, jak mąż ją potraktował. Biedna Fern, skonstatowała Venice cynicznie. W taki czy inny sposób zostanie zmuszona do rezygnacji z Nicka, co chyba nie powinno być takie trudne, kiedy się dowie o dziecku.

Nick długo nie wracał. Fern położyła się w pokoju gościnnym i w napięciu czekała na niego, wiedząc, że gdy tylko wejdzie do domu, zacznie się awantura. Zasnęła dopiero nad ranem.

Nie miała wątpliwości, że pozostając na noc u Venice uważał, że ją karze, w istocie jednak czuła ulgę. Prędzej czy później będzie musiał z nią porozmawiać, bo jej decyzja jest ostateczna. Może nie będzie tak łatwo znaleźć mieszkanie, ale musi się udać.

Rano zeszła do holu i włożyła płaszcz. Wybierała się do biblioteki, aby wypożyczyć kilka-książek na temat sposobów szukania pracy. Będzie musiała zdobyć jakieś kwalifikacje, a przedtem znaleźć zajęcie, które pozwoliłoby jej się utrzymać. Cressy powiedziała, że skoro ma naturalny dar słuchania ludzi bez osądzania ich, powinna zastanowić się nad doradztwem. Adam też kiedyś wspomniał coś takiego.

Adam... Otrząsnęła się i wróciła myślami do praktycznych spraw. Początkowo twierdziła, że Cressy przecenia jej umiejętności, przyjaciółka jednak obstawała przy swoim i Fern wreszcie uznała, że pomysł zostania doradcą podoba się jej.

Przeczytała już na ten temat kilka informatorów i potwierdziło się to, co przypuszczała, a mianowicie że w tym zawodzie wymagania były niezwykle wysokie i jedynie niewielki procent chętnych kończył kursy. Nie wyglądało to zachęcająco, niemniej stanowiło wyzwanie.

W drodze do miasta uśmiechała się do siebie smętnie. Przynajmniej raz nie ma potrzeby unikania biura Adama, bo pojechał do Włoch razem z tą Lily James i jej rodzicami. To chyba ironia losu, pomyślała, że ten fakt sprawia jej więcej bólu niż rozstanie z Nickiem.

Była już na rynku i przechodziła przez plac na drugą stronę. Podniosła głowę i odważnie spojrzała na okna biura Adama, po czym zdrętwiała widząc, że drzwi się otwierają

Adam wychodzi z budynku. Przecież miał być we Włoszech, tak mówił Nick, a tymczasem jest tutaj, zaledwie kilka metrów od niej, odwrócony plecami, zajęty zamykaniem drzwi, na szczęście nie zdający sobie sprawy z jej obecności.

Przez kilka cennych sekund Fern upajała się jego widokiem, słysząc głucho, niebezpieczne dudnienie swojego serca, czując przepełniającą duszę radość ze spotkania kogoś, kogo się kocha. Po czym uczucie to uleciało i jego miejsce zajęła znana jej, cicha, rozdzierająca rozpacz, która bolała bardziej niż okrutne słowa Nicka. Nick mówił, że Adam jej nie chce i Fern wiedziała, że to prawda, niemniej na jego widok zawsze czuła ból.

Adam zamknął drzwi, obejrzał się, a Fern pomyślała z przerażeniem, czy mógł odgadnąć jej stan, i nagle zdała sobie sprawę, że ruszył w jej kierunku.

- Fern.

Przymknęła powieki, słysząc w jego głosie łagodność i ciepło, i natychmiast odstaąpiła krok do tyłu.

- Jak się miewasz?

Jakim cudem takie zwykłe, obojętne pytanie zabrzmiało tak czule? No ale taki w końcu jest Adam - serdeczny wobec wszystkich. Nawet wobec niej.

- Dobrze - skłamała. - A ty? A Lily?

- Lily? - zdziwił się.

- Tak. - Fern zaczęła się jąkać. - Myślałam... słyszałam, że ona... myślałam, że jesteś we Włoszech z...

- Ach, tak - powiedział. - Byłem we Włoszech, ale musiałem wrócić.

Na rynek wjechał samochód. Adam wyciągnął rękę, jak gdyby chciał przyciągnąć ją bliżej siebie, Fern jednak od-

sunęła się. Odniosła wrażenie, że dłużej nie wytrzyma jego bliskości.

- Muszę wracać - wyjąkała czując, jak czerwienieje jej twarz i napinają się mięśnie.

- No cóż...

Wiedziała, że Adam na nią patrzy, lecz sama nie miała odwagi na niego spojrzeć. Gdyby to zrobiła... Odwróciła się szybko i pospieszyła w przeciwnym kierunku, walcząc z pokusą obejrzenia się do tyłu.

Adam patrzył w ślad za nią ze smutkiem. Nie próbował siebie oszukiwać - wiedział, że najchętniej zniknęłaby, nie zamieniając z nim ani słowa. Ale czy mógł ją za to winić? W jej sytuacji na pewno postąpiłby tak samo. Czuł, jak serce ściska mu ból i jak zaczyna go gnębić poczucie winy, bezlitosne i piekące.

Fern... Jeśli postoi chwilę nieruchomo, zamknie oczy i powoli wciągnie w płuca powietrze, może jeszcze poczuje jej ulotny zapach. I mimo że odeszła, jej cząstka pozostanie z nim, dając mu złudne poczucie szczęścia. Fern...

Wróciwszy do domu, Fern powiedziała sobie, że ma już za sobą szok po spotkaniu Adama i że nie ma sensu dalej o tym myśleć. Zrobiła filiżankę kawy, wzięła książki i zabrała się do czytania. Postanowiła skoncentrować się na rzeczywistości i nie ulegać jałowym i próżnym marzeniom.

Sięgnęła najpierw po jeden z informatorów, który przeczytała już wczoraj, i zaczęła go uważnie studiować. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, niezadowolona zmarszczyła czoło i odłożyła broszurkę na stół. To nie jest Nick, on ma przecież klucz. Wstała, przeszła do holu i otworzyła drzwi, ze zdumieniem patrząc na swego gościa.

- Nicka nie ma - powiedziała spokojnie.

- Wiem. - Venice weszła do holu, zanim Fern zdążyła zaprotestować. - Prawdę powiedziawszy, jest w moim łóżku. Spędził ze mną noc.

Fern zastanawiała się, co ta kobieta tu robi, jeśli Nick rzeczywiście spędził z nią noc.

- Musimy porozmawiać - dodała Venice, rozejrzała się wokół i skrzywiła twarz. Jeden Pan Bóg wie, dlaczego Nick chce zatrzymać ten dom. Jest źle zaprojektowany, i jeszcze gorzej urządzony.

Fern ruszyła w stronę salonu, nie mogąc się domyślić przyczyny wizyty Venice.

- Nick chce rozwodu - usłyszała jej głos, a potem, zanim zdążyła powiedzieć, że z jej punktu widzenia to małżeństwo i tak jest już skończone i Nick o tym wie, Venice rzuciła bombę: - Jestem w ciąży. To dziecko Nicka.

Fern spojrzała na nią. Nie była pewna, co zdumiało ją bardziej: fakt, że kobieta taka jak Venice może przypadkiem zajść w ciążę, czy też to, że Nick gotów jest przyjąć oficjalnie odpowiedzialność za tę ciążę. Z ulgą stwierdziła jednak, że nie czuje bólu ani zazdrości, lecz palącą chęć, by jak najszybciej mieć ten związek za sobą.

- Wiem, jak się pani czuje - mówiła Venice - ale Nick i ja... No cóż, próbowaliśmy jakoś bronić się przed tym, co do siebie czuliśmy... Żadne z nas nie chciało pani zranić.

Spojrzała na Fern błyszczącymi od łez oczami. Fern zamrugała powiekami, zastanawiając się, czy Venice naprawdę spodziewa się, że ona jej wierzy.

- Ale teraz, dla dobra dziecka...

Fern odgadła, że Venice znakomicie się bawi, że z rozkoszą odgrywa rolę, jaką sobie wyznaczyła. A jej rola?

Rola opuszczonej żony, którą upokorzono i która musi patrzeć na kobietę noszącą w łonie dziecko jej męża? Gdyby Fern naprawdę kochała Nicka, byłoby to straszne. Tak jednak nie było, i Nick o tym wiedział. Wiedział również, że ona nie będzie przeszkadzać w jego związku z Venice, dlatego więc sam jej tego nie powie?

Poczuła, jak ogarnia ją strach. Nick wyszedł wczoraj z domu twierdząc, że nie da jej rozwodu. Zaczęła szybko myśleć. Właśnie przed chwilą, kiedy siedziała i rozmyślała nad swą ewentualną przyszłością, niezależnością, satysfakcją płynącą z pracy dla innych, zrozumiała, jak bardzo pragnie być wolna. A jeśli to oznacza wejście w sojusz z Venice, przyjęcie roli, jaką tamta jej narzuca, jeśli to oznacza publiczne snucie domysłów i współczucie jej - no cóż, ma siłę znieść i to.

A oprócz tego... Dotarło do niej dopiero przed chwilą, gdy przeglądała powtórnie informatory, że zamiast zostać w Avondale, może się przenieść do Bristolu. Tam będzie łatwiej o pracę wymagającą niewielkich kwalifikacji, a także można zapisać się na studia podyplomowe.

Venice natomiast zastanawiała się z irytacją, dlaczego ta głupia baba nic nie mówi. Była zdziwiona, gdy jej oświadczenie o ciąży nie wywarło na Fern żadnego wrażenia. Venice uważała się za znawcę charakterów i w Fern widziała pogardzany przez nią typ osoby zdolnej do samopokorzeń, ciągle pokornej i tym samym irytującej, takiej, co to niemal prosi: przejdź po mnie, a potem się odwróć i skop. Spodziewała się więc, że w oczach Fern co najmniej pojawią się łzy, potem przyjdzie szok, a w końcu ta mała przyzna, że nie może im przeszkadzać, że nie może niewinnego dziecka pozbawiać ojca.



-Wiem, jak się pani czuje - ciągnęła Venice, ukrywając zniecierpliwienie. Musi zaraz wracać do Nicka, bo jeśli zbyt długo zostanie sam, gotów zmienić zdanie. -I gdyby nie chodziło o dziecko... - Venice pochyliła głowę w teatralnie skromnym geście. - Rozumie pani to, prawda? Muszę... Musimy myśleć przede wszystkim o dziecku.

- Tak, rozumiem - powiedziała Fern spokojnie.

Jeśli to prawda z tą troską o dziecko, to zapewne zdarza się to po raz pierwszy i ostatni w życiu Nicka i jej, pomyślała Fern z ironią i patrzyła na Venice, która starała się ukryć wyraz triumfu. Najwyraźniej czuła się teraz pewniej. Podniosła głowę i naprężyła mięśnie niczym zawodnik przygotowujący się do walki.

- Oczywiście, trzeba będzie przeprowadzić rozwód, i to szybko. Nick przejmie na siebie całą odpowiedzialność, przyzna się do cudzołóstwa. Dostanie pani ten dom... - Venice zrobiła efektowną pauzę. - I jeśli nie będzie problemów, gry na zwłokę, to jestem pewna, że Nick zagwarantuje pani spore korzyści finansowe.

Najpierw groźba, potem łapówka. Fern zachodziła w głowę, jaką naprawdę kobietą jest Venice. Czy istotnie sądziła, że Fern, gdyby kochała Nicka, skazywałaby go na tortury ciągnącego się w nieskończoność rozwodu? Miłość to zaspokajanie potrzeb tej drugiej strony, a nie swoich. A jeśli chodzi o dom i pieniądze, to Nick musiał dać się kompletnie ogłupić Venice, skoro się na to zgodził.

- To bardzo szlachetne z jego strony, ale zupełnie niepotrzebne - oznajmiła sucho. Miała ochotę dodać, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnie w życiu, jest jakakolwiek pamięt-

ka po tym koszmarnym małżeństwie, a tym bardziej dom, który Nick uważał wyłącznie za swój.

Venice wyglądała na zakłopotaną.

- To znaczy, że zgadza się pani na rozwód? - spytała.

Fern uśmiechnęła się do siebie i odrzekła z udawanym smutkiem:

- A czyż mogłabym nie? To przecież dla dobra dziecka.

Zauważyła, że jej zgoda w połączeniu z wyrzeczeniem się pieniędzy wprawiła Venice w zdumienie. Sprawiała wrażenie osoby, która nie wie, co robić.

- Ubrania Nicka - zasugerowała Fern. - Gdyby pani zechciała poczekać, mogę je spakować, albo...

Venice spojrzała na nią z jeszcze większym zdumieniem. Czy ta kobieta naprawdę istnieje? Czuła dla niej coraz większą pogardę. Jak można być tak uległym, tak pokornym?

Fern zrozumiała spojrzenie Venice, lecz nie mogła jej przecież powiedzieć, że ostatnią rzeczą, o której marzy, jest powrót Nicka i zmiana jego decyzji. Pakowanie nie trwało długo: Fern dosłownie wrzucała jego rzeczy do walizek, myśląc z okrutną satysfakcją, że nie będzie już musiała krochmalić i prasować tych jego bawełnianych koszul, nosić do pralni jego wełnianych garniturów ani czyścić jego butów.

Co prawda nie spodziewała się, żeby Venice to za nią robiła. Kiedy zniosła już na dół ostatnią walizkę, Venice wyszła z salonu, trzymając w ręce prospekt.

- Właśnie przeczytałam, że ogród posiadłości Broughtonów został zaprojektowany przez Gertrudę Jekyll.

- Tak - przytaknęła Fern. - Pani Broughton pokazywała mi oryginalny projekt.

- Czy wie pani, gdzie on jest? - spytała Venice, a Fern spojrzała na nią ze zdziwieniem. - Projekt - wyjaśniła Venice z podnieceniem. - Wie pani, gdzie jest ten projekt?

- Podejrzewam, że wraz z innymi dokumentami jest u adwokata.

Co wzbudziło w niej takie zainteresowanie tym ogrodem? - zaciekała się Fern i zaczęła wynosić walizki na dwór.

- A więc umowa stoi? - spytała Venice, gdy Fern włożyła ostatnią walizkę do samochodu. - Zgodzi się pani na rozwód, a Nick w zamian zapisze pani dom i zabezpieczy panią finansowo, czy tak?

- Zgodzę się na rozwód - oświadczyła spokojnie Fern i pomyślała, że za tę zgodę na pewno nie przyjmie żadnych pieniędzy.

Jej zgodę... Dlaczego Nick nie powiedział Venice, że ona, Fern, sama domaga się rozwodu? Skoro od początku są takie niedomówienia, to jakim cudem ich związek ma być udany? Ale to już ich zmartwienie, a nie jej.

Dzięki Bogu.

Spojrzała na telefon. Zaraz zadzwoni do Cressy, opowie jej o wszystkim i spyta, co przyjaciółka sądzi o jej pomysle przeprowadzki do Bristolu. Trudno jej było uwierzyć w to, że tak wspaniale się czuje... Odprężona, wyzwolona, szczęśliwa, wolna...

Venice zatrzymała samochód i niemal wbiegła do domu. Nick siedział przy stole w pokoju śniadaniowym, otulony ręcznikiem kąpielowym, i posepnie wpatrywał się w filiżankę z kawą.

- Gdzie byłaś? - rzucił na jej widok. -I gdzie są moje kluczyki?

- Nie wiem. Zgubiłeś je?

Spojrzała na niego niewinnym wzrokiem. Kluczyki leżały bezpiecznie zamknięte w jej biurku; nie mogła dopuścić do tego, by Nick wyjechał, zanim ona spotka się z Fern.

- Rozmawiałam z Fern. Zgadza się, że najważniejsze powinno być dobro dziecka i nie będzie robiła trudności z rozwodem. Musiałam jej, oczywiście, obiecać dom i zabezpieczenie finansowe, ale tak będzie lepiej. Ludzie szybko przestaną jej współczuć i winić ciebie, jeśli się dowiedzą, jaki byłeś hojny.

Chcę wydać kolację. Będziemy tylko my, lokalny agent i jeszcze jedna para. Nie zaszkodzi, jeśli maszyna już zacznie działać... Trzeba poinformować ludzi, że jesteśmy razem. Zadzwoń do mojego adwokata, niech zacznie pracować nad rozwodem. Och, Nick, i wpadłam jeszcze na taki cudowny pomysł! Czekałam, aż Fern spakuje twoje rzeczy, i zobaczyłam ten artykuł o domu Broughtonów. Czy wiesz, że ogród został zaprojektowany przez Gertrudę Jekyll?

- No i co z tego?

- To, mój skarbie, moje złotko, że możesz upiec dwie pieczenie przy jednym ognisku. Nie dopuścisz do tego, żeby Adam dostał to swoje zezwolenie i staniesz się, mam nadzieję, znany nie tylko tutaj, lecz i w całym kraju, jako jeden z czołowych obrońców środowiska, gotów bronić dziedzictwa kraju...

Nick jęknął niecierpliwie i spojrzał na nią z pretensją w oczach.

- Ogród, Nick - powtórzyła. - Jeśli udowodnimy, że projektowała go sama Jekyll, a według Fern projekt oryginalny istnieje, wtedy możemy rozpocząć kampanię na rzecz uznania tej posiadłości jako zabytkowej. Nie rozumiesz? To dla ciebie wymarzona sprawa. Jest lokalna, dotyczy środowiska, znajduje odzew w tłumie. Pomyśl, ile uznania zyskał Adam dzięki ochronie środowiska i zabytków, ale on jest znany tylko tu, podczas gdy ty... Oczywiście, trzeba się będzie tym umiejętnie zająć, zrobić ci odpowiednią reklamę, dobrać właściwych ludzi. Chyba nie zrezygnujesz z takiej okazji?

Nick szybko myślał. Kiedy dziś rano obudził się sam w łóżku Venice i przypomniał sobie zdarzenia poprzedniego wieczoru, chciał jak najprędzej poinformować ją, że *zmienił zdanie, a tymczasem ona znowu umiejętnie rzuciła* na niego czar, przypominając mu o świetlanej przyszłości, jaką dla niego wymarzyła.

Chciwość na chwilę zepchnęła Adama i niszczącą niechęć do niego na drugi plan. Teraz Nick napawał się myślą, jak zacznie się pastwić nad swym przybranym bratem, kiedy zostanie posłem, jak go upokorzy i ukarze za wszystko. Już niedługo ludzie będą patrzeć na niego, a nie na Adama. Venice ma rację, potrzebna mu jest ważna sprawa. Na przykład dom Broughtonów...

- A co będzie, jeśli dom zostanie sprzedany, zanim zdążymy cokolwiek zrobić? - spytał.

- Nic. - Venice obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. - Ten, kto go kupi, straci pieniądze, bo jedno jest pewne: ludzie broniący dziedzictwa kultury nie pozwolą mu zniszczyć tego ogrodu, a tym bardziej dostać zezwolenia na przebudowę domu.

Pogratulowała sobie w duchu, gdy w jego oczach dojrzała błysk zadowolenia. Tak łatwo było go rozszyfrować, tak nie potrafił ukrywać swoich słabości – jest wręcz idealny do odegrania roli, jaką mu wyznaczyła. Od pierwszej chwili, kiedy zdała sobie sprawę, jaką ma władzę nad niektórymi mężczyznami, Venice postanowiła zbić na tym kapitał. Miała czternaście lat, kiedy zorientowała się, że ojczym patrzy na nią w szczególny sposób.

Przez dwa następne lata trzymała go sprytnie na odległość, składając mu to subtelne obietnice, to gwałtownie go odtrącając, i bez żenady przyjmowała coraz wyższe kieszonkowe, jakie jej dawał, ubrania i łakocie, a kiedy zaczął domagać się zapłaty, reagowała z cnotliwym oburzeniem niewinnej panienci.

Szybko odkryła, że słabymi mężczyznami, mającymi największe potrzeby seksualne, najłatwiej jest manipulować. Jej ojciec był zamożnym biznesmenem, lecz gdy opuścił matkę i ożenił się z sekretarką, standard życia Venice i jej matki gwałtownie się obniżył i Venice musiała opuścić małą, prywatną szkołę i przejść do wielkiej, publicznej. Wtedy odkryła, jaką różnicę może sprawić brak pieniędzy i postanowiła, że pewnego dnia zdobędzie fortunę, której nikt jej nie odbierze. Szybko też uznała, że najlepiej będzie w tym celu wykorzystać swój naturalny wdzięk.

Zanim poznała Billa, romansowała po cichu z bogatymi, żonatymi mężczyznami, lecz w chwili, kiedy go zobaczyła, natychmiast zerwała z ostatnim kochankiem i postanowiła, że dobierze się do konta Billa nie tylko za sprawą kosztownych prezentów, stanowiących „nagrody” za cielesne rozkosze, lecz przejmie nad nim kontrolę poprzez małżeństwo.

Bill był człowiekiem bardzo samotnym, który ciężko pracował przez całe życie i mało w nim zaznał szczęścia. Venice mu obiecała, że wszystko w jego życiu zmieni, lecz gdy została jego żoną, szybko odkryła, że bogactwo jest tylko jedną z form posiadania władzy i że są także inne, działające niczym najlepszy afrodyzjak, i od tej pory pragnienie zdobycia władzy, absolutnej i totalnej, nie opuszczało jej.

Bill nie miał żadnych społecznych ani politycznych ambicji i Venice szybko się zorientowała, że tu nic nie wskóra. Po jego śmierci jednak wszystko się zmieniło. Venice była wystarczająco bystra, by wiedzieć, że ta sama zmysłowość, która umożliwiła jej zrealizowanie poprzednich ambicji, zadziała przeciwko niej w przypadku prób realizacji innych. Ci, co strzegli barier społecznych, przez które ona miała zamiar się przebić, poznają się na niej natychmiast i ją odepchną, jeśli zaś chodzi o bariery polityczne... Jej usta wykrzywił cyniczny uśmiech. Może, gdyby jej płci nie przyznano prawa głosu, miałyby jakieś szanse...

Tymczasem jednak... Spojrzała na Nicka. Cudownie posłuży jej celom. Ani nie jest wystarczająco zamożny, ani nie ma odpowiednich koneksji, by się przeciwko niej zbuntować i ją zniszczyć. Nad nim zawsze będzie sprawowała władzę absolutną i totalną.

Spojrzała z kolei na swą figurę. Będzie musiała pojechać do Valentina po suknię na bal, który wydadzą na cześć Nicka, gdy otrzyma nominację. Szkoda, że lord Stanton jeszcze żyje; jego posiadłość będzie można kupić za bezcen, zaś tamtejsza sala balowa znakomicie nadaje się do takich okazji. Trzeba też dopilnować, żeby Nick przejął

pałeczkę od Jennifer Bowers dopiero po urodzeniu się dziecka.

Chłopca, oczywiście. Nie ma zamiaru mieć córek, które pewnego dnia zaczną z nią rywalizować. Tak, na razie wszystko przebiega zgodnie z jej przewidywaniami.



## Na dobre i na złe

25

- Idziemy dalej?

- Dobrze - zgodził się Marcus, odsuwając się nieco od Sondry. Poprzez materiał garnituru czuł ciepło jej ciała, irytował go silny zapach perfum. Przystanął na chwilę, obejrzał się przez ramię, zawahał, Sondra jednak pociągnęła go w stronę stanowiska odprawy paszportowej, paplając, jak bardzo cieszy się z tej podróży i jak nie może się doczekać zobaczenia Hagi.

Marcus milczał. W konsultacjach z holenderskimi oraz innymi europejskimi prawnikami nie widział nic ciekawego; były to po prostu długie godziny spędzane w mrocznych, ciasnych pomieszczeniach, gdzie omawiało się aż do znudzenia jakiś drobny szczegół prawa międzynarodowego.

Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze nie był władny narzucać swych postanowień, niemniej liczone się z jego decyzjami. Marcus przypomniał sobie, że kiedyś traktował te konsultacje z takim samym entuzjazmem jak Sondra, dziś jednak uważał je za jeszcze jeden żmudny obowiązek, na który musiał znaleźć czas w nawale zajęć.

Zbliżał się do tego punktu w karierze, gdy pora zdecydować, czy pozostać przy swojej specjalności i wybierać

już tylko najciekawsze sprawy, czy też z niej zrezygnować i pomyśleć o innej roli w systemie prawnym. Sondowano już, co by powiedział, gdyby mu zaproponowano stanowisko sędziego.

Istniała, oczywiście, jeszcze jedna możliwość: mógłby się na stałe przeprowadzić do Brukseli, przyjąć którąś z lukratywnych ofert, jakie otrzymywał, i zostać konsultantem jednej z olbrzymich korporacji międzynarodowych.

Problem częściowo polegał na tym, że nie był pewien, czy chce zrezygnować z działających na niego jak narkotyk spraw o odszkodowania, a jednocześnie wiedział, że nie może dłużej pracować tak ciężko jak dotychczas. Czy Nell nie rozumie, że on nie jest w stanie pogodzić obecnej pracy z dojazdami z Wiltshire?

- Mógłbyś czasami pracować w domu - powiedziała radośnie.

Czy ona niczego nie widzi, niczego nie rozumie? Poprawił się w fotelu, samolot przygotowywał się do startu. Poza złością, jaka ostatnio go nie opuszczała, poza przekonaniem, że Eleanor interesuje się wszystkim, tylko nie nim, drzemały inne emocje, do których z tchórzostwa nie chciał się przyznać.

Pragnął, na przykład, by Eleanor znalazła jakiś sposób na dogadanie się z Vanessą mimo jej zachowania, które jest najwyraźniej obliczone na szokowanie macochy. Jego także to szokowało, ale co miał począć? Vanessa jest już niemal dorosła, potrafi odróżnić dobro od zła, a poza tym ma zbyt silną wolę, by można jej było cokolwiek nakazać.

Po rozpadzie pierwszego małżeństwa wszyscy mówili, że zrobił dobrze, pozwalając Vanessie spędzać czas głównie z matką. W przypadku dziewczynki to ponoć najlepsze

wyjście. A niby w jaki sposób on, samotny, pracujący cały dzień mężczyzna, miałby się zająć dzieckiem? To było wykluczone, pilnował jednak, żeby w sensie finansowym niczego córce nie brakowało. Ostatnio jednak Eleanor jakby go o coś oskarżała, jakby go za coś winiała...

Przypomniał sobie, że kiedy po raz pierwszy powiedział Nell, że rzadko widuje się z córką, ta wyraźnie się zdumiała i szybko to uczucie ukryła. Ale czy to jego wina, że instynkt ojcowski nie został w nim rozbudzony? Czyżby Eleanor odrzucała go dlatego, że uważa, iż w jakiś sposób zawiódł Vanesę?

A w ogóle - jak ważny jest dla żony? Z ponurą miną otworzył teczkę i wyjął kilka dokumentów. Jakie zajmuje miejsce w jej życiu? Jest mniej ważny od jej synów? Od jego córki? No tak, a już na pewno od tego cholernego domu.

Sprawdził rozkład zajęć na następny dzień i zmarszczył czoło. Pierwsze spotkanie zajmie mu niemal cały ranek, a przed popołudniowym przyjęciem w Ambasadzie Brytyjskiej chciałby jeszcze sprawdzić parę rzeczy w bibliotece. Siedząca obok niego Sondra poruszyła się i poczuł na ramieniu jej miękki biust.

Był zdziwiony, gdy okazało się, że z nim jedzie. Powiedziała, że to wspaniała okazja, by zobaczyć sąd europejski w akcji. Wiedział o jej wyjeździe od dwóch dni, lecz nie wspomniał o tym Nell. Ale czy musiał? Przecież nie knuje niczego nagannego. Zgoda, Sondra nie ukrywała swoich uczuć wobec niego, ale on przecież nie musi ich odwzajemniać. Z niechęcią przypomniał sobie, jak Eleanor zareagowała na widok Sondry i jak się potem pokłócili.

Ostatnio jedyne, czego im właściwie nie brakowało, to

kłótnie. Zaczął odnosić wrażenie, że zupełnie nie zna swojej żony. Czasami myślał, że Nell celowo odsuwa się od niego, ukrywa w swoim zaciszu, odrzuca go. Jak niegdyś matka? Westchnął głośno.

- No, co się stało?

Sondra dotykała jego ramienia i uśmiechała się do niego ciepło. Jest niezwykle przystojną- kobietą, przyznał Marcus. I umie to wykorzystywać.

- Przejrzałam przewodnik - oznajmiła. - W Hadze jest mnóstwo wspaniałych muzeów i galerii.

- Na pewno z przyjemnością je zwiedzisz - zgodził się Marcus.

- Miałam nadzieję, że będziesz mi towarzyszyć. A może to jest dla ciebie zbyt nudne?

Marcus roześmiał się mimo woli.

- Powinnaś była wybrać politykę, a nie prawo - oświadczył zdecydowanie.

- A dlaczego myślisz, że tak się nie stanie? - zripostowała. - W Ameryce prawo bywa często biletem wstępu na Capitol Hill. A jakie ty masz ambicje, Marcus?

Zrobił zdziwioną minę.

- W moim wieku należałoby już je zaspokoić, a nie mieć - oznajmił, leceważąc ostrzegawczy głos, który podpowiadał mu, że igrza z ogniem. Sondra była wystarczająco inteligentna, żeby dostrzec w jego oświadczeniu subtelny flirt, toteż nie był wcale zdziwiony, gdy zręcznie pochwyciła kasek, który jej rzucił, pytając sennym głosem:

- W jakim wieku... ? Przed czterdziestką żaden mężczyzna nie jest interesujący, a skądinąd wiadomo mi, że okres między czterdziestką a pięćdziesiątką jest najbardziej udany zarówno pod względem zawodowym, jak

i seksualnym. Dojrzały mężczyzna, który wie, czego chce od życia i potrafi to osiągnąć, przyciąga kobiety jak magnes...

Kiedy to ostatnio Nell tak z nim flirtowała, przyprawiała go o ów lekki zawrót głowy, drażniła mile zarówno jego ego, jak i libido? Uzmysłowił sobie, że porównuje w tej chwili dwie różne kobiety, i nie jest to sprawiedliwe. Nell nigdy nie miała takiej pewności siebie i seksualnej agresywności jak Sondra, i nie w jej stylu leżało takie traktowanie mężczyzn.

Dawno temu, w staroświeckich, tradycyjnych małżeństwach, niewiasty wymieniały seks na dobra materialne i poczucie bezpieczeństwa. Nell nie należała do tego typu kobiet, Sondra jednak, jeśli dogłębnie się nad tym zastanowić, tak: wykorzystywała swą zmysłowość i młodość jako przynętę, łapówkę, i upajała się władzą, jaką jej dawały. I skoro on o tym wie, to dlaczego coś go dalej w niej pociąga? Czy chciałby znaleźć zapomnienie w jej ramionach? Ukarać w ten sposób Nell za to, że nie zaspokaja jego wszystkich potrzeb? Czy naprawdę jest taki samolubny - czyli taki słaby? A więc aż tak męski?

I to jest właśnie cały problem bycia prawnikiem, pomyślał, gdy kapitan ogłosił, że samolot zbliża się do lądowania - człowiek zawsze czuje się w obowiązku przeanalizować wszelkie możliwe aspekty sprawy.

W taksówce wiozącej ich do hotelu Sondra siedziała bardzo blisko, od czasu do czasu ocierając się o niego ramieniem.

- Hm, przynajmniej ten wieczór mamy wolny - mówiła uwodzicielskim głosem. - Co będziemy robili? O, już wiem... Pokażesz mi Hagę nocą. Kanały nie są tu pewnie

tak romantyczne jak w Wenecji, ale może nie będzie też tego zapachu. - Roześmiała się i zmarszczyła nos.

Marcus natychmiast zorientował się, że znowu jest w niebezpieczeństwie i że byłby szalony, gdyby tego nie przerwał. Używanie cały czas liczby mnogiej i słowa „romantyczny” czyniły jej intencje przejrzystymi. Gdyby zgodził się na jej propozycję, wiadomo, czym ten wieczór by się zakończył. Nie był pewien, czy tego naprawdę chce, a poza tym miał dość traktowania siebie jako strony pasywnej.

- Przykro mi, ale nie mogę - skłamał. - Umówiłem się na spotkanie ze starym przyjacielem.

Gdy tylko wszedł do pokoju w hotelu, podniósł słuchawkę i modlił się w duchu, by przyjaciel był w domu. Pół godziny później wezwał taksówkę i opuścił hotel. Przedtem jednak zadzwonił do Sondry i uprzedził ją, że wychodzi. Po tonie jej głosu poznał, że nie jest zadowolona, zaś przypominając sobie ciepło jej ciała poczuł, że nie jest pewien, czy dobrze robi.

Haga nie jest takim radosnym miastem jak Amsterdam; wręcz przeciwnie, jej zabudowania świadczą o solidnym, godnym poszanowania mieszczańskim bogactwie i braku ostentacji. Ulice są tu nieskazitelnie czyste, i w ogóle cały wygląd miasta odzwierciedla to, czym ono jest: kolebką międzynarodowego prawa. Poważna, niemal surowa atmosfera sprawia, że romanse pozamałżeńskie wydają się tu zupełnie nie na miejscu. A może mam po prostu wyrzuty sumienia? - pomyślał Marcus, gdy wysiadł z taksówki przed jednym z domów nad kanałem.

Kiedy zastukał, drzwi otworzyły się niemal natychmiast i w progu stanął barczysty, silnie zbudowany mężczyzna,

którego zapraszający gest był tak samo szacowny jak jego dom.

- Marcus, jak miło cię widzieć. - Mężczyzna poklepał gościa po ramieniu. - Wejdz.

- Mnie też miło cię widzieć, Piet. Przepraszam, że zawiadomiłem cię o wizycie w ostatniej chwili.

- Ależ nic nie szkodzi. Naprawdę, bardzo się cieszę, że jesteś. Elise wyjechała z dziećmi do swoich rodziców i bez nich ten dom jest bardzo pusty. Jadłeś już coś, czy...

- Podano nam jakiś posiłek w samolocie, ale właściwie mógłbym znowu coś przekąsić - powiedział Marcus i urwał, widząc pytanie na twarzy przyjaciela.

- Nam? - Piet wyjrzał za drzwi, jakby szukając kogoś wzrokiem. - A więc nie jesteś sam?

- Nie, jestem z koleżanką. Amerykańską prawniczką, która chwilowo przebywa w Anglii i studiuje europejski system prawny. Uważała, że ta podróż może jej się bardzo przydać.

- Tak uważała?

Krzaczaste, rudawe brwi przyjaciela znowu się uniosły do góry i Marcus lekko wykrzywił usta. Społeczność prawników w Hadze, podobnie jak w Londynie, łączyła wielka zażyłość, niemal kazirodcza. Marcus podejrzewał, że wkrótce Piet będzie wiedział wszystko o Sondrze Cabot. I zapewne odgadnie, co tego wieczoru przywiodło Marcusa do jego drzwi.

Człowieka nie można jednak skazać za to, że jest wystawiany na pokusy, pomyślał ironicznie, idąc za gospodarzem do jego gabinetu. Poznał Pieta jeszcze podczas studiów, kiedy wyjechał na wykłady do Hagi. Wtedy właśnie zainteresował się prawem międzynarodowym i zaprzyjaźnił z Pietem.

Piet i Elise przyjechali na jego ślub z Eleanor. Piet był również ojcem chrzestnym Vanessy, choć z Julią się nie lubili. Natomiast Eleanor i Elise przypadły sobie do gustu, choć z pozoru różniły się diametralnie: Elise nie pracowała, poświęcając czas wychowaniu czwórki dzieci oraz działalności charytatywnej.

Biuurko w gabinecie Pieta było zasłane papierami, a na jego środku leżały otwarte opasłe akta.

- Bardzo skomplikowana i tragiczna sprawa - wyjaśnił Piet, zauważając spojrzenie Marcusa. - Mam bronić człowieka oskarżonego o zabójstwo wnuczek-bliźniaczek. Tak, to szokujące - zgodził się, widząc minę Marcusa. - Elise nie chciała, żebym zajmował się tą sprawą.

- Zostanie skazany?

- Och, na pewno. Oczywiście, początkowo chcieliśmy wystąpić z tezą o ograniczonej poczytalności, ale ocena psychiatrów i to, co ten człowiek mówi... - Piet wzruszył ramionami. - Jest pod ostrym nadzorem. Już dwa razy próbował odebrać sobie życie. Nie jestem pewien, czy nie byłoby lepiej dla wszystkich mu na to pozwolić... No, to niebezpieczne, kiedy tacy jak my zaczynają podobnie myśleć. Możemy właściwie tylko poprowadzić sprawę najlepiej, jak potrafimy i dziękować Bogu, że prymitywna, męska zazdrość, która staje się przekleństwem innych facetów, nas nie dotknęła. Naprawdę tragiczne jest to, że on kochał te małe, ale wydawało mu się, że żona kocha je bardziej niż jego. Skąd my to znamy...

- Tak - przyznał Marcus z ciężkim sercem.

Piet ma rację: męska zazdrość to niszcząca, niebezpieczna rzecz. Ilu to mężczyzn już powiedziało, że woleliby zabić swoje żony i ich kochanków, niż je stracić? Ilu to



mężczyzn mówiło z niechęcią o innych związkach swych żon, ich zażyłości z przyjaciółmi i rodziną, bo czuli, że ta inna bliskość stanowi dla nich zagrożenie? Czy on sam nie odbierał tak samo więzów łączących jego matkę z babką? I czy nie myśli tak o pragnieniu Eleanor, chcącej nawiązać bliższy kontakt z Vanessą?

- Co cię sprowadza do Hagi? - usłyszał głos Pieta.

- To co zwykle - odparł obojętnym tonem. - Jeden z moich klientów ma sprawę przed Międzynarodowym Trybunałem. Na razie to tylko przesłuchania wstępne,

- A jak się miewa moja chrześniaczka?

Marcus przesłał mu posępne spojrzenie.

- Aż tak? - spytał Piet ze współczuciem. - Strasznie cierpią te nastolatki, a my razem z nimi. Nasz najstarszy ma czternaście lat; jeszcze nie przeszedł mutacji, ale już się upiera, że jest dorosły. Mówi mi, że nie mam prawa wtrącać się w jego życie, a za chwilą biegnie do matki i chowa się za jej spódnicą. Jest zbyt uległa wobec niego.

Urwał i zamyślił się, po czym podjął:

- Ciekawe, że właśnie o tym przed chwilą rozmawialiśmy. Elise uważa, że jestem o niego zazdrosny, a ja czasami myślę, że jest w tym ziarnko prawdy, chociaż nie podoba mi się nie tyle on sam, ile to, co sobą reprezentuje. A chłopak, zdaje się, to wyczuwa i wykorzystuje. Mówię ci, Marcus, on czasami wytrąciłby z równowagi świętego. Chwilami myślę, że miałbym ochotę ukreścić mu łeb, ale potem patrzę na niego i przypominam sobie, że to mój syn, moje dziecko, i nagle zaczynam go kochać. Tobie i Eleanor będzie, oczywiście, trudniej. Być macochą to rzecz nie do pozazdroszczenia.

- Próbowałem Eleanor to wyjaśnić, ale ona wszystko

przyjmuje tak osobiście. Czasami odnoszę wrażenie, że jej zdaniem zachęcam Vanesę do sprzeciwiania się jej. Nell wpadła ostatnio na idiotyczny pomysł, że jeśli przeprowadzimy się do takiego wielkiego domu-stodoły na zapadłej wsi, ona jakimś cudem zrobi z nas szczęśliwą rodzinę.

- A ty jesteś innego zdania?

- No wiesz... Ten dom stoi na odludziu, wymaga kompletnego remontu. Żadne z dzieci nie jest przyzwyczajone do życia na wsi. A Eleanor uważa, że ja specjalnie gram na zwłokę. Nie rozumie, że chcę uchronić ją od rozczarowań.

- Zauważył spojrzenie Piet'a i skrzywił się. - No dobrze, nie palę się do tej przeprowadzki, ale też szczerze mówiąc nie uważam, żeby to było dla kogokolwiek dobre, łącznie z Nell. Ale ona tego nie rozumie. - Urwał i westchnął.

- Przepraszam, Piet. Nie powinienem ci zawracać głowy moimi problemami.

Piet rozłożył ręce w serdecznym geście.

- A od czego są przyjaciele? Otóż uważam, mój drogi, że tu chodzi o coś więcej niż przeprowadzkę. Mówisz, że Vanessa i Eleanor nie zgadzają się z sobą. Czy przez to Eleanor nie czuje się słabsza, i Vanessa też? Masz do czynienia z dwiema kobietami, które kochają tego samego mężczyznę...

- Vanessa, słaba! - Marcus potrząsnął głową. - Gdybyś tylko ją zobaczył i usłyszał! Czasami miałbym ochotę...

- Urwał, nie chcąc wyznać nawet bliskiemu przyjacielowi, jaką niechęć budziła w nim czasem córka przez powodowanie napięcia w jego małżeństwie.

- Chodźmy gdzieś na kolację - zaproponował Piet.

Pół godziny później siedzieli w małej, przytulnej restauracji. Marcus przyjrzał się gościom: głównie mężczyźni

o poważnych twarzach, ubrani w równie poważne garnitury. W każdym szczególe powtórka atmosfery miasta: wystrój wnętrza, potrawy, ludzie, wszystko bardzo szacowne i konserwatywne, przynajmniej z pozoru. Kto wie, jakie uczucia, jakie niepokoje i burze przeżywają w środku?

- A teraz - oznajmił Piet, gdy podano im jedzenie - powinieś opowiedzieć mi o tej Amerykance, przed którą szukałeś schronienia w moim domu. - Uśmiechnął się szeroko i dodał nieco złośliwie: - To bardzo smutne być w średnim wieku, mój przyjacielu. Nigdy człowiek nie jest bardziej świadomy swojej słabości i upływu czasu. Czy ona jest bardzo piękna?

- Jest bardzo atrakcyjna i zdecydowana - odparł Marcus kwaśno - ale nie jest piękna. Eleanor jest piękna.

Gdy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że to prawda, i poczuł, że ogromny kamień zaczyna spadać mu z serca.

Było późno, gdy wrócił do hotelu. Zaczął się przygotowywać do snu, gdy nagle zadzwonił telefon. Wpatrywał się w słuchawkę, mając przed oczami Sondrę leżącą na łóżku w swoim pokoju, i poczuł, że wysycha mu w ustach. Przestraszył się i szybko ruszył do łazienki. Hałas prysznicza zagłuszył dzwonek telefonu. Tak jest lepiej, normalniej, bezpieczniej, a poza tym musi przemyśleć kilka rzeczy.

Posępnie myślał o tej sprawie, o której Piet mu opowiadał. On, Marcus, jednak nie jest chyba typem zabójcy, nikogo by nawet nie zranił, prawda? Lecz czy przypadkiem nie skrzywdził Nell, nie zniszczył ich miłości? Może Vannessę też zranił, bo tak się od niej odsunął, nie będąc

w stanie przyznać nawet przed sobą, że wzbudzała w nim sprzeczne uczucia.

Przypomniał sobie nagle córkę w wieku dwóch lat, trzymającą się kurczowo matki, która namawiała ją, żeby podeszła do ojca. On właśnie wrócił z miesięcznego pobytu w Brukseli; zważywszy na jej wiek, trudno było się dziwić, że się go trochę bała. W gruncie rzeczy był dla niej kimś obcym, bo jeśli gdzieś nie wyjeżdżał, to całe dni spędzał w pracy.

Zamknął oczy i stał nieruchomo pod prysznicem, kiedy w wyobraźni pojawił się następny obraz. Vanessa sześciolatnia, trzy lata po jego rozwodzie z Julią. Tego dnia w szkole odbywały się zawody sportowe, na które chodził niechętnie, bo namówiła go do tego kobieta, z którą się spotykał. Zapewne pomyślała, że jeśli rozbudzi w nim ojcowskie poczucie obowiązku, będzie o krok bliżej od małżeństwa. Nie wiedziała, że Marcus uważał ich związek za niemal skończony, niemniej uległ jej prośbie i poszedł do szkoły.

Przyszli późno, właśnie w chwili, by zobaczyć, jak Vanessa wygrywa bieg. Zauważyła go, jej twarz się rozjaśniła, podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję, a on odstąpił krok do tyłu i zdjął jej ręce ze swoich ramion. Dlaczego to zrobił? W jego udręczonej wyobraźni pojawiło się teraz dwoje dzieci, on i Vanessa, oboje bezradni i spragnieni miłości, marzący o tym, by ich zauważono, oboje odrzuceni przez tych, których miłości potrzebowali najbardziej.

- O mój Boże...

W huku wody lejącej się z prysznicza te słowa zabrzmiały tak, jakby je wykrzyczał.

Piet mówił, że ten jego klient był zazdrosny... Zazdrosny o miłość, jaką jego żona okazywała swej córce i jej bliźniaczkom... To zupełnie tak, jakby on był zazdrosny o miłość Nell do Vanessy; nie do jej synów, nie, oni są chłopcami, lecz do Vanessy! Zazdrosny był nawet o dom, lecz nie li tylko z powodu czasu i uwagi, jakie pochłaniał, lecz dlatego, że Nell chciała kupić ten dom z powodu Vanessy!

Ilekcóż Nell namawiała go do dłuższego przebywania z córką, ilekcóż się o nią martwiła, tylekcóż zazdrość, której istnienia nie dostrzegał, pogłębiała się i trawiła jego duszę niczym trucizna. Nie rozumiał jednak tego i za wszystko obwinał Nell.

Eleanor usiadła zrozpaczona na łożku i z odrętwieniem wpatrywała się w słuchawkę, którą właśnie odłożyła. Marcusa do tej pory nie ma w pokoju. Czy to takie trudne odgadnąć, gdzie jest? Pamiętała, jak blisko siebie stali na lotnisku, zupełnie nieświadomi jej obecności.

- Ten cholerny dom jest ważniejszy dla ciebie niż ja - oskarżył ją wcześniej. - Jeśli tyle dla ciebie znaczy, to go kup, aleja...

„Ja nie będę tam z tobą mieszkał” - czy to chciał powiedzieć? Od którego momentu zaczęło się wszystko psuć? A tak bardzo się starała. Właśnie, za bardzo. „Za bardzo się tym przejmujesz”, powiedział z irytacją, kiedy wyraziła zaniepokojenie zachowaniem Vanessy. Odniosła wtedy wrażenie, że go w pewien sposób zawiodła, że nie sprostała jego oczekiwaniom, nie potrafiąc porozumieć się z jego córką.

Jak niewiele trzeba, by odebrać człowiekowi pewność

siebie: zbuntowana nastolatka, zdrada współpracownicy, uczucie utraty kontroli nad życiem, świadomość nie zaspokojonych pragnień, potrzeba znalezienia punktu oparcia, niemal dziecięce marzenie o znalezieniu pocieszenia... Dla jednych kobiet jest to jedzenie, dla innych seks; w jej przypadku był to dom. Nie jakiś zwykły dom, lecz dom rodziny, którego w dzieciństwie nigdy nie miała, a w istnieniu którego już jako dziecko upatrywała spokoju i bezpieczeństwa, bo musieliby tam zamieszkać darzący ją miłością rodzice.

A więc może tego szukała w domu Broughtonów - nie tyle stworzenia odpowiednich warunków dla szczęśliwego dzieciństwa dzieci, ile pocieszenia dla siebie za to, że nie osiągnęła doskonałości? Nie tylko jako żona, lecz jako niezależna, pracująca kobieta, oddana matka, mądra macocha, dobra przyjaciółka, czyli jako ktoś, do kogo wszyscy się mogą zwrócić o pomoc, ktoś niezawodny.

Pomyślała, że nie ma żadnej z tych cech, lecz jest po prostu jeszcze jedną zestresowaną kobietą, zmęczoną już próbami osiągnięcia stawianych jej celów, która boi się przyznać, że nie jest w stanie zdobyć tego, co inni zdobywają bez wysiłku, i potrafi już jedynie ukryć się w sanktuarium, jakie sobie upatrzyła, by nie musieć się dłużej zmagać z realiami życia.

Boże, dosyć już tego! Czy nie mogą jej zaakceptować takiej, jaką jest? Nie można być perfekcjonistą we wszystkim. Eleanor pragnęła tylko tego, by pozwolono jej od czasu do czasu na chwilę słabości, by pozwolono jej zapomnieć, że synowie potrzebują nowych butów piłkarskich, by miała prawo być zła i bezradna, gdy zaatakuje ją pasierbica.

I żeby miała prawo do zazdrości, a także okazania jej, gdy inna kobieta dokonuje zamachu na jej męża. I jeszcze żeby miała prawo czuć się zraniona i przerażona myślą, że on ma z tą kobietą romans.

Marcus ze zniecierpliwieniem spoglądał na zegarek. Przyjęcie trwało dłużej, niż przewidywał, a miał nadzieję zdążyć na wcześniejszy samolot do Londynu. Musi jak najszybciej porozmawiać z Nell.

Cały czas był świadomy, że Sondra próbuje podchwycić jego spojrzenie i że uśmiecha się do niego, rozmawiając z jakimś oczarowanym nią młodzieńcem. Odwzajemnił jej uśmiech, zachodząc w głowę, jak mogła mu się kiedyś podobać? Owszem, jest atrakcyjna, zmysłowa, nawet inteligentna, ale przecież nie jest Eleanor. Przy pierwszej sposobności podszedł do niej.

- Słuchaj, muszę jak najszybciej wracać do Londynu - powiedział, nie dopuszczając jej do głosu. - Ale ty nie skracaj sobie pobytu. Nie byłaś jeszcze w galeriach i muzeach, a z tego, co widzę, chyba znalazłaś kogoś lepszego niż ja, żeby cię po nich oprowadził. - Tu rzucił znaczące spojrzenie w kierunku zazdrośnie obserwującego ich młodzieńca.

Sondra usiłowała protestować, lecz Marcus stanowczo potrząsnął głową, wyswobodził dłoń z jej ręki i odstąpił krok do tyłu.

- No cóż, jeśli musisz wracać...
- Nie muszę, ale chcę - powiedział cicho.

Pożegnał się z nią i podszedł do ambasadora, wyjaśniając mu, że musi zdążyć na wcześniejszy samolot. Znali się od jakiegoś czasu i Marcus porozmawiał z nim kilka minut,

zanim wyszedł. Ambasador spytał go, czy chciałby przyjąć stałe doradztwo w Brukseli lub Hadze, na co Marcus odpowiedział:

- Wątpię. Oznaczałoby to spędzanie czasu z dala od rodziny, a na takie poświęcenie nie jestem gotów.

- Trudno mi pana winić - odparł dyplomata z uśmiechem.

Przedemną jeszcze daleka droga, pomyślał Marcus, wsiadając do samolotu, bardzo daleka, a na dodatek straszliwie niebezpieczna, ale przynajmniej już zacząłem. Wreszcie wiedział, co należy zrobić.

A Nell? Czy będzie gotowa przez to wszystko z nim przejść, pomóc mu w trudnych miejscach, pokierować nim, kiedy okaże się to konieczne? Skrzywił się, gdy przypomniał sobie, co jej mówił. Jeśli ten dom istotnie tak wiele dla niej znaczy, z pewnością mogą pójść na jakiś kompromis. Może on wynajmie sobie w Londynie na kilka dni w tygodniu małe mieszkanie, przynajmniej na okres, zanim skończy z adwokaturą, a obejmie urząd sędziego.

Jako sędzia będzie musiał również dużo czasu spędzać poza domem i nieuczciwie byłoby się nie przyznać, że będzie mu brakować napięcia związanego z prowadzeniem trudnych spraw, teraz jednak powinien się zająć innymi rzeczami. Czy jest już za późno, by powstrzymać Vanesę przed popełnieniem jego błędów, by okazać jej miłość, zapewnić poczucie bezpieczeństwa, którego dotąd podświadomie jej odmawiał, a może nawet pomóc jej zostać w przyszłości rodzicem, jakim sam dotąd nie był?

Nell powie mu, jak to zrobić, Nell mu pomoże...



- No więc co masz zamiar zrobić?

Eleanor bezradnie wzruszyła ramionami i spojrzała na Jade.

- Nie wiem. Jeżeli ma romans...

- Tego nie jesteś pewna - uświadomiła jej Jade.

- Prawda - rzekła Eleanor zmęczonym głosem. - Wiem za to co innego, a mianowicie, że nie ma teraz sensu ciągnąć sprawy z tym domem. Muszę powiadomić agentów. - Jej oczy napełniły się łzami, przed którymi próbowała się bronić. - Czuję się tak idiotycznie, Jade. Jak mogłam nie wiedzieć, co on o tym wszystkim myśli? Dlaczego mi nic nie powiedział? Dlaczego cały czas pozwalał mi wierzyć, że... ? Dlaczego niczego nie rozumiałam?

- Nie jesteś Bogiem - oświadczyła Jade chłodno. - Nie możesz się domyślać wszystkiego, chociaż czasami można by sądzić, że tego się od nas oczekuje. Nigdy byś się nie domyśliła, co Sam powiedział mi parę dni temu. Otóż oświadczył, że wykorzystuję pracę w Nowym Jorku, żeby wykręcić się z naszego związku. To ja cały czas wychodzę ze skóry, żeby nie czuł się pod presją albo w pułapce, staram się ukryć, jak bardzo mi na nim zależy, a on mnie oskarża o to, że go lekceważę, podczas gdy zależy mi na nim jak jasna cholera. Może właśnie dlatego Marcus nic ci nie powiedział, Nell? Może bał się odkryć, że ten dom jest dla ciebie ważniejszy niż on.

- Co? - zawołała Eleanor zdumiona. - To śmieszne! Marcus wie, jak mi na nim zależy. A chciałam kupić ten dom, bo... Nie, Jade, nie masz racji. Marcusa już chyba nie obchodzi, co do niego czuję. Ostatnio, kiedy na mnie patrzy, odnoszę wrażenie, że widzi kobietę, której nic się nie udało. Ani z pracą, ani z dziećmi, ani z pasierbicą, ani

z nim. Ojej, tyle ci zabieram czasu, a ty jesteś taka zajęta - powiedziała nagle i wstała. - Dzięki mimo wszystko za wysłuchanie mnie.

- Ale chyba wiesz, na czym polega twój prawdziwy problem, prawda? - spytała Jade, gdy szły przez pełną gości restaurację. - Za dużo masz do siebie pretensji. No dobrze, wysłuchałam cię... raz.. I cóż to znaczy w porównaniu z tym, ile razy ty wysłuchałaś mnie? Porozmawiaj z Marcusem, Nell. Powiedz mu, jak się czujesz, co myślisz.

Eleanor uśmiechnęła się blado.

- Spróbuję, ale czy to ma sens, skoro on nie chce mnie słuchać?

Pożegnawszy się z Jade, Eleanor musiała załatwić jeszcze jedno, zanim zobaczy się z agentem i zanim Marcus wróci z Hagi. Tym razem stanowczo zażądała od pani Garvey, by została na chwilę z chłopcami po ich powrocie ze szkoły. Kobieta zgodziła się niechętnie.

Eleanor wzięła klucze i list do Louise, w którym poinformowała dawną przyjaciółkę, jak bardzo była zdenerwowana dowiedziawszy się, że Pierre Colbert chciał się z nią widzieć już od dawna. Podkreśliła również, że skoro ich spółka była oparta na zasadzie równości, Louise bierze taką samą odpowiedzialność za jej rozwiązanie.

Teraz robiła to, co powinna była zrobić kilka tygodni temu. Postanowiła, że musi wreszcie zapanować nad życiem i pokonać strach, że znowu coś jej się nie uda. W końcu, jeśli dojdzie do rozwodu z Marcusem, będzie musiała być silna. Kiedy wsiadła do samochodu i zapaliła silnik, oczy przesłoniły jej łzy.

Był wyjątkowo gorący wrześniey dzień, powietrze stało nieruchomo, co potęgowało ciszę i spokój panujące w ogrodzie. Rosnące na brzegach rabat astry odwracały swe podobne do stokrotek kwiaty w stronę gęstwy pnących róż, wszędzie widniały główki przekwitłych maków, sterujących ponad gęstymi kępami kociej mięty i geranium.

Eleanor nie spieszyła się; miała przed sobą całe popołudnie. W dolinie irysów kwiaty już przekwitły; pozostały jedynie zeschnięte badyle i zbrązowiałe resztki płatków. Liście nie opadły jeszcze z drzew i tworzyły nad ścieżkami cienisty baldachim.

Rozpłakała się dopiero, gdy doszła do sadzawki, po raz pierwszy przyznając przed sobą to, o czym podświadomie od dawna wiedziała. Nawet gdyby Marcus chciał kupić ten dom, problemy, z jakimi musieliby się uporać, żeby dało się w nim mieszkać, były nie do przeczyżenia. Księgowy próbował jej to wytłumaczyć, podobnie architekt, ale ona za nic w świecie nie chciała zrezygnować ze swego marzenia.

- Marcus cię kocha - powiedziała dziś Jade i dodała:

- Nell, musisz być realistką. Ilu mężczyzn nie ulega od czasu do czasu pokusie i ile kobiet nauczyło się z tym żyć?

Eleanor pokręciła głową.

- Wiem, co mi chcesz powiedzieć, Jade, ale ja tego nie potrafię. Nie tyle chodzi o fizyczny akt niewierności, ile o to, że nigdy nie wiem, czy on naprawdę mnie chce, czy po prostu mieszka ze mną, bo to jest znacznie prostsze niż drugi rozwód. Nie mogę dalej tak żyć, mimo że bardzo go ; kocham. Oprócz miłości, potrzebuję także jego szacunku, a poza tym muszę szanować i siebie. Nie wystarcza mi tylko to, że go kocham...

Gdy Marcus ją znalazł, stała nad stawem i patrzyła przed siebie. Zatrzymał się kilka metrów od niej i cicho wypowiedział jej imię. Zauważył, jak twarz jej zbladła i zastygła.

- Marcus, wróciłeś? Myślałam...

- Zdażyłem na wcześniejszy samolot - oznajmił szorstko.

Zmarszczyła czoło i podeszła w stronę drzew, cofając się przed nim zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Nikomu nie mówiłam, że się tu wybieram.

- Kiedy nie zastałem cię w domu, wiedziałem, gdzie szukać.

- Chyba zawsze wiesz, co robię.

- Mam nadzieję.

Jego głos ani twarz nie wyrażały żadnych uczuć, jednak szóstym zmysłem odgadła, że jest zdenerwowany.

- Musimy porozmawiać, Nell - oświadczył spokojnie.

- Ale najpierw odpowiedz na jedno pytanie: czy jeszcze mnie kochasz?

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Dlaczego pyta? Może go dręczy poczucie winy? A na jaką odpowiedź liczy? Wahała się, niespokojna i nieco przestraszona, aż wreszcie uświadomiła sobie, że może powiedzieć mu tylko jedno, bez względu na to, jak bardzo się to może okazać bolesne.

- Tak - odezwała się w końcu. - Tak, kocham cię.

Nie była pewna, czego oczekiwać, ale na pewno nie spodziewała się, że Marcus tak szybko pokona dzielącą ich odległość, obejmie ją i przytuli tak delikatnie, jakby była najcenniejszą, najbardziej kruchą rzeczą na świecie, a po-

tem drżącymi palcami leciutko dotknie jej policzków i zbliży do niej niezwykle zmienioną, jak na niego, twarz.

Odniosła wrażenie, że odkrywa się przed nią, że ujawnia część siebie, której istnienia dotychczas nie podejrzewała, i zamiast urazy czy złości poczuła, jak wzbiera w niej metafizyczna wręcz radość, bo Marcus jak gdyby obnaża przed nią najbardziej prywatną i duchową część siebie, kwintesencję osobowości w czystej formie.

Instynktownie przysunęła się do niego, dotknęła jego twarzy i w milczeniu dała mu do zrozumienia, że wszystko pojmuje. W ich pocałunku nie było napiętności, lecz powolna, wzajemna akceptacja, prawdziwe połączenie odmienności w doskonałą całość.

- Ja też cię kocham - szepnął zmienionym głosem. - A jeśli naprawdę chcesz tego domu...

Pokręciła głową.

- To nie chodzi o dom - powiedziała. - Tak naprawdę zależało mi na tym, co sobie w związku z nim wyobrażałam. Miałeś rację, że kupowanie go nie ma sensu. Tylko dlaczego mi wcześniej tego nie powiedziałeś?

- Nie mogłem. Nie chciałem się przyznać, że jestem o niego zazdrosny. Chodźmy - dodał i ujął ją pod ramię.  
- Mam ci wiele do powiedzenia.

Eleanor słuchała go w milczeniu.

- Byłeś zazdrosny o Vanesę? - zapytała, gdy skończył.  
- A ja myślałam... - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Myślałam, że jesteś zirytowany, bo nie umiem sobie z nią poradzić. Wydawało mi się, że za jej agresję winisz mnie, że porównujesz mnie do innej kobiety, która potrafiłaby nawiązać z nią kontakt. Czułam się taka nic

niewarta, Marcus, i to nie tylko z powodu Vanessy, ale i moich synów. Byli nieszczęśliwi, a ja niczego nie zauważyłam.

Patrzyła na niego myśląc, jaką walkę musiał z sobą stoczyć, żeby przeanalizować swoje uczucia, wydobyć bolesne wspomnienia z dzieciństwa i przyznać do strachu, że córka zajmie jego miejsce w sercu żony. Teraz, kiedy opowiadał jej o swoich cierpieniach, rozumiała, dlaczego w jego przekonaniu musiał to przed nią ukrywać.

- Kiedy słuchałem Pieta, zacząłem powoli rozumieć, co próbowałem przed sobą ukryć, a próbowałem ukryć strach przed tym, że mnie odrzucisz, i to tylko dlatego, że jestem mężczyzną. Proste, prawda? I jakie oczywiste.

- Uczucia nie zawsze są proste - pocieszyła go. - Bywa, że bardzo trudno jest nam zaakceptować pewne cechy naszego charakteru. Oboje możemy sobie zarzucić, że za mało sobie ufaliśmy i nie przyznawaliśmy się do swoich słabości. Ja bałam się, że cię stracę, że...

- Nigdy mnie nie stracisz - powiedział i odwrócił ją twarzą ku sobie.

Eleanor spojrzała mu w oczy i po chwili wyznała:

- Widziałam cię na lotnisku z Sondrą. Przyjechałam, żeby cię przeprosić... za naszą kłótnię. Wieczorem dzwoniłam do hotelu. Nie było cię w pokoju.

- Byłem, ale brałem prysznic. Właśnie wróciłem ze spotkania z Pietem. Myślałem, że to dzwoni Sondra - przyznał z ironią. - Jakoś wydało mi się bezpieczniej nie odbierać...

Eleanor nie miała ochoty zadawać mu dalszych pytań, teraz ani później. Nie dlatego, że bała się odpowiedzi, lecz dlatego, że to wszystko stało się nagle nieważne.

- Czy na pewno chcesz zrezygnować z tego domu?  
- spytał Marcus wieczorem.

- Tak - zapewniła go. - Odegrał już swoją rolę; pomógł mi zrozumieć, kim jestem i kim nigdy nie będę. A chciałam ci się wydawać doskonała.

- Jesteś doskonała - powiedział cicho i pocałował ją.

Cudowne było to nie znane mu dotąd uczucie lekkości i swobody, płynące ze świadomości, że Eleanor już wszystko o nim wie. Poznała mroczne sekrety jego natury, zaakceptowała je i kochała go mimo wszystko. Eleanor natomiast czuła, że Marcus stał się jej bliższy, kiedy wyznał swoje cierpienia. Jeśli zaś chodzi o Vanesę, oboje stwierdzili, że koniecznie trzeba jej pomóc.

- Ale co ja mogę zrobić? - pytał Marcus, opisawszy Eleanor swoje ambiwalentne uczucia wobec córki.

- Po prostu ją kochaj - odpowiedziała łagodnie. - Kochaj ją i próbuj to jej okazać. Chyba tego jej naprawdę bardzo brakuje.

Nie będzie łatwo, ale wszystko trzeba jakoś rozwiązać. Jade zaproponowała Eleanor, by tymczasem pracowała w jej mieszkaniu, którego nie miała zamiaru na razie wynająć, ponieważ nie była pewna, czy przeniesie się do Nowego Jorku na stałe.

Eleanor zastanawiała się, co się stanie z domem Broughtonów. Miała nadzieję, że kupi go ktoś, kto zapała do niego uczuciem i tchnie weń nowe życie. Ten dom na pewno na to zasługuje. Uśmiechnęła się lekko do siebie, pochłonięta myślami dotyczącymi przyszłości, ale porzuciła je szybko, kiedy spojrzała na Marcusa.

- Chodźmy spać - szepnęła.

- Jest dopiero po dziewiątej... - zdziwił się, lecz po

chwili odpowiedział jej ciepłym uśmiechem. - A właściwie dlaczego nie? Przyda mi się dłuższy sen. Męczące są te podróże.

- Biedny Marcus... - Eleanor przytuliła twarz do jego policzka. - Musisz być wyczerpany.

- Oj, jestem - potwierdził z uśmiechem i objęci ruszyli do sypialni.



## Na dobre i na złe

26

Zoe miała wolny dzień i całe mieszkanie do dyspozycji. Ostatnio między nią a Benem dochodziło do konfliktów, toteż była zadowolona, że poszedł do pracy.

Wszystko było już załatwione. Tak się szczęśliwie złożyło, że matka i ojciec też gdzieś wyjechali. Rano oznajmiła Benowi:

- Mama ostatnio nie czuje się dobrze, więc pomyślałam sobie, że pojedę do niej i zostanę na noc.

Spojrzał na nią przenikliwie, co powoli wchodziło mu w zwyczaj, i odparł:

- Jak sobie życzysz.

W głosie Bena zabrzmiał obcy dotychczas, ostry ton, który sprawił jej ból. Odkąd ją spytał, czy ma kogoś, pojawiło się między nimi napięcie. Chciała wtedy roześmiać się histerycznie, lecz w sekundę później ogarnęła ją taka złość na jego ślepotę, że miała ochotę odpowiedzieć twierdząco. Czy ten głupiec naprawdę sądzi, że byłaby zdolna do takich oszustw? Czy nie wie, jak bardzo go kocha i potrzebuje?

Wstawała z łóżka ze łzami w oczach. Była słaba i rozedrgana. Podjęcie ostatecznej decyzji wcale nie przyniosło jej ulgi, jak się spodziewała, lecz wywołało wyczerpującą mieszankę paniki, strachu i rozpacz.

Robiła, co mogła, by odepchnąć od siebie świadomość

istnienia dziecka i zamiast tego kurczowo trzymać się myśli, że urodzenie go będzie miało druzgocący wpływ na życie jej i Bena. Dziecko jednak walczyło o swoje: wywołało w jej organizmie taką huśtawkę nastrojów, że nie mogła zapomnieć, iż rośnie w jej łonie. Czasami przyłapywała się nawet na tym, że próbuje mu wszystko wytłumaczyć.

Nawet gdyby zapomniała o swej miłości do Bena i opuściła go, by samotnie wychować dziecko, byłaby winna zniszczenia przyszłości ukochanego. Bez niej nie poradzi sobie z hotelem i restauracją, więc czy może go zawieść?

- Musisz zrozumieć - perswadowała dziecku. - Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby cię kochać. To nie ma sensu. Ben mnie potrzebuje i nie wolno mi złamać słowa.

A jednak nieustannie pojawiało się w jej myślach gorzkie pytanie, dlaczego Ben nie słyszy jej niemego wołania o pomoc. Powoli ruszyła do łazienki. Jest jeszcze dużo czasu. Unikała patrzenia na swoje odbicie w lustrze, choć nic jeszcze nie było widać. Wręcz przeciwnie: zamiast przybrać na wadze, schudła. Nawet Ben coś na ten temat wspominał.

Początkowo naiwnie przypuszczała, że zaraz po zabiegu wróci do domu, lekarka jednak oświadczyła, że musi zostać na noc, skoro w domu nie ma kto jej pilnować.

- To na wszelki wypadek - mówiła. Zoe pamiętała bolesny skurcz serca, kiedy lekarka dodała: - Z medycznego punktu widzenia zabieg jest bezpieczny, może jednak pani grozić szok psychiczny.

Zoe położyła dłoń na brzuchu i zaczęła dygotać. To już chyba ostatnia szansa, żeby przemówić do dziecka, żeby mu wszystko jeszcze raz wyjaśnić. Podniosła rękę i zacisnęła ją w pięść, z oczu znowu popłynęły jej łzy. Jak można

wytłumaczyć, dlaczego kładzie się kres życiu, zanim się ono na dobre zaczęło? Jak można wyjaśnić dziecku, że ojciec go nie chce, że nie ma dla niego miejsca w życiu matki, że nikt go nie kocha?

- Nie, nie! - zawołała zduszonym głosem. - Nie możesz mi tego zrobić. Nie pozwolę ci.

To tylko urojenia, tłumaczyła sobie gwałtownie. Powinna się skoncentrować na rzeczywistości; najlepiej usiąść i spisać na kartce wszystkie powody, które wykluczają urodzenie tego dziecka. W wyobraźni widziała już gotową listę: będzie długa i logiczna, fakty będą oczywiste, a ich waga znacznie wyższa niż ów żałosny, emocjonalny protest, jedyny, który można umieścić w drugiej rubryce. Już za późno na zmianę decyzji. Decyzja została podjęta, wszystko jest przygotowane...

Recepcjonistka powitała Zoe uprzejmym, zawodowym uśmiechem. Po chwili do poczekalni weszła energiczna pielęgniarka, która zaprowadziła ją do innego pokoju.

- Nic pani nie jadła ani nie piła, prawda? - spytała.

Zoe potrząsnęła głową.

- To dobrze. Proszę się teraz rozebrać, a ja za chwilę wrócę i zrobię pani badania.

Zoe patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem i automatycznie się rozbierała. Papierowa tunika, którą jej zostawiono, wisiała na niej luźno, skóra jej ścierpła z zimna. Zaczęło ją ogarniać przyjemne odrętwienie, ucichł nawet wewnętrzny głos, który ją dotąd prześladował, jak gdyby i on pojął, że walka skończona.

- Czy już mogę? - spytała pielęgniarka, stając w progu.

Zoe skinęła głową, a pielęgniarka podeszła bliżej i wa-

cikiem nasączonym środkiem antyseptycznym przetarła skórę na zgięciu łokcia. W drugiej ręce trzymała strzykawkę. Światło padające przez okno zaiskrzyło na igle. Zoe utkwiała w niej wzrok, pielęgniarzka uniosła do góry rękę...

W mieszkaniu było gorąco i duszno. Zoe usiadła na kanapie i pomyślała w odrętwieniu, że to zapewne sprawa kontrastu między klimatyzowanym wnętrzem kliniki a nagrzanymi słońcem oknami, za słabo chronionymi przez żaluzje.

Lekarka protestowała, gdy Zoe chciała wracać do domu sama. W końcu zgodziła się pod warunkiem, że do taksówki odprowadzi ją pielęgniarzka.

Nogi nadal miała jak z waty, poruszała się jak w letargu, czuła się ociężała i zmęczona. Marzyła jedynie o tym, by dotrzeć do łóżka i zasnąć na zawsze. Przeżycia ostatnich tygodni wyczerpały ją do tego stopnia, że nie miała już sił z niczym walczyć. Była zbyt wyczerpana nawet żeby się rozebrać albo umyć twarz. Zaczęła płakać już w taksówce, i strumień łez płynął po jej policzkach nieprzerwanie.

Ben otworzył drzwi i wszedł do środka. Kiedy na stole zobaczył torebkę Zoe, przeszył go strach. Wiedział, że Zoe nie pojechała do matki, a ponieważ oszukiwanie nie leżało w jej naturze, musiała kłamać z ważnego powodu - to znaczy z powodu innego mężczyzny. Kilkakrotnie miał już ochotę powiedzieć jej, że zna prawdę, i w ten sposób położyć kres ich męczarniom.

Nie spał całymi nocami i zastanawiał się, kto mu ją zabrał i dlaczego nie ma odwagi powiedzieć jej, że wszystko wie. Czy kocha ją zbyt mocno, czy może za mało?

Albowiem kochać kogoś, naprawdę kogoś kochać, a nie być tylko zakochanym, oznacza stawianie potrzeb drugiej osoby na pierwszym miejscu, a on nie może się na to zdobyć... Gdyby potrafił, oboje z pewnością przestaliby się tak dręczyć.

Powtarzał sobie, że o ludziach i życiu wie wystarczająco wiele, by czuć się zaskoczony faktem, jak szybko nieufność z jego strony i brak miłości ze strony Zoe zniszczyły związek, który jeszcze do niedawna wydawał mu się niezniszczalny.

Upłynęło wiele czasu, zanim uwierzył, że kocha Zoe, i jeszcze więcej, że ona kocha jego, lecz z chwilą, kiedy to nastąpiło, oddał się jej całkowicie i był przekonany, że ona odwzajemnia mu się tym samym.

Miał nadzieję, że pewnego dnia, gdy nadejdzie odpowiednia pora, Zoe stanie z nim na ślubnym kobiercu. Ze smutkiem stwierdził, że Zoe nie podziela istniejącej w nim potrzeby zalegalizowania tego związku, bo ma silniejsze poczucie bezpieczeństwa i swojej wartości.

Zoe była sensem jego życia, choć starał się nie przytłaczać jej intensywnością swych uczuć, nie udusić jej swoją miłością. Może to było naiwne, ale się bał, że jeśli ją utraci, to właśnie przez ten nadmiar uczuć, a nie z powodu innego mężczyzny. Teraz stał i patrzył na jej torebkę, zastanawiając się, dlaczego wróciła do domu, skoro najwyraźniej miała zamiar spędzić czas z kochankiem.

Z sypialni dobiegł go jakiś dźwięk i znieruchomiał. Przecież to niemożliwe, by sprowadziła go tutaj, do ich domu, ich łóżka! Wpatrywał się w uchylone drzwi sypialni, rozdarty dwoma sprzecznymi uczuciami: z jednej strony chciał tam wejść i dobrać się do rywala gołymi rękami,

z drugiej zaś pragnął uchronić Zoe od niespodzianki, jaką sprawił swoim powrotem, pragnął zaoszczędzić jej szoku i zażenowania, jakie w intymnej chwili zawsze powoduje czyjeś wtargnięcie. W końcu zwyciężyło silniejsze, atawistyczne uczucie, i Ben gwałtownym ruchem otworzył drzwi,

Zoe leżała w ubraniu na łóżku i była sama. To Ben zauważył najpierw, a dopiero po chwili dostrzegł jej zapłakaną twarz i szkliste oczy. Wyglądała jak pozbawione czegoś, nieszczęśliwe dziecko. Czy zostawił ją ten mężczyzna? Czy dlatego wróciła do domu - by się samotnie wypłakać?

- Zoe...

Spostrzegł, że twarz jej pociemniała, a w oczach pojawiło się przerażenie. Zwróciła głowę w jego stronę i usiłowała usiąść na łóżku, kładąc jedną rękę na brzuchu tym dziwnym ruchem, który zauważył już jakiś czas temu.

- Ben, ja...

- Wcześniej skończyłem pracę - przerwał jej, po czym dorzucił szorstko: - Miałaś pojechać do matki.

Zaczerwieniła się, do oczu napłynęła jej nowa fala łez. Z trudem powstrzymał się, by podejść do niej, objąć ją i powiedzieć, że wszystko jest dobrze, że jeśli ktoś ją zranił, zostanie ukarany. Zapragnął z całego serca wyznać jej, że ją kocha i nigdy nie skrzywdzi, w przeciwieństwie do tamtego. Tymczasem usiadł na łóżku tyłem do niej i najspokojniej jak potrafił, oznajmił:

- Zoe, nie możemy tak dalej. Widzę, że jesteś bardzo nieszczęśliwa. Powiedz mi wreszcie, co się stało.

Zoe stwierdziła, że nie ma już siły. Próbowała chronić Bena, próbowała chronić ich miłość, jak długo mogła, teraz jednak czuła jedynie straszliwą, obeszładniającą pustkę.

Spojrzała na jego odwróconą głowę, szerokie ramiona. Fizycznie wygląda na silnego, lecz pozory mylą. Zamknęła oczy, odwróciła w bok głowę i powiedziała cicho:

- Jestem w ciąży.

Ze zdziwieniem skonstatowała, że wyznaniu temu nie towarzyszy żadne napięcie czy podniecenie, że nie zadaje sobie nerwowo pytania, czy słusznie robi i jak on na to zareaguje. Właściwie nic ją to nie obchodziło.

Wcześniej, w klinice, gdy patrzyła, jak pielęgniarka opuszcza rękę, wiedząc, co za chwilę się stanie, w przełyku olśnienia zrozumiała, że w głębi serca nie chce się na ten zabieg zgodzić. Było to uczucie, jakby przedtem wstrzyknięto jej potężną dawkę środka znieczulającego i środek ten nagle przestał działać.

Wszyscy byli wobec niej bardzo uprzejmi i troskliwi, i chyba zadowoleni z jej decyzji, choć nie wolno im było tego okazać. Ona zaś mogłaby przysiąc, że doznała dziwnego uczucia, jakby dziecko podskoczyło w jej łonie z radości i ulgi.

Nic ci się nie stanie, powiedziała dziecku. Będziesz żyło, ale miłość Bena do mnie umrze. Potem nie czuła już żadnej euforii, żadnej ulgi, że podjęła właściwą decyzję, że kamień spadł jej z serca, zaczęła natomiast powoli zapadać w odrętwienie, jakby odżegnując się od swego postanowienia i jego konsekwencji. Nie zastanawiała się nawet nad tym, co powie Benowi.

- W ciąży? - Ben odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Zoe nie była pewna, czy malował się w nich szok, czy gniew. - Kiedy... od kiedy...

- Prawie dwanaście tygodni - powiedziała beznamięt-

nie. - Nie usunę tej ciąży, Ben - dodała pewniejszym tonem. - Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. Próbowałam.

- Co?!

Usłyszała w jego głosie przerażenie, niemal nienawiść, i odebrała to niczym cios w samo serce, tak bolesny, że przez chwilę nie mogła oddychać.

- Przepraszam cię - wykrztusiła w końcu. - Nie namawiaj mnie. Masz jeszcze trochę czasu, żeby znaleźć kogoś innego na moje miejsce. Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale...

Ben nie słyszał jej ostatnich słów. Zoe zobaczyła jego ściągniętą dziwnym grymasem twarz i usłyszała pytanie:

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Od trzech miesięcy nosisz nasze dziecko i ja nic o tym nie wiem. Dlaczego, powiedz!

Wzruszyła ramionami.

- Po co miałam ci mówić? Wiedziałam, jak zareagujesz. Przecież nie chciałeś mieć dzieci.

- Ty też - rzucił ostro.

- No tak...

Jak mu wyjaśnić, przez co przeszła? Nie zrozumie dramatu, który rozegrał się w jej duszy. Ben nie może czuć presji wywieranej na nią przez to nowe życie, nie rozumie jego żądań.

- Zoe, powinnaś była mi powiedzieć...

- Ja tego nie planowałam - broniła się dalej. - Początkowo myślałam tylko o tym, żeby to przerwać, ale nie potrafiłam. Nie miałam pojęcia o psychicznych aspektach towarzyszących usuwaniu ciąży. Traktowałam to po prostu jako zwykły zabieg, który pozwoli nam żyć nam tak jak przedtem. Nie chciałam tego, Ben - powtórzyła i po raz



pierwszy w czasie tej rozmowy spojrzała mu w oczy. - Nie mówiłam ci, bo nie chciałam cię martwić, nie chciałam cię tym obciążać. A poza tym wiedziałam, jak zareagujesz, no i... musiałam zdecydować sama.

- Sama? - zapytał ostro. - Sama podejmujesz decyzję w sprawie naszego dziecka, naszego życia?

Zoe spojrzała na niego z napięciem.

- Nie zmienię tej decyzji - ostrzegła go. - Nie zmusisz mnie do usunięcia ciąży, jak chciałeś zrobić z Sharon.

Przez chwilę patrzyli na siebie jak wrogowie. Zoe zmagła się ze swym bólem, Ben - z gniewem. On pierwszy nie wytrzymał.

- Tak myślałeś? Że zmuszę cię do takiej decyzji?!

- Sharon byś zmusił - przypomniała mu.

- Sharon sama jest jeszcze dzieckiem, ma szesnaście lat, a ojcem był nieodpowiedzialny chłopak. Żadne nie nadawało się do roli rodzica. Nie daliby dziecku miłości i poczucia bezpieczeństwa. Ale my jesteśmy dorośli. - Urwał dla zaczerpnięcia oddechu. - Zoe, na litość boską, przecież ja cię kocham! Owszem, przyznaję, nie chciałem mieć dzieci, ale skoro zaszłaś w ciążę, to jestem za to tak samo odpowiedzialny jak ty.

- Nie mówiłam ci o tym dla twojego dobra - powtórzyła, lecz spojrzenie, jakim obrzucił ją Ben, uświadomiło jej, że nie całkiem jej wierzy. - Nie mówiłam ci, bo cię kocham.

- Ja też cię kocham, Zoe, ale ty pewnie uważasz, że moja miłość nie jest tak wielka jak twoja. Pewnie też myślisz, że nie jestem tak silny jak ty i nie potrafię udźwignąć ciężaru życia. Nie wiedziałem, że widzisz we mnie biedaka i słabeusza, którego trzeba chronić przed trudno-

ściami. - Uśmiechnął się gorzko. - Czy powiedziałaś o tym komuś innemu, na przykład matce?

Zoe potrząsnęła głową.

- To będzie dla niej niezła niespodzianka, jeśli się dowie, że za sześć miesięcy zostanie babcią. Dla mojej też.

Zoe spojrzała na niego niepewnie. Wstał i przeszedł na jej stronę łóżka.

- Nie będę udawał, że chciałem tego dziecka, Zoe, ale skoro jesteś w ciąży, biorę za to odpowiedzialność. Nie zmienia to moich uczuć do ciebie, tylko bym chciał... Tylko bym chciał, żebyś mi bardziej ufała i nie ukrywała przede mną takich rzeczy. Chciałbym, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć, bez względu na to, co się stanie.

Powoli zaczęło do niej docierać, jak bardzo go zraniła, i poczuła piekący żal. Widziała w jego twarzy gorycz, kiedy porównywał ich miłość, i najgorsze w tym wszystkim było to, że w niczym nie mogła mu zaprzeczyć i zapewnić go, że naprawdę wierzy w jego siłę i w to, że ze wszystkim sobie poradzi.

- Zoe, kochanie, wiem, jak to jest z ciążą, ale... - Heather Clinton urwała pod wpływem spojrzenia córki. - Co ci jest? Nie czujesz się dobrze?

- Nie, mam, nic mi nie jest - powiedziała Zoe szybko.

Wiedziała, że wygląda na zmęczoną i spiętą i rozumiała dlaczego. Wyczerpywało ją nie tyle rosnące w łonie dziecko, ile nieustanne poczucie winy. Odkąd przyznała się do ciąży Benowi, ani razu nie powiedział ani nie zrobił nic, co by wskazywało na to, że jest niezadowolony.

Miała teraz pomoc, o jakiej marzyła podczas pier-

wszych tygodni ciąży, a jednak, zamiast się uspokoić, czuła się coraz bardziej udręczona. Ben powiedział, że ją kocha, przyznawał, że nie chciał dziecka, lecz skoro zostało poczęte, to trzeba to zaakceptować - lecz co naprawdę myśli, co naprawdę czuje? Pogodził się z jej ciążą, ale co będzie, gdy dziecko przyjdzie na świat? Czy je odepchnie od siebie, czy je skrzywdzi, nie kochając? I czy od niej też się odsunie?

- Ostatnio nie spędzasz wiele czasu z Benem - odezwała się cicho matka. - Nie chciałabym się wtrącać, kochanie, ale powinnaś poświęcić mu trochę więcej uwagi. Wiem, jak łatwo zamknąć się w sobie, wsłuchiwać tylko w to, co się w tobie dzieje. Myślę, że w ten sposób natura pomaga chronić nowe życie. Wiem, że nie chcesz tego robić, ale trochę Bena od siebie odsuwasz.

Zoe wstała ze złością.

- Na litość boską, mamo, przestań mi robić wykłady. Za chwilę usłyszę, że powinnam dziękować losowi, że Ben ze mną został. My...

- Zoe, nie zamierzałam powiedzieć niczego takiego. Wiem, że jesteś niezależna, ale wiem też, że niezależność może być formą odrzucenia. Nie daj się pochłonać dziecku do tego stopnia, żeby Ben poczuł się niepotrzebny. Muszę już iść. - Matka również wstała. - O ósmej jestem umówiona w Covent Garden z ojcem. Zaprosił mnie na kolację z okazji rozpoczęcia kursu. - Uśmiechnęła się rzewnie. - Biedny ten twój ojciec. Nie wiem, co było dla niego gorsze: perspektywa pracującej żony czy zostania dziadkiem. Zaraz, zaraz, a co z waszym hotelem? Przestałaś jakoś o tym mówić.

- Nie wiem. - Zoe obojętnie wzruszyła ramionami. -

Ben widział się parę razy z Clive'em i chyba nie ma żadnych problemów. Sama muszę się z nim spotkać i spytać, czy nie dałoby się odgrodzić kawałka ogrodu dla dziecka.

Zoe sposepniała na myśl o tym, że dziecko miałyby spędzać czas zamknięte w dusznych pokojach. Dzieciom potrzebne jest świeże powietrze. A także miłość i poczucie bezpieczeństwa, i dwoje kochających rodziców, a nie jedno, które kocha, a drugie nie. To niesprawiedliwe, że matka oskarża ją o lekceważenie Bena. Po pierwsze, matka nie zna wszystkich faktów. Na przykład nie wie, że jej córka początkowo nie tylko odrzuciła dziecko, lecz wręcz je znienawidziła, i że z tego powodu dręczą ją wyrzuty sumienia.

Oczywiście, postara się to dziecku wynagrodzić. Już wiedziała, jak gorąco będzie je kochać, a poza tym chronić je przed ewentualną niechęcią Bena. Kochała go nadal, ale w ich związku coś się zmieniło. Poza wyrzutami sumienia dręczyła ją także świadomość, że Ben, w przeciwieństwie do niej, nie zdecydował o tym, że zostanie ojcem, lecz decyzję za nich oboje podjęła ona.

Co prawda powtarzał często, że nie jest z tego powodu zły, lecz trochę zawiedziony i smutny, ponieważ mu nie zaufała na tyle, by podzielić się z nim tą wiadomością. Odnosiła również wrażenie, że mimo iż równie często mu wyjaśniała, że chciała go chronić, on jej nie dowierza, toteż coraz częściej w jego obecności była spięta i zirytowana, i z niepokojem wypatrywała najmniejszej oznaki żalu, że postanowił z nią... z nimi zostać.

Nigdy wprawdzie tego nie powiedział, lecz była pewna, że wini ją za podjęcie niewłaściwej decyzji i żałuje, że nie usunęła tej ciąży. Trzy dni temu, kiedy wrócił do domu

dopiero nad ranem, a pojechał do pracy poprzedniego dnia o świcie, oskarżyła go o to, że jej unika i żałuje, że się w ogóle z nią związał.

- Zoe, biorę nadgodziny, bo potrzebujemy pieniędzy - tłumaczył jej zmęczony. - Kiedy dziecko się urodzi...

- Kiedy dziecko się urodzi, będziemy w hotelu - warknęła. - Nie musisz odgrywać roli męczennika - dodała złośliwie.

- Nie - zgodził się spokojnie. - Jedno z nas już to znakomicie robi.

Później, kiedy wszedł do łazienki i zobaczył, że płacze, przeprosił ją i namawiał, by się uspokoiła, by myślała o dziecku. Rozeźmiała się wtedy histerycznie, niemal gotowa wymówić na głos to, o czym oboje zapewne myśleli, a mianowicie że z jego punktu widzenia najlepiej by było, gdyby coś się stało i w wyniku tego Zoe, podobnie jak Sharon, poroniła. Powstrzymała się jednak w ostatniej chwili, nie z powodu wrażliwości Bena, lecz ze względu na dziecko - nie chciała kusić losu.

Czy to prawda, że dziecko ukryte w łonie wyczuwa w jakiś sposób emocje matki? Czy jej dziecko będzie wiedziało, że początkowo go nie chciała? W tej chwili była zdumiona i przerażona, że kiedykolwiek mogła się tak do niego odnosić. Chyba była jakąś inną kobietą, prowadzącą zupełnie inne życie...

Matka jej powiedziała, że się zmieniła, lecz stwierdziła to jakby z żalem. Zoe jednak niczego nie żałowała; była dotąd zbyt egoistyczna, zbyt beztroska, chętnie prześlizgiwała się po powierzchni życia. Teraz czuła się odmieniona, ale na dobre.

Każdego dnia gimnastykowała się, aczkolwiek ostroż-

nie, i robiła to nie dla siebie, lecz dla dziecka. Pochłaniała książki, artykuły i broszury na temat ciąży; postanowiła jeść i robić tylko rzeczy, które przynoszą korzyść dziecku - za wszelką cenę chciała wynagrodzić mu krzywdę, jaką niemal mu wyrządziła.

Od czasu ostatniej kłótni Ben stał się milczący i przygnębiony, Zoe jednak uparcie nie reagowała na jego posępny nastrój. Teraz na pierwszym miejscu było dziecko, a Ben jest dorosły. To śmieszne, że bierze nadgodziny, skoro oboje wiedzą, że kiedy obejmą w posiadanie hotel, będzie się im wiodło znacznie lepiej. Ponieważ w nim zamieszkają, nie będzie jej trudno łączyć opieki nad dzieckiem z prowadzeniem ksiąg, choć Ben musi zatrudnić kogoś do restauracji, bo maleństwo zajmie jej wszystkie wieczory.

Nagle przypomniała sobie artykuł, który zdążyła wczoraj przeczytać do połowy, zanim zadzwoniła matka z pytaniem, czy może ją odwiedzić. Z irytacją zaczęła teraz szukać tego artykułu.

Znalazła w końcu magazyn pod stosem korespondencji na kredensie. Kiedy próbowała go wyciągnąć, koperty i prospekty posypały się na podłogę. Uklękła i zaczęła je zbierać. Większość z tego i tak jest do wyrzucenia, pomyślała, odkładając na bok magazyn i przystępując do segregowania reszty. Nagle jej wzrok padł na list od Clive'a. To dziwne, pomyślała, Ben nic o tym nie mówił. Wzruszyła ramionami i już miała położyć list z powrotem na kredensie, gdy coś ją tknęło. Otworzyła kopertę i zaczęła czytać, najpierw szybko, a potem coraz wolniej, jakby litery zamazywały się jej przed oczami.

A więc nie będzie hotelu. Clive pisał, że uzyskanie

zezwoleń na budowę jest w tej chwili niemożliwe, a poza tym, jak wspominał podczas ostatniego spotkania, zastanawia się nad sensownością takiego kosztownego przedsięwzięcia, skoro coraz więcej podobnych interesów ledwo wiąże koniec z końcem.

Zoe usiadła na piętach i patrzyła tępo w ścianę, czując, jak ogarnia ją fala strachu i złości. Jakim prawem Ben przed nią to ukrył? Nie będzie hotelu, nie będzie regularnych dochodów, nie będzie wspaniałego, wiejskiego ogrodu, nie będzie niczego.

Jak on śmiał nie powiedzieć jej o tym? Jak śmiał rzucić ten list na stos innych i zapomnieć?

Minęła druga w nocy, gdy wreszcie wrócił do domu. Pracował w restauracji, która specjalizowała się w organizowaniu przyjęć i zawsze była otwarta do późna. Gdy Zoe pewnego dnia mruknęła, że pracuje za długo, odparł, że napiwki są bardzo wysokie.

Teraz patrzyła, jak Ben zmęczonym krokiem wchodzi do sypialni, powoli zdejmując marynarkę i przeczesuje palcami włosy. Był jakby przygarbiony i wyglądał staro.

- Zoe! - zawołał z niepokojem w głosie, gdy zorientował się, że nie śpi.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o liście Clive'a? - spytała agresywnym tonem.

Jego usta wykrzywił lekki grymas.

- A jeśli ci powiem, że w ten sposób chciałem cię chronić? Że nie chciałem cię martwić? Ależ skąd, przecież nie jestem dość silny, by to zrobić, prawda? Ja jestem tą słabą i zależną stroną, a ty tą silną i podejmującą decyzje.

Zoe zmartwiła, usłyszawszy gorycz w jego głosie. Nig-

dy nie przestanie mieć pretensji o to, jak go potraktowała. Bez względu na to, co mówił, w głębi duszy zawsze będzie uważał, że postąpiła nie fair.

- Nie musisz zostawać przy mnie, wiesz o tym - powiedziała ostro. - Poradzę sobie sama.

Natychmiast zrozumiała, jak fałszywie te słowa zabrzmiały. Kiedy stał i patrzył na nią w milczeniu, czuła wzbierającą panikę. Chciała wyciągnąć do niego rękę i poprosić, żeby ją przytulił i zapewnił, że jest bezpieczna, że ją kocha i tylko to ma znaczenie.

W jego oczach dojrzała jednak nie miłość, lecz złość, i cofnęła się, kiedy pochylił się nad łóżkiem.

- Tak? No cóż, ja jestem za to przekonany, że sam sobie nie poradzę, i jeśli z tego powodu jestem słaby i zależny, jeśli jestem dla ciebie jeszcze jednym ciężarem, to przykro mi, ale... - Urwał, kiedy zobaczył jej zapłakaną twarz, i po chwili walki z sobą wyciągnął do niej rękę. - Zoe, co się z nami dzieje? Kocham cię i nie chcę cię stracić.

Kiedy się przytuliła do niego, usłyszała, że mówi coś, co kiedyś uznałaby za rzecz niemożliwą.

- Boję się, Ben. Bardzo się boję. Co my zrobimy? Co teraz będzie?

Naprężyła się, gdy Ben zaczął ją całować. Kochali się, odkąd powiedziała mu o ciąży, jednak nie z taką intensywnością i zachłannością, jakie czuła w nim teraz.

- Nie odsuwaj mnie od siebie, Zoe - mówił, gładząc ręką jej brzuch. - Nie rób tego, proszę.

Później, wyczerpana i uspokojona, właściwie niemal zadowolona, leżała w jego ramionach, sennie świadoma ciężaru jego ręki spoczywającej na jej łonie. Tej nocy, po raz pierwszy od dnia, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży



ży, kochali się jak za dawnych czasów; tej nocy znowu była pewna, że kocha go do szaleństwa, i że on ją kocha, i jaka pustka pojawi się w jej życiu, jeśli go straci. Teraz jednak nie mogła myśleć tylko o sobie.

Ze smutkiem zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Ben zacznie demonstrować niechęć, jaką niewątpliwie czuje. Tej nocy zbliżył ich do siebie żal spowodowany utratą hotelu, lecz ta bliskość nie potrwa długo.

- Nie martw się - powiedział Ben łagodnie, dotykając jej ramienia. - Wszystko będzie dobrze.

Nie martw się? A czy można robić cokolwiek innego? Jak mają wychować dziecko w tym małym, zagrożonym mieszkaniu? Ben nie ma nawet porządnej pracy. To takie do niego podobne - powiedziec po prostu, że rozumie decyzję Clive'a...

Dopiero pod koniec następnego dnia, w pracy, Zoe uświadomiła sobie, że nie powiedziała Benowi ani słowa o jego rozczarowaniu. Wiedziała, ile to przedsięwzięcie dla niego znaczy, jak bardzo się niepokoił, z jakimi oporami próbował w nie uwierzyć. Śmiała się wtedy z niego i żartowała z jego pesymizmu.

Skończyła pracę o czwartej i była w domu tuż po szóstej. Drzwi otworzył jej Ben, ubrany w wizytowy garnitur i białą koszulę, którą sam musiał sobie uprasować. Ścierpła jej skóra.

- Ben?

Poczuła nagle taki strach, że z trudem chwyciła powietrze. Oto widziała przed sobą całkiem innego człowieka. Wczoraj byli kochankami, a dzisiaj... Jeszcze raz spojrzała na garnitur, a potem nerwowo przeniosła wzrok na jego twarz, przestraszona, co też może z niej wyczytać.

- Pojechałem zobaczyć się z Clive'em - oznajmił spokojnie.

Z Clive'em? Poczwała, jak wstępuje w nią nadzieja.

- Co się stało? Zmienił zdanie w sprawie hotelu?

- Nie słuchasz mnie, Zoe. Powiedziałem, że pojechałem do niego, a nie że on mnie wezwał. Ostatnio dużo myślałem. Jest oczywiste, że nie może być tak dalej.

Poczwała, że robi jej się słabo, lecz nie miało to nic wspólnego z ciążą.

Już zaraz to usłyszysz... to, czego się cały czas tak bała. Ben zaraz jej powie, że odchodzi, nie mogąc znieść ciężaru ojcostwa, do jakiego go zmusiła. Jej twarz musiała ją zdradzić, bo Ben nagle spochmurniał i usta wykrzywił mu grymas bólu:

- Zoe, kiedy wreszcie zaczniesz mi ufać? Czy masz pojęcie, jak się czuję, wiedząc, że twoim zdaniem musiałas mnie chronić przed prozą życia i dlatego nie mogłaś się podzielić ze mną tak ważną wiadomością? - Dotknął lekko jej brzucha. - Głęboko w psychice każdego mężczyzny drzemie atawistyczna potrzeba bycia silnym facetem o szerokich ramionach, na których można się oprzeć. Reszta świata może uważać go za mięczaka, ale każdemu mężczyźnie jakiś głos wewnętrzny podpowiada, że jego podstawowym obowiązkiem jest stanowić podporę dla kobiety, a nie odwrotnie.

Może nie jestem Panem Macho, i pewnie nie marzę o tym, ale uwierz wreszcie, że jestem tutaj dla ciebie i nie trzeba mnie chronić i okłamywać tylko dlatego, że nie mam siły pogodzić się z realiami życia. Kiedy powiedziałaś mi wreszcie o dziecku i o ukrywaniu prawdy, czułem się zraniony i zły, ponieważ poniżyłaś mnie jako mężczy-

znę. Potem doszedłem do wniosku, że nie jesteś winna, ponieważ to, co robiłaś, było jedynie reakcją na podświadomy sygnał, jaki ci przesyłałem. To moja wina, że mi nie zaufałaś. Ale zrozum, Zoe, przez całe życie byłem otoczony ludźmi, którzy tylko na mnie polegali. Zoe, przez całe życie...

- Wiem - powiedziała przez łzy. - Wiem i nie chciałam być taka jak oni. Chciałam, żebyśmy byli sobie równi, żebyśmy wszystko między sobą dzielili. Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że kiedy Sharon urodzi dziecko, zrukuje sobie życie? No więc pomyślałam, że jeśli urodzę nasze dziecko, zrujnuję życie tobie. Naprawdę próbowałam zrobić to, co należy, ale nie mogłam, i nawet jeśli to ma znaczyć, że cię stracę... Nie, nie - szepnęła, widząc jego smutną twarz. - To nie o to chodzi. Nie kocham tego dziecka bardziej niż ciebie, tylko inaczej. Bo kto będzie to dziecko kochał i chronił, jeśli nie ja, Ben?

- To także moje dziecko - przypomniał jej cicho - chociaż ostatnio zastanawiałem się, czy tego chcesz; czy w ogóle chcesz, żeby to dziecko miało ojca, bo tak mnie od siebie odsuwałaś. Przepraszam, że nie zauważyłem, co się z tobą dzieje. Może istotnie jestem za mało wrażliwy... Żałuję tego wszystkiego, co mówiłem o dziecku Sharon. Do końca życia nie zapomnę tych słów i tego, że jej dziecka już nie ma. Kocham cię, Zoe. Kocham ciebie i to małe i dlatego zawsze mówiłem, że nie chcę dzieci. Nie z obawy, że nie zdobędę się na miłość; wiedziałem, że będę je kochał. Popatrz na to mieszkanie i powiedz mi uczciwie - czy chcesz, żeby w tych warunkach rósł nasz potomek? Wychowałem się w biedzie, Zoe, i wiem, jaki to ma wpływ na psychikę człowieka.

- Ben, przepraszam, przepraszam za wszystko - wykrztusiła Zoe i zalała się łzami.

Teraz rozumiała, że kiedy wmawiała sobie, że chroni Bena, również go w pewien sposób karała, powodowana nie brakiem miłości do niego, lecz niespodziewanym lekkiem i brakiem poczucia bezpieczeństwa. Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. Wyglądał na zmęczonego, starszego, i mimo skulonych ramion sprawiał wrażenie kogoś znacznie silniejszego, kogoś, na kim naprawdę można polegać. Już otwierała usta, żeby go pocieszyć, gdy przypomniała sobie swoje ostatnie słowa i zamiast zapewnić go, że oboje znajdą jakieś wyjście, spytała z wahaniem:

- Ben, co my teraz zrobimy?

Uśmiechnął się do niej z dumą, niczym pewny siebie chłopiec.

- Teraz musimy znaleźć małą restaurację za niewygórowaną cenę, która dzięki moim talentom wkrótce stanie się sławna. Będziemy mieli tylu gości, że ich nie pomieścimy. Nie byłbym zdziwiony, gdyby któregoś dnia zadzwoniła księżna Walii z prośbą, żeby zarezerwować dla niej specjalny stolik na lunch. Aha, byłbym zapomniiał: musimy znaleźć restaurację z porządnym mieszkaniem i ładnym ogródkiem. Dziecko musi mieć ogród. Clive obiecał mi pomóc. W drodze powrotnej odwiedziłem kilku agentów i mam kilka propozycji. Większość jest, oczywiście, do niczego...

- Ben, Ben, dlaczego nic mi nie mówiłeś? Dlaczego ukrywałeś swoje nowe plany? Przecież nie zacząłeś szukać pod wpływem impulsu; to by było do ciebie niepodobne.

- Nie - zgodził się z nią. - Kiedy powiedziałaś mi

o dziecku, wiedziałem, że będzie potrzebować odpowiedniego domu.

W jej sercu zaczęło narastać dziwne uczucie. Była to radość, miłość, ulga i wdzięczność, ale przede wszystkim miłość. Zoe modliła się, by to uczucie trwało.

- Wiem, że nie tego chciałeś, Ben - szepnęła, przytulając policzek do jego twarzy. - Nie takie mieliśmy plany, ale wszystko będzie dobrze, prawda?

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją i pocałował.

- Nie martw się.

Ścisnął palcami kciuki. Jeszcze nie wiedział, jak tego dokona, ale zrobi wszystko, co w jego mocy. Dla dobra Zoe. A dla dobra dziecka nie? Na chwilę zamknął oczy. Trzeba zapomnieć o goryczy, niechęci, zazdrości i poczuciu osamotnienia, które dane mu było przeżyć w ciągu minionych tygodni. Kocha Zoe i nauczy się kochać ich dziecko. Jakoś to zrobi.

## Na dobre i na złe

27

- Fern, moja droga, jak się miewasz?
- Dobrze - odparła Fern energicznie i przystanąła.

Oczywiście, wszyscy już wiedzieli o zbliżającym się rozwodzie i zapewne także o ciąży Venice. Nick otwarcie z nią mieszkał. Fern widziała ich razem poprzedniego dnia: jechali luksusową limuzyną marki Rover, którą Venice kupiła swemu wybrańcowi.

- Bardziej odpowiadają nam niemieckie samochody - rozpowiadała wszem i wobec Venice - ale oboje uważamy, że powinniśmy popierać przemysł brytyjski i brytyjskiego robotnika.

Zrozumienie, jakie Fern dostrzegła w oczach rozmówców Venice, irytowało ją nieco. Właściwie była coraz bardziej zła z powodu publicznego widowiska, jakie robiła Venice, niezmiennie przyznając się do krzywdy, którą to wyrządziła „biednej Fern”. Swój niecny występek sprytnie przemieniła w cnotę, po czym dodawała ściszoną i zawstydzonym głosem, że jednak trzeba wziąć pod uwagę dziecko.

Fern była coraz bardziej znużona nie chcianą rolą cierpiącej męczennicy. Teraz spotkała Robertę i po raz nie wiadomo który usiłowała przekonać ją, że ani nie ma zamiaru popełnić samobójstwa z rozpaczy, ani nie jest psy-

chicznie rozbita z powodu odejścia Nicka. Cały problem polegał na tym, że nie mogła powiedzieć prawdy, bo czy ktokolwiek by jej uwierzył?

Gdy wiadomość o rozwodzie obiegła miasto, Fern schroniła się u Cressy; gdyby tego nie zrobiła, być może mogłaby teraz powiedzieć prawdę. Wtedy jednak wyjazd do przyjaciółki wydawał się rzeczą konieczną. Fern z jednej strony obawiała się, że Nick może zmienić zdanie, a z drugiej - bała się uwierzyć w swe własne szczęście.

Później, po powrocie od Cressy, spędziła wiele czasu w Bristolu, sprawdzając, na jakie kursy może się zapisać, jaką może znaleźć pracę i mieszkanie.

Uległa w końcu namowom przyjaciółki i skontaktowała się ze znanym ośrodkiem szkolenia Relate. Była zdumiona i zachwycona, że udzielono jej tak życzliwej odpowiedzi i przesłano komplet informacji dotyczących kursów, jakie będzie musiała skończyć, by zdobyć kwalifikacje doradcy. Powiadomiono ją również, że gdyby chciała kształcić się w Relate, mogłaby także odbyć w tej firmie praktykę. Pamiętała z poprzednich lektur, jak trudna i pracochłonna jest nauka w Relate, zdziwiło ją jednak, że perspektywa morderczej harówki tylko utwierdza ją w jej postanowieniu.

Uwierzyła w siebie, zaś wizja nauki i pracy była tak podniecająca, że chodziła jak w transie. Cudowne uczucie, zapomniane od lat. Wczoraj wróciła do Avondale - po następnej krótkiej wizycie u Cressy, podczas której wreszcie poznała Grahama.

On i jej przyjaciółka pasowali do siebie idealnie. Fern z pewnym smutkiem patrzyła na ich rzucające się w oczy szczęście, bardzo szybko jednak zapanowała nad zazdro-

ścią, wiedząc, że to uczucie może zniszczyć każdą przyjaźń.

Przyjechała dzisiaj do miasta, by wystawić dom na sprzedaż, i mimo opowieści Venice nie miała zamiaru pozwolić jej traktować się protekcyjnie i przyjąć części należnej Nickowi.

Nic już jej tutaj nie trzymało. Nauka w Relate zaczynała się w październiku, a co do mieszkania, musiała się tylko zdecydować, którą z trzech możliwości wybrać. Zajęcia miały odbywać się wieczorami i podczas niektórych weekendów, toteż będzie mogła w dzień pracować.

Myśl o konieczności opuszczenia znanego miasteczka i utracie codziennych zajęć, która kiedyś by ją przeraziła, dziś dodawała jej sił. Trochę ją zabolalo, gdy odkryła, że wiele osób, które dotychczas uważała za dobrych znajomych, zaczęło jej unikać.

Roberta była jednym z nielicznych wyjątków, lecz nawet w jej sposobie bycia Fern wyczuła jakąś zmianę - wahanie, unikanie tematu zdrady Nicka i jego związku z Venice.

Fern starała się nie zwracać na to uwagi. No bo gdyby Roberta jednak podjęła ten temat, co mogłaby jej odpowiedzieć? Że postanowiła się rozwieść z Nickiem wcześniej? I Roberta by jej uwierzyła? Wątpliwe, niemniej stanowiło cios dla jej dumy, że stała się obiektem ciekawości i współczucia.

- Czy będziesz dziś w Ratuszu na spotkaniu w sprawie domu Broughtonów? - spytała Roberta.

Fern zmarszczyła czoło i natychmiast przestała myśleć o własnych problemach.

- Na jakim spotkaniu?



- Gazeta pisała o tym w zeszłym tygodniu - mówiła Roberta. - Musiałaś czytać. Aha, wyjechałaś, zapomniałam. Ten artykuł był interesujący. Podkreślał, jakie straty poniosłoby miasto, gdyby wydano zezwolenie na przebudowę tego domu. Muszę przyznać, że nie miałam pojęcia, że ogród został zaprojektowany przez Gertrudę Jekyll i że istnieje stowarzyszenie chroniące jej dzieło...

- Tylko część ogrodu została przez nią zaprojektowana - wtrąciła Fern cicho. W jej umyśle rodziło się coś, czego jeszcze nie potrafiła określić.

- Tak? No, cóż... W każdym razie chodzi o to, że takie miasteczka jak nasze ulegają niszczeniu przez cały czas. Wydaje się różne zezwolenia i miejsca o historycznym znaczeniu są burzone pod naszym własnym nosem, a kiedy sobie to uświadomimy, już jest za późno. Czasem ci sami ludzie, którzy mają chronić naszą spuściznę kulturową, są tymi, którzy... - Roberta zaczerpnęła powietrza. - Lokalni radni nie zawsze potrafią oddzielić odpowiedzialność publiczną od swych prywatnych potrzeb, zwłaszcza w okresie kryzysu. Myśl o podpisaniu intratnego kontraktu bywa kusząca, zapomina się wtedy o moralnej odpowiedzialności wobec ludzi, których się reprezentuje...

Roberta mówiła coraz szybciej i gwałtowniej. Fern nagle zrozumiała, co tamta chciała jej przekazać.

- Mówisz o Adamie, prawda? - spytała. - O Adamie i tym konsorcjum, w które jest zamieszany.

- No cóż, musisz sama przyznać, że to trochę podejrzane - odparła Roberta, jakby się broniąc. - Adam na pewno wie, co ludzie mówią, ale nie zrobił niczego, co by położyło kres plotkom, że ma zamiar kupić ten dom jako potencjalną inwestycję. Osobiście uważam, że ten, kto napisał

ten artykuł, ma trochę racji. To właściwie bardzo intrygujące, no, to, że artykuł jest anonimowy. A na końcu zaprasza się wszystkich, którzy chcą zachować dom i ogród w obecnym stanie jako świadectwo epoki, do przyścia na dzisiejsze spotkanie w Ratuszu. Lubiłaś ten dom, Fern, prawda? Przyjdiesz?

- Może - powiedziała Fern obojętnie.

Nie była jeszcze gotowa wyjawiać faktu, że wkrótce opuści miasteczko i gdyby to spotkanie dotyczyło jakiegokolwiek innego miejsca niż dom Broughtonów, na pewno by sobie nie zawracała nim głowy.

Roberta jednak ma rację... Uwielbiała ten dom i ogród. Wziąwszy to pod uwagę, powinna być zachwycona, podobnie jak Roberta, że ktoś stara się chronić to miejsce. Dlaczego więc nie jest? Bo przecież nie z powodu udziału w tym wszystkim Adama?

Pożegnała się z Robertą i pospieszyła do agencji handlu nieruchomościami, zatrzymując się po drodze przed wystawą sklepową, na szybie której widniało zawiadomienie o spotkaniu w Ratuszu.

- To dobry pomysł - powiedziała stojąca obok kobieta z dzieckiem. - Najwyższy czas, żeby ktoś sprawdził, co robią ci radni i im podobni. Moim zdaniem większość z nich myśli tylko o nabijaniu sobie kabzy, a nie o załatwianiu naszych spraw. - Kobieta prychnęła z oburzeniem, odwróciła się w stronę dziecka z poleceniem, by nie kopało nowymi butami chodnika, po czym zniknęła z malcem we wnętrzu sklepu.

Fern zasepiona ruszyła dalej. Co się tu dzieje? Adam był zawsze jednym z najpopularniejszych i najbardziej lubianych radnych, a już na pewno był uczciwy i godny zaufa-

nia, a tymczasem nawet ci, którzy znali go dobrze, jak właśnie Roberta, zaczęli kwestionować jego uczciwość.

A wszystko to z powodu anonimowego artykułu, który ukazał się w lokalnej gazecie.

Może jednak powinna pójść na to spotkanie?

Agent był bardzo pomocny i uprzejmy. Obiecał, że już następnego dnia rano przyśle pracownika, by wymierzyć posesję i zrobić zdjęcia, chociaż nie potrafił powiedzieć, jak długo w obecnej sytuacji rynkowej potrwa sprzedaż domu.

Fern podziękowała mu i odwróciła się z zamiarem wyjścia, po czym zamarła, gdyż po drugiej stronie ulicy zobaczyła Adama.

Czas stanął w miejscu, wszelki ruch zastygł, *jej* serce zaś przeszył porażający ból. Adam zatrzymał się, by spojrzeć na jezdnię przed przejściem na drugą stronę. Stał odwrócony do niej profilem, na jego twarzy widniały resztki opalenizny po wakacjach z Lily i jej rodzicami, a Fern stała jak zamurowana, niezdolna do zrobienia ruchu. Adam tymczasem stanął twarzą do niej i oczy mu załśniły.

Kiedy zrobił krok w jej kierunku, Fern ożyła. Panika dodała jej skrzydeł; oddaliła się najszybciej, jak potrafiła. Słyszała wołanie Adama, przez łzy zalewające jej oczy widziała zatrzymujących się ludzi, zdawała też sobie niejasno sprawę z własnej głupoty, niemniej jakiś wewnętrzny impuls kazał jej uciekać jak najdalej.

Rozdygotana, oparła się w końcu o drzwi swego samochodu. Nie ma powodu uciekać - Adam już jej nie ściga, bo zatrzymał go jakiś mężczyzna. Dopiero teraz zaczęło powoli do niej docierać, jak bezmyślnie się zachowała.

Powinna była spokojnie i obojętnie wysłuchać tego, co Adam ma jej do powiedzenia, i pożegnać się z nim.

Starła się opanować. Jak to możliwe, żeby sam widok tego mężczyzny wywoływał w niej taki rozdzierający ból i pożądanie? Uśmiechnęła się ponuro do siebie. Wcale nie musiała go widzieć, żeby czuć to samo.

Wystarczyło, że o nim pomyśli, że sobie przypomni... Nie, nie, to było dawno, to już skończone! Teraz pora zacząć nowe życie, w zupełnie innym miejscu.

Spóźniła się na spotkanie w Ratuszu, przede wszystkim dlatego, że nie mogła się zdecydować, czy iść, czy nie.

W końcu postanowiła pójść, powodowana tymi samymi wątpliwościami, które obudziły się w niej wcześniej tego dnia; chciała wiedzieć, kto napisał artykuł w tym miejscowym szmatławcu, wzbudzając tym takie zainteresowanie i wyrażając rzekomo poglądy większości obywateli.

Fern uznała, że autor artykułu z pewnością był kuty na cztery nogi, skoro siał wątpliwości i podejrzenia w kwestiach, co do których dotychczas ludzie powszechnie się zgadzali. Był to ktoś, kto nie tylko doskonale znał się na mrocznych stronach natury ludzkiej, lecz potrafił je wykorzystać. Fern zaniepokoiła się. Dlaczego odnosiła wrażenie, że dzisiejsze spotkanie miało zupełnie inny cel niż skądinąd szczytna sprawa ochrony zabytkowego domu?

Sala była wypełniona po brzegi, gdy przyszła. Znalazła już tylko miejsca stojące pod ścianą. Jeszcze jeden dowód na to, jak opinią publiczną można manipulować. Manipulować... ?

Godzinę później doskonale wiedziała, skąd wzięły się jej wątpliwości.

Przeżyła szok widząc, że Nick zajmuje miejsce na mównicy, i potem jeszcze większy, gdy wysłuchała jego przemówienia.

Znała go na wylot, toteż wiedziała, że przekonania, jakie wyrażał, były mu zupełnie obce. Mówił z pasją o konieczności zachowania zabytków, spokojnie i sprytnie pytał, jak dalece można ufać lokalnym władzom, które w imię prywatnych interesów sprzeniewierzają się obowiązkowi ochrony środowiska.

Ktoś włożył te szczytne ideały w jego usta, tylko kto i dlaczego?

Fern rozumiała motywację Nicka. Pojęła to w chwili, kiedy zajął miejsce na mównicy. I chociaż Adam ani razu nie został wymieniony z nazwiska, nikt z obecnych nie mógł mieć wątpliwości, że kwestionowana jest właśnie jego uczciwość.

Nick, oczywiście, był bardzo ostrożny. Nikt mu niczego nie zarzuci, o nic go nie oskarży - ani z legalnego, ani z moralnego punktu widzenia. Autor przemówienia już tego dopilnował. Fern bacznie obserwowała publiczność i doszła do przekonania, że słowa Nicka znajdują znacznie głębszy odzew, niż przypuszczała.

I jest to również jej wina, bo to ona udzieliła Venice informacji, nawet jeśli przypadkowo, że ogród pani Broughton został w części zaprojektowany przez Gertrudę Jekyll. Winna jest także tego, że zwątpiła w Adama - co w tej chwili zrozumiała. Bez względu na to, jaką rolę odgrywa on w sprawie domu Broughtonów, na pewno nie ma w tym niczego podejrzanego.

Ze ściśniętym sercem opuściła salę jeszcze przed końcem spotkania, świadoma, że jeśli ona była w stanie na

chwile zwątpić w intencje Adama, to czy można mieć pretensje do innych?

Dziś wieczorem Nick wygłosił dobre i przekonujące przemówienie. Fern wiedziała, że gdyby w tej chwili wstąpiła na mównicę i ogłosiła wszem i wobec, że Nick śmiertelnie nienawidzi przybranego brata i że powodowany jest wyłącznie złą wolą i złośliwością, niewielu obecnych by jej uwierzyło.

Adam stał w ciemnym kącie przy drzwiach i widział, kiedy Fern wychodziła. Podobnie jak ona, spóźnił się do Ratusza, głównie z powodu spotkania z Clive'em. Co za pech, że Clive przyszedł trochę za wcześnie i przeszkodził mu w dogonieniu Fern.

Był wstrząśnięty, gdy po powrocie z Gloucestershire dowiedział się o rozpadzie jej małżeństwa. Wiedział, jak bardzo kochała Nicka i co musi teraz przeżywać. Zastanawiał się, czy kocha go równie mocno nawet teraz, kiedy ją opuścił i otwarcie zamieszkał z inną kobietą, kiedy publicznie ją poniżył? I odpowiadał sobie, że tak, bo Fern już taka jest.

Ciekaw był, czy dociera do niej, co ludzie mówią... jak to Nick podobno przez jakiś czas starał się ze wszystkich sił, by ich małżeństwo było udane, ale Fern była obojętna i nie reagowała na jego potrzeby. Powtarzano, że „była bardziej gospodynią domową niż żoną, niż kobietą”.

Czy to Venice stoi za rozpuszczaniem takich plotek o Fern, podobnie jak za dzisiejszą metamorfozą Nicka w szlachetnego obrońcę środowiska i miejscowych zabytków historycznych?

Oczywiście, Adam zauważył wyreżyserowany atak Ni-

cka na swoją osobę, lecz zbyt nie przejął. Jeśli ludzie zażyczą sobie, by zrezygnował z funkcji radnego, nie będzie się sprzeciwiał. Nigdy nie traktował tego urzędu jako potencjalnego źródła korzyści dla siebie, lecz widział w nim publiczny obowiązek, a ponieważ miał coraz więcej zleceń jako architekt, coraz mniej czasu mógł poświęcić na realizację swych planów dla miasta.

Nie miał również zamiaru wdawać się w publiczne kłótnie z Nickiem, zwłaszcza że tamten o niczym innym nie marzył. Znał swego przybranego brata zbyt dobrze, by dać się w to wciągnąć. Oczywiście, musi przedsięwziąć jakieś kroki, by Nick i pozostali zrozumieli, że nie puści nikomu płazem prób skalania jego opinii i kwestionowania jego uczciwości, ale na razie to musi poczekać; ma teraz na głowie ważniejsze sprawy.

W zeszłym miesiącu z największym trudem wygospodarował czas na wyjazd do Włoch z państwem James. Ojciec Lily chciał wybudować drugą willę na swojej posesji we Włoszech i pragnął skonsultować ten pomysł z Adamem. Gdyby ta inwestycja doszła do skutku, prowizja byłaby niezła.

Podobnie niezłe można by zarobić na rozbudowie domu Broughtonów, lecz Adam ostrzegał Clive'a od samego początku, że z moralnego punktu widzenia nie może mu doradzać wspierania czegoś, co zniszczyłoby ową szczególną atmosferę i charakter całej posiadłości.

Była to bardzo trudna decyzja. Dom w końcu i tak zostanie sprzedany, zapewne jakiemuś spekulantowi, który przeczeka cicho do czasu uzyskania odpowiednich zezwoleń, a potem zacznie budowę od zburzenia całego budynku. Clive przynajmniej opowiadał się za tym, by dom i ogród

pozostały w niezmienionej postaci. Oczywiście, jest jeszcze sprawa dodatkowych miejsc pracy, które zyskałoby miasto w przypadku pojawienia się hotelu i restauracji.

Hotel i miejsca pracy. Ostatecznie jednak Adam musiał poinformować Clive'a, że nie może poprzeć żadnych planów, które zmieniłyby charakter domu, i że nawet jeśli, jako radny, wstrzyma się od głosowania w tej sprawie, nie może zalecać Clive'owi, jako klientowi, organizowania przetargu na sprzedaż domu, na którego przebudowę nie będzie można uzyskać później zezwolenia.

Clive podziękował mu za uczciwość i stwierdził smętnie, że sam zaczyna mieć wątpliwości co do ewentualnych inwestycji.

- Skoro nie widać końca kryzysu, nie należy porywać się na takie ambitne cele.

- Tak - zgodził się Adam. - Wiele z otwartych ostatnio wiejskich hoteli ma problemy finansowe, a niektóre może nawet ulegną likwidacji...

Rozstali się przyjaźnie, lecz zbyt późno, by Adam zdążył na początek spotkania w Ratuszu.

I teraz, gdy wysłuchiwał ostatniej części przemówienia Nicka, patrzył na swego przybranego brata obojętnie, bo myślami krążył wokół Fern.

Wyglądała na bardzo przygnębioną, gdy opuszczała salę - na przygnębioną i samotną. Nikomu nie przyszło do głowy, by jej towarzyszyć. Nie można jej zostawić samej w takiej chwili - musi się czuć okropnie skrzywdzona. Lecz czy on może ją pocieszyć? Na pewno będzie się bała, że mógłby... że powtórzy się...

Mimo wszystko nie mógł jednak znieść myśli, że jest sama w tym domu, który dzieliła z jego podstępnym bra-



tem, żywiąca wbrew wszystkiemu nadzieję, że tamten nadal ją kocha.

A może Fern zna prawdę, lecz postanowiła nie przyjmować jej do wiadomości i wierzy, że miłość żony do męża wystarczy, by małżeństwo przetrwało?

Adam wyszedł na dwór. Był ciepły wieczór, jego samochód stał niedaleko...

Gdy Fern usłyszała pukanie do drzwi, automatycznie poszła je otworzyć. Była tak zdumiona widokiem Adama, że nie zdołała wykrztusić słowa. Wszedł do środka, a ona równie automatycznym ruchem zamknęła drzwi.

- Adam...

Usłyszał w jej głosie rozpacz i protest, postawił jednak wszystko na ostatnią kartę.

- Widziałem, jak wychodzisz, a przyjechałem tutaj dlatego, żeby zobaczyć, jak się czujesz. Nie powinnaś być teraz sama. - Mówił niemal szeptem, ze zmarszczonym czołem lustrując mroczne kąty holu. - Wiem, jak cię to wszystko boli, ale po co poszłaś na to spotkanie? Fern, czy nie rozumiesz, że Nick nie....

Fern wreszcie poczuła, że ma wszystkiego dosyć. Nie chciała współczucia Adama, nie chciała, by jej dawał jak wszyscy inni do zrozumienia, że nie powinna żałować odejścia Nicka, nie powinna czekać na jego powrót...

- Że Nick co „nie”? - spytała ostro. - Że mnie nie chce, że mnie nie kocha, że woli łóżko Venice i jej niewątpliwą zmysłowość w porównaniu z moim niewątpliwym jej brakiem? - Podnosiła głos coraz bardziej. - Widzę to wszystko, Adamie. Widzę też znacznie więcej. Jak na przykład to, że Nick jest słaby, próżny i lubi manipulować ludźmi!

Również to, że ożenił się ze mną, mimo że wcale mnie nie kochał! I to, że razem z Venice zrobili ze mnie nie tylko nieszczęśnicę na użytek publiczny, lecz również publiczne pośmiewisko! Kobieta, która woli być gospodynią domową niż żoną... Słyszałam te wszystkie brednie, ale to już nie ma żadnego znaczenia. Tak samo jak Nick już nic dla mnie nie znaczy.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że już go nie kochasz?

Jego niedowierzenie było oczywiste. Oczywiste i poniżające.

- Czy ty naprawdę myślisz, że mogłabym? Że jakakolwiek kobieta mogłaby go kochać? Czy myślisz, że tak bardzo brakuje mi inteligencji i szacunku do samej siebie? Nigdy go nie kochałam.

Jakaż to była ulga powiedzieć te słowa, zrzucić ciężar tajemnicy utrzymywanej przez tyle lat. Wreszcie zniknęło piętno słabej i zastraszonej kobiety, która boi się spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, czym w istocie było jej małżeństwo.

Adam patrzył na nią takim wzrokiem, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Fern poczuła, że za chwilę umrze z bólu, ponieważ odniosła wrażenie, że jest to ich ostatnie spotkanie i że rozstaną się nie jako kochankowie, nawet nie jako przyjaciele, lecz jako dwoje ludzi, którzy już na wieki będą sobie obcy.

- To niemożliwe...

Mówił zduszonym, nieco zachrypniętym i jakby gniewnym głosem. Fern przestraszyła się, gdy wyciągnął rękę i mocno chwycił ją za ramię.

- To niemożliwe, Fern - powtórzył z napięciem.

Wstąpiła w nią furia. Co go to obchodzi, jakie uczucia

żywiła do Nicka? Wkrótce stąd wyjedzie i więcej go nie zobaczy. Nie ma powodu, by ukrywać kłamstwo, z którym tak długo żyła. Podniosła do góry głowę, spojrzała Adamowi w wyzywająco w oczy i powiedziała:

- To prawda, Adamie. Nigdy go nie kochałam. Ani przed ślubem, ani potem. Nigdy.

Uspokoiła się nagle, jej głos stracił pasję, oczy blask.

- Zostałam jego żoną, bo tego chciał. Bo mówił, że mnie potrzebuje, że mnie kocha, powtarzał to przez tyle lat. A ja trwałam w tym związku, bo uważałam, że to mój obowiązek, i że jestem to winna rodzicom. Wyrobili we mnie przekonanie, że żona powinna przede wszystkim zajmować się mężem. Zapomniałam, a może nigdy nawet nie pomyślałam o tym, że przede wszystkim powinnam zająć się sobą. Może, gdybym to sobie uświadamiała, zaoszczędziłabym sobie i Nickowi wiele bólu. A tak prawdę mówiąc...

Westchnęła głęboko, zdobyła się na odwagę i wyrzuciła z siebie wreszcie:

- Powiedziałam Nickowi, że nasze małżeństwo jest skończone, zanim mnie zostawił dla Venice. Nie spodziewam się, żebyś mi uwierzył. Bo niby dlaczego miałbyś to zrobić? Oboje wiemy, że w głębi serca wolisz myśleć, że naprawdę kochałam Nicka.

Odsunęła się od niego, wyczerpana nie tylko swoim wybuchem, lecz również przeżyciami ostatnich tygodni.

- Owszem, masz rację. Wolałbym tak myśleć - zgodził się ponuro.

Całe życie o tym wiedziała, lecz gdy wypowiedział te słowa na głos, poczuła, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Była przekonana, że jest już uodporniona na ból, że najwię-

ksze cierpienia ma już za sobą, a tymczasem się okazało, że znowu popełniła błąd. Jej pełen bólu krzyk odbił się głośnym echem od ścian holu i nagle atmosfera stała się tak duszna, że Fern zabrakło powietrza. Postąpiła krok w kierunku salonu, wyciągnęła rękę szukając po omacku drzwi, i zatoczyła się.

- Fern...

Zdrętwiała, gdy Adam ją objął. Trzymał ją za mocno, stał za blisko. Słyszała dudnienie własnego serca, gdy przymknęła oczy i próbowała wymazać z pamięci jego twarz. Ten jego zapach, dlaczego na nią tak obezwładniająco działa? Ostatkiem sił szarpnęła się i rzuciła przez zęby:

- Puść mnie!

Ku jej zdumieniu, przytulił ją jeszcze mocniej i powiedział cicho:

- Nie. Już dwa razy pozwoliłem ci odejść, ale trzeci raz nie pozwolę.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego ze zdumieniem. Zaczęła już wymawiać jego imię, kiedy ujął dłońmi jej twarz i spojrzał na nią pytająco.

To jest, oczywiście, sen. To niemożliwe, by Adam patrzył na nią z taką miłością, z takim pełnym udręki żalem... To niemożliwe, że ją obejmuje, całuje i szepcze, jak bardzo ją kocha. Dotknęła dłońmi jego głowy. Ciepło jego skóry, puls na skroni, gęste, twarde włosy - nie, to już nie jest snem.

- Adam, Adam,.. - powtarzała jego imię, nadając swym słowom rytm litanii miłości.

On coś do niej mówił, chyba o tym, jak bardzo marzył o takiej chwili, głaskał ją po włosach i całował.

- Dlaczego... dlaczego nie powiedziałaś mi tego

wcześniej? - spytał w końcu. - Wiedziałaś przecież, co do ciebie czuję.

Fern napięła się i odsunęła, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie - odparła drżącym głosem. - Nie wiedziałam. Myślałam, że mi współczujesz. Nick mi kiedyś powiedział, że twoim zdaniem jestem seksualnie zbyt naiwna, żeby mnie pragnąć.

- I ty mu uwierzyłaś? Na miłość boską, Fern! Niczego się nie domyślałaś? Przecież cały czas starałem się ci to okazać...

- Myślałam, że to tylko zwykła litość. Myślałam, że jest ci mnie żal.

- A ja myślałem, że szukałaś wtedy u mnie pocieszenia tylko dlatego, że Nick cię zdradził. Nawet wtedy kazałaś mi myśleć, że go kochasz!

- Bo nie chciałam, żebyś czuł się za to odpowiedzialny albo żebyś myślał, że jesteś mi coś winien. Chciałam go zostawić, ale mi nie pozwolił, i bałam się, że jeśli to zrobię, to ty pomyślisz... - Potrząsnęła głową, zbyt przytłoczona wszystkim, żeby spokojnie mówić dalej. - Myślałam, że wiesz, jak się czuję - szepnęła w końcu bezradnie. - To przecież ja... cię zmusiałam...

- Naprawdę w to wierzysz, Fern? - spytał tonem tak pełnym niedowierzania, że musiała na niego spojrzeć. - Fern, tak cię pragnąłem, że nawet gdybyś mnie wtedy nie dotykała, i tak bym się z tobą kochał. Czy masz pojęcie, jak to wspomnienie mnie później dręczyło? Nie czułem wyrzutów sumienia, lecz miłość, tęsknotę, złość i tysiąc innych uczuć, których nie jestem w stanie opisać.

- Kochaj się teraz ze mną, Adamie - szepnęła.

Poczuła, że jego ciało tężeje.

- Nie tutaj - odparł zmienionym głosem. - Nie w tym domu. Chodź ze mną.

Trzymając się za ręce, wyszli na dwór i wsiedli do samochodu Adama.

- Musimy wrócić do samego początku - mówił, wskazując jej drogę do swojej sypialni. — Do szczęścia, które byłoby naszym udziałem, gdyby Nick między nami nie stanął. To on mi powiedział, że mnie nie chcesz, tylko się wstydzisz wyznać mi to sama... i że jestem dla ciebie za stary i za nudny.

Otworzył drzwi sypialni i przystanął w progu.

- Teraz już wiesz, że nigdy tego nie mówiłam - szepnęła Fern. - Kochałam cię, ale byłam zbyt nieśmiała, zbyt niedojrzała... Myślałam, że jesteś dla mnie po prostu uprzejmy. Nigdy...

- Cii - przerwał jej. - To już nieważne. Zapomnijmy o tych wszystkich złych rzeczach. Ich już po prostu nie ma. Od tej chwili, Fern, godziny, które spędzam z tobą, są najcenniejszymi godzinami mojego życia. Czekałem na ciebie tak długo, bo ilekroć myślałem o zawarciu jakiegoś związku, przypominałem sobie czas spędzony z tobą. No, uśmiechnij się.

Fern jednak płakała. Adam ucałował jej twarz i zaniósł ją do łóżka. Leżała i patrzyła na niego przez łzy, rozkoszując się jego bliskością, nadal nie do końca przekonana, że Adam ją kocha, zahipnotyzowana nie tyle własnym pożądaniem, co niejasnym uczuciem, że to wszystko nie jest realne, że za chwilę ktoś go jej zabierze.

Później, przytulona do niego, chłonęła nie znaną jej dotychczas rozkosz oraz doznania, które po raz pierwszy

przeżywała. Powoli odgadywała, co to jest. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co to znaczy być kochaną. Niecierpliwie pragnęła zawładnąć nim całym, czując jednocześnie potrzebę oddania mu się bez reszty.

I kiedy ta chwila nastąpiła, Fern ją zapamiętała. Pojęła wtedy, że takie idealne zespolenie można osiągnąć jedynie wtedy, kiedy się kogoś naprawdę kocha, kiedy w miłości do drugiej osoby jest jakiś podniosły element mistycyzmu.

Czy jej się wydawało, czy naprawdę krzyczała w uniesieniu, że gotowa jest umrzeć, żeby tylko z nim być? Że jego dotyk, ciepło, zapach podniecają ją do tego stopnia, że ma ochotę wykrzykiwać jego imię na cały głos? Kiedy ochłoneła, Adam odgarniał wilgotne włosy z jej twarzy i patrzył na nią z łagodnym uśmiechem.

- Jak się czujesz? Czy coś ci zrobiłem? Krzy...

Pokręciła głową, położyła mu palec na ustach i, pozbywając się resztek nieśmiałości, zrzucając ją wreszcie niczym nie chcianą skorupę, powiedziała szczerze:

- Nie. Tak chciałam. Było mi to potrzebne. Czuję się teraz... oczyszczona.

Te cudowne chwile odsunęły w cień smutne wspomnienie dotyku Nicka, tego wszystkiego, co uchodziło za jego okazywanie miłości. To już nie istniało, uleciało z jej pamięci i nie mogło jej nigdy więcej zranić.

- Kocham cię, Fern - powtarzał Adam gorąco. - I chciałbym, żebyśmy jak najprędzej wzięli ślub. Chcę być twoim mężem, kochankiem, przyjacielem i ojcem twoich dzieci. Chcę mieć wreszcie z tobą to wszystko, co mogliśmy mieć lata temu, gdybym nie był taki głupi i nie pozwolił Nickowi...

- Dosyc - przerwała mu. - To już nie ma znaczenia. Ja

sama też jestem temu winna. Trzeba było Cressy, żebym przejrzała. Ona niedługo wychodzi za mąż. Byłam u nich wczoraj i tak im zazdrościłam! Powtarzałam sobie, że powinnam być zadowolona ze swojej wolności i planów na przyszłość, a to, że cię kocham... Wiesz, dalej nie mogę uwierzyć, że to prawda.

- Musisz w to uwierzyć, Fern - powiedział cicho. - A także w to, że teraz, kiedy cię wreszcie dostałem, nie pozwolę ci odejść. Zapamiętaj, że za nic w świecie nie mogę cię stracić.

- Nickowi to się nie spodoba - mruknęła Fern i lekko zadrżała.

Nie bała się o siebie, lecz o Adama. Czy on wie, jaki naprawdę jest Nick, jak bardzo go nie lubi, jak bardzo może być niebezpieczny? Kiedy spojrzała na Adama, zrozumiała, że nie musi swych wątpliwości wyrażać na głos i tylko spytała:

- Dlaczego on taki jest?

- Nie wiem - odparł zamyślony. - Myślałem kiedyś, że wyjaśnienia tego należy szukać gdzieś w dzieciństwie. Może w tym, że wcześniej stracił ojca... a może niektórzy po prostu tacy się rodzą.

- On chce cię zniszczyć, Adamie. Cała ta gadanina o tym, jak bardzo jest zatroskany losem środowiska i domem Broughtonów...

- Temu domowi z mojej strony nic nie zagraża - wtrącił Adam. - Owo rzekome konsorcjum, do którego należą i które chce zrównać całą posiadłość z ziemią i wybudować tam supermarket, istnieje tylko w wyobraźni Nicka.

- Chciałabym, żeby kupił to ktoś, kto zrobi z tego pra-



wdziwy, rodzinny dom. Taki, jaki na pewno był tam kiedyś, dawniej.

- Jest za duży jak na współczesną rodzinę - oświadczył Adam z uśmiechem. - Chociaż...

- Chociaż co? - spytała Fern podejrzliwie i usiadła, chcąc widzieć jego twarz.

- Właśnie podsunęłaś mi pewien pomysł - oznajmił łaskawie. A potem, gdy powiódł wzrokiem po jej nagim ciele, dodał ze zmysłowym rozmarzeniem: - Mmm... Podsuwasz mi nie tylko pomysły.

Fern roześmiała się. Czuła się z nim tak swobodnie, jak gdyby ich zażyłość trwała od lat, a jednocześnie doznawała tak szybkich i świeżych podniet erotycznych, jak gdyby była młodą dziewczyną, przeżywającą swoją pierwszą miłość.

- Wyjaśnij mi najpierw sprawę domu - zażądała.

Całując ją, powoli opowiedział jej wszystko.

- Więc chcesz skłonić radę, żeby to wykupiła i przekształciła w szkołę specjalną do młodocianych przestępców?

- Niezupełnie. Miałem na myśli coś w rodzaju domu przejściowego, miejsca, w którym stworzono by im możliwość zastanowienia się nad tym, jak żyć.

- Cudowny pomysł - przyznała zachwycona i mocno się do niego przytuliła. - Ale to nie będzie łatwe - ostrzegła. - Nick chce cię wykluczyć z rady i...

- Rada mnie nie obchodzi - zaprotestował. - Wszystko, czego chcę od życia, trzymam teraz w ramionach. Tylko tego chciałem i o niczym innym nie marzę. Chciałem ciebie, Fern, i tylko ty się liczysz. Ty, twoje szczęście i nasze wspólne życie.

# Na dobre i na złe

## Epilog

- A gdzie jest moja wnuczka?

Zoe roześmiała się na widok matki, która z rozczarowaną miną rozglądała się po małym, zalanym południowym słońcem saloniku.

- Ben zabrał ją do parku. Jego nowy szef kuchni zaczyna od dziś przygotowywać potrawy na lunch i cieszy się, że Ben nie patrzy mu na ręce.

- Chyba masz rację. Restauracja była pełna, gdy przechodziłam.

- Mieliśmy szczęście - powiedziała Zoe. - Ben znalazł jedną z niewielu okazji na rynku. Kryzys przechodzą restauracje, które liczą na bogatą klientelę; biznesmenów, i tak dalej. Tutaj, poza miastem, dajemy sobie radę, bo przychodzą do nas okoliczni mieszkańcy.

Musieliśmy trochę zmniejszyć koszty, oczywiście, i wziąć pod uwagę fakt, że dzisiaj ludzie przykładają większą wagę do tego, co dostają za swoje pieniądze. Clive naprawdę bardzo nam pomógł. Bez niego nie byłoby nas stać ani na ten dom, ani na restaurację. To olbrzymia różnica w kosztach ogólnych, jeśli nie trzeba płacić czynszu. Trochę mi tylko nieswojo, że tak niewiele robię...

- Przecież sama zaprojektowałaś wnętrza i sporządziłaś kosztorys...

- No tak, i nawet udaje mi się trochę popracować, choć na razie tylko w recepcji i przy kasie. Kiedy urodziła się Katie, nie chciałam, żeby Ben czuł, że nie jest już dla mnie ważny. - Zoe uśmiechnęła się z przekąsem. - A teraz, jeśli już naprawdę ktoś chodzi z nosem spuszczonej na kwintę, to właśnie ja.

- Ostrzegałam cię - oświadczyła matka z uśmiechem.  
- Kiedy mężczyźni urodzi się córka, nie widzi poza nią świata. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego mówi się, że mężczyzna musi mieć syna. Niektórzy, oczywiście, wolą synów, większość jednak uczciwie przyzna, że w posiadaniu córki jest coś szczególnego. Do dziś pamiętam, jak podniecony był ojciec, kiedy się urodziłaś.

Zoe pochyliła się, żeby wyciągnąć wystającego spod kanapy miękkiego, filcowego królika.

- Mieszkanie nad restauracją? - zasugerowała ostrożnie, kiedy po raz pierwszy zaczęli rozmawiać o przeprowadzce.

Ben pokręcił głową.

- Nie można zdrowo wychować dziecka w mieszkaniu - oświadczył. - Mam lepszy pomysł. Niedaleko stąd jest na sprzedaż mały dom. Ma na tyłach spory ogródek, a po drugiej stronie ulicy jest park.

- Stać nas na to? - spytała z powątpiewaniem.

W głębi serca nadal czuła się winna z powodu ukrywania ciąży i martwiła się, że Ben maskuje swoje prawdziwe uczucia, choć na pozór zdumiewająco łatwo przyjął wiadomość o dziecku.

Nie winiłaby go, gdyby czuł do niej niechęć, gdyby mimo tego, co mówił, w głębi duszy wolał, by po prostu

sama załatwiła tę sprawę, nie mówiąc mu o tym i nie uświadamiając, jak bardzo to dla niej było bolesne. Jej niepokój wynikał po części z tego, że kiedy po raz pierwszy w życiu nadeszła pora, żeby okazać siłę i niezależność, ona ich w sobie nie znalazła.

W ciągu ostatnich miesięcy ciąży, gdy Ben tkwił w wirze przygotowań do otwarcia restauracji i poganiał robotników remontujących dom i lokal, Zoe zamartwiała się, że udaje miłość i troskę, że jego opiekuńczy stosunek do niej wynika tylko z poczucia obowiązku. Czasami, gdy go nie było, zwijała się na łóżku i z oczami pełnymi łez szeptała maleństwu, żeby się nie martwiło, bo ona je kocha...

I z każdym dniem bała się coraz bardziej, jak Ben zareaguje na przyjście dziecka na świat.

Pogodził się z jej ciążą, mówił, że ją kocha, planował ich wspólną przyszłość, ale co będzie potem? Zdawała sobie sprawę, że Ben bardzo niepokoił się jej milczeniem w ostatnich tygodniach ciąży, jednak nie była w stanie wyjawić mu swych uczuć. Już i tak złożyła na jego barkach zbyt wiele.

Wiedziała, że byłoby nielojalnością zwierzyć się ze swych obaw komuś innemu, nawet rodzicom, toteż tłumiła je w sobie. Dziecko rosło, a w niej narastał strach, co mogą przynieść jego narodziny. Dręczyło ją też coraz silniejsze poczucie winy z powodu tego, co zrobiła obojgu - Benowi i dziecku.

- Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy się urodziłaś - mówiła właśnie matka. - Ani tej, kiedy urodziła się Katie. Co, na Boga, skłoniło cię wtedy do tego wyjazdu do Manchesteru?

- Nie wiem - przyznała Zoe. - Chyba nie pomyślałam, że Katie może urodzić się wcześniej, a Ben był ciągle taki zajęty, że...

Potrząsnęła głową, nie będąc w stanie wyjaśnić matce, iż tego ranka odniosła wrażenie, że jeśli nie pojedzie porozmawiać z matką Bena, nigdy nie otrząśnie się ze swego poczucia winy i niepokoju.

Dziś godziła się ze stwierdzeniem wszystkich, że było to nierozsądne. Do rozwiązania pozostały jeszcze dwa tygodnie, była ociężała i szybko się męczyła. Pociąg co chwila stawał z powodu jakichś awarii i w efekcie do Manchesteru przyjechała dopiero po czterech godzinach. Wybrała pociąg, bo wołała już nie ryzykować tak długiej podróży swoim starym samochodem.

Początkowo ból krzyża złożyła na karb niewygodnej jazdy.

Taksówkarz trochę się skrzywił, gdy podała mu adres, lecz nie zdziwiła się, ponieważ rodzina Bena mieszkała w okropnie zniszczonej części miasta.

Matka Bena była zdumiona, gdy ją ujrzała, przywitała ją jednak serdecznie. A potem wydarzenia potoczyły się lotem błyskawicy. Kiedy w kilka minut później Zoe z krzykiem upuściła na ziemię kubek z herbatą, matka Bena zadziałała tak sprawnie, że zdziwiła tym nawet jego.

Ben przybył do szpitala dosłownie w ostatniej chwili, kiedy dziecko już zaczynało się rodzić. Zawiózł go tam ojciec Zoe, do którego zadzwoniła matka Bena.

Kiedy Ben wpadł do sali porodowej, Zoe początkowo nie zdawała sobie sprawy, iż jego zaniepokojenie wynika częściowo z faktu, że w tym samym szpitalu przebywała niedawno Sharon. Ben na nowo przeżywał rozpaczliwe

godziny, kiedy to siedział przy łóżku siostry i trzymał ją za rękę, podczas gdy ona usiłowała urodzić martwy płód. Ben był również przerażony myślą, która nie dawała mu po nocach spać podczas niemal całej ciąży Zoe, że los się na nim zemści i straci dziecko wraz z jego matką.

Zrozumiała to wszystko znacznie później, gdy cała trójka wróciła już do domu. Dziecko spało spokojnie w kołysce, Zoe protestowała przeciwko leżeniu w łóżku i argumentowała, że czuje się znakomicie i Ben nie musi traktować jej jak inwalidki i wmuszać w nią rosołu z kurczaka.

Oboje śmiali się do łez, gdy Ben ciepło przedrzeźniał Sarę Bernstein, która ostrzegała, że bez takiego rosołu żadne dziecko nie wychowa się zdrowo.

- Chciałbym, żeby Sara była matką chrzestną małej - powiedział w końcu.

A potem pochylił się nad kołyską i bardzo delikatnie wziął Katie na ręce. Kiedy Zoe zobaczyła jego rozjaśnioną radością twarz, zrozumiała, że Ben kocha dziecko gorącą miłością. Z oczu popłynęły jej łzy szczęścia. Gdy Ben je zauważył, natychmiast położył córeczkę do kołyski i z niepokojem podbiegł do niej.

- Co się stało, Zoe? Mów!

To pytanie zadał jej nie zakochany młody chłopak, lecz dojrzały mężczyzna, którego miłości i troskliwości mogła być pewna.

- Nic - odparła. - Tylko tak bardzo cię kocham...

W chwili gdy wymawiała te słowa, była przekonana o ich prawdziwości, podobnie jak o swej pomyłce, kiedy to sądziła, że pod pozorem pogodzenia się z losem Ben kryje niechęć do dziecka i do niej. Zoe skądinąd wiedziała, że niechęć do dziecka może się przerodzić w zazdrość o nie

i wtedy mężczyzna nieustannie wymusza od swej żony wyznanie, że jest w jej życiu najważniejszy.

Teraz Zoe przyznawała ze smutkiem, że nie mogła się bardziej pomylić. I jeśli któreś z nich czuło się w ogóle o cokolwiek zazdrosne, to tym kimś była raczej ona, mimo że właściwie nie miała nic przeciwko temu, że Ben założył z Katie towarzystwo wzajemnej adoracji.

Odkryła również, że mimo iż bardzo kochała małą, ogromnie ceniła sobie owe chwile samotności, kiedy Ben brał ją na spacer. Z radością przebywała też kilka godzin dziennie w restauracji, ponieważ dawało jej to poczucie ważności i przynależności do interesu, a poza tym, o dziwo, nie dręczyło ją przy tym poczucie winy, że pozbawia córkę swojej obecności.

Już się nie bała, że będzie musiała kochać swe dziecko podwójną miłością: matki i ojca. Ben uwielbiał małą nade wszystko.

- Czy jesteś dobrze przygotowana do egzaminów? - pytała teraz matkę.

- Oczywiście! A twój ojciec jest kłębkim nerwów - odparła Heather Clinton ze śmiechem.

- A jak znosisz to, że ojciec pracuje na pół etatu? - pytała dalej Zoe.

- Powoli się do tego przyzwyczajam. Początkowo strasznie się tego bałam - przyznała. - Wyobraź sobie, że tyle lat cierpisz w milczeniu, bo twój mąż jest tak zapracowany, że prawie nie widzisz go w domu, aż tu nagle spełniają się twoje marzenia i masz go dla siebie przez większość dnia! Wiesz, jak trudno się nagle z tym pogodzić? Bywało, że jego obecność działała mi na nerwy, ale już jest lepiej.

- Jest bardzo z ciebie dumny, wiesz o tym? - pochwali-

ła ją Zoe. - Kiedy wpadł do nas w zeszłym tygodniu, naprawdę zachwycał się bardziej twoimi postęпами w nauce niż wnuczką.

- Wiem - roześmiała się matka. - Rozповіда teraz wszystkim dokoła, że niedługo przejdzie na całkowitą emeryturę, a mnie wyśle do pracy. Cieszę się, że nadal pracujesz, Zoe. Przez wiele lat nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo męczyło mnie to, że jestem od ojca zależna; nie tylko finansowo, lecz również emocjonalnie, i tak dalej. On wcale nie uważał, żebym była mu ciężarem, o nie, ale pamiętaj, że w dobrym związku każda strona powinna szanować tę drugą. Twojemu ojcu początkowo się nie podobał mój pomysł, ale teraz... Czy wiesz, że co wieczór do późna rozmawiamy?

Roześmiały się obie, po czym matka w zamyśleniu dodała:

- To dziwne, ale w wieloletnim związku przychodzi w końcu taki moment, kiedy odkrywasz, że rozmowa jest bardziej podniecająca i stymulująca niż seks...

- Czyżby? - spytała Zoe z porozumiewawczym uśmiechem. - Trochę inne wrażenie odniosłam w niedzielę, kiedy zadzwoniłam i przyłapałam was w łóżku. Nie mów mi, że czytaliście gazety.

Matka roześmiała się i lekko zaczerwieniła.

- A, to Ben - oznajmiła Zoe, słysząc odgłos otwieranych drzwi.

Z holu dobiegało wesołe gaworzenie dziecka.

- Wróciliśmy!-zawołał Ben.

Wszedł do salonu z Katie na rękach, a Zoe zastanowiła się, czy kiedykolwiek przestanie odczuwać na ich widok niezwykłą radość i oszołomienie, czy przestanie myśleć, że



została wyróżniona przez los i otrzymała najcenniejsze dary. Kiedy matka wyjęła Katie z rąk Bena, ten uśmiechnął się do Zoe.

- Tęskniłaś za mną? - spytał.

- Co? Przecież nie było cię tylko pół godziny! - zakpiła Zoe, lecz jej oczy mówiły coś innego, gdy nadstawiała policzek do pocałunku.

- Dzwoniła twoja matka - oznajmiła. - Sharon zdała egzaminy, i to z dobrymi wynikami. Może przyjadą na kilka dni do Londynu, żeby to uczcić...

- No, niechby spróbowała nie zdać! Dobry Boże, ile mnie kosztowały te korepetycje - jęknął Ben.

Zoe jednak zbyt dobrze go znała, żeby się oburzyć. Nie była już tą małą dziewczynką, która przechodzi przez życie, myśląc wyłącznie o własnych potrzebach. Wiedziała, że Ben jest bardzo zadowolony z sukcesów siostry i że był naprawdę mile zaskoczony jakiś czas temu, kiedy Zoe nieśmiało zaproponowała, że wraz z nim pomoże Sharon odzyskać szacunek dla siebie i rozbudzić w niej jakieś zainteresowania.

Zoe znakomicie wiedziała, że nikt nie uśmierzy bólu po utracie dziecka, ale może któregoś dnia Sharon spotka kogoś tak dobrego jak Ben i w przeciwieństwie do niej, Zoe, doceni go w porę.

Zoe odwróciła się do matki, która pochłonięta była wnuczką, i poczuła ściskające za gardło wzruszenie, gdy przypomniała sobie, jak mało brakowało, by zrezygnowała z cudownego prezentu, jakim przeznaczenie obdarzyło ją i Bena.

Z Katie, której poczęcia przez wiele tygodni nie akceptowała, a potem zadrezczała się, że nosi dziecko, które nie zazna miłości ojca.

Katie...

Zoe spojrzała na Bena i stwierdziła, że on nie może się wprost doczekać, by znowu wziąć małą na ręce.

- Aż boję się myśleć, co będzie, kiedy ona skończy siedemnaście lat - rzuciła ironicznie.

Ben odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

- Ja próbuję w ogóle o tym nie myśleć - przyznał zażenowany.

- Ej, chyba nie będzie tak źle, kiedy będziesz się musiał martwić trójką albo czwórką dzieci, zamiast jednym - dodała Zoe z poważną miną.

- Trójką albo czwórką? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak, chyba masz rację - potwierdziła Zoe, udając, że nie rozumie. - Czwórka byłaby lepsza. Dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Oczywiście, mogłyby być same dziewczynki, ale naprawdę nie sądzę, żebym wytrzymała aż taką konkurencję.

- Czworo dzieci - powtarzał Ben zasepiony.

- No, a może sześcioro - rozmarzyła się Zoe, pogładziła go po ramieniu, przekrzywiła na bok głowę, przez chwilę spoglądała na niego badawczo, po czym zdecydowanie oświadczyła: - Tak, wyglądasz na ojca sześciorga dzieci.

- Tak myślisz? Naprawdę? No to zaraz się przekonamy, czy masz rację.

- Ciekawa jestem, o czym twoja mama i twój tata tak szepczą - mruknęła Heather do wnuczki.

Katie wiedziała jedynie tyle, że o czymkolwiek rozmawiają rodzice, bardzo jej się to podoba. Była szczęśliwa, bo świat, który ją otaczał, był ciepły, bezpieczny i radosny.

Gdy Jennifer Bowers wstąpiła na mównicę i czekała, aż ucichną oklaski, Nick ukradkiem sprawdził swój wygląd w na poły otwartych szklanych drzwiach prowadzących do holu.

Miał na sobie nowy garnitur od Arnaniego, zamiast tego okropnego, konserwatywnego ubrania z metką Savile Row; a poza tym był wystarczająco młody i przystojny, by lansować wizerunek wyrafinowanego, nowoczesnego mężczyzny bez zrażania do siebie wyborców. Tak przynajmniej zapewniali go przedstawiciele firmy reklamowej, którą wynajęła dla niego Venice.

- Wyglądasz znakomicie - zamruczała z zadowoleniem, gdy ją wezwano, by zaakceptowała jego strój. - Idealnie.

Irytowało go, że tamci uważali za konieczne uzyskanie aprobaty Venice, był jednak ostrożny, gdy zwracał się do żony.

Ciąża Venice nie przebiegała bez problemów, choć Nick nie zdołał się dowiedzieć, na czym te problemy polegały. Nie była jednak na tyle chora, by zrezygnować z kontrolowania wszystkiego, co robił, począwszy od skompletowania jego garderoby, a skończywszy na transakcji zakupu eleganckiego domu w Londynie, który po wyborach miał stanowić ich bazę.

Oświadczyła Nickowi, że nie wolno jej denerwować; nie będzie żadnych kłótni ani żadnych nie usprawiedliwionych nieobecności w domu. Mówiła to wszystko z uśmiechem, takim samym czarującym uśmiechem, z jakim oznajmiła mu, że Lucy Ferrars, ta śliczna brunetka z firmy reklamowej, która wyleczyła jego zmaltretowaną duszę swą ciepłą adoracją, została wyrzucona z pracy.

- Peter powiedział, że ona się nie nadaje, Nick, a ja muszę przyznać, że się z nim zgadzam. Od tej pory Peter sam będzie cię lansował.

Nick czasami zachodził w głowę, jakim cudem Venice, która w ciągu ostatnich tygodni ciąży nie ruszała się z domu, tłumacząc to złym samopoczuciem i fatalnym wyglądem, zawsze wiedziała, i to z dokładnością do sekundy, co przez cały dzień robił.

Jego firma została sprzedana. Venice oświadczyła, że nie będzie miał na nią czasu, a poza tym na pewno nie jest czymś, co przysporzy mu prestiżu. Powiedziała to z jednym z tych swoich niebezpiecznych, wyrachowanych uśmiezków, których nie cierpiał.

- Nie masz chyba żadnych wielkich kwalifikacji, nie masz porządnego zawodu, jak na przykład Adam, prawda? - stwierdziła na koniec zjadliwie.

Oczywiście, wyznaczyła mu sowitą pensję, lecz kiedy omawiano sprawę jej wysokości, dostrzegł spojrzenie Petera Villersa: malowały się w nim rozbawienie i pogarda, co wprowadziło Nicka we wściekłość. Kiedy próbował wyjaśnić swoje uczucia Venice, wzruszyła tylko ramionami.

- A czy to ważne, co on myśli? - spytała beztrąsko, lekceważąc uwagę Nicka, że podczas takiej rozmowy powinien być obecny on sam, Venice i jej księgowy, obecność zaś Petera była niczym nie usprawiedliwiona.

Potem pojawiły się jakieś trudności ze strony partii, dotyczące akceptacji kandydatury Nicka na posła. Podejrzewał, że zwłokę spowodowała Jeniffer Bowers, w końcu jednak Venice osiągnęła swój cel.

- Jakie znaczenie ma drobna zwłoka? - spytała go, gdy się wściekał. - Lepiej niech najpierw urodzi się dziecko.

Nick miał ochotę odparować, że to przecież on ma zostać wybrany, a nie ona, w ostatniej chwili jednak ugryzł się w język.

Nie bał się jej, oczywiście. Czy mężczyzna może się bać kobiety? Swojej żony, która siedzi obok niego, ubrana, podobnie jak on, w eleganckie stroje jednego z największych projektantów włoskich, znakomicie uczesana i dyskretnie umalowana?

- Powinien pan brać przykład z Venice - powiedział mu kiedyś Peter, po czym ciepłym, pełnym aprobaty głosem dodał: - Ona zawsze wie, co zrobić, jak siebie zaprezentować. Ma pan naprawdę wielkie szczęście.

Szczęście? On? Nick miał poważne wątpliwości. Czasami odnosił wrażenie, że Venice traktuje go jak przedmiot, coś podobnego do owych mechanicznych zabawek, które kupowała Guyowi.

Guy... Nawet nie pozwolono mu wybrać imienia dla syna. Co prawda ani on, ani Venice nie zajmowali się dzieckiem, najwyżej pozowali do „naturalnych” fotografii.

- A to, że masz dziecko i że Venice stanowi przykład kobiety łączącej macierzyństwo z karierą, to jeszcze jedna zaleta - zachwycał się Peter.

Nie umknęło uwagi Nicka, że Peter zarumienił się lekko mimo opalenizny, kiedy Venice spojrzała na niego i po chwili nieznacznie się uśmiechnęła.

Tymczasem stojąca właśnie na mównicy Jennifer Bowers oznajmiła:

- Chciałabym teraz w imieniu nas wszystkich powitać naszego nowego posła, Nicholasa Wheelwrighta.

Oklaski były uprzejme i umiarkowane.

Nick wstał, po raz ostatni sprawdził swój wygląd

w szklanych drzwiach sali, po czym wszedł na mównicę, by wygłosić podziękowanie.

- To ty powinieneś być na jego miejscu - z żalem powiedziała Jennifer Bowers Adamowi. Nick wraz z Venice krążyli teraz po sali, z uśmiechem przyjmując gratulacje zebranych.

Adam zwrócił głowę w stronę Jennifer, obejmując Fern w talii. Fern przytuliła się do niego mocniej, czując energiczne kopnięcie jednego z dzieci.

Roześmiała się w głos, kiedy jakiś czas temu doktor Riley oznajmił jej, że będzie miała bliźnięta. Ostatnio życie Fern pełne było śmiechu i miłości.

Przytulona do Adama, spojrzała na Jennifer Bowers.

- Byłbyś znacznie lepszym pośłem niż Nick, i wiesz o *tym*.

- Wcale o tym nie marzę - odparł Adam. - Zbyt wiele rzeczy trzeba poświęcić. Mam wszystko, czego chcę - dodał i z uśmiechem spojrzał na żonę.

- Tak, widzę. - Oczywiście Jennifer załśniły. - Venice nie była zadowolona, kiedy partia nie dała jej wolnej ręki w zorganizowaniu tej fety - ciągnęła. - Najwyraźniej miała zamiar skłonić lorda Stanton'a do wynajęcia jej sali balowej. Wiecie, że chciała wynająć najlepszych dostawców z Londynu? I, oczywiście, zaprosić dziennikarzy.

- Czy to prawda, że Nick wygrał tylko niewielką liczbą głosów? - zapytała spokojnie Fern.

- Obawiam się, że tak. Partia uważa ten mandat za bezpieczny, inaczej nigdy nie ustępowałabym w połowie kadencji. Oczywiście w wyborach dodatkowych głosuje zawsze trochę mniej ludzi, ale zważywszy na kampanię wyborczą, jaką Venice i Nick zorganizowali... Ale z jego

dzisiejszego przemówienia wynikało, że osiągnął miażdżące zwycięstwo. - Jennifer lekko skrzywiła usta. - Przepraszam, ale nie potrafię ukrywać swoich uczuć. Naprawdę wolałabym ciebie, choć rozumiem, dlaczego nie chciałeś startować do tych wyborów.

Trochę później, kiedy zostali sami, Fern zauważyła, że Adam wpatruje się w Nicka.

- Naprawdę nie żałujesz? - spytała.

Odwrócił się do niej i dotknął ręką jej policzka.

- Czy musisz mi zadawać takie pytania? Powiedziałem Jennifer prawdę. Mam wszystko, czego chcę. Wszystko, i jeszcze więcej. Nawet nie marzyłem o takim szczęściu. A co do tego - zatoczył łuk ręką, wskazując na zebranych ludzi - nigdy nie miałem politycznych ambicji i nie mam zamiaru za to przepraszać.

- Nie chcesz korzyści dla siebie - przerwała mu Fern - tylko ciągle robisz coś dla innych. Na przykład ten pomysł z domem Broughtonów...

Urwała widząc, jak Jennifer Bowers znowu kieruje się w stronę mównicy. Poczowała lekkie napięcie, albowiem domyślała się, co teraz nastąpi i jak ważne to będzie dla Adama.

Kiedy wzięli ślub, początkowo martwiła się, że jej poprzedni związek z Nickiem oraz fakt, że Adam i Nick są przybranymi braćmi, może innych do nich zrazić, Adam jednak oświadczył, że nie obchodzi go, co ludzie myślą i że jeśli ktokolwiek, w najmniejszym nawet sposób, sprawi Fern przykrość, będzie musiał natychmiast wyjechać z miasta i zacząć życie od nowa.

Fern jednak szybko stwierdziła, że jej nowe małżeństwo zostało znacznie lepiej przyjęte, niż przypuszczała, a Nick

wcale nie jest tak popularny, jak utrzymywał. Pewnego dnia ze zdumieniem odkryła, że jest bardziej lubiana niż jej były mąż.

Oczywiście, początkowo krążyły na ich temat różne plotki, wkrótce jednak wszystko się uspokoiło.

Adam nalegał na jak najszybszy ślub i kiedy Fern nieśmiało zaproponowała, że może lepiej byłoby poczekać do wyborów na radnych, objął ją i powiedział stanowczo, że jeśli o niego chodzi, to rada i wszyscy inni mogą iść do diabła.

Mimo wszystko odetchnęła z ulgą, kiedy Adam został ponownie wybrany. A gdy miesiąc później okazało się, że jest w ciąży, jej szczęście nie miało granic.

Wraz z Adamem szukali teraz nowego domu, w którym pomieściliby się razem z bliźniętami. Niedawno oglądali na przedmieściach duży dom w stylu wiktoriańskim, stojący w wielkim ogrodzie, lecz wystarczająco blisko sąsiadów, by nie czuć się w nim osamotnionym.

Obecna właścicielka, wdowa, sprzedawała ten dom, ponieważ chciała się przeprowadzić bliżej swojej zameężnej córki. Fern spędziła cudowny tydzień z Adamem, rysując projekt pokoju dzieciennego.

- Co... Co się stało? - spytał ją wczoraj wieczorem, kiedy znalazł ją zwiniętą na kanapie i zapłakaną.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - wyznała. - Czasami wydaje mi się, że nie zasługuję na tyle szczęścia.

- Głupstwa gadasz - zaprzeczył, odgarniając jej włosy z twarzy i całując w mokry od łez policzek. - Zasługujesz na szczęście bardziej niż inni. Ja sam nigdy nie myślałem, że będę taki szczęśliwy. To dzięki tobie, Fern.

Jennifer właśnie weszła na podium. Ucichł szmer roz-



mów, obecni zwrócili w jej kierunku głowy. Wzięła młotek i uderzyła w pulpit.

- Panie i panowie! Oficjalnie nie mam już prawa domagać się waszej uwagi, niemniej, zanim ostatecznie pożegnam się z moją publiczną funkcją, chciałabym wykonać jeszcze jedno zadanie. Nie powiem, że obowiązek, bo takiego obowiązku nie mam. Wiem, że zebraliśmy się dzisiaj po to, by powitać naszego nowego posła do parlamentu, ale Nick z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, by wykorzystać tę okazję, aby podziękować i pogratulować komuś innemu.

Nie ma na sali osoby, która by nie wiedziała, ile nasza społeczność zawdzięcza Adamowi Wheelwrightowi. Wiem, że on sam jest ostatnią osobą, która by chciała zbierać pochwały i podziękowania za to, co on nazywa swą powinnością obywatelską, a co w istocie jest znakomitym pomysłem, będącym zasługą nie tylko samego Adama, lecz również całej społeczności. Oczywiście, mam na myśli dom Broughtonów.

Jak wszystkim zapewne wiadomo, propozycja Adama Wheelwrighta spotkała się początkowo z wielkim sprzeciwem. Obawiano się, co jest całkiem zrozumiałe, że przekształcenie domu Broughtonów w ośrodek szkoleniowy dla młodocianych przestępców narazi na szwank spokój i mienie mieszkańców.

Pytano, dlaczego małe, spokojne miasteczko zamieszkałe przez klasę średnią, ma brać na siebie odpowiedzialność za wszelkie potencjalne problemy, które się pojawiają wraz z przyjęciem do jego społeczności młodych ludzi, którzy już udowodnili, że nie mają wiele szacunku dla prawa?

Czy jakakolwiek zdrowa społeczność zgodziłaby się na zaistnienie w jej łonie czegoś, co w gruncie rzeczy jest otwartym więzieniem?

To wyłączna zasługa Adama, że zmieniliśmy naszą mentalność. On zdołał nas przekonać, że naszym obowiązkiem jest pomóc tym młodym ludziom; że na przekształceniu domu Broughtonów w miejsce, gdzie będą oni mogli odsiedzieć wyrok, a jednocześnie rozwinąć nie tylko umiejętności potrzebne im później w pracy, lecz także pewne cechy społeczne i emocjonalne, które pomogą im w pełni zintegrować się ze społeczeństwem, skorzystają nie tylko oni, lecz i my również.

Adam uświadomił nam, że możemy im pomóc, pomagając w ten sposób sobie; nie poprzez odrzucenie, lecz poprzez danie dobrego przykładu. Wiem, że część z nas ciągle żywi pewne wątpliwości i że kiedy dom Broughtonów przyjmie pierwszą grupę młodocianych przestępców, ta część będzie pilnie śledzić przebieg wypadków, w skrytości ducha licząc na to, że Adam się myli. Na szczęście jednak ich liczba maleje z każdym dniem, ja zaś podejrzewam, że Adam w głębi ducha ma nadzieję nawrócić nie tylko tych chłopców, którzy zbłądzili, lecz także owych niewiernych Tomaszów.

Jak na krzyżowca i innowatora, Adam jest człowiekiem niezwyklej skromności, lecz każdy, kto w ciągu ostatnich miesięcy widział go w akcji, nie ma wątpliwości, że jest on człowiekiem o niezłomnej woli, gotów przenosić góry, jeśli uzna to za konieczne, by osiągnąć swe cele.

Nie będę prosić Adama, żeby wystąpił przed nami, nie dziś i nie tutaj, aczkolwiek jestem pewna, że będzie miał nam mnóstwo do powiedzenia w przyszłym miesiącu, pod-

czas oficjalnego otwarcia domu Broughtonów. Niemniej, w imieniu nas wszystkich, chciałabym mu podziękować za to, że otworzył nam oczy na potrzeby innych i uświadomił nam, że tkwiący w nas strach przed drugim człowiekiem i potencjalnym zagrożeniem z jego strony jest znacznie bardziej wyniszczającym i niebezpiecznym uczuciem niż nienawiść.

- Adam...

Fern z uśmiechem puściła ramię Adama i patrzyła, jak zmierza w kierunku mównicy. Gdzie są teraz ci wszyscy umniejszający jego zasługi, ci, którzy posądzali go o utratę zmysłów i wyśmiewali jego plan, twierdząc, że chce zniszczyć całą społeczność tylko po to, by przeforsować swoje niedowarzone pomysły?

No cóż, jeden z nich jest tutaj.

Uśmiech zamarł jej na ustach, gdy spojrzała przez szerokość sali na Nicka.

Mimo ubrania od Armaniego, mimo pieniędzy wydanych przez Venice na jego promocję i reklamę, mimo że teraz miał naprawdę wszystko, czego chciał, na jego twarzy malował się wyraz niezadowolenia i goryczy. Biedny Nick, pomyślała Fern i niemal zrobiło jej się go żal.

- Jakim prawem! - wybuchnął Nick, kiedy Adam stanął na mównicy. - Nie puszcze mu tego płazem, jemu ani tej dziwce Bowers! Ja jestem posłem, a nie on! On jest nikim, nikim! Co on sobie myśli, ten nędzny prowincjonalny radny! Zaraz mu...

- Siedź cicho - powiedziała chłodno Venice, ujmując Nicka za ramię. - Nie rób z siebie większego głupca, niż trzeba. Peter i ja napracowaliśmy się sporo, żeby cię wy-

kreować, więc nie psuj wszystkiego głupią awanturą. Daj mu przeżyć chwilę triumfu. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Kiedy tylko otworzy ten dom i jego młodociągni zaczną się dawać we znaki...

- Mówiłaś, że nie wybiorą go powtórnie do rady - przerwał jej z pretensją w głosie. - Mówiłaś, że nie dostanie zgody na przekształcenie tego domu w ośrodek rehabilitacji. Mówiłaś...

- Kiedy mówiłam, że się nie dostanie do rady, myśleliśmy, że chce przekształcić ten dom w supermarket, teraz jednak, kiedy przywdział płaszcz świętego dobroczyńcy, nie możemy nic zrobić. Przynajmniej nie w tej chwili.

Na litość boską, Nick, przestań się nim przejmować. Kim on w końcu jest? Sam powiedziałaś, że tylko prowincjonalnym radnym. Masz na głowie znacznie poważniejsze sprawy. Musisz na przykład przekonać partię, że masz predyspozycje na nieprzeciętnego posła.

Rozmawiałam o tym z Peterem i w przyszłym miesiącu wydamy kolację. Peter ściągnie kilka nazwisk i kilka tytułów. Wytrzasnął nawet z lamusa jakiegoś starego eks-posła. Ten staruszek to właściwie warzywo, ale zaproszenie go sprawi dobre wrażenie.

A to mi przypomina, że w przyszłym tygodniu muszę pojechać do Londynu, żeby sprawdzić, jak idzie remont domu. Nie musisz ze mną jechać. Zresztą, nawet nie mógłbyś, bo masz spotkania, prawda? Peter mnie zawiezie i przywiezie...

Venice uśmiechnęła się do siebie zmysłowo, gdy usłyszała zirytowane protesty Nicka. Pomyślała, że ma szczęście: po urodzeniu dziecka jej figura szybko odzyskała dawny kształt. Peter coś mówił o gładkości jej skóry, jędr-

ności ciała. Venice uśmiechnęła się szerzej. Peter jest kochankiem uwielbiającym kobietę, zabawnym na jakiś czas, ale nie na długo. Zakończenie tego romansu da jej pretekst do zmiany agencji reklamowej. Potrzebny jej jest teraz ktoś wyżej postawiony, ktoś o większym przebicciu politycznym.

Spojrzała na Nicka i z pogardą wykrzywiła usta. Nie przypuszczała, że będzie aż tak posłuszny. Jej wzrok powędrował w kierunku mównicy, z której Adam właśnie schodził, natychmiast przyciągając blisko do siebie Fern.

Jakie to śmieszne, że taki mężczyzna jak on jest tak otwarcie i do szaleństwa zakochany, i to na dodatek w tej głupiej, nudnej Fern.

Ona na niego zupełnie nie zasługuje, pomyślała Venice. Szkoda, że w jej planach nie znalazło się trochę czasu na to, by go o tym przekonać. Venice powtórnie spojrzała na Nicka. Był spięty i rozdrażniony, twarz lekko zaczerwieniła mu się ze złości.

Dziś wieczorem będzie musiała go wpuścić do łóżka; widziała, jakim wzrokiem spoglądał rano na sekretarkę Petera. Uśmiechnęła się do siebie cynicznie. Nie ma problemów z utrzymaniem go przy sobie. Dla Nicka seks jest niczym zabawka dla dziecka.

- Możemy już iść?

Fern spojrzała na Adama.

- Chyba powinniśmy jeszcze chwilę zostać - zaprotestowała. - Nikt jeszcze nie wyszedł.

- Ktoś musi być pierwszy. A oprócz tego mam dosyć tego, że mogę na ciebie tylko patrzeć. Chciałbym cię dotykać, okazać ci, jak bardzo cię kocham.

- Okazujesz mi to przez cały czas - powiedziała z łagodnym uśmiechem, przekonana, że to prawda.

- Jesteś pewna, że dobrze wyglądam?

Marcus z niepewną miną poprawiał krawat, jakby chcąc go rozluźnić.

- Wyglądasz znakomicie - upewniła go Eleanor.

- Czy uważasz, że tak właśnie powinno być? To znaczy, ona chyba spodziewa się, że przyjedziemy wszyscy?

- Tak właśnie powinno być, Marcus. Vanessa będzie zachwycona.

- Nie jestem nawet pewien, czy ją poznam - jęknął.

- Po tych sześciu tygodniach w Nowym Jorku z Jade.

Eleanor roześmiała się.

- Idź już, bo się spóźnisz na samolot.

Pocałowała go w policzek, a potem w usta, i mocno objęła.

- Wszystko będzie dobrze, Marcus.

- Tak mówisz, ale...

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyła.

- Dlaczego nie mogliśmy pojechać z Marcusem? - spytał z pretensją Gavin, gdy Marcus wyszedł z domu. - Chciałem zobaczyć, jak ląduje samolot, i...

- Przecież wiesz, dlaczego nie mogliśmy jechać - odpowiedział Tom bratu, zanim Eleanor zdążyła otworzyć usta. - To ma być niespodzianka dla Vanessy.

- No tak, ale chciałem jej opowiedzieć o stawie i o rybach, i...

- Ona już wszystko o tym wie, ty głupolu - zgasił go Tom. - Widziała dom przed wyjazdem do Nowego Jorku.

- Tak, ale ryb nie widziała, no nie?

- Nie widziała, ale wie o nich, bo jej o tym pisałeś!

- Przestańcie - przerwała Eleanor stanowczo. - Już niedługo obaj zobaczycie Vanesę, a ty, Gavin, nie pokażesz jej dziś złotej rybki. Pamiętajcie, że jest to równie dom Vanessy, jak i wasz, i być może sama chciałaby odkryć w nim parę rzeczy.

Aż trudno uwierzyć, jak bardzo wszystko może się zmienić w ciągu kilku miesięcy, pomyślała Eleanor, gdy synowie niechętnie zabrali się do odrabiania lekcji. Jakimś szóstym zmysłem wyczuwała, że to zapewne wiadomość od Julii, że chce zostać w Ameryce na stałe, spowodowała zmianę nastawienia Vanessy do ojca i jego nowej rodziny.

To Marcus powiedział wtedy córce, że jej miejsce jest z nimi; to Marcus ją przytulił, gdy ze złością krzyczała, że nie potrzebuje ich łaski, bo wie, że tak naprawdę wcale jej nie chcą; to Marcus zapewniał ją łagodnie, że się myli. Lecz całkiem nieoczekiwanie największy sukces odniósł Tom, ten śmieszny, przewrażliwiony Tom, który za swoje kieszonkowe i z własnej woli kupił płytę z korka i listewki, a potem, w tajemnicy przed Eleanor, powiesił skleconą przez siebie tablicę na ścianie ich wspólnej sypialni.

- Tom, zapomniałeś o czymś - oznajmiła drętwym głosem Vanessa, kiedy przyjechała w odwiedziny. Po otrzymaniu wiadomości od matki była przygaszona i milcząca.

- Nie, to dla ciebie - odparł Tom ze stoickim spokojem. - Ja i Gavin mamy swoją tablicę. Tę, co jest w sypialni, zrobiliśmy z dziadkiem dla ciebie. Wiesz, to jest na zdjęcia i takie tam... Ja i Gavin przypięliśmy na naszej zdjęcie taty i Karen i...

- Tak, i teraz dostaniemy zdjęcie małej Hannah, tylko

że ona nie jest już taka mała, bo w przyszłym tygodniu ma urodziny, i będzie miała przyjęcie urodzinowe, ale dopiero po pierwszym semestrze, żebyśmy mogli na nim być.

Eleanor zauważyła, że Vanessa spojrzała na chłopców z pełną goryczy pogardą, tablicy jednak nie zdjęła.

Potem poinformowała Marcusa, że nie chce zmieniać szkoły i nadal większość czasu będzie spędzała w internacie, a poza tym jest przekonana, że jej nieobecność przywitają z ulgą. Mimo wszystko poprosiła o aparat fotograficzny na urodziny i zdjęcia, które zrobiła chłopcom, rzekomo dla wypróbowania jakości aparatu i filmu, zniknęły z tablicy, gdy wyjechała do szkoły, lecz pojawiły się na niej, gdy wróciła na Boże Narodzenie.

Co nie znaczy, że nastąpiła sielanka. Vanessa nadal okazywała wrogość Eleanor, lecz ta, wiedząc, że dziewczynka nie zagraża jej związkowi z Marcusem, dawała sobie z nią radę lepiej niż dawniej. Posunęła się nawet do tego, że karała Vanessę za wyjątkowo złe zachowanie, lecz w sposób, w jaki karałaby własną córkę.

- Traktuj ją tak, jak gdyby była twoim dzieckiem - poradziła Jade przyjaciółce. - Nie pokocha cię za to, ale będzie szanować.

Jade i tym razem miała chyba rację.

O dziwo jednak, tym, co zmieniło wszystko diametralnie, była korespondencja, jaką Jade udało nawiązać się z Vanessą.

Kiedy Jade wspomniała kiedyś od niechcenia, że Vanessa obiecała do niej napisać, Eleanor była zaskoczona; była zdumiona, gdy Vanessa i Jade zaczęły regularnie do siebie pisywać i gdy ta wymiana listów skończyła się wyjazdem Vanessy na letnie wakacje do Nowego Jorku.



Zanim jednak wyjechała, co nastąpiło prawie po roku od czasu podjęcia decyzji o przeprowadzce, Eleanor i Marcus znaleźli dom. Tym razem nie był to dom na wsi, chyba żeby za wieś uważać Wimbledon. Nie był tak duży jak dom Broughtonów i nie otaczał go tak wspaniały ogród, miał jednak w sobie zdumiewający urok, który oczarował zarówno Eleanor, jak i, o dziwo, Vanesę.

Oczywiście, kiedy wszyscy pojechali go obejrzeć, Vanessa wzruszała ramionami i udawała obojętność, później jednak oświadczyła, że to dobry pomysł, bo już najwyższa pora, żeby Tom miał swój pokój, ponieważ ma na pewno powyżej uszu sprzętu sportowego Gavina, zaśmiecającego ich wspólną sypialnię.

Przed wyjazdem do Nowego Jorku Eleanor poprosiła Vanesę, by wybrała do swojego pokoju meble i zasłony.

- Po co? - spytała Vanessa. - Nie spędzam w nim dużo czasu. Na ogół jestem w szkole i...

Były wtedy w domu same. Eleanor zaczerpnęła powietrza w płuca i nakazała sobie spokój.

- Szkołę można zawsze zmienić - powiedziała jakby od niechcenia. - Twój ojciec, właściwie już się trochę rozglądał. Jest tu niedaleko znakomita szkoła. Oczywiście wiem, że masz teraz bardzo ważne egzaminy...

- Tata chce, żebym z nim tutaj mieszkała? - Twarz Vanessy była lekko zaczerwieniona z napięcia, jej oczy błyszczały.

- Ależ oczywiście - zapewniła ją Eleanor łagodnie. - Jesteś jego córką, a szczerze powiedziawszy czasami myślę, że on czuje się trochę samotny tylko z chłopcami i ze mną.

Nie była to, oczywiście, prawda jej synowie, pewni

teraz miłości ojca, macochy, dziadków, a także własnej matki, byli w znakomitej komitywie z Marcusem.

- Wydaje mi się, że on czasem potrzebuje sojusznika  
- dodała Eleanor przebiegle i obserwowała Vanesę, kiedy ta zastanawiała się nad odpowiedzią.

Vanessa tymczasem milczała, później jednak pojechała z Eleanor do sklepu i posłusznie wybrała meble oraz wyposażenie łazienki. Przed samym wyjazdem do Nowego Jorku rzuciła od niechcienia, że Marcus marnuje tyle pieniędzy, płacąc za jej szkołę z internatem, podczas gdy mogłaby mieszkać z nimi.

Dzisiaj wracała do domu, Marcus zaś sam pojechał jej na spotkanie.

Eleanor niespokojnie zagryzła wargi. Chciała, żeby wszystko poszło dobrze, nie tylko z powodu Marcusa i niej samej, lecz z powodu wszystkich. Niechęć okazywana Eleanor przez Vanesę świadczyła tylko o tym, że pasierbica jest bardzo nieszczęśliwa. Być może Eleanor była nadto sentymentalna i próbowała idealizować rzeczywistość, niemniej pragnęła, by żadne dziecko nie wzrastało z takim ciężarem, zwłaszcza dziecko, bądź co bądź, jej bliskie.

Przeszła do holu i spojrzała na zegar. Samolot Vanessy powinien już wylądować.

Marcus z trudem ją poznał: Vanessa urosła, zmieniła fryzurę, jej figura nieco się zaokrągliła. Z przestraczem stwierdził, że wygląda bardziej na młodą kobietę niż na dziewczynkę. Kiedy go dostrzegła, zawahała się, a po jej twarzy przemknął wyraz niepewności, tęsknoty, niepokoju  
- i nagle znów stała się dzieckiem, jego dzieckiem.

- Vanessa! - zawołał i prędko ruszył w jej stronę, objął

ją i mocno do siebie przytulił. Ze zdumieniem przemknęło mu przez myśl, że to dziwne uczucie trzymać w ramionach takie smukłe, kruche ciało.

- Tata! - Jej głos trochę drżał ze wzruszenia, gdy wtulała twarz w ramię ojca. - Ale scena... Jade by chyba umarła. A gdzie reszta? - spytała, podnosząc głowę i zaglądając ojcu w twarz.

- Czekają w domu. Chciałem przyjechać po ciebie sam.

Uświadomił sobie, że to prawda, mimo że nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki Eleanor mu tego nie podpowiedziała.

- Gavin jest na pewno zachwycony - odparła Vanessa.

- Myślałam, że przyniesie z sobą swoją ukochaną rybkę.

Marcus roześmiał się.

- Aa, o wszystkim ci napisali, prawda? Aha, podoba mi się twoja fryzura. Ładnie wyglądasz.

Vanessa zarumieniła się z radości i pomyślała, że dawny ojciec, który nie potrafił przyznać nawet przed sobą, jak bardzo kocha córkę, nigdy nie powiedziałyby na głos aż tak wiele.

- Naprawdę? - spytała przekornie, a kiedy skinął głową, zachichotała i wyjaśniła: - To pomysł Jade. Powiedziała, że Nell dostanie szału, bo na pewno wołałaby, że-  
bym nosiła warkoczyki jak przykładna uczennica.

Gdy przeciskali się do wyjścia, Vanessa przytuliła się w naturalny sposób do jego ramienia. Zauważył też, że imię Nell wymówiła bez nieodłącznej dotąd złośliwości, i w myślach podziękował Jade.

- Czy Jade zostaje w Nowym Jorku? Mówiła ci coś na ten temat?

- Mówiła, że Sam chce się z nią ożenić, ale ona nie wie,

co robić. Ale myślę, że w końcu za niego wyjdzie - oznajmiła Vanessa z dojrzałością, którą ojciec dostrzegł w niej po raz pierwszy. - Ona naprawdę go kocha. A jak ten nowy dom? Już się urządziliście? Czy Nell zmusza cię do ciężkiej pracy w ogrodzie?

- Dobrze, tak, i nie - odparł żartobliwie i dodał z szerokim uśmiechem: - Myślę, że kopanie grządek Nell została dla ciebie. Uważa, że jesteś rozpuszczona jak dziadowski bicz. Powinienem cię przy okazji ostrzec, że Tom kupił sobie wykrywacz metali i zdaje się, że opętał go dziwny pomysł, że będziesz tak samo zachwycona tym wszystkim jak on, więc przygotuj się...

- Och, to przecież stary dom! Nell mówiła, że wiktoriański, więc może coś w nim być - powiedziała Vanessa z entuzjazmem dziecka.

- Tak, zapewne mnóstwo zardzewiałych gwoździ i śmieci - zgodził się Marcus.

- Chyba masz rację, ale nie należy zrażać Toma - oświadczyła poważnie. - Pewnie wydał na to całe kieszonkowe.

Marcus spojrzał na córkę i poczuł, że bardzo ją kocha. Jak strasznie szybko dojrzała! W ciągu jednej przerażającej sekundy zdał sobie sprawę, że niedługo stanie się kobietą i zrozumiał, że wkrótce ich opuści, by zacząć swoje życie. Tymczasem jednak była wzruszająco młoda, bezbronna i krucha.

Niczym mały chłopiec, przez chwilę nie mógł wykrztusić z siebie słowa - a chciał powiedzieć, co do niej czuje, ile dla niego znaczy. Gdy odebrali bagaż i szli do samochodu, pomyślał, że Nell miała naprawdę rację mówiąc, że nie powinien odmawiać sobie przyjemności kochania córki.

- Dobrze, że wróciłaś - odezwał się nieswoim głosem,

gdy otwierał samochód. A kiedy Vanessa spojrzała na niego, postawił walizkę na ziemi, podszedł do córki i przytulił ją do siebie z całego serca. Wzruszenie ścisnęło mu gardło, niemniej zdołał mruknąć żartobliwie: - Jade chyba jednak miała rację. Nie jestem pewien, co Nell powie o twoich włosach. Wyglądasz na strasznie dorosłą.

Kiedy Vanessa zaczerwieniła się z radości, uznał, że powiedział to, co należało, i doświadczył owego oszałamiającego uczucia triumfu, znanego każdemu ojcu, gdy jego kilkunastoletnia córka, owo śliczne, krnąbrne, nielogiczne i przerażające stworzenie, które zajęło miejsce jego małej córeczki, uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

- Już przyjechali! Słyszę samochód! - wrzasnął Tom podniecony, pognał na dół i otworzył frontowe drzwi w chwili, gdy Marcus wysiadał z samochodu.

Eleanor patrzyła, jak jej syn biegnie do nich ze szczerą radością, i poczuła, że opada z niej napięcie. Kiedy jednak otworzyły się drzwi od strony pasażera, wstrzymała na chwilę oddech.

Stwierdziła, że dziewczyna, która właśnie wysiadła i na nią patrzyła, nie była tą samą istotą, która ich opuściła sześć tygodni temu. Gdy spotkała wzrok Vanessy, nie dostrzegła w jej oczach dawnego antagonizmu, jedynie wahanie i lekką niepewność.

Teraz wszystko zależy od niej.

„Traktuj ją jak własną córkę”, usłyszała w myślach głos Jade. Starając się zdusić niepokój ściskający jej serce, Eleanor uśmiechnęła się i pospieszyła na dwór, przystając na chwilę, gdy Vanessa odwróciła głowę, żeby powiedzieć coś do Toma.

- Och, Vanesso, twoje piękne włosy! - zawołała bezwiednie. Ku jej uldze jednak pasierbica jedynie roześmiała się i spojrzała porozumiewawczo na Marcusa.

- Jade wiedziała, że ci się to nie spodoba - zwróciła się do Eleanor i podeszła do niej.

- To nie to, że mi się nie podoba - broniła się Eleanor.

- To piękna fryzura i bardzo ci w niej ładnie, tylko że... wyglądasz na strasznie dorosłą.

- Ona tak mówi, bo jest matką - wyjaśnił Gavin Vanessie. - Matki zawsze tak mówią. Ona nie chce mi kupić nowej pary trampek...

Matki zawsze tak mówią...

Marcus i chłopcy spojrzeli na buty Gavina, Eleanor zaś i Vanessa spojrzały na siebie.

- Twój pokój jest już gotowy - powiedziała Eleanor.

- Miałaś rację z meblami: obicia w kolorze akwamaryny wyglądają znacznie lepiej niż brzoskwiniowe. Czy...

- Chcę, żebyś zobaczyła rybkę - wtrącił Gavin.

- Co? Jeszcze zanim zobaczysz swój prezent? - spytała Vanessa serdecznie.

Pół godziny później wszyscy siedzieli w małym saloniku, który oficjalnie był gabinetem Nell, lecz do którego ciągnęła cała rodzina, mimo że właścicielka nie zgodziła się na wstawienie tam telewizora.

- To dla ciebie - powiedziała Vanessa z wahaniem, podając Eleanor płaską, elegancko opakowaną paczuszkę.

- Jade pomogła mi wybrać. Kupiliśmy to w Soho, w takim sklepiku artystycznym.

Wyglądała na tak zdenerwowaną, że Eleanor najchętniej objęłaby ją i powiedziała, że bez względu na to, co jest w środku, jej i tak się to podoba, ponieważ jest prezentem

od niej. Niemniej nie zdobyła się na odwagę i zaczęła powoli rozpakowywać paczuszkę, lekceważąc ponaglenia chłopców.

Gavin dostał strój do baseballa, Tom - album do zdjęć w skórzanej oprawie. Fotografia była jego nowym hobby. O tym Vanessa mogła dowiedzieć się tylko z listów Toma, pomyślała Eleanor, wygładzając złożony arkusz, w który opakowany był jej prezent. Gdy spojrzała na niego, poczuła w oczach łzy.

- Co to jest? Co dostałaś? - dopytywał się Gavin niecierpliwie.

- Podoba ci się? Myślałam... Wiem, że lubisz takie rzeczy. Jade uważała to za zbyt sentymentalne. Były inne...

Eleanor potrząsnęła głową.

- Vanesso, to jest idealne. Przepiękne.

Zbyt sentymentalne! Usta Eleanor lekko drżały, gdy patrzyła na piękną, starą makatkę w oprawie z drewna wiśniowego. Dawno, dawno temu palce jakiejś kobiety wyhaftowały na grubej materii pochylone litery: „Dom jest tam, gdzie serce”. Matka, która otrzymuje taki prezent od córki, jest najszczęśliwszą kobietą na świecie.

- Powiesimy to nad kominkiem - powiedziała spokojnie. - Dziękuję, Vanesso.

Nie próbowała dotknąć jej ani pocałować, obawiając się, że w tej chwili mogłoby to wypaść nieco fałszywie, ale też nie ukrywała błyszczących w oczach łez.

- Aha, a wam przywiozłam jeszcze plakaty - oznajmiła Vanessa przybranym braciom.

Kiedy je im wręczała, Eleanor zastanawiała się, czy były to takie same plakaty, jakie kiedyś zniszczyła.

- I pomyśleć, że nie mogłam się doczekać powrotu do

domu - oświadczyła Vanessa z przekąsem dziesięć minut później, gdy Tom i Gavin kłócili się, który z nich ma pokazać Vanessie wszystkie zmiany, jakie nastąpiły w domu od czasu jej wyjazdu.

Eleanor zauważyła, jak naturalnie i ciepło Vanessa wymówiła słowo „dom”, toteż zwróciła się do chłopców i powiedziała pojednawczo:

- Jestem pewna, że Vanessa wolałaby obejrzeć dom z ojcem, a nie z wami. A tak przy okazji, to czy odrobiliście już lekcje?

- Och, nie - przerwała Vanessa. - Mogą pokazać mi dom jutro. Ojciec na pewno zapomni o rybce, prawda?

- To nie do wiary, jak ona się zmieniła - oznajmił Marcus wieczorem, gdy zostali z Eleanor sami.

- Dorasta. Nie jest już małą dziewczynką.

- To prawda - stwierdził zamyślony.

- Ale nadal cię potrzebuje, Marcus...

Wyciągnął ręce, przytulił ją do siebie, ucałował lekko w koniuszek nosa i powiedział:

- Ona potrzebuje nas, Nell. Ty jesteś moim domem, podobnie jak Toma i Gavina, a także Vanessy. Myślę, że ona o tym wie. Którógó dnia na pewno zrozumie, ile mieliśmy szczęścia, że znaleźliśmy kogoś, w którym sercu jest miejsce dla nas obojga.

Vanessa rozpakowywała walizkę w swoim pokoju. Pierwszą rzeczą, jaką wyjęła, a ostatnią, jaką do niej włożyła w Nowym Jorku, był portfel z fotografiami. Szybko omiotła wzrokiem sypialnię i uśmiechnęła się, gdy znalazła to, czego szukała.



Gdy Vanessa oświadczyła, że zabiera to z sobą, Eleanor zaprotestowała, niemniej Vanessa dopięła swego. Podeszła więc teraz do tablicy, którą zrobił dla niej Tom, odrzuciła włosy do tyłu i w skupieniu wyjmowała z portfela zdjęcia, przypinając je po kolei do tablicy.

Ojciec; matka w kreacji filmowej; przybrani bracia; grupa przyjaciół ze szkoły; kilka nowych fotografii Jade, no i wreszcie ta ostatnia, którą ukradkiem wyjęła z albumu Eleanor tuż przed wyjazdem na lotnisko.

Ostrożnie przypięła ją na środku tablicy. Eleanor stała obok Marcusa i patrzyła na niego zakochanym wzrokiem.

- Kto to jest? - spytał jeden z chłopców poznanych przez nią w Nowym Jorku, patrząc na tę fotografię.

- To mój ojciec i... - zaczęła, lecz jej przerwał.

- No, przystojna jest ta twoja matka. Bardzo jesteś do niej podobna.

Nie odczuła potrzeby, żeby wyjaśnić mu, że Eleanor nie jest jej matką, przesłała mu za to bardzo kobiece, obojętne spojrzenie, które opanowała ostatnio do perfekcji. Nie ma powodu dawać mu do zrozumienia, że jego komplement wywarł na niej wrażenie. Była pewna, że w taki sam sposób odzywa się do wszystkich kobiet.

Może później opowie o nim Nell, w takiej chwili, kiedy będą same. Nucąc cicho jakąś melodyjkę, otworzyła drzwi i zbiegła na dół.

- Nell, jestem głodna - powiedziała, widząc Eleanor w kuchni. - Czy znajdzie się coś do zjedzenia?

Dorosła! Chyba jeszcze nie, pomyślała Eleanor, mówiąc Vanessie, że może brać wszystko, co znajdzie w lodówce, dodając przy tym, że ona nie prowadzi tu restauracji czynnej całą dobę.

Jeszcze nie jest za późno. Obie mają jeszcze dość czasu, żeby lepiej się poznać i nawet polubić. Na początek mają coś bardzo cennego, co je silnie łączy: obie kochają Marcusa.

Na dobre i na złe; są rodziną i Eleanor miała dziwne przeczucie, że już niedługo wszystko zacznie zmierzać ku dobremu.